

**Siergiej Sadow**

# **Rzecz o zbląkanej duszy**

*Przełożyła Ewa Skórska*



**Część pierwsza**

**Zbłąkana dusza**

# Rozdział 1

Wracalem z zajęć w dość parszywym humorze - wdałem się w bójkę z jednym z moich zaprzysięgłych wrogów. Nie, żebym się skarżył, ale czy można mówić o uczciwej walce, gdy przeciwnik jest dwadzieścia kilo cięższy? Pod okiem miałem niezłą śliwę... Tak w ogóle unikam brutalnej przemocy. Żywię głębokie przekonanie, że siłowe rozwiązania nie mają większego sensu, a w sporach zawsze lepiej posłużyć się sprytem i inteligencją. Ale cóż, czasem nie da się inaczej, trzeba stanąć do walki, żeby nie zostać nazwanym tchórzem.

Wracając, spostrzegłem wujka, który stał sobie z boku, usiłując nie rzucać się w oczy. No dobrze, z tym „nie rzucać się w oczy” trochę jednak przesadziłem - skrzydlaci zawsze zwracają na siebie uwagę, choć, z drugiej strony, jego obecność nie była żadną sensacją. Od czasu, gdy wielki władca i reformator Gorujan zawarł z nimi pokój, skrzydlaci często bywają w naszych miastach, a my w ich. Tak właściwie to nazywają się inaczej, a skrzydlaci to przezwisko - oni z kolei mówią na nas „ogoniaści”.

Muszę powiedzieć, że wujek nie jest w naszym domu mile widziany; ojciec nawet mówi czasem, że nie ma brata - gardzi nim za to, że ten został aniołem, uważając, że to hańba dla całego naszego rodu.

- Nasza rodzina jest znana do piątego pokolenia! - powtarza często ojciec. - I wszyscy moi przodkowie

byli porządnymi diabłami, a tu co? Jeden został skrzydlatym! Wstyd i hańba!

Ale ja podejrzewam, że nie do końca o to chodzi. Po prostu moja mama od dawna prowadzi z ojcem nierówną walkę o dobre maniery przy stole i ciągle stawia mu brata za przykład. Ojcu bardzo się to nie podoba i dlatego tyle mówi o hańbie, chociaż to, co zrobił wujek, od dawna nie jest za takową uważane. Jak powiedział wielki Gorujan, my i skrzydlaci robimy właściwie to samo, z tym, że my karzemy, a oni nagradzają. O co tu walczyć? Nie ma nic złego w tym, że jedni mają ogon, a inni skrzydła. Pod ciężkim brzemieniem wszyscy jesteśmy równi i wszyscy też jesteśmy równi wobec Niego. Ale o Nim lepiej nie mówić, On nie lubi, gdy diabły wymawiają Jego imię.

Jako się rzekło, ojciec wujka nie trawił, a ja przeciwnie, cieszyłem się z jego odwiedzin. I to wcale nie z powodu prezentów, które zawsze przynosił. Po prostu... było mi z nim dobrze. Jednak w tym momencie nie miałem ochoty na spotkanie, dlatego chciałem przemknąć niezauważony. Już myślałem, że mi się udało, gdy na moim ramieniu spoczęła silna dłoń.

- Tutaj jesteś, Ezergilu. Westchnąłem i odwróciłem się.

- Dzień dobry, wujku Monterrey.

Wujek przez jakiś czas przyglądał się siniakowi pod moim okiem.

- Mam nadzieję, że walczyłeś o sprawiedliwość - powiedział w końcu.

- Oczywiście, że nie! Przecież jestem diabłem! -

obruszyłem się. Nie mam nic przeciwko sprawiedliwości, ale czasem lubię się tak powyglupiać.

- O, poznaję, poznaję fatalny wpływ mojego brata! - odparł surowo. - Tyle razy ci mówiłem...

- Że karząc grzesznika, diabeł musi być równie sprawiedliwy, jak anioł nagradzający sprawiedliwego.

Wujaszek prychnął.

- Żarty sobie urządzasz?

- Ależ skąd, wujku. A co się stało, że wpadłeś w odwiedziny? Myślałem, że wybierasz się do nas w przyszłym tygodniu?

- Tak właściwie jestem tu służbowo, idę do waszego ministerstwa kar - wujek zaklął na myśl o diabelskiej biurokracji.

- Aniołowie nie przeklinają - upomniałem go.

- Mnie wolno, w końcu jestem byłym diabłem. Chyba mogę mieć jakieś stare przyzwyczajenia? - odparł zuchwale, jednak widać było, że jest zmieszany.

- Może wujek - zgodziłem się wspaniałomyślnie. - A co tam w ministerstwie?

- A, wasi mądrale znów coś namieszali. Jedną duszę przez pomyłkę zagarnęli dla siebie i teraz idę to wyprostować. A ponieważ to i tak po drodze, przyszło mi do głowy, że zajrzę do ciebie. Myślałem, że się ucieszysz.

- Cieszę się! Strasznie się cieszę! Wujku, a nie wzięłbyś mnie ze sobą? Proszę!!!

Monterrey z powątpiewaniem obejrzał moje podbite oko.

- Myślisz, że możesz się tam zjawić z takim limem?

Pomacałem siniak i popatrzyłem na niego żałośnie.

- Proszę...

Rzecz w tym, że mój skrzydlaty krewny jest kurierem nadzwyczajnym. Można by pomyśleć: wielkie mi co, kurier! Ale cały sęk tkwi w słówku *nadzwyczajny*. Ponieważ jest byłym diabłem, to tam u nich doszli do wniosku, że właśnie on poradzi sobie z tym najlepiej. Słyszałem nawet, że wujek uchodzi za wybitnego specjalistę w swojej dziedzinie. Kiedyś obiecał, że jak nadarzy się okazja, weźmie mnie do ministerstwa kar. No, tak mu się wyrwało (nie wspominałem mu oczywiście o dodanych do kapuśniaku kroplach „słabości charakteru”), a ponieważ anioł nie może złamać danego słowa, zatem... No i teraz właśnie przyszedł spełnić obietnicę - a ja ze śliwą pod okiem! Znałem go doskonale i wiedziałam, że gotów jest przełożyć tę wyprawę na inną okazję, więc musiałem go urobić...

- Przecież jestem prawie dorosły! Niedługo skończę sto dwadzieścia lat! Muszę zacząć myśleć o wyborze zawodu! A nuż pójdę pracować do ministerstwa?

Anioł westchnął ze smutkiem.

- Wprawdzie jesteś diabłem, ale i tak cię lubię - to był nasz dyżurny dowcip. - Dobrze, skoro już obiecałem wziąć cię ze sobą, dotrzymam słowa, ale to będzie pierwszy i ostatni raz!

Wydałem okrzyk radości i podskoczyłem na dwa metry w górę.

- Nie skacz, nie skacz... Pokaż ten swój uraz... Właściwie należałoby go zostawić w celach

wychowawczych, ale...

Wujek dotknął siniaka i zamknął oczy. Poczułem przyjemne ciepło płynące z koniuszków jego palców i chwilę później po stłuczeniu nie zostało nawet wspomnienie.

- Super! - Pomacałem miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą widniało spore limo. - Chciałbym umieć robić takie rzeczy! Mógłbym się bić, ile wlezie i nigdy nie byłoby żadnych śladów! - Ledwie to powiedziałem, już wiedziałem, że palnąłem głupstwo. Ostatniego zdania w żadnym razie nie należało mówić przy wujku - w końcu jest aniołem!

- Ach tak?! Więc chciałbyś nauczyć się leczyć nie po to, żeby pomagać, ale żeby ukrywać swoje występki?!

- Nie, wujku, oczywiście, że chciałbym pomagać! Zawsze jestem gotów iść z pomocą, ale przecież czasem można zrobić coś dla siebie...

- Nie ma co, diabeł zawsze pozostanie diabłem...

Roześmiałem się. Wujaszek jako demaskator zawsze wyglądał dość zabawnie. Stawał się podobny do groźnego Michała... O, to dopiero był anioł... Do tej pory straszą nim dzieci, to znaczy diablęta. Chwała. Bo... tego... no proszę, nasłuchałem się wujka i o mały włos, a wymówiłbym zakazane imię! Chwała wszystkim, że tamte czasy dawno minęły i teraz między aniołami i diabłami panuje pokój.

Wujek, wcale nieurazony moim śmiechem, pokiwał głową.

- Tylko ci w głowie śmichy-chichy, a ja mówię poważnie. Używanie swoich talentów...

- Wujaszku, to co, idziemy do tego ministerstwa?

Wujek westchnął.

- Aleś ty niecierpliwy, Ezergilu...

Machnął białymi skrzydłami, poczułem strumień powietrza, a potem jakaś siła poderwała mnie nagle do góry, świat zawirował... Tylko raz latałem z wujkiem... jeśli kiedyś zdecyduję się zostać aniołem, to tylko z powodu tych lotów. Kto nigdy nie latał, ten nie zrozumie mojego zachwytu. Rozłożyłem ręce na spotkanie wiatrowi... Śmiałem się i płakałem, byłem wiatrem i promieniem słońca. Ale oto lot dobiegł końca i już stanęliśmy na ziemi. To nie fair! Nie fair! Chcę latać, latać, latać! Ciągłe! Zawsze!

- Hu, hu! Jesteśmy na miejscu! Zawsze to samo!

- Wiem, wujku - westchnąłem, a potem rozejrzałem się.

Każdy w naszym mieście wie, gdzie znajduje się ministerstwo kar, wszyscy znają ponury majestat tego budynku górującego nad miastem. Ja i wujek skierowaliśmy się do głównego wejścia, obojętnie mijając kolejkę dusz czekających na swój wyrok. Większość zachowywała się spokojnie, ale niektóre usiłowały uciec. No i dokąd niby? To przecież tak, jakby próbować wydostać się z okrętu podwodnego... Zakrzywiona przestrzeń nieodmiennie zawracała śmiałków na poprzednie miejsce. Szczególny przypadek stanowili ci, którzy głośno i natrętnie domagali się adwokata. Cóż, myślę, że ich żądania zostaną spełnione, podobno w piekle jest wielu prawników. Można by ich umieścić razem, że tak powiem, w jednym kotle.



Chociaż ja osobiście uważam, że kotły to przeżytek, pozostałość po średniowieczu. Istnieją przecież bardziej wyszukane warianty kar; wystarczyłoby podpatrzeć u ludzi...

Przejście zagroziło nam dwóch diabłów z widłami. Wujek w milczeniu okazał przepustkę; diabły z nieukrywaną złością patrzyły na jego skrzydła, ale nie mogły go zatrzymać. Obaj strażnicy byli siwowłosi - starszankowie dobiegający dziewięćsetki i zapewne pamiętający słynne bitwy z aniołami... Pewnie ciężko im przywyknąć do nowych czasów, do tego, że aniołowie nie są już naszymi wrogami. A ja to w ogóle nigdy nie rozumiałem, o co właściwie z nimi walczyliśmy. Grzesznicy dla nas, sprawiedliwi dla nich - i już! Walczyć o ludzkie dusze? Po co? Przecież i tak to my dostajemy więcej.

Pograżony w rozmyślaniach nawet nie zauważyłem, że znaleźliśmy się w głównym korytarzu. Dreptałem za wujkiem, który kroczył zamasyście i przypatrywałem się ponurym stalowym drzwiom po prawej i lewej stronie. Tam, jak wiedziałem z zajęć w szkole, znajduje się właśnie to, dla czego w ogóle istnieją diabły.

Niespodziewanie wujek zatrzymał się i zaczął nasłuchiwać. Wyhamowałem w ostatniej chwili, zdumiony popatrzyłem na wujka i też zacząłem nasłuchiwać, ale zza drzwi nie dobiegał żaden dźwięk. No proszę, zdolności aniołów znacznie przewyższają nasze! Z drugiej jednak strony, oni nie mogą korzystać z większości swych umiejętności - z powodu moralności...

Wujek podszedł do jednych drzwi i leciutko je uchylił. Usłyszeliśmy przeciągły pijacki śpiew na dwa głosy.

Wujek zajrzał do środka i osłupiał. Ja wsunąłem głowę pod jego łokciem i też zajrzałem, ciekaw, co tak go zaintrygowało.

Na środku pokoju na łańcuchu był podwieszony wielki kocioł, pod którym wesoło huczał Niegasnący Płomień. Obok siedział pijany diabeł, w jednej ręce trzymał widły, drugą obejmował duszę grzesznika. To właśnie oni śpiewali tęskną dumkę na dwa głosy.

- Dobry z ciebie ten... no, człowiek, Fiedia - mówiła dusza płaczącym się językiem.

- Nie jestem... iik... człowiekiem. Jestem diabłem, Wania, diabłem i taka już moja czarcia dola! Myślisz, że lubię nosić te diabelskie drwa? Guzik! A muszę, Wania, muszę. Obowiązek.

- Jak ja cię rozumiem! Myślisz, że za życia lubiłem zabijać ludzi? Wychodzę z kastetem na ulicę, stoję za rogiem, i aż mi serce pęka z żalu! Myślę sobie, zabiję dobrego człowieka i jego dzieci staną się sierotami... I taka mnie żalność brała, że nic, tylko sięść i wyć! Ale cóż począć...

- Dobra z ciebie dusza, Wania.

- To samo mówię... A jednak kat wcale nie docenił mojej dobroci!

- No dobra, Wania, włącz z powrotem. Fajnie się z tobą gada, ale włącz do kotła.

- Yk... Już, już... Teraz do łaźni, a potem znów po setce?

- W porządku...

Wujek zamknął drzwi i zerknął na mnie.

- Niczego nie widziałeś! - szepnął surowo.

- Czego nie widziałem? - Wzruszyłem ramionami.

- Niczego - odparł i poszedł korytarzem dalej. W końcu dotarliśmy do gabinetu administracji.

- Zaczekaj tu. Nie powinieneś patrzeć, jak się dorośli kłóca. - Wujek otworzył drzwi i wszedł do środka. - No, ogoniaści! - zawołał. - Co żeście tu znowu nawyprawiali?! Znowuście namieszali?

- To ty, Monterrey? - jęknął ktoś za drzwiami. - Tyle razy prosiłem wasze kierownictwo, żeby przysyłąli kogoś innego...

- O, niedoczekanie twoje...

A potem już nic nie słyszałem, ponieważ ku mojemu ogromnemu żalowi drzwi się zamknęły. Ale nie byłbym diabłem, gdybym nie zaczął podsłuchiwać. Dotknąłem drzwi, dostrajając się, a potem zacząłem ostrożnie wpuszczać słuch do środka. I niemal w tej samej chwili z drzwi wyrosła głowa wujka.

- I nie podsłuchiwać!

Pokazałem fantomowi język, chociaż to było głupie. Wujek na pewno przejrzy potem nagranie i zobaczy... No i dobrze. W końcu jestem diabłem czy nie?

Z nudów zacząłem szwendać się po korytarzu, oglądając rysunki na drzwiach - mimo wysiłków nie znalazłem dwóch takich samych... W pewnym momencie obok mnie przemknął ktoś z cichym szelestem. Odkoczyłem od kolejnych drzwi i popatrzyłem na fantom... Chociaż nie, to nie był

fantom! Tylko ludzka dusza emituje taki blask. Dziwne... Co tutaj robi dusza? Uciekła? Ee, chyba nie. Coś takiego jeszcze nigdy się nie zdarzyło. Zresztą, lśnienie było zbyt jasne jak na duszę grzesznika. A jeśli to nie grzesznik, co by tu robił? Jego miejsce jest gdzie indziej, na górze...

Wzruszyłem ramionami i poszedłem dalej. Ech, gdybym wtedy wiedział, ile wycierpię przez tę głupią duszę, postarałbym się jak najszybciej o niej zapomnieć... A zresztą, może i nie... Niestety, chociaż jestem diabłem, nie potrafię zobaczyć przyszłości.

Wróciłem przed gabinet administratora i ujrzałem tam wujka oraz biegającego wokół niego niskiego, grubiotkiego czarta.

- Monterrey, może pan być spokojny, ten błąd zostanie naprawiony. Zwrócimy duszę tego człowieka! Rozumiecie, biurokracja... Chłopcy się pomylili, złapali nie tego, co trzeba...

- Mam nadzieję, że nie będę musiał tu wracać?

- Ależ co też pan, Monterrey! - w głosie administratora dźwięczała czysta groza. - Zrobimy wszystko jak należy.

Wtedy pomyślałem, że chyba powinienem opowiedzieć o duszy kręcącej się po korytarzach. Mogłem trzymać język za zębami, bo w sumie, co mnie ta dusza obchodziła? Niech się nią zajmą ci, którzy powinni. Ale jak już mówiłem, nie miałem pojęcia o przyszłości, więc odchrząknąłem, żeby zwrócić na siebie uwagę i opowiedziałem o spotkaniu. Moja nowina nie zrobiła najmniejszego wrażenia na

administratorze, za to zaintrygowała wujka. Popatrzył pytająco na grubasa, ale ten tylko machnął ręką.

- Tak, jest tutaj taka. Trzeci dzień łązi po korytarzach. Zagubiona dusza. Nie może się określić, dokąd ma iść, do nas, czy do was i chyba coś ją jeszcze trzyma na ziemi, bo czasem tam wraca. Obrzydła nam bardziej niż modlitwy grzeszników! Gdyby nie umowa ze skrzydlatymi, już dawno byśmy ją rozwiali.

Wujek popatrzył na mnie jakoś dziwnie, a potem powiedział groźnie do administratora:

- No, tylko spróbujcie ją rozwiąć! Będziecie mieli takie nieprzyjemności, że... - wujek zamilkł znacząco, zaś administrator przełknął ślinę.

- Ależ my nie mamy zamiaru nikogo rozwie... ee...

Wujek gestem zmusił go do zamilknięcia i znów spojrzał na mnie.

- Kiedy jest początek tej twojej letniej praktyki?

- Ee... - zacząłem uważnie oglądać sufit. - Tak właściwie to jutro...

- Wybrałeś sobie już jakieś zadanie?

- No wujku, przecież to nie moja wina, że mnie nic...

- Rozumiem, że nie znalazłeś. Doskonale. Przyjmijmy więc, że praktykę masz już załatwioną. Przecież szanowny administrator nie odmówi chyba mojej niewielkiej prośbie?

Administrator pokrył się potem.

- Ależ oczywiście, że nie, szanowny Monterreyu... Tylko że to nie jest najlepsze miejsce praktyki dla chłopca...

- Czy pan myśli, że wysłałbym bratanka do waszej

katowni?! - oburzył się wujek. - Za kogo mnie pan bierze! Chodziło mi o co innego; mój bratanek zajmie się tą zbląkaną duszą.

Ups...

- Ale... wujku...

- Co „wujku”? Chcesz zostać na drugi rok? A może masz jakieś inne propozycje?

Nie miałem, więc się już nie odezwałem. Zwłaszcza, że nasz wychowawca jasno dał mi do zrozumienia, iż jeśli do jutra nie załatwię sprawy praktyki, to wstawi mi niedostateczny.

- Świetnie - mówił dalej wujek. - W ramach praktyki mój bratanek dowie się wszystkiego o tej duszy: dlaczego nie może się określić w sprawie swojego, że tak powiem, miejsca zamieszkania. Co ją jeszcze trzyma na ziemi? Krótko mówiąc, pomoże jej.

- Ale ja jestem diabłem, nie aniołem! Wujku, przecież wystarczy, że pstrykniesz palcami i od razu wszystkiego się dowiesz!

- Możliwe, ale wtedy zostaniesz bez praktyki. Poza tym, jeśli my, starzy, całymi dniami będziemy pstrykać palcami, młodzi niczego się nie nauczą. No więc, jak będzie, panie administratorze?

- Z przyjemnością, panie nadzwyczajny kurierze. To wspaniale, że ktoś się wreszcie zajmie tą duszą. A jeśli pański chłopak się wykaże, mogę mu zagwarantować pracę w naszym ministerstwie.

Ooo!!!

- Zgadza się! - zawołałem czym prędzej.

Wujek skrzywił się, ale skinął głową.

- Doskonale. Do widzenia, panie administratorze, wszystkiego dobrego.

- Wszystkiego dobrego, panie Monterrey... Może pan być spokojny, zaraz załatwię odpowiedni dokument dla szkoły, znam imię pańskiego bratanka.

Wychodząc z budynku ministerstwa, miałem już nieco gorszy humor niż wtedy, gdy do niego wchodziłem.

Kto by pomyślał, że wujek podłoży mi taką świnię? Z drugiej jednak strony, musiałem znaleźć jakieś zajęcie, więc w sumie nie ma co narzekać. Chociaż nie, jest na co! Przecież jestem diabłem, a to znaczy, że powinienem sprowadzać ludzi na złą drogę! A co będę robił na letniej praktyce? Pomagał! Właśnie! Będę pomagał tej diabelskiej duszy uzyskać spokój! No nie! Gdy wielki Gorujan planował fundamentalne przemiany, na pewno nie spodziewał się czegoś podobnego. No dobra, mogło być gorzej...

- To co, lecimy teraz do domu?

Wzmianka o locie od razu poprawiła mi nastrój. Może naprawdę zostanę aniołem, tak jak wujek? Żadne słowa nie opiszą tego upojenia, które ogarnia mnie, gdy lecę ponad miastem...

Nie czekając na moją zgodę (w końcu wujek dobrze mnie znał), mój skrzydlaty krewny pochwycił mnie i oto już lecieliśmy nad ziemią. Pod nami migały drzewa, domy... Z tej wysokości diabły wydawały się śmiesznie malutkie...

W pewnej chwili wujek zrobił ostry wiraż i zaczął pikować w dół. Dopiero wtedy zobaczyłem, że już

dolatujemy do naszego domu. Jak zawsze lot wydał mi się zbyt krótki. To nie fair! No dlaczego tylko anioły mają skrzydła? Czy my, diabły, jesteśmy gorsi?

Wujek ostatni raz machnął skrzydłami, lądując na trawniku przed naszym domem.

- To co, chcesz, żebym was odwiedził?

Jeszcze jedna idiotyczna zasada: anioły nigdy do żadnego domu nie wejdą bez zachęty ze strony gospodarzy. Zresztą, my też nie możemy. Słusznie ludzie mówią, że diabeł nie przychodzi bez zaproszenia... Zapominają tylko, że anioł to dżentelmen, zatem jego też należy wpuścić do swojego domu, zachowując odpowiednie formy...

- Oczywiście, wujku. - Skinąłem głową i otworzyłem przed nim drzwi. Cichutko zadźwięczał dzwoneczek, powiadamiając o naszym przybyciu. Monterrey z aprobatą skinął głową, a następnie dokładnie wytarł buty szmatką, która nie wiadomo skąd zjawiała się w jego ręku.

- Prowadź więc. Gdzie są wszyscy? Zresztą, po co ja pytam, znając mojego brata, nietrudno się domyślić, że jest w kuchni. Jak zwykle siedzi w podartych spodniach, brudnym podkoszulku i żre.

- Je - poprawił go głos naszego domowego.

- Żre! - uparł się wujek.

Wyobraziłem sobie ojca przy posiłkach i musiałem przyznać krewnemu rację. Ojciec nie jadł, on naprawdę żarł.

- Nafania - poprosiłem domowego - powiadom wszystkich, że mamy gościa.



- Już to zrobiłem - rozległ się głos. - Czekają na was w kuchni, gdzie pan domu raczy spożywać pielmienie.

Wujek parsknął śmiechem. Jeden ruch ręki i jego skrzydła zniknęły. Potem poprawił śnieżnobiały strój i poszedł w stronę kuchni. Podreptałem za nim.

Nie mogę powiedzieć, żeby rodzice ucieszyli się z przybycia wujka. Ojciec jak zwykle siedział przy stole w brudnym podkoszulku i jadł pielmienie rękami. Na widok brata zaklął i wytarł ręce o podkoszulek. Mama skrzywiła się.

- O, mój drogi rodzony - rzekł kwaśno tata. - Dawno cię u nas nie było.

Wujek w swoim wspaniałym białym stroju wyglądał przy ojcu jak książkę obok bezdomnego. Majestatycznie skinął wszystkim głową, z galanterią ucałował dłoń mamy, po czym usiadł przy stole. Ojciec ściągnął brwi. Tak, różnica między nim i wujkiem biła w oczy.

- Praca, praca, drogi braciszku - wujek zapożyczył ten zwrot od ojca, ale włożył w niego arystokratyczną drwinę.

- Gosza, wytrzymaj ręce w ścierkę! - poprosiła mama.

Ojciec spojrzał na nią zdumiony.

- Dlaczego? Podkoszulek mam bliżej... To z czym przychodzisz, braciszku?

- Gosza? Masz nowe imię? Dobrze, to nieważne, niech będzie Gosza. Nie w tym rzecz...

Usiadłem w kącie, z ciekawością zacząłem się przysłuchiwać rozmowie. Wieczór zapowiadał się interesująco. Czy może być coś przyjemniejszego dla diabła niż kłótnia w rodzinie? Oczywiście pod

warunkiem, że to nie dotyczy ciebie...

- Przyszedłem porozmawiać o twoim synu.

Ups! Wykrakałem! Pora się zmywać... Ostrożnie poszedłem do wyjścia... i wpadłem na mojego starszego brata.

- Czego? - spytał ponuro.

Brat, starszy ode mnie prawie dwieście lat, uważa się za ważną osobę, chociaż jest tylko roznosicielem poczty w ministerstwie informacji. Jego pojawienie się zwróciło uwagę wujka.

- Ezergil, ty dokąd? Witaj, Zoregu.

- O, wujek. - Brat skinął głową.

Nie lubił wujka chyba jeszcze bardziej niż ojciec, od dnia, gdy wujek wytargał go za uszy za to, że braciszek próbował ukraść mu skrzydła, jakieś dwieście pięćdziesiąt lat temu. Nie, Zoreg nie jest złośliwie pamiętliwy - po prostu jest zły i nie skarży się na pamięć.

- Chciałbym pomówić o waszym synu, Ezergilu - rzekł wujek. - Drogi bracie, zapewne jesteś świadom, że jutro ma rozpocząć letnią praktykę? I na pewno wiesz, że jeśli jej nie odbędzie, zostanie na drugi rok?

- Poważnie? - zdumiał się ojciec. - Synu, czemuś nic nie powiedział? Znaleźlibyśmy ci miejsce tej, jak jej tam, praktyki.

- Jestem już dorosły! - zasyczałem oburzony. - Mam prawie sto dwadzieścia lat! Za sześćdziesiąt dostanę własny ogon!

- A rogi będziesz miał, jak się ożenisz! - zarżał mój brat.

Skrzywiłem się. Od jego płaskich żartów czasem mogło zemdląć, chociaż on sam uważał te marne dowcipy za szczyt humoru. Wujek spojrzał na Zorega z góry, ale powstrzymał się od komentarzy.

- Znalazłem praktykę dla waszego syna. W ministerstwie kar. Ma pomóc pewnej zbłąkanej duszy...

- Co? Pomóc? To przecież diabeł! On nie ma pomagać! On ma, przeciwnie, kusić ludzi, zabierać im dusze! Pamiętam, jak polowałem na jednego świętego - zaśmiał się ojciec. - Dawno to było... Niby taki święty, a kiedy mu pokazałem monетки, jakoś szybko o świętości zapomniał...

- Aha - skinął głową wujek. - Tylko zapomniałeś opowiedzieć, jak potem uciekałeś przed Archaniołem Michałem, ponieważ to pod jego opieką znajdował się ów święty. Nawet ogon zgubiłeś i dwa tygodnie kryłeś się na ziemi, póki cię nie odnalazłem. A ogon na zawsze został u Michała w charakterze trofeum.

- Tato, nigdy o tym nie mówiłeś... - wtrąciłem się.

- Cicho bądź! - huknął na mnie ojciec. - Monterreyu, wstydzilibyś się hańbić ojca przed synem!

Wujek zignorował tę uwagę.

- No to co będzie z praktyką?

Ojciec westchnął ciężko.

- To przecież diabeł... - powtórzył.

- Tym bardziej! Nauczy się orientować w stosunkach międzyludzkich, poza tym, przecież to praktyka w ministerstwie kar!

Ten argument ojca przekonał. Nic dziwnego! Chyba każdy diabeł marzy, żeby pracować w tym najbardziej

prestizowym urzędzie piekła... A jaka tam konkurencja!

- Dobrze. Czego konkretnie ode mnie chcesz? Wujek pstryknął palcami i na stole zmaterializowała się kartka papieru.

- Załatw podanie.

Ojciec zerknął na mnie, jeszcze raz wytarł ręce w podkoszulek, napisał, co trzeba i złożył podpis. Wujek błyskawicznie wyrwał mu kartkę i przeczytał.

- Starasz się - pochwalił ojca. - Załedwie dwa tuziny błędów. Zuch! - znów pstryknął palcami, kartka natychmiast zniknęła. - No dobrze, odesłałem. Ezergilu, nie zawieźdź mnie. Przecież osobiście złożyłem prośbę w twojej sprawie.

Ha! Już ja widziałem, jak on prosił! „Potrzebuję tego i tego - i to szybko!”

Zgnębiony skinąłem głową.

- Tak, wujku Monterrey.

- Dobrze. Jutro przed rozpoczęciem praktyki spotkamy się jeszcze raz. Do widzenia, braciszku. Tęsknić za mną nie musisz. Madame... - Wujek znów ucałował dłoń mamy, wprawiając ją w zachwyty. Ojcu ogon stanął dęba. Burknął coś o skrzydlatych, którzy mają o sobie zbyt wysokie mniemanie - wujek skłonił mu się złośliwie i zniknął.

- Co za nudziarz - burknął mój brat.

- Wcale nie! - zaprotestowałem.

- Cicho mi tu, obaj! - warknął ojciec, a potem westchnął ze smutkiem. - Krewnych się nie wybiera. Że też w porządnej diabelskiej rodzinie musiał się trafić taki wyrodek...

Postanowiłem jak najszybciej zniknąć z kuchni. Ojciec potrafił całymi godzinami rozwodzić się nad swoim „wyrodnym” bratem. To nawet może być ciekawe, zwłaszcza gdy słyszy się tę opowieść pierwszy raz. Albo drugi czy trzeci... No, w ostateczności czwarty. Ale po raz sto czwarty...

- Dobrej nocy - powiedziałem zza drzwi. To był najpewniejszy sposób uniknięcia ojcowskiego wykładu.

- Mały musi jutro wcześniej wstać! - powiedziała od razu mama. - Idź, synku, idź. Odpocznij. Zmęczyłeś się dzisiaj...

Rozsądnie powstrzymałem się od odpowiedzi i czym prędzej zniknąłem w swoim pokoju. Jutrzejszy dzień zapowiadał się interesująco...

## Rozdział 2

W szkole „na dzień dobry” przywalilem teczką mojemu zagorzałemu wrogowi i od razu ukryłem się za iluzją. Ksefon nigdy nie był orłem, jeśli chodzi o uroki, dlatego nie bałem się, że mnie zobaczy. Zza iluzji obserwowałem, jak kręcił się w kółko, próbując dojrzeć, kto go uderzył.

- Ezergil, draniu jeden! Przecież wiem, że to ty! Wyłaź!

Aha, już lecę...

- Wykorzystujesz to, że nie jestem mocny w urokach!

A co ja jestem temu winien? Trzeba się było uczyć, nie latać po kawiarniach... Jeśli chodzi o uciekanie z lekcji, Ksefon nie miał sobie równych. I mimo to, z niezrozumiałych dla mnie względów, był ulubieńcem naszego wychowawcy.

- Poczekaj, jeszcze cię dorwę...

Stworzyłem swoją podobiznę i na chwilę wysunąłem ją zza iluzji, a potem skierowałem do wyjścia.

- Aha! - szepnął Ksefon ze złośliwą radością. - Wcale nie jesteś taki sprytny, jak ci się wydaje...

I zaczął skradać się za ledwie widocznym obłokiem, za którym - jego zdaniem - ukrywałem się ja.

- No, trzymaj się! - wrzasnął, ruszając do ataku. Naturalnie moja podobizna nie zareagowała na ten cios - Ksefon przeleciał przez fantom i wpadł w popiersie Gorujana. - Au! - zawył.

Nie wytrzymałem i parsknąłem śmiechem; rzecz jasna, iluzja od razu się rozwiązała. Ksefon patrzył na mnie z jawną nienawiścią. Jednak najgorsze było to, że jego pogrom widziało kilkunastu kolegów z klasy! Świadkowie od razu wybuchli śmiechem.

- Ładnie cię przerobił, Ksefon - zauważyła Klenny, chichocząc. - A widzisz, trzeba się było uczyć uroków!

Ksefon mamrocząc coś pod nosem, poszedł do drzwi klasy, wlokąc za sobą teczkę i pocierając czerwony, spuchnięty nos.

- Może powinieneś iść do lekarza... - poradziłem, zadowolony, że udało mi się odpłacić za wczorajszego siniaka.

- Idź w cholere... aniołeczku! - warknął.

Uu, nazwać diabła aniołem... To była straszna obraza. Już miałem się na niego rzucić, gdy pod klasą zjawił się wychowawca. Popatrzył na nas z wyżyn swojego gigantycznego wzrostu, machnął ogonem zakończonym eleganckim pędzlem i poprawił okulary.

- Taak - powiedział. - Ezergil, znowu chuliganisz?

- Ja?! - oburzyłem się. - A słyszał pan, jak on mnie nazwał?

Skupieni wokół koledzy poparli mnie. Nauczyciel obrzucił wszystkich chłodnym spojrzeniem, zapanowała cisza.

- Biorąc pod uwagę pewnego twojego krewnego - uśmiechnął się - dla ciebie to słowo nie powinno być obraźliwe.

Sposepniałem. Mój wujek to mój wujek, a ja to ja. Ale spieranie się z nauczycielem jeszcze nigdy nikomu

nie wyszło na dobre.

- Tak jest, panie Wikientiju.

Wychowawca był chyba rozczarowany moją potulnością. Nic dziwnego, pozbawiłem go takiej wspaniałej możliwości ukarania niewygodnego ucznia... Wikesza, jak nazywałem naszego wychowawcę, nie lubił mnie, ale nic nie mógł ze mną zrobić - byłem jednym z pięciu najlepszych uczniów w szkole, brałem udział w kilku olimpiadach i raz nawet zająłem drugie miejsce. Dlatego też dyrektor szkoły polecił wszystkim nauczycielom pomagać mi w razie konieczności. Czyli z tej strony nasz Wikesza nie mógł nic zdziałać - każde zaniżenie moich osiągnięć z jego przedmiotu równałoby się rozmowie z dyrektorem. I wtedy Wikientij, przebiegły jak wszystkie diabły, zaczął zawyżać mi oceny w nadziei, że stracę czujność i przestanę się uczyć jego przedmiotu. Nic z tego! Może jestem leniwy, ale nie głupi. Jak tylko przejrzałem plan naszego wychowawcy, jego przedmiotu zacząłem się uczyć ze zdwojoną energią. A po każdej odpowiedzi sam siebie oceniałem bardzo krytycznie. Według mnie należały mi się czwórki, może z niewielkim plusem, a w dzienniku figurowały same piątki z dwoma, a czasem nawet trzema plusami.

- Dobrze - rzekł Wikientij - przedstawienie skończone, wszyscy do klasy. Pamiętajcie, że dziś ostatni dzień zajęć i otrzymacie świadectwa? No już, do klasy, dzieci, do klasy.

Wpadliśmy hurmą do sali i zajęliśmy swoje miejsca. Wikientij wszedł ostatni, podszedł do biurka i otworzył



dziennik.

- A więc - zaczął - oto kolejny rok szkolny dobiegł końca. Pięćdziesiąt lat temu jako siedemdziesięcioletni malcy weszliście tutaj po raz pierwszy. Od tamtej pory wiele się dowiedzieliście i wiele zrozumieliście. Jednak ten rok jest dla was szczególnie ważny z zupełnie innego powodu - tego lata po raz pierwszy będziecie odbywać praktyki. Bez zaświadczenia o ukończeniu praktyki nie otrzymacie promocji do następnej klasy i zostanieie na drugi rok. Co dla prawdziwego diabła oznacza taka praktyka, nie muszę wam mówić. Dlatego też z ogromną przykrością informuję, że jeden z was do dziś nie zgłosił mi, gdzie będzie ją odbywał.

Skuliłem się pod jego lodowatym spojrzeniem.

- I jeśli ten ktoś w ciągu dziesięciu minut nie dostarczy odpowiedniego zaświadczenia, będę zmuszony postawić mu niedostateczny.

„No, wujku, co z tobą?” - zawyłem w duchu i w tej samej chwili na biurku wychowawcy zmaterializował się jakiś zwitek. Wikesza przez dłuższą chwilę przyglądał mu się zaskoczony, w końcu wymruczał:

- Przepraszam, pilna poczta... - Wziął zwitek, przestudiował go, w końcu rzekł: - Nic nie rozumiem, pieczęć ministerstwa kar?... - Rozwinął zwój i zagłębił się w czytaniu. Potem wykrzywił się i utkwiał we mnie wzrok. - Ezergilu! - wrzasnął.

Zerwałem się z miejsca.

- Tak, panie Wikientiju?

Nauczyciel znowu się skrzywił.

- To z ministerstwa kar. Zaświadczenie, że pewien

uczeń naszej szkoły, Ezergil, tam właśnie będzie odbywał letnią praktykę.

„Dzięki, wujku!”

- Nie ma co szczerzyć zębów! - huknął nauczyciel. - Skoro już z nieznanego mi powodu dostąpiłeś takiego zaszczytu, to przynajmniej nie przynieś nam wstydu! Zresztą, proszenie cię o to i tak nie ma sensu... aniołeczku.

Klasa zamarła, a ja poczerwieniałem. Nauczyciel podszedł do biurka i chciał usiąść na krześle, ale w ostatniej chwili krzesło odsunęło się i Wikientij z rozmachem siadł na podłodze.

- Ezergil!!! - wrzasnął, zrywając się z podłogi wśród chichotów całej klasy.

- Słucham? - zapytałem, odrywając się od studiowania krajobrazu za oknem. Popatrzyłem na nauczyciela niewinnym wzrokiem. No śmiało, niech udowodni, że to ja. Przecież nie ukarze całej klasy.

Wikientij też zrozumiał, że nie ma żadnych szans na udowodnienie mi winy.

- Siadaj - warknął.

Czym prędzej wypełniłem polecenie. - A więc, skoro już wszyscy mają załatwione praktyki, odczytuję listę klasy. Wyczytany przeze mnie uczeń podchodzi i podpisuje odebranie świadectwa.

Wikientij znowu chciał usiąść za biurkiem, ale popatrzył w moją stronę i jednak tego nie zrobił. Wziął dziennik i zaczął czytać na stojąco. Byłem praktycznie na końcu listy, więc ze znużoną miną patrzyłem, jak koledzy podchodzą po kolei do nauczyciela, w tabeli

podpisują odbiór świadectwa. Dziewczyny robiły rewerans, chłopaki lekko kłaniali się nauczycielowi i wracali na miejsca.

- Ksefon - odczytał Wikientij. - Ksefonie, ty odbywasz praktykę u mnie. Zadanie otrzymasz później, zostań na chwilę po zajęciach.

No tak, jasna sprawa, Wikesza nie mógł pozwolić, żeby jego pupilek nie zaliczył praktyki, co mogłoby się zdarzyć, gdyby odbywał ją gdzie indziej...

Na wieść, że ma zostać dłużej w szkole, Ksefon skrzywił się. Głupi, nie rozumiał, że dla niego to jedyne rozwiązanie.

- Ezergil - usłyszałem w końcu swoje imię. Szybko podszedłem do biurka, podpisałem się. Wikientij znów zajrzał do zwitka i rzekł: - Masz się dziś stawić o czwartej do głównego budynku ministerstwa, główne wejście. Oto przepustka.

W milczeniu wziąłem przepustkę i usiadłem na swoim miejscu - bardzo ostrożnie. Tak jak się spodziewałem, w ostatniej chwili krzesło próbowało wyskoczyć spode mnie, ale byłem czujny i dlatego tylko szarpnęło się, ale pozostało na swoim miejscu. O, muszę powiedzieć, że Wikesza bardzo mnie rozczarował... Żeby kopiować sztuczkę ucznia... Co za brak stylu! Naprawdę nie mógł wymyślić nic lepszego? Udałem, że nic nie zauważyłem.

Wikientij spurpurowiał i rzekł:

- Zajęcia skończone - po czym szybkim krokiem wyszedł z klasy.

I wtedy koledzy otoczyli mnie i zasypali pytaniami:

- Szczęściarz!

- Ale fart!

- Przyznaj się, jak ci się udało dostać takie super - miejsce na praktykę?!

- No, w samym ministerstwie kar!

- I co tam będziesz robił? Sortował grzeszników? Pewnie nie, to w końcu odpowiedzialna praca, trzeba zważyć każdą winę, wyznaczyć odpowiednią karę...

- Pewnie każą mu podkładać drwa pod kotły - burknął Ksefon, ale nikt go nie słuchał; to wyraźnie nie był jego dzień.

A ja zacząłem kłamać jak najęty:

- Szczęściarz? Myślicie, że to kwestia fartu? Dla jednych to może fart, a w przypadku innych efekt długotrwałych przygotowań! Już na początku roku pisałem list do ministerstwa, potem przechodziłem różne testy i sprawdziany... Wybrali mnie spośród setki... tysiąca kandydatów! Wczoraj byłem osobiście u administratora, a tam powiadomiono mnie, że wygrałem konkurs. A wy mówicie, że to fart.

- Ooo! - westchnęła zachwycona klasa.

- No wiesz?! - oburzył się Kront. - I nic nie powiedziałaś? Może ja też bym spróbował?...

Pozostawiłem tę wypowiedź bez komentarza. Jedynie spojrzałem na niego z góry, dając do zrozumienia, co myślę o jego szansach. Zresztą, on sam świetnie wiedział.

- Jeszcze nie wiem, co tam będę robił - łągałem dalej - ale możliwe, że sam administrator weźmie mnie na pomocnika. - Zrozumiałem, że przesadziłem cokolwiek,

więc szybko się poprawiłem: - No, tu już trochę za bardzo pojechałem. Ale pewnie będę pracował razem z nim; mam sortować pocztę, przeglądać akta grzeszników...

- Ooch... - rozległo się westchnienie zachwytu.

- No dobra - skinąłem głową z miną ważniaka. - Sami rozumiecie, że na mnie już czas. O czwartej mam być w ministerstwie, a jeszcze muszę się przebrać, załatwić różne sprawy. Na razie!

I czym prędzej wypadłem na korytarz, jednak wcale nie do wyjścia. Tak jak podejrzewałem, wybiegło za mną kilka osób. Obserwowałem ich zza rogu. Szukając mnie, polecili do głównego wyjścia - na czele tego towarzystwa pędził oczywiście Ksefon. Śmiejąc się z niego w duchu, poszedłem do tylnych drzwi. Nietrudno zgadnąć, w jakim celu Ksefon i jego kumple chcieli mnie dorwać. Cóż, naprawdę, to stanowczo nie był jego dzień.

Mijając gabinet dyrektora, usłyszałem głos wychowawcy. Czy mogłem przegapić taką okazję? Natychmiast wskoczyłem do sekretariatu, schowałem się za szafę.

- Panie dyrektorze, to oburzające! - grzmiał Wikesza.  
- On zachowuje się absolutnie wyzywająco! W ogóle nie szanuje pedagogów!

O kim on mówi?

- Panie Wikientiju, nie rozumiem pana. O tym uczniu wszyscy nauczyciele wypowiadają się w samych superlatywach! I wie pan, jakiego zaszczytu dostąpiła nasza szkoła? Nasz wychowanek został zaproszony do

odbycia praktyk w samym ministerstwie kar!

Oho, zdaje się, że mówią o mnie. Ciekawe, ciekawe...

- O tym właśnie chciałem porozmawiać! Nie sądzę, żeby taki niewychowany, niezdolny diabeł mógł godnie reprezentować naszą szkołę...

- Niechże pan da spokój, panie Wikientiju. Przecież to jeden z naszych najlepszych uczniów.

- Tym niemniej nalegam, żeby zastąpił go ktoś inny. Mogę zaproponować innego kandydata, inteligentnego, dobrze wychowanego...

- Panie Wikientiju, chyba pan nie zrozumiał... To było konkretne zaproszenie, ze wskazaniem konkretnego ucznia. Ani pan, ani ja nie możemy tu nic zmienić, nawet gdybyśmy chcieli. Doprawdy, nie rozumiem pańskiego stosunku do tego dziecka. To inteligentny chłopak, można nawet powiedzieć, utalentowany. Proszę mi wierzyć, daleko zajdzie!

- Panie dyrektorze, wobec tego... wobec tego nalegam na przeprowadzenie kontroli. Skoro nie możemy wyznaczyć kogoś innego, domagam się kontroli.

- Czego pan chce?

- Poznać zadanie jego letniej praktyki i spróbować mu przeszkodzić. Jeśli Ezergil jest tak dobry, jak pan twierdzi, to sobie poradzi.

- Panie Wikientiju, pan się zapomina! Pan sądzi... a zresztą... - dyrektor zamilkł i najwyraźniej się zamyślił. Wstrzymałem oddech; ważyły się losy mojej praktyki! Ciekawe, jakie będę miał szanse, jeśli przeciwko mnie wystąpi Wikesza! Przecież to wbrew regułom!

- To wbrew regułom - powiedział w końcu dyrektor,

jakby czytając w moich myślach. - Przy okazji, kogo chciał pan wysłać na praktykę zamiast Ezergila?

- Ksefona, panie dyrektorze. Sensowny chłopak i prawdziwy diabeł.

- A tak, słyszałem, słyszałem - sądząc z głosu dyrektora, to, co słyszał o protegowanym Wikientiju, nie było zbyt pochlebne. - Panie kolego, najwyraźniej zapomniał pan o starej zasadzie - nauczycielom nie wolno wtrącać się w letnie praktyki swoich wychowanków. Nie może tego zrobić ani pan, ani ja, ani nikt inny. Dzieci muszą samodzielnie wykonać swoje zadania. Jednak pański pomysł mi się spodobał... Jak zrozumiałem, na miejsce Ezergila proponował pan Ksefona... Doskonale! W takim razie to ja wyznaczę Ksefonowi zadanie. Niech spróbuje przeszkodzić Ezergilowi w jego praktyce. Jeśli jest tak dobry, jak pan mówi, bez trudu sobie poradzi.

- Ależ panie dyrektorze!

- Słucham? Nie sądzi pan, że to sprawiedliwe? Moim zdaniem jak najbardziej. Pański protegowany przeciwko mojemu. Więcej nawet, jestem gotów postawić na Ezergila dwa tysiące monet. Przyjmuje pan zakład?

- Z Ksefonem Ezergil nie ma żadnych szans! Ksefon to prawdziwy diabeł, zaś Ezergil w ogóle nie wiadomo kto... Anioleczek!

- Panie Wikientiju, niech pan nie obraża uczniów w mojej obecności. Przyjmuje pan zakład?

- Może się pan pożegnać ze swoimi monetami. Tylko proszę, niech się pan nie wtrąca i nie pomaga Ezergilowi.

- A pan niech nie pomaga Ksefonowi. Zatwierdzimy naszą umowę krwią...

Sądząc z ciszy, jaka zapadła, Wikientij miał szczerzy zamiar pomóc Ksefonowi, jednak teraz, po zatwierdzeniu umowy krwią, już się nie odważy. Uważnie słuchałem warunków tej umowy - w końcu od tego zależał sukces mojej praktyki! - i omal nie zawyłem z zachwytu. Porozumienie wykluczało jakąkolwiek ingerencję ze strony zakładających się. Nie mogli wpływać na wynik ani pośrednio, ani bezpośrednio, nie mogli nikogo w tym celu wynająć, nie wolno im było także wspomnieć komukolwiek o zakładzie aż do jego ustania po zwycięstwie jednej ze stron; a i wtedy wyłącznie za zgodą obu uczestników. Zawsze byłem wysokiego mniemania o naszym dyrektorze, ale teraz nabrałem do niego jeszcze większego szacunku. Naprawdę, mimo wszelkich starań nie udało mi się wymyślić żadnego sposobu ominięcia któregoś z punktów umowy. A skoro nie groziła mi ingerencja ze strony Wikientija, to hulaj dusza! Z Ksefonem spokojnie sobie poradzę! Niezadowolone, jakie dźwięczało w głosie Wikeszy świadczyło o tym, że on też rozumiał, iż przystał na warunki wykluczające jakąkolwiek pomoc z jego strony.

- Można było zrobić inaczej.

- Można - przyznał dyrektor. - Ale zrobiliśmy tak. Zadzwoń do ministerstwa kar, żeby powiedzieć im o naszym zakładzie. Myślę, że zgodzą się i udzielać dostępu pańskiemu Ksefonowi, a wtedy niech już sam kombinuje.



- Niech pan pamięta, że nie może pan nic powiedzieć Ezergilowi! Zgodnie z naszym...

- O to może pan być spokojny, panie Wikientiju. Ode mnie Ezergil niczego się nie dowie. Żeby tylko nie dowiedział się... od pana.

Wikientij prychnął i wyszedł z gabinetu. Przestraszyłem się, że zaraz wpadnę, ale wybiegł tak szybko, że chyba mnie nie zauważył.

- Lubisz podsłuchiwać? - usłyszałem wesoły głos dyrektora.

Westchnąłem ciężko... Skoro zostałem zdemaskowany, nie ma sensu się chować. Wyszedłem ze spuszczoną głową.

- Nie udawaj zakłopotanego - uśmiechnął się dyrektor. - I tak nie uwierzę. Nie pytam, czy wszystko słyszałeś, bo i tak wiem.

- A skąd pan wiedział, że tu jestem?

- Chciałbyś wiedzieć, co? Ech, dla was, młodych, jeszcze za wcześnie stawać w szranki ze starą gwardią... Bystry z ciebie chłopak, ale... Popatrz, widzisz tego pajęczka? Jak myślisz, dlaczego nie pozwalam sprzątacze go wymieść? Otóż on siedzi sobie w kącie i plecie pajęczynę, a ja widzę wszystko to, co widzi on. Rozumiesz?

- Rozumiem - westchnąłem. Jak mogłem na to nie wpaść! Przecież dyrektor musi mieć na oku swój gabinet! Ale ze mnie zarozumiałały bałwan...

- A teraz pomówmy o ważniejszych sprawach. Skoro już dowiedziałeś się o zakładzie... i to nie ode mnie, lecz - dyrektor uśmiechnął się - od samego Wikientija, to nie

złamię żadnych reguł, jeśli coś ci wyjaśnię. Twój wychowawca jest nieco zarozumiały i ma zbyt wysokie mniemanie o swoich zdolnościach. Myślę, że nie od rzeczy będzie dać mu nauczkę. Widzisz, jak w ciebie wierzę? Nawet postawiłem na twoje zwycięstwo dwa tysiące monet! Ezergiliu... nie rozczaruj mnie.

- Ja miałbym przegrać z tym bałwanem Ksefonem? Nigdy! Tylko, panie dyrektorze... A co JA dostanę za zwycięstwo? Pan otrzyma dwa tysiące monet, a ja? Jedyne zaliczenie odbytej praktyki? Tak się nie da... W momencie, gdy założył się pan z Wikientijem, to już przestała być zwykła szkolna praktyka.

Dyrektor niespodziewanie wybuchnął śmiechem.

- I ten idiota wątpił, czy jesteś prawdziwym diabłem!... Dostaniesz jedną czwartą mojej wygranej plus gwarantowaną piątkę z mojego przedmiotu na następne dziesięciolecie. Może być?

- Super. Zawrzemy umowę?

Moja propozycja wywołała jeszcze większy zachwyty dyrektora.

- No, mój drogi, zaczynam wierzyć, że mnie nie rozczarujesz! Zawrzemy.

Dziesięć minut później wychodziłem ze szkoły w podniosłym nastroju. Pewnie - źle, że Ksefon będzie mi się pętał pod nogami i usiłował przeszkadzać za wszelką cenę. Moje zadanie i tak było trudne, a tu jeszcze dodatkowa przeszkoda. Ale jeśli wszystko pójdzie dobrze... Trzeba przyznać, że plusów było znacznie więcej.

Pograżony w rozmyślaniach, kompletnie

zapomniałem o Ksefonie i jego kumplach. Podszuchując rozmowę w gabinecie dyrektora, zostałem w szkole znacznie dłużej, niż mi się zdawało, a Ksefon z towarzyszeniem wyraźnie przez cały ten czas szukał mnie po całym budynku i teraz... teraz wyglądali na bardzo złych. Cóż, podrapane twarze i podarte ubrania świadczyły o tym, że mieli powody. Chyba przetrząsnęli wszystkie krzaki... Co za idioci. Zresztą, kto tu jest idiotą, okaże się w ciągu najbliższych pięciu minut. Jeśli nie wymyślę czegoś w tym właśnie czasie, będę wyglądał znacznie gorzej niż oni...

- To tutaj jesteście?! - naskoczyłem na nich. - Wreszcie was znalazłem! Czy wyście pogłupieli, w chowanego się ze mną bawicie? Wszędzie was szukam!

Ksefon i jego kumple znieruchomieli, patrząc na mnie w osłupieniu.

- No i co się gapicie? - rozzłościłem się. - Pan Wikientij was szuka! Już miota gromy! Mówi, że jak się nie zjawicie w ciągu dziesięciu minut, możecie zapomnieć o praktyce! Ksefon, to się tyczy głównie ciebie.

- Co ty pleciesz? - mruknął Ksefon.

- Gorzej ci? - spytałem ze współczuciem. - Nie pamiętasz, że pan Wikientij prosił cię, żebyś został po zajęciach? A może straciłeś pamięć? - Demonstracyjnie spojrziałem na zegarek. - Zresztą, jeśli myślisz, że żartuję, to możesz poczekać jeszcze cztery minuty i zobaczyć, co z tego wyjdzie.

- Ej, a czy ty przypadkiem nie wykręcasz diabła ogonem? - spytał jeden z kumpli Ksefona.

No proszę, Ksefon ma jakiegoś bystrego koleżkę! Nie spodziewałem się... No nic, długo się w tym towarzystwie nie utrzyma...

- Ja? - oburzyłem się szczerze. - Wyszedłem z klasy jako pierwszy, a ze szkoły wychodzę ostatni! Nic wam to nie mówi? Jak myślicie, gdzie byłem przez cały ten czas? Załatwiałem różne sprawy związane z moją praktyką. A potem pan Wikientij poprosił mnie, żebym was znalazł. Jasne?

Ksefon zaczął się denerwować.

- Dobra, chłopaki, ja leczę. - I pobiegł do szkoły.

- A wy na co czekacie? - zwróciłem się do trzech kumpli Ksefona. - Zresztą, może to wcale nie was szukał pan Wikientij? Bardzo możliwe, że mówiąc, „i gdzie się podziali ci idioci” wcale nie was miał na myśli.

Chwilę później mogłem oglądać plecy pędzących w stronę szkoły koleżków mojego wroga.

- Ech, nieuleczalny przypadek - skomentowałem. - Ciekawe, swoją drogą, że od razu wiedzieli, że „idioci” to właśnie o nich.

Humor poprawił mi się jeszcze bardziej. Pogwizdując wesoło, opuściłem teren szkoły i poszedłem w stronę postoju taksówek.

\*

Przed domem czekał na mnie wujek.

- Jak tam w szkole? - zapytał.

- Super! - zawołałem szczerze. - Tylko pojawił się pewien problem... - i opowiedziałem o rozmowie

podsluchanej w gabinecie dyrektora. O swojej umowie z dyrektorem rozsądnie nie wspomniałem, przecież wujek jest aniołem, mógłby to źle zrozumieć...

Wujek ściągnął brwi.

- Czy coś takiego się u was praktykuje?

- Co „takiego”? Zakład? Oczywiście. Zakłady to zajęcie czysto diabelskie. Nie na darmo mówi się na ziemi: „Kto się zakłada, oddaje diabłu duszę”.

- Nie o tym mówię - skrzywił się wujek. - Myślisz, że nie słyszałem o zakładach? To akurat pamiętam. Chodziło mi o tę „kontrolę”. Za moich czasów czegoś takiego nie było.

- Za moich też nie, pierwszy raz słyszę. Ale przecież przeszkadzanie komuś w wykonaniu pracy to diablo diabelska sprawa. Normalka.

- Podoba ci się to?

- No... tego bym nie powiedział. Ale rywalizacja z Ksefonem akurat martwi mnie najmniej.

Wujek przyjrzał mi się w zadumie.

- Dobrze, pomyślę nad tym. Ale to wszystko głupstwa w porównaniu z tą zbłąkaną duszą. Czy ty rozumiesz, że ona cierpi? Twoim obowiązkiem jest udzielenie jej pomocy!

- Chyba wujka - sprostowałem - który wujek po prostu przerzucił na mnie.

- Dobrze ci to robi, czasem warto poszerzyć repertuar działań. Nie możesz wiecznie szkodzić, niekiedy trzeba zrobić jakiś dobry uczynek.

- O, jasne... - Skrzywiłem się. - Gdybym komuś wspomniał, jakie mam zadanie praktyczne, to by mnie

wyśmiał. Ale to nic, nawet z takiej sytuacji da się wyciągnąć jakąś korzyść.

- Twoją korzyścią będzie to, że pomożesz nieszczęsnej duszy cierpiącego człowieka! Od razu poczujesz się lepiej.

- Oczywiście, wujku. - Skinąłem głową. Przecież nie będę się z nim kłócił... ani wspominał o tych monetach, które otrzymam w razie pomyślnego zakończenia praktyki. - Nawet sobie wujek nie wyobraża, jaką satysfakcję poczuję, gdy zdołam pomóc tej nieszczęsnej duszy.

Wujek popatrzył na mnie przeciągle, ale w moich niewinnych oczach nie dojrzał nic podejrzanego i dlatego tylko skinął głową.

- Tak właściwie szukałem cię po to, żeby dać moją wizytówkę. Udzielenie pomocy cierpiącej duszy to bardzo delikatna sprawa i na pewno będziesz potrzebował wsparcia ze strony różnych służb raju. Rzecz jasna, zgodnie z umową mają obowiązek udzielić go, gdy przedstawiś im swoje szkolne zadanie, ale myślę, że wzmianka o mnie znacznie przyspieszy całą tę biurokrację.

- Dziękuję! - ucieszyłem się szczerze, chowając wizytówkę.

- Pamiętaj, nie rozczaruj mnie. Szczerze liczę, że się na tobie nie zawiodę.

„Ha, nie inaczej, tylko wujek też się z kimś założył!”  
- pomyślałem złośliwie, ale od razu wyrzuciłem to z głowy. Aniołowie się nie zakładają, bo to zajęcie czysto diabelskie. Swoją drogą, strasznie musi być nudno w

tym rajy - tego nie wolno, tamtego nie wolno... Chociaż, z drugiej strony, u nas też jest sporo zakazów...

No dobrze, teraz mam ważniejsze sprawy na głowie niż przeprowadzanie analizy porównawczej rajy i piekła. Do godziny czwartej było coraz mniej czasu, więc pożegnałem się ciepło z wujkiem i pospieszyłem do domu. Muszę jeszcze coś zjeść, przebrać się... a potem do ministerstwa! Co będzie dalej, zależy już tylko ode mnie.

- Ezergil! - ryk mojego braciszka można było pomylić jedynie z buczeniem parowca, a ponieważ parowca w domu nie mamy, to jednak musiał być mój brat.

Poszedłem do jego pokoju.

- No?

- Pamiętasz, że twoja siostra kończy jutro siedemdziesiąt lat? Masz dla niej prezent? I pamiętasz, że jesienią idzie do pierwszej klasy?

Zerknąłem na niego podejrzliwie: taka troska o siostrę to u niego coś nowego. Wtedy dostrzegłem na jego biurku kartkę od rodziców - no tak, jasna sprawa, oni nakręcili ogon jemu, a teraz on odgrywa się na mnie.

Hm, ale o prezencie faktycznie należałoby pomyśleć... Tylko skąd go wziąć?

Poszedłem do swojego pokoju i rozejrzałem się w zadumie.

- O! - Podniosłem w górę palec, a potem rzuciłem się do rozgrzebywania swoich rzeczy. Na dnie ostatniej szuflady szafy znalazłem pluszowego czarta. Ponieważ

w swoim czasie niezbyt często się nim bawiłem, wyglądał jak nowy. Wystarczy tylko wytrześć z kurzu... Doskonale! Na wszelki wypadek jeszcze go odnowiłem, przesuważając nad nim dłonią... Teraz to już naprawdę idealnie! Siostra jeszcze nie zdążyła dobrać się do tej szuflady, na pewno nie widziała tego diablaka. Hm, ale czegoś tu jeszcze brakuje...

Podrapałem się po karku, przyjrzałem rozrzuconym na podłodze rzeczom... i spostrzegłem zniszczoną lalkę - ucznia. W swoim czasie ojciec gdzieś ją zdobył i podarował mnie. Wprawdzie lalka już się do niczego nie nadaje, ale jej tornister...

Błyskawicznie oderwałem tornister i przykleiłem do pleców diabełka szybko schnącym klejem. Potem wyjąłem z szuflady miniaturowy notes i wsunąłem do teczki tak, żeby wystawał tylko róg i też przykleiłem. Jeszcze tylko ostatnie pociągnięcie pędzlem... Oderwałem czapkę zabawkowemu listonoszowi i umieściłem ją na głowie swojego prezentu.

- Proszę bardzo, diabełek idzie do szkoły! - podsumowałem, oglądając swoje dzieło ze wszystkich stron.

Zaczekałem, aż klej wyschnie, a potem zaniósłem diablaka do dużego pokoju i położyłem na stercie prezentów razem z odpowiednim liścikiem. Mama wydała okrzyk zachwyty.

- Jaki piękny! Ezergil, gdzie go kupiłeś? Są jeszcze? Podarowałabym takiego przyjaciółkom...

Zareagowałem błyskawicznie.

- Oj, mamo, wziąłem ostatniego, nie mają już! Prawie



wyrwałem go z rąk innemu klientowi, aż musiałem dopłacić! Ale dla kochanej siostrzyczki wszystko...

Mama popatrzyła na mnie z rozczeniem.

- Jaki z ciebie miły chłopiec, Ezergil. Tak kochasz siostrę... Cieszę się, że tak zgodnie żyjecie.

Tak, tak, kocham moją siostrę... W ogóle bardzo lubię siostry - zwłaszcza marynowane. Albo w sosie czosnkowym. Chociaż nie, siostrzyczka w sosie czosnkowym to by już była przesada, ona i tak ma zbyt cięty język... Ale spokojnie, nie dajmy się ponieść marzeniom...

- Mamo - zmieniłem szybko temat - dzisiaj o czwartej mam się stawić w ministerstwie kar, żeby rozpocząć praktykę.

- Tak, tak. - Mama skinęła z roztargnieniem głową, układając prezenty dla mojej siostry. - Twój wujek już do mnie dzwonił. Garnitur jest w pokoju... Tylko uczesz się przed wyjściem, Ezergil, bo nie da się patrzeć na twoją głowę.

Nie dyskutowałem, włączyłem telewizor. Ojciec jeszcze w pracy, więc nikt mi nie przeszkodzi posiedzieć spokojnie przed ekranem...

- Ezergil!

No tak - nikt, oprócz brata.

- Tak?

- Nie powinieneś już wychodzić? Nie wypada spóźnić się pierwszego dnia praktyki!

Czy ja go proszę, żeby mnie pilnował? Jakbym sam nie wiedział! Ale cóż, skoro się raz przyczepił, nie popuści. Musiałem wstać i zacząć się zbierać. Pewnie,

że było jeszcze wcześniej, ale lepiej już łązić po ulicach, niż słuchać ryku i pouczeń brata, który w moim wieku... Zawsze mam ochotę go zapytać, jak to jest: taki niby mądry, a jeszcze nie stoi na czele żadnego ministerstwa...

Zebrałem wszystkie rzeczy, które mogłyby mi się przydać i wyszedłem z domu. Dzisiaj był pierwszy dzień moich praktyk.

## Rozdział 3

Nie przypuszczałem, że korytarze ministerstwa tworzą taką płataninę... Można tu błądzić całymi latami!

- Taś, taś, taś. - W wyciągniętej ręce trzymałem opłatek, próbując zwabić zabląkaną duszę. Próbowałem tak ponad godzinę. Zacząłem od banalnego „kici, kici”, a teraz doszedłem do „taś, taś”. I nic.

Pomachałem opłatkiem - według diabelskich wierzeń ludowych wszystkie dusze wręcz przepadają za opłatkiem. Specjalnie przyniosłem go ze skarbca ministerstwa i próbowałem nim znęcić duszę, której miałem pomóc.

- No gdzie ty jesteś? Nie możesz się odezwać?! - zawołałem w rozpacz.

Zastanawiając się nad tym problemem w drodze do ministerstwa, postanowiłem rozwiązać go w najprostszy sposób: odszukać duszę i porozmawiać z nią. Jest tak i tak, powiem, taka, widzisz duszyczko, wynikła sytuacja. Wyjaw, czego ci trzeba, co też cię trzyma na ziemi, a ja szybciotko rozwiążę wszelkie twoje problemy i wszyscy będą zadowoleni. Ty otrzymasz ukojenie, a ja piątkę z praktyki. Ksefon dostanie figę z makiem, a ja pięćset monet. Plan, który wtedy wydawał się wręcz genialny w swej prostocie, teraz już taki nie był.

Usiadłem na podłodze w kącie i zapatrzyłem się ponuro w dal pustego korytarza. Nigdy bym nie pomyślał, że korytarze w tym budynku doprowadzą

mnie do takiego stanu. Przesiedziałem tak kwadrans. Oczywiście rozumiałem, że równie dobrze mogę tak siedzieć całe lato i nie zbliżyć się do rozwiązania problemu nawet o krok. Wstałem. Podniosłem opłatek nad głową, starając się zwrócić na niego uwagę duszy.

- Cip, cip, no popatrz, co ja tu mam! Mniam, mniam!  
- Sam sobie wydawałem się śmieszny, ale co innego mogłem zrobić?

Dopiero trzy godziny później moje starania zostały wreszcie uwieńczone sukcesem. Człapałem po korytarzu, zmęczony, ledwie powłócząc nogami. Już nawet nie miałem sił wołać zbłąkanej duszy. Beznadziejnie rozejrzałem się na boki i wtedy za jednym z zakrętów dojrzałem znajome lśnienie. Nie wierząc we własne szczęście, pobiegłem tam, wrzeszcząc na całe gardło:

- Ej, ty, jak ci tam! Duszo, zaczekaj! Słyszysz?!  
Zaczekaj, mówię!

Z rozpędu krzyczałem w swoim języku i dopiero po chwili pojąłem, że dusza po prostu mnie nie rozumie. Gdyby należała do nas, wyglądałoby to prościej, ale do naszego świata *jeszcze* nie należała, a *już* nie należała do ziemi. Innymi słowy, była zawieszona między światami, a do komunikacji z takimi istotami niezbędny jest specjalny język - międzyświatowy, który rozumieją wszystkie dusze wszechświata. W tej chwili może po raz pierwszy w życiu naprawdę ucieszyłem się, że nie opuszczałem lekcji. Szybko ułożyłem w myślach zdanie i, tracąc dech od szybkiego biegu, zawołałem:

- Wielce szanowna duszo, czy nie zechciałabyś

zatrzymać się na chwilę i porozmawiać ze mną o pewnej niezwykle ważnej sprawie? - Pomyślałem, że im bardziej będę uprzejmy, tym lepiej to wypadnie. Wujek zawsze powtarzał, że uprzejmość otwiera bramy każdego serca.

- Ciężko mi... - usłyszałem.

Pewnie, że ciężko. Każdemu byłoby ciężko, gdyby utknął między światami...

- I o tym właśnie chciałbym z tobą porozmawiać. Nie chciałabyś sobie ulżyć? To znaczy, chciałem zapytać, czy nie mógłbym ci pomóc w uzyskaniu spokoju?

- Ty? - dobiegło mnie na wpół pytanie, na wpół westchnienie.

Wreszcie dogoniłem duszę i stanąłem obok niej, ciężko dysząc. Wisiała metr nad podłogą i przyglądała mi się badawczo. Nie wiem czemu, ale jej spojrzenie denerwowało mnie. Wyjąłem opłatek i pokazałem jej w nadziei, że zwróci na to uwagę, ale ona nie zareagowała.

- Tak, ja - powiedziałem, wzdychając. - Widzisz, twoja obecność zakłóca równowagę...

- Gdzie ja jestem?

- Jeśli masz na myśli to konkretne miejsce, to w piekle. - Zamachałem opłatkiem niemal przed nosem zjawy.

- W piekle? Więc jestem grzesznicą?

Przyjrzałem się zjawie. O matko, przecież to kobieta! I to wcale niestara! Mogła mieć najwyżej trzysta pięćdziesiąt lat. Tfu, przecież to człowiek, chciałem powiedzieć: trzydzieści pięć. Ciekawe... Chyba zazwyczaj ludzie żyją dłużej? Zresztą, po to tu jestem,

żeby to wyjaśnić.

- Ee... - powiedziałem wieloznacznie. - Tego bym nie powiedział. Wygląda to tak, że jeszcze sama się pani nie określiła, dokąd chce pani iść. Dlatego zasadniczo nie jest pani w piekle, chociaż w tej chwili właśnie w nim pani przebywa.

- Tak? - w tym westchnieniu zabrzmiało zaniepokojenie. - Czyli sama mam sobie powiedzieć, dokąd mam iść, do piekła czy do raju?

- No... tak. Co w tym dziwnego? Przecież to właśnie człowiek sam najlepiej zna własne grzechy! Czym, według pani, jest sumienie? To część Jego, no, rozumie pani, o kim mówię, nie mogę wymówić Jego imienia... Po śmierci sumienie ogłasza wyrok. Nasze zadanie polega jedynie na określeniu wymiaru kary.

- Wasze zadanie?

- Tak, nasze, czyli diabłów. Pani pozwoli, madame, że się przedstawię - Ezergil. Tak naprawdę to jeszcze nie jestem diabłem, dopiero się uczę. A teraz odbywam letnią praktykę i moim zadaniem jest pomóc pani w określeniu pożądanego miejsca pobytu. Widzi pani, to łąże... ta wędrówka po piekle, raju i ziemi zakłóca harmonię światów. Dlatego spróbuję pani pomóc w podjęciu decyzji. Obejrzymy raj i piekło, a potem zaprowadzę panią tam, gdzie się pani najbardziej spodoba. - Znowu wyjąłem opłatek i znów pomachałem przed nosem zjawy. Efekt bliski zeru: zjawa raczyła zauważyć opłatek, ale patrzyła na niego kompletnie obojętnie.

- Nie mogę odejść - znów ciężkie westchnienie. -

Mówiłeś, że się uczysz?

- Tak.

- Mój syn też chodzi do szkoły.

O proszę, robi się coraz ciekawiej. Chyba zaraz zrozumie, co trzyma ją na ziemi.

- Kocha pani swojego syna?

- Zabawny jesteś. - Zjawa uśmiechnęła się niespodziewanie. Tak ładnie się uśmiechnęła, że aż się ciepłej zrobiło w ponurych korytarzach. - Która matka nie kocha swojego dziecka?

Hm, w ramach eksperymentu mógłbym ją oprowadzić po pewnych kotłach, w których, jak mówią u nas w piekle, zażywały łaźni te, że tak powiem, matki. Może gdybym nie miał wujka anioła, to tak bym zrobił, jednak kontakt z aniołem ma pewien wpływ nawet na diabła.

- Boję się o niego. Beze mnie zginie.

- A... tego... chyba ma ojca? A może on też jest u nas?

- Dobrze by było! - zareagowała żywo zjawa. - Myślę, że przygotowaliście już dla niego miejsce!

Może i tak, skąd mogę wiedzieć? Muszę uważać, co mówię, ale z drugiej strony, przecież muszę coś odpowiadać! Spróbujmy zmienić temat...

- Widzi pani, problem polega na tym, że duch nie może długo istnieć w przestrzeni między światami. Wkrótce się pani „rozwieje” i dusza zostanie stracona dla wszechświata! Zrobmy tak... Pani określi, dokąd chce pójść, a ja się postaram, żeby w kolejce do reinkarnacji umieścili panią tak szybko, jak to tylko

możliwe.

- Muszę zadbać o syna.

O rany kota...

- Myśli pani, że mu bez pani źle?

- Chłopcze, a tobie byłoby dobrze bez mamy?

Hmm... Nie patrzyłem na problem z tej strony... Faktycznie, nie byłoby mi lekko. Więcej, zupełnie by mi się to nie podobało. Może to dziwne, ale poczułem litość dla tej duszy. Litość to dla diabła dość niecodzienne uczucie. Gdybyśmy chcieli współczuć wszystkim duszom... Z drugiej strony, nikt jeszcze nie dowiódł, że ta kobieta jest grzesznikiem, a skoro tak, to litość jest jak najbardziej na miejscu... Zapętlilem się w tych sprzecznościach i popatrzyłem stropiony na zjawę. No i co ja mam teraz zrobić? Moje praktyczne zadanie wcale nie było takie proste, jak mi się początkowo wydawało...

- Czego pani chce?

- Chcę wychować syna. Dopilnować go. Jasne...

- Nie mogę pilnować pani syna, tym zajmują się aniołowie stróże, pewnie już mu któregoś przydzielili...

- Pewnie czy na pewno?

Podrapałem się po głowie.

- Zrobimy tak. Jutro rano dowiem się wszystkiego, czego tylko można w różnych urzędach o dalszym losie pani rodziny, a potem przyjdę i wszystko opowiem. Dobrze?

- Dotrzymasz słowa?

Aż zasapałem urażony.

- Madame, niech mi pani wierzy, jestem równie



zainteresowany szczęśliwym zakończeniem tej sprawy, co pani.

- Zapamiętam twoją obietnicę - zaszemrała pustka.

Pustka? Rozejrzałem się - zjawy nigdzie nie było. Splunąłem zirytowany. Rozumiem, przywiązanie, obowiązek... Ale o jakim przywiązaniu mowa, jeśli grozi ci zniknięcie z tego świata - i to na zawsze? Ludzie są jednakowo stuknięci i za życia, i po śmierci.

- Proszę mi chociaż powiedzieć, jak się pani nazywa!  
- krzyknąłem.

- Zoja - dobiegło z oddali.

Wracałem z tej wyprawy w koszmarnym nastroju. Jeszcze mi tylko brakowało, żebym zabłądził w korytarzach... Zauważyłem, że nadal trzymam w rękach opłatek - i ze złości cisnąłem nim o ścianę.

- Taak, pewny środek, ludowy zwyczaj... - przedrzeźniałem słowa brata. - Znalazł się znawca ludowych obyczajów... O, niedoczekanie, żebym go jeszcze kiedyś poprosił o radę... Był i jest nieukiem, dobrze wujek mówił... Ksefon?! A co ty tu robisz?

Z tego wszystkiego zapomniałem o zakładzie Wikeszy z dyrektorem. Zresztą, to nawet lepiej, w przeciwnym razie nie zdołałbym tak dobrze udać zdumienia.

Ksefon uśmiechnął się złośliwie.

- A co, myślisz, że tylko ty miałeś farta i wskoczyłeś na praktyki do ministerstwa kar? Wyobraź sobie, że mnie też wzięli!

- Na stanowisko tragarza drewna? - zapytałem.

- O, w życiu się nie domyślisz, jakie mam zadanie!

Nawet nie pytaj!

- Już się rozpędziłem - skrzywiłem się. - Zapewne wymyśliłeś coś kretyńskiego i pozbawionego stylu, jak zwykle. Do wykonania prawdziwego zadania potrzebny jest mózg.

- O, jeszcze zobaczymy, kto ma mózg, a kto nie - odparł groźnie.

Kto go nie ma, to akurat jasne. Jeśli planujesz zrobić komuś podłość, raczej nie będziesz o tym mówił zainteresowanemu... A takiego typu jak Ksefon stać wyłącznie na podłość. Na zawsze pozostanie drobnym biesem, zdolnym jedynie do robienia drobnych przykrości dobrym ludziom. Ktoś taki jak on nie potrafi nawet docenić piękna Gry...

- No cóż, nie będę ci życzył powodzenia, ale pracuj, pracuj, praca uszlachetnia.

Ksefon wysyczał coś w odpowiedzi i poszedł dalej korytarzem, udając, że moja osoba wcale go nie obchodzi. Ze złośliwym uśmiechem na ustach poszedłem swoją drogą. Za zakrętem szybko wyjąłem z plecaka minę-śmierdziuszkę i przymocowałem ją do ściany. Nie jest niebezpieczna, ale gdyby ktoś chciał mnie śledzić... Szybko poszedłem korytarzem, skręciłem za róg i znieruchomiałem, nasłuchując. Po chwili usłyszałem trzask, potem jakieś dziwne dźwięki, jakby komuś zrobiło się niedobrze, a chwilę później obok mnie przebiegł Ksefon, rękami zakrywając usta. Odprowadziłem go krzywym uśmiechem.

- To jedyne ostrzeżenie, jakie ode mnie dostałeś - powiedziałem w przestrzeń. - Radzę ci, nie wchodź mi

więcej w drogę.

Pewnie mnie nie usłyszał, a już aluzji ten typ kompletnie nie rozumie. No cóż, tym gorzej dla niego. Zdaje się, że na dzisiaj mam go z głowy. Trzeba to wykorzystać. Pewnie jutro będzie płonął żądzą zemsty... Ech, a już miałem iść do domu! Zawsze to samo, przylezie taki typ i wszystko zepsuje...

Zawróciłem i poszedłem do gabinetu administratora. Ten właśnie gdzieś się wybierał.

- Panie administratorze! - zawołałem i podbiegłem do niego.

- A, to ty, Ezergil. Bratanek tego miłego aniołeczka Monterreya. - W oczach administratora rozblęskło coś takiego, że od razu pojąłem: on mi nie pomoże. Przeszkadzać raczej nie będzie, ale na pewno odmówi pomocy.

- Spotkałem tutaj kolegę z klasy...

- A tak, wiem, Ksefona. Miły chłopiec. Pomyślałem, że skoro już wzięliśmy na praktykę jednego ucznia, to możemy wziąć też drugiego. Pomocnicy bardzo nam się przydadzą, wychowujemy nową zmianę, że tak powiem... - administrator zachichotał, a ja zrozumiałem, że on świetnie wie, na czym polega zadanie Ksefona. Zresztą, nie mogło być inaczej. Ciekawe, jaką dołę z potencjalnej wygranej Wikeszy wytargował administrator za przyjęcie Ksefona na tę praktykę? Pewnie też jedną czwartą. Zresztą, to nawet dobrze, że on wie... Gdyby przeszkadzał mi z własnej inicjatywy, mógłby mi bardzo utrudnić życie, a tak to niewiele może zrobić, ma ręce związane umową Wikientija i

dyrektora. Jeśli coś zrobi, Wikientij przegra, a on razem z nim.

- Tak, bardzo miły - skinąłem głową. - Właśnie sobie bardzo miło porozmawialiśmy.

Administrator przyjrzał mi się uważnie, jakby szukał na mojej twarzy śladów tej „miłej” rozmowy. Niech sobie szuka...

- Panie administratorze - powiedziałem - właściwie przyszedłem do pana dlatego, że potrzebuję przepustki do archiwum. Muszę dowiedzieć się wszystkiego o tej kobiecie...

- Kobiecie?

- O duszy tej kobiety, która przebywa teraz między światami. Rozumie pan, żeby dojsć do tego, co trzyma ją na ziemi, muszę dowiedzieć się o niej jak najwięcej.

- Myślałem, że szukasz tej duszy właśnie po to, żeby ją o to spytać?

- Zapytałem, ale na wiele moich pytań nie znalazłem odpowiedzi, na przykład: dlaczego umarła? Wydaje mi się, że jest jeszcze bardzo młoda. Mogłaby pożyć nawet pięćdziesiąt lat!

- No, tu ci nie pomogę. Chyba, że sprawdzisz wszystkich zmarłych. Poza tym, sam rozumiesz, ta zjawka nie przechodziła przez naszą kancelarię. Ale w archiwum, proszę cię bardzo, działaj. Trzeba popierać entuzjazm młodzieży... Jutro wypiszę ci przepustkę.

Jednym słowem, przeszkadzać ci nie mogę, ale pomagać nie będę. No dobra, to ja zagram tak samo. Wygram ten zakład! Teraz to już kwestia pryncypiów...

- Wspaniale, panie administratorze! A czy mógłbym

dostać tę przepustkę dzisiaj?

- Dzisiaj? Chłopcze, już prawie ósma. Starczy tej pracy, jeszcze mnie oskarżą, że zmuszam niepełnoletnich...

W milczeniu wyjąłem przygotowaną wcześniej kartkę.

- Oto zaświadczenie, że wszystko robię dobrowolnie.

Administrator studiował świstek dłuższą chwilę.

- Tak, od razu widać, że jesteś krewnym Monterreya... Poznaje zručność... Ale widzisz, mały, zostawiłem wszystko w gabinecie...

Jeśli urzędnik nie chce czegoś zrobić, to bardzo ciężko skłonić go, żeby to uczynił. No, chyba że daje się łapówkę, omawialiśmy ten problem w szkole... Pamiętam, specjalnie na lekcję ściągnięto „z łaźni” duszę pewnego urzędnika. To była psychologia, temat „Urzednicy i naród”. Opowiedział nam wtedy wiele ciekawych rzeczy... Dobrze, ale nie mam zamiaru dawać łapówki, czyli muszę zadziałać inaczej...

- O - zmartwiłem się. - To wielka szkoda, panie administratorze. W takim razie do jutra.

- Właśnie - uśmiechnął się administrator. - Nie ma pośpiechu.

- Też tak myślę. - Skinąłem głową. - To lecę, chciałbym jeszcze zdążyć na ostatni ekspres do raję.

- Do widzenia, ma... Co? Do raję?!

- Tak, wujek zaprosił mnie do siebie, ale uprzedziłem go, że przyjadę, jeśli zdążę. Skoro skończyłem wcześniej niż planowałem, to zdążę na ekspres. Mam mu tyle do opowiedzenia! Chcę też wspomnieć o

swoich dalszych planach...

- Ee... i opowiesz mu też o... Taak... Wiesz co, mały, zdaje się, że zostawiłem w gabinecie okulary... Tak, tak, na pewno. Co za pech! Posłuchaj, skoro i tak wracam, mogę ci od razu wystawić przepustkę do archiwum, nie będziesz musiał czekać do jutra.

- No, nie wiem... - zacząłem się wahać. - Jakoś mi tak przeszedł zapał do pracy. Już się nastawiałem na tę podróż do wujka... Tyle wrażeń w ciągu jednego dnia...

- No, skoro tak mówisz... O, posłuchaj, mam w gabinecie czekoladę! Lubisz czekoladę? Zaraz zrobimy sobie herbatkę i opowiesz mi o swoich wrażeniach. Widzisz, jako administrator jestem ciekaw twojej opinii o naszym ministerstwie. Jesteś, jakby nie było, człowiekiem postronnym... A potem wszystko przekażę samemu ministrowi. Rozumiesz?

- No, nie wiem, panie administratorze... Nie chciałbym zabierać panu czasu...

- Ależ co ty mówisz, będzie mi bardzo miło!

- Czy ja wiem... Jeśli jest pan pewien, że naprawdę ma pan czas... Jeszcze przed chwilą gdzieś się pan spieszył...

- Nic się nie martw, to może poczekać!

- Czy w takim razie pomógłby mi pan szukać? Sam pan rozumie, ja mogę długo krążyć po archiwum. A taki utalentowany administrator, jak zawsze powtarza mój wujek, taki wręcz genialny administrator mógłby mi bardzo pomóc... Wujek zawsze mówi, że jest pan jedynym administratorem, z którym mu się dobrze pracuje.

- Co?! Pomóc ci?! Hmm... tego... taak... Wujek naprawdę tak mówi?

Skinąłem głową. Co tam mówili na lekcji o zarządzaniu? Odrobinę zastraszyć, odrobinę pochwalić...

- Naprawdę! Ale rozumiem, że skoro nie ma pan czasu...

- Chodźmy, pomogę ci, cóż począć... Was, młodych, wszystkiego trzeba uczyć...

Aha, teraz powinienem udawać, że bardzo interesują mnie pouczenia starszych. Oni lubią prawić morały, lubią też, gdy słucha się ich z szacunkiem i uwagą.

- O, a może opowiedziałby mi pan coś ze swojej praktyki? Praca administratora musi być chyba potwornie ciekawa?

- Potwornie... No cóż... - Administrator lekko objął mnie ramieniem i zaprowadził do swojego gabinetu. - Otóż pamiętam pewien wypadek... Trafił do nas jeden grzesznik i to taki bezczelny...

\*

W archiwum było sporo kurzu, choć najwyraźniej stale tu sprzątano. Administrator obojętnie przeszedł obok kilku niekończących się regałów ze zwojami, księgami, kartami. Nieco dalej stały rzędy komputerów.

- Jak widzisz - administrator z dumą wskazał komputery - my też idziemy z duchem czasu.

Jeśli coś tu widziałem, to tylko rzędy półek, sięgające, jak mi się wydawało, aż po horyzont. Nic dziwnego, przecież są tu informacje o wszystkich

ludziach, którzy kiedykolwiek żyli na ziemi. I jak ja mam tu coś znaleźć?!

Administrator chyba wyczuł mój niepokój, bo się roześmiał.

- A co, myślałeś, że przyjdiesz do archiwum i od razu wszystko znajdziesz? Ha! No dobrze, pokażę ci, co i jak. Tutaj możesz w ogóle nie wchodzić, to czasy przed Chrystusem, dostaliśmy je w spadku od poprzednich kustoszy; twojej duszy nie ma tam na pewno. Tutaj półki ponumerowane są stuleciami. To pierwsze stulecie naszej ery, to drugie, a my potrzebujemy drugiej dziesiątki. Raz, dwa, trzy, cztery...

- Administrator szedł wzdłuż rzędów, dotykał każdego ręką, nie przerywając liczenia. - Dwadzieścia! - zakończył. - Oto i nasz rząd. Sam rozumiesz, że to masa pracy, dlatego istnieją konkretne systemy wyszukiwania. Bierzemy datę śmierci... Dokładnej nie znasz?

Pokręciłem głową - nie wpadłem na to, żeby spytać.

- Stop! - Administrator zatrzymał się nagle i podrapał po głowie. - Zupełnie zapomniałem, że ta zjawka nie została u nas zarejestrowana! To znaczy, że wszelkie informacje o niej znajdują się ciągle w dziale żyjących, o, tam!

Administrator zaprowadził mnie do oddzielnego sektora. No, ciekawe, ile czasu bym tu spędził, gdybym tu przyszedł sam...

- Tak, tak, tak... A więc, podejdź tutaj, obejmij rękami tę ciemną kulę, zamknij oczy i spróbuj wyobrazić sobie zjawę.



Spełniłem prośbę. Zjawa stanęła mi przed oczami jak żywa - aż się zdziwiłem! Niespodziewanie utraciła lśnienie i ujrzałem ludzką kobietę - nie zjawę, ale właśnie kobietę! Ubrana w jakąś długą suknię, uśmiechała się łagodnie i prosiła, żebym szedł za nią. Podeszła do oświetlonego miejsca przy regałach, dotknęła jakiegoś futerału i zniknęła. Otworzyłem oczy, zamrugalem i oszołomiony potrząsałem głową.

- Aha, widzę, że poszukiwanie zakończyło się sukcesem! No, to gdzie są te dane, których potrzebujesz?

Ciągle oszołomiony, znów potrząsałem głową. Obejrzałem salę. Dopiero teraz spostrzegłem, że takie same ciemne kule znajdują się przy każdym regale. Jeszcze inne umieszczono tuż obok rzędów, a jedna, największa mieściła się przy wejściu do archiwum. Administrator zauważył moje zainteresowanie.

- Tak, tak. - Skinął głową. - Kule wyszukiwania są przy każdym regale. Jeśli nie znasz dokładnych danych, możesz szukać według stuleci w tych kulach. A jeśli nie znasz stulecia, trzeba szukać w całym archiwum. Sam rozumiesz, że im większy obszar, tym dłużej się szuka... No, to gdzie są te informacje?

Zerknąłem podejrzliwie na administratora. Co mu tak pilno? Najpierw w ogóle nie chciał mi dać przepustki do archiwum, musiałem go straszyć wujkiem i się podlizywać, a teraz nagle mu się spieszy... Czy to czasem nie dlatego, że sam chce się dorwać do tych informacji? No tak, jeśli zjawa nie została zarejestrowana, to tak naprawdę nic o niej nie wiadomo.

A nie można przyjrzeć się zjawie, która sama z tobą nie zagada. Wychodzi na to, że jestem jedyną osobą, która może opisać zjawę i odnaleźć ją w archiwum! No tak, zaś administrator wyraźnie stoi po drugiej stronie barykady... W pierwszej chwili zdołałem go omamić, ale teraz już doszedł do siebie i zrozumiał, że pomagając mi, przegrywa pieniądze! Pewnie mnie teraz przeklina... No tak, nikt mu nie przeszkodzi odrobinę pomóc drugiej stronie, oczywiście w granicach możliwości. Dobra, zobaczymy. Pokręciłem głową.

- Niestety, nie wiem! Tak mnie zaskoczył ten wasz system wyszukiwania, że za wcześnie otworzyłem oczy. Kobieta poszła gdzieś tam. - Machnąłem ręką w nieokreślonym kierunku.

Administrator skrzywił się, nawet nie próbując ukryć rozczarowania. Ha, czyli trafiłem w sedno!

- No cóż, spróbuję jeszcze raz... Obszedłem kulę dookoła.

- A czy to widmo nie może być w dziale nieokreślonych? No, człowiek umarł, ale jeszcze nie wie, gdzie jest?

- A jak chciałbyś takiego wyszukać? O, jak się dusza rozwieje, to wtedy od razu wszystko stanie się jasne - akta takich ludzi od razu czernieją, wtedy możesz po prostu wziąć i patrzeć. A póki dusza istnieje, to jak chciałbyś znaleźć jej teczkę, skoro nie jest zarejestrowana?

Administrator odwrócił się i zaczął iść wzdłuż regału. Oto idealny moment! Już miałem wyciągnąć z półki właściwą teczkę, gdy nagle przypomniałem sobie

gabinet dyrektora. Hmm... A może tu też?... Uważnie, acz dyskretnie rozejrzałem się i... no, co to za mucha tu pełza? Skąd tutaj mucha? Zerknąłem na administratora, który w skupieniu szukał czegoś na innym regale, nawet nie patrząc w moją stronę. No cóż, zagram w tę samą grę... Nie na darmo zawsze miałem celujący w rzucaniu iluzji. Stworzyłem fantom samego siebie i skierowałem go wzdłuż półek, jednocześnie rzuciłem iluzję na siebie i stałem się niewidzialny. Żeby tylko administrator się nie odwrócił... Bezmózgą muchę mogłem oszukać, ale ministerialny urzędnik zorientuje się błyskawicznie. Oszukana mucha popęzła za fantomem, a ja już byłem przy tej niszy, do której zaprowadziła mnie kobieta. Oto i teczka! „Zoja Pawłowna Nienaszewa” - przeczytałem. Świetnie! Sprytnie zmniejszyłem teczkę do wielkości notesu i wsunąłem za pazuchę. Wiedziałem, że w podobny sposób kodowano te czki we wszystkich niemal archiwach - w przeciwnym razie musieliby wozić akta ciężarówkami... Teraz mogłem zająć się fantomem, który właśnie zamarł obok innej półki i rozejrzał się. Ech, fantomy są jednak strasznie prymitywne, potrafią wykonywać jedynie najprostsze polecenia. Zmrużyłem oczy, usiłując zobaczyć to, co widzi fantom. Na zajęciach średnio mi to wychodziło, akurat mam okazję potrenować...

Skoncentrowałem się i w końcu zobaczyłem rząd teczek. Znalazłem taką, na której widniało imię kobiety, mniej więcej w wieku „mojej” zjawy, a następnie zmusiłem fantom, żeby wyjął teczkę i rozejrzał się. Sam tymczasem podszedłem do niego, usiłując nie zwrócić

na siebie uwagi muchy. W końcu połączyłem się z fantomem i rozwiąłem iluzję. Uff, w samą porę - administrator właśnie zaczął się odwracać. Błyskawicznie wsunąłem teczkę na miejsce i odskoczyłem od regału. Administrator odwrócił się; na jego ustach błdził półuśmiech, w spojrzeniu błysnął triumf - trwało to ułamek sekundy i gdybym nie przyglądał mu się tak uważnie, pewnie nic bym nie zauważył. Administrator był mistrzem, tylko niepotrzebnie traktował mnie z takim pobłażaniem - że niby smarkacz musi się jeszcze wiele nauczyć... No cóż, trzeba przyjąć morały z całą pokorą...

- To co? Próbujesz jeszcze raz? Bo muszę już iść. Rozejrzałem się z powątpiewaniem.

- Panie administratorze, to niech pan idzie, ja już wiem, jak szukać, wszystko zrobię sam.

- Niestety, mój mały, nie mogę. Zasady nie pozwalają zostawiać osób postronnych samych w archiwum, a jak widzisz, archiwista wyszedł. No cóż, wobec tego do jutra. - Administrator zerknął na przegub ręki.

Z obwódki umocowanej rzemykiem na nadgarstku administratora wysunęła się głowa nietoperza i warknęła:

- Dwudziesta pierwsza trzydzieści pięć. Nic nie dasz pospać, gapisz się co pięć minut. Co ja jestem, kukułka?

Administrator poczerwieniał.

- Cicho mi bądź! Bo cię zutylizuję, wymienię na ludzki mechaniczny zegarek, teraz jest właśnie moda na różne ludzkie rzeczy. Będzie mnie tu pouczał!

Uśmiechnąłem się w myślach. Patrzył co pięć minut,

to znaczy, że sprawdzał, czy zdążę na ostatni ekspres do raju.

- Dobrze - westchnąłem ze smutkiem. - Skoro dzisiaj się nie udało, odłożmy to do jutra. Przyjdę wcześniej rano.

- I po co? Nie spiesz się, mały, archiwista i tak nie zjawia się przed dziesiątą.

- To przyjdę o dziesiątej.

- No i bardzo dobrze. Chodźmy, zamknę drzwi. Przyjdiesz jutro, wtedy obejrzysz wszystko, co będziesz chciał.

Skinąłem głową i pomacałem ukradkiem kieszeń, w której spoczywały akta Zoi Nienaszewej. Byłem zadowolony - wszystko dzisiaj kończyło się jak najlepiej.

Pożegnałem się serdecznie z administratorem i wyszedłem z ministerstwa.

- No dobrze, czas do domu - wymruczałem. - Mimo wszystko, to był udany dzień...

W domu błyskawicznie uwolniłem się od wszystkich spraw, mówiąc, że jestem zajęty (przecież tak właśnie było!) i zamknąłem się w pokoju. Na wszelki wypadek zamknąłem drzwi nie tylko na zamek (brat na pewno miał klucz), ale dodatkowo podparłem klamkę krzesłem. Teraz mogłem się już zająć zbłąkaną duszą. Zdjąłem kapcie, położyłem się na łóżku, podkładając poduszkę pod łokieć. Wyjąłem akta, powiększyłem je i wziąłem pierwszy tom. Taak, co my tu mamy... Poprzednie reinkarnacje, w tej chwili mnie to nie interesowało... Może później przejrzę, teraz mam

ważniejsze sprawy.

Odłożyłem pierwszy tom, wziąłem drugi. O, to jest to! Data urodzin...

- Ale szkrab! - wymruczałem. Zdjęcie przedstawiało malucha patrzącego na coś przed sobą.

„Zoja, i rok” - widniał podpis pod zdjęciem.

Dalej, dalej... Zoja idzie do szkoły, Zoja zostaje pionierem... Interesujące, ale ciągle nie to, czego potrzebuję. Aha, jest! „Ślub”, czyli będzie mąż. Z tego, co mówiła zjawka, mąż nadal żyje.

A oto i syn.

„Alosza” - przeczytałem pod zdjęciem.

- O, i od tego momentu ze szczegółami - poleciłem teczkę.

- Za mały jesteś, żeby mi rozkazywać - odparła teczka surowo. - Czekaj, czekaj, powiem archiwście, żeś mnie wyniósł z archiwum bez pozwolenia!

- Zdaje się, że mamy w pokoju kominek - wymruczałem w zadumie. - I chyba nie ma tam już nic na rozpałkę...

- Dobra, dobra - mruknęła przestraszona teczka. - Przecież żartowałam. To już nawet pożartować nie wolno?

- Ze szczegółami! - zadysponowałem.

- No proszę, jeszcze ogona nie ma, a już będzie pokrzykiwał! Nie można po ludzku poprosić? A może ja też mam duszę!...

Bez słowa wstałem z łóżka i skierowałem się z teczką do wyjścia.

- Nie można powiedzieć, żeby małżeństwo naszej

bohaterki Zoi Pawłowny było szczęśliwe - zatrajkotała szybko teczka. Znow zdjęłem kapcie i wszedłem na łóżko, rozkładając teczkę tak, żeby lepiej było widać obrazki, które właśnie pokazywała. - Początkowo wszystko układało się dobrze (zdjęcia szczęśliwej pary), ale stopniowo jej mąż zaczął pić. Pił coraz więcej i częściej (zdjęcie mężczyzny stojącego w drzwiach mieszkania, opartego o futrynę). Zaczęły się awantury. Niedługo potem w rodzinie Nienaszewów urodził się chłopczyk, któremu dano imię Aloszka (zdjęcie malucha).

- Nietrudno się domyślić, co było dalej - przerwałem teczce. - Mąż pił coraz więcej i awanturował się coraz bardziej. Jednym słowem, nasz klient.

- Tak jest. Słyszałam od innych teczek, że już mu u nas przygotowano miejsce. Jak tylko wyciągnie kopyta, zaraz go przyjmą.

- To mnie nie interesuje. Powiedz lepiej, czyim klientem jest ta Zoja, naszym czy ich? - Wskazałem palcem sufit.

- Skoro tyle czasu znosiła tego pijaka, to ich. Święta kobieta.

- Jak jest taka święta, to czemu nie jest u nich, tylko miota się między światami?

- Z powodu syna. - Teczka zaszleściła kartkami, przerzucając około stu stron. - Patrz.

Zobaczyłem obrazek wielkości rozłożonej teczki. Obrazek ożył - wrażenie było takie, jakbym oglądał telewizję. Zobaczyłem sympatycznego czarniawego chłopca około lat dwunastu, który siedział w kącie i

cicho płakał. Jego szczupłą postać zasłaniał jakiś typ, porządnie ubrany, ale chwiejący się na nogach.

- Złodziejskie nasienie! - wrzeszczał na chłopca. - Znowu żeś mi wziął pieniądze?

- Nie, tato, nie! - powtarzał przestraszony chłopiec. - Nie brałem! Sam je wzięłeś!

- Jeszcze będziesz mi kłamał?! Odkąd matka umarła, rozpuściłeś się jak dziadowski bicz! Już ja się za ciebie wezmę! Już ja zrobię z ciebie człowieka!

Mężczyzna zaczął rozpinąć pasek.

- Raz-dwa z ciebie głupotę wybije!

- Nie, tato! Już więcej nie będę! Obiecuję!

Położyłem palec na obrazku, zatrzymując go.

- Kto wziął pieniądze? - spytałem.

- Ojciec Aloszy - zameldowała teczka. - Wczoraj przyszedł do domu pijany, ale chyba ciągle mu było mało, zabrał pieniądze i kupił wódkę, a dziś o tym nie pamiętał.

- Jasne. - Zabrałem palec i obraz znowu ożył. Niewiele straciłem, ojciec bił chłopaka na całego, lejąc, gdzie popadnie.

- Ja z ciebie zrobię człowieka! Już ja z ciebie zrobię człowieka!

Chłopak już nie płakał, tylko jęczał, usiłując zasłonić się przed uderzeniami. Nagle coś szepnął...

- Stop! - zawołałem i obrazek natychmiast zastygł. - Cofnij odrobinę... - Teczka spełniła prośbę. - A teraz daj dźwięk na maksa, chcę usłyszeć, co powiedział chłopiec.

- Mogę przeczytać z ruchu warg. Nawet maksymalne



pogłośnienie nic nie da, chłopiec nie mówił na głos.

- To czytaj!

Obrazek znowu ożył.

- „Zabiję cię” - odczytała teczka. - „Przysięgam, że cię zabiję. Za mamę!” To wszystko, nic więcej nie mówił. Pokazywać dalej?

Zamknąłem teczkę.

- Nie trzeba, sąd już wszystko rozumie. Teraz jasne, dlaczego dusza Zoi snuje się między światami. Czy chłopiec mówił te słowa na poważnie?

- Mówił bardzo poważnie.

Skrzywiłem się.

- Nie o to mi chodzi. Jakie jest prawdopodobieństwo, że spełni swoją groźbę?

- Gdyby w tamtej chwili miał w ręku nóż, spełniłby ją od razu. A tak... Nie wiem, nie jestem wydziałem analitycznym.

- O rany, dajże spokój! Przecież na pewno napatrzyłaś się już na ludzi, i nawet bez wydziału analitycznego wszystko wiesz.

- Powiem tak. - Okładka teczki lekko poczerwieniała ze wzburzenia. - Któregoś dnia ten typ doprowadzi syna do ostateczności i wtedy albo Alosza zabije ojca, gdy ten będzie spał, albo zabije go, gdy dorośnie.

- Jasne. A potem Aloszka trafi prosto do nas i jego dusza straci jedną reinkarnację. Hmm... - zamyśliłem się. - Jasna sprawa, że jego matka tego nie chce, ale sama nie może nic zrobić. Taak... Całkiem nieźle. A co on tam mówił o mamie? No, „zabiję go za mamę”?

- A, to... Mniej więcej dwa lata temu ten typ upił się,

jak zwykle, a potem pobił żonę na oczach syna i odbił jej wątrobę. Wtedy bardzo długo chorowała.

- Ach tak - zabębniłem palcami w poduszkę. - A czy jest winien jej śmierci?

- Jak najbardziej. Jej śmierć jest bezpośrednią konsekwencją tamtego pobicia.

- Jasne.

Odłożyłem teczkę, zerwałem się z łóżka i zacząłem chodzić po pokoju. No, wujaszku, wielkie dzięki za moją letnią praktykę. Kłaniam się nisko i całuję rączki! Wychodzi na to, że chcąc zapewnić spokój duszy Zoi, żeby dostać zaliczenie praktyki, muszę rozwiązać problem jej męża i syna? Fantastycznie. Czy ja wyglądam na anioła stróża?! Podeszedłem do lustra. Nie, nie wyglądam!

- Wielkie dzięki, wujku! - krzyknąłem w sufit, wściekły cisnąłem poduszką o ścianę. Może by tak jeszcze zatupać nogami i zacząć wrzeszczeć? E, za stary jestem na takie histerie, rodzice by nie rozumieli... Ciekawe, a może mógłbym zrezygnować z tej praktyki? Nie, pewnie się nie da. Wikientij mi na to nie pozwoli. No i po czymś takim miałbym napięte stosunki z dyrektorem... A Wikesza w ogóle nie dałby mi żyć, musiałbym pewnie zmienić szkołę. Nie, to by było przyznanie się do porażki, nie ma mowy! Do licha, co to dla mnie takie zagmatwane sprawy rodzinne? Sama przyjemność!

Położyłem się na łóżku, przykryłem głowę poduszką.

- Mamo, proszę, urodź mnie jeszcze raz... - wyjęczałem. - Jestem diabłem, nie psychologiem

rodzinnym! I jako diabłu zależy mi na tym, żeby do piekła trafiło jak najwięcej dusz! Nie, cholera, wcale mi nie zależy - poprawiłem się od razu. Dawno minęły czasy, gdy diabły rywalizowały ze sobą, który ściągnie więcej ludzi na złą drogę. Niegdyś z tego powodu toczyliśmy z rajem wielkie wojny... A teraz na mocy traktatu od siedmiuset lat nie prowadzi się tego typu rywalizacji, żeby nie zaognić sytuacji. W wypadku rodziny Zoi jeden klient jest na pewno nasz... Pozostaje jeszcze kwestia dwóch dusz.

- I co postanowiłeś? - spytała teczka, której pewnie znudziło się oglądanie mnie z poduszką na głowie.

Podniosłem się i schowałem teczkę do szuflady biurka.

- Nie twoja sprawa - burknąłem. - Myślałby kto, że mam jakiś wybór... Po co wtedy polazłem z wujkiem do ministerstwa? Gdybym nie poszedł, nie spotkałbym tej duszy...

Zerknąłem na zegarek. Rany! Trzecia w nocy! Rano muszę być przecież w archiwum, żeby odłożyć akta na miejsce! Szybko się rozebrałem i wskoczyłem pod kołdrę. Żeby tylko rano nie zaspać...

\*

Rano oczywiście zasnęłam. Nikt nie wpadł na to, żeby mnie obudzić! Pewnie, po co kogoś budzić, skoro ma wakacje? Rodzice wyraźnie zapomnieli o mojej letniej praktyce. Zresztą, sam jestem sobie winien, nie ma co oskarżać innych... Zapinając w biegu koszulę, wpadłem do kuchni, wyciągnąłem kanapki z lodówki i

zacząłem je wpychać do ust.

- Dokąd się tak spieszysz! - zawołała za mną mama. -  
Usiądź, zjedz normalnie!

- Bemambasu! - odparłem.

- Nie mów z pełnymi ustami! - pouczył mnie brat.

Przełknąłem z trudem.

- Nie mam czasu, mówię! Powinienem już być na  
praktyce!

- Znowu żeś czytał do północy, nic dziwnego, że  
zaspaleś! - mruknął brat.

Pokazałem mu język i schowałem się za drzwiami,  
nim zdążył zareagować.

- Mamo! Widziałaś to? - usłyszałem jego krzyk.

Czym prędzej wybiegłem na dwór, popędziłem przez  
trawnik do bramy, żeby jak najszybciej zniknąć z  
naszego podwórka. Jeszcze mnie zatrzymają...

- Stój! - doleciał mnie krzyk ojca.

Udałem, że nie słyszę i machnąłem ręką na taksówkę.

- Do ministerstwa kar - poprosiłem, wsiadając.  
Samochód ruszył i szybko skrył się za zakrętem.  
Rodzina nie zdążyła mnie dogonić.

Podjeżdżając do głównego wejścia do ministerstwa  
marzyłem o tym, żeby zobaczyć tam wujka. O, wtedy  
wygarnąłbym mu, co o nim myślę. Dość tego, miarka  
się przebrała!

Oczywiście przed wejściem wujka nie było. Dobra...  
Podszedłem do najbliższego słupa, na którym siedział  
kruk.

- Daj raj! - burknąłem.

- Z kim chcesz rozmawiać? - zakrakał kruk.

- Z wujkiem. Numer sześćdziesiąt trzy sześćset. Kruk przechylił głowę na bok, nasłuchując.

- Abonent czasowo niedostępny - zakrakał.

- Tfu - splunąłem. Zrozumiałem, że mimo najszczerzej chęci nie uda mi się wygarnąć wujkowi, więc poszedłem w stronę budynku.

- A kto zapłaci? - spytał surowo kruk.

- Za co?! - oburzyłem się.

- Za rozmowę!

- Za jaką rozmowę?! - rozzłościłem się. - Co za złodziejstwo! Czekaj, poskarżę się na ciebie do ministerstwa łączności!

- Myślałby kto - powiedział kruk. - Jaki ważny!

Odwrociłem się i poszedłem.

- Cham! - zawołał za mną kruk.

- Chyba ty sam! - rzuciłem przez ramię.

Pokazałem przed wejściem przepustkę i od razu udałem się do archiwum. Już schodząc do podziemi, usłyszałem czyjś potężny ryk.

- I co ja mam z tobą zrobić, bałwanie jeden! Czy ty chociaż rozumiesz, że omal nie narobiłeś bałaganu w całej sprawozdawczości?! Zresztą, do diabła z nią!!! Jak śmiałeś!!! Pytam cię, jak śmiałeś przestawiać teczki i przełożyć akta żywego człowieka do działu zmarłych?! Czy w tym swoim kurzym mózdzku rozumiesz chociaż, co byś narobił?!

Ostrożnie uchyliłem drzwi, wśliznąłem się do archiwum. Ujrzałem tam dość interesującą scenkę: błąd z przerażenia Ksefon, przyciskający do piersi jakąś teczkę, został wciśnięty w ciasny kąt przez dość

potężnego diabła, który groźnie machał przed jego nosem wielką pałką.

- Oo? - powiedziałem.

Zdaje się, że Ksefon coś nabroił... Od razu poprawił mi się humor. W tym momencie Ksefon spostrzegł mnie i czym prędzej zawołał, licząc, że w ten sposób odwróci od siebie uwagę groźnego diabła. Diabeł istotnie zwrócił się w moją stronę i jego oczy groźnie błysnęły.

- Dzień dobry, proszę pana - powiedziałem najuprzejmiej, jak umiałem. - Zapewne jest pan archiwistą? Pan administrator mówił mi, że będzie pan dzisiaj. Jestem praktykantem ze szkoły, nazywam się Ezergil i chciałbym sprawdzić coś w archiwum, oczywiście, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu?

Twarz diabła rozpogodziła się, wyraźnie złagodniał.

- Od razu widać dobre wychowanie! Ezergilu, musisz najpierw otrzymać przepustkę od administratora. Chociaż! - głos archiwisty podniósł się o dwie oktawy. - Widzę, że administrator już sam nie wie, komu wydaje przepustki!!!

- Mam przepustkę, dostałem ją jeszcze wczoraj, proszę... A co się stało?

- Co się stało?! Co się stało?! Przyszedłem dziś wcześniej, bo zaplanowałem rewizję ubiegłego stulecia, mam ustalić listę reinkarnacji z naszej strony. Pracuję spokojnie, a tu nagle wchodzi ten typek. Spodziewałem się, że jak dobrze wychowany diabeł podejdzie do mnie, przedstawi się, wyjaśni, w jakiej sprawie przyszedł i jeśli będzie miał przepustkę, a jego sprawa okaże się ważna, to ja pomogę mu, jak umiem. A on co robi?!

- Co robi? - spytałem grzecznie.

- On skrada się do półki, na której stoją akta żywych ludzi, wyjmuje jedną teczkę i wsuwa ją na półkę ze zmarłymi!!! Dobrze, że zobaczyłem!!!

- To straszne! - zawołałem z przerażeniem, chichocząc w duchu. Mój podstęp się jednak udał! Administrator spostrzegł, jaką teczkę oglądałem i przekazał tę informację Ksefonowi. A ten przygłup nie zdołał wymyślić nic mądrzejszego, jak tylko przeniknąć do archiwum i próbować ukryć teczkę przede mną. Rzecz jasna, lekcję, na której opowiadano nam o surowych zasadach przechowywania danych i wpływie tego przechowywania na ludzi jak zwykle opuścił; dlatego nie wiedział, że taka teczka po prostu nie może stać nie na swoim miejscu. Zrobiłby się tu taki bajzel, że wszyscy aniołowie by się dowiedzieli, nazjeżdżałoby się komisji... Nie mówiąc już o naprawieniu wszystkich konsekwencji na ziemi...

- Znasz tego typka? - spytał mnie podejrzliwie archiwista.

Westchnąłem ze smutkiem.

- Niestety! Chodzimy do jednej klasy i on też odbywa tu praktykę. Co prawda, nie mam pojęcia, na czym polega jego zadanie, bo jak na razie tylko płacze się pod nogami i wszystkim przeszkadza. Wczoraj mnie śledził...

- O, więcej nie będzie nikomu przeszkadzał! - oznajmił groźnie archiwista, łapiąc Ksefona za ucho. - Dobrze, Ezergilu, widzę, że jesteś poważnym chłopcem. Zostań tu przez chwilę i przypilnuj, żeby nikt nie

wchodził, w razie czego mów, że nie pozwoliłem nikomu korzystać z archiwum do czasu swojego powrotu. Zaprowadzę tego gagatka do administratora i od razu powiem temu staremu durniowi, co o nim myślę.

- Dobrze, panie archiwisto. Może pan być spokojny, wszystko będzie w porządku.

Ksefon posłał mi mordercze spojrzenie i od razu wrzasnął, gdy archiwista pociągnął go za ucho do wyjścia. Wykrzywiłem się w stronę kolegi z klasy, a ten próbował mi odpowiedzieć tym samym, ale właśnie wtedy archiwista pociągnął go mocniej i Ksefon znów zawył z bólu. Wkrótce potem jego krzyki nikły w głębi korytarza; a ja błyskawicznie podbiegłem do właściwego regału, by odstawić na miejsce teczkę z aktami Zoi Pawłowny.

- No i super - powiedziałem do siebie. Zachichotałem, wyobrażając sobie, co się teraz dzieje u administratora. No, muszę tam koniecznie potem zajrzeć.

W doskonałym humorze usiadłem na najbliższym krześle obrotowym i odepchnąłem się nogą od podłogi. Krzesło zawirowało. Wszystko układa się jak najlepiej... Gdybym dziś nie zasnął, nie zobaczyłbym tego zajmującego widowiska, zwrócenie teczki pod czujnym okiem archiwisty byłoby sporym problemem, a Ksefon w mojej obecności pewnie powstrzymałby się od robienia głupstw. Tylko co ja mam zrobić ze swoją praktyką?

Archiwista wrócił dość szybko, zagniewany i wesół



zarazem.

- No - powiedział. - Ten idiota nie będzie nas już niepokoił. Od razu uprzedziłem administratora, że jeśli ten szczeniak jeszcze raz wejdzie mi w oczy, to zwyczajnie wyrzucę go z budynku, a na administratora napiszę skargę, że wystawia przepustki różnym chuliganom, którzy nie mają pojęcia o znaczeniu przechowywanych tu rzeczy!

- Obawiam się, że będzie pan musiał spełnić swoją groźbę - zauważyłem. - Ksefon nie rozumie aluzji.

- Aluzji? - zdumiał się archiwista.

- No, tego, że wziął go pan za ucho i wystawił na korytarz. Należało powiedzieć wprost: więcej mi tu nie przychodź!

- To on jest taki tępy?

- Zwykle trzeba mu wszystko mówić dwa razy... - Im dalej, tym lepiej!

Wprawdzie Ksefon aż taki tępy nie był, ale czego nie robi się dla przyjaciela! Jeśli przyjaciel cię nie pochwali, to kto inny?

- Rozumiem. Lepiej, niech się trzyma ode mnie z daleka. A ty czego byś chciał?

Zastanowiłem się. Najwyraźniej archiwista nie płonął chęcią pomagania Ksefonowi. Chyba nie zrobiłby tego nawet za pieniądze... Postanowiłem opowiedzieć mu o moim zadaniu. Archiwista wysłuchał mnie z uwagą.

- Czyli twój wuj jest aniołem? - prychnął. - No cóż, zdarzają się gorsze rzeczy. Muszę przyznać, że podsunął ci ciekawą pracę...

- Właśnie! Myślałem, że porozmawiam z tą duszą i

będzie po sprawie...

- O, kochany, zaufaj mojemu doświadczeniu: wszystko okaże się znacznie bardziej skomplikowane niż wydaje się na pierwszy rzut oka!

Zerknąłem podejrzliwie na archiwistę. Chyba nie czyta w myślach... Przecież nie wspomniałem o tym, że wyniosłem z archiwum akta Nienaszewej, nie mówiłem też, czego dowiedziałem się z teczki - a jednak, nie wiedząc tego wszystkiego, co ja wiem, archiwista od razu wyczuł, że sprawa nie jest prosta.

- Dobrze, chodźmy szukać tej twojej Zoi. Najprawdopodobniej jest jeszcze w dziale żyjących.

Zrobiliśmy to samo, co wczoraj robiłem już z administratorem, ale tym razem od razu podszedłem do właściwej teczki.

- Jeśli wygadasz się, że cię już brałem, to wrzucę cię do kominka - pogroziłem jej szeptem.

- No przecież jesteśmy przyjaciółmi! Jak mogłeś przypuścić... - odparła przestraszona teczka.

Przyniosłem teczkę na stół i położyłem przed archiwistą. Ten nałożył okulary i otworzył.

- Dobrze... Popatrzmy, co my tu mamy.

Razem z archiwistą czytałem teraz to, co już obejrzałem wczoraj wieczorem. Archiwista kartkował teczkę bez pośpiechu, czasem prosił o pokazanie jakiegoś epizodu z życia Zoi, uważnie oglądał zdjęcia, w końcu doszedł do dnia dzisiejszego i obejrzał sobie życie codzienne rodziny Nienaszewów.

- Jaasne - powiedział w końcu. - Tak, smutne to, smutne... - W zadumie podparł podbródek dłonią i

zapatrzył się w jeden punkt. Nie odzywałem się, nie chcąc mu przeszkadzać, w końcu jednak przemówił: - Nie rozumiem, dlaczego ludzie myślą, że diabły nie umieją współczuć. Nic podobnego! Naprawdę jest mi szczerze żal tego chłopca. Przecież on przepadnie! I jestem prawie pewien, że w efekcie stanie się naszym klientem.

- Ale, tak czy inaczej, to nie jest praca dla diabłów, lecz dla aniołów! Pomoc i ratunek to ich zadania!

- Słusznie, ale to szczególny przypadek. Widzisz, chłopiec nie wierzy w nic, a to znaczy, że jest sam przeciwko całemu światu, a to ponad jego siły. A skoro on nie wierzy, to aniołowie są bezsilni. Ale my, diabły...

- Czyli my możemy mu pomóc? Ale to przecież nie nasze zadanie?!

- No to co? Co nam szkodzi spróbować?

- Chce pan powiedzieć...

- Oczywiście. To, że czegoś nie umiesz zrobić, to jeszcze nie powód, żeby nie spróbować. Chyba chcesz zaliczyć swoją praktykę?

- Oczywiście!

- W takim razie musisz uporać się z tym problemem. Sam rozumiesz, że zjawą nigdzie nie pójdzie, dopóki będzie martwić się o syna. I jedyny sposób zmuszenia jej do określenia się, to sprawić, by nie musiała lękać się o jego los.

- Zabić tego jej męża i już... - mruknąłem.

- No, no, no! Żebym nie musiał zmienić o tobie zdania!

- Wiem, że to bzdury, ale nie mówiłem tego na

poważnie, tylko tak...

- Nigdy nie mów takich rzeczy nawet „tylko tak”. Ani my, ani aniołowie, nikt nie może bezpośrednio ingerować w życie człowieka. To jedna z podstawowych reguł ustanowionych przez Niego. Możemy działać jedynie przez ludzi. Ale dam ci radę...

- Archiwista zamyślił się, w końcu skinął głową. - Widzisz, mój mały, będziesz musiał pojechać do rajy. Skoro masz tam wujka, to on ci na pewno pomoże. Dostaniesz list do tamtejszego archiwisty... Chodzi o to, żebyś obejrzał również ich dokumentację. Oczywiście dysponujemy kompletnymi danymi, ale nas interesują głównie wady i nałogi, czyli ciemna strona człowieka. W rajy mają przede wszystkim tę jasną stronę. Żeby uzyskać kompletny obraz sytuacji, powinieneś zapoznać się również z ich materiałami. Nie można zrozumieć człowieka, jeśli zna się go tylko z jednej strony.

Skinąłem głową.

- Dziękuję. Chyba tak właśnie zrobię. Dzisiaj popracuję tutaj, a jutro pojedę do rajy. Chciałbym jeszcze obejrzeć akta Aloszy Nienaszewa i tego męża Zoi, Wiktora Nikołajewicza Nienaszewa.

- Słusznie. - Archiwista skinął aprobująco głową. - Działaj, działaj, nie będę ci przeszkadzał.

- Co też pan mówi! Tak bardzo mi pan pomógł!

- Dlaczego nie miałbym pomóc? Ty do mnie po dobroci, to i ja do ciebie z całym szacunkiem.

Archiwista uśmiechnął się do broduśnie i odszedł, a ja odstawiłem teczkę Zoi na miejsce i odnalazłem akta Wiktora. Niczego nowego się z nich nie dowiedziałem,

zrozumiałem jedynie, jak zaczął pić w towarzystwie koleżków, ale niewiele mi to dało. Za to jakie tam były obrazki... Jak karze syna za dwójkę, jak bije żonę za to, że chowa przed nim pieniądze... Krótko mówiąc, nasz klient bez dwóch zdań. Jego kartoteka była bardzo pokaźna, w odróżnieniu od cieniutkiej teczki Zoi, a przecież oboje byli w tym samym wieku. No dobrze, zastanowię się nad tym później...

Odstawiłem wszystko na swoje miejsca, pożegnałem się z archiwistą i poszedłem szukać administratora. Znalazłem go w pokoju socjalnym, gdzie chyba uspokajał nerwy. Przywitałem się z nim uprzejmie, a on nagrodził mnie gniewnym spojrzeniem.

- Co tam zaszło między tobą i Ksefonem? - zapytał chmurnie.

- Mną i Ksefonem? - Wytrzeszczyłem oczy. - Słowo daję, nic! Prócz tego, że on mnie ciągle śledzi...

- Skąd ta myśl? - zapytał administrator.

- To raczej domysł... Widzi pan, wczoraj znalazłem potrzebną mi teczkę, a dzisiaj Ksefon zakradł się do archiwum i próbował ją schować, przestawiając na inne miejsce.

- Jak to? Przecież wczoraj nic nie znalazłeś? - zauważył przebiegle administrator.

- Znalazłem, panie administratorze - westchnąłem ze smutkiem, jakbym się przyznawał do winy. - Po prostu panu nie powiedziałem, przepraszam... Chciałem sam rozwiązać ten problem i z nikim nie dzielić się zasługami, żeby potem wszyscy mnie chwalili i mówili, jaki ze mnie zuch.

- Zarozumiała ambicja - uśmiechnął się administrator.  
- No tak, to prawdziwie diabelskie uczucie, rozumiem cię.

- Właśnie. A że ten bałwan Ksefon chciał przestawić teczkę do działu zmarłych...

Administrator zjeżył się.

- Oo... Wtedy to już na pewno wyleciałbym z pracy, bez odprawy! Czego oni was uczą w tej szkole?! - wybuchnął nagle.

- No cóż... - powiedziałem ze złośliwą satysfakcją. - Uczą nas tego, co trzeba, ale Ksefon ma piątkę tylko z jednego przedmiotu.

- Z jakiego? - spytał podejrzliwie administrator.

- Z wagarów. Nic innego mu tak dobrze nie wychodzi. Z całą odpowiedzialnością mogę zapewnić, że z tego przedmiotu jest najlepszy w szkole.

- Och! - Administrator nagle złapał się za serce. - A ja wystawiłem mu przepustkę na cały budynek! Może wchodzić wszędzie, prócz działów specjalnych!

Może to dziwne, ale nie czułem współczucia dla administratora.

- Tak... Muszę przyznać, że ma pan dużo szczęścia.

- Dlaczego?

- Ksefon chodzi z tą przepustką od wczoraj, a doszło tylko do jednego skandalu...

I tym optymistycznym akcentem zakończyłem rozmowę z administratorem i poszedłem szukać zjawy. Po drodze wpadłem na Ksefona; od jego czerwonego ucha aż bił blask. Przechyliłem głowę, przyglądając mu się uważnie.

- Wiesz co? - powiedziałem. - Nawet ci to pasuje... Chociaż byłoby dobrze powiększyć również drugie ucho, żeby było symetrycznie. Jak chcesz, mogę po przyjacielsku pomóc, wystarczy poprosić. Albo zawołam archiwistę, on na pewno zrobi to z przyjemnością.

- Czekaj, już ja ci to wszystko przypomnę! - zasyczał Ksefon. - Myślisz, że nie wiem, kto mnie tak urządził? Nie mam jeszcze pojęcia, jak to zrobiłeś, ale się dowiem! A wtedy strzeż się! - Odwrócił się na pięcie i poszedł do administratora, który czekał na niego z ponurą miną.

Uśmiechnąłem się. Zdaje się, że dla biednego Ksefona to jeszcze nie koniec kłopotów na dziś...

\*

Tym razem odnalazłem zjawę znacznie szybciej - a przynajmniej nie musiałem się za nią uganiać.

- Przyszedłeś... - zaszemrała zjawa. Rozglądając się uważnie, podniosłem palec do ust.

A potem wyjąłem z kieszeni pudełeczko, w którym wierciły się trzy pająki. Znalazłem je wczoraj w naszym ogrodzie. Pół godziny ich szukałem, a przez kolejną godzinę się do nich dostrajałem. Nawet wyjąłem podręcznik do wszystkowidzenia! Teraz umieściłem po jednym pajączku na każdym zakręcie korytarza.

No dobrze, moje złotka, siedźcie tu sobie i rozglądajcie się uważnie dookoła... Sprawdziłem, jak działa łączność. Patrzenie przez pajęcze oczy było dość niezwykle, ale to nic, przynajmniej własnych nie muszę

mieć dookoła głowy. Teraz już nikt nie podkradnie się niezauważony...

- Po co to? - zapytała zjawa.

- A tak... Lubię pająki. Taka mania. Niektórzy trzymają w domu koty czy psy, a ja pająki. Wszędzie je ze sobą zabieram, teraz właśnie jest pora ich spaceru... - Coś jestem dziś za bardzo zjadliwy; może jestem chory?

Owszem, jestem. I jako choremu należy mi się odpoczynek. Ale niestety, o odpoczynku mogę tylko pomarzyć. Dopóki nie załatwię sprawy ze zjawą, odpoczynek pozostanie w sferze marzeń...

- Zdarza się. - Dusza skinęła głową.

Zdaje się, że nie tylko ja jestem w takim nastroju...

- A tak w ogóle - powiedziałem - to z powodu pewnych osób nie spałem dziś pół nocy i od świtu jestem na nogach.

- Przykro mi... Dowiedziałeś się czegoś o moim synu?

Nie miałem ochoty kłamać, ale mówić prawdy też nie chciałem.

- Jest zdrowy - odparłem oględnie.

- Tyle to i ja wiem.

- Cóż, jak pewnie sama rozumiesz, my tutaj, w piekle, mamy dość jednostronne wiadomości - powtórzyłem słowa archiwisty. - Żeby uzyskać pełny obraz wydarzeń, muszę zajrzeć do archiwum raj. Zaczekasz jeszcze trochę? Jak już będę miał wszystkie wiadomości, znowu tu przyjdę.

- Coś przede mną ukrywasz... A ja nie mogę odejść od cmentarza. Nie mogę zobaczyć syna. Dlaczego?



- Trudno to wyjaśnić... Chodzi o poświęconą ziemię, która nie pozwala wam robić głupstw.

- Mniejsza o to... Zdaje się, że wiem, jak pokonać ten zakaz.

- Na pani miejscu nie robiłbym tego. Na cmentarzu jest pani bezpieczna, tam chroni panią sama ziemia. Poza granicami nekropolii może pani wpaść w kłopoty, niewykluczone, że zaatakują panią złośliwe zjawy, które się tam gdzieś zasiedziały, a którym wcale się nie spieszy... Cóż, jak zaczną się rozwiewać, same do nas przylecą. Zresztą, wszechświat niewiele straci, jeśli te dusze znikną.

- Muszę zobaczyć syna!

- Mogę przynieść zdjęcie.

- Muszę zobaczyć syna!!

- Albo film...

- Muszę zobaczyć syna!!! - zaszlochała i znikła. Stropiony patrzyłem na miejsce, w którym jeszcze przed chwilą wisiała zjawa. Podrapałem się po karku. Cóż, jeśli dusza się rozwieje, również będzie to jakieś rozwiązanie problemu... Dobrze, na razie wracam do domu. Po pierwsze, muszę wyłudzić pieniądze na podróż do raju, po drugie przespać się, a po trzecie spakować rzeczy. Ale najpierw muszę dostać się do domu.

## Rozdział 4

Poranny międzyświatowy ekspres do rajy odchodził o piątej. Klnąc w żywy kamień, wskoczyłem na stopień wagonu. Cóż, najwyraźniej pora przywyknąć, że wczesne wstawanie będzie normalką w czasie tej praktyki. Koszmar... Już drugi dzień z rzędu chodzę niewyspany... Wprawdzie mogłem kupić bilet na pociąg o siedemnastej, ale wtedy byłbym na miejscu w środku nocy, a to jeszcze gorsze niż wstać przed piątą rano.

Stojąca na peronie mama machała mi ręką.

- I nie zapomnij zmieniać skarpetek! - zawołała.

Skrzywiłem się. Problem skarpetek martwił mnie najmniej. Poza tym, nie mam dwudziestu lat! Potrafię o siebie zadbać. Dobrze jeszcze, że udało mi się odczepić od mamy, która nalegała, żeby pojechać ze mną. Ładnie bym wyglądał, przyjeżdżając na letnią praktykę z mamą! Cała klasa by się ze mnie śmiała... Maminsynek!

Wrzuciłem torbę na półkę i wychyliłem się przez okno.

- Niedługo wrócę! - zawołałem; chyba mówiłem to już po raz setny. - Poza tym wujek się o mnie zatroszczy! - wyobraziłem sobie spotkanie z wujkiem i uśmiechnąłem się złośliwie. No, wreszcie będę mógł mu powiedzieć wszystko, co myślę o tym zadaniu praktycznym...

Ekspres ruszył. Zamknąłem okno, usiadłem wygodnie, w nadziei, że uda mi się odrobinę

zdrzemnąć. A gdzież tam! Ledwie zamknąłem oczy, a do przedziału wpadło hałaśliwie towarzystwo. Trzech diabłów, którzy najwyraźniej niedawno stali się pełnoletni. O rany, a tak liczyłem, że będę w przedziale sam! Nie zwracając na mnie uwagi, zaczęli głośno omawiać plany na najbliższą dobę. Miałem rację - cała trójka wczoraj weszła w wiek dorosły i postanowiła uczcić to wydarzenie podróżą do raju. Przez jakiś czas rzucałem im niezadowolone spojrzenia, licząc, że zrozumieją i się zamkną. Potem poprosiłem uprzejmie o spokój. Niestety, prawie nie zwrócili uwagi na moją grzeczną petycję, jeden tylko burknął: „Cicho, małolat”. Aha, małolat?! Musiałem uciec się do radykalnego środka. Po kryjomu wyjąłem z kieszeni paczuszkę z proszkiem świerzbowym i wdmuchnąłem go do przedziału, jednocześnie łykając antidotum. Odczekałem chwilę, a potem zacząłem się intensywnie drapać, wierząc się na siedzeniu. Początkowo nie zwracali na mnie uwagi, ale w końcu jeden popatrzył na mnie zdumiony i zapytał:

- Ej, młody, co z tobą?

Machnąłem ręką i powiedziałem dobrodusznie:

- Nie zwracajcie uwagi. Świerzb mnie dręczy, właśnie jadę się leczyć. Podobno w raju mają supermedycynę. To oczywiście choroba zakaźna, ale spokojnie, w raju wyleczą i was...

Sekundę później byłem w przedziale sam. Uśmiechnąłem się pod nosem, odchyliłem oparcie fotela i zasnąłem. Obudziło mnie potrząsanie za ramię.

- To ten chory na świerzb?

Otworzyłem jedno oko - nade mną stał jakiś typ w kombinezonie ochronnym. Popatrzyłem na niego zdumiony, nic nie rozumiejąc. Dopiero, gdy zobaczyłem za jego plecami trzech swoich niedawnych towarzyszy podróży, zorientowałem się, o co chodzi.

- Jaki chory na świerzb? Czy to jeden z nich? - zapytałem, wskazując ręką za plecy typa w kombinezonie. - A ja nic nie wiedziałem... Swoją drogą, czy wy rozumiecie, co robicie? Powiem wszystko rodzicom, oni wam sprawę wytoczą! Nie sprawdzacie swoich pasażerów?! Chorzy ludzie jeżdżą sobie pociągami, a administracja nic nie robi?

- Hej, przecież to ty jesteś chory! - oburzył się jeden z trójki.

Uśmiechnąłem się w duchu, a głośno zawołałem:

- O, i jeszcze na mnie zwalają! Ładne rzeczy, zrzucają na mnie, że niby ja jestem chory! Szefie, no przecież oni specjalnie kłamią! A ja? Proszę. - Sięgnąłem do kieszeni torby i wyjąłem metrykę i zaświadczenie. W szkole przed każdymi wakacjami przeprowadzane są badania lekarskie, karta medyczna zastępowała niepełnoletnim dokumenty. Z dumą pokazałem w karcie wpis „zdrowy”. - O, niech pan na nich popatrzy!

Typ w masce odwrócił się. Mój proszek już zaczął działać i wszystkie odsłonięte fragmenty ciała całej trójki pokryły się czerwonymi plamkami. Jeden z nich już drapał się na całego.

- Ach, więc to tak! - Mężczyzna groźnie ściągnął brwi. - Chcieliście sobie ze mnie zażartować?! I jeszcze

zwalić wszystko na biednego chłopca? Dobrze, zobaczymy, kto się będzie śmiał ostatni! - I wypchnął protestującą trójkę na korytarz.

Zdaje się, że zepsułem im święto... Ale z drugiej strony, sami są sobie winni, przecież prosiłem ich grzecznie, mówiłem, że jestem zmęczony... Trzeba przyznać, że uprzejmość to wielka rzecz... Mam nadzieję, że nikt inny nie będzie mnie już niepokoił. Dla jego własnego dobra...

Mniej więcej o dziewiątej pociąg zatrzymał się na stacji pośredniej. Z zaciekawieniem patrzyłem przez okno na Pałac, w którym mieszka Sprawiedliwość. Ludzie słusznie przedstawiają ją z zawiązanymi oczami - jak się tak ciągle śpi, to nic dziwnego, że potem ma się problemy z podniesieniem powiek. Zresztą, jeszcze nigdy nie słyszałem żadnej skargi na jej sąd. W końcu znajdowała się tam słynna waga! W szczególnie ważnych przypadkach z raju i piekła wyciągano akta dusz i ważono je. Jeśli przeważała teczka z raju, człowiek był raczej dobry niż zły, jeśli ta z piekła - serdecznie zapraszamy do kotła.

Pociąg stanął. Poczułem przemożne pragnienie wyjścia na peron. Pewnie, że byłoby miło rozprostować nogi, ale to miejsce dawało pewien efekt uboczny - tutaj dowolne kłamstwo było prawdą. Nie w tym sensie, że nie dało się tu skłamać - po prostu każde kłamstwo od razu stawało się prawdą. Krótko mówiąc, nie najlepsze miejsce dla diabłów... Na szczęście postój trwał krótko i zdołałem się opanować; następna stacja była już w raju.

Wziąłem torbę, wysiadłem i rozejrzałem się. Wujka

nigdzie nie było widać. Co jest? Ukrywa się przede mną, czy jak? Rozumiem, że mogłem się nie dodzwonić, ale żeby nie przyszedł na dworzec?! Przecież sam dyktowałem jego domowemu informację, kiedy przyjadę... Domowy nie mógł nie przekazać wiadomości...

- Ezergil?

Odwrociłem się. Przede mną stał jakiś typ pokryty igielkami.

- Kim jesteś? - spytałem gburowato.

- Leszy - burknął typ. - Takie imię. Twój wujek prosił, żeby cię powitać.

- Ach tak? - zacząłem się denerwować.

- Tak. Prosił, by ci przekazać, że zatrzymały go w pracy ważne sprawy. Bardzo żałuje, że nie mógł przyjść na dworzec i prosił, żeby ci to dać.

Odruchowo przyjąłem podane klucze.

- Co to jest?

- Klucze od mieszkania twojego wujka. Powiedział, że możesz się u niego rozgościć i prosił, żebyś czuł się jak u siebie.

Popatrzyłem na klucze, potem na Leszego.

- Od kiedy to w raju zaczęli zamykać drzwi na klucz?

- Od wtedy, kiedy zaczęli wpuszczać tutaj diabły - mruknął Leszy; chyba nie lubił diabłów. - Wszystkiego dobrego.

- A... - chciałem jeszcze o coś zapytać, ale Leszy już zniknął w tłumie. Stałem na peronie z torbą w jednej ręce i kluczami w drugiej. Wściekły, cisnąłem torbą o ziemię. No, nie wierzę, żeby wujek był tak zajęty, żeby

nie mógł przyjechać na dworzec! Ale tak czy inaczej, głupio było urządzać tu awanturę. Zaraz przybiegliby wujaszkwowie w białych ubrankach, zaczęli mnie uspokajać, obiecaliby cukierka, a potem odesłali do rodziców. Innymi słowy, nie daliby mi żyć. Zły i wkurzony, złapałem torbę i wyszedłem na ulicę.

Zawsze, gdy jestem w raju mam ogromną ochotę zejść do piekła, odnaleźć duszę architekta, który projektował nasze miasta, a potem podłożyć pod jego kocioł dużo drewna wysokiej jakości, żeby mu się zrobiło naprawdę gorąco. Budynki w raju były tak lekkie, tak zwiewne, że zdawały się wisieć w chmurach. Całe miasto lśniło w promieniach słońca i nawet w deszczowy dzień nie wyglądało ponuro, lecz świeżo. A ulice! Jakby płynęły nad miastem! Wchodzisz coraz wyżej i wyżej, aż w końcu widzisz przed sobą miasto w całej swej wspaniałości, pełne radości i kwiatów... Ta radość dosłownie biła ze wszystkich stron! W takich chwilach zaczyna się poważnie myśleć o emigracji...

Tuż przede mną wylądował pegaz.

- Dokąd, młody człowieku? Dostarczę pana szybko i bezpiecznie.

Zerknąłem na skrzydlatego konika.

- Dorabiasz sobie?

- Wszyscy powinniśmy przynosić pożytek społeczeństwu. Ja rozwożę podróżnych, a ktoś sieje wspaniałe owies, który potem jem. Ja pomagam innym, inni pomagają mnie.

- Jasne. Czyli dowiesz mnie za „dziękuję”? - burknąłem, sadowiąc się w siodle.

Pegaz parsknął.

- Wy, diabły, jesteście takie niewychowane...

Bardzo powszechny błąd. My, diabły, potrafimy się wzorowo zachowywać! Przecież jeśli chcesz kogoś omamić, najpierw koniecznie musisz wzbudzić jego zaufanie. Kto by bowiem zaufał ponuremu drabowi, który klnie jak szewc? Po prostu lubimy mydlić innym oczy... Weźmy na przykład mojego ojca. Smarka przy stole i wyciera ręce o podkoszulkę, a potem tymi samymi rękami je. A przecież oglądałem stary film, na którym ojciec ubrany we frak zadawał szyku na balu jakiegoś księcia. Chyba nazywał się Dracula... Zresztą, mniejsza z tym. No więc, na tym balu mój ojciec swoimi manierami dosłownie zaćmił całe towarzystwo! Był wspaniały!

- A co ci się nie podoba? - udałem zdumienie. - Ty robisz przyjemność mnie: zawozisz pod wskazany adres. A ja robię przyjemność tobie: dziękuję ci. I jesteście kwita.

- Za „dziękuję” to ja cię zawiozę pod zupełnie inny adres - obiecał pegaz.

- No i trzeba było tak od razu! A nie wciskasz mi jakieś kity o „powszechnej pomocy”...

- Dwie monety.

- Stoi.

Pegaz rozprostował skrzydła i wzleciał. Lot był krótki, ale przyjemny, choć oczywiście nie można go w ogóle porównać z lotem anioła... Zresztą, niektórym właśnie lot pegaza podoba się bardziej. Jak to mówią, de gustibus i tak dalej... Jednak ja szczerze radzę



spróbować obu sposobów, a potem przeanalizować wrażenia.

Skrzydlaty konik wylądował na dość dużej łące, kopytem wskazał mi kierunek.

- Dom, którego szukasz, jest tam. Bliżej podwieźć nie mogę, zakaz parkowania.

Też coś... Dla mnie każdy zakaz jest tylko pretekstem do złamania go. Chociaż, jeśli wlałeś między wrony... to znaczy, między anioły... Dobra, pokażemy temu skrzydlatemu źrebcowi, na co stać diabła... Zeskoczyłem z siodła i skłoniłem się przed nim z galanterią.

- Dziękuję ci, cudowny zwierzu. Jestem twoim dłużnikiem po wsze czasy. Przyjmij ode mnie te dwie monety na znak wdzięczności. Żegnaj, życzę ci zdrowia i wszelkiej pomyślności.

Kończąc ten wyszukany spicz, zarzuciłem torbę na ramię i poszedłem w stronę domu wujka, zostawiając pegaza z obwisłą szczęką. No co, zdziwiony? Diabły grubianie, diabły niewychowane... A kto tu jest niewychowany? Nie spodziewałeś się po nieociosanym prostaku tak górnolotnego stylu?...

W mieszkaniu wujka zająłem najlepszy pokój - sam mówił, żebym czuł się jak u siebie... Zdjąłem buty, jeden cisnąłem w jeden kąt przedpokoju, drugi w przeciwny. Potem zwinąłem dywanik przed wejściem i wcisnąłem go pod drzwi.

- Pan Monterrey uprzedzał, że właśnie od tego pan zaczniesz - oznajmił niewidzialny głos.

- Jeszcze nie zacząłem - obiecałem groźnie,

wywalając buty z szafki. - Dopiero się rozkręcam.

- Uprzedził również, że mniej więcej tak pan odpowie.

- Zawsze powtarzam, że mój wujek jest bardzo mądry.

- To prawda. - Przede mną niespodziewanie zmaterializowało się coś puchatego. - Pan pozwoli, że się przedstawię: jestem Profania, skrzat domowy tego mieszkania. Pilnuję tu porządku i w związku z tym nie podoba mi się to, co pan tu robi - domowy machnął łapą i cały mój starannie zaprowadzony bałagan zniknął. Wszystkie rzeczy znalazły się na swoich miejscach, nawet moje buty spoczęły na półeczce. Aż zasapałem z irytacji. To ja się tu staram...

- Rozumiem, że jest pan bratankiem pana Monterreya, Ezergilem?

- Trudno się nie domyślić - burknąłem.

- Wobec tego, cały ten dom jest do pańskiej dyspozycji na czas, jaki zechce pan spędzić w raju, ja zaś mam pomagać we wszystkim.

- W takim razie pomóż mi zaprowadzić tu taki bajzel, że nawet ty nie zdołasz go posprzątać przez tydzień.

- Moim zadaniem jest pilnowanie porządku, a nie niszczenie domu.

- Niszczenie domu? - Podrapałem się w podbródek. - Słuchaj, podsunałeś mi całkiem niezły pomysł...

Domowy na chwilę zastygł w powietrzu. Z puchatego kłęбка wyłoniło się dwoje wielkich oczu patrzących na mnie ze grozą.

- Master Ezergil, prosiłbym pana... - powiedział

przestraszony domowy.

Machnąłem ręką.

- Wyluzuj, żartowałem. Sam pomyśl: jeśli zniszczę dom, to gdzie będę mieszkał?

- Uff... Ale ma pan żarty, master Ezergil...

- Masz rację: diabelskie. Wierz mi, nie chcę zniszczyć tego domu - obiecałem. - Przynajmniej dopóty, dopóki tu mieszkam.

Domowy, który już się rozluźnił i na powrót przemienił w puchaty kłębek, znowu wytrzeszczył na mnie oczy. Uśmiechnąłem się do niego przyjaźnie i zamknąłem mu przed nosem drzwi pokoju. Wyteżyłem słuch: domowy mamrotał coś pod nosem. Skinąłem głową swojemu odbiciu w lustrze, a potem w ubraniu rzuciłem się na łóżko. Tak... dokąd więc powinienem się teraz udać? Do głównego archiwum. W odróżnieniu od jego piekielnego odpowiednika, stanowiącego jedynie dział ministerstwa kar, w raju archiwum było oddzielną służbą. Miało własny budynek i to niejeden. Zatem, jeśli chcę tam trafić, muszę się najpierw umówić...

Zerwałem się z łóżka i wyszedłem do przedpokoju, gdzie był telefon.

- Ej, kudłaty! - zawołałem, oglądając telefon i jego okolice. - Gdzie wy tu macie książkę telefoniczną?

- Nie jestem Kudłaty - domowy zmaterializował się za moimi plecami. - Nazywam się Profania.

- Słyszałem. To gdzie ta książka?

- Do diabła! - W tym jednym słowie Profania zdołał zawrzeć taką gamę uczuć, że aż mu pozazdrościłem.

Ech, chciałbym umieć wyrażać swoje emocje jednym słowem, tak barwnie i z taką ekspresją! - Nad tobą! - zawołał domowy i zniknął.

Podniosłem głowę; nad telefonem na żerdzi siedziała papuga kakadu. Stałem na palcach, patrząc, czy książka nie leży za papugą i spotkałem się wzrokiem z ptakiem.

- No? Co tak patrzysz? - zapytał. - Ja jestem książką. Ja. Jaki numer telefonu jest ci potrzebny?

- Aaa... - powiedziałem stropiony. Książka-papuga? Dawno nie byłem w raju, trzydzieści lat temu nie wynajmowali papug do tej pracy. - Potrzebny mi telefon centralnego archiwum.

- Raju czy piekła?

- Na cholere mi telefon do piekła?! Żeby go poznać, nie musiałbym tu przyjeżdżać!

- Tego nie wiem. Żądanie należy sformułować precyzyjnie w celu uniknięcia nieporozumień i skarg - uściśliła papuga, po czym sfrunęła z żerdzi, żeby usiąść obok telefonu. Łapą podniosła słuchawkę, postukała dziobem w widełki. - Hallooo? - powiedziała do słuchawki głosem czułym i omdlewającym. Czubek na głowie ptaka wyprostował się, w głosie zadźwięczały tęskne nutki. - Jak się masz, kochanie? Stęskniłaś się za swoim popką? Bo ja tak tęskniłem, tak tęskniłem...

Popatrzyłem wstrząśnięty na papugę rozmawiającą przez telefon z jakimś „kochaniem”, które najwyraźniej mu odpowiadało, na dodatek coś równie głupiego i czułościowego. No nie, do pełni szczęścia jeszcze mi tylko brakowało zakochanej papugi!

- Gdzie jest telefon do archiwum, o który prosiłem dziesięć minut temu? - ryknąłem, gdy już obrzydło mi słuchanie niekończącej się litanii „kochań”, „ślicznotek”, „słoneczek” i kiedy zrozumiałem, że jeśli nie przerwę temu gadule, zapewne nie poznam numeru telefonu aż do wieczora.

Papuga łypnęła na mnie jednym okiem.

- Maleństwo, przepraszam cię, gości u nas pewien hałaśliwy i niewychowany diabeł... Tak, kochanie, najprawdziwszy diabeł. Nie, nie żartuję. Pamiętasz, kiedyś mówiłem ci, że mój pan ma w piekle bratanka? No więc, to właśnie on przybył w gości...

- Gdzie ten telefon?! - wrzasnąłem znowu. Z sufitu posypał się tynk.

- Tak, tak - powiedziała papuga do słuchawki. - Bardzo hałaśliwy młody osobnik. I strasznie niecierpliwy... Tak, prosi o telefon archiwum. Słoneczko, bądź tak dobra i zobacz... Tak, tak, ja rozumiem, ale diabły są takie niecierpliwe...

O nie! Diabły są bardzo cierpliwe... Ale nawet cierpliwość diabła ma swoje granice. Poszedłem do kuchni i wybrałem największą patelnię, jaką udało mi się znaleźć. Oceeniłem rozmiar, następnie wyjąłem z szuflady stołu wielki nóż. Zerknąłem jeszcze raz na patelnię, odstawiłem ją na bok, bo uznałem, że rondel będzie lepszy. Założyłem czapkę kucharską, po czym z nożem w jednej ręce i rondlem w drugiej zjawiłem się w przedpokoju. Papuga, zainteresowana moim strojem, na chwilę oderwała się od rozmowy.

- Masz zamiar coś ugotować? Słusznie, Monterrey

powinien mieć jakieś zapasy... Zaraz dowiem się o numer telefonu i zjemy obiad.

Bez słowa ruszyłem w stronę papugi.

- Przy okazji, co chcesz ugotować? - spytała jeszcze papuga. - Bo kaszy manny nie lubię, a kasza gryczana musi być zrobiona na sypko, bo inaczej traci smak.

- Zupę - oznajmiłem. - Z papugi.

- Zupę lubię - odparła melancholijnie papuga, słuchając paplaniny w słuchawce. - Co?! - zwołała, gdy wreszcie do niej dotarło. - Zupę... z... z... z... papu... papu... Nie możesz!

Zamachała skrzydłami, ale nie zdążyła wzlecieć - błyskawicznie wyciągnąłem rękę, chwyciłem ją za łapy.

- Nie możesz! - zawołała spanikowana papuga. - Profania! Na pomoc! Mordują własność pana!

Wtedy w przedpokoju zjawił się Profania z wielką deską i jakimś materiałem. Podał mi to wszystko, mówiąc:

- Master Ezergil, sugeruję rozłożyć to na podłodze, żeby nie zachlapać jej krwią, a na to położyć deskę - na desce łatwiej będzie pokroić tego zakochanego gadułę.

- Ach, więc to tak?! - darła się oburzona papuga, bezskutecznie usiłując wyrwać się z moich rąk. - Więc to tak dbasz o majątek pana! O, wszystko opowiem!

- Zwracam ci uwagę - powiedziałem spokojnie, kładąc papugę na desce - że po utracie głowy mówienie będzie dla ciebie sporym problemem.

- Ratunku! - wrzasnęła papuga. - Proszę, błagam, zlitujcie się nad sierotą! Już nie będę! Słowo!

- Master Ezergil, niech pan wali prędzej. Już

rozgrzewam piekarnik - rzekł Profania.

Uniosłem nóż nad łepkiem biednego ptaka.

- Litości! - zawyła papuga. Chyba naprawdę uwierzyła, że chcę ugotować z niej zupę.

- Prosisz mnie o litość? - uśmiechnąłem się swoim najbardziej czarującym uśmiechem. - Mnie, diabła? Musisz wiedzieć, diabły są bardzo miłe... jeśli tylko nie doprowadza się ich do ostateczności. Udało ci się mnie rozgniewać... To o co mnie prosiłeś?

- Więcej nie będę!

Koniuszkiem noża podrapałem się w policzek.

- Może by ci jednak uwierzyć? Z jednej strony, wkurzyłeś mnie. Ale z drugiej, kto poda mi numer telefonu, jak zrobię z ciebie zupę?

- Nikt! Jestem unikalnym ptakiem! Moja pamięć mieści szesnaście milionów sto czterdzieści trzy tysiące siedemdziesiąt dziewięć numerów telefonów!

Wzruszyłem ramionami.

- Chyba masz rację... - powiedziałem. Papuga odetchnęła z ulgą, a ja dodałem: - Ale na zupę też mam ochotę... - zamachnąłem się nożem i uderzyłem.

Przez chwilę panowała cisza, potem nad moim ramieniem zawisł Profania i spojrzał na papugę, która leżała na desce z zaciśniętymi powiekami, i na sterczący obok jej głowy nóż.

Papuga otworzyła jedno oko.

- Jestem już w raju? - szepnęła.

- Tak - odpowiedziałem szczerą prawdę. - A jeśli chcesz w nim pozostać, to radzę ci jak najszybciej podać mi numer archiwum.

Papuga otrząsnęła się, zerwała, zerknęła na wbity w deskę nóż i przerażona odskoczyła od niego, wpadając na rondel. Rozległ się huk, rondel poleciał w jedną stronę, papuga w drugą.

- Słuchaj no, ty gadająca książko telefoniczna sztuk jedna - powiedziałem głośno. - Dałem ci szansę. Ostatnią!

- Tak, tak, tak. - Papuga pokiwała głową, usiadła przy telefonie, znów zastukała dziobem w widełki. - Kochanie... - Papuga zerknęła na mnie, omal nie zadławiła się tym „kochanie”, więc powiedziała oficjalnym tonem: - Centralne biuro numerów? Poproszę pilnie telefon głównego archiwum raju. Nie jestem dla ciebie papuzią, kiedy pracuję! Tak, natychmiast! Tak, tak... Dziękuję. - Papuga znów zastukała dziobem. - Halo? Sekretariat głównego archiwum? Będzie mówił diabeł Ezergil. Tak, oddaję słuchawkę.

Ja i Profania popatrzyliśmy na siebie i uścisnęliśmy sobie dłonie.

- Zdaje się, że zaczynam rozumieć wasze diabelskie żarty - rzekł.

Uśmiechnąłem się.

- Poczekaj na jeszcze - szepnąłem, puszczając do niego oko i doznałem lekkiego szoku, gdy domowy odmrugnął.

Ku mojemu zdumieniu, na wizytę w archiwum umówiłem się bez problemów.

- Ezergil? - usłyszałem miły, łagodny głos. - Tak, mamy tu zezwolenie wypisane na pana, leży od dwóch



dni. Może pan przyjść, kiedy zechce, tylko proszę wziąć ze sobą jakiś dokument potwierdzający tożsamość.

Wszędzie ta biurokracja... Ale jak wujek zadziałał! Skoro zezwolenie leży od dwóch dni, to znaczy, że wystawił je, kiedy tylko wymyślił mi wakacyjną pracę. Czyli już wtedy wiedział, że się tu zjawię! O, wysokość rachunku, jaki wystawię mu za swoje wakacje, gwałtownie rosła... Miałem coraz większą ochotę porozmawiać z nim tak od serca.

Postanowiłem nie odkładać wyprawy do archiwum na później. Im wcześniej z tym skończę, tym lepiej.

Miasta w raju zawsze robiły na mnie niesamowite wrażenie - były naprawdę wstrząsające. Żeby porozkoszować się tym pięknem, poszedłem na piechotę. Taki spacer to i dla zdrowia lepiej, i zapewnia doznania estetyczne... Specjalnie szedłem tak, żeby minąć Niebiański Portal, który ludzie nazywają potocznie Bramą Raju. Tak naprawdę to wcale nie żadna brama, tylko słup jasnego światła. To właśnie tu przychodzą te wszystkie dusze, które trafiają do rajów. A potem... potem czeka je cały świat... Świat, który stworzą same, w którym to one są stwórcami. Nie mówię o tej żalostnej imitacji, którą ludzie opisują w książkach o świecie wirtualnym, mam na myśli prawdziwą rzeczywistość. Sami tego nie podejrzewając, ludzie są przyszłymi kreatorami. Nieskończona liczba wszechświatów została stworzona przez takich właśnie demiurgów. Ponieważ jednak do tak ważnego dzieła nie można dopuścić byle kogo, ludzie przechodzą różne próby, kolejne reinkarnacje na ziemi. Nasze zadanie

polega na wybraniu czystych dusz, które dowiodły swego człowieczeństwa. Nie wolno sądzić kogoś po jednym jedynym czynie, dlatego człowiek otrzymuje wiele szans, jego dusza odradza się po śmierci. I chociaż nie pamięta minionego życia, pozostaje w nim coś niezmiennego, coś, co towarzyszy mu zawsze, bez względu na to, czy przeszedł przez raj czy przez piekło. Coś podobnego dzieje się również na innych planetach, ale inne planety to już nie nasza działka, tam mają własne odpowiedniki diabłów i aniołów.

Z zaciekawieniem patrzyłem na lśniące portale. Tak bardzo chciałbym zajrzeć do jednego z nich... Niestety, ani diabły, ani anioły nie mogą tego zrobić... Odwróciłem się szybko, poszedłem dalej. Lśniące słupy emitowały czystą radość, ale ja czułem smutek, tęsknotę i żal.

Pospiesznie minąłem tę aleję. Wszedłem do parku, który stanowił jakby skansen pierwotnej przyrody, nie był jednak straszny czy przerażający. Pewnie ludzie z przyjemnością kręciliby tu swoje filmy... Hmm, a gdyby tak zaproponować aniołom wynajem? Nie, chwila, jaki wynajem? Czy ja mam zamiar być reżyserem? Ale pomysł nie był zły i można by go komuś podsunąć... Odwróciłem się, żeby popatrzeć na piękny las i dostrzegłem jakiś cień między drzewami. No nie! Ksefon! A już myślałem, że się od niego odczepiłem. Niech to licho! Teraz znów będę musiał się rozglądać, czy go gdzieś nie ma... Przez to, że się obejrzałem, nie zauważyłem cienkiego sznurka rozciągniętego w poprzek drogi. Oczywiście rymsnąłem, a gdy już

leżałem jak długi, spadło na mnie wiadro z wodą. Zirytowany odrzuciłem je na bok, wstałem i otrząsałem się. Ksefon zaśmiał się triumfalnie.

- No i co, mądralo? Wpadłeś! - wołał z pewnej odległości, rozsądnie nie podchodząc bliżej. - Myślałeś, że jesteś najmądrzejszy, co? Aha, przyszła kryśka na Matyska!

O dziwo, nie byłem wściekły, jedynie poirytowany, że dałem się tak podejść. A swoją drogą, Ksefon jest znacznie głupszy niż myślałem. Inteligencji wystarczyło mu jedynie na sznurek i wiadro... Słowo daję, na drabinie kariery nie wespnie się wyżej niż do rangi drobnego biesa; będzie się specjalizował w takich właśnie psikusach, niewymagających ani rozumu, ani wyobraźni. A w dodatku on naprawdę myśli, że ta pułapka była arcygenialna!

Wywróciłem kieszenie, ze smutkiem popatrzyłem na rozmiękłe bombki kichające. Teraz nie będzie z nich żadnego pożytku, po wysuszeniu proszek przemieni się w twardą grudę. Wyrzuciłem je w krzaki, poszedłem dalej. Jeśli Ksefon wyobraża sobie, że w ten sposób mnie powstrzyma... No nic, po prostu będę musiał bardziej uważać.

- Ej, czego nic nie mówisz? - zapytał Ksefon. Chyba ubodło go, że nie zareagowałem na pułapkę. - No i co, przemokłeś? Ale nieszczęście...

Nie zwracając na niego uwagi, opuściłem pierwotny las. Znów znalazłem się w mieście. Przechodnie ze zdumieniem zerkali na moje mokre ubranie, ale taktownie milczeli. Skoro chodzę w mokrych ciuchach,

to znaczy, że tak ma być. W rajku każdy ma prawo do różnych fanaberii. Ksefon szedł za mną krok w krok, udzielając mi drwiących rad lekko schrypniętym głosem. Uu, nieładnie... W rajku nie toleruje się kpin pod adresem innych... Kilka razy zwracano mu uwagę, ale Ksefon nie rozumiał, że lada chwila sprawy mogą przybrać poważny obrót. A ja śmiałem się w kułak. Skoro ten wagarowicz-pasjonat nie zna elementarnych zasad zachowania w rajku, to ja na pewno go nie oświecę. Zwłaszcza, że skrzydlaci nieraz go ostrzegali.

Jednak Ksefonowi znudziły się te kpinki, zanim przybył patrol. Szkoda... Patrol zwyczajnie wyrzuciłby go z rajku z zakazem pojawiania się tu przez co najmniej dziesięć lat. Ech, powinienem był udać, że te drwiny sprawiają mi przykrość, wówczas Ksefon nie poddałby się tak szybko i patrol w końcu by przyleciał...

Wszedłem do archiwum głównym wejściem, tamtejszy pracownik popatrzył na mnie z zaciekawieniem.

- Ee... młody człowieku! Tak chce pan wejść do archiwum? W mokrym ubraniu?

- A o co chodzi? - Udałem, że patrzę na siebie z zaciekawieniem. - Wykąpałem się po drodze, zrobił się upał...

- Ależ nic, nic. - Anioł zamachał rękami. - Nie miałem najmniejszego zamiaru ingerować w pańskie sprawy! Po prostu, rozumie pan, to jednak archiwum... Czy nie zechciałby pan najpierw wejść do tamtego gabinetu? Tam wysuszą panu ubranie. A gdy będzie pan opuszczał archiwum, znów pana namoczymy, to mogę

obiecać.

Zastanowiłem się.

- No, nie wiem... Mokre ubranie to taka miła rzecz podczas upału... Nie próbował pan? Proszę koniecznie tak zrobić, to naprawdę bardzo przyjemne!

Pracownik popatrzył na mnie z powątpiewaniem.

- Cóż, nie jestem chłopcem...

- No to co? Czy z tego powodu ma się pan męczyć? Przecież właśnie dlatego, że nie jest pan chłopcem, powinien pan bardziej troszczyć się o swoje zdrowie!

- Tak pan myśli?

- Oczywiście! Wie pan, jak to odświeża?

- Hmm, no, może... - powiedział bez przekonania. - Ale tak czy inaczej, do archiwum w mokrym ubraniu wchodzić nie wolno.

Skinałem ze smutkiem głową.

- Trudno, wobec tego się wysuszę... Czego się nie robi dla szkoły...

- Och! - zachwycił się anioł. - Jaki dobrze wychowany, pilny diabeł! A mojego nicponia za nic nie można zagonić do nauki. O, gdybyś poznał mojego syna, na pewno miałbyś na niego dobry wpływ!

Zastanowiłem się. Czego mógłbym nauczyć jego synka? Najwyżej pokazałbym mu, jak niedostrzegalnie ściągać na klasówce. A potem namówiłbym, żeby włąził do cudzego ogrodu. Hm, kuszące, kuszące. Szkoda, że nie mam czasu... A wszystko przez tę praktykę!

- Koniecznie musi mnie pan z nim poznać - uśmiechnąłem się. - Ale niestety, nie tym razem...

Szkoła, szkoła...

- Jaki miły diabeł... - słyszałem za swoimi plecami mamrotanie pracownika. - I jaki pilny w odrabianiu lekcji... A ty kim jesteś i dokąd się wybierasz?

Odwróciłem się. Ostatnie zdanie skierowane było do Ksefona, który właśnie usiłował przemknąć się do archiwum. Pracownik złapał go za ramię - Poproszę przepustkę. Masz przepustkę?

- Daj mi spokój, dziadku! - warknął Ksefon.

Westchnąłem. Ech, nie powinien był tego mówić...

- A jednak diabły bywają różne... Jeden uprzejmy i staranny, a drugi cham i prostak... - rzekł pracownik.

Ksefon nagle uniósł się w powietrze i z ponaddźwiękową prędkością opuścił hol archiwum.

Cóż, pewnie już tu nie wejdzie... Anioły są oczywiście bardzo łagodne, ale diabłów nie lubią. Właśnie dlatego należy postępować z nimi bardzo delikatnie, żeby czara ich wszechświatowej miłości nie wyschła pod palącymi promieniami diabelskiego chamstwa... Ale mnie wzięło na metafory! A Ksefona zrobiło mi się nawet szkoda... Ech, przecież wszyscy mu powtarzają: ucz się, ucz, bo zostaniesz tylko drobnym biesem.

W odróżnieniu od archiwum piekła, tutaj regały z aktami ludzi znajdowały się w przestronnej, jasnej sali. Jeśli nasze archiwum kojarzyło się z gigantyczną celą, to tutejsze bardziej przypominało bibliotekę. Bibliotekarz... tfu, archiwista zaprowadził mnie do jednego z regałów.

- Młody człowieku, tu jest to, o co prosisz. Jestem

szczerze rad, że nawet w waszej piekielnej szkole zaczęto zadawać zadania polegające na pomaganiu ludziom, a nie tylko karaniu ich. Kara to oczywiście dobra rzecz, ale jak mówił nasz nauczyciel: „Powiadam wam, że w niebiesiech więcej jest radości z jednego skruszonego grzesznika niż z dziewięćdziesięciu dziewięciu sprawiedliwych, nieczujących potrzeby skruchy”.

- Aha. A jeśli nie chce się ukorzyć, to trzeba mu trochę pomóc. I tutaj przydajemy się my, diabły.

Archiwista ściągnął brwi.

- No, młody człowieku, usiądź, usiądź.

Uu... I po co się wyrwałem z komentarzami? Cóż było robić, usiadłem pokornie w fotelu - ciągle miałem przed oczami wylatującego z holu Ksefona.

- Odnoszę wrażenie, że usłyszałem w twoich słowach drwinę, która w tym przypadku jest zupełnie nie na miejscu. Mówiłem przecież o szczerym i dobrowolnym żalu za grzechy.

Ta, jasne, szczerym i dobrowolnym. „Ukorz się, mój synu, bo jeśli nie, będziesz się smażył w piekle!” Te słowa wręcz emanują szczerością i dobrowolnością...

- Widzę, o czym myślisz - rzekł kustosz, a ja stałem się czujny - co on tam może widzieć? - Wątpisz... Ale to nic, z czasem sam to zrozumiesz. Popatrz... - Kustosz wyciągnął rękę, wyjął jedną cienką teczkę. - Widzisz? A teraz spójrz na drugie akta tego samego człowieka. - Klasnął w dłonie, podłoga rozjechała się, a w drugiej ręce kustosza pojawiła się druga teczka, prosto z piekła, grubości porządnej walizki.

Westchnąłem z zawiścią. Ech, gdybym ja tak umiał... Klasnąłbym w dłonie i proszę bardzo, mam do swojej dyspozycji archiwa i piekła, i raj, nie muszę latać tam i z powrotem.

- Jak sądzisz, dokąd trafił człowiek, którego akta właśnie oglądasz? Do piekła czy do raj? - spytał kustosz.

Oceeniłem na oko obie teczki - rajską miała grubość zeszytu.

- A współczynnik umniejszenia jest ten sam? - spytałem na wszelki wypadek, czując podstęp.

Kustosz skinął głową.

- Absolutnie.

- W takim razie do nas. Nasz klient.

Kustosz zaśmiał się cichutko.

- Patrzysz powierzchownie, a to błąd. Zapamiętaj, chłopcze: nigdy nie sądz człowieka po pozorach, najpierw zajrzyj w głąb jego duszy. Ten człowiek wcale nie jest waszym klientem. Przebywa teraz w raj! Wprawdzie jego dobrych uczynków jest znacznie mniej, jednak ich ciężar gatunkowy okazał się tak duży, że na Wadze Sprawiedliwości od razu przeważały.

Teraz popatrzyłem na teczki zupełnie inaczej...

- Dziękuję za naukę, kustoszu. - Skłoniłem się. - Ja... zapamiętam to.

- Umiesz słuchać. - Skinął głową. - To rzadki dar. Daleko zajdziesz... Tylko w którą stronę?

Teraz i ja się uśmiechnąłem.

- No jak to, w którą? Przecież jestem diabłem!

- Zgadza się. Ale i diabły są różne. Możesz stać się



takim, jak wasz Belzebub.

Wzdrygnąłem się. A kysz, a kysz, a kysz! Omal się nie przeżegnałem... A gdy się odwróciłem, kustosza już nie było. Ciekawe, więc nie mają zwyczaju pilnować gości? A może tak wszystkim ufają? Pewnie to drugie, w końcu to anioły - pomyślałem pobłaźliwie. Ale z drugiej strony okazane zaufanie bardzo mnie ucieszyło, nie miałem najmniejszej ochoty na żadne psikusy.

Podszedłem do regałów.

- No cóż, Zojo Nienaszewa. Popatrzymy na pani życie z tej drugiej strony. A zarazem obejrzymy dobre uczynki pani męża... - mruknąłem.

## Rozdział 5

Najpierw wziąłem akta męża Zoi, Wiktora Nikołajewicza Nienaszewa. Strasznie byłem ciekaw, jakie dobre uczynki ma na swoim koncie taki człowiek.

- Dzień dobry - powitała mnie teczka. - Trzyma pan w rękach akta Wiktora Nikołajewicza Nienaszewa. Życzy pan sobie zapoznać się z jego dobrymi uczynkami?

- Życzę - odburknąłem. Jeszcze trochę, a dostanę tiku nerwowego od tych nieustających uprzejmości. Tak chciałoby się usłyszeć swojskie: „Ezergil, durniu jeden, gdzie się pchasz?”.

Teczka tymczasem otworzyła się. Zobaczyłem zdjęcie młodego, całkiem porządnie wyglądającego mężczyzny. Szedł ulicami miasteczka, skromnie ubrany, z aktówką w rękę, zupełnie niepozorny. Idzie sobie, idzie...

- Student pierwszego roku Wiktor Nienaszew - wyjaśniła teczka.

- Pomocy! - rozległ się niespodziewany krzyk. Aż się obejrzałem zaskoczony, ale nie, krzyk dobiegał z teczki. Nie odrywając wzroku od teczki, podszedłem do okna, położyłem akta na stole, przysunąłem sobie fotel. Zobaczyłem, jak jakaś dziewczynka, na oko siedmioletnia, próbowała z brzegu rzeki dosięgnąć piłkę i wpadła do wody. Przechodzący obok Nienaszew bez wahania skoczył za nią.

Przypomniałem sobie rozmowę z kustoszem.

- Powiedz mi - zwróciłem się do teczki - ile taki czyn może ważyć na Wadze Sprawiedliwości?

- Tak właściwie niewiele, choć jednocześnie bardzo dużo.

- Wyjaśnij - poprosiłem chmurnie. - Nie mam ochoty na zagadki.

- To proste. Uratował ludzkie życie, a to bardzo dużo. Ale z drugiej strony, ten ratunek nic go nie kosztował, on sam niczym nie ryzykował. Gdyby, ratując tę dziewczynkę, sam znalazł się w śmiertelnym niebezpieczeństwie, gdyby z tą świadomością rzucił się na pomoc, taki czyn zostałby oceniony znacznie wyżej.

- Czyli wychodzi na to, że to jego wina, że nie groziło mu niebezpieczeństwo?

- Nie. Uratował ludzkie życie, zatem na wadze jego życia zostanie to wzięte pod uwagę.

- Dobrze, dajmy temu spokój, to dla mnie jeszcze zbyt skomplikowane. Popatrzmy, co mamy dalej.

W ciągu pół godziny miałem okazję obejrzeć Wiktora Nienaszewa w różnych sytuacjach. Widziałem go wyręczającego przyjaciela, pomagającego innym...

- Tatku, pomóż mi. - Czteroletni chłopczyk podszedł do ojca; Nienaszew roześmiał się i pochylił nad synem.

- Co się stało?

Malec podał mu zabawkę.

- O, tu się zepsuło...

Z pewnym zdumieniem patrzyłem, jak mężczyzna przyklęknął obok chłopca, żeby naprawić zabawkę. Widziałem czuły uśmiech, który pojawiał się na jego

twarzy za każdym razem, gdy zerkał na syna.

Patrzyłem na to i nie wierzyłem własnym oczom. Czy to był ten sam człowiek, który osiem lat później będzie w pijackim amoku lał chłopaka pasem za kradzież, której nie było? Ten sam, który był winien śmierci żony?

A potem zobaczyłem inną scenkę: Nienaszew przyszedł do domu, już wstawiony. Zoja wyszła do przedpokoju.

- Witia! - zawołała. - Gdzieś ty był! Tak się denerwowałam!

- No, na prezentacji...

- Nie mogłeś zadzwonić?!

- Mam bez przerwy dzwonić tylko dlatego, że moja żona idiotka denerwuje się z byle powodu?!

Zoja zbladła.

- Witia...

Mąż odepchnął ją i wszedł do mieszkania. O co tu chodzi?... Dlaczego ten epizod trafił właśnie do tej teczki, przecież wyraźnie powinien się znaleźć w naszej!

- Tato! - rozległ się przestraszony okrzyk. Przy drzwiach stał w piżamie nieco już starszy chłopczyk, wystraszony patrzył na ojca.

Wiktor Nienaszew zatrzymał się, jakby wpadł na ścianę. Przesunął dłonią po twarzy, odwrócił się gwałtownie, podbiegł do płaczącej żony.

- Boże! - wymamrotał. Co ja robię! Zoju, Zojeczko, wybacz pijanemu idiocie!

Padł przed żoną na kolana i objął ją. Obok nich

przykucnął chłopiec.

- Witia, czemu pijesz? Przecież ty zupełnie nie umiesz pić...

- Zojeczko, zrozum, przecież nie mogę inaczej... Powiedzą, że zadzieram nosa, że jak zostałem zastępcą dyrektora to już przestałem być z kolektywem...

- Gwiżdż na to! Przecież tak to i siebie zgubisz, i nas zadreczysz...

- Obiecuję, przysięgam, że będę pił mniej i tylko wino...

Zoja pokręciła głową. W tym momencie obraz zniknął. Dłuższą chwilę patrzyłem na czystą kartkę papieru, w końcu spytałem:

- Czemu to się tutaj znalazło?

- Pytasz, czemu ten epizod nie znalazł się w waszej diecezji?

- Tak. Moim zdaniem, ta scenka nie powinna liczyć mu się na plus.

- Mylisz się. Przecież przed chwilą mówiono ci, żebyś nie oceniał powierzchownie, tylko patrzył w duszę... Na Wadze Sprawiedliwości ten epizod będzie ważył więcej niż niejeden jego grzech.

- Ale dlaczego?

- A dlatego, że przeprosił, błagał o wybaczenie! Dlatego, że jego skrucha była szczerą i płynęła z głębi duszy, ty tępy diable. Nie widziałeś tego?

- Bardzo bym cię prosił, żebyś mnie nie obrażała! No i co z tego, że się ukorzył?

- A to, że szczerzy żal zmazuje winę!

- Czyli, gdyby szczerze żałował za śmierć żony, to

mu wybaczą?

- Tak, ale piekła nie uniknie, będzie jedynie etap czyśćca. Dostanie jeszcze jedną szansę, ale w tym celu musi się ukorzyć. Szczerze.

- Oo... - powiedziałem złowieszczo. - Już ja mu w tym pomogę! Będzie tak szczerze żałował, że wszyscy aniołowie zapłaczą! W końcu zacznie się troszczyć o syna, dusza jego żony uzyska spokój, a ja zaliczę tę przeklętą praktykę!

Teczka zacmokała... ee... językiem? No, po prostu zacmokała z wyrzutem.

- Nic nie rozumiałeś. Nie możesz zmusić go do ukorzenia się. Jeśli będzie żałował pod przymusem, gdzie tu szczerść? Możesz mu najwyżej pomóc uświadomić sobie stopień jego upadku, ale on sam musi dojrzeć do żalu, zrozumieć własną winę.

- A co ja jestem, anioł?! - zachnąłem się. - Taka pomoc to zadanie dla sił rajów, nie dla diabłów. A ja jestem diabłem!

- Tak? Rzeczywiście, zapomniałam. Ale czy jest ktoś, kto wiedziałby więcej o winie niż diabeł?

Już chciałem odrzucić tę przemądrzałą teczkę, ale ostatnia uwaga sprawiła, że przyhamowałem. Faktycznie, kto może wiedzieć więcej o winie? Warto by się nad tym zastanowić... Jednak nie tutaj, lecz w jakimś spokojniejszym miejscu... W tej właśnie chwili bardzo wyraźnie zrozumiałem, że rozwiązanie problemu tej... zbłąkanej duszy jest niemożliwe bez rozwiązania problemu jej rodziny. Ażeby rozwiązać problem rodziny, trzeba wyruszyć na ziemię. Na ziemię!!! O

mamusi! Jestem jeszcze za mały! Jestem za mały na takie rzeczy!

- No, wujaszku, niech ja cię tylko spotkam! - wymruczałem. - Nie będziesz się przede mną ukrywał w nieskończoność!

- Nie będę.

Odwróciłem się gwałtownie. Za mną stał uśmiechnięty wujek. No nie, jeszcze się uśmiecha!

- Wujku!

- Ciszej. Cii... Nie musisz krzyczeć. Od razu zniżyłem głos.

- Wujku, ale mi dałeś zadanie!

- A co ci się w nim nie podoba? Nieciekawe?

- Ciekawe? Ciekawe?! Wujku! Ja jestem diabłem, a ty mnie zmuszasz do wnikania w subtelności ludzkich stosunków! Żeby pomagać!

Wujek westchnął.

- Nie chciałbym tego mówić, ale bez względu na to, jaką pracę wybierzesz sobie w przyszłości, znajomość stosunków międzyludzkich bardzo ci się przyda. Przypomnij sobie, co mówił twój ukochany Mefistofeles...

Wujek wiedział, jak mnie podejść... Mefistofeles był w piekle postacią legendarną - ja osobiście wielbiłem go, zaczytywałem się jego życiorysami i w głębi ducha marzyłem o tym, żeby stać się podobnym do tej postaci. No dobrze, wszystko bardzo pięknie, ale coś mi tu nie gra. Anioł, który pomaga diabłu kroczyć drogą Mefistofelesa? Gdzieś tu musiała być pułapka - tylko gdzie?

- Wujku, z jakiej niby racji chcesz mi pomóc stać się drugim Mefistofeilesem?

- Och, to ci na pewno nie grozi. Jesteś zbyt utalentowany i niezależny, żeby być zwykłym naśladowcą, niechby nawet takiego wielkiego przedstawiciela sił piekielnych. - Zadarłem nos do góry, nieczęsto mam okazję słyszeć od wujka takie słowa. - Ja tylko chcę ci pomóc w odnalezieniu własnej drogi, nie życzę sobie, żebyś stał się potworem w rodzaju Belzebuba.

Lepiej nie wywołujmy wilka z lasu... Wprawdzie Belzebub był diabłem, ale zwyciężał głównie dzięki tępej sile. Ten najbardziej zajadły przeciwnik reform Gorujana w swoim czasie narobił w piekle sporo zamieszania...

- Wujku, a czy ty wiesz, że przez ciebie będę musiał wybrać się na ziemię?!

- Wiem. Więcej nawet, już zdobyłem dla ciebie zezwolenie z raju. Ta podróż da ci bardzo wiele - co by z ciebie był za diabeł, gdybyś nie poznał ludzkiej egzystencji od podszewki? Od dawna usiłuję przeforsować ten pomysł wśród aniołów. Całe życie spędzają w piekle czy raju, decydują o losach ludzi, a na ziemi nie byli ani razu. Jak tak można?

Westchnąłem ze smutkiem. Wiedziałem przecież, że dyskusja z wujkiem nie ma sensu - on i tak znajdzie sposób, żeby mnie przekonać. A tak się gorączkowałem, tak podskakiwałem! „Już ja mu nagadam, już ja mu powiem!” Aha, już mu nagadałem...

- Ale jestem jeszcze za mały! - użyłem ostatniego



argumentu. - Nie mam nawet stu dwudziestu lat! Skończę dopiero w przyszłym roku!

Wujek pogroził mi palcem.

- Nieczyste zagranie, Ezergilu. Czy to czasem nie ty udowadniałeś przy mnie swojej rodzinie, że jesteś już prawie dorosły? Podawałeś zresztą ten sam argument - tylko wtedy mówiłeś, że *już* masz sto dwadzieścia lat.

Szach.

- Ale skoro tak się opierasz, możesz zrezygnować z tego zadania. Najwyżej stracisz rok, cóż się takiego stanie?...

I mat.

- Niech wujek już da to zezwolenie - burknąłem.

W oparciu o porozumienie, osiągnięte przez Gorujana, diabły mogły odwiedzać ziemię wyłącznie za pozwoleniem aniołów - i na odwrót. Zezwolenia były w zasadzie czystą formalnością, ale pomagały kontrolować liczbę aniołów i diabłów przebywających na ziemi. Ogólnie powinno ich być mniej więcej po równo. Ciekawe, komu piekło pozwoliło wyruszyć na ziemię w zamian za moje zezwolenie?

- Gratuluję ci, Ezergilu. Podjąłeś słuszną decyzję. Ta podróż zmieni cię, sam zobaczysz. Nie wiem, czy na lepsze czy na gorsze, ale zmieni. Jednak ja w ciebie wierzę.

Wielkie dzięki, wujaszku, za dobre słowo. Nie wyobrażasz sobie nawet, jak mi pomogłeś.

- Chcesz tu jeszcze coś obejrzeć? Zerknąłem na dwie leżące przede mną teczki.

- Nie... Obejrzałem już wszystko, co mnie

interesowało. W ogólnych zarysach sprawa jest jasna, a szczegóły i tak poznam na miejscu.

- W takim razie chodźmy.

Odłożyłem akta i poszedłem za nim. Przy wyjściu wujek objął mnie ramieniem.

- Nie przejmuj się tak... Na pewno spodoba ci się na ziemi, to gwarantuję. Jak więc, lecimy?

- Lecimy - skinąłem głową.

Wujek przytrzymał mnie i wzlecieliśmy. Ostatnie, co zobaczyłem to okrągłe ze zdumienia oczy Ksefona wyglądającego zza ogrodzenia. Pewnie czekał tam na mnie, obserwując wyjście...

Przed wejściem do domu wujek gościnnie otworzył przede mną drzwi.

- Wchodź, Ezergilu. Czuj się jak u siebie w domu...

- ...ale nie zapominaj, że jesteś w gościach - dodałem.

Wujek parsknął śmiechem, wskazał pokój gościnny.

- Posiedź chwilę, muszę zadzwonić w jedno miejsce...

Skinąłem głową, wszedłem do pokoju i klapnąłem na fotel. Wziąłem ze stoliczka jakieś czasopismo, zacząłem je obojętnie przeglądać.

- Halooo? - usłyszałem z przedpokoju omdlewający głos. - To ja, słoneczko... Stęskniłaś się za swoim papuzią?

Po chwili dołączył do mnie wujek, rzucając ponure spojrzenia na korytarz.

- Głupie ptaszysko - burknął. - Teraz będzie przez dwie godziny bajdurzyć z tym swoim słoneczkiem. Że też musiał się zakochać akurat w papudze z centralnego

biura numerów! Próbuję go wychować, wzbudzić w nim szacunek do obowiązków, do pracy... Stopniowo się przyzwyczajają, teraz już coraz krócej rozmawia...

Taaak... Najwyraźniej wujek zbyt długo jest aniołem, traci umiejętności...

- Wujku, a jak go wychowujesz?

- Poprzez miłość i troskę oczywiście! Poczekaj, za rok zmieni się nie do poznania!

- Aha - skinąłem głową. - Za rok, za dwa. Dokąd wujek chciał dzwonić?

- Do biura zarachowania przemieszczeń. Muszę ustalić pewne rzeczy odnośnie twojego zezwolenia.

- Doskonale. - Wstałem i poszedłem do przedpokoju.

Zdumiony brat ojca poszedł za mną. Bez słowa podszedłem do telefonu, nacisnąłem widełki. Papuga z niezadowoleniem machnęła skrzydłami.

- Monterrey, jak ci nie wstyd, przer... - W tym momencie ptak spostrzegł, że wcale nie rozmawia z Monterreym. Czubek na jego głowie szybko opadł.

- Potrzebny mi numer biura zarachowania przemieszczeń - powiedziałem z uśmiechem. Papuga wzdrygnęła się.

- W tej chwili! Centralne biuro numerów? Ile razy mam ci mówić, że jak jestem w pracy to nie jestem papuzią! Tak, pilne zapytanie, tak, numer do biura zarachowania przemieszczeń. Rozumiem... - Papuga zaczęła naciskać dziobem przyciski. - Biuro zarachowania przemieszczeń? Łączę rozmowę. Będzie z wami rozmawiał dia... - wskazałem palcem wujka, papuga skinęła głową. - Najmocniej przepraszam.

Będzie rozmawiał anioł Monterrey. Oddaję słuchawkę.

Wziąłem słuchawkę z łapy papugi, niedbale podałem ją wujkowi i oparłem się o ścianę.

- Zamawiał pan rozmowę? - zapytałem niewinnie.

Wujek wytrzeszczył oczy, patrząc to na mnie, to na papugę, która siedziała na swojej żerdzi niemalże na baczność, a potem wziął ode mnie słuchawkę. Wróciłem do pokoju.

Wkrótce potem przyszedł wujek, usiadł naprzeciwko, tarł dłonią podbródek, przyglądając mi się uważnie. Udawałem, że tego nie widzę. Wreszcie mój krewny przerwał ciszę.

- Tak, Ezergilu... Zawsze wiedziałem, że jesteś zdolnym dzieckiem... Diabeł, który zdołał skłonić moją papugę do poważnego traktowania swojej pracy daleko zajdzie. Powiedz, jak ci się to udało? Żebyś wiedział na przyszłość...

Wzruszyłem ramionami.

- Naprawdę, wujku, nie wiem, co powiedzieć. Obawiam się, że mój sposób nie będzie dla ciebie odpowiedni. Mnie udało się ją wychować diabelskimi żartami.

- Diabelskimi żartami?

- No tak, trochę sobie pożartowałem.

Wujek popatrzył na mnie podejrzliwie.

- Słowo daję, że żartowałem. - Przyłożyłem rękę do piersi. - Może wujek zapytać Profanię. Zaprzyjaźniliśmy się. To taki sympatyczny domowy...

- Zaprzyjaźniłeś się z Profanią?!

- A co w tym dziwnego?

- Ano faktycznie, właściwie nic. - Wujek pokręcił głową. - Dobrze, wróćmy do naszych spraw. A więc, dogadałem już ostatecznie szczegóły i z rajem, i z piekłem. Otrzymałeś zezwolenie. Ponieważ jednak nie masz jeszcze ogona, nie możesz samodzielnie podróżować, więc w pewnym sensie na ziemi będziesz musiał nie tyle grać rolę człowieka, co stać się nim.

W tym momencie rozległ się dzwonek do drzwi, wujek wstał.

- O, to chyba właśnie to, na co czekałem. Jedną chwileczkę...

Wyszedł, żeby za chwilę wrócić z jakąś paczką, położył ją na stole i zaczął otwierać. Już wkrótce na stole pojawił się notes, jakaś instrukcja, długopis i dokumenty.

- To z biura kontroli - wyjaśnił wujek. - Oraz moje osobiste zamówienie, mam na myśli ten notes. Tak naprawdę to wcale nie jest notes, lecz ostatni krzyk techniki. Bierz, przyda ci się.

Wziąłem przedmiot, obróciłem go w rękę.

- I po co mi to? Co mam z nim zrobić?

- To jest środek łączności, na czarną godzinę. Gdyby stało się coś nadzwyczajnego, napisz w nim do mnie, a ja przyjdę cię zabrać. Tylko pamiętaj, nie będzie potem można odesłać cię z powrotem, więc wezwanie oznacza zawalenie sprawy.

- Wspaniale. A jeśli go zgubię?

- Postaraj się po prostu tego nie zrobić. Przy okazji, dla ludzi notes jest niewidoczny i niewyczuwalny, jeśli go nawet zgubisz, nic strasznego się nie stanie... Aha,

ma jeszcze jedną funkcję, która może ci się przydać. Jest połączony z archiwami piekła i raju, więc gdybyś potrzebował jakichś informacji z dowolnego archiwum, tym długopisem piszesz w nim zapytanie.

- Wow! - Chwyciłem długopis i napisałem *Nienaszewa, Zoja Pawłowna, akta*. Litery zniknęły, za to na kartce notesu pojawiło się znane mi już zdjęcie młodej kobiety. Potem zobaczyłem kadry z jej życia z objaśnieniami. - Super! - Zamknąłem notes i wsunąłem go do kieszeni. - Czad. Szkoda, że go wcześniej nie miałem, nie musiałbym latać między rajem i piekłem.

- Nie próbuj iść na łatwiznę, Ezergilu. Zresztą, notes i tak by ci nie pomógł. To tylko środek łączności z ograniczonymi możliwościami. Na przykład, nie możesz przy jego pomocy przeprowadzić wyszukiwania, a raczej możesz, ale w stopniu bardzo ograniczonym.

- I tak jest super. A co jeszcze?

- A co byś jeszcze chciał? Cała reszta to tylko dokumenty dla różnych urzędów...

- Świetnie. Wujku, nie ma wujek pojęcia, jak się cieszę - powiedziałem, ale moja mina świadczyła o czymś wręcz przeciwnym.

Wujek poklepał mnie po ramieniu.

- Nie bój się, dasz radę. Przecież nie chcesz przez całe życie siedzieć za biurkiem?

- Oczywiście, że nie!

- No właśnie. I to jest twoja szansa.

Ach, no tak, oczywiście. Jak to powiedział wujek? Damy radę? Damy. Tylko muszę wszystko dobrze

przemyśleć... Wyprawa na ziemię to nie spacer do raj, gdzie regularnie chodzi ekspres. To nie w kij dmuchał... Przede wszystkim muszę się zastanowić, co ze sobą zabrać, w jakiej postaci zjawić się na ziemi i jeszcze poczytać o ostatnich wydarzeniach... Wyprawa na ziemię to zbyt poważna sprawa, żeby załatwić ją na łapu-capu. Popatrzyłem badawczo na wujka.

- Wujku, wujek bywa na ziemi, prawda? Co by mi wujek radził, jaką przybrać postać? Zjawić się tam jako bogaty synek nowego Ruskiego?

Wujek skrzywił się.

- Jak wy, diabły, lubicie komfort... Ezergilu, odpowiedz mi na jedno pytanie: z kim masz zamiar najczęściej spotykać się na ziemi? Z nowymi Ruskimi, czy ze zwykłymi ludźmi? A jeśli ze zwykłymi ludźmi, to jak planujesz to zrobić, będąc w postaci bogatego synka?

Podrapałem się w czoło.

- Faktycznie, o tym nie pomyślałem.

- Zapamiętaj, jedna z zasad kontaktów brzmi: jeśli chcesz coś z kimś zrobić, musisz znaleźć się na poziomie tego kogoś.

- Dobrze, wujku. A może mi wujek coś doradzić? Jak powinienem zadziałać?

- Aa, w tej kwestii to już zostawiam ci wolną rękę.

Dzięki, wujaszku, zawsze wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć.

- Nie masz co tak ciężko wzdychać. W końcu nie spodziewasz się chyba, że odrobnię za ciebie twoją letnią praktykę? Ale nie martw się, nie zostawię cię bez

pomocy. A teraz radzę ci zrobić rzecz następującą: zapomnij na razie o wszystkich swoich problemach i chodźmy się przejść. Oprowadzę cię po mieście... Zdaje się, że nie byłeś tu trzydzieści lat? Zobacysz, jak się wszystko zmieniło...

- Ale, wujku...

- Wiem, wiem, możesz mi jednak wierzyć: tej sprawie dobrze zrobi, jeśli przez chwilę przestaniesz o niej myśleć. To jak?

- Z przyjemnością, wujku.

\*

Kilka następnych dni minęło jak we mgle. Po wycieczce wujek zamówił dwa bilety do piekła, pojechał ze mną w charakterze wsparcia - jak się okazało, na całe szczęście. Na wieść o wyprawie na ziemię mama urządziła regularną histerię.

- Co?! Ja mam tam puścić moje dziecko? Do tych rozpuszczonych, okrutnych, bezczelnych ludzi?! Oni go zepsują! Nauczą go różnych świństw!

- Diabła? - zapytał uprzejmie wujek.

- Tak! Ci ludzie... ci ludzie... Nigdzie go nie puszczę, koniec, kropka! Niech zostanie na drugi rok! Wolę, żeby został na drugi rok, niż miałabym go pochować! No co takiego, jeszcze jeden rok pouczy się w tej samej klasie!

- Ale mamo, no co mi może grozić na ziemi?

- Jak to co?! A ci popi, wiecznie machający swoimi śmierdzącymi kadzidłami? A te beczki z tak zwaną święconą wodą? A różne święte miejsca? A te ich



cerkwie, synagogi, meczety?

- Ale ja nie mam zamiaru tam chodzić!

- Tylko byś spróbował! Przez tydzień nie mógłbyś siedzieć na tyłku! Nigdzie cię nie puszczę!

- Cicho, kobieto! - huknął milczący do tej pory ojciec. - Lepiej pomóż mu się spakować.

- Nie puszczę!

- Puścisz! Chcesz, żeby został maminsynkiem?

- Niech sobie będzie maminsynkiem, ale za to żywym!

Wujek i ojciec popatrzyli na siebie, a w oczach obu można było wyczytać to samo: „Te kobiety!” Ja tymczasem zastanawiałem się nad pewną sprawą. Jeśli teraz pokażę, że się waham, mama postawi na swoim i nigdzie nie pojedę. Dzięki temu nie będę musiał nic robić, o niczym decydować. Wprawdzie zostanę na drugi rok - wielkie mi co... Ale jednocześnie czułem, że jeśli tak postąpię, stracę szacunek dla samego siebie. A czy bez szacunku można coś w życiu osiągnąć? Przecież chciałem coś osiągnąć! Perspektywa bycia drobnym urzędnikiem, tak jak mój brat, zupełnie mnie nie pociągała. I dlatego milczałem, pozwalając ojcu i wujkowi załatwić sprawę z mamą. Byłem pewien, że zrobią to lepiej ode mnie.

W tej nierównej walce mama była z góry skazana na przegraną i wkrótce pogodziła się z tym, co nieuchronne.

Pozostawała jednak kwestia pakowania i wiedziałem, że tu już mama nie odpuści. Zapowiadało się pasjonujące widowisko... Zwłaszcza, gdy mama zaczęła

wkładać do walizki różne ciepłe rzeczy.

- Na ziemi jest tak zimno! - mówiła.

Spojrzałem na rosnącą stertę walizek i toreb, i zrobiło mi się słabo. W końcu nie wytrzymałem - poszedłem na spacer, zostawiając wujka i ojca sam na sam z mamą.

Poszedłem na plac zabaw, usiadłem na koniku na karuzeli i w zadumie podparłem podbródek dłonią. Szczerze mówiąc, jeszcze sam nie wiedziałem, czy ta podróż mi się uśmiecha, czy nie.

- Kręcisz się?

Podniosłem głowę i napotkałem spojrzenie młodzieńczego, może pięćdziesięcioletniego diabła.

- Zająłem twojego konika? - domyśliłem się. -  
Przepraszam. Chodź, pomogę ci.

Podsadziłem malucha, zakręciłem karuzelę. Mały aż piszczał z radości, a ja i tak nie miałem nic innego do roboty, więc zacząłem „pracować” jako silnik. Wkrótce przybiegły inne dzieciaki, rozbrzmiał śmiech... O dziwo, ja też poweselałem. Najwyraźniej dobrze zrobiło mi takie oderwanie się od szkolnego zadania, a skoro tak, to powinienem oderwać się na maksa. Już wkrótce bawiłem się z dziećmi w koniki, skakałem z nimi przez przeszkody... W końcu jednak wszyscy się zmęczyli, ja też zaległem na trawie, odchyliłem głowę. Wtedy ktoś nade mną stanął. Otworzyłem jedno oko. Zobaczyłem tego samego malucha.

- A czemu z początku byłeś taki smutny? - zapytał.

Podniosłem się na rękach. Ale uparty szkrab... I co mam mu odpowiedzieć?

- A dlaczego myślisz, że byłem smutny? Może tylko

zamyślony?

- I smutny, i zamyślony.

Przyjrzałem mu się, spoglądał na mnie z jakąś niedzięciącą powagą... Aha, ani chybi przyszły anioł! Nie poradzi sobie wśród diabłów, za bardzo przejmuje się cudzymi problemami. Przed Gorujanem pewnie by tu umarł z rozpacz, a teraz ma szansę. Bardzo możliwe, że będzie z niego całkiem niezły anioł... Posadziłem malca obok siebie.

- Widzisz, dostałem w szkole pewne zadanie. Ale żeby je wykonać, muszę wyjechać daleko i być może na długo. Poza tym, zadanie wcale nie jest proste, więc nie wiem, czy sobie poradzę...

- Nie - powiedział nagle mały. Drgnąłem i spojrzałem na niego; siedział zapatrzony w dal. - Jeśli wątpisz, to sobie nie poradzisz. Jak ja zaczynam się wahać, to nigdy mi nic nie wychodzi. Na przykład chciałem kiedyś zbudować wieżę z klocków, bardzo wysoką. Zacząłem, buduję, a potem zacząłem się wahać, a ona wzięła i runęła.

Uśmiechnąłem się. Dziwny maluch. A szkrab niespodziewanie popatrzył na mnie.

- Nie zastanawiaj się. Po prostu zechciej i zrób. Jesteś dobry, wiesz? - powiedział nagle, a potem podał mi rękę i powiedział: - Do widzenia.

Odruchowo uścisnąłem podaną dłoń. Jeszcze nikt nigdy nie nazwał mnie dobrym... Mały wstał, otrzepał się i poszedł sobie z podwórka.

- Hej! - krzyknąłem za nim. Malec odwrócił się, a ja skinąłem mu głową i zawołałem: - Dziękuję!

Pomachał mi ręką, też kiwnął głową. A potem odwrócił się i pobiegł.

- Aha, czyli po prostu muszę wziąć i zrobić - prychnąłem. - Nic prostszego. A co, właśnie, że wezmę i zrobię, wszystkim diabłom na złość. W końcu jestem Ezergilem! Już usłyszą o mnie i w piekle, i w raju!

- Chwalipięta! - dobiegło mnie z tyłu. Odwróciłem się; za mną, bezczelnie uśmiechnięty, stał Ksefon.

- A, to ty - rozciągnąłem usta w złośliwym grymasie.  
- Jak ci się spodobał lot w raju? Administrator ministerstwa kar też pewnie podziękował ci za pomoc, co? A archiwista? Wita cię serdecznym uśmiechem?

- A co u ciebie? Już wysuszyłeś ubranie? - sparował Ksefon.

- O tak - uśmiechnąłem się jeszcze szerzej. - Przy okazji, dzięki za kąpiel, bardzo mi pomogłeś. Na dworze był taki upał... Ech, żałuję, ale muszę cię pożegnać. Wyjeżdżam i mam nadzieję, że nie spotkam cię tam, dokąd jadę.

- Na ziemi? Oho, ho, ale się wystraszyłem! Świetnie o tym wiem i na pewno się tam zobaczymy! Jak tylko dostanę zezwolenie!

Co za głupek! Jeśli szykujesz pułapkę, po co o tym krzyczeć? Mój umysł od razu przygotował się do biegu z przeszkodami. Ksefon wie, że wybieram się na ziemię.

Ale jeśli dowiedział się o tym niedawno, to dopiero dziś zaczął starać się o zezwolenie. A skąd się w ogóle dowiedział? No tak, łańcuszek nie był długi... Zezwolenia są ustalane z ministerstwem kar - bo to

właśnie ono jest u nas w piekle najważniejszą instancją... A to znaczy, że zapytanie szło przez ręce administratora. Ten może nie życzyć sobie Ksefona w ministerstwie, ale za murami urzędu może się stać sprzymierzeńcem mojego przeciwnika. Oczywiście, musiał nieźle zakombinować, żeby przekazać tę wiadomość Ksefonowi i nie złamać warunków umowy Wikeszy z dyrektorem, ale przecież jest diabłem... Tak czy inaczej, Ksefon wie o mojej podróży. Popatrzyłem na niego. Najwyraźniej niedawno wrócił z raju, może z godzinę temu i od razu zaczął swoje starania. Na pewno nawet tym swoim kurzym mózdzkiem rozumie, że nie może pozwolić, abym za bardzo wysunął się do przodu. Ech, nie powinien był mówić, że wie o mojej podróży... Uniosłem brew.

- Ach tak? No cóż, dzięki za informacje, wezmę cię pod uwagę w moich planach. A właśnie, powiedz, dlaczegoś się do mnie przyczepił? Nie dostałeś żadnego zadania na wakacje? Ach, no tak, przecież jesteś u Wikientija! On nie będzie obciążał swojego pupilka...

Ksefon wściekł się, chyba zrozumiał, że niepotrzebnie się wygadał.

- Moje zadanie nie powinno cię obchodzić! Robię to, co mi się podoba! A ty i tak nie zrobisz swojej pracy praktycznej, już ja się o to postaram! Zostaniesz na drugi rok!

Roześmiałem się, zaklaskałem w dłonie.

- Brawo, Ksefon! Jesteś wspaniały! Jestem dla ciebie pełen podziwu!

Ksefon odwrócił się na pięcie i poszedł, a ja śmiałem

się dalej. No nie, ten Ksefon naprawdę ma talent! Nawet gdybym nie wiedział o zakładzie Wikeszy i dyrektora, to teraz, gdybym tylko chciał, wyciągnąłbym wszystko z tego głupka. Przecież tak właściwie powiedział mi o tym wprost! A skoro tak, otrzymałem świetny pretekst, żeby zepsuć humor jeszcze jednej osobie... Uśmiechnąłem się złośliwie - jaki diabeł odmówiłby sobie takiej przyjemności? Poszedłem do najbliższego telefonu.

- Halo? Pan Wikientij? To pan? Mówi Ezergil. Tak, tak, pański uczeń. Chciałbym złożyć protest... Mam prawo... W jakiej sprawie? Otóż właśnie rozmawiałem z Ksefonem... Nie... Tak... A właściwie to on rozmawiał ze mną... Podeszedł i zaczął się ze mnie naśmiewać, a potem oznajmił, że zrobi wszystko, co w jego mocy, żeby przeszkodzić mi w wykonaniu mojego zadania praktycznego. Tak, ja również myślę, że to idiota... I na kretyna też się zgadzam. Co? No nie, to już przesada... Chociaż nie, dobrze, do tego też mnie pan przekonał. No więc, panie Wikientiju, do czego zmierzam... Mam wrażenie, że on już wykonał swoje zadanie... To znaczy, to nie moja sprawa, jednak mogę postawić tę kwestię na zebraniu pedagogów... Jakie zarzuty? Bardzo konkretne: co za letnie zadania otrzymują niektórzy uczniowie, skoro starcza im czasu na przeszkadzanie innym w wykonywaniu pracy? Ja na przykład zrywam się skoro świt i cały dzień jestem na nogach. Nawet gdybym chciał, nie starczyłoby mi czasu na przeszkadzanie komuś... Co? Dlaczego dzwonię z tym do pana? No przecież to pan jest opiekunem Ksefona,

do kogo innego mam dzwonić? Zresztą, skoro pan nalega, mogę wykonać telefon do dyrektora szkoły. Co? Nie trzeba? Dlaczego? Ach, da pan Ksefonowi nauczkę... Będę zobowiązany. I jeszcze jedno, proszę pana... Sam pan rozumie, że jeśli Ksefon stanie mi na drodze w czasie wykonywania zdania, będę miał prawo zrobić z nim wszystko, co tylko zechcę. Przeszkadzanie uczniowi w praktyce to nie żarty... Krótko mówiąc, w razie czego Ksefon będzie mógł mieć pretensje wyłącznie do siebie.

Odłożyłem słuchawkę i oparłem się o ścianę, omal się po niej nie zsuwając. Wyobraziłem sobie, jak Wikientij teraz miota się i ryczy. Zachichotałem. Dużo bym dał, żeby posłuchać rozmowy wychowawcy z Ksefonem, do której niechybnie dojdzie w najbliższym czasie...

W poczuciu satysfakcji z dobrze wykonanej pracy udałem się do domu. Jutro rano opuszczam rodzinę i wyruszam na ziemię, żeby wykonać prawdopodobnie najdziwniejsze zadanie w historii piekła. I nie nazywam się Ezergil, jeśli go nie wykonam! Jak tam mówił ten maluch? Pójdę i zrobię!

**Część druga**

**Anioł i diabeł**



## Rozdział 1

Pakowanie mogłoby trwać znacznie krócej, gdyby nie to, że rodzice postanowili mi pomóc - dlatego cały proces zajął dwa dni, a nie dwie godziny. Zastanówmy się, czego tak właściwie będę potrzebował w tej podróży? Ubranie na zmianę, ludzkie pieniądze i różne rzeczy do drobnych psikusów. No bo jaki diabeł pojedzie gdziekolwiek bez kichających bomb, śmierdzących min czy proszku świerzbowego? Ja spakowałem się dość szybko, ale rodzice nie mogli dojść do porozumienia w kwestii „co dziecko ma wziąć na drogę”. Wujek próbował włączyć się do tego sporu, jednak został z miejsca odpalony.

- Jak będziesz miał własne dzieci, to będziesz im mówił, co mają brać! - ryknął ojciec.

Popatrzyliśmy na siebie z wujkiem i westchnęliśmy. Wstałem, wyszedłem z pokoju, wujek poszedł za mną.

- Jak myślisz, długo to potrwa? - zapytał, słuchając rozkręcającej się kłótni.

- Co najmniej dobie.

- I co masz zamiar robić?

- Zaczekać, a potem poszukać miejsca, w którym mógłbym złożyć większość tych rzeczy, które mi spakują.

- Co za przebiegłość! - uśmiechnął się brat ojca. - Cóż, w takim razie pomogę ci. Będziesz mógł zostawić wszystko na przechowanie u mnie w domu. A teraz

chodź, przejdziemy się po sklepach popatrzeć, czego faktycznie potrzebujesz.

- Czyli nie ufasz moim rodzicom, wujku? Nie wierzysz, że spakują coś pożytecznego?

Milczał. Widać było, że racje pedagogiczne walczą w nim z niechęcią do kłamstwa. Patrzyłem na niego z zainteresowaniem, ciekaw, co w końcu zwycięży. Jako anioł nie mógł skłamać, nie mógł też krytykować przy dziecku najbliższych. W końcu zdecydował się na kompromis.

- Niektórzy rodzice - zaczął powoli, starannie dobierając słowa - rozsądną troskę o potomstwo zamieniają w nierozsądną, co przeszkadza dzieciom w samodzielnym rozwoju. Nie wiadomo, co z takich wyrośnie...

- Czyli wujek uważa, że moi rodzice troszczą się o mnie nierozsądnie? - zapytałem wesoło.

- Twoja mama na pewno. Ale powiem tak: tobie wystarczy rozumu i talentu, żeby uniknąć jej nadmiernej opieki.

To nie moja wina, że optymistyczne założenie, iż pakowanie potrwa jeden dzień nie sprawdziło się zupełnie. Nie przypuszczałem, że kłótnia rodziców przejdzie w fazę ZASADNICZĄ. W takich wypadkach potrzebują co najmniej trzech dni na znalezienie kompromisu. To, że wyrobili się w dwa i tak było sukcesem... Wreszcie, po zakończeniu awantury, w przedpokoju wyrosła spora górka bagaży:

Walizki - sztuk 2.

Torba podróżna - sztuk 1.

Niewielka torba podręczna - sztuk 5.

Plecak - sztuk 1.

Przez jakiś czas przyglądałem się stercie bagaży, a potem zaciekawiony zajrzałem do jednej z toreb. Buty, ubrania, latarka... Zajrzałem do drugiej - niemalże to samo!

- Zdaje mi się, czy tu jest to samo? - powiedziałem.

- A jak zgubisz jakąś torbę? - wytknęła mi mama. - Przecież jesteś taki roztargniony!

- No, jeśli chodzi o gubienie swoich rzeczy - po prostu genialny - rzucił złośliwie brat.

Zerknąłem na niego. Dobrze mu się śmiać... A ja będę musiał to wszystko dźwigać! Rozdrażniony, kilka razy tknąłem palcem w stertę pakunków i narysowałem krąg w powietrzu. Wszystkie walizki, torby i plecaki uniosły się w powietrze. Poszedłem do wyjścia, bagaż pofrunął za mną. Na szczęście wujek przekonał rodziców, że nie ma sensu, by mnie odprowadzali - nie mam pojęcia, jak mu się to udało - więc sam, jedynie w towarzystwie latających bagaży wyszedłem na ulicę i ruszyłem Aleją Diabelską. Wtedy znienacka wpadłem na Grońkę, kolegę z klasy. Grońka wytrzeszczył oczy.

- Wyrzucili cię z domu? - spytał.

Odwróciłem się, obrzuciłem wzrokiem lecące za mną torby. Z boku faktycznie mogło to tak wyglądać.

- Nie. Widzisz... - Rozejrzałem się na boki. - Tylko na razie to tajemnica... Przysięgnij, że nikomu nie powiesz!

Grońka wyraźnie się zainteresował, aż poruszył uszami.

- Chodzi o to - zacząłem poufnie - że dostałem spadek. Zmarła daleka krewna, która nigdy nie lubiła mojej mamy, chociaż pochodziły z tej samej rodziny, dlatego rzadko u nas bywała. No i wszystko zostawiła mnie zamiast matce. Rozumiesz? Właśnie idę obejrzeć spadek. Niektóre rzeczy od razu przeniosę do nowego domu. Tylko pamiętaj, nikomu ani mru-mru...

- Przysięgam - obiecał Grońka, wpatrując się we mnie okrągłymi oczami. - Dobra, muszę lecieć... Mam mnóstwo spraw...

Odprowadziłem go wzrokiem. Ciekawe, po jakim czasie wszyscy będą wiedzieć, że dostałem spadek? Biorąc pod uwagę rezolucję Grońki, dałem mu godzinę. Tyle razy mówiliśmy, żeby nie wierzył we wszystko, co mu opowiadają „w wielkiej tajemnicy”, a ten ciągle swoje... Więc już nikt mu nie wierzy... Znowu się będą z niego śmiali... No i słusznie, plotkarz pierwszy dostaje baty.

Wujek czekał w wynajętym samochodzie za rogiem domu. Na widok lecącego za mną bagażu gwizdnął.

- No, no, twoi rodzice naprawdę się postarali! Dobrze, jedziemy do mnie. Tam spakujemy cię normalnie i ruszysz w drogę. Nie boisz się?

Nie powiem, żebym się bał czy martwił, jednak serce jakoś mi tak szybko biło. I ręce mi się pociły... Ale uparcie potrząsałem głową.

- Zuch - pochwalił mnie wujek. Powrzucał moje rzeczy do bagażnika, otworzył drzwiczki, siadł za kierownicą i pojechaliśmy.

- Na dworzec? - zapytałem.

- Nie. Nie lubię pociągów. Polecimy.

- O rany! - nie wytrzymałem. Ostatnio coraz więcej ludzkich wynalazków przenikało do naszego świata. A przecież pamiętam czasy, gdy diabły jeździły na skrzypiących wózkach zaprzężonych w kozły! O, anioły zawsze wolały latać, przecież mają skrzydła... Ale i u nas pojawiły się samochody, pociągi, a nawet samoloty! Oczywiście, z pewnymi naszymi dodatkami, ale zawsze... - Już dawno chciałem polatać na tych stalowych rurach!

Wujek skrzywił się.

- Po pierwsze, nie lata się na nich, tylko w nich, a po drugie, jeszcze nie zwariowałem, żeby latać w żelaznych puszkach. Nie ufam im.

- To czym polecimy? - zdumiałem się. Wujek wyjął z kieszeni dwa bilety.

- „Dżin i spółka” - przeczytałem i skrzywiłem się. - Ee, latające dywany?! Wujku to nawet nie miniony wiek, ale cała epoka! Na ziemi dokonuje się wielki postęp, a my wciąż używamy różnych anarchizmów...

- Czego?

- No, anarchizmów...

Wujek parsknął śmiechem.

- Jak już będziemy u mnie, to sprawdzisz w słowniku znaczenie słowa, którego właśnie użyłeś i porównasz z tym, którego chciałeś użyć. A co tam mówiłeś o butach siedmiomilowych?

Nadałem się. Słowo mu się nie podoba! Siedmiomilowych butów będzie się czepiał...

- Nie złość się. To co ci się nie podoba w tych...

anarchizmach? - przy ostatnim słowie z trudem powstrzymał śmiech.

Ale się przyczepił... Faktycznie będę musiał sprawdzić w słowniku. Nie lubię wyglądać na śmiesznego... No, chyba, że sam tego chcę. A w tej chwili na pewno nie chciałem.

- Mówię tylko - zaciętrzewiłem się - że na ziemi jest epoka postępu naukowo-technicznego, a my nadal używamy staroci z czasów pogańskich. Jeżdżące piece, buty siedmiomilowe, kryształowe kule...

- Stoliczku, nakryj się. - Wujek pokiwał głową.

- No dobrze, wśród tych starych rzeczy są również pożyteczne... - ustąpiłem nieco. - Ale skoro niektóre można zastąpić ludzkimi wynalazkami, to dlaczego tego nie zrobić? Przecież telewizor działa znacznie lepiej od kryształowej kuli... I jakość obrazu jest nieporównywalna.

- Te starocie to przecież rzeczy, które wytrzymały próbę czasu. A propos, jesteśmy na miejscu.

- Wytrzymały, wytrzymały - mruczałem, wyjmując swoje rzeczy z bagażnika. - To dlaczego wujek kupuje nowe buty, jeśli stare przeszły próbę czasu?

Wujek spojrzał na mnie stropiony.

- Nie patrzyłem na to od tej strony... Zresztą, co za różnica. Nie będę zwracał biletów tylko dlatego, że nie podobają ci się latające dywany.

Doszliśmy do właściwego dywanu - a raczej chodnika, miał co najmniej dwadzieścia metrów długości i już siedziało na nim z dziesięć osób. Na przedzie zasiadał dżin wyglądający niczym czarny

kłębiący się dym. Odwrócił się do nas, żeby sprawdzić bilety.

- Są już wszyscy - oznajmił. - Możemy lecieć. Szanowni państwo, wita was kompania Dżin. Dostarczymy państwa na miejsce szybko i bezpiecznie.

Zerknąłem na oddalającą się ziemię.

- No - mruknąłem - na dół pospadamy tak czy inaczej.

Pasażerowie obrzucili mnie spanikowanymi spojrzeniami.

- Chłopiec lubi żartować? - spytał mnie dżin z uśmiechem, w którym wyczuwało się groźbę, zupełnie jakby radził mi, żebym się zamknął.

Uu, poważny błąd. Nie znoszę gróźb... Szuka zaczepki? Dobrze...

- Lubię - skinąłem głową. - Właśnie niedawno rozmawiałem z duszą Sulejmana...

- Czyją? - spytał ochryple dżin. Musiał przecież wiedzieć, że jestem diabłem.

Udałem zdumienie.

- Co pana tak zdziwiło? No, tego właśnie Sulejmana. Opowiedział mi o pewnym pierścieniu... Chwileczkę, chyba nawet mam go przy sobie...

- Nieee! - rozległ się dziki wrzask i dżin zeskoczył z dywanu.

Zdumiony spojrzałem w dół. Gdzieś w oddali majaczyła biała czasza spadochronu. Hm, nie sądziłem, że dżiny tak nerwowo reagują na wzmiankę o pierścieniu Sulejmana...

- Świetnie, Ezergilu - rzekł wujek lodowatym tonem.

- Twój kolejny żart był naprawdę wyśmienity. Co teraz zrobimy, twoim zdaniem? Jak bez pilota przekroczymy granicę piekła i raju?

Skuliłem się pod niezbyt przyjaznym wzrokiem współpasażerów, a potem zerknąłem na brzeg dywanu. Pójść w ślady dzina? No dobra, tylko że ja nie mam spadochronu... A wujek jest tak zły, że wcale nie wiadomo, czy za mną skoczy...

- Czy to moja wina, że ten tępak nie zna się na żartach?

- Zaraz zobaczymy, kto tu jest tępakiem... - Jeden z pasażerów podniósł się.

- Siadaj - rzekł cicho wujek, ale w jego głosie było coś takiego, że wszyscy niezadowoleni pasażerowie od razu ucichli. - Mojego bratanka mam prawo ochrzanić tylko ja, nikt inny. I w razie czego to ja go ukarzę. Czy to jasne dla wszystkich?

Pasażerowie milczeli przestraszeni.

- Jeśli tak, spróbuję ściągnąć z powrotem naszego pilota... - I z tymi słowami wujek zszedł z dywanu.

Za jego plecami pojawiły się skrzydła, które rozłożyły się błyskawicznie i oto już biały punkt pędził w dół. Lecący anioł to jednak niesamowity widok... Kurczę, może by też zostać aniołem? E, i tak mnie nie przyjmą. Na pewno nie przyjmą...

Wujek załatwił sprawę dość szybko - kwadrans później wracał razem z dzinem. Na mój widok demon zrobił dziką minę.

- Pańskiego bratanka należałoby za takie żarty przywiązać z tyłu, żeby leciał za dywanem - burknął do



wujka. - I założyć mu kaganiec.

Wnioskując z rzucanych w moją stronę spojrzeń, większość pasażerów była tego samego zdania. O rany, co ja niby takiego zrobiłem? Pożartować już nie można?

Aż do lądowania wujek nie odezwał się ani słowem. W grobowym milczeniu powrzucał bagaże do taksówki i dopiero u siebie w domu, po dziesięciu minutach świdrowania mnie wzrokiem, oznajmił:

- Naprawdę nie wiem, co z tobą zrobić, Ezergilu. Myślałem, że faktycznie jesteś dorosły i odpowiadasz za siebie. Ale to, co dzisiaj zrobiłeś... Nawet nie wiem, czy w takiej sytuacji w ogóle puszczać cię na ziemię.

- Ale wtedy nie zdołam wykonać zadania praktycznego! - zawołałem oburzony.

- Dobrze by ci zrobiło, gdybyś posiedział jeszcze rok w tej samej klasie. Może byś wreszcie dorósł i spoważniał. Wtedy na przyszłe lato, kto wie...

- Jestem poważny! Tylko ten dzin zaczął mi grozić!

- Na ziemi też będą ci grozić. Z tego powodu chcesz wysadzić w powietrze całą planetę? Posłuchaj... Albo obiecasz mi, że nie użyjesz na ziemi żadnego ze swoich talentów bez absolutnej konieczności, albo nigdzie nie pojedziesz.

- Ale wujku! No jak ja mogę...

- Nie wiem i nie chcę wiedzieć! Trzeba było wcześniej myśleć! Zauważ, że nie zabraniam używania sztuczek w ogóle. Wolno ci, ale tylko w razie absolutnej konieczności.

- A jak mam zgadnąć, że to jest właśnie ta konieczność? - mruknąłem.

- Myślę, że z tym nie będzie problemów. To jak?

- Ale wujku...

- Żadnego „ale wujku”. Może wtedy zaczniesz częściej używać głowy i przestaniesz tak ufać w swoje diabelskie sposoby działania.

No, skoro tak... Usiadłem na podłodze i założyłem ręce na piersi.

- Nie. Może wujek od razu powiadomić szkołę, że nie wykonałem pracy.

- Ezergilu...

- Wujku! Albo mi wujek ufa, albo nie. Nie będę niczego obiecywał. Powiem tylko, że będę bardzo ostrożny, ale sam chcę decydować, kiedy i co mam robić. Albo wujek ma do mnie zaufanie, albo nie.

Popatrzył na mnie w milczeniu.

- No, rzeczywiście wydorostałeś... Dobrze, zaufam ci. I mam nadzieję, że mnie nie zawiedziesz.

- Nie zawiodę.

- Dobrze, w takim razie zajmijmy się twoimi bagażami. Wysyp wszystko na podłogę, wybierzemy to, co naprawdę może się przydać.

Dwie godziny później wychodziłem z domu z jednym lekkim plecakiem typu szkolnego tornistra i niewielką torbą. Wujek odprowadził mnie aż do Placu Nadziei, gdzie czekał pewien siwy anioł.

- To tego diabła trzeba dostarczyć na ziemię? - zapytał.

- Tak. Nazywa się Ezergil. Oto jego pozwolenie - odparł wujek.

- Dobrze. No co, Ezergilu? Jesteś gotowy? Nie bój się

tak. Pierwszy raz?

- Aha. - Skinąłem głową i oblizałem wyschnięte wargi. Wolałbym wyruszać z piekła: przynajmniej znajoma okolica... Ale traktat Gorujana stanowczo tego zabrania. Zgodnie z jego postanowieniami diabły wyruszają na ziemię z raju, zaś anioły z piekła.

Anioł położył mi rękę na głowie i zamachał skrzydłami. Trzeba powiedzieć, że najważniejsza funkcja anielskich skrzydeł to wcale nie lot, lecz otwieranie wrót między światami. U diabłów tę samą funkcję spełnia ogon. Wokół nas, niczym pył wzniesiony wiatrem, zatańczył rój lśniących drobinek. Z każdym wymachem rósł coraz bardziej, w końcu zawিrował w korowodzie i zamienił się w długi tunel biegnący ku górze. Wtedy jakaś siła pochwyciła mnie, uniosła w powietrze i cisnęła do przodu. Omal nie wrzasnąłem, ale w tym momencie ktoś złapał mnie za rękę. Obejrzałem się - obok mnie leciał stary anioł, który teraz odwrócił się do mnie z uśmiechem.

Przełknąłem kulę w gardle i skinąłem mu głową. Nie byłem w stanie wykrztusić ani słowa.

Tunel rzeczywiście wkrótce się skończył; jeszcze chwila i już wisieliśmy w błękicie nieba. Nad nami lśniło złoto słońca, a w dole rozpościerało się zielonkawe morze. W oddali widać było miasto, do którego zmierzaliśmy.

- A nie zauważą nas?

Anioł uśmiechnął się.

- Nie bój się. Nikt nas nie zauważy. Skinąłem głową. No tak, anioł na pewno wie, co robi. Przestałem się

przejmować, za to zacząłem rozglądać się na boki. Więc to naprawdę ziemia? Ta ziemia, na której żyją ludzie, będący w pewnym sensie naszymi stwórcami? Ale czad!

Wlecieliśmy do miasta, wylądowaliśmy na jednej z ulic. Obok nas szli ludzie. Wysocy i niscy, grubi i chudzi, kobiety i mężczyźni...

- Jeszcze nas nie widzą - poinformował mnie anioł. - Postój chwilę, rozejrzyj się. Gdy powiesz, że jesteś gotów, odleczę. Wtedy staniesz się widoczny, będziesz częścią tego świata.

Chyba z dziesięć minut stałem, przyglądając się mijającym nas ludziom. Patrzyłem na samochody, obserwowałem migające światła uliczne... Anioł cierpliwie czekał, uśmiechając się łagodnie.

- Jestem gotów. - Skinąłem wreszcie głową.

Anioł znów się uśmiechnął.

- Nigdy nie myślałem, że powiem coś takiego diabłu, ale... życzę ci powodzenia.

Stropiony skinąłem głową. Chwilę później anioł zniknął.

- Czemu stoisz na drodze? - burknął ze złością jakiś kudłaty chłopak, może szesnastoletni i zepchnął mnie na bok.

Wpadłem na jakąś kobietę.

- Chuligan! - Odepchnęła mnie mocno.

Odleciałem na ścianę domu. No cóż, serdecznie witamy na ziemi. Popatrzyłem na chłopaka, potem na kobietę i uśmiechnąłem się. Chyba mi się tu spodoba... Jeśli są tutaj tacy ludzie, to ten świat jest po prostu

stworzony dla diabłów! No dobrze, rozrywkami zajmę się później, a teraz do pracy. Wyjąłem z kieszeni kartkę z adresem, przestudiowałem ją. Zgodnie z obietnicą, dostarczono mnie prawie na miejsce. Sprawdźmy... Podniosłem głowę, poszukałem tabliczki z nazwą ulicy, następnie popatrzyłem na mapkę... Aha, więc ta ulica biegnie równolegle do tej, której szukam. Jeśli teraz pójde do przodu... Naprzód!

Podniosłem torbę i poszedłem do skrzyżowania znajdującego się pięćdziesiąt metrów przede mną. Porównałem teren z mapą. Tak, teraz w prawo i na podwórko. To jest miejsce, którego szukam. Teraz postawić torbę i rozejrzeć się. Podwórko jak podwórko. Dzieciaki, dalej starsi chłopcy, stoją i palą. No i dobrze, szybciej do nas trafią, zresztą, może wcale nie do nas, ale trafią... Stop! Dajmy spokój takim rozmyślaniom, przede wszystkim muszę odnaleźć właściwy blok.

Nie szukałem długo, dom stał dokładnie naprzeciwko mnie. Wysoki, jedenastopiętrowy wieżowiec z wielkiej płyty. Dobra, bez różnicy... Muszę się skoncentrować... Ale na początek trzeba coś zrobić z rzeczami, przecież nie będę ich wszędzie ze sobą nosił. Rozejrzałem się i zobaczyłem odpowiednio duże drzewo. Podeszedłem do niego, obszedłem dookoła, rozejrzałem się, czy nikt na mnie nie patrzy, szybko przełożyłem do niewielkiej torby najpotrzebniejsze rzeczy, znowu się obejrzałem i przesunąłem dłonią po drzewie.

- Szanowne drzewo, czy byłobyś tak miłe i na jakiś czas przechowało moje rzeczy? - zapytałem w języku międzyświatowym. Pień drzewa rozszczepił się

delikatnie, ukazując przestronną dziuplę. Szybko powrzucałem tam rzeczy. Gdy tylko skończyłem, pień się zamknął. - Ogromnie dziękuję. - Skłoniłem się drzewu; uprzejmości nigdy nie za wiele. Teraz już mogę ruszać do akcji.

Jednak zanim zdążyłem wejść na klatkę schodową, złapała mnie za rękę jakaś jejmość.

- Dokąd to, łobuzie?

Popatrzyłem zaskoczony na kobietę, a potem szybko oceniłem swój wygląd. Skąd jej przyszło do głowy, że jestem łobuzem?

- Przepraszam...

- Pytam, dokąd się wybierasz!

- Proszę o wybaczenie, madame - odparłem uprzejmie - ale wydaje mi się, że kierunek mojego ruchu dotyczy wyłącznie mnie. To raczej prywatna sprawa.

- Za mały jesteś na sprawy prywatne - burknęła kobieta, ale widać było, że moja grzeczność ją zaskoczyła.

Popatrzyłem na kobietę z góry - oczywiście byłem od niej niższy, ale mimo to spojrzałem na nią z góry - a potem uwolniłem rękaw koszuli z jej dłoni.

- Mam swoje prywatne sprawy i rzeczy. Ta koszula, na przykład, należy tylko i wyłącznie do mnie, gdyż kupiłem ją za własne pieniądze. A wszelkie moje osobiste sprawy w żaden sposób pani nie dotyczą. A jeśli - powstrzymałem ją gestem - chciałaby pani coś powiedzieć, to proszę skontaktować się z moim adwokatem. Oto moje personalia. - Arystokratycznym

gestem wyjąłem z kieszeni stworzoną przed chwilą wizytówkę i podałem kobiecie.

Przyjęła ją w milczeniu, gapiąc się na mnie z otwartymi ustami. Poszedłem do klatki.

- Aa...

Odwróciłem się.

- Jeśli nie ma pani więcej pytań, to już pójdę.

- Ale...

Zamknąłem za sobą drzwi i poszedłem do windy. Osoby podobne do tej kobiety trzeba od razu odpowiednio ustawić - dowiedziałem się tego już we wczesnym dzieciństwie. A im bardziej są chamskie, z tym większą grzecznością należy je traktować. Zwykle strasznie je to denerwuje... Mur-beton, że więcej niż dwa razy się nie przyczepią, a ten drugi próbują tylko wtedy, gdy już zupełnie nie mają mózgu, nie potrafią zrozumieć od razu, że się z nich kpi. Dobra, nieważne... Interesujące mnie mieszkanie jest na piątym piętrze, o tutaj...

Przez minutę przyglądałem się drzwiom pokrytym osmalonymi łatami. Odszedłem na dwa kroki i znowu je obejrzałem. Potem przysunąłem do nich otwartą dłoń. Jeszcze by tylko brakowało, żebym się narwał na poświęcone mieszkanie... Ale nie, chyba czysto. Super... Złączyłem dłonie przed sobą i zamknąłem oczy. Przypomnieć sobie, czego uczono nas w szkole... Skoncentrować się... Zrobiłem krok do przodu i otworzyłem oczy. Nie rozłączając rąk, podszedłem do drzwi i... przeszedłem przez nie. Uff, udało się! Co prawda już to ćwiczyliśmy na zajęciach, ale przecież to

nie to samo, co w praktyce.

Znalazłem się w brudnym, zapuszczonym przedpokoju. Podłóg nie myto tu chyba z pół roku, tapety naprzeciwko wejścia podarte... Przechyliłem głowę i popatrzyłem na betonową ścianę. Nie, ta też wyglądała nieładnie. Ruszyłem przed siebie, oglądając skromne umeblowanie. Przekrzywiona szafa, zdaje się, że walono w nią czymś ciężkim.

- O, kurczę... - zawołałem po cichu, omalże klepiąc się w czoło. Ale ze mnie kretyn! Ucieszyłem się jak pierwszoklasista, że udało mi się przejść przez cudze drzwi, a zapomniałem, że w mieszkaniu może ktoś być! Ładnie bym wyglądał, gdyby teraz ten ktoś wyszedł do przedpokoju! Pospiesznie stworzyłem iluzję i otuliłem się nią jak płaszczem. Teraz ciężko byłoby mnie zobaczyć. Osłonięty czarem, wszedłem do kuchni.

- Oho! - mruknąłem, zerkając na stertę brudnych naczyń w zlewie. Zajrzałem pod nią. - O, cześć, stary...

Karaluch popatrzył na mnie zaskoczony, poruszył wąsikami. Podsunałem rękę i zmusiłem go, żeby na nią wszedł. Karaluch nie był zadowolony, ale nie mógł nic zrobić. Rozkazałem mu wejść na mój palec i przysunałem go do oczu. Skoncentrowałem się, przenikając do jego słabej świadomości i podporządkowując ją sobie. Oczywiście taki karaluch nie ma rozumu, ale przecież posiada pamięć... Chwilę później mogłem już odczytać emocjonalne tło ludzi. Takie tło gromadzi każda żywa istota przebywająca w pobliżu człowieka; niektóre zwierzęta gromadzą tło pozytywne, inne negatywne; karaluch oczywiście



negatywne. Nieźle teraz promieniował... Pstryczkiem posłałem owada w kąt i rozłożyłem ręce. Posłuszne bezgłósnemu rozkazowi, ze wszystkich szczelin zaczęły wylazić karaluchy. Zbierały się przy mnie, po chwili byłem otoczony całym morzem tych zwierzaków. Ruchliwy dywan pokrywał całą podłogę kuchni - ściągnąłem tu chyba wszystkie karaluchy z całej klatki. No i dobrze. Dzięki temu mam gwarancję, że tło emocjonalne zostanie oczyszczone. Przekręciłem do góry rozrzucone na boki dłonie i zacząłem wchłaniać negatywną energię. Przecież muszę się jakoś odżywiać... U nas mówią: ludzkie jedzenie dobre dla ciała, ludzkie emocje potrzebne do pracy. Dla aniołów miłość i dobroć, dla diabłów nienawiść i strach. Karaluchy poruszyły się, gdy wyciągałem z nich wszystkie negatywne ludzkie emocje, jakie zdołały zgromadzić do tej pory. Chwilę później opuściłem ręce i spojrzałem na podłogę - ciała karaluchów pokrywały ją potrójną warstwą. Hm, trzeba z tym coś zrobić... Pstryknięcie palcami i cały karaluszy dywan zapłonął, chwilę później nie zostało już po nich ani śladu. Dobrze, idźmy dalej...

W salonie było smętnie i przygnębiająco, niegdyś przytulny, teraz wyglądał jak pobojuwisko. Złamany stolik, regał z jednymi drzwiczkami i rozbitym lustrem w barze... Stał tam jedyny ocalały kieliszek. Perski dywan zwinięty w rulon i wciśnięty w kąt. Śmierdział czymś kwaśnym, pewnie został zalany, a potem zwinięty, żeby sobie spokojnie gnił. W drugim pokoju najwyraźniej ktoś był, ale właśnie spał. Przyjrzałem mu

się uważnie, podszedłem do jedyne go fotela w pokoju i usiadłem, podciągając kolana pod siebie.

- Dzień dobry, Wiktorze Nikołajewiczu - mruknąłem.

Mężczyzna wymruczał coś przez sen i przekreślił się. No, wygląda całkiem przyzwoicie... Niezły garnitur, krawat... Tylko dwudniowy zarost psuje wrażenie. A pokój też niczego sobie i nawet posprzątane...

Moje rozmyślania przerwał zgrzyt klucza w zamku. Skrzypnęły drzwi wejściowe, a chwilę później do pokoju zajrzała smagła twarz chłopca. Z przestraszeniem spojrzał na śpiącego mężczyznę, rozejrzał się... Mnie oczywiście nie widział. Z zaciekawieniem przyjrzałem się mojemu podopiecznemu. Do licha, jakiemu podopiecznemu?! Co ja jestem, anioł stróż?!

Tymczasem chłopiec wszedł do pokoju, pochylił się nad śpiącym ojcem. Upewnił się, że ten twardo śpi i zaczął penetrować mu kieszenie.

- Kradniemy? - zapytałem uprzejmie. Chłopiec oczywiście nie słyszał, gdyż wyemitowałem tylko tło, które śmiertelnik może uchwycić podświadomie i młody człowiek właśnie je dostrzegł - drgnął i obejrzał się. No, no, musiał mieć niezłe rozwiniętą wyobraźnię, skoro potrafił wyczuć wahanie tła... Alosza zacisnął wargi, wrócił do plądrowania, wyjął portfel...

- Ajajaj! - zacmokałem.

Znowu drgnął, ale już się nie wahał, sięgnął do środka i wyjął pięćdziesiąt rubli. Resztę wsunął z powrotem, po czym włożył portfel do ojcowskiej kieszeni.

Bez sensu... Jeśli już kraść, to wszystko, po co brać

drobniaki... Co za brak stylu! I tak oberwie, i tak oberwie, więc co za różnica, czy dostanie za pięćdziesiąt czy za pięćset? A skoro nie widać różnicy... to po co kraść mniej?

Chłopiec tymczasem wybiegł z pokoju. Usłyszałem brzęk kluczy i trzask drzwi. Wstałem, poszedłem za swoim „klientem”, razem z nim zjechałem windą. Na dworze rozviałem iluzję. Niespiesznie podążałem za Aloszką Nienaszewem lat dwanaście. Ten ciągle oglądał się nerwowo, był bardzo wzburzony. Wybiegł z podwórka, zatrzymał się obok kiosku i znów obejrzał. Usiadłem na ławce nieopodal, obok jakiejś dziewczynki, która popatrzyła na mnie niezadowolona i machnęła swoim końskim ogonem, prawie trafiając mnie w twarz. Odsunąłem ręką jej włosy, nie odrywając wzroku od Aloszki.

- Mam wrażenie, że interesujesz się tym chłopcem?

Czy na ziemi wszystkie dziewczynki są takie grzeczne?

- A co cię to obchodzi? - odburknąłem, nawet nie patrząc w jej stronę.

- Uprzejmi ludzie nie odpowiadają pytaniem na pytanie.

- A kto ci powiedział, że jestem uprzejmy? Odczep się.

- Grubianin!

- Otóż to.

Dziewczyna popatrzyła na mnie z góry i odsunęła się. Uśmiechnąłem się półgębkiem. O, jaka jestem wrażliwa, nie znoszę grubiaństwa, tui-tui-tui... W tym

momencie do Aloszki podeszła grupka chłopców, najstarszy mógł mieć osiemnaście lat, najmłodszy dziesięć. Od razu wyostrzyłem słuch.

- Przyniosłeś? - spytał obcesowo najstarszy.

Aloszka w milczeniu wyjął pięćdziesiąt rubli. Najstarszy wziął je niedbałym gestem, złożył i wsunął do kieszeni. A potem pokazał Aloszce pięść.

- No, uważaj. Na drugi raz nie będę tak długo czekał.

- Przecież mówiłem, że nie mam - powiedział Alosza niemal z płaczem.

Najstarszy wziął chłopca za koszulę i przyciągnął do siebie, dmuchając mu w twarz dymem papierosowym.

- Nie kłam! Przecież skądś wytrzasnąłeś tę pięćdziesiątkę, nie? To znaczy, że masz! Słuchaj, a może masz jeszcze więcej?

- Nic nie mam!!! - krzyknął Aloszka, teraz już otwarcie płacząc.

Odchyliłem się na oparcie ławki, zakładając nogę na nogę i przygotowując się do obejrzenia tych występów do końca. Kątem oka zerknąłem na dziewczynkę. Pochyliła się do przodu i przymrużyła oczy, wpatrując się w towarzystwo przy kiosku. Co ją tak zainteresowało? Przecież z tej odległości nie mogła nic słyszeć... Może zobaczyła znajomego? Mniejsza z tym. Znowu spojrzałem na grupkę, która teraz się rozproszyła, najwyraźniej zajmując z góry ustalone pozycje. Najstarszy chłopak stał z Aloszką obok kiosku. Jakiś dziesięcioletni knypek kręcił się z boku. Dwóch innych stało nieco bliżej, o czymś rozmawiając, ci mogli mieć po trzynaście lat. Ostatni, szesnastoletni

pęta, stał po drugiej stronie. Wszyscy udawali, że się w ogóle nie znają. Oho, coś tu się szykuje, wyczuwam kłopoty... Jakby w odpowiedzi na moje myśli, stojący z boku chłystek podniósł z ziemi kamień, cisnął nim w szybę kiosku, a potem od razu rzucił się do ucieczki.

- Oo, tam! - zawołał dziesięciolatek. - Tam pobiegli!

Z kiosku wyskoczyła rozzłoszczona kioskarka, puściła się w pogoń. Wtedy przez otwarte drzwi wskoczył do środka szesnastoletni pęta, od razu rzucając się do kasy. Najstarszy stał, trzymając Aloszkę i spokojnie obserwował przebieg akcji. Korzystając z zamieszania wsunął rękę przez rozbitą szybę, zgarnął z półek różne przedmioty do torby, wcisnął ją Aloszy i poleciał:

- Uciekaj!

Oszołomiony Aloszka odruchowo wziął torbę, ale nie ruszył się z miejsca. Wtedy ścigająca zbiega właścicielka zobaczyła, że ktoś jest w kiosku, więc zawróciła z krzykiem. Chłopak wyskoczył na zewnątrz i zaczął uciekać. Kobieta ruszyła za nim. Pewnie by go dorwała, gdyby nie to, że pod nogi wpadł jej najmłodszy knypek. Przewróciła się. Nieliczni przechodnie, nie rozumiejąc, co się właściwie dzieje, patrzyli to na nią, to na uciekających pęta. Niektórzy zrozumieli, ale uznali, że to nie ich sprawa. Przed kioskiem został już tylko stropiony Aloszka. Co za baran! Przecież mu powiedzieli „uciekaj!”. Kioskarka podniosła się z trudem. Oczywiście natychmiast dostrzegła Aloszkę.

- Aha! - zawołała. - Ty też jesteś jednym z nich!

Chłopak zadrżał i wymruczał coś.

- Mówisz, że nie? - Kioskarka złapała go za ramię, zaczęła grzebać w trzymanej przez niego torbie. - A to co takiego? Co? - Przy każdym „co” wyjmowała z torby kolejną skradzioną rzecz. - I mówisz, że nie jesteś z nimi?

- Ja nie kradłem! - chłopiec rozplakał się na cały głos.

- To oni kradli, ja tylko podniosłem!

- Na milicji będziesz się tłumaczył!

- Nie, proszę, nie! Nic nie brałem!

Zastanowiłem się. Zainterweniować czy nie? Chyba nie. Głupcy powinni dostawać nauczki... W tym momencie siedząca obok mnie dziewczyna zerwała się i zaczęła biec.

Popatrzyłem na nią ze zdumieniem. Dokąd ona leci? Wbrew sobie wstałem, żeby pójść za nią, a dziewczyna tymczasem podbiegła do kioskarki i zaczęła z żarem opowiadać, jak było naprawdę. Ku mojemu zdumieniu jej opowieść była bardzo precyzyjna. Jak jej się udało to wszystko usłyszeć? Popatrzyłem na nią - niby nic takiego, wytarte džinsy i podkoszulka, włosy ściągnięte gumką... W tym momencie dziewczyna odwróciła się. Nasze spojrzenia się spotkały. Miała niesamowite oczy, niby zwyczajne, brązowe, ale było w nich coś takiego...

- On też siedział obok i wszystko widział! - Wskazała na mnie. - No powiedz, jak było!

- Jak co było?

- No, jak tutaj było! Przecież cały czas się gapiłeś!

- Aha, czyli ty też jesteś jednym z nich?! - Kioskarka złapała mnie za ramię. - I ty także! - zwróciła się do

dziewczyny. - Jedni kradną, a inni bronią złodziei?

- Ja? - stropiła się dziewczyna.

- No przecież nie ja! - Wtedy kobieta popatrzyła na dziewczynę i aż się zakrztusiła. Jej twarz wyciągnęła się, spurpurowiała. - Przepraszam, dziecko... - powiedziała znieczeka. - Sama widzisz, nerwy w strzępach... Więc mówisz, że chłopiec nie kradł?

Zamrugalem oczami. Hej, czy coś mnie ominęło? Zerknałem na małą. Ona była... ona była...

- Skrzydlata! - Olśniło mnie i aż palnąłem się dłonią w czoło.

Dziewczyna odwróciła się do mnie, a jej oczy rozszerzyły się ze zdumienia.

- Ogoniasty! - Odsunęła się. - Więc to twoja sprawka!

Błyskawicznie zamroziłem czas, wszystko wokół nas zastygło. Dziewczyna patrzyła na mnie, oczy jej płonęły.

- To twoja sprawka?!

Uśmiechnąłem się krzywo.

- Nie uwierzysz, ale nie mam z tym nic wspólnego.

- Masz rację, nie uwierzę!

- A jednak.

- No to co tu robisz?

- Analogiczne pytanie mógłbym zadać tobie.

- Ja spytałam pierwsza!

- A ja pierwszy przyszedłem.

Dziewczyna patrzyła na mnie oburzona, a ja uśmiechnąłem się kpiąco.

- Posłuchaj - powiedziałem - nie mogę długo wstrzymać czasu. Może potem porozmawiamy?

- Tylko najpierw pomóż mi uratować tego chłopca!  
- Z jakiej racji? - zdumiałem się. - W końcu jestem diabłem, a nie Świętym Mikołajem.

- Pomożesz mi uratować chłopca!

- Nie mam zamiaru. Głupcy powinni dostać nauczkę.

- On nie jest głupi!

- Jest. Dlatego, że spiknął się z tym towarzystwem. Dlatego, że dał im pieniądze. Dlatego, że wziął torbę z kradzionymi rzeczami. I wreszcie dlatego, że jak już ją wziął, to nie uciekł.

- Przecież nic o nim nie wiesz!

Skrzywiłem się. Jeszcze chwila i wszyscy wyrwą się spod mojej kontroli, a wtedy będzie jeszcze gorzej... Machnąłem ręką, czas znów zaczął płynąć.

- Jaki ogoniasty? - Kioskarka zerknęła na mnie podejrzliwie.

- Nic takiego, po prostu w jednym szkolnym przedstawieniu grałem diabła, a ta dziewczynka anioła. I właśnie się rozpozналиśmy.

- Aha... - Kobieta reagowała w zwolnionym tempie.

Dziewczyna zerknęła na mnie gniewnie, a ja wzruszyłem ramionami. Przecież prosiła, żebym pomógł, więc robię co mogę. Jak się nie podoba, to bez łaski...

Wyjąłem torbę z ręki Aleksieja i podałem kioskarce.

- Proszę wziąć. Zapamiętała pani tych złodziei? - Skoncentrowałem się, żeby włożyć w jej mózg opis każdego chłopca z szajki, jednocześnie lekko gasząc wizerunek Aloszki. Niby tu był, ale z kradzieżą nie miał nic wspólnego. Po prostu nie miał szczęścia i znalazł się



tam, gdzie nie trzeba.

Za plecami sapała rozzłoszczona dziewczyna.

- Jak ci się nie podoba, to działaj sama - szepnąłem.

- Nie waż się ingerować w świadomość ludzi!

- Nie ingeruję. Ja tylko pomogłem jej przypomnieć sobie wszystkich chuliganów, pobudziłem pamięć. Zrobiłem coś złego?

- Zrobiłeś!

- To przepraszam.

Dziewczyna złapała mnie za ramię i wyciągnęła z gęstniejącego tłumu gapiów.

- Wystarczy! Dalej niech radzą sobie sami. Aleksiej jest teraz świadkiem, nie oskarżonym. A ty... - Skrzywiła się. - Pomogłeś kioskarce przypomnieć sobie cechy charakterystyczne wszystkich bandytów.

- Bandytów? - prychnąłem. - Jacy tam z nich bandyci? Drobne złodziejaszki. Skąd wiesz, że chłopiec ma na imię Aleksiej?

- Ja się dziwię, że ty wiesz! Skoro nie planowałeś żadnej podłości, po co go obserwowałeś?

- Ja spytałem pierwszy.

- No to co? Dobrze, daję ci pół godziny, żebyś się stąd wyniósł po dobroci.

- A jeśli nie? - Zatrzymałem się i spojrzałem na nią drwiąco.

- To... to... Na pewno jesteś na ziemi nielegalnie!

- Mam zezwolenie od waszej kancelarii. Wszystko jest jak najbardziej legalne, więc nie możesz mi mówić, co mam robić.

- Nie pozwolę, żebyś coś uczynił temu dziecku!

Żebyś wiedział! On jest pod moją ochroną!

- Ach tak? - Wyprzedziłem ją, stanąłem tak, że musiała też się zatrzymać. - Naprawdę? Jesteś aniołem stróżem?

Skrzywiła się.

- Nie, na razie jeszcze się zastanawiam, kim zostanę po szkole. To jest moje letnie zadanie - mam pomóc temu chłopcu i utrzymać go na słusznej drodze.

- Ach tak! - Aż przysiadłem z wrażenia.

- Teraz rozumiesz, że nie mogę pozwolić, żebyś się tu kręcił!

Patrzyłem oszołomiony na dziewczynę. Może faktycznie się wycofać? Skoro za sprawę wziął się anioł, to chyba rozwiąże ten problem, a jeśli rozwiąże problem, wtedy dusza matki Aloszki uzyska spokój, a ja dostanę zaliczenie. Z powątpiewaniem zerknąłem na dziewczynkę.

- To twoje pierwsze zadanie?

Rzuciła mi wyzywające spojrzenie.

- A co? Myślisz, że sobie nie poradzę?

Te anioły! Omal nie splunąłem z irytacją. „Za rok nie poznasz mojej papugi” - przypomniałem sobie słowa wujka. Być może za pięć lat ta mała faktycznie zdołałaby naprowadzić chłopca na dobrą drogę...

- Poradzisz sobie. - Skinąłem głową. - Ale, i tu się uśmiejesz, moje letnie zadanie też polega na tym, żeby pomóc temu chłopakowi.

- Co?! Diabeł, który komuś pomaga?!

- Sam byłem w szoku. To znaczy, ściśle rzecz biorąc, mam pomóc nie jemu, lecz duszy jego matki, która

włóczy się między światami... Problem w tym, że dopóki jej syn znajduje się w niebezpieczeństwie, dopóty jej duch nie znajdzie spokoju. Rozumiesz?

- O rany! - Dziewczyna popatrzyła na mnie z niedowierzaniem, a potem zmrużyła oczy. - A może kłamiesz?

- Chciałbym - burknąłem.

Zacząła się śmiać. Spojrzałem na nią ponuro.

- Ale numer! - prychnęła. - Diabeł spieszy ludziom na pomoc! Chodźcie popatrzeć, niepowtarzalna okazja!

- Słuchaj - powiedziałem spokojnie - mogę się okazać pomocny w wykonaniu twojego zadania, ale mogę też sprawić, że twoje życie na ziemi stanie się nie do zniesienia.

Dziewczyna od razu przestała się śmiać i popatrzyła na mnie z ciekawością.

- Spróbuj.

- Może spróbuję.

- A spróbuj! - powiedziała buńczucznie, ale zamilkła nagle i zamyśliła się. - Może się okazać, że nie zdołasz mi przeszkodzić, ale może być i na odwrót... A jak zaczniemy sobie nawzajem to udowadniać, wszystko odbije się na chłopcu i wtedy oboje możemy zawalić praktykę. To co, zgoda?

Kilka sekund patrzyłem na jej wyciągniętą rękę, a potem podałem swoją. Wtedy dziewczyna gwałtownie cofnęła dłoń.

- Ale jeśli mnie oszukujesz!...

- Pokazać ci mój dzienniczek?

- Pokaż.

- Ale ty też pokaż swój.
- Anioły nie kłamią!
- A czy ktoś to sprawdzał?

Dziewczyna zasapała.

- No dobrze...

Wyjąłem z powietrza dokument i podałem jej, ona wsunęła mi w rękę swój.

- O rany, ale numer! - zawołała. - Wykonujesz to zadanie na zlecenie ministerstwa kar?! Świat staje na głowie!

Prychnąłem i otworzyłem dziennik dziewczyny. Nie, żebym jej nie ufał, anioły rzeczywiście nie kłamią. Poza tym rozumiałem jej wątpliwości, sam bym nie uwierzył... Po prostu byłem ciekaw. I skoro ona ogląda moje papiery...

- Monterrey! - zawołałem, widząc podpis w dzienniczku.

- No tak. - Dziewczyna popatrzyła na mnie zdumiona.  
- Jest moim opiekunem praktyki. To wielki zaszczyt! Wyobraź sobie, że przyszedł do nas do szkoły i wybrał właśnie mnie! Wszystkie dziewczyny mi zazdrościły! O Monterreyu krążą u nas legendy... Nie mogłam uwierzyć, że to mnie spotkał taki zaszczyt!

- A kiedy ci zaproponował?

- Zaraz... A, no tak, kilka dni temu. Już właściwie znalazłam sobie inną praktykę, ale gdy Monterrey zaproponował właśnie to zadanie, oczywiście zgodziłam się od razu. Nauczyciele też nie mieli nic przeciwko takiej zamianie...

Kilka dni temu, ciekawe... Czyli zaraz po tym, jak

wymyślił pracę dla mnie. Wujku, wujku, ale z ciebie intrygant! Jednak diabelska natura daje o sobie znać... Żeby tylko wiedział, co on chce przez to osiągnąć...

- A czemu pytasz? - zainteresowała się dziewczyna. - Znasz Monterreya?

- Poniekąd. - Uśmiechnąłem się krzywo. - To mój wujek.

## Rozdział 2

Patrzyła na mnie szeroko otwartymi oczami.

- Kłamiesz! - zawołała.

Wzruszyłem ramionami.

- Po co miałbym kłamać?

- A kto cię tam wie! W końcu jesteś diabłem!

- Nawet diabły nie kłamią dla samego kłamstwa, ale żeby coś osiągnąć.

- A może właśnie chcesz ugrać swoje?

Bez słowa wziąłem od dziewczynki dzienniczek i odesłałem go do piekła.

- Posłuchaj - zacząłem - mój stopień pokrewieństwa z Monterreyem możemy omówić później, teraz musimy postanowić, co robimy. Nie przypuszczałem, że będzie mi się plątał pod nogami jakiś anioł...

- Ha, i kto tu się komu plącze pod nogami! Pragnę zauważyć, że pomaganie ludziom nie jest domeną diabłów! Wiesz chociaż, co trzeba robić? Bałwan!

Postanowiłem się nie obrażać, zwłaszcza że po raz pierwszy widziałem anioła, który przeklinał w tak niewymuszony sposób. Przechyliłem głowę i w milczeniu patrzyłem na dziewczynę.

- Tak się nazywasz, aniołeczku? - zapytałem spokojnie.

Dziewczyna zakrztusiła się gniewną odpowiedzią.

- Aniołeczku?! - wysyczała.

- Daj spokój. - Machnąłem ręką. - Skoro już mamy

działać razem...

- Kto ci powiedział, że zgodzę się działać z tobą? Żeby anioł i diabeł pracowali razem...

- Nietypowe, prawda? - uśmiechnąłem się. - Ale czy to jest powód, żeby nie spróbować?

Dziewczyna patrzyła na mnie osłupiała.

- Nietypowe - przyznała. - A ty chyba lubisz rzeczy nietypowe?

- Powiem tak: nie lubię sztywnych reguł. W końcu jestem diabłem, prawda? Nie?

- Ale ja nie jestem... Tak, jednak z drugiej strony mi też ciągle mówią, że nie lubię zasad... - uśmiechnęła się nagle. - Dobrze, spróbujemy. Umowa stoi. Nazywam się Alona.

Uścisnąłem podaną dłoń.

- Ezergil. To jakie mamy plany?

Alona rozejrzała się.

Staliśmy naprzeciwko jakiegoś parku, od którego dzieliła nas tylko ulica.

- Skoro już tak się złożyło - zaczęła - że mamy współpracować, to chyba warto wszystko omówić i wymienić się informacjami. Chodźmy tam, znajdziemy jakieś spokojne miejsce do pogadania.

Dlaczego nie... Nigdy nie byłem zwolennikiem prowadzenia poważnych rozmów na środku drogi. Park to co innego...

Już wkrótce okazało się, że nawet jeśli park jest idealnym miejscem, to niełatwo znaleźć w nim latem wolną ławkę. Wszystkie bowiem były okupowane przez babcie z wnukami albo nastolatki z piwem. Alonie w

końcu znudziło się to łożenie po alejkach i bez słowa wskazała cienisty zakątek pod drzewem. Usiadłem wprost na trawie, dziewczyna siadła obok mnie.

- Zaczynaj - poleciała.

- Dlaczego ja? - zdumiałem się.

- A dlaczego nie?

Zerknąłem na niespodziewanego sprzymierzeńca, ale nic nie powiedziałem. Tata zawsze powtarzał, żeby nie kłócić się z kobietami - szkoda zdrowia. Ograniczyłem się do skinienia głową i zacząłem opowieść.

Przez pół godziny opowiadałem o wszystkim, czego zdołałem się dowiedzieć z archiwów piekła i raju. Alona ściągnęła brwi, zagryzła wargi. Gdy skończyłem, pokiwała głową.

- Czyli wiesz tyle, co i ja. Szkoda, liczyłam, że powiesz coś nowego...

- Ja liczyłem na to samo. Gdzie, według ciebie, miałem dowiedzieć się czegoś więcej, skoro przybyłem na ziemię trzy godziny temu?

- Ja cztery, tylko dłużej docierałam do właściwego domu. Tam u was mają idiotyczne poczucie humoru! Wyszadzi mi na peryferiach miasta!

- Naprawdę? Trzeba było zażądać dostarczenia na miejsce! Sama jesteś sobie winna, po co pozwalasz, żeby ci weszli na głowę?

- Czyli w dodatku jestem winna?! - zaperzyła się.

- Stop, stop, stop. Zaraz się pokłócimy. Po prostu zapamiętaj na przyszłość: jeśli należy ci się coś od diabłów, żądaj tego, nie krępując się. U nas nie rozumieją wstydlivych.



- Zapamiętam - odparła Alona ze złowieszczym spokojem. - Ładne macie porządeczki w tym swoim piekle...

- Lepsze niż w raju. U was nuda, dłużyzny i kupa zasad... Ee, przepraszam.

- O rany! Diabeł, który przeprasza! No, teraz zaczynam wierzyć, że Monterrey jest twoim wujkiem. Widać zdołał nauczyć cię pewnych rzeczy.

- Słuchaj, może jednak wrócimy do naszego problemu? - zaproponowałem kwaśno. - Masz jakieś pomysły? Od czego zaczniemy?

- Jak to od czego? To przecież jasne: trzeba pomóc Aleksiejowi. Przede wszystkim uwolnić go od złego towarzystwa... Tutaj ty mógłbyś się wykazać.

- Nie mam zamiaru.

- A to dlaczego?

- Dlatego, że nie jestem niańką! I nie mam zamiaru cackać się z tym chłopaczkiem. Pewnie, mógłbym przylać im wszystkim tak, że do końca życia omijałoby Aloszę z daleka, ale...

- Ale?

- Ale czy jemu wyjdzie to na korzyść?

- W jakim sensie?

- Bezpośrednim. Jeśli popełnia błędy, powinien sam je naprawiać. Jak zaczniemy robić wszystko za niego, na pewno nic dobrego z tego nie wyniknie. Łatwo przywyknąć do tego, że ktoś odwala za ciebie całą robotę.

Alona zmarszczyła brwi.

- I sądzisz, że on sobie poradzi?

- Nasze zadanie polega właśnie na tym, żeby uwierzył w siebie i zdołał sobie poradzić. Nie chodzi przecież o to, żeby go tylko wyręczać.

- Możemy mu pomóc znaleźć wyjście z sytuacji, a potem wskazać słuszną drogę.

- No, no, co ja słyszę? - powiedziałem z przekąsem. - Czy anioły powinny pomagać człowiekowi wiarą, że sam zdoła pokonać trudności, czy też robić wszystko za niego? Jak brzmi wasza podstawowa zasada? Czy czasem nie chodzi w niej o to, że nie należy rozwiązywać problemów za ludzi, lecz pomóc im uwierzyć w siebie?

- Skąd tyle wiesz o aniołach... - burknęła Alona.

- Zapomniałaś, kim jest mój wujek?

- Faktycznie, zapomniałam. Ale to bez sensu! Przyjrzałam się Aleksiejowi, on nie wierzy w nic i w nikogo, nie wierzy w dobro... Ale my przecież możemy go skłonić, żeby uwierzył.

- Skłonić, żeby uwierzył w dobro? - prychnąłem. - Niezłe! A jak nie zechce wierzyć, to dostanie w łeb? Żeby się poprawił? Albo na stos go czy jak tam inkwizycja zmuszała ludzi do wyznawania wiary?

- Więc co proponujesz, geniuszu?

- Jeszcze nie wiem... Stop! - Podniosłem rękę i zamarłem z otwartymi ustami. - Alona, to ty jesteś geniuszem! No, jasne! Że też od razu na to nie wpadłem!

Alona patrzyła na mnie podejrzliwie.

- Co ci się stało? - zapytała, patrząc, jak tańczę z radości.

- Właśnie zrozumiałem! Dzięki tobie! Jestem idiotą! Powinienem był od razu zrozumieć! Jin i Jang! Dobro i zło, czerń i biel, światło i mrok! Jedność! Dwa aspekty tej samej rzeczy! Nie uczyli was tego w szkole?

Alona ściągnęła brwi.

- Nie wiem... Nie pamiętam.

- Dziwne, my przerabialiśmy to jeszcze w dziewiątej klasie, w pierwszym dziesięcioleciu szkoły. Dobro przechodzi w zło, a zło staje się własnym przeciwieństwem. Nie możemy zmusić Aloszy, żeby uwierzył w dobro, ale kto nam zabroni sprawić, żeby uwierzył w ciemną stronę? Wrzucimy go w zło i niech sobie radzi!

- Coś ty wymyślił? - powiedziała bardzo powoli Alona.

- Zobaczysz. Nie będziemy go zmuszać, żeby nagle uwierzył w dobro, on sam zacznie go szukać! Sam do niego dojdzie, poprzez mękę i cierpienie! Oczywiście, możemy mu wszystko podać na tacy, ale czy on to doceni? Wujek mówił mi kiedyś, że ludzie za prawdziwie wartościowe uważają tylko to, co zdobyli ciężką pracą. Zmusimy go, żeby pracował, żeby zasłużył na swoje szczęście. Gdybyśmy podali mu to szczęście na tacy, szybko by się od niego odwrócił!

- Mam wrażenie, że wymyśliłeś jakąś podłość. A ja, ja mogę oduczyć jego ojca pić! Wtedy on zajmie się synem... Przypilnuję ich...

- Przepraszam za chamstwo, ale będziesz ich też podcierać?

- Grubianin!

- Zgadzam się. O, mam lepszą propozycję! Hermetyczny, zdezynfekowany pokój z przefiltrowanym powietrzem. I spełnienie wszystkich pragnień do końca życia. I jedzenia po samo gardło.

- To już przesada.

- Przypomnij sobie Adama! - Tknąłem ją palcem. - Mówi się o tym w pierwszej klasie!

- Co tu ma do rzeczy Adam?

- A to! Przecież On - wskazałem dłonią niebo - jest nieskończenie cierpliwy, ale nawet jemu znudziło się czekanie, aż wreszcie Adam skosztuje owoc z drzewa poznania dobra i zła. Nawet tutaj to my, diabły, musieliśmy przyjść z pomocą.

- Nie musisz mi opowiadać rzeczy oczywistych.

- A ty nie próbuj zbudować jeszcze jednego edenu dla konkretnego człowieka. Dobrze, chodź ze mną, nie będę nic wyjaśniał, sama wszystko zobaczysz.

Wstałem i zacząłem iść w stronę wyjścia z parku.

- Hej, stój! Nie ruszę się z miejsca, dopóki nie powiesz, co wymyśliłeś!

Odwrociłem się.

- To będziesz musiała siedzieć tu bardzo długo... I nie słuchając jej krzyków, wyszedłem na ulicę. Tak jak się spodziewałem, Alona wkrótce mnie dogoniła.

- Mógłbyś być grzeczniejszy.

- A ty domyślniejsza.

Dziewczyna nadeła się, więc przez jakiś czas szliśmy w milczeniu.

Dotarliśmy do domu Aleksieja - żeby tym razem nie było żadnych niespodzianek, od razu narzuciłem na nas

iluzję. Niezauważeni wjechaliśmy na piąte piętro. Szybko wszedłem do mieszkania przez zamknięte drzwi, ale widząc, że Alony nie ma obok mnie, wysunąłem głowę na klatkę schodową.

- No, na co czekasz?

- Zaraz... - Alona usiłowała się skupić, ale słabo jej to wychodziło, nie mogła przejść przez drzwi.

Popatrzyłem na nią podejrzliwie.

- No, co się gapisz? - spytała gniewnie. - Nie lubię tego ćwiczenia...

Obejrzałem sobie jej trzy kolejne próby, a potem westchnąłem i wyszedłem z mieszkania. Podszedłem do niej od tyłu, żeby swoimi rękami złączyć jej dłonie. Alona szarpnęła się, ale byłem silniejszy. W końcu zrozumiała, że tylko próbuję jej pomóc i przestała się wyrywać.

- Zamknij oczy i słuchaj mnie uważnie. Skoncentruj się. Ja zwykle wyobrażam sobie, że jestem w przestrzeni międzyświatowej, gdzie nie ma żadnych ścian i przeszkód.

Monotonnie opowiadając o koncentracji, hipnotyzowałem dziewczynę. Zrobiłem krok do przodu, Alona powtórzyła go. Zrobiłem następny i jeszcze jeden... I tak krok za krokiem doszliśmy do drzwi, wreszcie przeszliśmy przez nie razem.

- Długo mam się tak koncentrować? Chyba już zrozumiałam, spróbuję sama.

Parsknąłem śmiechem, puściłem jej rękę, a potem klepnąłem w ramię.

- Idioto! - krzyknęła Alona - Zepsułeś mi całą

koncentrację! - I wtedy zrozumiała, gdzie jesteśmy i zastygła z otwartymi ustami. - Udało mi się? - spytała z niedowierzaniem.

Przyjrzałem jej się uważnie, zastanowiłem się i spytałem:

- Słuchaj, a jak ci idzie w szkole? Same piątki? Spojrzała na mnie gniewnie, a potem spuściła oczy.

- Nie. Głównie trójki. Aż przysiadłem z wrażenia.

- O rany! - jęknąłem. - Ja to mam pecha! No, wujaszku! Anioł trójkarz, też coś!

- Myślałby kto, że ty masz same piątki!

- Wyobraź sobie. Jestem trzecim uczniem w szkole. Nawet uczestniczyłem w różnych konkursach. Kiedyś byłem na turnieju w rajach, graliśmy przeciwko wam, zająłem wtedy czwarte miejsce. Ale to już była moja wina, niezbyt dobrze poszło mi z fantomem. Potem dużo trenowałem... nieważne.

Alona przyglądała mi się z niedowierzaniem.

- Diabeł prymus!

- Anioł trójkarz! - odparłem tym samym tonem. Popatrzyliśmy na siebie i zachichotaliśmy. - Ale drużyna!

Alona roześmiała się, ale od razu zasłoniła dłonią usta.

- Ojej, a jak w mieszkaniu ktoś jest?

- Jest. - Machnąłem ręką. - Wiktor Nikołajewicz Nienaszew, ojciec Aleksieja. Ale on nas nie usłyszy, już o to zadbałem. Możesz nawet śpiewać.

- A co będziemy tu robić?

- Czekać, aż przyjdzie noc. - Wzruszyłem ramionami

i poszedłem do pokoju, w którym spał Wiktor Nikołajewicz. Usiadłem na jedynym fotelu, nie zwracając uwagi na śpiącego mężczyznę. Alona patrzyła zdumiona to na mnie, to na ojca Aleksieja.

- Ale dlaczego? - zapytała.

- Co „dlaczego”?

- Dlaczego mamy czekać?

- Dlatego, że nocą dokonują się wszystkie czarne sprawy.

- Też coś! Najstraszniejsze przestępstwa zawsze popełniano w biały dzień!

- No to co? Siadaj, siadaj. Będziemy długo czekać.

- W takim razie mógłbyś ustąpić miejsca dziewczynie.

- Dlaczego? Nie lubię stać.

- Do diabła!

- Do usług - uśmiechnąłem się. - Czyżby ktoś miał co do tego jakieś wątpliwości?

- Niewychowany cham!

- Jak słusznie zauważyłaś, jestem diabłem.

Alona popatrzyła na mnie z urazą, a potem z ponurą miną usiadła na podłodze w pozie lotosu. Zamknąłem oczy, przyjmując wygodniejszą pozycję. Budzik tykał miarowo...

Z medytacji wyrwał mnie dzwonek do drzwi. Otworzyłem jedno oko i rozejrzałem się. Alona nadal siedziała na podłodze w pozie lotosu, Nienaszew spał na łóżku. Dzwonek znów zadźwięczał, nieprzytomny Nienaszew podniósł głowę - nas oczywiście nie widział - i mamrocząc coś, wstał i poprawił garnitur. Hm, jak

dla mnie to dość dziwna piżama, i chyba niewygodna...  
Sygnał zabrzmiał po raz trzeci.

- Idę, idę - mruknął Nienaszew i otworzył drzwi.

- Wiktor Nikołajewicz Nienaszew? - usłyszeliśmy  
czyjś oficjalny głos.

- To ja - rzekł ojciec Aleksieja ochryple.

Ja i Alona popatrzyliśmy na siebie.

- Zaczyna się... Zaraz będzie interesująco.

- Nic nie będzie - warknęła Alona, wstając. Oboje  
poszliśmy w kąt pokoju; drzwi otworzyły się, wszedł  
Wiktor Nienaszew, za nim mężczyzna w mundurze, a  
na końcu Alosza. Chłopak nie był nawet blady, lecz  
szary, patrzył na ojca z jawnym przerażeniem.

- Wiktorze Nikołajewiczu, chciałbym porozmawiać o  
pańskim synu... - zaczął milicjant, najwyraźniej  
dzielnicowy.

- Co ten nicpoń nawyprawiał?

- Widzi pan, to dość dziwna sytuacja... Był  
świadkiem napadu na kiosk, lecz gdy go pytamy, czy  
widział, kto kradł, to mówi, że nie i w ogóle płacze się  
w zeznaniach. No i miał w ręku torbę z kradzionymi  
rzeczami.

Pochwyciłem spojrzenie, którym Nienaszew obrzucił  
syna. Aleksiej zaczął drzeć, Alona wzdrygnęła się.

- Mówi, że tylko podniósł torbę, gdy tamci uciekli...

Dalsza rozmowa nie była zbyt interesująca.  
Dzielnicowy próbował się dowiedzieć, czy Nienaszew  
nie zauważył ostatnio w zachowaniu syna czegoś  
dziwnego, a Nienaszew odpowiadał, usiłując sprawiać  
wrażenie surowego, acz sprawiedliwego.



- Rozumie pan - mówił - chłopcu niedawno zmarła matka...

- O, bardzo mi przykro, nie wiedziałem...

- No właśnie. Ja też bardzo przeżyłem śmierć żony... Sam pan widzi, co się dzieje w mieszkaniu... Ciągłe nie mogę wziąć się w garść. Wiem, że muszę żyć dla syna, ale jak pomyślę o żonie, wszystko leci mi z rąk.

- Co za obłudnik! - powiedziałem zachwycony. - Prawdziwy mistrz!

- On nie kłamie, głupku - burknęła Alona.

- On wierzy, że mówi prawdę, a to nie to samo, co kłamstwo.

- Mądrała...

Przysłuchiwałem się dalszej rozmowie, doskonale rozumiejąc, czym się to skończy.

I rzeczywiście, tak jak się spodziewałem, milicjant zaczął się żegnać, mówiąc na koniec, że w związku z zapewnieniami kioskarki, jakoby Alosza nie brał udziału w napadzie, cała sprawa nie będzie miała dla chłopca żadnych konsekwencji.

- Ale zajmie się pan synem? - upewnił się.

- Na pewno, obiecuję... Zbyt długo zadrećzałem się po śmierci żony...

Nienaszew odprowadził milicjanta do drzwi i wrócił do pokoju. Stał w milczeniu, ciężkie spojrzenie utkwił w skulonym chłopcu.

- Więc teraz już kradniesz! Nie dość, że pieniądze z domu wynosisz, to jeszcze kioski napadasz? Na co ci potrzebne pieniądze, co? Na papierosy?! Na alkohol?!

- I kto to mówi... - prychnęła Alona.

- O, widzę, że za mało jeszcze dostałeś, ale to nic, to się da naprawić... Już ja cię oduczę kraść! - Nienaszew odpiął pas, ale, wyjmując go ze spodni, zahaczył o marynarkę wiszącą na oparciu łóżka. Marynarka upadła, wysunął się z niej portfel. Alosza mocniej wtulił głowę w ramiona. Nienaszew spojrział na portfel, potem na syna... Zmrużył oczy, podniósł portfel i zajrzał do środka.

- Taak... - powiedział przeciągle. - A więc to tak...

- A nie mówiłem, żeby brać wszystko? - mruknąłem.

- Skoro i tak oberwiesz, to przynajmniej wiedziałbyś, za co... - Pokręciłem głową i od razu dostałem kuksańca od Alony.

- Tato... Ja już więcej nie będę... - powiedział cicho Alosza tonem skazańca.

Nawet we mnie, diable, serce się ścisnęło od tych słów, ale ojciec Aloszy nie był czartem - był człowiekiem, zatem jego serce pozostało niewzruszone. W milczeniu podszedł do syna, ściągnął mu spodnie, położył nieszczęśnika na łóżku. A potem zamachnął się i uderzył. Początkowo patrzył, gdzie bije, ale potem walił, gdzie popadnie. Alosza już nie płakał. Jęczał.

Alona chciała skoczyć do Nienaszewa, ale zdążyłem ją powstrzymać.

- Dokąd?! Tylko pogorszysz sprawę!

- Kiedy ja nie mogę! Nie mogę na to patrzeć! - Odwróciła się i wtuliła twarz w moje ramię.

- Myślisz, że twoja ingerencja coś pomoże?

- Ty więc coś zrób! Ezergil, błagam cię! Błagam! Chcesz, to uklęknię!

Odsunąłem ją od siebie, popatrzyłem jej prosto w oczy. Nie żartowała.

- Dobrze. Nie musisz klękać. Po prostu coś mi obiecaj.

- Co?

- Że nie będziesz przeszkadzać w realizacji mojego planu. Że zrobisz wszystko, co powiem.

Alona odsunęła się, oczy jej rozbłyły. W tym momencie pas Nienaszewa uderzył chyba zbyt mocno, bo Aleksiej jęknął głośniej. Anielka drgnęła, jakby to ją uderzono.

- Dobrze! Niech cię szlag! Czy ty w ogóle masz serce?!

- Diabeł i serce? - prychnąłem.

- No obiecałam już! Zrób coś!

- Czekał tu na mnie...

Wyszedłem z mieszkania i popatrzyłem na siebie. Nie, do kitu. Zamknąłem oczy, pstryknąłem palcami. Znów na siebie spojrzałem... O, tak już lepiej. Biały garnitur leżał na mnie jak ulał, koszula w kolorze stali... Jednak na chłopcu taki strój powinien wyglądać nieco niedbale - marynarka rozpięta, rozchełstana koszula...

I mimo tej pozornej niedbałości, czuło się ode mnie pieniądze. A nawet nie pieniądze, lecz Pieniądze. Postąłem kilka sekund przed drzwiami, wreszcie nacisnąłem dzwonek. Jeszcze raz...

- Kogo tam diabli niosą? - usłyszałem za drzwiami.

Uśmiechnąłem się. Jakże celna uwaga...

Drzwi stanęły otworem i zobaczyłem na progu rozczochranego Nienaszewa. Już miał wybuchnąć

gniewem, ale słowa zamarły mu na ustach. Wytrzeszczył na mnie oczy.

- Dzień dobry - powiedziałem. - Czy mogę rozmawiać z Aleksiejem Nienaszewem?

Wiktor Nikołajewicz zamrugał oczami.

- A coś ty za jeden?

- O, przepraszam, nie przedstawiłem się. Eduard, Eduard Wiaziemski. A pan zapewne jest ojcem Aloszy?

- Tak.

- Hm, czy mogę wejść?

Wiktor Nikołajewicz odsunął się, wpuszczając mnie do mieszkania.

- Coś za jeden? - powtórzył.

- Aleksiej panu nie wspominał? Widzi pan, Alosza bardzo mnie wyręczył... jak to będzie po rosyjsku... ech, bien moi... ach tak, pomógł. Tak, pomoc. Rozumie pan, ja i ojciec niedawno wróciliśmy do Rosji, ojca zaczęło ciągnąć na ziemię przodków... Nasza rodzina bardzo czci dawną ojczyznę, choć straciliśmy wszystko w tysiąc dziewięćset siedemnastym roku. Ale widzi pan, jak dobrze mówię po rosyjsku?

- Coś za jeden?

Rany, co mu się stało, już nic innego nie powie?

- No właśnie. Widzi pan, wyszedłem z domu i zapomniałem wziąć kartę kredytową. Zostałem dosłownie bez grosza - i wtedy Aleksiej mi pomógł! Pożyczył mi pięćdziesiąt rubli! Obiecałem, że oddam jeszcze dziś... Alosza po prostu mnie uratował.

- Pożyczył... pięćdziesiąt rubli?

O, postęp! Przynajmniej oderwaliśmy się od tego

„coś za jeden". Jak tak dalej pójdzie, to może nawet wyjdzie nam z tego jakaś rozmowa.

- Tak jest. Jak już wspomniałem, uratował mnie. Chciałbym oddać dług. Czy mogę zobaczyć się z Aleksiejem?

- Nie ma go w domu.

Zerknąłem na drzwi pokoju, zza których dobiegał stłumiony szloch.

- Nie ma go w domu! - powtórzył z naciskiem Wiktor Nikołajewicz.

- Och, rozumiem. Oczywiście. Czy w takim razie nie zechciałby pan przekazać synowi?... - Niedbałym ruchem podałem Nienaszewowi pięćset rubli.

- Nie mam wydać. - Wiktor Nikołajewicz aż ochrypnął z wrażenia.

Machnąłem ręką.

- Och, drobiazg. To dla Aleksieja, za fatygę. Nie każdy pożyczylby pieniądze kompletnie obcemu człowiekowi... Jeszcze by tego brakowało, żebym się teraz targował... No cóż, na mnie już czas, kierowca czeka, obiecałem, że długo nie zabawię.

Skłoniłem się lekko, wyszedłem z mieszkania i wezwałem windę. Ojciec Aloszy stał w otwartych drzwiach z osłupiałą miną i banknotem w ręku.

- Aa... może herbaty? - zaproponował niepewnie.

Uśmiechnąłem się czarująco.

- Z radością, ale niestety, innym razem. Teraz naprawdę nie mogę... Przepraszam. - W tym momencie podjechała winda, wsiałem i zniknąłem Wiktorowi Nikołajewiczowi z oczu.

Gdy znów zjawiłem się w mieszkaniu Nienaszewa, teraz już niewidzialny, panowały tam cisza i spokój. Nienaszew-senior stał stropiony z pięćsetką w ręku, patrząc na syna. Ten leżał na łóżku, jęcząc i gryząc wargi do krwi.

- Czemuś mi nie powiedział, że dałeś moje pieniądze temu... - Nienaszew zrobił gest mający chyba oznaczać gogusia.

Alosza wyjęczał coś; podejrzewam, że przez mgłę bólu nawet nie usłyszał ojca. U jego wezgłowia siedziała Alona i próbowała wziąć część jego bólu na siebie. Rany, nawet tego nie umie zrobić jak należy!

Odszedłem w kąt i oparłem się o ścianę, oglądając tę rozdzierającą scenkę. Ojciec rodziny, obolały chłopiec oraz anioł przy jego łóżku. Wypisz, wymaluj, bożonarodzeniowa kartka: „Anioł cudownie uzdrawia chorego”. Tylko że naszej trójkowej uczennicy to cudowne uzdrawianie jakoś nie szło.

- Zjeżdżaj do siebie! - warknął w końcu starszy Nienaszew.

Chłopak drgnął przestraszony, wstał, ale nie wytrzymał i jęknął.

- Jeszcze będziesz mi tu jęczał! - wściekł się Nienaszew. - Myślałby kto, że tak strasznie dostałeś!

Zauważyłem, że przy tych słowach gniewnie rozdeły się nozdrza Alony; Aleksiej szybko wykuśtykał z pokoju; widać było, że każdy krok sprawia mu ból. W ostatniej chwili zdążyłem chwycić dziewczynę za rękę.

- Dzięki - wymruczała. - Już myślałam, że go zabije.

- Nie ma za co.

Niespodziewanie Alona wtuliła twarz w moje ramię i rozplakała się. Zaskoczony, poklepałem ją po ramieniu. Ale sytuacja! Anioł łkający na ramieniu diabła. Kupa śmiechu...

- Zarozumiała kretyńska! - szlochała Alona. - Ciężka idiotka! Nawet nie umiem mu pomóc! Dlaczego, dlaczego się nie uczyłam! Powiadomię szkołę, że zawałam zadanie, niech przyślą zamiast mnie kogoś innego... Zostanę na drugi rok i dobrze mi tak! Nic nie potrafię!

- Aha - skinąłem głową. - Zupełnie nic nie potrafisz.

Spojrzała na mnie ze złością.

- To wszystko, co masz mi do powiedzenia? Dzięki za współczucie!

- Współczucie to działka aniołów - zauważyłem spokojnie. - To, że zostaniesz na drugi rok też mnie mało obchodzi. Twój problem. Ale nie możesz tak po prostu wszystkiego zostawić i pójść sobie.

- A kto mi przeszkodzi?

- Twoja obietnica. Już zapomniałaś? Możesz zgłosić swoją klęskę, zostać sobie na drugi rok w tej samej klasie, ale nikt nie pozwoli ci być dalej aniołem, jeśli złamiesz dane słowo. Potrzebuję twojej pomocy, więc zostaniesz tu, czy tego chcesz czy nie.

- Ty nieczuły kłocu! Ty chamski, bezczelny, zarozumiałały...

- Diable - dokończyłem za nią. - Wiem, wiem. Ale w odróżnieniu od dobrego, czułego, wrażliwego anioła ja się uczyłem i sporo umiem. A ty nie potrafisz nawet ulżyć dziecku. Więc już lepiej bądź cicho.

Alona spurpurowiała. Nad jej głową zapłonęła aureola - teraz patrzenie na nią sprawiało mi fizyczny ból. Wiktor Nienaszew chyba też coś poczuł, nie każdy człowiek jest w stanie znieść towarzystwo anioła... Zaniepokoił się. Tak, tak, obecność anioła jest w stanie obudzić nawet pogrążone we śnie sumienie.

- Aha, nie mogę pomóc?! - zasyczała. Odwróciła się i wyszła prosto przez drzwi, bez żadnej koncentracji.

Uśmiechnąłem się do siebie. Najważniejsze to dobrze kogoś rozdrażnić, nazwać fajtłapą, żeby na złość chciał udowodnić, że właśnie potrafi!

Poszedłem za nią. Alona tymczasem już pochylała się nad chłopcem, chyba gorączkującym. Położyła mu rękę na czole. Spochmurniałem. Najwyraźniej Nienaszew przesadził... Jeśli teraz nie pomożemy Aloszy, cała sprawa może się skończyć bardzo smutno... Alona wyprężyła się nagle i jęknęła, na jej czoło wystąpiły krople potu. A chłopiec, nadal nieprzytomny, uspokoił się i ucichł.

Podszedłem i podniosłem koszulę, odsłaniając jego plecy. Najstraszniejsze rany bladły powoli, krwawiące ślady zablizniały się. Zerknąłem na Alonę i szturchnąłem ją.

- Uważaj, nie przesadź.

Powoli otworzyła oczy, popatrzyła na mnie, potem skinęła głową.

- Tak - powiedziała z trudem. - Jeśli wyleczę go całkowicie, ciężko będzie wyjaśnić, jak to się stało. No, w każdym razie nie grożą mu żadne komplikacje.

Skinąłem głową.



- Alona... - powiedziałem.

Odwróciła się niespiesznie, a ja uniosłem w górę kciuk.

- Brawo! Nigdy nie słuchaj, jak ktoś mówi, że nic nie umiesz.

Uśmiechnęła się delikatnie, a wyglądało to tak, jakby promień słońca zajrzał do pokoju.

- Nie sądziłam, że kiedykolwiek powiem to diabłu, ale dziękuję.

Uśmiechnąłem się.

- Nie ma za co, polecam się na przyszłość. Jakbyś jeszcze kiedyś chciała, żeby cię obrazić, wal do mnie jak w dym.

- Mimo wszystko jesteś chamem.

- A jak? - Wzruszyłem ramionami. - W końcu jestem czarłem.

- Co teraz zrobimy?

- Zaczekamy, aż przyjdzie noc. Przy okazji, w tym pokoju jest kilka krzeseł, możemy usiąść.

- Jakiś ty troskliwy Ezergilu - odparła zgryźliwie Alona.

Chyba już doszła do siebie, znów była w formie.

- Staram się.

Rzuciła mi gniewne spojrzenie i w milczeniu usiadła na krześle, widocznie postanowiła się ze mną nie kłócić. Zdawałem sobie sprawę, że musi odpocząć po takim wysiłku, więc dałem jej spokój. Przyjęcie na siebie bólu człowieka - ho, ho, to nie żarty! Co by nie mówić, aniołowie nie są normalni... Mnie by tam nikt nie zmusił, żebym wziął cudzy ból. Takiemu, który by

spróbował, od razu wyjaśniłbym, gdzie ma się udać i co zrobić. A ona dobrowolnie!... Koszmar.

Wstałem i podszedłem do okna, które wychodziło na zachód, więc mogłem obejrzeć chowające się za horyzontem słońce. Tak, zachodzące słońce to widok niesamowity, pełen majestatu. Chociaż Alona na pewno nie zgodziłaby się ze mną, jej bardziej podobałby się wschód... Dzień i noc. Jin i Jang. Dwie strony tej samej rzeczy. Właśnie na tym zbudowałem swój plan... Tylko czy wypali? O, wujku, wujku! Aleś mnie urządził...

Słońce zniknęło za horyzontem, ziemię zalały ciemności. Nastał czas zła, jak niegdyś wierzyli ludzie. Jako diabeł oświadczam stanowczo: to wszystko bzdury. Alona słusznie zauważyła, że najstraszniejsze przestępstwa popełnia się w świetle dnia. Zresztą to nieważne - grunt, że ludzie wierzą, iż zło przychodzi nocą...

Odszedłem od okna i stanąłem na środku pokoju. Obejrzałem swój śnieżnobiały garnitur, który miałem na sobie od rozmowy z Wiktorem Nikołajewiczem... Nie, nie pasuje. Zmieniłem strój, zadawałem teraz szyku w czerni. Do tego płaszcz barwy nocy... Oczywiście diabeł, który kusi człowieka w takim stroju, jest jak agent w ciemnych okularach i prochowcu z podniesionym kołnierzem. Ale ponieważ mój... ee... klient jest nie do końca zwyczajny, dla niego będzie w sam raz. Odwróciłem się do Alony.

- Pamiętasz o swojej obietnicy?

Dziewczyna błysnęła oczami.

- To raczej diabłu trzeba przypominać o tym, co

obiecał.

- Doskonale. W takim razie, bez względu na to, co się tu będzie działo i jak bardzo ci się to nie spodoba, proszę cię, żadnych interwencji, w ogóle się nie pokazuj. Jeśli Alosza zobaczy cię razem ze mną, będzie stracony i już nie zdołamy mu pomóc.

- Aż tak?

- Tak. Będziesz musiała mi zaufać.

- Zaufać diabłu? Jeszcze nie zwariowałam.

- Możliwe. Ale musisz dotrzymać obietnicy. Przecież nie chcesz zostać na drugi rok? Poza tym... Mam jeszcze jeden powód, żeby rozwiązać ten problem. Jednym słowem, jesteśmy po tej samej stronie.

- Chciałabym w to wierzyć.

- Uwierz. A jeśli nie zdołasz, po prostu pamiętaj o swojej obietnicy. Moje wymagania są proste: nie wtrącaj się, nie ujawniaj. Milcz, patrz i zapamiętuj.

Alona sposepniała, ale skinęła głową. Stałem jeszcze przez chwilę nieruchomo, zbierając siły... Dobrze, zaczynamy przedstawienie! Czemu tak się denerwuję? Im dłużej zwlekam, tym więcej mam wątpliwości... Zdecydowanym krokiem wyszedłem na środek pokoju, popatrzyłem na śpiącego niespokojnie chłopca. Zrzuciłem z siebie iluzję, moje oczy zapłonęły niczym dwa węgle. Alosza poruszył się i otworzył oczy. Nasze spojrzenia spotkały się.

## Rozdział 3

Przed wszystkim musiałem stłumić strach chłopca. Niewiele osób spokojnie zareagowałoby na obecność w ich pokoju nieznanego człowieka... Zdaje się, że Alosza był nawet zaskoczony faktem, że się nie boi. Usiadł na łóżku i popatrzył na mnie, krzywiąc się z bólu.

- Kim jesteś? - zapytał w końcu.

Uśmiechnąłem się.

- A kim chciałbyś, żebym był?

Chłopiec stropił się.

- Jesteś złodziejem?

- Ja? Nie. Raczej kupcem. Sprzedaję ludziom rozwiązanie ich problemów, a kupuję to, czego nie potrzebują. Masz jakieś problemy?

Alosza uśmiechnął się niewesoło.

- Całe moje życie to jeden wielki problem.

- No cóż. - Skinąłem głową. - To też da się załatwić. Jeśli życie staje się problemem, można się od niego uwolnić, definitywnie. Co wolisz? Skoczyć z okna, wpaść pod pociąg? A może truciznę? Kompletnie bezbolesna śmierć.

Chłopiec cofnął się przerażony.

- Chcesz mnie zabić?

- Ja? Oczywiście, że nie! Ja tylko rozwiązuję problemy ludzi. Skarżysz się na swoje życie, więc proponuję kilka sposobów rozwiązania tej kwestii.

Chociaż, na twoim miejscu zastanowiłbym się raczej nad rzeczami, które zatruwają ci życie.

- Kim jesteś?

Znowu się uśmiechnąłem.

- Nie uwierzysz.

- Powiedz!

- Jestem diabłem.

- Jasne. A ja aniołem.

- No widzisz. Mówiłem, że nie uwierzysz.

- Czego ode mnie chcesz?

- A czego diabeł może chcieć od człowieka? Oczywiście jego duszy. W zamian za nią mogę spełnić każde twoje życzenie. Chcesz pieniędzy? Proszę. - Machnąłem ręką i przed łóżkiem Aloszy wyrosła górka złotych monet. Czego jak czego, ale tego dobra w piekle nie brakowało. Każdy diabeł mógł spokojnie czerpać złoto z magazynu, zwłaszcza że u nas było ono tyle warte co piasek.

Chłopiec z niedowierzaniem patrzył na pieniądze. Zszedł z łóżka, pomacał je ostrożnie.

- Ja śnię...

- Porozmawiajmy o dzisiejszym incydencie przy kiosku. Wszystko widziałem, to przecież ja przyszedłem ci z pomocą. Potem zresztą też. Kim według ciebie był człowiek, który przyniósł twojemu ojcu pięćset rubli? - Zerknąłem na Alonę, dziewczyna powoli zaczynała gotować się ze złości, słuchając naszej rozmowy, ale nie wtrącała się i pozostawała niewidzialna. Alosza nagle znieruchomiał.

- A możesz zabić mojego ojca?

- Nie. Nie mam prawa bezpośrednio ingerować w życie ludzi, mogę działać jedynie poprzez nich samych. Jeśli naprawdę chciałbyś to zrobić, mogę cię skontaktować z odpowiednimi ludźmi. Zapłacisz im tym złotem i po kłopotach. A jeśli szkoda ci forsy, mogę zaproponować truciznę. Gwarantuję, że żadna sekcja nic nie wykryje. Wystarczy, że wlejesz dziesięć kropli do wódki...

Wyjąłem buteleczkę z powietrza. Alosza cofnął się.

- Ja miałbym?...

- No przecież nie ja... Powiedziałem już, że mogę działać jedynie poprzez ludzi. Narzędzie moje, lecz wykonawcą jesteś ty. Widzisz, jakie to proste?

Alosza niepewnie wyciągnął rękę i wziął buteleczkę. Dłoń mu drżała.

- Ale - zacząłem - weź pod uwagę konsekwencje.

- Ja... jakie?

- Jesteś niepełnoletni, więc po śmierci ojca trafisz do internatu. Chciałbyś tego?

- Nienawidzę go...

- Wiem. To właśnie twoja nienawiść mnie tu ściągnęła. O, nienawiść to cały poemat! Jakże ona jest słodka... Jakie to cudowne uczucie, gdy widzisz, jak poniżony wróg wiję się u twoich stóp... Czyż nie mam racji?

- Nie... nie wiem...

- Jesteś jeszcze młody, lecz jeśli chcesz, mogę cię niejednego nauczyć. Jeśli masz takie życzenie, nauczę cię nienawidzić naprawdę? A potem zmuszę twój ojca, żeby przyczołgał się do ciebie na kolanach...

- Nie chcę!

- Dlaczego? Przecież zabił twoją matkę.

- Skąd wiesz?

- Jestem diabłem. Wiem wszystko. Chcesz, to opowiem ci, jak to się stało? Pewnego dnia twój ojciec...

- Nie chcę!

- No widzisz, sam wszystko rozumiesz. Wybaczysz mu to?

Alosza zastanowił się. Ech, młodość, młodość! Jakie to wszystko przewidywalne... Alosza od tak dawna pielęgnował nienawiść... Nic dziwnego, że jego matka nie chce opuścić ziemi. W swojej obecnej postaci świetnie rozumie, czym może się to dla niego skończyć... Czy jego ojciec naprawdę nie widzi, do czego wkrótce doprowadzi? A może nie dostrzega już nic oprócz butelki? Dziwne to wszystko... A swoją drogą, byłem ciekaw, czy chłopiec oprze się pokusie czy nie. A przecież chciałbym, żeby się oparł, strasznie bym chciał... Specjalnie powiedziałem mu, że jestem diabłem! Może przypomni sobie różne stare bajki?

- Nie wyglądasz na diabła - oznajmił niespodziewanie Alosza.

- A wielu diabłów widziałeś?

- Nie... ale i tak nie wyglądasz.

- Jasne - prychnąłem. „Nie wiem, jak powinno być, ale tak nie powinno”. - A tak?

Przeobraziłem się. Teraz stałem się capem, stojącym na tylnych nogach, z rękami zamiast przednich kopyt. Rogi, wzrost - wszystko jak należy. Ciało pokryte

krótką czarną sierścią. Jednym słowem - koszmar. Gdybym spotkał takiego w środku nocy, jękałbym się do końca życia. Ludzie mają zbyt bujną wyobraźnię... Jakim cudem taka poczwara miałaby zdobyć zaufanie człowieka? Chyba musiałby być ślepy jak kret i głuchy jak pień!

- A może tak?

Przybrałem inną postać - teraz byłem wysokim wujaszkiem z kozią bródką i wąską pociągłą twarzą.

- Więc ty naprawdę...

- Naprawdę. Jestem najprawdziwszym diabłem. Co mam zrobić, żebyś mi uwierzył?

- Nie wiem.

- W takim razie porozmawiajmy o twoich problemach. Pomyśl: jeśli jestem diabłem, mogę pomóc ci je rozwiązać. Jeśli nie jestem i tak nic nie tracisz. A więc... - Wyjąłem zeszyt, długopis i przygotowałem się do robienia notatek. - Czego być chciał?

- No... - Alosza zamyślił się, marszcząc czoło. Ale z niego dzieciak! Dla niego to tylko zabawa. Za to jego nienawiść jest autentyczna, tu nie mogło być mowy o pomyłce. Prawdziwa mieszanka wybuchowa. - Chcę mieć dużo pieniędzy, samochód...

Zacząłem pisać, a chłopak w miarę dyktowania wyraźnie się rozochocił. Daleko zajdzie... Ciekawe, po co mu parowiec? Żeby pływać po miejscowym strumieniu, omyłkowo nazywanym rzeką?

- To wszystko? - zapytałem, gdy chłopiec umilkł.

- I jeszcze zdalnie sterowany model czołgu, widziałem taki w sklepie...



Zerknąłem na długą listę życzeń, potem na Aloszę.

- A prawdziwego czołgu nie chcesz? Po co się rozdrabniać? Dobra, koniec żartów. Teraz porozmawiajmy poważnie.

- Myślałem, że spełnisz moje życzenia...

Westchnąłem i usiadłem obok niego.

- Oczywiście, że mogę spełnić twoje głupie życzenia. Tylko, co z tego? Zastanówmy się nad nimi. Punkt pierwszy: dużo pieniędzy. Nie ma problemu. - Wskazałem na stertę złota. - Mogę sprawić, że co dzień znajdziesz pod łóżkiem złotą monetę. Ale zastanowiłeś się, co z nią zrobisz? Byli już kiedyś milionerzy podziemni, a ty będziesz pierwszym w historii milionerem podłóżkowym. Jak masz zamiar wydać te pieniądze? Jak wytłumaczysz ojcu, skąd je masz? Poza tym, duże pieniądze zainteresują władze: dziecko wydaje ogromne sumy, skąd je bierze? Jak to wyjaśnisz?

- No to jeszcze jeden punkt: chroń mnie.

- Nie jestem aniołem stróżem. A twoje pozostałe pragnienia wcale nie są lepsze! Już nie mówię o tym, że jeśli będziesz miał dużo pieniędzy, to wszystkie będziesz mógł spełnić sam, bez mojego udziału.

- Jaki więc z ciebie pożytek? Pieniądzy nie chcesz dać, życzeń nie zamierzasz spełnić...

- Pieniądzy, pieniądzy... Naprawdę myślisz, że dadzą ci szczęście?

- Będą mnie szanowali i bali się mnie! Jak wujka Wasilija z trzeciej klatki!

- Wujka Wasilija? - powtórzyłem, szybko zapisując w

notesie adres i nazwisko.

„Z jakiego archiwum życzy pan sobie otrzymać wiadomości: z archiwum raju czy z archiwum piekła?" - pojawiło się pytanie.

„Z obu!" - odpisałem gniewnie i chwilę później pojawiły się dwa teksty. Odpowiedź z raju została napisana jakimś połyskliwym atramentem, mieniącym się wszystkimi kolorami; odpowiedź z piekła nabazgrano zwykłym czarnym atramentem.

Szybko zrozumiałem, kto i dlaczego szanuje wujka Wasię. Jeśli chodzi o strach to wszystko było jasne - takich jak on trzeba się bać. Tak, czyścćem tu nawet nie pachnie... Jasna sprawa.

- Czyli jak wujka Wasię? No cóż, jesteś pewien?

- Tak!

- Chcesz mieć dużo pieniędzy?

- Tak. Wtedy pokażę ojcu...

- Pokażesz, pokażesz. Tylko najpierw sprecyzuj, ile to dla ciebie „dużo".

- No... dużo. Milion.

- Rubli, lirów, funtów, dolarów?

- Dolarów.

- Doskonale. - Błyskawicznie stworzyłem pergamin z umową. - Przeczytaj i podpisz.

Zaskoczony Alosza wziął pergamin; chciał zapalić światło, ale dokument świecił tak jasno, że można go było czytać w ciemności. Chłopiec przejrzał umowę kilka razy, ale i tak było jasne, że niewiele z niej zrozumiał.

- Podsumujmy... - westchnąłem. - Obiecuję, że w

ciągu tygodnia zdobędziesz milion dolarów i to tak, że nie wzbudzi to niczyich podejrzeń. Jednocześnie zobowiązuję się chronić cię do czasu wykonania tej umowy. Ty w zamian oddasz mi swoją duszę. Jakies pytania?

- To wszystko brednie - burknął Alosza. - I tak ci nie wierzę. Ktoś sobie robi głupie żarty.

- Dlaczego nie wierzysz? - W milczeniu podałem mu specjalny długopis. Rzecz jasna, opowieści o podpisywaniu krwią to kompletna bzdura, podobnie zresztą jak sama umowa z diabłem. Niewykluczone, że w całej historii piekła byłem pierwszym diabłem, który zawarł umowę z człowiekiem... Ludzkie przesady czasem się przydają... I nikomu nie przyjdzie do głowy, że żaden diabeł nie musi „kupować” ludzkiej duszy. Ludzie sami je nam oddają, za darmo i ze śpiewem na ustach. Ech, święta naiwności...

Alosza podpisał, rzucając mi chmurne spojrzenia. Chyba nie do końca rozumiał, co się dzieje. Chyba myślał, że śpi i to wszystko mu się śni.

Zwinąłem pergamin z umową i nie odwracając się do chłopca plecami, powoli odchodziłem, rozplywając się w powietrzu. To znaczy, on był przekonany, że znikam, a tak naprawdę otaczałem się iluzją, czyniąc ją coraz bardziej nieprzejrzystą.

- Zadowolony?! - zapytała gniewnie Alona, gdy już zamknąłem się przed ziemskim światem.

- A wiesz, że nawet nie?

- Akurat! Zdobyłeś duszę dziecka i miałbyś być niezadowolony?!

- Posłuchaj, nie rób z siebie idiotki. Dobrze wiesz, że w ten sposób nie zdobywa się ludzkich dusz. My, diabły, możemy kusić i sprowadzać na złą drogę, wtedy człowiek trafia do nas. Ale nie sądzisz chyba, że stanie się tak na skutek tego podpisu?

- No to zniszcz umowę.

- Nie mam zamiaru. Ona daje mi władzę nad chłopcem, a to się jeszcze może przydać.

- Ty... ty...

- Ja, ja.

Alona odwróciła się ode mnie i utkwiała wzrok w oknie.

- Chcesz tu sterczeć do rana? - zapytałem. - Może jednak wyjdziemy?

W milczeniu podeszła do drzwi i nagle odwróciła się.

- A co zaplanowałeś w stosunku do ojca? Też umowę?

- Nie rozśmieszaj mnie. Jaką umowę? Co zdaje egzamin w przypadku dziecka, nie sprawdzi się z dorosłym. Po pierwsze, on we mnie nie uwierzy, nawet jeśli przedstawię mu dowody. Po drugie, to by tylko wszystko skomplikowało. Po trzecie, jak zareaguje normalny człowiek na wieść, że zjawił się u niego diabeł, który chce zdobyć jego duszę? Najlepszy sposób pozyskiwania ludzi to przekonać ich, że diabły i anioły nie istnieją! Dobrze, chodźmy stąd. Ech, widzę, że będę musiał ci wszystko wyjaśnić, żebyś przestała patrzeć na mnie wilkiem. Twoja pomoc jeszcze mi się przyda.

Alona zastanowiła się, a potem skinęła głową.

- Dobrze, wysłucham cię. Ale powiedz, dokąd się

wybierasz w środku nocy? Przecież moglibyśmy tu zostać?

- Owszem, ale mamy do załatwienia jeszcze jedną sprawę. Musimy się dostać na cmentarz.

- Że co?!

- Na cmentarz. Trzeba się spotkać z pewną... ee... zjawą. Jedziemy. Dać ci miotłę?

- A co ja jestem, wiedźma, żeby na miotle latać? - zdenerwowała się Alona, ale widząc moją minę umilkła.

- Drwisz sobie ze mnie, tak? - zapytała spokojnie. - Żarty sobie urządzasz? Oj, czekaj, doigrasz się!

Do cmentarza dotarliśmy godzinę później. Ech, gdybym miał ogon... Ale nie mam, więc o czym tu gadać. Alona też nie posiadała jeszcze skrzydeł i dlatego musieliśmy lecieć na wysokości dwóch metrów nad ziemią. Pewnie, że szybciej niż na piechotę, ale wolniej niż z ogonem. Trzasnąłbym tylko i... No dobra, nie ma co. Leciałem, że tak powiem, swoim biegiem, co jest piekielnie męczące. Z tego powodu odmówiłem wyjaśniania czegokolwiek po drodze.

- Obiecałeś! - zaperzyła się Alona.

- Obiecałem, że to zrobię, ale nie sprecyzowałem, kiedy. Przepraszam cię, ale wkrótce twoja niewiedza będzie mi potrzebna; gdybyś znała mój plan, ciężko by ci było zagrać swoją rolę.

- Ja ci zaraz zagram! Cegłą po głowie!

- O rany - westchnąłem, ale widząc, że Alona faktycznie ma ochotę mnie stuknąć, postanowiłem ją udobruchać. - Wytrzymaj jeszcze trochę. Obiecuję, że niedługo wszystko opowiem. Możesz poczekać do

rana?

- Ale tylko do rana!

Wylądowałem przed murem cmentarza i w zadumie podrapałem się po karku. Zerknąłem na odbudowaną świątynię za ogrodzeniem, wyciągnąłem rękę, ale szybko ją cofnąłem. Potem zerknąłem na Alonę, która ze złośliwą satysfakcją obserwowała moje próby. Prychnąłem gniewnie i zacząłem iść wzdłuż płotu. Za nic nie poproszę jej o pomoc! Nigdy!

Kilkaset metrów dalej solidne ogrodzenie z metalowych prętów zastąpił niewysoki murek, który można by spokojnie przeskoczyć - oczywiście gdyby po tamtej stronie nie było cmentarza. Nawet nie tyle chodziło o samą nekropolię, co o cerkiew i jej teren. Na samym cmentarzu dałoby się jeszcze wytrzymać, a tak... Dla diabła przebywanie w takim miejscu to tak, jak dla człowieka prysznic z rozpalonej pary. Zerknąłem na Alonę.

- Może potrzebujesz pomocy? - spytała słodkim głosem.

Aż mnie szarpnęło. Oo, czekaj, już ja ci to przypomnę!

- A jak sądzisz? - warknąłem.

- Ciekawe, o czym myślałeś, kiedy ciągnąłeś nas tutaj?

Dobre pytanie... Znów spojrzałem za murek. Nawet jak zacznę się drzeć, zjawa i tak mnie nie usłyszy... Muszę iść do grobu...

- Masz mi obiecać, że jak ci pomogę, to wszystko opowiesz - zażądała Alona. - I zwolnisz mnie z mojej

obietnicy!

No, no, szybko się uczy, daleko zajdzie... Jeszcze tydzień i zrobię z niej wzorcowego diabła. Zerknąłem na nią i westchnąłem ciężko. Albo ona zrobi ze mnie anioła... Przecież jeśli wytrzymam z nią tydzień, ani chybi obwołają mnie świętym!

- Obiecuję, że wszystko wyjaśnię, ale nie zwolnię z danego słowa. Może być?

- Nie!

- No to wracamy. Szkoda... To był najprostszy sposób, żeby pomóc chłopcu...

Odwróciłem się i zacząłem iść z powrotem wzdłuż ogrodzenia. Kątem oka zerkałem na Alonę. Nie, jednak do diabła jeszcze jej daleko... Kompletnie nie rozumiem, co to takiego bluff.

- Dobrze! - krzyknęła za mną. - Zgadzam się!

Zawróciłem.

- W takim razie do dzieła!

Dziewczyna popatrzyła na moją rozpromienioną twarz i skonstatowała ze smutkiem:

- I znowu mnie nabrał...

Uśmiechnąłem się jeszcze szerzej, podchodząc do ogrodzenia.

- No?

Alona westchnęła i stanęła obok mnie.

- Dawaj rękę. Ale ja ci to jeszcze przypomnę!

Wzięliśmy się za ręce i przez minutę staliśmy nieruchomo. Z rzadka zerkałem w stronę anielicy i widziałem, jak złociste lśnienie wokół niej rozpała się coraz mocniej. Gdy objęło również mnie, zrobiło się

mało przyjemnie. Zdawałem sobie sprawę, że gdyby tylko zechciała, mogłaby sprawić, że momentalnie wyparuję. Zniknę! Żaden diabeł nie wytrzyma lśnienia anioła. Wzdrygnąłem się, bo mróz przeszył mnie do szpiku kości. Teraz moje życie znajdowało się w jej rękach - i to dosłownie.

Alona wyczuła mój strach i zrobiła złowieszczą minę. Chciałem się uśmiechnąć, pokazać, że nie czuję strachu, ale raczej kiepsko mi wyszło. Bałem się - i to jeszcze jak.

- Idziemy.

Znów się wzdrygnąłem, ale wziąłem się w garść, zrobiłem krok do przodu. Przeszliśmy przez ogrodzenie. Wsłuchałem się w swoje wrażenia - chyba nic strasznego się nie dzieje... Żyję. I całkiem nieźle się czuję.

- To teraz możesz już puścić moją rękę - powiedziała cicho Alona.

Spojrzałem w dół... O wielki Gorujanie, jak ona to wytrzymała?! Ze strachu ścisnąłem rękę dziewczyny tak mocno, że chyba połamałem jej wszystkie kości! Puściłem szybko. Alona powoli podniosła dłoń do piersi i przycisnęła ją drugą. Uśmiechnęła się krótko.

- Ale masz siłę.

- Mogłaś krzyknąć... - zauważyłem przepraszająco. Nie przypuszczałem, że kiedykolwiek poczuję się naprawdę winny.

- Nie mogłam. Wtedy nie zdołałabym cię osłonić i zginałbyś.

Ha... Spojrzałem na jej dłoń - czerwoną i spuchniętą.



O, teraz przydałby się tu wujek z jego umiejętnością leczenia... Załatwiłby to w ciągu sekundy. Dlaczego ja tak nie umiem?!

- Przepraszam...

- Mam tylko nadzieję, że nie na darmo tak cierpiałam - mruknęła.

No cóż, po tym wszystkim byłbym ostatnim podlecem, gdybym ją oszukał. Gorzej nawet - postąpiłbym jak człowiek. Jednak zamiast odpowiedzi tylko skinąłem głową, a potem odwróciłem się i zdecydowanym krokiem ruszyłem między grobami, zerkając na napisy. Alona szła za mną.

Pogoda była cudowna. Ciepła letnia noc, gwiazdy... Romantyka, psiakrew. No i jeszcze różne zjawy. Odwróciłem się powoli w stronę jednej z nich, wysuwającej się właśnie z nagrobka.

- Człowieku! - zajęczała zjawa. - Zabiorę cię ze sobą!

Zjawa mówiła w języku międzyświatowym, więc zrozumiałem ją bez trudu, jednak dla ludzi brzmiało to jak jęki i to na dość nieprzyjemnej częstotliwości. To właśnie budziło ich strach, nie mówiąc już o lęku przed zjawami w ogóle. Nawet najodważniejszy człowiek osiwniałby z przerażenia. W dodatku... Przyjrzałem się uważniej... No tak, przecież to wampir energetyczny! Milutko. Jasne jak słońce, że jego miejsce jest w piekle. Tylko że nie chciał tam iść i teraz się włóczy tutaj, ludzi straszy. Na dodatek nie tylko straszy, ale jeszcze wypija energię!

- Z tobą, to znaczy dokąd? - zapytałem uprzejmie. Alona stanęła obok mnie i z zainteresowaniem

przysłuchiwała się rozmowie.

- Do grobu! - uściśliła zjawa.

Westchnąłem. Ale tępy... Jeszcze nie zrozumiał, na kogo trafił.

- Nie - pokręciłem głową. - Nie chcę. To już lepiej ja zabiorę cię ze sobą.

- A dokąd? - zdumiała się zjawa. Podniosłem rękę i tknąłem w zjawę palcem wskazującym.

- Nie znudziły ci się te spacerki? Chyba w końcu zrozumiała.

- Nie! Nie chcę! Nie zasłużyłem!

- O tym to nie ja będę decydować - odparłem z udawanym smutkiem. - Poza tym, skoro narobiłeś podłości za życia, miej przynajmniej odwagę odpowiedzieć za nie po śmierci! Do piekła, kochaniutki, do piekła.

- Nie zasłużyłem! - wyła zjawa, szamocząc się w niewidzialnych pętach.

Aha, uważaj, już cię puszczam.

- Dobrze, przyjmujemy apelację. - Jedną ręką wyjąłem notes, przykucnąłem i położyłem go na ziemi. Było mi niewygodnie, ale nie mogłem puścić zjawy nawet na chwilę, od razu by zwiąła. Napisałem pytanie, wstałem i popatrzyłem na otrzymaną odpowiedź.

- No cóż, bardzo mi miło, Piotrze Wasiljewiczu. Zdaje się, że był pan naczelnikiem ZEK-a? Drobnny urzędnik, od którego zależało wielu ludzi. Już wtedy wampir. I już wtedy sprawiało panu przyjemność cierpienie ludzi, którzy zwracali się do pana o pomoc. Odmawiał pan, nawet jeśli nie miał pan prawa tego

robić. Nie było najmniejszej potrzeby niszczyć tych petentów... Hm, nawet nie starczyło panu śmiałości na jakieś spektakularne przestępstwo... Drobnie łapówki i wielu zniszczonych ludzi. Dziwne hobby... Okazuje się, że jest pan sadystą, dziadku! Cóż, teraz podobne hobby będą mieli inni. Do piekła, dziadku, do piekła!

- Nie chcę! Ja już nie będę! Proszę dać mi szansę! Błagam!

Splunąłem.

- Poszedł won, durniu.

Pojawiło się niewielkie tornado, pochwyciło zjawę i po chwili zniknęło.

- Co za głupota - burknąłem do Alony. - Facet ma osiemdziesiąt lat czasu za życia, żeby zrobić choć jeden dobry uczynek; nie robi nic, a teraz „dajcie mi szansę, więcej nie będę”. Słowo daję, jak małe dziecko.

Alona nic nie powiedziała. Oczywiście, żal jej było zjawy, ale też rozumiała, że facet zasłużył na piekło i że ona nie ma nad nim żadnej władzy. Dlatego ograniczyła się do skinienia głową. Zerknąłem na jej rękę, którą nadal przyciskała do piersi. Opuchlizna chyba się zmniejszyła... Czym prędzej odwróciłem wzrok. Widok jej ręki powodował wyrzuty sumienia, a sumienie u diabła to jak dwóch ministrów w jednym tramwaju.

Podniosłem głowę i popatrzyłem na księżyc. No więc, śmierć Nienaszewej nastąpiła... Datę urodzenia pomnożyć przez numer jej znaku, podzielić przez liczbę miesięcy w roku... współczynnik Brooksa... Odwróciłem się na północny zachód. Chyba tam. A jeśli się mylę? Będziemy całą noc biegać po cmentarzu w

poszukiwaniu grobu? Otworzyłem notes, szybko zapisałem pytanie. Współczynniki współczynnikami, ale ten sposób jest pewniejszy. Otrzymałem odpowiedź i poszedłem na północ. Przynajmniej wszystko jasne, a nie jakieś tam pomnożyć, podzielić, odjąć...

- Alona, zniknij.

- Słucham? - spieszyła się anielica.

- No, zamaskuj się.

- Myślisz, że wtedy zjawa mnie nie zobaczy?

- Będzie wiedziała, że ktoś tu jest, ale nie dowie się, kto: anioł czy diabeł.

Wzruszyła ramionami.

- Jak sobie chcesz...

Stworzyła iluzję, może nie idealną, ale przynajmniej nie było jej widać. Podeszedłem do mogiły. Skromny standardowy nagrobek i tabliczka z datą narodzin i śmierci. Zastukałem w tabliczkę.

- Obywatelko Nienaszewa, ma pani gości.

- To ty? - Pojawiła się znajoma dusza.

- To ty - przyznałem. - To znaczy, tfu, to ja. Chciałem powiedzieć, że teraz nie musi się już pani o nic martwić. Zatroszczyłem się o pani syna, wszystko jest w porządku. Może pani spokojnie iść do rajku.

- Zatroszczyłeś się? - spytała nieufnie zjawa.

- Tak. Spytałem, czego by chciał, a on powiedział, że chce milion, więc obiecałem, że dostanie. W ciągu tygodnia dam mu milion i wszystko będzie w porządku. Chłopiec jest szczęśliwy... Przy okazji, mogę spełnić również pani życzenie: sprawić, że pani mąż przestanie pić.

- Idiota!!! - Od wrzasku zjawy zatkało mi uszy. - Coś ty narobił! Nie chcę, żeby mój syn do was trafił!

- O, w takim razie należało jeszcze za życia nauczyć go odróżniać dobro od zła - burknąłem gniewnie. - Czyja to wina, że w wieku dwunastu lat nie rozróżnia tych pojęć? Może moja? Tak, diabły są złe i podłe, zwalcie wszystko na nas! Ludzie są niewinni! Ukradł? Diabeł go podkusił! Napadł? Diabeł winien! Łapówkę wziął? Diabli nadali! Tak, diabeł nie ma nic innego do roboty, jak stać za łapówkarzem i szeptać: „No weź, kochanieńki, weź... Co ci szkodzi, bierz, jak dają!”.

Zjawa przestała zawodzić i popatrzyła na mnie ciężkim wzrokiem.

- Więc jestem winna, tak?

- Madame, ja nie proponowałem pani synowi pieniędzy; ja tylko spytałem, czego mu trzeba do szczęścia, a on wybrał pieniądze. Powiedział, że bogaczy ludzie się boją i że ich szanują. Jeśli chce, zrobię tak, żeby się go bali i żeby go szanowali. Ja nie wymyślam pragnień, tylko je spełniam.

- Ale on jest jeszcze mały i głupi! Nie rozumie! Czarcie, zlituj się nad nim! Proszę cię! Jeśli chcesz, weź w zamian moją duszę! Wypuść mojego synka!

Przechyliłem głowę i popatrzyłem na klęczące przede mną widmo.

- Aż tak? Kusząca zamiana. A wiesz dlaczego, kobieto? Dlatego, że twój syn i tak do nas trafi. Nawet, jeśli zostawię go w spokoju. Nie nauczyłaś go żyć... Ale ja się nie zgadzam.

- Nie masz duszy!

- Oczywiście, że nie, dusza to przywilej ludzi. Ale nie zgadzam się na tę zamianę nie dlatego, że nie mam duszy, lecz dlatego, że podpisałem umowę. Dałem słowo i nie mogę go złamać. Jest tylko jedna możliwość - Alosza musi sam z niej zrezygnować. Ale gdyby umowę ze mną można było tak łatwo rozwiązać, to nie byłbym diabłem, tylko frajerem. On nie tylko musi zrezygnować, ale powinien także mnie pokonać i to nie w walce, lecz w swojej duszy. Rozumie pani?

- Ale co ja mogę? Jestem zjawą!

- Zgadza się, nic pani nie może. Dam jednak pani szansę. Jedną. I jeśli pani przegra, to obie dusze, pani i syna, będą należeć do mnie. A jeśli pani zwycięży... Zresztą, to akurat oczywiste.

- Co mam zrobić, diable? Jestem gotowa na wszystko!

- Proszę nie mówić takich rzeczy... Co ma pani zrobić? Pomóc swojemu synowi oczywiście.

- Ale jak?! Przecież jestem tylko zjawą! On mnie nie widzi i nie słyszy! Byłam w domu po śmierci, siedziałam obok niego, wołałam go, krzyczałam! Diable, zlituj się nade mną!

- Jedyne, co mogę zrobić, to pozwolić pani opuszczać cmentarz wedle woli, a dalej to już wszystko zależy od pani. Jeśli darzy pani syna miłością, znajdzie się jakiś sposób. Umowa została zawarta! - wygłosiłem, odwróciłem się i skierowałem do wyjścia. Przy mogile została klęcząca zjawa.

Alona podeszła do mnie już poza granicami cmentarza. Oczy jej płonęły takim gniewem, że aż mi

się gorąco zrobiło. Rozgniewany anioł to straszna rzecz.

- Lepiej szybko mi wyjaśnij, co wymyśliłeś. - Jej spokojny ton w połączeniu z morderczym spojrzeniem budził niepokój. - Lubisz sprawiać ludziom ból?! Co to za gierki?!

- Ból? A nie przyszło ci do głowy, że ludzie poznają świat poprzez ból? Jak inaczej miałem skłonić matkę, żeby pospieszyła dziecku na pomoc?

- A jak ona może mu pomóc?

- Ty będziesz dla niej wsparciem.

- Ja? - Alona była tak zdumiona, że zapomniała o gniewie.

- Oczywiście! W końcu jesteś aniołem, nie? Jak myślisz, dlaczego kazałem ci się schować? Żeby nie widziała nas razem! Ja jestem diabłem, ty aniołem. Rozumiesz?

Alona patrzyła na mnie w milczeniu, a potem otworzyła szeroko oczy.

- Och ty... Od początku to wymyśliłeś, sukinsynu!

- Anioły nie przeklinają - zwróciłem uwagę, w duchu zachwycając się jej swobodą bluźnienia. Zwykle trzeba się bardzo namęczyć, żeby skłonić skrzydlatego do wymówienia choćby jednego brzydkiego wyrazu.

A gdy anioł w końcu je wypowie, robi to w taki sposób, jakby żuł rozżarzony węgiel.

Alona w dość wyszukany sposób posłała mnie wraz z najbliższą rodziną w daleką podróż z komentarzem, żebym nie przyczepiał się do niej z różnymi idiotycznymi uwagami.

- Mam ich dosyć w szkole - wyjaśniła.

Skinałem głową.

- Zakarbowałem to sobie. Jednak ośmielę się zauważyć, że moja babcia mieszka pod zupełnie innym adresem niż ten, który byłaś uprzejma podać.

Alona parsknęła.

- Jak nie przestaniesz żartować i nie powiesz, co wymyśliłeś, to pod tym adresem będziesz mieszkał ty! Jasne?!

- Dobrze. To na co czekasz?

Popatrzyła na mnie zdumiona.

- Jesteś aniołem czy nie? - spytałem zirytowany. - Właśnie dałem ci bezpośrednią możliwość wtrącenia się do mojej umowy ze zjawą. Nie rozumiesz?!

Alona pokręciła głową.

- Czy wszystkie anioły są takie tępe? - zapytałem uprzejmie.

Dziewczyna spojrzała na mnie gniewnie i zerknęła na suchą pałkę leżącą nieopodal ogrodzenia. Uznałem, że lepiej będzie nie rozwijać tematu inteligencji aniołów. Dlaczego wujek nie znalazł mi jakiejś pilnej anielskiej uczennicy, która nie przeklina, nie bije się i nie zerka w taki sposób na różne ciężkie przedmioty? To przecież jakaś chuliganka! Zupełnie nieprawidłowy anioł!

- Przed chwilą rozmawiałem ze zjawą. Zawarłem z nią umowę, tym samym pozwalając wtrącić się aniołom. Rozumiesz? Więc teraz pójdziesz do Zoi Nienaszewej i wyjaśnisz, że jesteś aniołem i masz jej pomóc. Jasne? No co, nie znajdziesz właściwych słów?!

- Mogłeś od razu powiedzieć... - prychnęła Alona. - Ale jak mogę jej pomóc?



- Nie wiesz, jak anioły pomagają?! Czy ty w ogóle chodziłaś na jakieś lekcje?

Alona ściągnęła brwi.

- Dobra, porozmawiam z nią, uspokoję... Ale będę cię miała na oku.

Demonstracyjnie usiadłem przy ogrodzeniu i skrzyżowałem nogi. Popatrzyłem w niebo, na księżyc.

- Chciałem tylko zauważyć - powiedziałem - że rano mamy być w domu Aloszki. Jeśli nie wrócisz za godzinę, ruszam bez ciebie i wtedy nie będziesz mogła mieć mnie na oku.

Alona mruknęła coś i zniknęła za ogrodzeniem. Czekałem. Godzina minęła szybko, a anioła nie było. Odczekałem jeszcze pół godziny - to samo. Powoli zaczął mnie trafiać szlag. Przecież jej mówiłem! Podszedłem do ogrodzenia i spróbowałem przejść na drugą stronę. Tym razem jednak nikt mnie nie chronił - zasyczałem z bólu i czym prędzej cofnąłem się, pocierając oparzoną rękę. Zerknąłem na zegarek. Dochodziła ósma rano. W porządku, jeśli za piętnaście minut...

Anielica wypłynęła zza ogrodzenia, w zadumie oglądając swoje dzinsy i bluzkę. Popatrzyła na mnie i powiedziała:

- Wiesz co? Okazało się, że w tym ubraniu zupełnie mi nie do twarzy...

Właśnie otworzyłem usta, żeby obrugać nieznośną dziewczynę, ale opadła mi szczeka. Pozbierałem ją z ziemi i spytałem oszołomiony:

- Że co?!

- Mówię, że w tym ubraniu mi nie do twarzy. Zojeczka powiedziała, że to dobre dla oberwańca, a dziewczyna nie powinna się tak nosić. Widzisz, ona uważa, że chłopcom bardziej podobają się takie dziewczynki, którymi mogą się zaopiekować.

Powoli usiadłem na ziemi i popatrzyłem na nią jak na ducha.

- Przepraszam, czy wyście tam gadały o ciuchach?

Alona nabzdyczyła się.

- A co cię to obchodzi? Mówiliśmy o różnych rzeczach. Poza tym, to niegrzecznie wypytywać kogoś o poufną rozmowę!

Trzymajcie mnie! Czy ja ją wypytyuję?! Czy zadałem choć jedno pytanie?! Gdy znów spojrzałem na Alonę, aż mnie zatkało. Wyglądała zupełnie inaczej... Zamiast wytartych dżinsów błękitna spódniczka do kolan, białe skarpetki, sandały i jasna bluzka z jakąś obwódką... Alona obracała się w zadumie, przeglądając się w lustrze, które wisiało przed nią w powietrzu. Potem podniosła rękę do włosów i rozpuściła je - spłynęły swobodnie na ramiona. Już chciałem się oburzyć, ale zamarłem. Alona jakoś tak się zmieniła... Niby nic, ale... Stałem tak z otwartymi ustami i wytrzeszczonymi oczami, nic nie mówiąc. Kurczę, jaka ona ładna! Jak mogłem tego wcześniej nie zauważyć?! Gdzie ja miałem oczy?!

Potrząsnąłem głową, pstryknięciem palców rozwiąłem lustro. Alona odwróciła się do mnie z gniewną miną, a ja wskazałem na słońce.

- Czas! Już późno! Nie ma czasu na głupstwa!

- Twoim zdaniem ładny wygląd to głupstwo? -  
oburzyła się Alona.

Rozsądnie nie odpowiedziałem.

- Mamy pomóc dziecku i jego ojcu, pamiętasz? To od razu ściągnęło ją na ziemię. Z westchnieniem przywróciła sobie poprzedni wygląd i zebrała włosy w kucyk. Westchnąłem z żalem. W tamtym stroju podobała mi się o wiele bardziej... Niespodziewanie odwróciła się do mnie i uśmiechnęła promiennie.

- Dziękuję, diable - powiedziała nagle. A potem wzbiła się w powietrze i poleciała w stronę miasta.

Stałem na ziemi, patrząc na nią.

- Proszę - odparłem stropiony. - Tylko za co? -  
Potrzęsnałem głową. - Kobiety! - burknąłem pogardliwie, a potem uniosłem się w górę i zacząłem doganiać tego... aniołeczka. No, przy niej to ja na pewno świętym zostanę...

## Rozdział 4

Latem ludzie wstają wcześnie, więc o dziewiątej po podwórku kręciło się sporo ludzi, nawet dzieci, które przecież miały wakacje i mogły spać do woli. Aloszy nie było, co mnie ucieszyło - to znaczy, że się nie spóźnił. Niezbyt uprzejmie wziąłem Alonę za łokieć i pociągnąłem do ławki w cieniu ogromnego drzewa, które rosło niemal na środku podwórka i w którym ukryłem swoje rzeczy. Usiedliśmy. Alona mruczała coś o „niewychowanych indywiduach”, a ja obrzuciłem podwórko szybkim spojrzeniem. Potem odwróciłem się do anioła.

- No to mów, jak było? O czym rozmawiałaś z tą zjawą?

- Nazywanie tak miłej osoby zjawą jest szczytem braku wychowania!

Wywróciłem oczami i policzyłem w myślach do dziesięciu.

- O czym rozmawiałaś z przemiłą osobą Zoją Nienaszewą? - zapytałem cierpliwie.

- Wiadomo, o czym, o jej synu. Ucieszyła się, gdy powiedziałam, że jestem aniołem. Obiecałam, że jej pomogę i ochronię ją i chłopaka przed złym diabłem.

Skrzywiłem się. No nie! I to ja mam być tym złym diabłem! Właśnie ja!

- Bardzo mi miło.

Alona zerknęła na moją obrażoną minę i zacukała się.

- Ezergil, no przepraszam... Nie chciałam cię urazić. Jakoś tak samo wyszło...

- Samo ci wyszło obrażanie mnie?

- Ee... nie. Musiałam jej przecież coś powiedzieć! No i sobie pogadałyśmy. I już.

- Jak to już? I tylko o tym gadałyście przez dwie godziny?

- Dlaczego tylko? - zdumiała się Alona. - Widzisz, Zojeczka za życia była projektantem mody. Powiedziała, że nie może patrzeć na mój niegustowny strój.

- Dwie godziny gadałyście o szmatkach?!

- Wcale nie dwie - obruszyła się Alona. - Zoja powiedziała, że diabłu można wybaczyć brak dobrego smaku, ale tobie, mówi, to znaczy mnie, potrzebny jest zupełnie inny strój. I opisała, jak sobie go wyobraża. Widziałeś zresztą, bo przed cmentarzem ubrałam się dokładnie tak, jak ona powiedziała.

- Kobiety! - zwróciłem się patetycznie do niebios, a potem ukradkiem obejrzałem swoje ubranie. Co by nie mówić, właściwy image to dla diabła ważna rzecz i należało wziąć pod uwagę słowa specjalisty... A potem spojrzałem na wejście do bloku.

- Ha! - złapałem Alonę za rękę, aż krzyknęła - zupełnie zapomniałem o jej dłoni! - Przepraszam bardzo! Ale popatrz na klatkę! Widzisz tego kolesia obok klombu z kwiatami?

- Tę uszată beczułkę?

Uśmiechnąłem się pod nosem. Szkoda, że Ksefon tego nie słyszy.

- Tak jest. Wiesz, kto to jest?
- Pojęcia nie mam.
- To Ksefon, mój kolega z klasy.
- Nie rozumiem. Co to ma być, ziemską wycieczką dla diabłów?
- On ma tu do wykonania swoje zadanie, odwrotne do mojego.

Alona zerknęła na mnie podejrzliwie.

- Nie wydaje ci się, że najwyższy czas wszystko wyjaśnić? Jak się w to wpakowałeś?

- No przecież ci mówiłem, dzięki wujkowi. - Zerknąłem na drzwi klatki, ale Aloszy ciągle nie było, potem spojrzałem na ciągle czerwoną rękę Alony i znowu poczułem wyrzuty sumienia. I właśnie dlatego nie mogłem jej odmówić.

Alona wysłuchiwała mnie uważnie.

- No, to teraz jestem spokojniejsza - skomentowała. - Faktycznie jesteś po mojej stronie. Zamiast gadać o wujku aniele trzeba było od razu powiedzieć o tych pieniądzach, które wygrasz w razie zwycięstwa.

- Zrobiłbym to nawet bez pieniędzy - obraziłem się. - Nie chcę zostać na drugi rok.

- Jasne... I ludziom też pomagasz zupełnie bezinteresownie.

- O, już byś lepiej nic nie mówiła - burknąłem. - Myślałby kto, że ty nie robisz tego dla zaliczenia praktyki!

Alona stropiła się, ale tylko na chwilę.

- No i co? Ja przynajmniej jestem szczerą. Poza tym, nawet jeśli by mi ktoś powiedział, że dostanę zaliczenie

bez wysiłku, za nic, to i tak nie zostawiłabym tej sprawy.

- Ja też nie.

- Kłamiesz!

- Wcale nie. Alona, chcę zwyciężyć, ale nie chcę kraść zwycięstwa. To Gra, rozumiesz? Im więcej przeszkód napotkam na drodze, tym słodszy będzie triumf. Dla mnie to Gra! Rozwiązać trudne zadanie, zwyciężyć to... to rozkosz! Radość! Nie wyobrażam sobie życia bez twórczości, bez myślenia, bez pokonywania różnych przeszkód. Nie wyobrażam sobie, jak mógłbym żyć bez tego wszystkiego!

- Jesteś maniakiem, wiesz? - zauważyła Alona, przyglądając mi się.

Urwałem i popatrzyłem na nią uważnie.

- Możliwe. Przepraszam, poniosło mnie.

- Dobrze... A co zrobimy z tym twoim Ksefonem? Nakładziemy mu po karku?

- Słuchaj, masz absolutną pewność, że jesteś aniołem, a nie diabłem? Nie, nakładzenie mu po karku byłoby zbyt proste... Widzisz, dla mnie kwintesencją działania jest myślenie. Dzień, w którym zostanę zmuszony rozwiązać jakiś problem przy pomocy pięści, będzie najbardziej nieszczęśliwym dniem w moim życiu. Przemoc zostawmy umięśnionym kretynom z kurzym mózdzkiem, takim jak Ksefon, a ja... - Uśmiechnąłem się drapieźnie. - Ja sprawię, że Ksefon będzie nam pomagał. Alona wytrzeszczyła na mnie oczy.

- Pomagał?!

- Tak! To znacznie ciekawsze, niż tylko dać mu po

łbie. Zastanów się. Co ja teraz rzekomo robię? Poluję na duszę chłopca i jego matki. Ksefon nie wie, jak dokładnie brzmi moje zadanie, ale ma przeszkadzać. To co powinien zrobić?

Alona przez chwilę patrzyła to na mnie, to na Ksefona, który schował się w krzakach. Pewnie myślał, że go nie widzę... Cóż, skoro już nas podgląda, to przynajmniej zadbajmy o to, żeby nic nie słyszał...

- Spróbuje przeszkodzić tobie i pomóc im - odparła Alona.

- No i czy to nie jest zabawne? - uśmiechnąłem się. - Mój wróg będzie pracował dla mnie, pomagając mi!

Alona spojrzała na mnie bez cienia uśmiechu.

- Jesteś niebezpieczny, wiesz?

- I to jeszcze jak - skinąłem głową. - Uwaga, oto i nasz klient. Wiesz, co masz robić?

- Nie jestem głupia.

- Udowodnij to. Znajdź i sprawdź odpowiedniego człowieka.

Alona rzuciła mi gniewne spojrzenie i zniknęła za iluzją, a ja ruszyłem w stronę wychodzącego na podwórko Aloszy. Miał ponurą minę, przecierał oczy z resztek snu, jednocześnie rozglądając się czujnie. Odczekałem chwilę, a potem podszedłem do niego, udając, że nie widzę kryjącego się w krzakach Ksefona.

- Cześć. Szukasz kogoś?

Alosza aż podskoczył, a potem przez kilka chwil gapił się na mnie osłupiały.

- Myślałem, że to był sen...

- Myślałeś, czy miałeś nadzieję? - Uśmiechnąłem się,



wyjmując z kieszeni zwiniętą w rulon umowę. Kątem oka obserwowałem Ksefona, czy aby na pewno wszystko dobrze słyszy. - Pamiętasz? Dałeś mi swoją duszę w zamian za milion dolarów. Nie rozmyśliłeś się?

Chłopiec spuścił oczy.

- Nie.

- W takim razie do dzieła. - Wziąłem go za łokieć i pociągnąłem do wyjścia z podwórka. Za nami skradał się Ksefon, Alona szła za nim. I taką kawalkadą opuściliśmy podwórko.

- Ojciec zabronił mi oddalać się od domu - zauważył nieśmiało Alosza.

Uśmiechnąłem się.

- Ach, przepraszam, przecież wczoraj wpadłeś na kradzieży tuż obok własnego bloku...

Alosza zwiesił głowę. Widać było, że to, co się dzieje, jest dla niego zupełnie niezrozumiałe. A co najważniejsze, nie wiedział, czego ma się spodziewać.

- Powiniennem...

- Teraz też powinieneś. A może myślisz, że da się zarobić milion, nie wychodząc z domu? Naprzód! Czekają nas wielkie czyny!

Nie puszczając ręki chłopca, zdecydowanie wyszedłem na ulicę. Alosza włókł się obok mnie, a ja rozglądałem się na boki.

- Patrz - powiedziałem, wskazując budynek, który właśnie mijaliśmy. - Wiesz, że ten dom wybudowano w osiemnastym wieku? Kiedyś żył w nim bogaty kupiec, miał dużo pieniędzy i może nawet był szczęśliwy. Widzisz, jaki piękny i solidny dom? Minęło dwieście

lat, a dom nadal stoi. Ale czy ktoś pamięta tego kupca? Nikt! Ludzie dążą do bogactwa, nie rozumiejąc, że na tym świecie wszystko przemija. Ważne jest tylko to, co zdobywasz dla siebie - dla swojej duszy.

Alosza posepniał z każdą chwilą, ale nie przerywał mi.

- A tu mamy cerkiew. Co za majestat! Powstała później niż dom tego kupca. Jak sam rozumiesz, w charakterze muzeum podobała mi się znacznie bardziej. Dlaczego znowu oddali ją popom? Co za bajzel! To robią dobry uczynek i przemieniają świątynie w magazyny, to oddają je komu nie trzeba... Myślą, że uda im się wymazać grzechy... Śmieszne, doprawdy. Bogaci stawiają świeczki... Zupełnie jakby On był księgowym i liczył, ile ludzie wydali na przebłaganie swoich grzechów. Wybacz, ale nie wejdę do środka... Aha, oto i ci, których szukamy.

Alosza spojrział i skulił się - z naprzeciwka szło towarzystwo, które wczoraj okradło kiosk, brakowało tylko najmłodszego. Małoletnia chuliganeria i osiemnastoletni próżniak. Przywódca! Dobry mołojec wśród owiec! Zatrzymałem się i zaczekałem na nich. Alosza chciał uciec, ale mocno trzymałem go za rękę. W końcu grupa podeszła do nas; dwóch stanęło z boku, jeden z tyłu, mołojec przed nami. Na mnie demonstracyjnie nie patrzył, za to przyglądał się Aloszce, a chłopiec drżał pod jego spojrzeniem.

- Coś ty naknocił, szczeniaku? - wycedził przez zęby.  
- Co miałeś zrobić? Uciekać z towarem, nie? Wiesz, ile jesteś nam teraz krewny? Zora, ile były warte te fanty?

- Najmarniej z dziesięć tysięcy - odparł szybko jasnowłosy pętał.

Oho, ho! Dziesięć tysięcy! Długopisy, flamastry, teczki i zeszyty, faktycznie kupa forsy! Nie było tam nawet tysiąca, ale za to jaka teraz akcja! Normalnie, ojciec chrzestny! Mamy takiego jednego w piekle, ciągle się drze, że jest chrzestnym jakiegoś ojca i że wszystkim pokaże, jak tylko przyjdą jego chłopcy. A chłopcy już dawno siedzą w sąsiednich kotłach... Dobra, znowu się bawię w dygresje...

Alosza zerknął na mnie z nadzieją, ale ja milczałem. Chłopiec westchnął ciężko.

- Nie mam tyle - powiedział bezradnie. - Ale dajcie mi tydzień. Za tydzień wszystko oddam, obiecuję...

Cmoknąłem zirytowany i gestem zatrzymałem czas - wszyscy znieruchomieli. Odwróciłem się do Aloszy, popatrzyłem na niego pogardliwie.

- Co ty robisz?

- A co? - zapytał przestraszony chłopiec, zerkając na zastygłych ludzi i wiszącego w powietrzu ptaka. Chyba dopiero teraz dotarło do niego, z kim się związał. Przełknął ślinę i spuścił oczy. - Przecież ty... przecież obiecał mi pan, że za tydzień będę miał milion...

Westchnąłem.

- „Chcę być bogaty, chcę, żeby wszyscy się mnie bali i mnie szanowali” - przedrzeźniałem go. - Naprawdę myślisz, że zyskasz szacunek, jak będziesz rozdawał drobniaki różnym ćwokom?

- To co ja mam robić?

- Taak - powiedziałem przeciągle, patrząc na niego ze

znużeniem. - I po co mi to było?... Dobrze, słuchaj uważnie. Po pierwsze, przestaniesz się bać. Przestaniesz się bać, mówię, a nie będziesz drżał jak osinowy liść! Przestaniesz się bać i powiesz tym gościom, że nie jesteś im nic winien i że to oni są coś winni tobie. Powiesz, że z dobrego serca możesz im odpalić pewną sumę, jeśli będą cię słuchać.

- Ale...

- Dobra, zrobimy inaczej. - Wyjąłem umowę, przyłożyłem dłoń do podpisu Aloszy i zacząłem szeptać. Alosza patrzył na mnie przerażony, czując, że jego ciało przestaje go słuchać...

Jeszcze chwila i czas znów zaczął płynąć, a ja osłoniłem się iluzją. Alosza został sam, pod moją całkowitą kontrolą.

- Ej, a gdzie się podział ten leszcz, który był z tobą? - spytał szesnastoletni chłopak.

Leszcz? Uśmiechnąłem się. Zapamiętam ci to, koleś. Ale teraz musiałem się skupić na ważniejszych sprawach.

- A co za różnica?! - warknął przywódca. Podeszedł do Aloszy, chwycił go za kołnierz i potrząsnął.

Jak będzie, gnojku, oddajesz forszę?

Rozejrzałem się. Nieliczni przechodnie pospiesznie nas omijali. Niektórzy podejrzliwie zerkali na całe towarzystwo, mamrocząc pod nosem „chuligani”. Jacy mili ludzie i jaka żelazna logika. Skoro to są chuligani, jak nazwać tych obojętnych przechodniów? Przecież widzą, że banda wyrostków pastwi się nad dzieckiem, a mimo to idą dalej, nie reagując. No cóż, pewnie są to

tak zwani porządni ludzie...

- Forse? - powiedział drwiąco Alosza. Widziałem przerażenie w jego oczach, gdy jego usta zaczęły wymawiać słowa wbrew jego woli. - Te grosze z kiosku nazywacie forszą? Nie wytrzymam! Dziesięć tysięcy to dla was szczyt marzeń? Dobra, skoro jesteście aż tak biedni, to dam wam napiwek.

- Odbiło ci? - zapytał osłupiały przywódca.

- No co, chłopiec dobrze mówi - powiedziałem drwiąco, wyłaniając się zza iluzji. - To po prostu śmieszne. Przy okazji, nie ruszajcie go więcej.

- A ty coś za jeden? - Przywódca odwrócił się do mnie.

- Ja? Ja jestem Graczem. Taak... - powiedziałem przeciągle. - To imię bardzo mi się podoba. Możesz nazywać mnie Graczem.

Przywódca roześmiał się.

- Wiesz co, graczu? Zjeżdżaj stąd.

- Nie rozumiesz? Powiedziałem, żebyś nie ruszał tego chłopca. To mój uczeń.

- Uczeń? - Przywódca wytrzeszczył na mnie oczy.

Wyjąłem z kieszeni talię kart i podrzuciłem.

- Teraz jasne? Przecież powiedziałem, że jestem Graczem!

- A nie boisz się zagrać? - uśmiechnął się drwiąco przywódca.

Roześmiałem się. Ten gość chce grać w karty z diabłem?! Z diabłem?!!

- A nie będziesz żałował? - zapytałem.

- Gramy czy nie? - rzucił ze złością.

Najwyraźniej połknął haczyk. Jak łatwo poradzić sobie z takimi typkami... Odrobinę podrażnić, nadepnąć na ambicję i już ma się ich w garści.

- Tutaj? - rozejrzałem się.

- Idziemy! - warknął.

Wzruszyłem ramionami i poszedłem za nim, zerkając pobłażliwie na towarzyszący nam konwój. „Żołnierze” tego przerośniętego dzieciaka, grającego rolę bandziora, najwyraźniej postanowili pilnować, żebyśmy nie uciekli. Naoglądają się filmów sensacyjnych, a potem myślą, że są żołnierzami stryja chrzestnego czy innego siostrzeńca, kto by tam za nimi trafił...

Spokojnie szedłem za przywódcą, z rzadka zerkając na Aloszę. Chłopak był zupełnie nieprzytomny z przerażenia, gdyby nie konwojenci, pewnie by uciekł... i gdyby mu starczyło odwagi.

Zaprowadzili nas do jakiejś sutereny, położonej na cichym podwórku w starej dzielnicy. Z pewnym zachwytem obejrzałem puste podwórko, otoczone cztero- i pięciopiętrowymi blokami. Karoseria starego samochodu marki Pobjeda, trzy zardzewiałe garaże, kilka rachitycznych drzewek. Przywódca rozejrzał się, podszedł do drzwi piwnicy, wyjął dwa gwoździe i otworzył drzwi. Bez wahania wszedłem do środka. No, no, ładnie się tu urządzili! Pod sufitem kołysała się na kablu goła żarówka, w kącie stała stara kanapa. Okrągły stolik, w którym blat zastępowały deski przykryte ceratą, przy stole trzy taborety, nieco z boku fotel z miękką poduszką - pewnie tron udzielnego władcy. Usiąść na nim? Nie, w tej chwili zaognienie stosunków

z lokalnym bandytą nie leżało w moim interesie. Z czystym sumieniem zająłem drugie co do wygody miejsce, kanapę, i pociągnąłem za sobą Aloszkę. Przywódca siadł w fotelu, wyjął z szuflady talię kart.

- Zagramy tymi - oznajmił.

Wzruszyłem ramionami. Co za różnica, jaką talią wygram?

- W co gramy?

- Na początek w durnia.

Skrzywiłem się. Co za dzieciaki!

- Dobrze. Stawiamy. Wszyscy się zakrzętnęli, wykładając na stół drobniaki. Po rublu, po dwa... Uniosłem brew.

- Co to ma być? - zapytałem, wskazując kupkę monet. - Przedszkole? Lalkami się chcecie bawić? Nie, kochani, ja z wami nie gram. To niepoważne.

Przywódca popatrzył na mnie chmurnie.

- A twoja stawka, mądralo?

Bez słowa sięgnąłem do kieszeni i położyłem przed sobą plik pięćdziesięciorublowek. Jeden banknot wysunąłem na środek stołu. Przywódca spojrzał zszokowany na pieniądze i uśmiechnął się krzywo.

- Myślałeś, że mnie nastraszysz, co? - Wstał, wyjął z jakiejś skrytki niewielkie zawiniątko. Rozwinął szmatkę i pokazał plik banknotów sturublowych, na oko ze dwadzieścia tysięcy. Doskonale.

- No to gramy. Rozdawajcie, panowie. - Wyprostowałem się i arystokratycznie skinąłem wszystkim głową. Przywódca zerknął na mnie, po czym rozdał karty, prosto i ze smakiem. Jeszcze zanim

wziąłem je do ręki, wiedziałem, że coś tu nie gra. Znaczona talia! No nie, dziewiętnasty wiek! Kogo oni chcą oszukać?

Rozprostowałem dłonie i wziąłem karty. Pierwsza partię przegrałem, bez żalu patrząc, jak mój banknot wędruje do szesnastoletniego pętaka. Jasne jak słońce, że wszyscy razem grali przeciwko mnie. Dobrze, jeszcze zobaczymy... Drugą partię też przegrałem. Ale przecież tak właściwie to jeszcze nie grałem, tylko studiowałem ich oszukańcze chwytły. Przegrałem trzy partie z rzędu i spokojnie wziąłem talię do ręki. Przywódca małoletniej bandy śmiał mi się w twarz. Uśmiechnąłem się do niego.

- To co, chłopaki, koniec rozgrzewki? Przystępujemy do gry? - Podrzuciłem talię w górę i błyskawicznie przerzuciłem do drugiej ręki. Karty poruszały się tak szybko, że utworzyły łuk. A ja spokojnie patrząc w oczy osłupiałego przywódcy, położyłem talię na stole, dzieląc ją na dwie kupki. Zacząłem tasować. Po ich wyciągniętych twarzach poznałem, że nie są w stanie nadażyć za moimi ruchami. Uśmiechając się i niemal nie patrząc na karty, wziąłem całą talię do jednej ręki, podsunąłem ją przywódcy.

- W porządnym towarzystwie po przetasowaniu daje się karty do przełożenia temu, kto siedzi po prawej stronie rozdającego. Jeśli rozdający tego nie robi, może oberwać... - zawahałem się i znacząco dodałem: - Żaden z was nie dał mi przełożyć.

Po tym wstępie szybko rozdałem. Wreszcie zaczęła się gra. Omal nie parsknąłem śmiechem, widząc



zdumienie na twarzach graczy, którzy zrozumieli, że znaki na koszulkach kartoników zupełnie się pomieszały. A ja z kolei widziałem na wylot wszystkie ich karty - i to dosłownie. Wygrałem raz, potem znowu. Później, żeby rozładować napięcie przegrałem. Dwie wygrane, jedna przegrana. Potem trzy wygrane i znowu jedna przegrana. Jedna wygrana, dwie przegrane... i tak dalej. Tak właściwie gra z tymi młotkami była okropnie nudna. Odchyliłem się na oparcie i napotkałem oskarżycielski wzrok Alony. Oo, nawet nie zauważyłem, kiedy przyszła... No dobra, w takim razie pora z tym kończyć. Wygrałem pięć razy z rzędu i rzuciłem karty na stół.

- Dobra, dzieciaki. Koniec. Nie macie już za co grać.

Przywódca spojrzał ponuro na pustą szmatkę, w którą jeszcze niedawno zawinięte były pieniądze, wstał i z groźną miną wyjął z kieszeni nóż.

- Ho, ho! - uśmiechnąłem się swoim najbardziej czarującym uśmiechem. - Grozimy?

- Oddaj forszę - powiedział ponuro przywódca. Odchyliłem się na oparcie i kciukiem podparłem podbródek.

- Stary, zadam ci trzy pytania, a potem będziesz mógł zabrać wszystkie pieniądze albo zostawić je mnie, zależnie od tego, jakie usłyszę odpowiedzi.

Przywódca zmarszczył brwi, zrobił krok w moją stronę. Przyglądałem mu się spokojnie.

- Pytanie pierwsze: jak myślisz, gdzie nauczyłem się tak grać? Pytanie drugie: kto nauczył mnie tak grać? I pytanie trzecie: jak sądzisz, jak ten ktoś traktuje

karciane długi i jak zareaguje na twoje zachowanie? Dla dżentelmenów takie zobowiązania zawsze były świętością. A jeśli okazało się, że ktoś nie jest dżentelmenem... Zwykle takich ludzi nikt już więcej nie widział.

Gwałtownie pochyliłem się do przodu i utkwilem wzrok w przywódcy.

- A teraz możesz zabrać te pieniądze, jeśli chcesz. Chcesz sprawdzić, jaki z ciebie twardziel w porównaniu z moim nauczycielem?

Młody bandzior jakoś tak oklapł. Bez słowa patrzył, jak wkładam jego pieniądze do reklamówki. Nikt z jego bandy nawet nie próbował mi przeszkodzić. Poszedłem do drzwi, ale spostrzegłem, że Alosza nie ruszył się z miejsca, westchnąłem, zawróciłem, złapałem go za kołnierz i skierowałem do wyjścia.

- Tak przy okazji - dodałem - jak być może już zrozumieliście, ten chłopiec jest teraz moim uczniem. Radzę nie stawać mi na drodze, jasne? - Moje oczy zapłonęły czerwienią. Gdy patrzyłem na wszystkich po kolei, kulili się, nawet ten mołojec. - Wszystkiego dobrego, panowie... - pożegnałem się i zamknąłem drzwi.

Na ulicy podniosłem twarz ku niebu i odetchnąłem głęboko.

- Oni mnie teraz zabiją - wyjęczał Alosza. - Coś ty zrobił! Nie wybaczą mi!

Zerknąłem na niego.

- Koleś, chciałeś pieniędzy i władzy, tak? No to się ucz, do licha! To są pieniądze, a to władza! Widziałeś,

jak się zachowywali? To chłystki, szczeniaki! Stworzeni po to, żeby być pyłem pod nogami takich jak ty, rozumiesz?! To właśnie jest władza! A ty: „zabijają, zabijają”. Przyjdą do ciebie na kolanach! A ja nauczę cię prawdziwej władzy...

Aloszka patrzył na mnie z przerażeniem, a potem zrobił w tył zwrot i pobiegł do domu.

Spokojnie odwróciłem się do Alony, która stała za moimi plecami.

- Jak sądzisz, nastraszyłem go?

- Myślę, że tak.

- No i dobrze, niech się boi. Ale oto i nasz przyjaciel...

Ksefon właśnie biegł za Aloszką. Cudnie. Nie wątpiłem, że w tym stanie ducha Alosza podzieli się z nim swoim nieszczęściem. Ksefon może być głupcem, ale mimo wszystko jest diabłem i na pewno zdoła wyciągnąć z człowieka interesujące go informacje. Zerknąłem na torebkę z pieniędzmi.

- Słuchaj, nie jesteś głodna? Bo mnie się strasznie chce jeść. Chodźmy do kawiarni.

Alona cofnęła się.

- Nie dotknę pieniędzy, zdobytych oszustwem!

- To co, mam je oddać? - uśmiechnąłem się. - Oni okradli innych, a ja okradłem ich, wszystko uczciwie.

- Nieuczciwie!

Wzruszyłem ramionami.

- Jak sobie chcesz, przecież cię nie zmuszam...

Spokojnie przeszedłem na drugą stronę ulicy i wkroczyłem do dość porządnej kawiarni. Alonie nie

pozostało nic innego, jak pójść za mną i usiąść przy moim stoliku. Po chwili podszedł do nas kelner i obrzucił nas krytycznym spojrzeniem.

- Słucham, młodzi ludzie? - spytał niechętnie.

Bez słowa wyjąłem z kieszeni plik sturublówek.

- Na początek poprosimy menu.

Na widok pieniędzy kelner zmiękł jak wosk.

- Oczywiście... Proszę uprzejmie.

Przeleciałem wzrokiem spis potraw, złożyłem zamówienie. Kelner podał menu Alonie, ale ta nadeła się i odwróciła demonstracyjnie.

- Jest na diecie - poinformowałem kelnera. - Odchudza się.

Kelner zerknął z powątpiewaniem na zgrabną figurę dziewczyny i wzruszył ramionami - no cóż, bogaci mają swoje kaprysy.

Wkrótce przyniesiono mi zamówione dania. Rozstawiłem je przed sobą i zauważyłem, że Alona przełyka ślinę. Wyraźnie była głodna. Podsunąłem sobie ziemniaczki z grzybami i spróbowałem.

- Wiesz, co? - powiedziałem. - Naprawdę całkiem do rzeczy... Mmm! Pycha! Po prostu super.

Obserwując spode łba posepniejącą Alonę, jadłem swój obiad, rozplływając się nad każdą potrawą.

- A pierogi to już w ogóle obłęd. Szkoda, że nic nie wzięłaś...

To była kropla, która przepełniła czarę. Alona zerwała się z miejsca i cisnęła we mnie serwetką.

- Ty! - aż ją zatkało z oburzenia. - Ty niewychowany, bezczelny, chamski! Ty egoisto! O! - Ze szlochem

wybiegła z kawiarni.

Obrzuciłem wzrokiem całą salę; nieliczni goście przyglądali mi się uważnie; wzruszyłem ramionami.

- Och, te kobiety...

Ktoś zachichotał, a ja wróciłem do obiadu, jednak straciłem już humor. No, co jej się stało? Przecież sama nie chciała jeść, prawda? Czemu się więc zdenerwowała? Co ja takiego powiedziałem?

Bez apetytu skończyłem obiad, zapłaciłem i wyszedłem. Alonę znalazłem na skwerku, nieopodal kawiarni. Siedziała na trawie pod drzewem, wtulając twarz w kolana. Podeszedłem do niej i usiadłem obok. Nie zauważyła mnie albo udała, że nie widzi. Podałem się, trąciłem ją łokciem.

- Słuchaj, czemu się tak wściekłaś? Przecież nie chciałem zrobić nic złego, chciałem cię tylko zachęcić, żebyś coś zjadła. Nie można być taką zasadniczą.

- Bałwan! - burknęła Alona, nie podnosząc głowy.

- Dobrze, niech będzie bałwan. Daj mi nawet po głowie, tylko się nie kłóćmy. Alona, przecież potrzebuję twojej pomocy, żeby z kolei pomóc tym ludziom! Pogódźmy się...

Alona podniosła na mnie zapłakaną twarz.

- Nieczuły drań! Myślisz tylko o sobie!

Pokornie schyliłem głowę.

- Możesz mnie za to strzelić w gębę. Co mam niby zrobić, zapaść się pod ziemię? A w ogóle, ostatecznie jestem przecież diabłem! Nie mam obowiązku nie być egoistą i chamem. A ty powinnaś być wybacząca i dobra. Co ci szkodzi wybaczyć mi? Przecież jesteś

dobra... - I udając kota, zamruczałem, ocierając się policzkiem o jej rękę Alona zachichotała i odepchnęła mnie.

- Spadaj, lizusie. Twoje szczęście, że naprawdę jestem dobra.

- No, dosłownie anioł - zauważyłem z uśmiechem.

Alona też się uśmiechnęła, a potem wyjęła lusterko i obejrzała swoją twarz.

- O matko! Jak ja wyglądam! - Wyjęła z kieszeni chusteczkę, zaczęła doprowadzać się do porządku.

Wzniosłem oczy ku niebu. Może ma tylko sto dwadzieścia lat, ale... Dobrze, będę cierpliwy i pobłażliwy.

Jako przyszły mężczyzna powinienem wybaczać kobietom ich słabości... Tylko że czasem te słabości potrafią nieźle dopieć!

Zaczekałem, aż Alona doprowadzi się do porządku, wstałem i podałem jej rękę.

- Nie rozumiem, po co to wszystko. Moim zdaniem, zawsze wyglądasz bardzo dobrze. Przecież jesteś aniołem.

- Chcesz powiedzieć, że wyglądam dobrze tylko dlatego, że jestem aniołem?! - spytała groźnie Alona.

Wolałem nie odpowiadać. Co ja takiego powiedziałem?! Myślałem, że spodoba jej się ten komplement!

Chciałem dobrze!

- Znalazłaś odpowiedniego człowieka? - zmieniłem temat. - Takiego, o którym wczoraj rozmawialiśmy? Żeby mógł być dla chłopca przykładem?

- Tak. - Alona zrobiła rzeczową minę. - To malarz. Prawie całą noc szukałam go w archiwach; notes jednak nie jest najlepszą wyszukiwarką. Nieważne. Krótko mówiąc, dałam charakterystykę i poprosiłam o znalezienie odpowiedniej osoby. Człowiek nazywa się Grigorij Iwanowicz Rogożew. To artysta, maluje obrazy i sprzedaje je na ulicy. Było napisane, że ma talent.

- Na pewno jest właściwy?

- Specjalnie sama go sprawdziłam, gdy ty rżnąłeś w karty! - Alona prawie się obraziła. - To niemal święty! Chodzi do cerkwi!

- To jeszcze żaden argument - odparłem, nie reagując na wzmiankę o kartach.

- Zgadzam się, ale on naprawdę szczerze wierzy. Jeśli ktoś zdoła naprowadzić Aloszę na dobrą drogę, to tylko on.

Skrzywiłem się.

- Alona, ja nie potrzebuję kogoś, kto go naprowadzi na dobrą drogę. Ja chcę, żeby ten obwieś sam wszedł na właściwą drogę, inaczej to wszystko nie ma sensu. Dzisiaj wpłynie na niego ten święty, a za dziesięć lat zupełnie „nieświęty”... Chodzi o to, żeby chłopak sam nauczył się myśleć, decydować i ponosić odpowiedzialność za swoje czyny. Najlepiej zrobić tak, żeby Alosza zobaczył, do czego prowadzą jego czyny.

- To co proponujesz?

- Na razie prowadź do tego swojego malarza. Nie masz nic przeciwko temu, żebym go sprawdził?

Skrzydłata ściągnęła brwi.

- Nie wierzysz mi? Zwracam ci uwagę, że tacy ludzie

to moja działka.

- Będzie twoja, jak będziesz pełnoletnia i skończysz sto osiemdziesiąt lat. A na razie jesteś tylko uczennicą szkoły średniej i to wcale nie najlepszą.

- I koniecznie musisz mi to wytykać?!

- Przepraszam. A jednak jesteś tylko dziewczynką i według ludzkiej rachuby czasu masz zaledwie dwanaście lat.

- Ty też!

- Nie zapominaj o doświadczeniu! Mimo wszystko, ja żyję na tym świecie nie dwanaście, lecz sto dwadzieścia lat! I mam więcej doświadczenia niż jakikolwiek człowiek!

- Podobnie jak ja - sparowała Alona.

No cóż... szybko się uczy...

- W takim razie na pewno sama rozumiesz, że musimy się zaasekurować. Ty sprawdzasz mnie, ja ciebie. Wtedy jest mniejsze prawdopodobieństwo popełnienia błędu. Zgadzasz się?

Alona zamyśliła się, a potem spojrzała na mnie podejrzliwie.

- Czuję, że w jakimś punkcie znów mnie nabierasz. Tylko nie mogę zrozumieć, w którym...

- Przypominam, że obowiązuje domniemanie niewinności. Skoro nie widzisz, gdzie cię oszukuję, to znaczy, że cię nie oszukuję. - Popatrzyłem na nią szczerymi oczami.

- Oszukujesz - powiedziała z przekonaniem. - Ale masz rację, skoro nie widzę, to należy wierzyć, że nie, w przeciwnym razie to już będzie paranoja. Jedźmy go



sprawdzić. Tylko co wtedy z naszym podopiecznym?

Uśmiechnąłem się.

- O, nie martw się. Zatrączy się o niego nasz przyjaciel, przecież Ksefon już za nim pobiegł. Potem będziesz już tylko musiała się dowiedzieć, o czym rozmawiali, ale myślę, że to nie problem. A właśnie, przygotuj się, wkrótce wychodzisz na scenę. Jako anioł mściciel będziesz osłaniać chłopca i chronić go przed podstępny i złym porywaczem dusz, waszym pokornym sługą. - Skłoniłem się.

Dziewczyna uśmiechnęła się.

- Ze wszystkiego musisz robić cyrk.

- Oj, zaraz tam... - Spuściłem skromnie oczy, schowałem ręce za plecy i zawstydzony poszurałem nogą - wypisz, wymaluj chłopczyk, którego właśnie pochwalili. - No, nie trzeba...

Teraz już Alona śmiała się pełną piersią. Złapała mnie za rękę i pociągnęła.

- Chodźmy sprawdzić naszego malarza. Tylko najpierw coś zjedzmy, od wczoraj nie miałam nic w ustach.

- Ja płacę. - Podniosłem szybko rękę. - I wcale nie z tych pieniędzy, które wygrałem. Ze swoich. To będzie uczciwe?

Nie słuchając sprzeciwów Alony, pociągnąłem ją w stronę kawiarni, ale nie tej, w której byliśmy niedawno, nie chciałem wystawiać się na pośmiewisko. Anielica protestowała słabo, ale nie słuchałem jej. Już ja znam tych z rajy, na pewno wysłali dziewczynę praktycznie bez żadnych środków. A raczej nie wysłali, tylko ona

sama się wysłała. W raję pieniądze traktuje się nie tyle z pogardą, co po prostu ignoruje się ich istnienie. No i, rzecz jasna, nie znają ich wartości. Dorośli i doświadczeni brali pieniądze, wyruszając na ziemię, rozumieli, w czym rzecz. Ale dziewczynka, która wyruszyła w swoją pierwszą podróż?... A nie podejrzewałem, żeby ktoś ją w tym względzie oświecił. Dlatego szlachetnie wziąłem wszystkie wydatki na siebie. Taki jestem szlachetny. Aż mi się na duszy szlachetnie zrobiło...

## Rozdział 5

W ciasnej, smętnej uliczce ze starymi domkami jednorodziennymi, w zapomnianym przez wszystkich zakątku miasta, gdzie dla mieszkańców nawet przejeżdżający tramwaj stanowił rozrywkę, niespodziewanie zatrzymał się elegancki mercedes, ostatni model. Zresztą, mieszkańcy tej dzielnicy pewnie nie wiedzieli, że to ostatni model. Najprawdopodobniej nie wiedzieli nawet, że to mercedes. Dlatego niemal cała ulica zbiegła się popatrzeć na elegancki wóz. Dzieci tłumnie otoczyły cudowny środek lokomocji, a wtedy otworzyły się przednie drzwi i z samochodu wysiadł mięśniak w ciemnych okularach. Obrzucił czujnym spojrzeniem tłumek gapiów, w milczeniu podszedł do prawych tylnych drzwi i otworzył je. Z samochodu wysiadł... chłopiec. Na oko mógł mieć dwanaście lat. Wyglądałby całkiem zwyczajnie, gdyby nie to, że miał na sobie nie wytarte spodnie i podkoszulkę, jak wszystkie normalne dzieciaki w jego wieku, lecz śnieżnobiały garnitur. Spojrzał nieco pogardliwie na gapiów, skrzywił się, a potem rozejrzał.

- Gdzie? - spytał krótko mięśniaka.

Ten w milczeniu wskazał na jeden z domów.

Na wszelki wypadek jeszcze raz obrzuciłem zgromadzony tłumek dumnym spojrzeniem i zerknąłem na Alonę, która, niewidzialna dla wszystkich, stała nieco za mną. Nie pochwałała tej maskarady i nie miała

zamiaru tego ukrywać. Trudno, ale ja muszę być pewien człowieka, którego znalazła skrzydlata. Popatrzyłem na mercedesa, żeby podtrzymać iluzję... Nie mogę się zdekoncentrować, bo wtedy iluzja się rozwieje! Dopiero by się wszyscy zdziwili, gdyby nagle piękny samochód rozpląnął się w powietrzu. Fantom goryla podtrzymywała Alona, dzięki temu poważnie mnie odciążała.

Ochroniarz, w ramach podtrzymania image'u otworzył kopniakiem furtkę jednego z domów i przepuścił mnie przodem. Wszedłem na podwórko, odcinając się od ciekawskich, a potem posłałem część swojej energii w iluzję samochodu, dzięki temu będzie istniała jeszcze z godzinę bez mojego bezpośredniego udziału. Najważniejsze, żebym w tym czasie zdążył wszystko załatwić...

Obejrzałem podwórko. Stary dom, szopa, z tyłu widać ogród. Wszędzie czyściutko, posprzątane... Nieco z boku stała przeszklona budowla. Początkowo wziąłem ją za szklarnię, a potem zrozumiałem, że to pracownia malarza. I nawet teraz ktoś tam był! Obrzuciłem przelotnym spojrzeniem dość stary drewniany dom i skierowałem się do szklarni. Otworzyłem drzwi i wszedłem.

- Kim jesteś i co tu robisz? - spytał niezbyt przyjaźnie krzepki mężczyzna z krótką brodą, ubrany w zachlapaną farbami dres. W tej chwili stał przy... no jak to się nazywa... no, przy trójnogu, na którym było umocowane było płótno. Jednym słowem, mistrz przy pracy.

- Jestem nabywcą - oznajmiłem nonszalancko, rozglądając się. - Ale tu burdel! - Skrzywiłem się, niedbałym ruchem ręki zrzuciłem z krzesła szkice i usiadłem.

Grigorij Iwanowicz Rogożew ściągnął brwi i zrobił krok w moją stronę, ale natknął się na spojrzenie bydlunia i zastygł. W jego oczach zapłonął gniew, ale jeszcze się powstrzymywał.

- Nabywcą?

- Tak. - Skinąłem głową. - Ktoś polecił cię mojemu ojcu. Widzisz, mój stary chce zrobić mi prezent. A ja bym chciał mieć malarza. Tak jak mieli królowie, rozumiesz? Wszyscy kumple w liceum zzielenieją z zazdrości; nikt nie ma malarza, a ja mam.

- Słucham? - Malarz był skonsternowany. Chyba to, że zwracałem się do niego na „ty”, działało mu na nerwy.

- Co w tym niezrozumiałego? Chcę cię wynająć. Tylko - skinąłem głową na obrazy z pejzażami - tylko z tym będziesz musiał skończyć. Nie lubię żadnych tam trawek i rzeczek. To wszystko bzdury. Chcę, żebyś rysował bryki.

- Bryki? - powtórzył Grigorij Iwanowicz.

- No, samochody - wyjaśniłem, krzywiąc się z ubolewaniem nad jego tępotą. - Ojciec obiecał mi jeszcze samochód na urodziny. Chcę, żebyś mnie w nim malował.

- I nic więcej nie chcesz? - spytał artysta.

- No... - zastanowiłem się. - To się jeszcze zobaczy, na razie nic nie przychodzi mi do głowy. A właśnie,

dostaniesz dwa kawałki dolców za miesiąc. - Skinąłem mięśniakowi, a ten bez słowa wyjął z kieszeni paczkę „zielonych” i położył przed malarzem, Rogożew zerknął najpierw na mnie, a potem na pieniądze. - Jutro przyślę samochód - oznajmiłem, wstając. - A ty spakuj wszystkie potrzebne rzeczy.

Grigorij Iwanowicz w milczeniu wziął pieniądze... i wsadził mi za pazuchę. Bydlun podszedł do niego z groźną miną, ale malarz już się cofnął. Zerknąłem na swoją pogniecioną marynarkę, a potem wyjąłem paczkę banknotów i popatrzyłem zimno na artystę.

- Co to ma znaczyć?

- A to! Nie zgadzam się! Poszukajcie sobie innego nadwornego malarza!

- Czy ty rozumiesz...

- Pan! Czy pan rozumie! Jestem od ciebie starszy chłopczyku.

- Czy ty - burknąłem władczo - czy rozumiesz, z jakich pieniędzy rezygnujesz?! Każdy inny na twoim miejscu złapałby tę propozycję obiema rękami! Z twoją pensją w tym waszym wydawnictwie... Ile tego jest? Sto dolarów?

- Poszedł won!

- Wujaszek nie rozumie - powiedziałem w przestrzeń.

- Giena, wyjaśnij wujaszкови.

Bydlun zrobił krok do przodu i kopniakiem wybił szybę. Oczywiście, zrobiłem to ja, sterując ochroniarzem - Alona nigdy by tego nie zrobiła, dlatego przejąłem sterowanie gorylem, jak tylko weszliśmy do pracowni. A wtedy malarz złapał łopatę i ruszył w

stronę mojego Gieny.

- Wynocha mi stąd, ale już! - krzyknął. Wówczas niespodziewanie otworzyły się drzwi od pracowni i do środka wpadło czterech mężczyzn. Wszyscy byli uzbrojeni: jeden w łom, drugi w siekiere, trzeci nawet w wielki młot. Wyraźnie nie ucieszyli się, że nas tu widzą.

- Ej, panowie! - wtrąciłem się szybko. - O co chodzi? Chcecie mieć kłopoty?! Wiecie, kim jest mój ojciec?!

- Nie wiemy i nie chcemy wiedzieć! - zawołał jeden z nich. - Nie rozumiecie po rosyjsku, że macie się wynosić?

Oceniłem siły i splunąłem.

- Dobra, Giena, idziemy - zadysponowałem, a potem odwróciłem się do malarza. - Jeszcze tego pożałujesz. Mój ojciec nie rzuca słów na wiatr.

- Idź, paniczu, idź - uśmiechnął się krzywo malarz. - Zrywaj się stąd.

- I jeszcze się przeżywa - burknąłem pod nosem.

Goryl usłużnie otworzył mi drzwi samochodu. Klapnąłem na siedzenie. Obok mnie usiadła Alona.

- No i po co było tłuć szyby? - zapytała.

- Sprawdzałem jego zdecydowanie. Na pieniądze był odporny, ale na groźby? Poza tym, z pomocą przyszli mu sąsiedzi. Nie przybiegliby ratować złego człowieka.

- A nie mówiłam?! A on naprawdę mało zarabia, nie zdoła doprowadzić pracowni do porządku...

- Każdy dostanie podług czynów swoich - zacytowałem, podnosząc palec. - Jeśli to dobry człowiek, nie zostanie bez nagrody. Już ja o to zadbam.

- Jaki ty jesteś szlachetny - powiedziała drwiąco

anielica. - A ja myślałam, że diabły umieją tylko psocić. Ale jak już cytujesz, to cytuj dokładnie.

- Psocą biesy - burknąłem, ignorując jej ostatnią uwagę. Też mi znawca Pisma Świętego, sam wiem, jak powinno być prawidłowo, ale moim zdaniem tak brzmi lepiej. W ramach odwetu skierowałem mercedesa na trawnik i rozwiąłem iluzję. Zaskoczona dziewczyna klapnęła pupą na ziemię. Krzyknęła i zerwała się, patrząc na mnie z wściekłością.

- Ty! Ty!

- Powtarzasz się - odparłem spokojnie. - Przy okazji, ubrudziłaś się z tyłu.

Przez chwilę świdrowała mnie wściekłym spojrzeniem, potem odwróciła się i zaczęła iść. Dogoniłem ją i szliśmy tak obok siebie bez słowa chyba z dziesięć minut. Potem nagle Alona spojrzała na mnie.

- No i jak?

- Co „i jak”?

- Przepraszasz?

- Za co? - Postarałem się, aby w moich oczach zagościł wyraz świętej niewinności.

Patrzyła na mnie bez słowa kilka sekund, a potem znów się odwróciła.

- Jesteś nieznośny, Ezergilu!

- Wiem, mój brat zawsze to powtarza. Przy okazji, jakie mamy plany?

- Sądziłam, że plany to twoja działka!

- O, cieszę się, że to zauważyłaś... W takim razie naprzód, muszę spotkać się z Aleksiejem. Mam pewien pomysł... A dzisiaj w nocy ty wchodzisz do akcji.



- I znów nie będziemy spać - westchnęła.

- Przyzwyczajaj się - pocieszyłem ją. - W końcu jesteś aniołem.

- Cieszę się, że to zauważyłeś - odparła złośliwie.

Do domu Aloszy dotarliśmy dwie godziny później - jakby nie było, szliśmy przecież z drugiego końca miasta. Znów przeniknęliśmy przez drzwi i usiedliśmy w pokoju dziecinnym. Aloszy nie było, jego ojca też nie.

Zerknąłem na zegarek.

- No cóż, zaczekamy. Pewnie Ksefon nadal go zabawia.

Alona usiadła na kanapie i popatrzyła na mnie.

- Taki jesteś pewny, że uda ci się oszukać tego Ksefona?

Zaśmiałem się.

- Oszukać Ksefona? Oj, nie wytrzymam! Jego oszukałby każdy, bez większego trudu! On wierzy w siłę - powiedziałem to z taką pogardą, że Alona spojrzała zaskoczona.

- A ty nie?

- Już o tym mówiłem, ale mogę powtórzyć: dzień, w którym użyję siły do rozwiązania problemów będzie najbardziej...

- Nieszczęśliwym dniem w twoim życiu. Pamiętam. Ale dlaczego tak?

- Dlatego, że siłę może mieć każdy głupiec z wielkimi mięśniami. Ale mózg... mózg to coś innego. Dla mnie zwycięstwo osiągnięte poprzez wysiłek umysłowy jest jak... jak...

Trzask zamykanych drzwi nie pozwolił mi wygłosić barwnego porównania. Zerwałem się z miejsca i zaciągnąłem Alonę w kąt, osłaniając nas iluzją.

- To może być Ksefon, bądź cicho.

- Nie wyczuje nas?

- Ksefon? Nie rozśmieszaj mnie. Ten wagarowicz zawsze miał pały z iluzji.

Do pokoju faktycznie wszedł Ksefon razem z Aloszą. Diabeł rozejrzał się podejrzliwie, a potem zaczął skanować pomieszczenie. Wow, okazuje się, że coś jednak umiał! Co za pech, zaraz nas zauważy...

- I tak ci nie wierzę! - zawołał Alosza.

Ksefon poruszył się zirytowany i skanowanie zostało przerwane na chwilę; to wystarczyło, żebym pochwycił promień i przeniósł go nad sobą. Trzeba być bardziej uważnym, drogi Ksefonie. Jeśli już wykonujesz tak subtelną pracę, to nie wolno ci się dekoncentrować...

Po przeskanowaniu pokoju Ksefon uspokoił się i siadł na krześle.

- W co nie wierzysz? Że chcę ci pomóc?

- Tak! Sam mówisz, że jesteś diabłem!

- No to co? Chociaż tak w zasadzie masz rację... - Ksefon skrzywił się. - Gwiżdżę na ciebie i wygłupiam się nie dla twoich pięknych oczu. Nie z tobą walczę, lecz z Ezergilem, bo to on jest moim wrogiem. I tylko dlatego cię oświecam. Powiedziałem ci już, że jesteś głupcem. Milion dolarów! Mogłeś zażądać nawet sto milionów! Dla nas, diabłów, wasze pieniądze są jak śmieci... Chcesz, to masz!

Ksefon machnął ręką i przed Aloszą pojawiła się

walizka pełna banknotów. Chłopak wpatrywał się w to чудо z niedowierzaniem.

- A tamten diabeł powiedział, że dopiero za tydzień...

- Przecież ci mówię, że kłamie! Musisz być kompletnie głupi, skoro podpisałeś z nim umowę; teraz jesteś w jego władzy. Ale ja cię nauczę, jak z nim walczyć. Najważniejsza jest wiara. Wierzysz? Zresztą, po co ja się pytam. Moja rada brzmi: idź do cerkwi. Może będziesz miał szczęście, wszystko zależy od tego, na kogo trafisz, najlepiej na szczerze wierzącego kapłana. Wtedy on ci ze szczegółami opowie o duszy i wierze.

Omam nie parsknąłem śmiechem. Coś podobnego, Ksefon jako zbawca duszy!

- A... a pieniądze? - spytał nieśmiało Alosza.

- Możesz sobie zatrzymać. Potraktuj to jako zapłatę za wycieczkę do cerkwi. W walizce są dwa miliony... Tylko nie pokazuj tego Ezergilowi! Ten cwaniak każdego przegada... No, muszę lecieć...

Ksefon rozpląnął się w powietrzu, to znaczy ukrył za iluzją i czym prędzej wybiegł z mieszkania. Pewnie bał się spotkania ze mną.

Stojąca za mną Alona zasyczała:

- Zapłata za pójście do cerkwi?! Ten wasz Ksefon zupełnie nie ma mózgu?!

- Cóż chcesz, każdy orze jak może.

- Przecież właśnie popchnął to dziecko do przestępstwa!

- W zasadzie bardzo nam pomógł, nie mówiłem, że da radę? Trzeba nim tylko właściwie pokierować... Hm,

teraz bym chciał pogadać z ojcem Aloszy, no i z Aloszą oczywiście. Chodź, urządzimy chłopcu jeszcze jedną próbę.

Patrzyłem, jak młody Nienaszew z trudem wciska walizkę pod łóżko, po czym, rozglądając się nerwowo, wybiega na podwórko. Ja za nim.

- A więc tu jesteś! - zawołałem głośno, rzekomo wyłaniając się zza rogu. Alosza patrzył na mnie przerażony. - Chodźmy, czas na następną lekcję.

Przekonany, że chłopiec pójdzie za mną, odwróciłem się i zacząłem iść ulicą. Alosza postąpił tak, jak się spodziewałem: niczym ryba na haczyku poszedł za mną, rozglądając się zaszczutym wzrokiem.

Mieliśmy jechać trolejbusem, ale na razie się nie zjawiał, więc chciałem chwilę pogawędzić z podopiecznym, stojąc na przystanku. Położyłem mu rękę na ramieniu.

- Nie bój się! Czemu się trzęsiesz? Przypomnij sobie, jak twoi wrogowie zostali ukarani! Tak trzeba działać! Rozumiesz?

- Rozumiem... - burknął. - Tylko, że to było niedobre.

- Niedobre było okradanie tamtego kiosku, a karanie wrogów jest nawet bardzo dobre. Wsiadamy, nie denerwuj się tak. Należało im dać nauczkę...

Podjechaliśmy na bazarek. Tam pokazałem chłopcu niepozorną staruszkę.

- Widzisz, co ona sprzedaje?

Chłopiec przyjrzał się.

- No, chyba ikonę.

- Zgadza się. To czternastowieczne dzieło, wprawdzie

niezbyt słynne, ale warte co najmniej dwieście tysięcy dolarów. Idź i kup ją.

- Co?! Nie mam tyle pieniędzy!

- Bałwanie! Czy ja ci każę płacić rzeczywistą cenę? A może myślisz, że staruszka sprzedaje tę ikonę za taką właśnie sumę? Dostała ją od swojej babki, nie zna jej prawdziwej wartości i sprzedaje za tysiąc, w dodatku rubli. Jak widzisz, czysty zysk. Kupujesz ikonę za tysiąc rubli, a potem sprzedajesz za rzeczywistą cenę. Kupców ci znajdę. No, naprzód. - Popchnąłem chłopca.

Ten zrobił krok i zatrzymał się.

- A to prawda?

- Myślisz, że bym cię oszukiwał? Po co? Poza tym... kto miałby znać wartość ikon lepiej ode mnie?

- Ale... ale to nieuczciwe - burknął Alosza.

- O święta naiwności! Chciałbyś zarobić przez tydzień milion dolarów w uczciwy sposób?

- Chciałbym!

- Super. Jesteś słynnym inżynierem i masz swój wynalazek? To ja zorganizuję, że kupi go jakaś firma.

- Nie... - speszył się Alosza.

- To może jesteś chirurgiem i umiesz robić wspaniałe operacje, wyciągasz ludzi z tamtego świata? Mam tu pewnego chorego... Uratujesz mu życie, a on z wdzięczności da ci wszystkie pieniądze.

- Nie umiem. - Alosza spuścił głowę.

- A może jesteś matematykiem? Dają ogromną nagrodę dla tego, kto udowodni pewne twierdzenie. Do dzieła! Gwarantuję, że nagroda będzie twoja.

- Tego też nie umiem... - Chłopiec jeszcze niżej

opuścił głowę.

- Dobrze, w takim razie powiedz mi, co umiesz?

- Ja... ja jestem jeszcze mały...

- A kim chciałbyś zostać? Wybrałeś sobie zawód? Co chcesz robić?

- Nie wiem - Alosza oklapł.

- Aha. Chcesz mieć dużo pieniędzy i chcesz, żeby cię wszyscy szanowali. Chłopcze, ludzie szanują innych albo za pieniądze, albo za ich dzieła. Za dzieła, jak już ustaliliśmy, na razie nie można cię szanować, bo jeszcze niczego nie dokonałeś. Zostają pieniądze. Ja ci je podsuwam, a ty jeszcze grymasisz. Masz tu tysiąc rubli, idź i kup ikonę - A co będzie z tą babcią?

- A co, twoja babcia? Czemu się o nią martwisz? Zapamiętaj sobie: na tym świecie albo ty zjesz, albo ciebie zjedzą. A babci wielkie pieniądze nie są potrzebne. Ona już swoje przeżyła. No, do dzieła.

Alosza podszedł do staruszki, a ja wyostrzyłem słuch.

- Ile kosztuje ta ikona? - zapytał Alosza, oblizując wyschnięte wargi.

Staruszka popatrzyła na chłopca ze smutkiem.

- Weźmiesz za osiemset, kochanieńki? - spytała z przygnębieniem. - Nie mam już co jeść, to sprzedaję. Tak to bym nigdy... po babce mi została...

Alosza aż się zachłysnął. Popatrzył na mnie, wyciągnął rękę z pieniędzmi, babka ucieszona chciała je wziąć, ale Alosza w tym momencie gwałtownie cofnął dłoń.

- Niech pani nie sprzedaje tej ikony! - powiedział gorączkowo. - Pani nie wie, co to za ikona! Ona... ona

jest z czternastego wieku! Jest warta dwieście tysięcy dolarów! To... to... więcej niż milion rubli! Niech pani wezwie specjalistów z muzeum, oni wycenią!

Chłopiec zerwał się z miejsca i rzucił do ucieczki. Staruszka popatrzyła za nim zdumiona, a Alona skakała wokół mnie i z całej siły waliła mnie pięścią w plecy.

- Wiedziałam! - wyła. - Wiedziałam, że jeszcze jest w nim dobro! Wiedziałam, że nie ulegnie pokusie! Zuch! Brawo!

Odsunąłem się szybko.

- Zgadzam się, że on jest zuchem, ale ja mam teraz całe plecy w siniakach.

- Oj, przepraszam... - Zakłopotana dziewczyna patrzyła gdzieś w bok.

- Nic takiego, da się przeżyć... Idź za nim teraz, w takim stanie chłopak może narobić różnych głupstw... A ja idę do niego do domu, chciałbym pogadać z Nienaszewem.

Alona skinęła głową i pobiegła za Aloszą. A ja najpierw podszedłem do babci, która wyraźnie nie uwierzyła w słowa Aloszy. Ostrożnie wziąłem od niej ikonę.

- Chłopiec mówił prawdę. To rzeczywiście bardzo stara ikona. Widzi pani, początkowo Chrystus zegnał się dwoma palcami, trzeci zaczęto malować później, już po reformie. Jeśli się przyjrzeć, widać to wyraźnie. Czyli tę ikonę namalowano na pewno przed siedemnastym wiekiem. A niektóre cechy charakterystyczne wyraźnie świadczą o tym, że pochodzi z czternastego wieku. Specjaliści powiedzą pani dokładnie... Być może

muzeum da pani mniej, niż faktyczna wartość zabytku, ale tak czy inaczej będzie to na pewno dużo więcej niż tysiąc rubli.

Babcia spojrzała na mnie z nieśmiałą nadzieją.

- A skąd ty to wszystko wiesz, wnusiu?

Oddałem jej ikonę.

- Ja dużo wiem... Przepraszam, ale muszę już iść.

I nie odwracając się, poszedłem przed siebie, omijając przechodniów. Wskoczyłem do tramwaju i całą drogę zastanawiałem się nad sobą i ludźmi. Człowiek to jednak dziwna istota. Taki na przykład Alosza, niby wszystko jasne, niemal gotowy nasz klient. A jednak im mu ciężej, tym bardziej mi się opiera. A przecież ja tylko spełniam jego prośby! Gdy mówili nam o tym na lekcji psychologii ludzi, to w sumie nie bardzo wierzyłem, ale swoje aktualne plany zbudowałem właśnie w oparciu o tę wiedzę. Jak się okazało, miałem rację! Tylko jeszcze nie wiedziałem, czy mi się to podoba czy nie. Ludzie zachowują się nielogicznie. Dlaczego Alosza uzalił się nad tą babcią? Przecież to dla niego zupełnie obca osoba...

Pograżony w rozmyślaniach byłbym przejechał swój przystanek. W ostatniej chwili wyskoczyłem z tramwaju i poszedłem do mieszkania Nienaszewów.

Wiktor Nikołajewicz był w kuchni w towarzystwie dwóch pustych butelek; a właściwie spał z głową na stole. Zerknąłem na zegarek. Chyba za wcześnie na taką libację... Musiał mieć ważny powód... Usiadłem na krześle naprzeciwko i niepostrzeżenie wyciągałem z mężczyzny opary alkoholowe. W końcu moje starania



zostały zwieńczone sukcesem i ojciec Aloszy otworzył oczy. Był przytomny, ale nadal pijany.

- Diabły! - zawołał.

Wzdrygnąłem się. Czyżby Ksefon nas teraz podsłuchiwał?!

- Gdzie? - spytałem.

Wiktor Nikołajewicz skupił wzrok na mnie.

- O, tam... takie zielone...

Zielone? Popatrzyłem w to miejsce, które wskazywał Nienaszew. Dwie butelki. Słoik z pomidorami. Szynka.

- No, tam, obok butelek. Jeszcze się drażnią! Przyjrzałem się.

- Nie, to nie diabły - powiedziałem z przekonaniem.

- Naprawdę nie? - spytał z nadzieją.

- Z całą pewnością.

- A co w takim razie?

Zastanowiłem się.

- Tak z biegu mogę powiedzieć, że biała gorączka.

- Tak? A czekaj, kim ty w ogóle jesteś? Aloszka?

- Czyżbym był podobny? - zapytałem.

Mężczyzna przyjrzał mi się.

- Nie...

- To dobrze, bo nie jestem Aloszą. A z jakiej okazji ta feta? Nie powinien pan być w pracy?

- Zwolnili mnie! - burknął ze złością. - Wyobraź sobie, powiedzieli, że za dużo piję!

- Koszmar! - przyznałem. - Jak mogli powiedzieć panu prawdę!

- Więc ty też... yk... uważasz, że dużo piję?

- Ale co też pan! Jak tak można? Ja tylko uważam, że

pan za dużo wypija. No i jak chce pan teraz wychować syna? Jak chce pan zarabiać pieniądze?

- Wychować pieniądze? Zarabiać syna? - Mężczyzna popatrzył na mnie, nic nie rozumiejąc.

- No cóż, można i tak. No więc, żeby zarobić syna, musi pan wychować pieniądze. A co teraz? Myśli pan, że żona panu wybaczy, jeśli syn zacznie kraść?

- On już zaczął! Zupełnie się nie słucha!

- Kogo? Zdaje się, że to pan powinien nauczyć go nie kraść.

- Już ja mu dam! - obiecał z mocą Wiktor Nikołajewicz.

- I myśli pan, że to coś zmieni? Dobrze, pomogę panu.

- A kim ty jesteś?

- Ja? - uśmiechnąłem się. - Diabłem. No więc, radziłbym panu zajrzeć pod łóżko syna. A właśnie, niech zapamięta pan te słowa. A mnie nie będzie pan pamiętał... Żegnam.

Błyskawicznie ukryłem się za iluzją i gdy Wiktor Nikołajewicz podniósł głowę, już mnie nie zobaczył. Wstrząsnął się, jakby odganiając przywidzenie, a ja pomogłem mu jeszcze odrobinę wytrzeźwieć.

- Zajrzeć pod łóżko... - powiedział powoli. Wstał niepewnie i chwiejnie poszedł do pokoju syna. Z trudem pochylił się, wyciągnął spod łóżka walizkę. Otworzył ją i zamarł, patrząc na pliki banknotów.

- Matko kochana! - zawołał przerażony, trzeźwiejąc w oczach. - Boże święty, skąd się to tu wzięło?!

Usiadłem na krześle, założyłem nogę na nogę.

Faktycznie, ciekawe pytanie. Skąd twój syn to ma? Jak, zastanowiłeś się? Pomyślałeś, co Aloszka robi w wolnym czasie? A czy nie za późno zacząłeś zadawać sobie takie pytania? No cóż, odrobina troski o potomka dobrze ci zrobi... Pomartw się trochę, a ja sprawię, żeby to nie poszło na marne...

W milczeniu udałem się na balkon i zeskoczyłem z piątego piętra. Wylądowałem na asfalcie, nie utrzymałem równowagi i oparłem się dłonią o ziemię. Zakląłem, wytarłem rękę o spodnie i równym krokiem wyszedłem na ulicę, wydając po drodze notes.

„Alona, gdzie jesteś?” - napisałem pytanie.

„W cerkwi” - przyszła odpowiedź.

„Gdzie?! Postanowiłaś pomodlić się o zbawienie duszy?”

„Głupek. Przychodź szybko, to dotyczy Aloszy!”

„Rozumiem, już lecę”.

I faktycznie poleciałem. Szybko znalazłem cerkiew w oparciu o opis anielicy i ostrożnie wylądowałem przed budynkiem. W myślach posłałem wezwanie, Alona od razu wybiegła ze świątyni.

- Jesteś wreszcie! Chodź! - Złapała mnie za rękę i pociągnęła w stronę kościoła. Byłem tak osłupiały, że nawet nie stawiałem oporu, dopiero przed wejściem wyrwałem rękę.

- Zwariowałaś?! Jak mam tam wejść?! Alona zatrzymała się i klepnęła dłonią w czoło.

- Kompletnie zapomniałam! Po prostu tam jest Alosza... Przybiegł tu, chyba chce opowiedzieć o wszystkim kapłanowi.

- Doskonale! - Zatarłem dłonie. - Czyli jednak go przypiliło. Żeby tylko trafił się dobry pop... A już liczyłem, że spikniemy go z tamtym malarzem.

- Właśnie o to chodzi! Ja wcale nie jestem pewna tego kapłana! Dlatego potrzebuję twojej pomocy!

- Ale ja nie mogę wejść do cerkwi! Tu już nawet twoja osłona nie pomoże!

Alona zastanowiła się.

- Faktycznie, wejść nie możesz... Ale posłuchać?... Zdołasz się ze mną połączyć?

Aż otworzyłem usta ze zdumienia.

- Jesteś pewna, że tego chcesz? Aż tak mi ufasz? Przecież wtedy będziesz zupełnie bezbronna!

- A ty? Zaufałeś mi wtedy, na cmentarzu? Też byłeś bezbronny! To dlaczego ja miałabym nie zaufać tobie?

Popatrzyłem na nią osłupiały.

- Dobrze... Tylko muszę stanąć gdzieś z boku, żeby nie plątać się ludziom pod nogami.

Szybko stanąłem za jakąś przybudówką, za którą byłem niewidoczny od ulicy.

- Jesteś gotów?

Skinałem głową.

- No to zaczynamy...

Sięgnąłem myślami do świadomości Alony, a ona otworzyła przede mną swój umysł. Jeszcze chwila i znalazłem się w jej świadomości, od razu odgradzając się od jej uczuć i myśli. Pewnie, że mógłbym przeczytać teraz całą jej osobowość... ale po zaufaniu, które mi okazała... Nie, to już by była przesada. Oczyszczyłem swój umysł od tych jej zabłąkanych skojarzeń, które do mnie

trafiły, zanim postawiłem barierę, a potem ostrożnie sięgnąłem do jej wzroku i słuchu.

- Doskonale - powiedziałem powoli. - Widzę i słyszę.

- To idę - odpowiedziała. Pochwyciłem niepokój w jej świadomości, więcej, strach. Nietrudno było zorientować się, o co chodzi.

- Alona... - odezwałem się.

- Tak?

- Chciałem tylko powiedzieć... Nic nie oglądałem. Słowo! Od razu się zablokowałem.

Nie można kłamać przy takim połączeniu. Poczułem, jak dziewczyna odetchnęła z ulgą i rozluźniła się.

- Dziękuję, Ezergilu.

I już pewniejszym krokiem weszła po schodkach.

Aloszę zobaczyłem od razu. Stał przy ikonostasie, zerkając niepewnie w stronę kapłana. Dziewczyna podeszła do chłopca, uprzednio narzucając na siebie iluzję.

- Jak sądzisz, powinnam mu pomóc?

- Popatrz na duchownego. Chcę zrozumieć, co to za człowiek.

Alona spełniła moją prośbę i przed dwie minuty przyglądałem się brodatemu osobnikowi w riasie.

- Nie wiem - odparłem w końcu. - Nie mogę niczego zrozumieć.

- Dobrze, w takim razie dodam chłopcu nieco pewności siebie. W tym miejscu mam spore możliwości...

Podeszła do chłopca i wyciągnęła rękę nad jego głowę. Nad anielicą zapłonęła aureola i jakby ciepło

słońca rozeszło się po cerkwi. Trzy osoby, które akurat się tu modliły drgnęły, odwróciły głowy w stronę Alony, a przecież nikt nie mógł jej widzieć!

Alosza również drgnął, a potem zacisnął wargi i zdecydowanie podszedł do kapłana.

- Czy mógłbym porozmawiać? - spytał nieśmiało.

- Tak, mój synu? - Pop powiedział to takim tonem, że zrozumiałem od razu - nic z tego nie będzie. Zdaje się, że ten człowiek miał wszystkiego dosyć i nie zamierzał zajmować się jakimiś głupotami.

- Ja... ja potrzebuję pomocy. Nie wiem, do kogo się zwrócić...

- Co się stało? - zapytał kapłan z irytacją w głosie.

- Chodzi o to... chodzi o to, że sprzedałem duszę diabłu.

Duchowny popatrzył kwaśno na chłopca, który wpatrywał się w niego z rozpaczliwą nadzieją.

- Mój drogi, jeśli wydaje ci się, że to czas i miejsce na żarty...

Nadzieja w oczach chłopca zgasła.

- Pójdę już... - powiedział bezradnie, odwrócił się i poszedł do wyjścia. A potem nagle zaczął biec, rozmazując rękawem łzy.

Kapłan wzruszył ramionami i wrócił do przerwanych zajęć.

Alona wyszła z cerkwi, a ja od razu opuściłem jej umysł. Przez minutę dochodziłem do siebie, akurat w tym czasie dotarła do mnie Alona.

- Krok do przodu, dwa kroki w tył - zauważyła ze zmęczeniem.

A we mnie aż się zagotowało.

- O, poczekaj, świętoszku! - wysyczałem. - Nie ma czasu, widzicie go! Nie znalazł czasu, żeby wysłuchać człowieka w potrzebie! Już ja przygotuję dla ciebie drwa, już my cię przypieczemy!

- I jaki sens? - zapytała Alona.

- Może dzięki temu w następnym życiu stanie się bardziej wrażliwy. Od kogoś, kto ma uzdrawiać ludzkie dusze wymaga się znacznie więcej niż od zwykłego człowieka. A co za tym idzie, sądzi się go bardziej surowo. Skoro nie był pewien, czy jest gotów do takiej posługi, mógł siedzieć na piecu! Swoją obojętnością wyrządza ludziom większą krzywdę niż stu przestępców!

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

- Nie ma co tego roztrząsać... Musimy się zastanowić, jak naprawić to, co zepsuł ten... człowiek.

- Musimy. Ale drwa dla niego wybiorę osobiście i osobiście podłożę pod jego kocioł, gdy już do nas trafi. A jeśli chodzi o chłopca... Dzisiaj Alosza bardziej niż kiedykolwiek będzie potrzebował pomocy. Myślę, że kolej na ciebie: anioł w odwiecznej walce z podstępny diablem. Coś w sam raz dla ciebie.

Skrzydłata uśmiechnęła się niewesoło, a potem popatrzyła na cerkiew, ściągnęła brwi i podniosła rękę.

- Człowiek, który bierze na siebie zadanie ratowania dusz ludzkich, powinien być cierpliwy i uważny wobec wszystkich, którzy zwrócą się do niego o pomoc! - powiedziała półgłosem, ale tak, że wydawało mi się, że wszyscy ją słyszą. Jej słowa zapadały głęboko w duszę.

- Ten, kto pozwala, by drobne sprawy przesłoniły mu cudzy ból, nie jest godzien tak wysokiego stanowiska i takiej odpowiedzialności. Pozbawiam to miejsce błogosławieństwa dopóty, dopóki ten, który zawinił, nie naprawi tego. Powiedziałam!

Wszystko się od razu zmieniło. Jeszcze przed chwilą świątynia emanowała mocą i pięknem, a teraz płynąca od niej energia zniknęła, cerkiew zaczęła wyglądać na zapuszczoną, nawet kopuły jakby zbladły. Przyglądałem się temu w milczeniu, nie wierząc własnym zmysłom, a potem powoli zacząłem wchodzić po schodkach. Nic się nie działo. Otworzyłem drzwi i znalazłem się w środku! Wszedłem do cerkwi! Początkowo nie uwierzyłem - coś takiego po prostu nie mogło się zdarzyć! A potem rozejrzałem się. Ikony w ikonostasie lekko zbladły, płonące przed nimi świece zgasły. Kapłan, klnąc pod nosem, daremnie próbował je zapalić. Podeszedłem do niego, stanąłem obok i patrzyłem, jak zapalał zapałkę i przysuwał ją do knota. Świeca zaczynała się palić, ale gdy tylko kapłan odsuwał ogień, od razu gasła. Kapłan rzucił mi gniewne spojrzenie, ale nic nie powiedział. Obok mnie stanęła Alona.

- Niech pan nie próbuje - poradziła cicho.

- Co? - Kapłan odwrócił się do niej.

- Mówię, żeby nie próbował pan ich zapalić. To się nie uda. Dzisiaj zrobił pan bardzo złą rzecz. Odmówił pan pomocy komuś, kto jej potrzebował, popchnął pan chłopca na złą drogę i teraz ciężko będzie go z niej zawrócić. To straszne przestępstwo. Jest pan obojętny i samolubny. Dokonuje pan chrztu dla pieniędzy, a ta



szata dłuży panu do zdobycia bogactwa. I dlatego od dziś pozbawiam pana prawa nazywania się kapłanem. Nie przyjmie pana żadna świątynia. Co będzie dalej, zależy już tylko od pana.

Alona odwróciła się i poszła do wyjścia.

- Ty... - zaczął pop i zamilkł, ponieważ zrozumiał, że przemawia do pustki. Popatrzył na mnie pytająco. Wzruszyłem ramionami.

- W gruncie rzeczy ona ma rację. Nawet ode mnie nie doczekasz się współczucia. Żegnam. - Pomachałem mu ręką i powoli rozpląnąłem się w powietrzu.

Kapłan otarł pot z czoła, a potem rozejrzał się na boki. Ale w cerkwi był sam, a raczej - wydawało mu się, że jest sam. Przyglądałem mu się jeszcze chwilę i też poszedłem do wyjścia.

- Nie wiedziałem, że potrafisz robić takie rzeczy - powiedziałem do skrzydlatej.

Popatrzyła na mnie z przygnębieniem.

- Potrafię. Ale nie miałam prawa tego robić. Nie jestem jeszcze pełnoprawnym aniołem, przekroczyłam swoje pełnomocnictwa.

- E tam... Ja bym postąpił znacznie ostrzej. I tak łagodnie potraktowałaś tego buca. Całą robotę nam zepsuł.

- Czy oprócz „roboty” nic więcej cię nie obchodzi?! Na przykład życie tego dziecka?!

Pokręciłem obojętnie głową.

- Obchodzi mnie zaliczenie praktyki i nagroda w razie zwycięstwa. Dlaczego miałbym przejmować się czymś jeszcze?

- Ty nieczuły, bezczelny...

- Wiem, już mówiłaś. Czas na nas. Musimy jak najszybciej znaleźć się w domu Aloszy. Tam zaraz rozpęta się coś takiego...

Alona zerknęła na mnie podejrzliwie, ale o nic nie pytała. Widocznie doszła do słusznego wniosku, że wkrótce sama wszystko zrozumie.

Oboje puściliśmy się pędem. Musieliśmy nawet schować się za iluzją, żeby ludzi nie dziwiła nasza prędkość. Zerkąłem na Alonę. No, no, co za postępy! Ciągłe ćwiczenia dobrze jej robią. Nie tak dawno nie potrafiła przechodzić przez przedmioty, a teraz robi to niemal automatycznie, bez zastanowienia. Poza tym za każdym razem lata coraz lepiej i szybciej. Ale skrzydła i tak by się jej przydały, podobnie jak mnie ogon... O, masz - znowu się rozmarzyłem. Chyba się starzeję... No nie, teraz to już zaczynam pleść. Ciekawe swoją drogą, jak Alosza wyjaśni obecność walizki z pieniędzmi? Nawet mnie to intrygowało. Przecież mówiłem mu, że pieniądze są bezużyteczne, jeśli nie potrafisz wyjaśnić, skąd je masz.

Zdążyliśmy w samą porę. Do bloku weszliśmy niemal równo z Aloszką. Zatrzymało nas to, że uparłem się na dodatkową osłonę przeciwko Ksefonowi. Dawno go nie widziałem, a to nie wróżyło nic dobrego. Ani chybi coś knuł...

Przebiegliśmy przez drzwi z takim rozpędem, że prawie wyskoczyliśmy przez ścianę po drugiej stronie domu. Wprawdzie nic by się nie stało, ale lepiej unikać takich niespodzianek.

- W gorącej wodzie kąpany! - zasyczała na mnie Alona.

Ha! Myślałby kto, że ją poganiałem! Sama leciała jak z pieprzem! Te kobiety!!!

Ku mojemu zaskoczeniu starszy z Nienaszewów był trzeźwy i nawet przyzwoicie ubrany. Powitał syna w przedpokoju, skinął na niego, żeby poszedł za nim. Alosza skulił się, jakby przeczuwał nieszczęście. Ojciec zaprowadził go do kuchni i w milczeniu wskazał krzesło. Chłopiec usiadł z niepewną miną.

- Opowiedz mi, jak spędzasz czas? Co robisz?

Alosza skulił się jeszcze bardziej.

- Różne rzeczy...

- Aha, różne... - Wiktor Nikołajewicz bez słowa wyjął spod stołu walizkę i położył ją na blacie. - Może więc wyjaśnisz, skąd to się wzięło?

Myślałem, że nie można już bać się bardziej, niż bał się Alosza - myliłem się. Chłopak dosłownie poszarzał z przerażenia. Ja i Alona popatrzyliśmy na siebie. Dziecko ma mocny i odporny organizm, ale takie stresy nie mijają bez śladu. Anielka od razu zamknęła oczy i dostroiła się do niego. Na czoło wystąpiły jej kropelki potu... Jeszcze chwila i rozluźniła się. Gdy spojrzała na mnie, wyglądała nie lepiej od Aloszy, tylko on był szary ze strachu, a ona ze zmęczenia.

- Nigdy przedtem mi się nie udawało... - wyznała. - Pierwszy raz... Zdołałam naprawić najgorsze...

Skinąłem głową i znów popatrzyłem na ojca i syna. Wiktor Nikołajewicz spostrzegł strach chłopca, z całej siły uderzył pięścią w stół i wrzasnął:

- Odpowiadaj, jak pytam! Skąd to masz?!
- Zna... znalazłem - wyszeptał Alosza.
- Tak?! Po prostu znalazłeś? Na podłodze leżało?!
- Tak.

Ech, niepotrzebnie to powiedział... Było jasne, że Nienaszew nie wierzy w ani jedno słowo i takie jawne kłamstwo tylko pogorszy sprawę.

Wiktor Nikołajewicz zerwał się z krzesła i chwycił Aloszę za włosy.

- Zaraz mi wszystko opowiesz! - Niespodziewanie uderzył głową syna o stół. - Wszystko mi opowiesz! Mów, gdzie ukradłeś?!

Tak, syn nie powinien tak kłamać ojcu, a ojciec nie powinien tak traktować syna. Zdaje się, że opanowanie młodego Nienaszewa wisiało na cienkim włosku i ten włoszek właśnie pękł. Alosza wrzasnął tak, że zaskoczony ojciec puścił go i odskoczył. Chłopiec błyskawicznie złapał leżący na stole nóż i zamachnął się.

- Nie podchodź do mnie! - wrzasnął histerycznie. - Bo cię zabiję! Zabiję tak, jak ty zabiłeś mamę! Nie podchodź!

Mężczyzna drgnął, jakby został uderzony.

- Ach, ty szczeniaku! - Zrobił krok do przodu, ale Alosza machnął nożem i ojciec odskoczył, zaciskając ranę na rękę. Popatrzył z niedowierzaniem na krew. - Na rodzonego ojca?... - spytał wstrząśnięty.

Zdaje się, że chłopiec też się przeraził. Odrzucił nóż i pobiegł do przedpokoju. Trzasnęły drzwi.

- Idę za nim - powiedziałem.

- Ja z tobą. Nie możemy go teraz zostawić.

\*

Dogoniliśmy go dość szybko. Schował się za garażami, siedział tam i szlochał. Rozejrzałem się. Co za miejsce... a jakie zapachy!... Całe życie marzyłem, żeby rozwiązywać duchowe problemy w takim właśnie otoczeniu. No dobrze, ale w końcu, co ja mogę na to poradzić? Skoro Alosza znalazł się właśnie tutaj, to znaczy, że taka jest moja karma. Zrobiłem krok do przodu i stanąłem tak, żeby zasłonić światło.

Wystraszony Alosza podniósł głowę.

- To ty?!

- Ja. A co cię tak dziwi? Zdaje się, że nie skończyliśmy ze sobą.

- Czego jeszcze chcesz?!

- Dziwne pytanie. Chcę dotrzymać warunków umowy. Zdaje się, że chciałeś dostać milion.

- Milion?! - wrzasnął histerycznie chłopiec. - Mam w domu dwa miliony twoich przeklętych pieniędzy!

- Wiem. - Skinąłem głową. - I jedyne, co mogę zrobić, to powtórzyć pytanie twojego ojca: też jestem ciekaw, skąd je wzięłeś. Poza tym, skoro je miałeś, po co sprzedałeś mi duszę?

- Ty! Ty!

- Bardzo oryginalne.

- To wszystko przez ciebie!

- Czyżby? Słucham, słucham, co tam przeze mnie? Przypomnij mi, co ci powiedziałem, gdy poprosiłeś o milion?

Alosza spuścił wzrok.

- Czekam...

- Że nie będę mógł z niego skorzystać.

- Właśnie. Po prostu nie zdołasz tego wyjaśnić. Skąd zatem wzięłeś pieniądze?

- Diabeł mi dał.

- Diabłem jestem tutaj ja, a ja ci nic nie dawałem.

- Nie ty. Inny diabeł. Powiedział, że tobie nie można ufać.

- Pewnie, że nie można - zgodziłem się. - W końcu mieszkam w piekle. Ale warunków umowy przestrzegam się nawet tam. Ty je złamałeś, więc ja nie jestem ci już nic winien. Za to ty...

- A może byś tak poszedł sobie w cholere, co?! - wrzasnął nagle Alosza. - Coście się do mnie przyczepili?! Odkąd się pojawiłeś, mam same kłopoty!

- O, naprawdę? Dobrze, pójdę, ale pamiętaj, że jeszcze nie skończyliśmy. - Powoli rozplątałem się w powietrzu, a potem zwróciłem do dziewczyny. - Alona, myślę, że teraz twoja kolej. Na zło już się wystarczająco napatrzył.

Przyjrzała się chłopcu i pokręciła głową.

- Obawiam się, że ten kapłan wyrządził mu znacznie większą krzywdę, niż nam się wydawało. Chłopiec stracił wiarę.

- Właśnie dlatego musisz działać. Kto tu jest specjalistą od spraw wiary?

Skrzydłata prawie płakała z żalu nad Aloszka.

- EzerGil, przecież ja nie potrafię! Tu jest potrzebny dorosły, doświadczony anioł!

- Takich nie mamy. I nikt nie będzie się wtrącał do twojego szkolnego zadania.

Podrzuciła gwałtownie głowę.

- Szkolne zadanie?! To wszystko, co cię interesuje? Ta sprawa już dawno przerosła ramy zwyczajnej praktyki! Zrozum, tu idzie o życie dziecka! Jestem gotowa wrócić do domu i oznajmić, że się poddałam! Niech mnie zostawią na drugi rok, ale przyślą tutaj kogoś doświadczonego!

Przymknąłem jedno oko i przyjrzałem jej się uważnie. Spojrzała na mnie zaskoczona, a ja przechyliłem głowę i zacząłem chodzić po okręgu wokół anielicy.

- Co ty wyprawiasz?... - zdumiała się Alona.

- Nic, nic, tak się tylko zastanawiam... Skąd właściwie biorą się doświadczone anioły?

- W jakim sensie? - Była tak zdumiona, że na chwilę zapomniała o Aloszy.

- Mówisz, że sobie nie poradzisz, że jesteś gotowa wszystko rzucić, żeby tylko zajęli się tym fachowcy. Zastanawiam się właśnie, skąd się oni biorą? Gdyby wszyscy myśleli tak jak ty... Przecież każdy z nich był kiedyś niedoświadczony.

- Chcesz powiedzieć...

- Chcę powiedzieć, że doświadczenie można zdobyć jedynie poprzez praktykę. Jeśli za każdym razem będziesz uciekać i chować się za plecami wyszkolonych aniołów, nigdy niczego się nie nauczysz.

- Nie rozumiesz! To ogromna odpowiedzialność! Jeśli popełnię błąd...

- Nie popełniaj więc. Zaufaj swojemu sercu... -  
Podszedłem do Alony, ująłem jej dłoń i położyłem na jej piersi. - Masz wielkie serce - zaufaj mu. Dlaczego nie chcesz go posłuchać?

Patrzyła na mnie wstrząśnięta.

- I kto to mówi?! Diabeł! W życiu bym nie myślała...

Wzruszyłem ramionami.

- Nie zapominaj, kim jest mój wujek. Naprzód, aniele. Odwagi.

Alona ściągnęła brwi, zerknęła na Aloszę. Chłopiec już nie płakał, teraz patrzył w dal niewidzącym wzrokiem. A potem powoli wstał i zaczął wyciągać pasek ze spodni, przyglądając się czemuś w górze.

- Co on robi? - zdumiała się dziewczyna.

Alosza wpatrywał się w mocną grubą gałąź wiszącą nad garażem. Nie spodobało mi się to.

- Alona, na twoim miejscu pospieszyłbym się. Zdaje się, że sprawy przybierają zupełnie niespodziewany obrót.



## Rozdział 6

Alona popatrzyła na mnie, potem na gałąź, a w końcu na chłopca, który wszedł na ogrodzenie i teraz jedną ręką próbował zahaczyć pasek o konar, drugą trzymając się garażu.

- Nadal uważasz, że należy wezwać kogoś bardziej doświadczonego? - zapytałem. - To leć, wołaj. Za godzinę wrócisz?

Alona odwróciła się gwałtownie i wyszła z zaułka. Chwilę później znów ją zobaczyłem, ale tym razem nie osłaniała jej iluzja. Niespiesznie weszła za garaż i wpadła na Aloszę.

- Ktoś ty? - zdumiała się szczerze. Parsknąłem w duchu. Gdybym nie wiedział, że świetnie wie, kim jest chłopak, pewnie bym jej uwierzył.

- Czego tu chcesz? - spytał ponuro Alosza.

- Ja? Właściwie to niczego... Ale jeśli już załatwiłeś swoje sprawy, może byś stąd wyszedł?

- A dlaczego?

- Głupi! - rozgniewała się Alona. - Jak myślisz, po co przyszedłem za garaże? Po to samo, co ty! - Demonstracyjnie spojrzała na pasek w ręku chłopca.

- Też chcesz się powiesić? - Alosza był w szoku.

- Bardzo śmieszne, bardzo! - prychnęła. - Chciałam się odlać! Jasne?!

Skrzywiłem się. Co za słownictwo... I to ma być anioł?! Ale gdy spojrzałem na chłopca omal nie

krzyknąłem z zachwytu. Jakimś cudem Alona zdołała znaleźć odpowiedni ton - oszołomiony chłopiec mrugał oczami; był tak skonfundowany, że aż zapomniał o kłopotach.

- Aa... przepraszam - wymamrotał i wyszedł z garażu.

Wyrzałem ostrożnie, chłopiec stał nieco z boku.

- Co on robi? - spytała Alona.

- Chyba czeka, aż skończysz.

- Hm... miałam nadzieję, że sobie pójdzie. Dobra, zobaczymy.

Odczekała dłuższą chwilę i wyszła z garaży. Poprawiła dzinsy, rzuciła Aloszy chmurne spojrzenie.

- Czego tu sterczysz?

- Czekam, aż skończysz.

Obejrzała się, a potem znów spojrzała na chłopca.

- A co, naprawdę chciałeś... no, tego? Dlaczego?

Alosza ściągnął brwi i popatrzył na nią spode łba.

- Nic ci do tego!

- No... tak tylko pytam, z ciekawości. Wiesz, jeszcze nigdy nie widziałam, jak się ktoś wiesza. Dawaj, stary, nie krępuj się. Nie zamierzam przeszkadzać. Tylko popatrzę.

- Jesteś nienormalna? - Alosza był tak zmieszany, że chyba nie wiedział, co myśleć.

- Ja? - zdumiała się Alona. - Kto tu jest nienormalny? W końcu to nie ja chcę się powiesić.

- Nic nie rozumiesz! - wrzasnął chłopiec. Wtedy przez ramię dziewczyny zobaczył, że jego ojciec wyszedł na podwórko. Złapał ją za rękę i pociągnął za

garaż, a potem ostrożnie wyjrzał.

- Kto to?

Ale artystka! Co za autentyczność! Jakby naprawdę nie wiedziała.

- Nieważne - burknął Alosza, nie odwracając się.

- O, już wiem! Pokłóciłeś się z rodzicami i teraz ci ciężko!

- Zamknij się, głupia!

Alona chyba była zszokowana jego wybuchem, ale zareagowała dość dziwnie. Zamiast się oburzyć, podeszła do niego, przysiadła obok i objęła go.

- Ojej, mały, ileś ty się musiał nacierpieć...

Alosza spał się, ale od razu rozluźnił mięśnie, a potem... niespodziewanie wtulił głowę w ramię Alony i rozplakał się. Jednak nie był to płacz spowodowany cierpieniem, lecz taki, który przynosi ulgę. Anielka nie przeszkadzała chłopcu, jedynie delikatnie gładziła go po włosach.

- Płacz, mały, płacz. Nie bój się, nikt cię nie skrzywdzi.

- Nie rozumiesz... - wymamrotał Alosza przez łzy. - Nikt mnie nie rozumie! I nikt mi nie uwierzy!

- Dlaczego? Ja ci uwierzę...

W jej głosie było tyle współczucia i zrozumienia, że chłopiec nie wytrzymał i, dławiąc się łzami, zaczął opowiadać. Chyba po raz pierwszy od śmierci matki mógł się tak naprawdę wygadać. Na początku opowiadał, spiesząc się i łykając łzy, jakby się bał, że słuchający przerwie mu, wyśmiej go, powie, żeby nie plótł bzdur.

Ale szczere zainteresowanie Alony uspokoiło go i pod koniec mówił już bez pośpiechu, ale za to z beznadzieją w głosie.

- No i tak - zakończył. - Nikt nie może mi pomóc.

- Pod tym względem chyba masz rację. Naprawdę nikt nie może ci pomóc.

Alosza popatrzył na nią osłupiały; chyba nie spodziewał się po niej takiej zdrady. Ale dziewczyna wytrzymała jego wzrok.

- Ty... - zaczął.

Podniosła ostrzegawczo rękę i spytała:

- Nie przyszło ci do głowy, że nie potrzebujesz niczyjej pomocy?

- To znaczy jak to? Jak niby mam walczyć z diabłem?

- Taak... - Alona popatrzyła na niego ze smutkiem. - Faktycznie, jak? Naprawdę nie rozumiesz?

- Polać go święconą wodą, czy co?

A kysz, a kysz, zgiń, przepadnij! Będzie mnie tu wodą święconą polewał! Sikawkowy się znalazł!

- Wodą? Ojejku, oczywiście, że nie! Co w ten sposób osiągniesz? Jeszcze nie zrozumiałeś, że w chwili, gdy podpisałeś umowę, diabeł znalazł się wewnątrz ciebie? Musisz go pokonać! Jego, a nie tego, o kim mówiłeś. Jeśli zwyciężysz diabła w sobie, to nie będzie mógł ci nic zrobić. A jeśli go nie pokonasz, to nawet gdybyś zamieszkał w cerkwi i siedział w wannie z wodą święconą, i tak będziesz należał do niego. Prędzej czy później, ale będziesz.

- Czyli wszystko przez tę umowę?

- A dlaczego ją podpisałeś? - Alona popatrzyła na

chłopca surowo.

Alosza wiercił się niespokojnie.

- Dlatego, że mi diabeł pokazał...

- A rzucać się na ojca z nożem też cię diabeł nauczył?

Alosza drgnął i odsunął się, z przerażeniem patrząc na dziewczynę.

- Skąd o tym wiesz?!

Anielka wstała. W jednej chwili całą jej postać otuliło lśnienie, nad głową zapłonęła aureola. Ech, gdyby jeszcze miała skrzydła, to dopiero byłby widok! Tymczasem lśnienie rozszerzało się coraz bardziej, aż musiałem się odsunąć. Co ona, zwariowała? Przecież mnie zaraz...

Jednak lśnienie dotarło do Aloszy i zatrzymało się. Chłopiec patrzył na lśniąca postać anioła, zaś dziewczyna uśmiechała się ze smutkiem i od tego uśmiechu aż się ścisnęło serce.

- Chłopcze, twój problem polega na tym, że straciłeś wiarę. Dlatego nikt nie może ci pomóc, nawet ja. I nikt ci nie pomoże, prócz ciebie samego. Jeśli naprawdę chcesz się uratować, musisz walczyć. Będzie ci trudno, ale tylko wiara w siebie, we własne siły może tutaj pomóc.

- A nie wiara w Boga? - Alosza usiłował zrobić niezależną minę, jednak kiepsko mu to wychodziło.

- To przecież jedno i to samo. Biedaku... Sam nie wiesz, jaką umowę zawarłeś. W tym rozumieniu, o którym mówisz, Bóg nie istnieje. On jest wszystkim, co nas otacza, twoja dusza to Jego część. Sprzedając ją, sprzedałeś część Boga. Tracąc wiarę, straciłeś również

nadzieję - stąd twoja nieprzemyślana decyzja. Ale przecież po śmierci nic się nie skończy - nie pomyślałeś o tym?

- To co mam teraz zrobić?!

- Szukać. Szukać wiary. Uwierzyć całym sercem. A gdy uwierzysz, znajdziesz w sobie siłę do walki z diabłem. Wtedy sam wszystko zrozumiesz.

- A ty mi nie pomożesz?

- Pomogę. Ale nie tak, jak myślisz. Zorganizuję ci jedno spotkanie.

- Spotkanie? - Alosza stropił się. - Z kim?

- A jak myślisz? Kto jeszcze cierpi, oprócz ciebie? Kto zrezygnował z raju dlatego, że komuś innemu na ziemi jest bardzo źle? Kto jest gotów zejść do piekła tylko dlatego, żeby uratować pewnego upartego chłopca?

- Mama... - szepnął.

Alona odwróciła się i jej lśnienie zaćmiło słońce. Zwariować można... Nie wiem, jak to możliwe, ale naprawdę lśnienie anioła zaćmiło słońce! Zupełnie jakby nakryło wszystko wokół niewidzialną kopułą. I wtedy wewnątrz kopuły zapłonął słaby płomynek. Alona odwróciła się do niego.

- Macie pięć minut. Nic więcej nie mogę dla was zrobić.

Płomyk zamigotał i przemienił się w dobrze mi znaną postać kobiety.

Podszedłem bokiem do Alony, jednocześnie obserwując spotkanie matki z synem.

- Zwariowałaś?! - zasyczałem. - Wiesz, co narobiłaś?!

Skrzydłata uśmiechała się bez troski.

- Oczywiście. Ale spójrz na nich... Czy to nie jest warte tych gromów i błyskawic, które spadną na moją głowę, gdy wszyscy się o tym dowiedzą?

Zerknąłem na promieniejącą Alonę, a potem na matkę i syna.

- Dobra - burknąłem. - Powiemy, że działaliśmy w porozumieniu.

Dziewczyna popatrzyła na mnie zaskoczona.

- Mówisz poważnie?

- Jak najbardziej. W końcu jesteśmy zespołem, prawda?

- Ale przecież niczego nie uzgadnialiśmy! To będzie kłamstwo!

- Naprawdę? - uśmiechnąłem się. - A jak myślisz, czy mogłem przeszkodzić temu spotkaniu? Bo mnie się wydaje, że bez większych problemów.

Przeniosła wzrok na Zoję i Aloszę, a potem znowu na mnie.

- O Ezergilu! - zawołała, rzucając mi się na szyję. - Dziękuję! Jesteś prawdziwym przyjacielem!

- Dobra, dobra... - burknąłem, czerwieniąc się jak burak. - Przecież naprawdę jesteśmy zespołem. I chyba nieźle nam idzie... A gromy i błyskawice... do licha z nimi. Przeżyjemy. Wiesz co, posiedź tu z nimi, a ja popatrzę, dokąd poszedł ojciec naszego obwiesia.

- On wcale nie jest obwiesiem!

- Tak, tak, jest posłusznym, grzecznym chłopczykiem. Nie kradnie, nie rzuca się z nożem na ojca...

- Ezergili! Znowu zaczynasz się okropnie zachowywać!

- No to co? Przecież to właśnie powinno być moje naturalne zachowanie. Dobra, lecę.

Odwróciłem się i pobiegłem, zanim zdołała coś powiedzieć. No i dobrze. Niech sobie nie myśli, że się rozkleiłem i dlatego pozwoliłem na to spotkanie. Jeszcze czego! Po prostu... Po prostu to był najlepszy sposób, żeby przywrócić chłopcu zaufanie do ludzi. Dlaczego miałbym przeszkadzać? Przecież mnie też na tym zależy! Krótko mówiąc, zrobiłem to z czystego wyrachowania.

Utwierdzając się w tym przekonaniu, szedłem ulicą, zastanawiając się, dokąd mógł pójść Nienaszew. Jednocześnie rozglądałem się na boki w obawie przed Ksefonem. Ale Ksefona nigdzie nie było, ojca Aloszy zresztą też. Wtedy moje spojrzenie padło na restaurację. Przyglądałem jej się przez chwilę, a potem zawróciłem. Pytanie: „Dokąd pójdzie alkoholik, gdy zetknie się z trudnym problemem? Jeśli do tego jeszcze ma pieniądze?”.

Tak jest... Pewnym krokiem skierowałem się do restauracji.

Zgadłem: Wiktor Nikołajewicz siedział pod oknem i z nieobecną miną pił piwo. Na stole stała również butelka wódki. Jasne, wódka bez piwa to pieniądze wyrzucone w błoto, każdy to wie. Obejrzałem salę. Wszyscy byli zajęci swoimi sprawami, tylko dwóch podejrzanych typków z niejakim zainteresowaniem przyglądało się ojcu Aloszy. Nie spodobało mi się to



zainteresowanie, zwłaszcza, że typki wyglądały na kandydatów do piekła.

Niezauważony przez nikogo podszedłem do Wiktora Nikołajewicza i usiadłem. Zdążył się już upić. Tuż przed nim leżała studolarówka - a, teraz jasne, skąd zainteresowanie tamtych typów. Podparłem głowę ręką i z zaciekawieniem obserwowałem tę jednoosobową libację. O, taki profesjonalizm cechował wyłącznie prawdziwych weteranów walki z kieliszkiem i ogórkiem kiszonym. Tak się zapatrzyłem, że nie zauważyłem, jak do stolika przysiadło się tych dwóch koleśków. Udając radość ze spotkania, uśmiechali się do niego grymasem zastrzeżonym dla ludożerców. Jeden nalał wódki do kieliszka Nienaszewa.

- Dziękuję - odparł ten obojętnie. Szybkim ruchem wlał wódkę do gardła i nawet się nie skrzywił.

Drugi wyciągnął spod ręki pijaka studolarówkę i przyjrzał jej się uważnie.

- No proszę! - zawołał z udawanym zachwytem. - Prawdziwe! Nie przypuszczałem, że kiedykolwiek zobaczę autentyczne dolary!

Aha, już w to wierzę! Spojrzałem na złoty zegarek na ręce typka, na garnitur, szyty pewnie w piwnicy, z metką „Cardin”, niewątpliwie także przyszytą w tej samej piwnicy... Włosy sterczały mu niedbale na wszystkie strony, ale krawat był przekłuty prawdziwą złotą szpilką z brylantem. Jasne, ten gość faktycznie mógł nie mieć nic wspólnego z pieniędzmi, w każdym razie z rublami. Za to łatwość, z jaką odróżniał prawdziwe dolary od fałszywych, budziła pewne

refleksje.

Wiktor Nikołajewicz z trudem podniósł głowę.

- Prawdziwe? Pewnie, że prawdziwe, niech je szlag trafi! Już bym wolał, żeby były fałszywe!

Garniturowcy wymienili spojrzenia.

- A czemu?

Postukałem się palcem po ustach; wiedziałem, że nikt nie zauważy tego gestu, ale może, może... A nuż ten idiota wyczuje coś swoją przesiąkniętą alkoholem duszą? Niestety! Tylko w bajkach durnie mają szczęście.

- Cała walizka pieniędzy! Wyobrażacie sobie? Cała walizka! Ja się go... no... pytam... skąd żeś je wziął... A on na mnie... tego... nożem! Na własnego ojca... z nożem!

- Pana syn ma walizkę z pieniędzmi? - zapytał z niedowierzaniem drugi typ. Wyglądał sympatyczniej i miał gust, przynajmniej jeśli chodzi o ubranie. Może jego garnitur nie był od Cardina, ale na pewno wart był pieniędzy, które za niego zapłacono.

- A kto go tam wie! - zawołał oburzony Wiktor Nikołajewicz. - Powiedział, że znalazł! A potem z nożem! Na ojca!

Wtedy zauważyłem, że Zadufek, jak nazwałem typka ze złotym zegarkiem, zręcznie wyjął z marynarki Nienaszewa dokumenty, podczas gdy Akuratny odwracał jego uwagę. Toż to trzeba być pijanym w sztok, żeby czegoś takiego nie zauważyć!

- Upadł panu dowód - zauważył Zadufek, oddając Nienaszewowi dokument.

- Co? - Ojciec Aloszy z trudem skupił się na dokumencie. - Żę... żękuje...

Typki znów wymieniły spojrzenia i oddaliły się. W bezpiecznej odległości jeden wyjął komórkę. Nadstawiłem uszu.

- Na pewno, Bag, człowieku! Sam widziałem! Mówi, że jego syn znalazł gdzieś walizkę z pieniędzmi... Może i kłamie, ale żeby tak się nachlać... No pewnie, Bag, za kogo ty nas bierzesz? I adres, i nazwisko. Zaraz Klin podyktuje.

Ale mają ksywki: Bag, Klin... Zresztą, guzik mnie obchodzą ich ksywki. Zrozumiałem to, co najważniejsze i już nie słuchałem, jak Klin dyktuje Bagowi dane wyczytane w dowodzie.

Popatrzyłem na ojca Aloszy i lekko klasnąłem w dłoń nad jego uchem. Mężczyzna błyskawicznie wytrzeźwiał i popatrzył na mnie zdumiony, a ja odprowadziłem wzrokiem dwóch bandziorów - bo co do tego, że są przestępcami nie miałem żadnych wątpliwości.

- Kim ty jesteś, mały? - zdumiał się Nienaszew. Uśmiechnąłem się uprzejmie, nalałem sobie piwa i podniosłem kufel.

- Pańskie zdrowie, Wiktorze Nikołajewiczu. Jestem pełen podziwu. Nie każdy zdołałaby w ciągu jednego życia zabić żonę, zniszczyć życie synowi i do tego jeszcze sprzedać go bandytom.

- Co ty pleciesz! - wściekł się.

Ludzie spojrzeli na niego zaskoczeni, do stolika podszedł kelner.

- Bardzo proszę, żeby zachowywał się pan ciszej - powiedział stanowczo kelner. - W przeciwnym razie będę musiał pana wyprosić.

- Ale on... - Oburzony alkoholik machnął ręką w moim kierunku.

Uśmiechnąłem się i pokręciłem głową.

- Niepotrzebnie pan o mnie wspomniał.

Kelner tymczasem patrzył zdumiony na krzesło, które wskazał Nienaszew.

- Jaki on? - spytał, nadal uprzejmie.

- Ten szczeniak!

- Szczeniak? - Kelner ciągle usiłował być grzeczny.

- No co, nie widzi pan chłopaka? Siedzi naprzeciwko mnie i jeszcze się beczelnie śmieje!

- Może niech pan już więcej nie pije... Jakiego chłopaka? Przy stoliku siedzi tylko pan! Nie sądzi pan, że czas iść do domu?

- Robi pan ze mnie wariata? On tam siedzi!

- Nie mam ani czasu, ani ochoty słuchać pańskich bredni. Albo będzie się pan zachowywał spokojnie, albo pana stąd wyprowadzą! To ostatnie ostrzeżenie! - Kelner odszedł, a Wiktor Nikołajewicz popatrzył na mnie.

- Ktoś ty? Biała gorączka?

- Nie, co też pan. Jestem pańskim wiernym fanem... - Urwałem i spojrzałem na chodzącą po stole muchę. Właściwie taki owad w restauracji nie jest niczym zaskakującym i nie byłoby w niej nic dziwnego - przecież mogła tu sobie łązić w jakichś swoich sprawach. W ogóle nie zwróciłbym na nią uwagi,

gdyby... gdyby nie to, że miała głowę Ksefona! Na widok tego mutantu omal nie parsknąłem śmiechem. Co za tuman!

Od razu domyśliłem się, jak to się stało. Gdy dostrzajesz wzrok lub słuch do zwierzęcia to widzisz i słyszysz tak, jak ono, a to, delikatnie mówiąc, nie zawsze jest wygodne. Na przykład pajak patrzy na świat ośmiorgiem oczu, co dla człowieka jest wariantem dość ekstrawaganckim. Sam odbiór bodźców też sporo się różni - obraz jest pozbawiony kolorów. Nic dziwnego, że Ksefonowi nie spodobało się patrzenie na świat oczami muchy, wolał podsłuchiwać i podpatrywać w sposób, do jakiego był przyzwyczajony. Tylko że w efekcie wyszła mu mucha z głową diabła. Tego głupek rzecz jasna nie przewidział, pewnie nie było go na lekcji, na której o tym mówiono.

Wziąłem ze stołu serwetkę - Ksefon, zaabsorbowany podsłuchiwaniami, nawet tego nie zauważył - zwinąłem ją ostrożnie, podniosłem i... trzask! Krzyk, jaki rozległ się na dworze podziałał na moją duszę niczym balsam. Skoro mój przyjaciel do tego stopnia zintegrował się z muchą, że aż dał jej swoją głowę, cios musiał się na nim zdrowo odbić. Właśnie zarobił niezłego guza...

Strzepnąłem martwą muchę na podłogę i wyjaśniłem zdumionemu Wiktorowi Nikołajewiczowi:

- Nie lubię much.
- Kim ty w ogóle jesteś? - spytał ponuro.
- Ja? Może mnie pan nazywać Sędzią i nie będzie w tym grama przesady. Jestem pańskim sumieniem.
- Wiesz co, sumienie? Spadaj do domu.

- Zdaje się, że nadal nie rozumie pan, z kim ma do czynienia - uśmiechnąłem się uprzejmie. - Dobrze, wyjaśnię to panu, w celu, jak to mówią, uniknięcia nieporozumień. Nazywa się pan Wiktor Nikołajewicz Nienaszew, ma pan trzydzieści dwa lata. Czternaście lat temu ożenił się pan z Zoją Nienaszewą, przed dwunastu laty urodził się wam syn. Niedawno, w tym roku zmarła pańska żona i, ośmielę się zauważyć, zmarła na skutek pobicia.

- Kłamiesz!

- Niech pan tak nie krzyczy, bo naprawdę pana wyrzucą. A co, czyżby lekarze nie poinformowali pana o przyczynie zgonu? Zastarzały uraz śledziony. Ciekawe, skąd się wziął? Jak pan myśli?

Wiktor Nikołajewicz jęknął, opuścił głowę na ręce.

- Kim jesteś?...

Udałem, że nie usłyszałem pytania.

- Przy okazji, zdaje się, że wtedy pobił pan żonę przy synu? Jak pan myśli, czy chłopiec zna przyczynę śmierci swojej matki? Pewnie tak... Nie tak dawno oburzał się pan, że Alosza rzucił się z nożem na rodzony ojca... A z czym pan rzuciłby się na rodzica, gdyby wiedział pan, że zabił mu matkę?

- Zamilcz!

- Ach, no tak, i jeszcze te kradzieże... Również ciekawa sprawa. Skąd dziecko ma całą walizkę dolarów? Niebezpieczne znalezisko, nie sądzi pan? Przecież te dolary do kogoś należą, ktoś ich szuka... A tatuś, zamiast pomóc synowi, upija się jak świnia za te właśnie pieniądze i rozpowiada na prawo i lewo, gdzie

znalazł dolary, w dodatku podając swój adres!

- Ja nie...

- Ach, pan nie? Chyba muszę odświeżyć panu pamięć... - Wysunąłem dłoń w jego stronę. - Proszę sobie przypomnieć! Już?

- Ja nie... O, do diabła! - Spojrzał na mnie przerażony. - Opowiedziałem im wszystko?

- Wszystko nie, ale wystarczająco dużo. Mają namiary.

- A może oni nie...

- Nie? Niech pan patrzy. - Wzięłem spodeczek, na którym stała solniczka i pieprz, wylałem na niego wódkę i podsunąłem Wiktorowi Nikołajewiczowi. - Niech pan spojrzy w swój ulubiony napój. No, dalej...

Wiktor Nikołajewicz popatrzył zaskoczony na spodeczek; w nim, jak w telewizorze, mógł sobie obejrzeć i wysłuchać całą rozmowę telefoniczną. Po tym seansie zrobił się bladozielony.

- Do diabła!

- Do usług, mistrzu - skłoniłem się błazeńsko.

Ojciec Aloszy nie zwrócił na mnie uwagi, złapał butelkę wódki i pociągnął spory łyk.

- Ulubione lekarstwo? - spytałem sucho. - Zresztą, czemu miałbym przeszkadzać? Śmiało! O, tu jest jeszcze piwo...

- Kim jesteś?

- Przecież już się poznaliśmy. Dzisiaj. Raz, dwa, trzy, przypomnisz sobie ty!

- To ty... to ty byłeś dziś u mnie! Ty powiedziałeś, żebym zajrzał pod łóżko syna! A więc wiedziałeś o

walizce?! I... czekaj, czekaj... powiedziałaś, że...

- Że jestem diabłem. Tak jest. Nazywam się Ezergil, do usług. Muszę powiedzieć, że jestem dla pana pełen podziwu; niewielu ludziom udaje się w ciągu tak krótkiego życia osiągnąć aż tyle. Zabójstwo żony, znęcanie się nad synem, zdrada własnego dziecka, pijaństwo, kradzieże... Naprawdę gratuluję. Wie pan co? Jak już się pan u nas znajdzie, niech pan poprosi, żeby mnie zawołano. Pogawędzimy sobie.

- U was, to znaczy gdzie? - Twarz Wiktora Nikołajewicza pokryła się czerwonymi plamami.

- Jak to gdzie? Nie rozumie pan? A właśnie, radziłbym panu znów się upić.

- Po co? - Wiktor Nikołajewicz popatrzył na mnie oszalałym wzrokiem.

- Co za pytanie? Znów pan nie rozumie? Przecież teraz bandyci pojedą do pańskiego domu. Znajdą tam walizkę i oczywiście będą chcieli się dowiedzieć, gdzie pański syn ją znalazł; bo że pan nie ma z tym nic wspólnego, to już wiedzą. Wkrótce Alosza wróci do domu, a wtedy go złapią i zaczną torturować. Proszę mi wierzyć, to bardzo nieprzyjemny widok, lepiej, żeby pan tego nie oglądał. Pan pozostanie poza podejrzeniami, wszyscy goście restauracji to potwierdzą i żadna milicja niczego panu nie udowodni. Syna już pan więcej nie zobaczy - westchnąłem ze smutkiem - więc nikt nie będzie hańbił pańskiego nazwiska, czego tak bardzo pan nienawidził.

- Ja nie...

- Chce pan powiedzieć, że nie nienawidził pan syna?



O, doprawdy? - Nagle doznałem olśnienia i znieruchomiałem z szeroko otwartymi oczami. Do licha, przecież to idealne rozwiązanie! Dlaczego od razu na to nie wpadłem?! Co za kretyn ze mnie!!! - Zresztą - mówiłem dalej z uśmiechem - pod jednym względem ma pan rację. Kochał pan syna, ale nie wybaczył mu pan śmierci żony, czy raczej tego, że chłopak znał prawdę. Zdawał pan sobie sprawę z własnej zbrodni, ale znacznie gorsza była świadomość, że syn też ma tego świadomość. To dlatego zaczęły się „lekcje wychowawcze”... Cóż, myślę, że śmierć małego bardzo panu pomoże. No, niechże się pan odpręży... Proszę pomyśleć, co za ulga! Już nikt samą swoją obecnością nie będzie przypominał o winie! Nie będzie się pan już musiał chować za wódką! Niech pan sobie żyje na zdrowie... A jeśli chodzi o pieniądze... Proszę wziąć to zamiast tamtej walizki.

Przy stoliku powoli zmaterializowała się taka sama walizka jak ta, którą Alosza dostał od Ksefona. Wiktor Nikołajewicz popatrzył na nią osłupiały, potem spojrzał na mnie i znów na walizkę. Było widać, że mój monolog powoli dociera do jego mózgu.

- Chcesz... Chcesz, żebym sprzedał mojego syna za pieniądze?!

- Coś się panu w tym nie podoba? - zdumiałem się. - Do tej pory sprzedawał go pan za swoje nieczyste sumienie, wymieniał na wódkę, więc dlaczego nie miałby pan tego samego zrobić za pieniądze? Myślę, że to znacznie korzystniejsza transakcja. Ech, muszę przyznać, że ludzie rozmieniają się na drobne... Kiedyś

sprzedawali duszę za władzę, za tony złota, a teraz? Za wódkę. Fuj!

- Ty...

Wiktor Nikołajewicz zupełnie stracił panowanie nad sobą - zerwał się, złapał krzesło i chciał mnie nim zdzielić. Uchyliłem się i cios spadł na stół. Przed drugim uderzeniem też się uchyliłem, a trzeciego nie pozwolono mu już zadać. Kilku kelnerów rzuciło się na Wiktora Nikołajewicza od tyłu i powaliło go na ziemię.

- Ajajaj! - Pokręciłem głową. - Nie chciał pan za pieniądze, trzeba będzie oddać darmo. Zaraz zawiozą pana na milicję i nie będzie jak pomóc synowi. Naprawdę nie rozumiem ludzi... Najpierw chce, żeby szczeniak umarł, a teraz, gdy jego życzenie ma się lada chwila spełnić, leci mu na pomoc...

- Puście! - wrzasnął Wiktor Nikołajewicz, daremnie usiłując wyrwać się z uścisku kelnerów. - Muszę ratować syna! Chcą go zabić! No, puszczajcie mnie! Nie widzicie, że tu jest diabeł? Mówi, że zabije Aloszkę!

- Niech ktoś wezwie milicję! - zawołał jeden z kelnerów.

- Chyba raczej pogotowie... - zasugerował któryś z gości.

Pogotowie, pogotowie... Wzywajcie sobie swoich medyków, tylko nie spodziewajcie się, że komukolwiek pomogą...

- Pali się! - wrzasnąłem z całych sił.

Na taki okrzyk ludzie reagują zawsze identycznie i tutejsi goście nie stanowili wyjątku. Wszyscy od razu

zapomnieli o „wariacie” - goście rzucili się do wyjścia, kelnerzy zaczęli rozglądać się w popłochu, gdzie jest ogień i ten, kto krzyczał. Korzystając z zamieszania, Nienaszew rzucił się do ucieczki. Na zewnątrz już wyła syrena. Ktoś jednak wezwał milicję. Jednym słowem - totalny burdel. Klienci latali jak opętani, kelnerzy i kucharze również... Miałem ochotę dłużej napawać się tym widokiem, ale nie było czasu. Szkoda... Bo kiedy znów nadarzy się okazja popatrzeć na coś takiego?

Wiktor Nikołajewicz pędził jak wariat. Gdyby komuś przyszło do głowy zmierzyć czas, w jakim pokonał trasę od restauracji do domu, pewnie zostałyby ustanowiony nowy rekord świata. Przecież jestem niezłe wysportowany, a i tak nie mogłem za nim nadążyć. Nienaszew wpadł do mieszkania jak bomba, a ja przystanąłem na chwilę, żeby popatrzeć na wyważone drzwi, ale słysząc odgłosy walki, pobiegłem dalej.

W środku było trzech mężczyzn tak potężnych, że można by z nich „wykroić” jeszcze ze dwóch normalnych ludzi. Zacząłem nawet współczuć ojcu Aloszy - jak można wpaść na złamanie karku do lokalu, w którym siedzą bandyci? Ale gdy przyjrzałem się bijatyce, zmieniłem zdanie. To nie Wiktorowi należało współczuć. Rzucił się do walki z taką furją, że bandyci nawet nie zdążyli wyciągnąć broni. Jeden od razu dostał w... no, w jądra, co na dłuższą chwilę usunęło go ze sceny, drugi - ledwie wstał z krzesła - oberwał patelnią w głowę. Czaszka okazała się dość mocna, patelnia straciła uchwyt, ale mięśniak mimo wszystko został znokautowany. Z całej trójki tylko ostatni zdążył

odskoczyć i nawet wyjąć pistolet, jednak niewiele mu to pomogło. Nienaszew znajdował się teraz w takim stanie, że było mu absolutnie wszystko jedno, ilu jest tu wrogów, jak wyglądają i w co są uzbrojeni. Bez namysłu złapał ze stołu solniczkę, cisnął nią w mężczyznę z całej siły. Za solniczką pomknęła pieprzniczka. Facet złapał się za twarz i zaczął trzeć oczy, krzycząc coś. Nienaszew również wrzeszczał, trzymając trzeciego bandytę za koszulę na piersi, darł się:

- Gdzie jest mój syn?! Gdzie mój syn?! Tamten nadał tarł oczy.

- Wariacie! - krzyczał. - Skąd ja mam wiedzieć, gdzie on jest?! Sami na niego czekamy!

Wiktor Nikołajewicz nagle puścił nieszczęśnika, aż zatoczył się i wyrznął głową w kaloryfer. Wtedy odzyskał przytomność pierwszy, który oberwał... no, w krocze. Ojciec Aloszy odwrócił się do niego i potarł pięść.

- Gdzie jest mój syn?! - Cios w szczękę. - Gdzie? - Znowu cios. Bandyta zachwiał się. - Gdzie?! Gdzie?! Gdzie?! - wrzeszczał Nienaszew, a każdemu okrzykowi towarzyszył cios.

Wtrącić się? Dlaczego diabły nie mogą ingerować bezpośrednio?! Splunąłem z irytacją. Ech, taka rozrywka...

- Dawaj, dawaj! - zagrzewałem Wiktora do walki. - Strzel go! Tak jest! I jeszcze raz! Nie w szczękę, nie widzisz, że zuchwę ma stalową?! W kolano go! W kolano! Tak!!! Ojej...

Ostatni okrzyk wyrwał mi się zupełnie niechcący, ale chciałbym zobaczyć tego, co by na moim miejscu nie krzyknął... Zdaje się, że wściekły Nienaszew usłyszał moje wrzaski, bo odwrócił się i spojrzał w moim kierunku. O matko, jakie on miał oczy! Wyglądał, jakby gotów był zabijać i to wcale nie tamtych nieszczęśników, tylko mnie! Ale za co?! Co ja mu zrobiłem?! Zaczął się do mnie zbliżać.

- Ej, stary, stój! Co chcesz zrobić? Hej, nie wiesz, że ludzie nie mogą zabijać diabłów! Nie wolno, mówię!

Mogą czy nie mogą, wolno czy nie wolno, ale uznałem, że lepiej dać nogę. Zamorduje mnie, a potem weź i udowodnij, że nie jesteś wielbłądem. Stworzyłem szybko iluzję i rozplątałem się w niej. Wiktor Nikołajewicz drgnął, rozejrzał się. Chyba wreszcie się ocknął. I bardzo dobrze! Będzie tu robił za berserkera, kurde mol! Faktycznie wyszedł z amoku, bo teraz patrzył oszołomiony na leżących nieruchomo trzech potężnych bandytów. Walizkę z pieniędzmi umieścili na stole. Chyba zastał ich na liczeniu zysków. Taak, jeśli chodzi o utarg, to na pewno przybył im na koncie spory zapas siniaków. Gdyby mieli mózgi, można by się obawiać, że doznali nawet wstrząsu...

Tymczasem Wiktor Nikołajewicz z jękiem opadł na taboret i objął głowę rękami.

- O Boże, Boże... - szepnął.

Jasne, jak trwoga to do Boga. Jak pić i bić żonę, to żaden Bóg nie jest potrzebny, ale jak sami znaleźliśmy się w opałach, od razu sobie o Nim przypominamy! Nienaszew siedział tak z dziesięć minut, a ja w tym

czasie stałem naprzeciwko i leniwie stukałem nogą w lodówkę, lubując się malowniczą scenką: trzech byczków rozłożonych w różnych pozach na podłodze i jeden głupi Iwan, jęczący cicho i kołyszący się na taborecie.

- Gdzie jest mój syn?... - zapytał, wznosząc oczy ku górze.

Ciekawe pytanie. Wyjąłem notes, by połączyć się z Aloną.

„Co tam u was?”

„Wszystko w porządku, topimy się”.

Muszę przyznać, że najbardziej lubiłem tego aniołka za poczucie humoru.

„U mnie też wszystko w porządku. Grzmocimy bandytów. Trzech leży nieprzytomnych”.

„Jakich bandytów?!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!” - dokładnie taki napis pojawił się w notesie, z jednym znakiem zapytania i całą masą wykrzykników.

„A jak wam idzie topienie się?” - odpisałem.

„Znów się wygłupiasz?”

„Ty pierwsza zaczęłaś”.

„Właśnie, że ty!”

„A właśnie, że ty!”

„A właśnie, że... Posłuchaj, Ezergil, nie masz nic innego do roboty, tylko się ze mną droczyć?” - nie wiem, jak Alona zdołała to zrobić, ale od napisu w notesie powiało chłodem. Niemal słyszałem jej wściekły głos. Gadaj tu z taką!

„Dobra. Jasne. Przepraszam. Jak się topicie, to się topicie, a ja mam tu masę roboty. Muszę zdecydować, co

zrobić z tymi zbirami!" - i nie czytając już odpowiedzi, złożyłem notes i schowałem go do kieszeni. Notes od razu się nagrzał, co oznaczało, że dostałem wiadomość, ale postanowiłem to zignorować. Jednak Alona była wyjątkowo uparta - wiadomość przychodziła za wiadomością. Wytrzymałem tak pięć minut, zanim w końcu wyjąłem notes.

„Ty idioto, bałwanie...” - dalej już nie czytałem, włożyłem otwarty zeszyt do lodówki. Spodziewałem się, że wypisywanie epitetów potrwa dłuższą chwilę, a ponieważ właściwie nigdzie się nie spieszyłem, postanowiłem nie psuć dziewczynie zabawy. Co parę minut zerkałem na notes, czy jeszcze się nie zmęczyła - za każdym razem okazywało się, że nie. Muszę przyznać, że anielska pracowitość przeszła moje najśmielsze oczekiwania. Gdyby jeszcze udało się tę energię spożytkować w jakichś innych celach... Dopiero dziesięć minut później w strumieniu różnych porad, pouczeń i wypowiedzi o moich zdolnościach umysłowych, udało mi się wychwycić pytanie: „Czy to dla ciebie jasne?!“.

„Jasne” - odpisałem, absolutnie nie przejmując się tym kłamstwem. W końcu komu jak komu, ale mnie kłamać wolno - jestem diabłem!

„To dobrze. A teraz mów, co się tam u was dzieje”.

Wolałem już jej nie drażnić i pokrótce opisałem ostatnie wydarzenia.

„Koszmar! Nie mogłeś go powstrzymać, zanim im się wygadał?”

„A jak sobie to wyobrażasz? Miałem krzyczeć:

zamknij się, kretynie?!"

„No tak...”

„A co u was?”

„Ogólnie tak, jak ci powiedziałam. Alosza stoi na brzegu rzeki i rozmyśla. Wiesz, boję się, że on jednak skoczy. I chyba z tego zdenerwowania tak na ciebie nawrzeszczałam. Przepraszam”.

Bardzo słusznie. Anioł sam powinien zrozumieć, że popełnił błąd i przeprosić.

„Ja też przepraszam” - odpisałem. Ej, co się ze mną dzieje? W końcu nie jestem aniołem! Niech to szlag! Słusznie ludzie mówią: kto z kim przestaje, takim się staje. Hmm... Moje usta rozciągnęły się w złośliwym uśmiechu. Ciekawe, kim Alona stanie się po kontaktach ze mną? Diabła z anielskimi manierami jeszcze jakoś przełkną, ale anioła z diabelskimi?

Pograżony w rozmyślaniach, nie zwracałem uwagi, co robi Wiktor Nienaszew, a okazało się, że on już prawie wyszedł z domu! Jeszcze chwila i zostałbym w mieszkaniu sam z trzema nieprzytomnymi typami. Ciekawe, co też wymyślił i dokąd się wybiera? Zresztą, po co zgadywać, przecież mogę po prostu pójść za nim.



## Rozdział 7

Jak się wkrótce okazało, Wiktor Nienaszew wybrał się, ni mniej, ni więcej, tylko do cerkwi. O rany, jak mi obrzydli ci grzesznicy z ich Domami Bożymi! Co to za pomysł: pójde do cerkwi, a wszystkie grzechy zostaną mi odpuszczone! Przecież grzechy odpuszcza się za czyny, a nie za świeczkę, choćby wartą dwieście dolców! Słyszałem kiedyś, jak chwaliło się dwóch takich nowych Ru... grzeszników. „Postawiłem w cerkwi świeczkę za dwadzieścia zielonych!” „O - mówi drugi - ja nagrzeszyłem tyle, że musiałem setkę wyłożyć!”

Blee... A ten to samo. Ciekawe, ile wyłoży z tej walizki na przebłaganie za grzechy?

Ale Wiktor Nikołajewicz mnie zaskoczył. Wszedł do świątyni z walizką, czyżby naprawdę chciał wszystko oddać? Na szczęście nie była to ta cerkiew, do której trafił Aloszka. Może ojciec będzie miał więcej szczęścia niż syn?

Wszedłem na drzewo i zajrzałem przez okno. Do licha, dlaczego nie mogę wejść do środka?! Nastawiali tu nie wiadomo czego... Nawet nie mogę podsłuchać rozmowy! Wszystkie moje umiejętności na nic... Splunąłem z irytacją, zeskoczyłem na ziemię i podszedłem do schodów. Nie pozostaje mi nic innego, jak zaczekać na Nienaszewa tutaj.

Wiktor Nikołajewicz wyszedł czterdzieści minut

później w towarzystwie kapłana.

- Ciężkie są grzechy twoje, mój synu - westchnął pop.

- Ojczy, wierzysz mi? - w głosie Wiktora Nikołajewicza zabrzmiała głucha rozpacz. - Nie mam się do kogo zwrócić! Jak pójdę na milicję, od razu odeślą mnie do czubków, powiedzą, że mam halucynacje z przepicia...

- Może to faktycznie jest wina delirium... - westchnął kapłan. - Może... Jednak pieniądze w walizce są prawdziwe i to jest fakt. Pański syn naprawdę potrzebuje pomocy. Jaki byłby ze mnie kapłan, gdybym odmówił pomocy potrzebującemu?

- Dziękuję, ojczy...

Kapłan przeżegnał Wiktora Nikołajewicza, a ja aż się wzdrygnąłem. A niech to! Że też musiałem trafić na prawdziwie wierzącego. Zresztą, w tym konkretnym przypadku to akurat bardzo dobrze...

- I co się tak gapisz? - usłyszałem znienacka. Jasne! Jeszcze tylko jego tu brakowało! Skorzystał z mojej nieuwagi i proszę! Odwróciłem się powoli.

- Ksefon, to znowu ty? Czego ode mnie chcesz? Nie masz swojego zadania, czy co?

Ksefon wyszczerzył zęby.

- Nawet na to nie licz! - oznajmił ni w pięć, ni w dziewięć i zniknął. Ale od razu z powietrza wyłoniła się jego głowa: - A zadania i tak nie wykonasz! Zostaniesz na drugi rok!

Nie zdążył zniknąć powtórnie - pstryczek w czoło wyrzucił go z iluzji i Ksefon gruchnął na ziemię, a ja błyskawicznie zniknąłem. Wrzaski mojego kolegi z

klasy zwróciły uwagę otoczenia i przyciągnęły widzów.

- Ezergil!!! - darł się ten głupek, biegając i wymachując rękami. - Wiem, że tu jesteś! Niech ja ci tylko dorwę!

O, pewnie, pewnie, bardzo się boję!

- Chłopcze, co ci się stało? - spytała jakaś staruszka. - Zgubiłeś coś?

Ksefon prychnął ze złością. Wtedy podeszli do niego kapłan i Wiktor Nikołajewicz.

- Co z tobą, mój synu?

- Jaki ja dla ciebie jestem syn, dziadu?! - Diabeł, zamroczony wściekłością, nie zauważył, do kogo mówi.

Pop położył mu rękę na ramieniu... Rany kota, co to był za wrzask! Pod tym dotykiem ramię Ksefona zaczęło dymić, ubranie zostało przepalone na wylot. Głupi diablík z wrzaskiem rzucił się do ucieczki, a na jego barku przez dziurę w bluzie widniał odcisk dłoni kapłana - jak piętno! No, no, nie doceniłem tego człowieka! Żeby czart tak zareagował na zwykły dotyk?! Nawet świętym nie zawsze się to udawało! Zresztą, to akurat jasne... Święci to święci, muszą przestrzegać reguł gry. Tylko zwykły człowiek może zmieniać reguły... jeśli zechce, bo jest przecież znacznie silniejszy od dowolnego świętego czy diabła - w zależności od tego, jaką drogę wybrał. Ten kapłan wyraźnie należał do ludzi, którzy chcą zmieniać reguły i robią to z łatwością. Uu, lepiej takiemu nie wchodzić w drogę.

Kapłana zupełnie zatkało; patrzył zszokowany to na swoją rękę, to na miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą

stał dziwny chłopak. Zgromadzone nieopodal staruszki robiły znak krzyża i szeptały modlitwy. W końcu duchowny ocknął się, wziął Wiktora Nikołajewicza za rękę i wyciągnął go ze zbiegowiska.

- Teraz panu wierzę - powiedział wstrząśnięty.

- To...

- Tak. To był ktoś *stamtąd*. Czy gdyby było inaczej, oparzyłby go mój dotyk? Diabły nie znoszą krzyża. A przecież ja noszę krzyżyk...

E, chyba przechwaliłem tego kapłana... Najwyraźniej nie zrozumiał, że tu nie chodzi o symbol, ale o niego samego. Gdyby Ksefona dotknął jakiś inny kapłan, nawet obwieszony krucyfikami, wcale nie musiałyby nastąpić taka reakcja. Wiktor Nikołajewicz nie zdawał sobie sprawy, jakie miał szczęście. Ech, gdyby jego syn nie trafił w tamtej cerkwi na takiego zakazanego typu, wszystko byłoby znacznie prostsze...

Tymczasem kapłan i ojciec Aloszy zdążyli odejść spory kawałek i musiałem ich gonić.

- Niech pan tu na mnie zaczeka - poprosił pop. - Przebiorę się tylko i wracam.

Nie kazał na siebie długo czekać, wkrótce wyszedł z domku przy cerkwi, ubrany teraz w zwykły garnitur.

Ojciec Aloszy, nerwowo przechadzający się przed gankiem, podbiegł czym prędzej. Kapłan popatrzył na niego zamyślony.

- Wie pan, Wiktorze Nikołajewiczu, co najbardziej zastanowiło mnie w pańskiej historii?

Ojciec Aloszy popatrzył na niego zaskoczony i uśmiechnął się krzywo.

- Mnie cała ta historia się nie podoba!

- Nie, nie, historia to swoją drogą... Widzi pan, w ostatnim czasie na pańską rodzinę spadło tyle nieszczęść... Odnoszę wrażenie, że bez nieczystego się tu nie obeszło.

I to ja mam być ten nieczysty?! Czemu ludzie są tacy głupi?! A skoro już o tym mowa, to chciałem powiedzieć, że myję się częściej niż niektórzy ludzie, więc nieczystym przezywać mnie nie należy!

- Tak, tak... - Wiktor Nikołajewicz skinął głową.

Kapłan spojrzał na niego ostro.

- Niech pan nie szuka dla siebie usprawiedliwienia. Dzisiejsze wydarzenia to jedynie konsekwencja niegodnych czynów i bez uświadomienia sobie tego wszystkiego nigdy nie wyrwie się pan z zaklętego kręgu nałogu, nie zdoła pomóc swojemu synowi.

Tak, tak, tak!!! Brawo!!! Gotów byłem ucałować kapłana! Że też udało mi się spotkać mądrego, uczciwego, znającego się na rzeczy duchownego! Zazwyczaj byli to albo prawie święci, ale... no, słabujący na umyśle, albo inteligentni, ale... dalecy od świętości. Ktoś, kto posiadał oba te atrybuty jednocześnie zdarzał się niezwykle rzadko. Ten kapłan był realnym kandydatem na prawdziwego świętego, również po śmierci.

- W całej tej historii zastanawia mnie coś zupełnie innego, a mianowicie to, że ten diabeł ukazał się i o wszystkim panu opowiedział. Po co? Gdyby tego nie zrobił, pewnie nie przybiegłby pan do cerkwi. Nie sądzę, żeby wysłannicy piekła byli takimi durniami i nie

rozumieli tak prostych rzeczy. Ech, gdyby wrogowie rodzaju ludzkiego naprawdę byli głupi...

O, mówi tak, bo nie miał do czynienia z Ksefonem! Ale dlaczego zaraz „wrogowie rodzaju ludzkiego”? Niby mądry, niby święty, a taki szampowaty. Nie jesteśmy żadnymi wrogami... najwyżej czyścicielami. Dlaczego diabłów uważa się za wcielenie zła? Niech ktoś mi powie: czy karanie zła jest złem? A jeśli nie, to dlaczego nas, którzy wymierzamy sprawiedliwość, nazywa się złymi? Przecież wcale nie życzymy ludziom źle... Przecież jeśli ludzkość by znikła, nas również zabraknie! I my, i aniołowie możemy egzystować tylko dopóty, dopóki istnieją ludzie, którzy w nas wierzą. Jak więc możemy im źle życzyć?

- Nie rozumiem tego - powiedział Wiktor Nikołajewicz.

- I ja nie rozumiem - wyznał z westchnieniem kapłan.

- Ale wydaje mi się, że specjalnie podpowiedziano panu rozwiązanie tego problemu. Tylko dlaczego?

No i jak tu się nim nie zachwycić?! Szkoda, że nie jest diabłem, mógłbym się od niego wiele nauczyć... A może by go poznać z wujkiem?...

- Głupcy! - usłyszałem z tyłu.

Odwróciłem się. Parę kroków za mną stał Ksefon i ze złością patrzył na mężczyznę. Mnie nie zauważył, byłem świetnie zamaskowany. Wprawdzie przeskanował całą okolicę, ale (głęboko zawsze pozostanie głęboko) nie wiedział, że na dworze trudniej odkryć zamaskowanego przeciwnika. Tu potrzebna jest nieco inna technika. Przecież na ulicy jest mnóstwo ludzi, a każdy człowiek

nakłada swoje duchowe tło na obraz całości. W tym tle niknie ślad tego, kogo szukasz!

Kapłan i Wiktor Nikołajewicz znieruchomieli. Ksefon zdążył już zmienić koszulę, ale widać było, że poparzone ramię sprawia mu ból. Pop sięgnął do krzyżyka na szyi.

- No, no, no! - Diabeł odskoczył. - Ładnie to tak napadać na sprzymierzeńców?

- Sprzymierzeńców? - spytał zaskoczony kapłan.

- Przecież nie na wrogów! I nie myślcie sobie, że mi się to podoba! Wcale nie wam pomagam!

- Wydaje mi się, że dobrze by było, gdybyśmy porozmawiali - zauważył duchowny. Pierwszy szok już minął i teraz z zaciekawieniem oglądał rozmówcę.

Ksefon zerkał na niego nerwowo.

- Tylko proszę mnie nie dotykać! Co się pan tak gapi?

- Nie dotknę - uspokoił go kapłan. - Po prostu pierwszy raz widzę prawdziwego diabła. U was wszyscy wyglądają tak samo?

O rany! Gdyby wszyscy u nas tak wyglądali, na pewno bym wyemigrował. Dokądkolwiek!

- Pewnie, że nie! Tylko ja!

To się zgadza. Drugiego takiego idioty nie ma na pewno.

Pop, Wiktor Nikołajewicz i Ksefon poszli do parku i usiedli na ławce, przy czym bies odsunął się od kapłana jak mógł najdalej.

- Więc jesteś naszym sprzymierzeńcem? - padło pytanie.

- No pewnie! A pan zaraz za krzyżyki łapie.

Zdaje się, że grubiaństwo Ksefona nie robiło na nikim wrażenia. Debil rzecz jasna nie rozumiał, że taki ton jest zupełnie nie na miejscu. Nie ma co, on nigdy nie miał i nigdy nie będzie miał stylu...

- A dlaczego jesteśmy sprzymierzeńcami? - pytał kapłan z bezgraniczną cierpliwością.

- Dlatego, że chcemy tego samego. To znaczy, chwilowo mamy wspólny cel. Niech będzie, to już lepiej opowiem. Jest tutaj pewien typ, który nazywa się Ezergil. Wyjątkowy cham i prostak.

No, no... Słuchamy, słuchamy.

- I właśnie on jest waszym wrogiem. Nie będę tłumaczył, dlaczego tak się stało, bo i tak nie zrozumiecie. Mówiąc krótko, on chce zdobyć duszę pańskiego syna - Ksefon spojrzał na Nienaszewa - a ja zamierzam mu przeszkodzić.

- Dlaczego?

Ksefon nigdy nie był wcieleniem cierpliwości, a spokojny i lekko pobłażliwy ton kapłana go złościł.

- Dla piątego! Na pewno nie dla waszych pięknych oczu. Można powiedzieć tak: nie jestem waszym pomocnikiem, tylko wrogiem Ezergila. I żeby mu przeszkodzić, jestem gotów zawrzeć alians nawet z wami. - Ze wstrętem spojrzał na duchownego.

- W takim razie dobrze by było, gdybyś opowiedział o tym wszystkim bardziej szczegółowo.

Wiktor Nikołajewicz miał zdezorientowany, a nawet lekko obłąkany wyraz twarzy. Czemu go tak dziwi? Jakby nigdy nie widział popa i diabła rozmawiających na ławce w parku...



Ksefon zastanowił się.

- Dobra - machnął ręką. - Chyba faktycznie muszę wszystko opowiedzieć, bo jeszcze narobicie głupot. Krótko mówiąc, jest sobie pewna zjawą, jego żona. - Ksefon skinął głową w kierunku Wiktora Nikołajewicza. Ten drgnął i popatrzył rozszerzonymi oczami na mówiącego. - Co żeś tak gały wybałuszył? Twoja, twoja... Zoja Nienaszewa, którą sam zabiłeś.

Trzeba przyznać, że zachowanie Ksefona było szczytem taktu.

Wiktor Nikołajewicz jęknął.

- Po co teraz jęczeć? - mruknął diabeł. - Jęczeć trzeba było wcześniej, zamiast ją bić. No więc, jest sobie zjawą. Wedle wszelkich reguł powinna pójść do raju, ale nie chce i miota się między światami, to tu, to tam. Jasna sprawa, że nikomu się to nie podoba. Dlatego kazali Ezergilowi ją sprzątnąć. Ażeby różni tam się nie wtrącali... - chyba miał na myśli anioły - to Ezergil postanowił załatwić wszystko znacznie prościej. Jeśli uda mu się zdobyć duszę Aleksieja, wtedy duch jego matki automatycznie trafi do nas, do piekła, a Ezergil zostanie bohaterem! - zakończył Ksefon i skrzywił się.

- Jeśli dobrze zrozumiałem, dusza mamy Aloszy powinna znaleźć się w raju? Dlaczego w takim razie miałyby trafić do piekła?

- Na podstawie umowy. Ona usiłuje chronić syna, a Ezergil na odwrót. Gdyby jej się nie udało, wyląduje w piekle razem z małym. I tyle. Gdybyście wiedzieli, ile trudu kosztowało mnie zdobycie tych informacji!

A gdybyś ty wiedział, cymbale, ile trudu mnie

kosztowało wbicie ci tych informacji do głowy!

- Co zatem proponujesz?

- Oczywiście, przeszkodzić Ezergilowi. Jeśli nie zdobędzie duszy chłopca, matka trafi do raju i wtedy Ezergil przegra.

- A ciebie to nie martwi, diable?

- A co miałyby mnie martwić? - zdumiał się Ksefon. - Że te dusze do nas nie trafią? Akurat nam one potrzebne! Nie wierzcie w te bajędy dla dzieci, że niby to skupujemy ludzkie dusze! Ludzie i tak nam je oddają za darmo.

- A co z duszą chłopca?

- A nic! Gdyby jego matka nie latała między światami, nikt by go nie ruszył. Ale Zoja wyobraża sobie, że chłopiec przy ojcu nie jest bezpieczny.

Na twarzy Wiktora Nikołajewicza pojawił się wyraz takiej męki, że już wiedziałem - zwycięstwo mam w kieszeni! Gotów byłem ucałować Ksefona. Jak on to świetnie przeprowadził, nawet ja bym tego lepiej nie zrobił! Nikt by nie zrobił! No, Ksefonie, działaj, działaj! Chciałbym zobaczyć twoją minę, gdy zrozumiesz, że przez cały czas wcale mi nie przeszkadzałeś, a wręcz przeciwnie! Trzeba przyznać, że niezły ze mnie bystrzak! Może nie?! Zmusić wroga, żeby dla mnie pracował, i to nie od niechcienia, z przymusu, ale z nerwem, z bigłem, z pełnym przekonaniem! Coś takiego nie udało się nawet Mefistofelesowi. Drogi Ezergilu, ale z ciebie sukinsyn!

- I jesteś gotów nam pomóc? - dopytywał się dalej kapłan.

- Jeśli tylko nie będzie mnie pan dotykał...

Dalej nie było już nic ciekawego. Ksefon zaczął opowiadać o mnie, żeby wiedzieli, z kim mają do czynienia. Z jego powieści wynikało, że jestem skończonym kretynem, siedliskiem wszelkich wad, jednym słowem - okropnym monstrum. Dobra, nic ciekawego, pora odszukać Alonę. A Ksefon niech dalej snuje swoje opowieści, im gorzej o mnie mówi, tym lepiej dla sprawy - kapłan i Nienaszew zlekceważą mnie jako przeciwnika... Oczywiście pod warunkiem, że uwierzą w te opowieści. Szkoda, że nie mogę się rozdwoić... I do anielicy muszę, i tutaj chciałbym jeszcze posłuchać... Przecież chyba Ksefon skończy kiedyś głądzić o podstępny łajdaku, czyli o mnie i przejdą wreszcie do konkretów.

Wyjąłem notes - trzeba przyznać, że wujek miał świetny pomysł, dając mi go. Na pewno wiedział, co robi, nie wierzę w takie przypadki...

„Alona, jestem wam potrzebny?”

„Na razie nie. Chyba znalazłam sposób na zorganizowanie spotkania Aloszy i malarza!”

„To już niepotrzebne, mam tu coś lepszego. Wyobraź sobie, że ojciec naszego przyjaciela spotkał prawdziwego świętego!”

„Żartujesz?!”

„Nie mam zamiaru. Gdybyś tylko widziała, jak nasz drogi Ksefon wył, gdy tamten go dotknął!” „Znowu wymyśliłaś jakąś zgrywę”. Zrobiłem niewinną minę - co jak co, ale to potrafię.

„Ja? No coś ty!”

Alona nie uwierzyła mi, nie mam pojęcia dlaczego. Może dlatego, że nie widziała mojego szczerego spojrzenia? To poważna niedoróbka - notes powinien przekazywać obraz! Co to za środek łączności, skoro nie można nikogo oszukać?

„Dobrze - napisała - powiedz, że nie masz z tym nic wspólnego”.

„Nooo... Słuchaj, a dlaczego mam się przed tobą tłumaczyć? A tak w ogóle, on pierwszy zaczął. Czy ja mu kazałem się ze mną drażnić?”

„Aha. W takim razie obserwuj swojego kumpla, a ja tu sobie poradzę. I nie zgadzam się, że spotkanie jest niepotrzebne. Tego twojego świętego znalazł przecież ojciec chłopca, a ojcu Alosza jeszcze długo nie będzie ufał!”

Zastanowiłem się. Chyba miała rację.

„A na dodatek to kapłan” - odpisałem.

„Właśnie, tym bardziej - przyszła odpowiedź. - Po tamtym wypadku chłopiec za nic nie uwierzy duchownemu. W dodatku przyprowadzonemu przez ojca”.

W tym momencie miałem szczerą ochotę pobić tamtego poronionego popa. Kurczę, gdyby nie on, już byśmy wszystko załatwili! Może nawet wracałbym już do domu z czystym sumieniem i zaliczeniem praktyki...

„Dobrze, rozumiem. Działamy dwutorowo. Ja biorę na siebie ojca, zwłaszcza że i tak do nas należy, a ty chłopca oraz malarza”.

„Pasuje. Jeśli będziesz potrzebny, napiszę”.

„Super” - odpisałem, schowałem notes i stanąłem

nieopodal ławki, na której siedzieli moi podopieczni. Stałem za drzewem i znowu zacząłem słuchać. Przecież Ksefonowi musi się kiedyś znudzić opisywanie mnie! Ale okazało się, że pierwszy nie wytrzymał kapłan.

- Teraz rozumiem, z jakim uosobieniem zła mamy do czynienia, młody człowieku...

- Kto tu jest młodym człowiekiem?! - zdenerwował się Ksefon. - Chciałbym zauważyć, że jestem starszy od was obu! Mam sto dwadzieścia lat! Więc bardzo bym prosił... W tej postaci jest mi po prostu wygodniej.

Akurat! Gdybyś tylko potrafił, od razu byś się inaczej zamaskował, głąbie... Ksefon lubi mydlić innym oczy i na pewno zjawiłby się w jakimś oszałamiającym wcieleniu, gdyby tylko był na lekcjach, na których omawialiśmy zmianę postaci.

- Rozumiem. A jak się do ciebie zwracać... sprzymierzeńcu?

- Może pan do mnie mówić Ksefon.

- Doskonale. Ja jestem ojciec Fiodor.

- Nie jest pan dla mnie ojcem!

- Fiodor Iwanowicz lepiej brzmi?

- Gdzie jest moja żona? - zawołał nagle Wiktor Nikołajewicz.

Omam mnie nie podcięło od tego ryku. Rychło w czas się obudził! Ludzie zaczęli się odwracać, a ojciec Fiodor próbował uspokoić Nienaszewa. Ksefon uśmiechał się wzgardliwie.

- Gdzie, gdzie. Sam ją tam wysłał, a teraz się pyta.

- Bardzo bym prosił o trochę kultury! - powiedział

kapłan gniewnie. - Chyba możesz zachowywać się grzeczniej, skoro tak potrzebujesz naszej pomocy?

- Ja potrzebuję?! To chyba wy oczekujecie jej ode mnie. A teraz porozmawiajmy o cenie.

Ale się ocknął! Dzień dobry! Nie, stanowczo nie powierzyłbym Ksefonowi trudnej sztuki negocjacji... Ciekawe, czy pop zdoła go usadzić? Jeśli dobrze go oceniłem...

- Ach, o cenie? Dobrze, zastanowię się, czego od ciebie zażądać.

- Hej, ja mówiłem o zapłacie dla mnie!

- Naprawdę? Przepraszam, nie zrozumiałem. A, w takim razie chyba będziemy musieli zrezygnować z twoich usług. Bardzo mi przykro.

- Hej, co wy! Beze mnie nie poradzicie sobie z Ezergilem! Tylko ja mogę rozgryźć jego sztuczki! Nie macie pojęcia, jaki to podły typ!

- Młody człowieku... Dokładnie tak, młody człowieku. Mimo twoich przechwałek nie wierzę, że masz sto dwadzieścia lat. Zachowujesz się zbyt dziecinnie. Załóżmy, że uwierzyłem, iż jesteś diabłem. Sądzę jednak, że nasza pomoc jest ci znacznie bardziej potrzebna niż twoja nam.

Brawo! Dobrze mu tak! Do drobnych biesów go! Do biesów!

Ksefon zasapał gniewnie.

- A mówi się, że to diabły są podłe - burknął. - Dobrze, niech was licho. Naprawdę mi zależy, żebyście działali razem ze mną. Moje zadanie polega na przeszkodzeniu Ezergilowi w wykonaniu zadania. Jeśli

mi się to uda, dostanę nagrodę, a jemu pogonią kota. W przeciwnym razie to ja będę miał nieprzyjemności.

- O! - Ojciec Fiodor w zadumie przyglądał się Ksefonowi. - Zdaje się, że mamy poważny powód, żeby ci pomóc. Więc mówisz, że zostaniesz nagrodzony, jeśli pokonasz Ezergila? To jakaś forma wyniesienia?

Zgadza się, o jedną klasę wyżej. Za to mnie zostawia na drugi rok.

- Tak.

- Zdaje się, że twój awans powinien leżeć w interesie wszystkich ludzi...

Ksefon pęczniał z dumy. A nie mówiłem, że to idiota? Zupełnie nie zrozumiał, iż to wcale nie był komplement! Kapłan reprezentował przecież drugą stronę barykady, czyli zależało mu na tym, żeby w piekle u władzy znaleźli się tacy „geniusze” jak Ksefon.

- Właśnie.

- W takim razie powiedz nam, proszę, gdzie jest teraz chłopiec.

- Skąd mam wiedzieć, przecież gadam tu z wami. Ale jeśli chcecie, mogę się dowiedzieć.

- Gdybyś był tak dobry... Duchowny wręcz promieniał radością i uprzejmością, a Ksefon aż się rozpływał od takiego szacunku. Kretyn, kretyn i jeszcze raz kretyn. Kto inny dałby się nabrać na tak jawne pochlebstwa?

- Dobrze. Znajdę go i dam wam znać - powiedział, znikając. Już tylko ja mogłem zobaczyć, jak oddala się szybko ukryty za bardzo kiepską iluzją.

Kapłan od razu przestał się uśmiechać, ściągnął brwi.

- Pomoże mi pan, ojcie Fiodorze? - spytał z nadzieją Wiktor Nikołajewicz.

Fiodor Iwanowicz drgnął, wyrwany z zamyślenia.

- Słucham? A tak, oczywiście. Obowiązkowo. Wie pan - wyznał nagle - jakoś tak dziwnie się czuję, widząc materialny dowód własnej wiary.

Zaraz tam materialny. Wcale nie materialny, tylko właśnie duchowy. Dziwni są ci ludzie. Nie potrafią zrozumieć własnej siły, nie pojmują, że to właśnie ich wiara czyni te wszystkie cuda.

Wiktor Nikołajewicz uśmiechnął się krzywo.

- Rozumiem pana... Ale teraz przynajmniej wiemy, co sądzić o inteligencji diabłów. Jeśli Ezergil jest taki sam, mamy spore szanse go pokonać.

Możesz sobie pomarzyć.

- Tak, jeśli wnioskować z tego, co mówił ten tutaj...

- Jeśli wnioskować z tego, co mówił, to on jest pępkiem świata i skończonym geniuszem. Wiemy jedno: nienawidzi swojego przeciwnika i to do tego stopnia, że zrobi wszystko, by mu przeszkodzić. A to znaczy, że jest po naszej stronie! Pozostaje tylko odpowiednio go wykorzystać.

Biedny Ksefon, pomyślałem obłudnie. Widać taki już jego los, że wszyscy chcą go wykorzystać...

- Rzecz jasna, zawieranie umowy z diabłem to niezbyt dobry uczynek, ale dla ratowania chłopca gotów jestem zaryzykować własną duszą...

Działajcie, ojcie. Waszej duszy nic nie zagraża.

- To on! Łapać go!

Obejrzałem się; ścieżką biegli bandyci, którym



Wiktor Nikołajewicz nakładł po mordach oraz dwóch nowych, pewnie wsparcie.

- Trzymaj się, cholerny karateko! - wrzeszczał ten, który biegł pierwszy. Na jego czole widniał wielki guz. A, jasne, to ten, który dostał patelnię. Biedna patelnia... Zniszczyć taki porządny sprzęt na takim zakutym łbie...

Nienaszew zerwał się z ławki przerażony.

- Już po mnie! Zabijają! Przecież wziąłem pieniądze!

- Spokojnie. - Kapłan już szedł w stronę chuliganów.

- O co chodzi, dzieci moje?

- Spadaj, kretynie! - Pierwszy mięśniak zamachnął się.

Zamknąłem oczy i wtuliłem głowę w ramiona, słysząc odgłosy ciosów. Coś podobnego, żebym ja, diabeł, współczuł duchownemu?! Koszmar! A przecież naprawdę było mi go żal! A ci bandyci to jacyś sadyści! Żeby tak znęcać się nad biedakiem! Biją go i biją! O, wreszcie przestali. Zaraz się wezmą za Wiktora Nikołajewicza... Chyba muszę mu jakoś pomóc...

- Gdzie się ojciec tego nauczył? - spytał z niedowierzaniem ojciec Aloszy.

Otworzyłem oczy. O rany... Wszyscy bandyci leżeli wzdłuż ścieżki na trawie i spokojnie „odpoczywali”.

Nad nimi stał kapłan. Rozczochrane włosy, rozdarte rękaw koszuli - innych śladów walki na nim nie dostrzegłem.

- W Afganistanie, mój synu. Brygada szturmowo-desantowa.

- Więc ojciec?...

- Tak. Pochodziłem trochę po tych górach i właśnie

wtedy, gdy napatrzyłem się na te wszystkie koszmary, zwróciłem się do Boga. A oto i milicja, w samą porę. Wiktorze Nikołajewiczu, pozwoli pan, że to ja im wszystko wyjaśnię? Sam pan rozumie, że o diabłach i duszach lepiej z milicją nie rozmawiać... Tam pracują ludzie o bardzo materialistycznych poglądach...

Materialiści, realiści... Tak czy inaczej, ojciec Fiodor i Nienaszew ugrzęzną tu na długo, a to znaczy, że najwyższa pora znaleźć Alonę. Szybko napisałem jej krótki raport z ostatnich wydarzeń.

„Ludzie się biją, a tobie w to graj” - skomentowała.

Dzień, w którym Alona nie będzie prawić mi kazań po każdej mojej opowieści, uznaję za początek końca świata. Jednak jako mężczyzna powinienem wybaczać damie słabości... Westchnąłem i wyruszyłem na spotkanie ze swoim „partnerem”, pilnującym naszego głównego podopiecznego.

Siedziała wygodnie na gałęzi i obserwowała Aloszę, który usiłował wyrwać deskę z płotu. Wszedłem na drzewo i zająłem miejsce obok dziewczyny.

- Co on robi? - spytałem.

- Wyładowuje złość. Z domu uciekł, chciał się powiesić, ale zrezygnował, a teraz nie wie, co dalej.

- Jasne. Masz jakiś plan?

- Poradziłam mu, żeby pomyślał o czymś miłym. Żeby na przykład poszedł obejrzeć obrazy na Niekrasowskiej.

Zastanowiłem się.

- Aa, tam jest ten malarz?

- Właśnie.

- Ale on chyba nie ma zamiaru słuchać twoich rad?

- A co mu innego pozostaje? I tak nie ma lepszych pomysłów.

Teraz obserwowaliśmy chłopca razem. O dziwo, Alona nie pytała mnie o ostatnie wydarzenia, zachowywała się tak, jakby nic się nie stało.

- Czy to czasem nie twój przyjaciel? - spytała w pewnym momencie.

Popatrzyłem w tę stronę, co ona. Faktycznie, właśnie laził tu Ksefon. No, no, szybko znalazł chłopaka... Odruchowo wsunąłem rękę do kieszeni i wyjąłem bombę samoprzylepną. Alona zerknęła na kulkę w moim ręku.

- Czy to jest to, co myślę?

- Nie wiem, bardzo możliwe, że nie. Przecież nie wiem, co myślisz.

- Kpisz sobie ze mnie? Co chcesz zrobić z tą „przyklejką”?

- Wrzucić Ksefonowi za kołnierz, oczywiście.

- To wszystko, na co cię stać? A kto mówił, że to Ksefon jest drobnym paskudnikiem?

Zerknąłem na bombkę.

- A wiesz, że masz rację? To faktycznie wygląda na drobną podłość. Nie mój styl.

Schowałem ładunek i Alona odetchnęła z ulgą. Przedwcześnie. Od razu wyjąłem z kieszeni drugą kulę, trzy razy większą.

- Należy robić duże podłości - zawyrokowałem.

- Ezergil! Ty nieznośny, bezczelny...

- To już było. A do tego cham, morderca, wróg

rodzaju ludzkiego i w ogóle samo zło.

Nie słuchając już jej protestów, zeskokczyłem z gałęzi i ostrożnie podszedłem do Ksefona. Ten już nie rozglądał się na boki. Pewnym krokiem szedł w stronę chłopca.

Alosza poznał go.

- To ty?!

Ksefon machnął ręką.

- Co tu robisz, nieszczęsny idioto? Ach, jaki Wersal!

- Ja? - To agresywne chamstwo nieco zdeprymowało chłopca.

- Przecież nie ja! Mówiłem ci, żebyś się nie zadawał z Ezergilem! Dlaczego nie posłuchałeś? Co, za mało ci dałem pieniędzy?!

- Pieniądzy?! - skoczył chłopiec. - Twoje... twoje pieniądze...

Matko kochana! W życiu bym nie przypuszczał, że ten chłopiec zna takie słowa! Zerknąłem na Ksefona i omal się nie roześmiałem. Diabeł patrzył z przestraczem na rozwścieczonego dzieciaka i powoli cofał się przed jego atakiem.

- A masz, bydlaku! - Alosza z rozmachu grzmotnął go prosto w nos. Ksefon upadł, pewnie nie tyle z bólu, co z zaskoczenia. Zdaje się, że młody Nienaszew już wiedział, na kim można wyładować złość.

Ksefon zerwał się i odskoczył na bezpieczną odległość.

- Zwariowałeś?!

- Wynocha, powiedziałem! Bo znów oberwiesz! Diabeł pochylił głowę, zacisnął pięści i ruszył na

chłopca. Znieruchomiałem.

- Szajba ci odbiła?! Ja cię tu szukam, chcę ci pomóc, a ty mnie bijesz?

- Wielkie dzięki, już raz mi pomogłeś! Teraz nie wiem, jak się z tego wygrzebać! - odparł Alosza, który trochę ochłonał.

Ksefon, ku mojemu zdumieniu, również się opanował i nie wszczął bójkę. Walka wysłannika piekła z człowiekiem... To dopiero byłby skandal!!! Po czymś takim Ksefon mógłby sobie pooglądać Ziemię najwyżej z orbity Księżyca.

- Widzicie go, pieniądze mu się nie podobają! Przecież dałem ci tylko to, czego chciałeś!

- Wcale nie chciałem!

- Chciałeś. Jeszcze się będzie kłócił... A teraz marsz do domu! Ojciec cię szuka! Znalazł popa i razem z nim pomyślicie, jak walczyć z Ezergilem.

Uu, niepotrzebnie Ksefon wspomniał o ojcu i kapłanie...

- A może byś się tak wyniósł, co? - Wściekł się znowu chłopiec. - Mądrała się znalazł! Pójdę, gdzie zechcę! - Odwrócił się i demonstracyjnie poszedł w stronę przeciwną niż dom.

Ksefon pobiegł za nim, namawiając go, żeby zawrócił i nie robił głupstw. Tak, Ksefon umie przekonywać, prawdziwy talent! Im usilniej namawiał Aloszę, tym bardziej chłopiec się zapierał. Nawet przyspieszył kroku.

- Stań wreszcie!

Alosza zatrzymał się gwałtownie i spojrzał na

Ksefona.

- Odwal się! Jak to się mówi... O, mam! Precz, szatanie!

Zachichotałem. Ciekawe, czego właściwie spodziewał się po tym okrzyku? Ksefon ściągnął brwi.

- Mały, ostatni raz cię pytam: idziesz do domu czy nie?

- Nie!

- No, to uważaj! Od tej chwili twoje życie zamieni się w piekło! Zmuszę cię, żebyś był dobry!

Ech, gość jest po prostu jedyny w swoim rodzaju. Unikat. Załatwia wszystko elegancko i ze smakiem! Jak sprawić, żeby wszyscy ludzie stali się dobrzy? Przecież to bardzo proste - trzeba ich zmusić!

Ksefon zniknął. Zerknąłem na kulę z bombą samoprzylepną i splunąłem. Zasluchany, zupełnie zapomniałem o zabawce! I co mam teraz z nią zrobić? Zerknąłem na jakiegoś kolesia, chyba szesnastolatek, który z kastetem na dłoni trenował ciosy na drzewie. Rzecz jasna, żaden przechodzień nie odważył się zwrócić mu uwagi. Ukryty za iluzją, podszedłem do niego i przy kolejnym zamachu podstawilem pod uderzenie kulę. Ta błyskawicznie zmieniła się w kleistą masę, w której ugrzęzła ręka domorosłego karateki razem z kastetem. Chłopak, klnąc jak pijany student, spróbował uwolnić rękę i wrzasnął.

Boli, co? Nawet zacząłem mu współczuć. Ale drzewo bolało znacznie bardziej, przecież ono też żyje! Dobra, niech się gnojek pomęczy, nic mu nie będzie... Za dziesięć minut masa utraci kleistość, po czym wyparuje.

A ja muszę pilnować mojego klienta, niech go lichy.

- Ty zawsze musisz coś nawyprawiać - zauważyła Alona, doganiając mnie.

- Tylko mi nie mów, że ci szkoda tego chłystka.

Prychnęła, ale nic nie powiedziała.

- Lepiej pomyśl, jak mamy poznać Aloszę z tym malarzem - burknęła.

- Myślę, że to akurat żaden problem. Dziewczyna popatrzyła tam, gdzie ja - na grupkę chłopców, z którymi Alosza tak udanie okradł kiosk. Właśnie do nich szedł teraz Ksefon.

- Oni pobiją Aloszę!

- Być może - przyznałem. - Ale w tym celu musieliby go najpierw dogonić. A to się stanie właśnie na Niekrasowskiej. A jeśli dobrze rozgryźliśmy charakter naszego malarza...

- Oo! Ale i tak...

- Nie denerwuj się, Ksefon zadba o wszystko - uśmiechnąłem się. - Tak dobrze dla nas pracuje... Nawet lepiej, niż gdybym mu zapłacił. Och, nienawiść to wielka siła. Żadne inne uczucie nie oślepi człowieka tak mocno. Zresztą, diabła też. Właśnie dlatego nigdy nie będę nikogo nienawidził. Za bardzo mąci się wtedy rozum...

Tak jak przewidziałem, Ksefonowi bez trudu udało się namówić „rycerzy wielkiej drogi”. Nie musiał się wcale wysilać - sami bardzo szybko się „namówili”, wystarczyło, że zobaczyli Aloszkę. Od razu oderwali się od swoich ulubionych garaży, żeby dopaść chłopca. Poszliśmy za nimi.

Alona spostrzegła, że Alosza nie widzi swoich prześladowców i sposepniała. Wyciągnęła rękę w jego stronę, po chwili opuściła ją i omal nie rozplakała się z irytacji.

- Nie wychodzi! Dlaczego nie uważałam na lekcjach?

- Mnie pytasz? A co ci właściwie nie wychodzi?

- Nie mogę obudzić w chłopcu przeczucia nieszczęścia! Żeby się obejrzał! W przeciwnym razie go dopadną!

- Tylko tyle? I dla czegoś takiego chcesz budzić jakieś tam przeczucia? Skomplikowaną drogą chadzacie tam u siebie, towarzyszu aniele... Popatrz!

Wzrokiem zmusiłem niewielki kamyczek do poderwania się z ziemi i cisnąłem nim w plecy chłopca. Alosza odwrócił się, przestraszony, ujrzał swoich prześladowców. I niemal w tej samej chwili rzucił się do ucieczki, a tamci runęli za nim.

Dumnie uniosłem głowę.

- Właśnie tak trzeba. A nie jakieś tam przeczucia...

Alona popatrzyła na mnie z wdzięcznością, ale wyglądała na przygnębioną. A ja skłamałem w duchu samego siebie. Ale się wyrwałem, idiota jeden! Zupełnie nie pomyślałem, jak ona się teraz czuje! Diabeł lepszy od anioła! Zaraz, zaraz... Co się ze mną dzieje? Co mnie właściwie obchodzą uczucia jakiejś tam anieliczki? Przecież właśnie powinienem zawsze i wszędzie udowadniać wyższość piekła! Właśnie to robię i jestem z tego dumny! Zerknąłem na Alonę. Dobra, z tą dumą to może przesada. Oczywiście, gwizdzę na wszystkich aniołów... na wszystkich, ale nie



na nią. Szlag!!! Czyżbym się zakochał?! Też coś! Żeby jeszcze było w kim... Nie, oczywiście, dziewczyna z niej niczego sobie... Tfu, tfu, tfu! Nie no, muszę zaraz postarać się o jakieś lekarstwo na głowę... O, gilotyna byłaby idealna.

- Nie przejmuj się tak - usłyszałem samego siebie. - Nie udało się tym razem, uda się następnym. Jak chcesz, to ci pomogę.

Tak, gilotyna stanowczo jest nieodzowna. Słabsze środki nie pomogą.

- Dziękuję, Ezergilu - uśmiechnęła się słabo.

I od tego uśmiechu od razu zrobiło mi się cieplej na duszy. Zaraz, czy ja powiedziałem „na duszy”?! Diabłu zrobiło się cieplej „na duszy”?!!! O, już nigdy więcej nie będę śmiał się z wujka, gdy zacznie opowiadać o wyższych uczuciach. Już rozumiem, jakie durne rzeczy wygaduje się przez te uczucia! Co gorsza, sam rozumiem, że plotę głupstwa i nie mogę się powstrzymać!

Oho, trzeba wzmóc czujność. Właśnie się zaczyna... Od razu wyleciały mi z głowy wszystkie uczucia, wysokie i niskie. Skupiłem się na rzeczy najważniejszej: nasza wesoła brygada drobnych łobuzów dogoniła jednak Aloszę i szybko go otoczyła. Ja i Alona zatrzymaliśmy się nieopodal, spojrzeliśmy na malarza Rogożewa, który stał nieco z boku ze swoimi obrazami.

- Czego chcecie? - bronił się słabo chłopiec.

- Czego chcemy? - wyszczerzył zęby przywódca. Ha, znów gra twardziela. Nawet palce rozcapierzył... A jednak zupełnie nie jest podobny do twardych gości...

Jedynie śmieszny. Dorosły gość, powinien zająć się czymś poważnym... Tylko że w ogóle nie wygląda na poważnego człowieka. I nigdy nie będzie wyglądał. Mózgu nie można dokupić... - A jak myślisz? - dodał. - Po tym, jak twój kumpel ukradł nam wszystkie pieniądze...

Bardzo proszę, pochwal się, pochwal. Opowiedz wszystkim, jak pewien kumpel zrobił z was frajerów.

- On nie jest moim kumplem! - wrzasnął Alosza. - Odczepcie się ode mnie! Czego chcecie?!

A, to już histeria...

- Co ja wam zrobiłem?! - krzyczał dalej Alosza. - Jeśli chcecie odzyskać swoje pieniądze, jego spytajcie! Może mu jeszcze dusze sprzedacie?!

Akurat mi potrzebne ich dusze. Kochany, oni i tak są już moi!

- Zaraz zobaczymy, kto i co będzie sprzedawał! - Całe towarzystwo otoczyło chłopca i zaczęło go spychać z ulicy.

- Pomocy!!!

- Stać! - rozległ się groźny krzyk. Nareszcie! Dzień dobry panu!

Ksefon, który obserwował całą scenę z oddali, zmarszczył brwi.

Malarz w milczeniu przebił się przez kordon chuliganów i stanął obok Aloszy.

- Co tu się dzieje?

Przywódca bandy uśmiechnął się krzywo, pogardliwie, kącikiem ust. Naoglądał się biedak amerykańskich filmów... A potem sposepniał i wyjął z

kieszeni nóż sprężynowy.

- Idź do domu, wujciu - poradził i splunął. Jednocześnie bawił się nożem, przekonany, że na widok tej zabawki „wujcio” czym prędzej się oddali.

Ale spotkało go wielkie rozczarowanie. Grigorij Iwanowicz chwycił bandziorka za ramię i bez zastanowienia przestawił mu szczękę. Bardzo słusznie! Jak ci grożą nożem, nie ma się co ceregielić. Przywódca gangu poleciał na ścianę domu, a Rogożew podniósł upuszczony nóż i w milczeniu odwrócił się do pozostałych. Ci dobrze zrozumieli jego intencje, prysnęli więc na wszystkie strony. Po chwili w ślad za swoją drużyną pokuśtykał również przywódca. Tak jak myślałem - pierwszy mołojec wśród owiec.

Wtedy zawyła syrena i obok Aloszy zatrzymał się milicyjny łazik. Ponieważ w tej chwili pochwyciłem triumfalne spojrzenie Ksefona wiedziałem od razu, że nic dobrego z tego nie wyniknie...

- Alona, znajdź w archiwum piekła coś o tych milicjantach! Już! - przynagliłem, widząc, że chce dyskutować.

Od razu wyjęła notes i zaczęła coś w nim pisać, a ja nie spuszczałem wzroku z łazika. Wsiadło z niego dwóch mężczyzn... W mundurach, niby wszystko w porządku... Ale czemu Ksefon tak radośnie się uśmiecha?

- Oj...

Odwróciłem się.

- Co jest?

Alona, blada jak ściana, podsunęła mi notes.

Zacząłem czytać.

Leonid Arkadijewicz Mołochow. Tak... Szybko przebiegłem wzrokiem tekst. Cóż powiedzieć?... Łapówkarz, złodziej i sadysta. Związany z grupą przestępczą, służy im za ruble, dolary i złoto. Ale najgorsze, że do tej właśnie organizacji należeli ci bandyci, którzy siedzieli w mieszkaniu Aloszy i których Wiktor Nikołajewicz tak ładnie wymłócił, a potem jeszcze dostali od kapłana... Biedaki... Ciężkie jest życie żołnierzy mafii...

Drugi milicjant okazał się wcale nie lepszy, co mnie już zupełnie nie zdziwiło. Jednym słowem, zjawili się tu nieprzypadkowo.

Popatrzyliśmy z Aloną na siebie.

- Taak... Chuligani, bandyci, sprzedajna milicja, Ksefon... Chyba trochę za bardzo się postaraliśmy... - zauważyłem zdławionym głosem.

**Część trzecia**

**Chytry plan i rzeczywistość**

## Rozdział 1

Przez jakiś czas oboje milczeliśmy. Alona patrzyła ponuro na to, co się dzieje.

- Faktycznie przesadziliśmy - burknęła gniewnie. - Nic dodać, nic ująć. Że też cię posłuchałam, że też dałam się namówić na ten twój plan! Jin i Jang! Od razu wiedziałam, że się tylko zapłaczesz! Wiedziałam, że nie należy słuchać diabła!

- Spokojnie, spokojnie. Ale za to, jeśli Alosza i jego ojciec przejdą przez to wszystko, w ich życiu nie będzie już więcej nieszczęść, po czymś takim ze wszystkim sobie poradzą. „Tak ciężki młot, szkło krusząc, kuje bułat” - zacytowałem.

- A jeśli nie przejdą i nie poradzą?

Wzruszyłem ramionami.

- Wtedy wcześniej trafią do nas.

Alona zasyczała wściekle i walnęła mnie w kark.

- Ezergil! Twoje żarty przestają być śmieszne!

- A kto ci powiedział, że diabelskie żarty mają być śmieszne? - wzruszyłem ramionami. - No dobra, ja to wszystko zorganizowałem, więc ja naprawię. Jasna sprawa, że nie można pozwolić, żeby ci pseudomilicjanci zabrali Aloszę, bo natychmiast odeślą go do tego całego szefa. Grigorijowi Iwanowiczowi naplotą bzdur... Krótko mówiąc, ja wyciągam Aloszę, a ty pomagasz jemu i malarzowi się ukryć.

Alona zerknęła na mnie podejrzliwie, ale skinęła

głową. Szybko zrzuciłem iluzję, twardym krokiem podszedłem do zbiegowiska i przepchnąłem się przez tłum gapiów. Widząc mnie, Ksefon przestał się uśmiechać i zaczął mi się czujnie przyglądać. No patrz sobie, patrz, ty mój psie Baskerville'ów.

- No wiesz, Aloszka?! - powiedziałem głośno. - To już nawet na chwilę nie można cię samego zostawić? Coś ty znowu zbroił?

- Znasz go? - Czyjaś potężna ręka ujęła mnie za ramię i postawiła w środku kręgu.

- Oczywiście, towarzyszu milicjancie - zameldowałem dziarsko. - To mój przyjaciel. Odszedłem na chwilę i zdaje się, że on znów się w coś wpakował.

Jasna sprawa, że moja obecność nie ucieszyła milicjantów, przeszkodziłem im w bezszmerowym zgarnięciu chłopca.

- On nie jest moim przyjacielem! - wrzasnął Alosza, odsuwając się ode mnie. - Zjeżdżaj!

- Czego się drzesz, głupi - powiedziałem samymi wargami.

- Zjeż...

Dość. Zatrzymałem czas. Zerknąłem na Ksefona. Ten, ponury i zły jak... tak jest, jak wszyscy diabli, usilnie gestykulował, usiłując złamać moje zaklęcie. W porządku, niech sobie chłopak potrenuje... Odwróciłem się do Aloszy.

- Nie wrzeszcz.

Ten spojrział osłupiały na nieruchomych ludzi i słabo skinął głową.

- Zuch. Teraz posłuchaj. Towarzysze w mundurach nie są twoimi towarzyszami. Rozumiesz? Wyjaśniam: nieźle się władowałeś z tą walizką dolarów. Dowiedzieli się o niej pewni źli ludzie. Bardzo źli. Oczywiście od razu zainteresowało ich, gdzie dwunastoletni chłopiec wytrzasnął taką forszę. - A właśnie - zerknąłem na wkurzonego Ksefona - teraz już wiem, skąd je wzięłeś. Gratuluję. Właściwie powinienem sobie pójść i zostawić cię tutaj, jednak umowa to umowa i przez ten tydzień jeszcze ci będę pomagał. W następnym radź sobie sam. A milion... - prychnąłem. - Swój milion już dostałeś.

- Kłamiesz! - krzyknął zrozpaczony chłopiec. - Obiecali, że mi pomogą, odwiozą mnie do domu!

- Naprawdę? - wyjąłem swój notes, sprawiłem, że stał się widoczny i podsunąłem Aloszy. - Czytaj. Masz tu swoich pomocników. Nie sądzisz, że tacy jak oni znajdują się w mojej kompetencji?

Aloszka przeczytał szybko i skulił się.

- To co ja mam teraz robić? - spytał bezradnie.

- Będiesz mnie słuchał? Potwierdzasz naszą umowę? - spytałem, zerkając na Ksefona. Ten wzdrygnął się i coś wyszeptał, a raczej krzyknął, ale zawczasu sprawiłem, że nikt go nie usłyszał.

Alosza rozplakał się i pokiwał głową.

- No to świetnie. W takim razie bierz nogi za pas. Nie mogę dłużej wstrzymać czasu. Uciekaj stąd!

Alosza obejrzał się i zaczął iść. Pozwoliłem czasowi płynąć i od razu uderzyłem głową w jednego z milicjantów, kolegę Leonida Arkadijewicza. Ten,



zaskoczony, zgiął się wpół. Ja oczywiście rozumiem, że nie należy ingerować i tak dalej... Ale po pierwsze, to nie moja wina - to oni pierwsi zaczęli, chcieli mnie złapać! To co, może miałem nie stawiać oporu? A po drugie... a po drugie ci ludzie są do takiego stopnia moi, że już i tak nic im nie pomoże. Nawet bezpośrednia interwencja aniołów. Ale i tak mi się oberwie...

- Uciekaj! - krzyknąłem. - Uciekaj, mówię, ja ich zatrzymam! I pamiętaj, że nie możesz pokazywać im się na oczy! - Kopnąłem drugiego milicjanta w kolano, ale zostałem złapany za fraki. Pech... A zresztą, dlaczego pech? Podczas gdy oni będą zajęci mną, Alosza zdąży się zmyć... Szarpnąłem się, chwyciłem za mundur drugiego milicjanta. Ten próbował oderwać moje ręce, ale trzymałem mocno. Leonid Arkadijewicz krzyczał coś, próbując odkleić mnie od kolegi, a ja zrobiłem zeza i lekko skinąłem głową Alonie. Zerknąłem też na naszego malarza, który patrzył na to wszystko wstrząśnięty.

- Lonia, no wsadźże go do samochodu! - zawołał jeden z milicjantów.

Bez ceregieli wrzucili mnie do auta i zamknęli drzwi.

- No, koleś, wpadłeś! - wycedził Lonia, wsiadając do wozu.

Ha, jeszcze zobaczymy, kto tutaj wpadł!

Samochód ryknął i ruszył z miejsca; chyba zrezygnowali z pościgu za Aloszą, czyli cel został osiągnięty. Właściwie mogłem się już zmyć. Zerknąłem na wściekłego Lonię i zastanowiłem się. A tak w sumie, to dlaczego miałbym uciekać? Czy nie mam prawa do

odpoczynku? Trzeci dzień haruję jak wół, najwyższy czas na odrobinę rozrywki! Uśmiechnąłem się złośliwie. Nawet wiem, kto będzie obiektem zabawy... Popatrzyłem na Lonię zza kraty, siedział obok drzwi, opierając się o nie. Zerknąłem na zamek, zatrząsk pstryknął i drzwi się otworzyły.

- Aaa! - Leonid Arkadijewicz w ostatniej chwili złapał się drzwi, zwisając na nich. - Stój! Zatrzymaj się!  
- Jakimś cudem udało mu się wygiąć i walnąć nogą w maskę. Samochód stanął, kolega naszego bohatera wyskoczył i widząc, co się dzieje, wrzasnął:

- Zgłupiałeś? Życie ci niemiłe?! A gdybyś tak wpadł pod koła?!

Leonid Arkadijewicz spojrzał ponuro na drzwi łazika.

- Przecież zamykałem - burknął.

Jego kumpel postukał się w głowę i wrócił za kierownicę, Lonia usiadł na swoim miejscu. Teraz już dwa razy upewnił się, czy drzwi są zamknięte i mimo to odsunął się od nich. Zerknął w moją stronę, ale udałem, że śpię i wkrótce naprawdę zasnąłem. Przed porządną rozrywką trzeba się wyspać. Jak zacznie się najlepsza część, nie będę miał już czasu na odpoczynek.

Obudziłem się, gdy ktoś bezceremonialnie wyrzucił mnie z samochodu na asfalt. Uderzyłem się boleśnie w łokieć.

- Ej, nie można delikatniej? - spytałem płaczliwie, pocierając bolące miejsce.

- Zamknij się - polecił krótko Lonia, łapiąc mnie za rękę i ciągnąc na komisariat.

Jego kolega szedł z boku.

- Wołodia, weź no spisz tego typka, potem się nim zajmę.

Dyżurny spojrział na mnie z zaciekawieniem.

- A kto to? I jak go spisać? Przecież trzeba go odesłać do izby dziecka.

- Ja mu dam izbę dziecka - warknął gniewnie Leonid.

- Ale później. Ten gówniarz pomógł zwać jednemu groźnemu przestępcy. Podejrzewam, że też należy do bandy, więc na początek chciałem z nim pogadać.

- Aa? - Dyżurny spojrział na mnie z większym zainteresowaniem. - Jasne...

Zerknąłem na niego. Ech, gdybym tak mógł zajrzeć do mojego ulubionego notesiku, ale niestety, niestety... Wprawdzie jest niewidzialny, ale i tak dziwnie by to wyglądało, gdybym teraz zaczął go czytać.

- No właśnie - burknął Lonia. - Dlatego na razie nikogo nie powiadamiaj. Teraz już i tak wieczór, jutro damy znać, gdzie trzeba.

- Ale ja tak nie mogę!

- Wołodia, no zrób to dla mnie. Sam rozumiesz, jeśli tego smarkacza zabiorą od razu ci z izby dziecka, to ni diabła nie dowiemy się nic o zbiegłym przestępcy.

„Ni diabła”. Ładnie powiedziane. Podoba mi się. Wołodia zawahał się, a potem machnął ręką.

- Dobra...

- No to świetnie. Maszeruj, szczeniaku.

Maszerowałem i wcale nie trzeba było mnie popychać. Lonia chyba był zły, że nie urządziłem awantury. Uśmiechnąłem się w duchu.

Wepchnięto mnie do jakiegoś pomieszczenia, w

którym stał tylko stół i jedno krzesło. Milicjant usiadł na stole - słusznie, krzesło w ogóle nie nadaje się do siedzenia, lepiej postawić na nim nogi. A stół idealnie pasuje do niektórych tyłków. Kolega Leonida stanął przy drzwiach - może myślał, że rzucę się do ucieczki?

Mój prześladowca uśmiechnął się krzywo, widocznie chciał mnie nastraszyć.

- No i co, będziesz mówił?

- A o czym? - wyjąkałem przestraszony.

- O czym?! - ryknął, zrywając się ze stołu i pochylając nade mną. - Mów, dokąd uciekł twój kumpel!

- A skąd ja mogę wiedzieć? - wymruczałem przestraszony, próbując odsunąć się od wiszącego nade mną faceta. - Uciekł i już.

- Aha i już?! Ja ci radzę, żebyś szczerze o wszystkim opowiedział! Bo inaczej będzie źle z tobą.

- Ja nic nie wiem... - chlipnąłem.

- Będę musiał odświeżyć ci pamięć - burknął. - Misza...

Jego koleżka podszedł do mnie, zamachnął się i pięścią walnął mnie w brzuch. Zgiąłem się i upadłem. Nie wiem, czy wspominałem, że diabły są znacznie wytrzymalsze od ludzi? Cios nie był dla mnie niebezpieczny, poza tym, uprawiam sport... Ale wzięli mnie z zaskoczenia - i teraz rozpaczliwie łapałem powietrze.

No dobra, kochani, wkurzyliście mnie. Jakim trzeba być bydlakiem, żeby katować dziecko?! A przecież dla nich byłem dzieckiem! Ten cały Misza już podniósł

nogę, żeby mnie kopnąć. No, no, kopać też będziemy? Hm... Wyobraziłem sobie kowadło. Wielkie kowadło... Gdy noga Miszy w potężnym trepie ruszyła już w moją stronę, w myślach ustawiłem kowadło przed sobą. Na chwilę. Na ułamek sekundy. Oczywiście tak naprawdę nie było tu żadnego kowadła, ale siła sugestii sprawiła, że Misza naprawdę uwierzył, że w nie kopnął. Ależ wrzasnął... Potężny drab runął na podłogę i, wyjąc, trzymał się za stopę. Wystraszony Leonid podbiegł do niego, a ja leżałem sobie na podłodze, starając się być niewidzialny. Nie dosłownie, oczywiście, po prostu zachowywałem się tak, jak powinien się zachowywać przestraszony chłopiec.

- No coś ty, Misza? Co z tobą?

- Chyba złamałem nogę... - jęczał Misza.

- Nogę? - Leonid Arkadijewicz najpierw popatrzył na swojego wielkiego kolegę, a potem na mnie. Sięgałem temu gorylowi do pasa, a i to tylko wtedy, gdybym podskoczył. No i co, taki drab złamał o mnie nogę?! Leonid potrząsnął głową i zaczął oglądać posadzkę, próbując zrozumieć, w co tak naprawdę kopnął jego kolega.

- Czego szukasz?! - ryczał Misza. - Wezwij pogotowie, idioto!

- Co? A, zaraz... - Leonid Arkadijewicz był tak wstrząśnięty, że nawet nie zwrócił uwagi na inwektywy.

Pogotowie jednak wezwali. Na krzyk Miszy przybiegło kilka osób i teraz wszyscy ze zdumieniem obserwowali leżącego na podłodze bydluna. Zerkali również na mnie. Całe to zajście wyraźnie nie pasowało

do scenariusza Leonida, który rzucił mi wściekłe spojrzenie.

- Możesz uznać, że ci się fartnęło - warknął, ale od razu rozpląnął się w uśmiechu. - Chociaż nie. Możesz uznać, że ci się nie fartnęło - I zwrócił się do zebranych kolegów: - Chłopaki, posiedźcie tu z Michaiłem, chyba złamał nogę, upadł tak pechowo... A ja zamknę tego małego, żeby czasem nie uciekł, zanim przyjadą z izby dziecka.

Kiwanie głowami. Zdaje się, że wszystkich bardziej interesował Miszka, niż jakiś tam chłopak. Leonid wyciągnął mnie na korytarz i pociągnął za sobą w głąb budynku.

- No, koleś, nie chcesz po dobroci, mówi się trudno. Zamknę cię z takimi typkami, że rano na pewno będziesz gotów opowiedzieć mi, co wiesz... Krótko mówiąc, masz teraz ostatnią szansę wypowiedzieć się.

- Ja nic nie wiem! Niech mnie pan puści!

- Jak sobie chcesz.

Poprowadził mnie długim korytarzem, weszliśmy do sąsiedniego skrzydła budynku... W dyżurce z tablicy nad biurkiem zdjął jakieś klucze. Przy biurku nikt nie siedział, chociaż, jak rozumiałem, powinien. Zresztą, nieobecność dyżurnego wcale nie zdziwiła Leonida. W milczeniu poprowadził mnie dalej. Doszliśmy do jakichś masywnych drzwi i tu już byli milicjanci: dwóch wielkich drabów z gumowymi pałkami za pasem. Z szacunkiem popatrzyłem na ich potężne postacie. Oto ludzie! Tytani, kurde! Przestali rozmawiać i popatrzyli na nas obojętnie. Leonid wrzucił mnie do celi, ledwie

utrzymałem się na nogach. Zacząłem otrzepywać ubranie wybrudzone na podłodze w tamtym pokoju, a potem rozejrzałem się.

Trzech facetów o wyglądzie kryminalistów gapiło się na mnie z zainteresowaniem. Wyglądali na takich, na których w piekle czeka już stały meldunek. Pewnie przygotowano im osobiste kotły i spory zapas drewna.

- Synek - uśmiechnął się jeden z nich, krótko ostrzyżony tłusty wujcio z tatuażem na rękach. - Za co oni cię tutaj?...

Pozostała dwójka z uwagą przysłuchiwała się rozmowie. Chyba czekali, aż zacznie się zabawa. No cóż, nie sprawię im zawodu, imprezę mają jak w banku.

Zacząłem nasłuchiwać; za drzwiami dwóch byków kontynuowało rozmowę, Leonid sobie poszedł. Pysznie.

- No i co nic nie mówisz, synku? Nieładnie tak do starszych - powiedział czule. Tak czule, że aż mi się niedobrze zrobiło. - Najpierw dożyj moich lat...

A ty moich, tatułku...

- No przecież już dożyłem - westchnąłem.

- Synek pyskuje - powiedział typ z tym samym czułym uśmiechem. - A wiesz, co się u nas robi z takimi, co pyskują?

Wzruszyłem ramionami, a potem podszedłem do ściany i usiadłem na jednej z prycz. Od razu dostałem po karku.

- Jak Byk mówi, to masz stać i odpowiadać na pytania, szczeniaku! - ryknął jeden z pomagierów szefa, bo nie miałem żadnych wątpliwości, że to gruby jest tu szefem.

- Byk mówi?! - zawołałem zdumiony, wytrzeszczając oczy i zrywając się z miejsca. - Gdzie?!

- Żartowniś z ciebie, synku - uśmiech bandyty powoli gasł. - Nieładnie się tak chamsko odzywać.

- Skąd, ja nie jestem chamski. Tylko świński. Za to tu właśnie trafiłem. Za drobne świństwa.

Moja odpowiedź zdumiała całą trójkę.

- Że co? - zapytał drugi typ, wysoki brunet z debilnym wyrazem twarzy.

- Świństwa. Drobne świństwa.

- To znaczy jak to? - zapytał ten sam typ. Tamtych też to zaintrygowało, ale nie pytali. Szef oczywiście uważał, że dopytywanie się jest poniżej jego godności, dlatego pozwolił działać sługusom.

- No na przykład dziś tutaj taki jeden, niejaki Misza. Złamał nogę. To dzięki mnie.

- Czyżby? - Szef jednak nie wytrzymał. - I jak żeś to zrobił? Głową?

- Dlaczego głową? Świństwem. Zawsze działałem świństwem. Takie sztuczki robiłem jeszcze w dzieciństwie. Zresztą, mogę pokazać...

Nie powiedzieli nic, ale patrzyli zaciekawieni. Chyba udało mi się ich zaintrygować. Podszedłem do szefa i wziąłem od niego aluminiową miskę z resztkami jakiegoś jedzenia.

- Popatrzcie. Niby zwykła micha z żarciem, a tak naprawdę wspaniały instrument do robienia świństw. Biorę takie coś, podchodzę do drzwi, walę...

Z całej siły zagrmociłem naczyniem o drzwi, trzech typków wymieniło spojrzenia, a potem popatrzyło na



mnie. W tej samej chwili otworzyło się okienko, a ja od razu cisnąłem w nie miską. Okienko zamknęło się, a z zewnątrz doleciały wymyślne bluzgi. Słuchałem ich z niemym zachwytem. Żeby tak przeklinać?! Nie, naprawdę, diabły mogą się od ludzi niejednego nauczyć... Uniosłem dumnie głowę i odwróciłem się do widzów.

- No i jak?

- No, koleś, aleś zasunął - powiedział miejscowy szef, a potem się uśmiechnął. - Ale coś mi się zdaje, żeś jednego nie wziął pod uwagę - wsłuchał się w tupot nóg na korytarzu. - Tego, co się zaraz stanie.

Uśmiechnąłem się słodko.

- Wziąłem.

W tym momencie drzwi otworzyły się z hurgotem i do celi wpadło trzech milicjantów: dwóch bydlunów, którzy stali przed wejściem i trzeci, trochę mniejszy. Jeden z bydlunów miał mundur mokry na piersi, widocznie splukiwał kaszę. Wyglądał, że tak powiem, na zagniewanego. Od razu skuliłem się wystraszony i popatrzyłem na całą trójkę niewinnymi oczami.

- Wujku milicjancie, wujku milicjancie! - zatrajkotałem. - Przepraszam, przepraszam! Oni przypadkiem wujka trafili, słowo honoru! Chcieli rzucić we mnie i dlatego...

„Wujek milicjant” rozdrażniony odepchnął mnie w kąt.

- Spadaj, mały! Nie pchaj się pod ręce, bo jeszcze i ty oberwiesz...

Skuliłem się w kącie i zamknąłem oczy. Nie ze

strachu oczywiście, po prostu nie miałem ochoty patrzeć na to, co się zaraz stanie. Nie lubię patrzeć na bójki. Jak się nie ma rozumu, to się używa pięści, a po co patrzeć na ubogich duchem? Wystarczyło mi, że słyszałem łoskot, ciosy, przekleństwa, jęki i prośby. A także zapewnienia, że oni nie mają z tym nic wspólnego. Pewnie, że nie mają. Jeszcze by tego brakowało, żeby mieli. Żeby mieć z tym coś wspólnego, trzeba by posiadać odrobinę mózgu...

Niedługo potem wszystko ucichło. Trzasnęły drzwi. Dopiero wtedy otworzyłem jedno oko i popatrzyłem na pole bitwy. Cała trójka leżała na podłodze w różnych pozach. Jęczeli. Zdaje się, że przez najbliższe dwa dni poruszanie się będzie dla nich pewnym problemem.

Wstałem i rozejrzałem się uważniej, a potem podszedłem do szefa i usiadłem obok niego. Ten z trudem otworzył zapuchnięte oczy.

- Zabiję... - wycharczał.

A ja pogładziłem go czule po głowie i zagruchałem:

- Nie uda się, tatułku, nie uda.

- Znajdę i zabiję - wychrypiał znowu.

- Znajdziesz - obiecałem. - Na pewno znajdziesz.

Jeszcze się spotkamy... za jakieś trzydzieści lat. Chociaż, biorąc pod uwagę specyfikę twojego zawodu, możemy się spotkać znacznie, znacznie wcześniej...

- Ktoś ty? - rozległo się chrypienie z drugiej strony.

- Diabeł, miły człowieku, diabeł - odpowiedziałem czule. - Nie wierzysz? I nie trzeba. Odpoczywaj, tatułku, musisz teraz leżeć...

Zostawiłem w spokoju szefa - idiotę i położyłem się

na tej pryczy, którą przedtem zajmował właśnie on. Ułożyłem się wygodnie i zasnąłem. Jak dobrze... W końcu diabły też potrzebują odpoczynku...

Przespałem całą noc. Zdaje się, że Leonid Arkadijewicz nie miał do mnie głowy, bo w celi pojawił się dopiero rano. Otworzył drzwi ze złośliwym uśmiechem na ustach i zastygł na progu. Szczeka mu opadła. Przez jakiś czas przyglądał się pobitym kryminalistom na podłodze, a potem spojrzał na mnie. Ziewnąłem słodko, przeciągnąłem się i wstałem.

- A, cześć, Lonia. Przyjemnie tu u was. Pospałbym jeszcze trochę, ale przecież nie dasz...

- Jak... kto... co...

- Ee, Lonia, mógłbyś powtórzyć? Nie bardzo zrozumiałem, o co pytasz - powiedziałem, patrząc grzecznie na milicjanta.

- Co tu się dzieje?! - ryknął w końcu.

- Gdzie? A, tutaj? A nic. Tylko wujaszkwie się do mnie przyczepili... Nie wspominałem, że mam czarny pas we wschodniej sztuce walki „dajmuwryj”? No generalnie, przyczepili się do mnie, a jak ja im dałem!... Jednemu nogą, drugiemu ręką... potem jeszcze trzeci spadł na mnie od tyłu, a ja jak się nie odwinę! Wtedy tamtych dwóch się zerwało...

- Zamknij się!

- No nie - rzekłem obrażony. - To opowiadaj, to się zamknij... Nie dogodzisz.

Gdyby ten cały Lońka miał olej w głowie, to teraz właśnie by mu się zagotował, a z uszu zaczęłyby walić para. Niestety, z braku smarowidła dla rozumu zostałem

pozbawiony tak wspaniałego widowiska. Doprowadzony do ostateczności Lonia złapał mnie za rękę i wyciągnął z celi. Dla formalności zapierałem się trochę, ale milicjant chyba nie był w nastroju, szarpnął mnie z całej siły, wyrzucając na korytarz. Oj, nieładnie, nieładnie... Odbiłem się nogami od podłogi, uprzednio łapiąc Lonie za rękę i wypadliśmy razem, z tym, że ja znalazłem się za milicjantem, wbijając go w ścianę.

- Ach, ty!... - wściekł się.

Co mu jest? Chyba wstał dzisiaj lewą nogą... Spojrzałem na niego uważnie. Nie, inaczej, chyba w ogóle się dziś nie kładł! Teraz zrozumiałem jego nastrój... Zmęczony, niewyspany, szedł po mnie, pewien, że kryminaliści nauczyli mnie już rozumu. A co zastał? Trzech byczków leży na podłodze ze śladami pobicia, a ja spokojnie śpię sobie na pryczy. Każdy by się wściekł. W dodatku zacząłem jeszcze stawiać opór...

Leonid Arkadijewicz odepchnął mnie i zupełnie już zamroczony złością, zamachnął się. Ha, z kim on chce walczyć takim gniewem? Z diabłem?! Z rozkoszą wchłonałem jego uczucia, wzmocniłem je i odesłałem. Leonid zaczął krzyczeć, a jego dłoń zwiśla bezwładnie.

- To, to. - Pokiwałem głową. - Pokrzyucz sobie, pokrzyucz. Myślę, że będzie ci miło doświadczyć tego, co fundowałeś innym ludziom.

Jednak Lonia okazał się twardym orzechem do zgryzienia. Może nie był zbyt mądry, ale jakimś zwierzęcym instynktem poczuł, kto jest winien jego cierpienie, znów się poderwał i zaatakował na oślep. Zaskoczył mnie!

Naprawdę mnie zaskoczył! Gdyby było inaczej, za nic nie powtórzyłbym tamtej sztuczki z kowadłem! Co za wstyd! Powtórzyć ten sam trick w tak krótkim czasie! Dobrze chociaż, że nikt nie widział... Leonid znowu wrzasnął, tym razem z bólu. Złamał rękę.

Skrzywiłem się; ten krzyk był świadectwem mojej hańby. No nic, najwyższy czas się stąd wynosić. Odpocząłem sobie i wystarczy, pora wracać do pracy. Odwróciłem się i twardym krokiem poszedłem do wyjścia. W samą porę, obok mnie załomotały buciorzy dwóch milicjantów zaalarmowanych krzykiem szanownego Leonida.

Wyszedłem z westybulu i podszedłem do dyżurnego. Skinąłem mu grzecznie głową.

- Hej, chłopcze, a ty skąd się tu wzięłeś? - osłupiał milicjant.

- A tak, spaceruję sobie.

- Jak to spacerujesz?

Wzruszyłem ramionami.

- A jak się zwykle spaceruje? Na nogach. To wejście od tyłu jest otwarte, zajrzałem i pomyślałem sobie, że zobaczę jak wygląda w środku. Wujku... - przeszedłem na szept. - Chciałbym w przyszłości zostać milicjantem. Może by mi wujek wszystko tutaj pokazał?

- Że co?! Mały, zjeżdżaj stąd, bo zadzwonię do rodziców.

Nadałem się.

- Zawsze to samo! A może jednak wujek zmieni zdanie? Gdzie macie laboratorium? Daktyloskopia i takie inne rzeczy? To przecież niezwykle ciekawe!

Dyżurny wyskoczył z za kontuaru i niemal siłą pociągnął mnie do wyjścia.

- Wujku, proszę!!! To co, przejdziemy się? Pokaże mi wujek więzienie? Wujku, a wie wujek, że tak naprawdę to ja uciekłem z celi? Wujkowi się dostanie, jak mnie wujek stąd wyprowadzi!

- Aha, akurat! - zawołał zgryźliwie dyżurny, wypychając mnie za drzwi. - Marsz mi stąd i żebym cię tu więcej nie widział!

Skinałem głową.

- Skoro tak wujkowi zależy, to więcej mnie wujek nie zobaczy...

Przez kilka sekund stałem przed zamkniętymi drzwiami, a na mojej twarzy pojawił się szeroki uśmiech. Ludzie! Jak łatwo można ich okpić! W tym momencie w komisariacie podniósł się szum; szybko narzuciłem iluzję i zszedłem na bok. Zza drzwi wyskoczył Leonid, przytrzymując złamaną rękę, za nim dreptał dyżurny.

- Gdzie on jest?! - darł się Lonia. - Gdzie jest ten gówniarz?!

- Skąd mogłem wiedzieć, że on jest z tobą?! - usprawiedliwiał się gorączkowo dyżurny. - Sam go puściłeś, a teraz moja wina!

- Sam? Sam puściłem? A to widziałeś?! - Leonid podsunął dyżurnemu rękę. - Ty byś nie puścił?

- A co ja mam do tego? Skąd mogłem wiedzieć?

Leonid splunął.

- I gdzie go teraz szukać?

Dyżurny tylko wzruszył ramionami, a potem

odwrócił się i wszedł do komisariatu.

- A tak w ogóle, chłopak to nie nasza działka. Niech się nim zajmą ci z izby dziecka. Co nas to obchodzi?

Mógłbym mu wyjaśnić, ale obawiam się, że by mi nie uwierzył. Zawsze to samo. Jak kłamiesz, to ci wierzą, a jak zaczynasz mówić prawdę, zaraz krzyczą, że zmyślasz. No i dobra, najważniejsze, że udało mi się zneutralizować dwie „wtyki” nieznanego mi szefa. Teraz nie będzie już z nich pożytku. Rzecz jasna diabły nie powinny działać wprost... Można powiedzieć, że pracowałem na granicy... Podejrzewam, że jak wrócę do piekła, dyrektor będzie miał wiele do powiedzenia na temat moich obecnych poczynań... Oczywiście, jeśli przegram. Bo jeśli wygram... Zwycięzców się nie sądzi. Zatem muszę zwyciężyć.

Już miałem sobie pójść, ale w tym momencie z komisariatu wyskoczył Lonia. Złamaną rękę przyciskał do piersi, a drugą, zdrową, wybierał numer w komórce.

- Lonia! - wyskoczył dyżurny. - Dokąd? Wezwałem pogotowie!

Leonid machnął ręką.

- Zaraz, tylko zadzwonię... żeby się w domu nie martwili.

Dyżurny wzruszył ramionami. Oczywiście, nie rozumiał, po co wyskakiwać na ulicę, skoro można zadzwonić ze służbowego, ale rozsądnie się nie kłócił. Lonia już coś mówił do telefonu.

Wytężyłem słuch.

- Ale to nie moja wina! - tłumaczył komuś, wyraźnie przestraszony.

Jeszcze bardziej podkreściłem słuch.

- Gwiżdżę na to, czyja to wina - usłyszałem spokojny i pewny siebie głos jakiegoś mężczyzny. - Wiem jedno - nie poradziście sobie. Zadanie dostaliście we dwóch i nie wykonaliście go. Obaj jesteście winni.

- Ależ Pawle Konstantinowiczu...

- Koniec, nie mam nic więcej do powiedzenia. Wasze tłumaczenia mnie nie interesują.

W słuchawce rozległ się urywany sygnał; Lonia trzęsącą się ręką wyłączył komórkę i wcisnął ją do kieszeni.

- Lonia, no co ty? - Podszedł do niego jakiś inny milicjant i położył mu rękę na ramieniu. Leonid podskoczył przerażony i odwrócił się. Gdy zobaczył kolegę, przestraszona zastąpiła wściekłość.

- Odwal się! Ciebie mi tylko brakowało! Oszołomiony funkcjonariusz odprowadził Lonię zdumionym wzrokiem, a potem poszedł za nim na komisariat.

Zaśmiałem się. Cudownie! W dodatku poznałem imię mitycznego Bossa! Człowiek o tak spokojnym i pewnym siebie głosie nie mógł być pionkiem. A jeśli nawet się mylę i Paweł Konstantinowicz nie jest szefem, to w każdym razie musi przebywać w jego bliskim otoczeniu. A właściwie, po co ja się bawię w zgadywanki? Wyjąłem notes... Jak wrócę do domu, będę musiał podziękować wujkowi za ten prezent. Co bym bez tego zrobił?

Moje przypuszczenia zostały potwierdzone: Paweł Konstantinowicz był szefem. Podsumujmy: w ciągu



jednej doby nieźle się zabawiłem, zneutralizowałem dwóch ludzi Bossa i poznałem imię jego samego. No i jeszcze uratowałem Aloszę. Tymczasowo oczywiście, ale uratowałem. A, jest również minus - dwa razy powtórzyłem ten sam numer. Wstyd, wstyd!

Dobrze, wstydzić się będę później, teraz muszę odnaleźć mojego podopiecznego. Pogwizdując wesoło, ruszyłem na poszukiwania. Byłem prawie pewny, że chłopak jest w domu malarza - no bo gdzieżby indziej? Do swojego mieszkania Alosza nie poszedł na pewno.

Słowo daję, że chciałem od razu dołączyć do Alony i to naprawdę nie moja wina, że natknąłem się po drodze na obrzydłe mi już towarzystwo początkujących złodziejasków i szulerów. Tym razem było ich tylko trzech. Sam przywódca (ciekawe, jak on ma na imię? Zresztą, nie, w sumie zupełnie mnie to nie interesowało, dla mnie i tak pozostanie Nicponiem) i dwóch jego wiernych strażników... Powiedziałem strażników? Hmm... ci strażnicy sięgali swojemu wodzowi najwyżej do ramienia. Czyli dwa pionki i jeden Nicpoń. Nicpoń mnie rozpoznał.

- Aaa! - powiedział.

- Bee - odparłem, usiłując ominąć towarzystwo. Zagrodzili mi drogę.

- No i co, Graczu? Znów się spotykamy? - zapytał drwiąco Nicpoń. - Nie ukryjesz się przed nami.

Uniosłem brew.

- Przepraszam? Czy ja się przed kimś ukrywałem? Jeśli mnie szukaliście, wystarczyło zapytać Aleksieja, on zawsze wie, gdzie jestem.

- Nie rób z siebie hrabiego! - wkurzył się Nicpoń. Widocznie w jego świecie określenie „hrabia” było straszną obelgą. - Lepiej oddaj pieniądze!

- Znów to samo? Myślałem, że tę kwestię już omówiliśmy.

- O nie! - uśmiechnął się złośliwie ten przerośnięty bałwan. - Tym razem mnie nie oszukasz! Poprytałem tu o ciebie, nikt cię nie zna! Nikt!

- Znasz wszystkich zawodowych graczy w mieście? - uśmiechnąłem się. - I jesteś pewien, że wszystkich pytałeś?

- Zaraz sprawdzimy, kto za tobą stoi! - Chłopak chwycił mnie za koszulę i potrząsnął. Moje nogi oderwały się od ziemi, głowa latała na boki. Ale ma krzepę! Gdybyż jeszcze miał rozum...

- Dobra, dobra - powiedziałem szybko. - Jeśli tak bardzo chcecie wiedzieć, to nie ma sprawy.

Nicpoń przestał mną trząść, postawił mnie na ziemi, a potem pobłażliwie poklepał po policzku.

- Trzeba było tak od razu, szczyłu.

Ach, szczyłu? O, kochany, lepiej tak ze mną nie rozmawiać... Korzystniej się ze mną przyjaźnić, nie wojować... No cóż, wobec tego dostaniesz to, na co zasłużyłeś...

- Przecież widzicie, że nie mam przy sobie pieniędzy. Jak chcecie, to chodźcie ze mną, wszystko oddam.

- Pewnie, że chcemy - uśmiechnął się Nicpoń, obejmując mnie ramieniem. Pionki, nadal bez słowa, ustawiły się z tyłu. - Prowadź, Susaninie!

Susaninie? Chodzi mu o tego chłopca, który

wyprowadził oddział wroga na bagna? To jest myśl... Albo nie, innym razem. Teraz rzecz w tym, żeby ci idioci nie plątali mi się więcej pod nogami, mam dość ich widoku.

Wkrótce znaleźliśmy się pod blokiem Aloszy. Pewnym krokiem skierowałem się do znanego mi już wejścia na klatkę.

- Ej, ej, dokąd ty nas prowadzisz? - zapytał nieufnie przywódca.

- A jak myślisz, gdzie zostawiłem pieniądze?

Nicpoń rzucił mi podejrzliwe spojrzenie.

- Coś zbyt chętnie rozstajesz się z ta forszą... Czyś ty czasem nie wymyślił jakiegoś podstępu?

No proszę, domyślił się! Brawo!

- Aha! - przyznałem się z uśmiechem. - I to jeszcze jakiego!

Ręka chłopaka spoczęła na moim ramieniu.

- Uważaj... - powiedział groźnie.

Ciekawa rzecz, zupełnie nie bałem się jego grózb. Bałwan zgrywa twardziela, a potrafi tylko straszyć. Głupek! Naprawdę niebezpieczni ludzie nie grożą nigdy i nikomu. Wszystko, co chcą, osiągają bez uciekania się do takich metod. Tych, którzy dużo gadają, nikt się nie boi. Ich niekończące się pogróżki szybko tracą na wartości...

- Oj... - jęknąłem, gdy ten idiota mocno szturchnął mnie w bok, przerywając moje rozmyślenia. Potarłem bolące miejsce i rzuciłem całej trójce gniewne spojrzenie. Czekaście no, mafiosi...

Szczerze mówiąc, spodziewałem się, że ludzie Pawła

Konstantinowicza będą dyżurować w mieszkaniu Aloszy i przekażę w ich ręce tych młodych kontynuatorów dzieła włoskiej organizacji przestępczej, jednak okazało się, że mieszkanie jest puste. Drzwi były usłużnie otwarte, wyrwany „z korzeniami” zamek leżał z boku, ale w środku nikogo nie było. Widocznie chłopaki doszli do wniosku, że teraz już nikt się tutaj nie pojawi. Hm... Miałem wyższe mniemanie o Pawle Konstantinowiczu... Przecież Alosza nie wie, że w domu mógłby czekać na niego ktoś oprócz ojca. Poza tym, należało tu kogoś zostawić po prostu na wszelki wypadek! A może to była inicjatywa samych podwładnych? Najwyraźniej... No i co ja mam teraz zrobić? Będę musiał uciec się do wariantu awaryjnego. Na szczęście ci nedorobieni bandyci, oglądając wyłamane drzwi, dali mi wystarczająco dużo czasu na stworzenie tego wariantu.

- Po prostu ojciec Aloszy zgubił klucze - wyjaśniłem, wchodząc do środka. - Zaraz dam wam pieniądze.

Oczywiście, nie zczekali na mnie na klatce, tylko wpakowali się za mną. Ale ja już zdążyłem zrobić wszystko, co trzeba. Wyjąłem spod łóżka Aloszy niewielką torbę i wysypałem z niej mnóstwo pieniędzy.

- To ile byłem wam winien? Dwadzieścia tysięcy? Oj, ludzie, ludzie, jacy wy jesteście przewidywalni! Jak łatwo wami sterować! Pieniądze zupełnie zaćmiły rozum tym domorosłym mafiosom.

- Przez ten czas narosły procenty - uśmiechnął się krzywo Nicpoń, odsuwając mnie od forsy. - Bierzemy to w ramach odsetek. - I zaczął wkładać paczki

banknotów z powrotem to torby.

- Hej! - oburzyłem się. - Nie tak się umawialiśmy!

- Zamknij się!

- Oddawaj! - Rzuciłem się na niego z pięściami i oczywiście dostałem w nos.

Czego się nie robi dla sztuki... Oczywiście w ostatniej chwili zdołałem złagodzić cios, ale nie mogłem go zupełnie zablokować; kto by mi wtedy uwierzył, że nie chcę oddać pieniędzy? Pewnie, że chętnie obszedłbym się bez mordobicia: wzięliście, więc spadajcie, ale to by ich pewnie zdziwiło. No i biedny diabeł dostał w twarz. No i za co, ja się pytam, za co?!

Po kilku nieudanych próbach ochrony torby z pieniędzmi zostałem zamknięty w łazience i nie brałem już udziału w podziale łupów. Rozbój w biały dzień. Nie pozostało mi nic innego, jak łomotać pięściami w drzwi i krzyczeć, żeby mnie wypuścili; co też robiłem. Zamilkłem dopiero, gdy usłyszałem, jak winda z bandytami zjeżdża w dół. Przeszedłem przez zamknięte drzwi i pospieszyłem za nimi. Strasznie chciałem poobserwować konsekwencje mojego żartu...

## Rozdział 2

Stało się to, czego się spodziewałem: gdy duża suma trafi do rąk ludzi, łagodnie mówiąc, niezbyt mądrych, ci dostają lekkiego amoku. Zaczynają ich świerzbic ręce i po prostu muszą zacząć je wydawać. Jak to mówią: łatwo przyszło, łatwo poszło. Cała trójka udała się od razu do najbliższego sklepu, i to nie byle jakiego, lecz drogiego jak diabli.

„Zobacz, kupiłem sobie krawat za trzysta dolców!”

„Ty frajerze! W sklepie obok takie same można kupić za pięćset!”

Jednym słowem, wszystko jasne. Niewidoczny dla nikogo, obserwowałem, co moi mafiosi kupują. Każdy wziął sobie zegareczek i to nie jakiś tam, tylko złoty. Aha, pióro Parkera - rzecz absolutnie niezbędna dla młodocianego przestępcy. Kurde, czy oni kiedyś skończą?! Nareszcie...

Cała trójka niedbałym krokiem podeszła do kasy i Nicpoń królewskim gestem położył przed kasjerką kilka paczek banknotów. Kasjerka uśmiechnęła się czarująco... No dobra, jeśli tylko nie jest skończoną idiotką... Dziewczyna, bardzo ładna zresztą, nie przestając się uśmiechać, szybko liczyła banknoty. W pewnej chwili jej prawa ręka zniknęła pod ladą - tylko ja dostrzegłem, że nacisnęła tam jakiś guzik - i od razu wróciła do liczenia pieniędzy, jakby nigdy nic. Trzech bandziorków, zadowolonych jak lichy, już się cieszyło

na myśl, jakie miny zrobią ich kumple, gdy zobaczą całe to bogactwo. I takich właśnie rozradowanych nakryła ochrona sklepu. Przy kasie zjawilo się trzech potężnych facetów.

- O co chodzi, Lenoczka? - spytał grzecznie jeden z ochroniarzy.

Dziewczyna podała mu jeden banknot.

- Ci tutaj chcieli tym zapłacić. Nie wiem, co sobie myśleli, że wszyscy są takimi samymi idiotami jak oni?

Ochroniarz w milczeniu obrócił w rękę setkę i zwrócił się do zakłopotanej trójki.

- No, chłopaki, leżycie. Fałszowanie i rozprowadzanie fałszywych banknotów. Na kolorowej drukarce forszę drukowali i myśleli, że im się uda! - zwrócił się do kolegów - Kolorowej drukarce?! - zawołał jeden z trójki.

- O, poczekaj, Graczu! - wrzasnął Nicpoń.

A poczekam, poczekam, po co się tak drzeć? Patrząc na wyciągnięte twarze trójki młodych przestępców, roześmiałem się wesoło. Diabło udany dzień! Jak to mówią ludzie? Dobry uczynek dziś zrobiłem, sąsiadowi świnie podłożyłem! Zresztą, cała ta trójka sama wpakowała się w kłopoty, tak jak to zwykle robią ludzie. A potem wszystko zwała się na diabły. „Diabeł podszeptał...” Jasne, wziął i podszeptał! Człowiek czasem robi takie rzeczy, na które nie wpadłby żaden diabeł! A już ci tutaj naprawdę nie powinni mieć do nikogo pretensji. Sami są sobie winni. A ja... ja tylko pomogłem im uświadomić sobie winę...

- Jak spotkam kiedyś tego Gracza, to go zabiję -

wysyczał przywódca, gdy ochroniarze za chabety wyciągali go z sali.

- Po co czekać? - zapytałem uprzejmie. - Zapraszam!  
Nicpoń odwrócił się gwałtownie.

- To on! - zawył, pokazując mnie palcem. - On dał mi te pieniądze! Łapcie go!

Ochroniarz ciągnący Nicponia za kark spojrział w kąt, który wskazywał palcem mój podopieczny, a potem palnął Nicponia w kark.

- Idź spokojnie i nie pleć bzdur. Może jeszcze szczotkę oskarżysz, co?

- Mówię prawdę! Jaką szczotkę?... - W tym momencie całe towarzystwo skryło się na zapleczu.

No cóż, na jakiś czas mogę zapomnieć o tym narybku mafii - reszta szajki nie jest groźna bez swych przywódców. A dla tych tutaj będzie to dobra lekcja. Może coś wreszcie zrozumieją? Na przykład, że bandycki chleb wcale nie jest taki słodki, jakby się wydawało? I że więzienie pozbawione jest wszelkiej romantyki... No dobra, może nie zmądrzeją, ale w każdym razie dostali szansę...

Tak, wyjątkowo udany dzień... Co prawda, niektórzy mówią, że miłe złego początki... Zobaczymy. A teraz w drogę, do naszego drogiego malarza...

Spieszyłem się, ale podróżowanie bez ogona w świecie ludzi idzie jednak dość opornie. Normalnie tylko trzasnąłbym ogonem i już. Nie, ani słowa o ogonie! O, jak już będę pełnoletni... No nie, naprawdę, koniec i już ani słowa! Swoją drogą, jak ludzie radzą sobie bez skrzydeł i ogonów? Ta tak zwana



komunikacja miejska to w ogóle jakiś koszmar! Jechałem trolejbusem i cały czas żałowałem, że opowieści o czarcich rogach to tylko wymysły. Gdyby mi wystawało coś ostrego, to pewien cham nie opierałby się na mojej głowie. Widzicie go, nie ma się za co trzymać... Ale jak tylko sprawiłem, że zobaczył w moich włosach różne miłe żyjątka w rodzaju wszy i pluskiew, to natychmiast złapał się za coś innego. A jak się darł, jak tarł ręce o kurtkę! Wysadzili go więc na następnym przystanku jako niebezpiecznego dla otoczenia. Nawet nie protestował...

Lubię różne przygody, ale gdy robi się ich zbyt dużo... Krótko mówiąc, nie chcę mieć już dziś do czynienia z żadnymi przestępcami, chamami, chuliganami i innymi kandydatami do wypoczynku w piekielnym kurorcie. Alona, gdzie jesteś?!

Siedziała w domu naszego malarza Grigorija Iwanowicza i w zadumie przyglądała się śpiącemu chłopcu. Sam malarz siedział na krześle przy łóżku i również patrzył na Aloszę. Przeniknąłem do mieszkania, zerknąłem na ten obrazek, podrapałem się po karku, a potem uprzejmie odchrząknąłem. Alona odwróciła się.

- A, to ty - powiedziała obojętnie i znów przeniosła wzrok na chłopaka. - Gdzieżeś się włóczył?

- Ja się włóczyłem?! - obraziłem się. - A to mi się podoba! Ja tu tyram w pocie czoła, ratuję tego kandydata do piekła...

- Obejdiesz się - przerwała mi Alona tym samym obojętnym tonem, nawet się nie odwracając.

- Że co? Z czym się obejdę?

- Z kandydatem. Nie dostaniecie go. Znów podrapałem się po karku.

- Alona, czy ty czasem nie jesteś chora? Przecież żartowałem! Nie znasz się na żartach?!

- Kto cię tam wie.

Znów chciałem podrapać się po karku, ale znieruchomiałem. Przyjrzałem się wszystkim obecnym w pokoju... Grigorij Iwanowicz nadal siedział, wpatrzony w chłopca, nas oczywiście nie widział.

- Co tu się stało? - zapytałem.

- A nic. Jak odjechałeś z milicją, Alosza rzucił się do ucieczki, a ja przekonałam malarza, że chłopiec potrzebuje pomocy, powiedziałam, że nie ma dokąd pójść, generalnie przedstawiłam się jako koleżanka. Tak jak przewidywaliśmy, malarz pobiegł za chłopcem. Alosza płakał w jakiejś bramie...

- Mam nadzieję, że on nie tego?... - zrobiłem wymowny gest, jakby owijał sobie szyję linką.

- Nie. Chociaż kto wie, co by się stało, gdybyśmy przyszli później... - I wtedy apatia Alony minęła jak ręką odjął. Odwróciła się gwałtownie, chwyciła mnie za koszulę na piersi i zaczęła potrząsać. - Ty idioto nieszczęsny! Czy ty chociaż wiesz, w co wpakowałeś tego dzieciaka?!

- Hej, spokojnie. Nie wpakowałem, tylko wpakowaliśmy. Ty też brałaś w tym udział.

- A miałam wybór?!

- Wybór ma się zawsze.

- Jeszcze mi tu zacznij głosić takie hasła! - prychnęła

i puściła mnie.

Wygładziłem koszulę.

- Coś się tak wściekła?

- Też byś się wściekł. Nie widziałeś, co się tu działo. Grigorij Iwanowicz z trudem zdołał uspokoić Aleksieja. Przeprowadził go tu, dał mu do wypicia jakiś napar i chłopiec zasnął. Śpi już osiemnaście godzin, prawie dobę. Teraz jest spokojny, ale na początku rzucał się i mówił przez sen. O tobie też wspominał.

- Naprawdę? - ucieszyłem się. - A co mówił?

Alona zerknęła na mnie.

- Powtórzyć ci?

Zastanowiłem się.

- Nie, chyba nie. Właśnie to przemyślałem i jednak nie chcę wiedzieć.

- Słusznie.

- A co tam nasz malarz?

- A co ma być? Czuwa. Usiadł tak, gdy Alosza zasnął i ciągle siedzi. Boi się odejść choć na chwilę.

- Żelazny człowiek.

- Nie. Po prostu człowiek. Najzwykleszy.

- No, ale chyba powinien trochę pomyśleć o sobie...

- Być może. Jednak nie wtedy, gdy dzieciak krzyczy przez sen, że i tak się zabije. Boże mój, Ezergil, nie masz pojęcia, co tu się działo!

- Ee... - zjeżyłem się. - Alona, bądź tak miła i nie wymawiaj Jego imienia w mojej obecności, dobrze? Jak mówi to anioł, to robi się bardzo nieprzyjemnie. I zdaje się, że wy też nie powinniście wymawiać imienia Jego nadaremno?

- Przepraszam. Przy tych ludziach zaczyna się mówić takie rzeczy...

Objęła rękami swoje ramiona i zgarbiła się.

- Boję się - powiedziała nagle. - Ezergil, cała ta sprawa już dawno przerosła nasze szkolne praktyki. Przecież teraz ważą się losy człowieka!

- I to niejednego - skinąłem głową. - Nie zapominaj o ojcu Aloszy. Myślisz, że ja się nie boję?

- A czemu miałbyś się bać? Dla ciebie to nawet lepiej, jeśli wszyscy trafią do piekła.

- Tak, znacznie lepiej - przyznałem. - Przegram zakład, zostanę na drugi rok...

- Ezergil! Czy możesz choć na chwilę przestać gadać tylko o sobie i pomyśleć o tym biednym dziecku?!

- Mogę. Ale kto wtedy będzie myślał o biednym mnie?

- Jesteś niepoprawny!

- Oczywiście.

W tym momencie Alosza poruszył się i otworzył oczy, przerywając tym samym naszą dyskusję. Alona od razu o mnie zapomniała, odwróciła się do niego, przymknęła powieki, a potem westchnęła ze smutkiem.

- Nie uspokoił się. Nadal jest w nim cały jego ból. Sen nie przyniósł ulgi... A taką miałam nadzieję...

- Po prostu jego ból jest zbyt wielki.

- Że też ty, diabeł, rozumiesz takie rzeczy...

- Oczywiście, że rozumiem. W przeciwieństwie do niektórych, aniele, regularnie uczęszczałem na lekcje...

Alona prychnęła, ale nic nie powiedziała.

Tymczasem chłopiec powoli wstał i spojrzał

przerażony na Grigorija Iwanowicza. Skulił się i cofnął, patrząc na mężczyznę z beznadzieją skazańca.

- Co z tobą, chłopcze? - zdumiał się malarz.

- Chce mnie pan... jak to się mówi... wykorzystać? - spytał Alosza.

Gdybym powiedział, że malarz był wstrząśnięty tym pytaniem, nie powiedziałbym nic. Zawsze myślałem, że zwrot „opadła mu szczeka” to metafora, okazało się jednak, że jest inaczej.

Grigorij Iwanowicz zamrugnął oczami i potrząsnął głową.

- Że co? - zapytał. - Że co chcę zrobić?

- No przecież chyba po coś przyprowadził mnie pan do swojego domu?

- Hmm... - Grigorij Iwanowicz pokręcił głową. - A jeśli powiem, że po prostu chciałem pomóc?

- To pan skłamię. Nikt nie chce mi pomóc. Wszyscy mnie tylko oszukują - chłopiec powiedział to z takim zmęczeniem, jakby był steranym życiem starcem, a nie dwunastolatkiem.

Alona spojrzała na mnie przestraszona.

- Ezergil, on teraz nikomu nie ufa!

- To zaufa - odpowiedziałem spokojnie. - Pozostaje mieć nadzieję, że nie pomyliliśmy się co do malarza.

- On nie będzie... nie robi tego, co powiedział Alosza!

- Rany, oczywiście, że nie. Chodzi o to, żeby wysłuchał chłopca i zrozumiał go, nie zlekceważył jego „głupstw”.

Patrzyliśmy wyczekująco na Grigorija Iwanowicza,

czekając na jego reakcję. Alona chwyciła mnie za rękę i ścisnęła mocno. Malarz przez kilka sekund spoglądał na chłopca, jakby się nad czymś zastanawiał.

- To co - powiedział w końcu - napijesz się herbaty?

- Herbaty? - spytał zaskoczony Aleksiej.

- No tak. Chyba jeszcze zostały mi jakieś cukierki... No, wstawaj, wstawaj... Starczy tego leżenia... A ja tymczasem nastawię wodę.

Grigorij Iwanowicz poszedł do kuchni, zabrzęczały naczynia. Alosza od razu zerwał się z łóżka, szybko włożył buty i popatrzył na wyjście. Zrobił krok... Alona już się do niego rwała, ale w porę złapałem ją za rękę.

- Dokąd?! On musi sam dokonać wyboru! To wyłącznie jego decyzja. Pamiętaj, co ci mówiłem o hermetycznym pokoju?

- Ale on wyjdzie...

- To będzie wybór jego i tylko jego. Niech się nauczy myśleć i działać samodzielnie. Jeśli nie posiadzie tej umiejętności teraz, to przez całe życie będzie zabawką w rękach różnych typów.

- Mówiąc o „różnych typach” masz na myśli również siebie? - zapytała zjadliwie, ale już nie próbowała zatrzymać Aloszy.

- Oczywiście.

Chłopiec tymczasem niepewnie podszedł do drzwi i wyjrzał do ogrodu. Już zmierzał do furtki, gdy zobaczył pracownię malarza. Zastygł. Nieśmiało zbliżył się do szklanej ściany i przykleił do niej nos.

- Podoba ci się? - Rogożew wyszedł na dwór z czajniczkiem w jednej ręce i cukiernicą w drugiej.

Postawił to wszystko na wkopanym w ziemię stoliku i stanął obok Aloszy. - Ale czemu stąd oglądasz? Wejdz do środka.

- Aa... można?

- Pewnie, że można. Zapraszam.

Alosza wszedł niepewnie do ciasnego pomieszczenia. Przelotnie zarejestrowałem, że wybitą przeze mnie szybę już zastąpiono dyktą.

Wtedy Alona kuksnęła mnie w bok i skinęła głową w stronę ogrodu. Odwróciłem się. Nad krzakami sterczała głowa Ksefona - nasz przyjaciel oglądał podwórko. Tylko jego mi tutaj brakowało... Chociaż?...

- Od dawna tutaj jest?

- Z sześć godzin. Nie wiem, po co tu sterczy.

- Ja też nie... Może próbuje wywęszyć, czego chcemy?

- Nie wydaje mi się, żeby nas widział.

- Widział, widział, możesz być pewna. Mnie bardziej interesuje, czy powiedział już ojcu Aloszy i kapłanowi, że znalazł chłopca, czy nie. Zdaje się, że im to obiecał.

- Jakie piękne! - dobiegło zza drzwi zaimprovizowanej pracowni.

Zajrzałem do środka. Alosza stał przed ogromnym obrazem, na którym widniała rzeka z płynącym po niej parostatkiem. Widok na rzekę roztaczał się z jakiegoś wysokiego miejsca, chyba ze skarpy, w dole była plaża, promienie słońca igrały na wodzie... Pejzaż dosłownie promieniował radością życia. Nie widziałem przedtem tego obrazu i teraz byłem wstrząśnięty nie mniej niż Aloszka. Za moimi plecami anielica zasapała z

zachwytu.

- I tego człowieka chciałeś zmusić do malowania samochodów? - zapytała Alona po kilku minutach absolutnej ciszy.

Pokręciłem głową.

- Gdybym wcześniej widział to dzieło, nie urządziłbym swojego głupiego przedstawienia.

- Pewnie musi pan być dobrym człowiekiem, skoro maluje pan takie obrazy - powiedział ze smutkiem Alosza, odchodząc od płótna.

Grigorij Iwanowicz zastygł wstrząśnięty, najwyraźniej spodziewał się innej oceny.

Chłopiec usiadł na brzeżku krzesła. Wziął do ręki postawioną przed nim filiżankę herbaty, obrócił, obejrzał pod światło.

- Chciałbym panu uwierzyć, i nie mogę - wyznał. - Tak bardzo nie chcę jeszcze raz się pomylić.

- Chłopcze, a może dobrze by ci zrobiło, gdybyś o wszystkim opowiedział? Może poczujesz ulgę?

- I tak mi pan nie uwierzy... - zauważył ze smutkiem. Upił łyk herbaty, skrzywił się, wrzucił do filiżanki dwie kostki cukru, pomieszał.

- A może jednak spróbujesz? Przecież widzę, że potrzebujesz pomocy.

- Nikt mi nie pomoże. Sprzedałem duszę diabłu - wyznał Alosza i zaszlochał. Wtedy nagle go poniosło. Zaczął opowiadać, wylewając cały ból, jaki nagromadził się w nim przez te dni. Grigorij Iwanowicz słuchał bardzo uważnie, ale nie wierzył. Widać było, że chce uwierzyć, żeby dodać chłopcu otuchy, ale po



prostu nie może! Alosza chyba to poczuł. Mówił coraz ciszej; nadzieja, dźwięcząca na początku w jego głosie, ustąpiła miejsca rozpacz.

- Ludzie stracili wiarę - skonstatowała Alona. - Zaczynają myśleć tam, gdzie trzeba po prostu wierzyć.

- Tak - powiedziałem ze smutkiem. - A ja bym jeszcze dodał, że zaczynają zdawać się na wiarę akurat wtedy, gdy nie zaszkodziłoby pomyśleć.

- I co my teraz zrobimy? Jeśli między Aloszą i malarzem nie pojawi się zaufanie, to nic już nie zdołamy zrobić...

W tym momencie spojrzałem na płot i uśmiechnąłem się.

- A jednak jest nadzieja...

- O czym mówisz? - spytała podejrzliwie.

- Nie uwierzysz.

- Powiedz!

- Pomoże nam Ksefon.

- O, w to faktycznie nie wierzę - prychnęła Alona.

W tym momencie furтка otworzyła się z trzaskiem i na podwórko wpadł ojciec Aloszy, a za nim kapłan. Jako ostatni wkroczył Ksefon z dumną miną zwycięzcy. Omal nie parsknąłem śmiechem, Alona też prychnęła. Jednak nie mieliśmy czasu go obserwować; na widok ojca Alosza zerwał się przerażony i schował za malarzem. Ten, nie rozumiejąc, co to za ludzie, ale widząc reakcję chłopca, wstał.

A postępowanie ojca Aloszy zdziwiło mnie... i ucieszyło. Nienaszew patrzył z bólem na przerażonego syna.

- Losza... - wyszeptał.

- Idź sobie! Nie dotykaj mnie!!!

- Co się tu dzieje? - Zmarszczył brwi Grigorij Iwanowicz.

- Spokojnie, proszę, ciszej... - odezwał się kapłan.

- Nigdzie z nim nie pójde!!!

- Cisza! - zawołał kapłan tak, że od razu robiło się cicho jak makiem zasiał.

Grigorij Iwanowicz zamarł z otwartymi ustami, widocznie chciał coś powiedzieć. Alosza zastygł za jego plecami. Zgarbiony Wiktor Nikołajewicz cofnął się i tylko Ksefon nadal z uśmiechem kręcił głową, niczym widz przyglądający się artystom na scenie.

- Rozumiem, że musimy wyjaśnić sytuację - powiedział kapłan już normalnym tonem. - W przeciwnym razie grozi nam małe nieporozumienie, a małe nieporozumienia często prowadzą do wielkich nieszczęść.

Złote słowa! Ludzie powinni wbić je sobie do głowy, wtedy uniknęliby wielu błędów.

- Ja również sędzę, że powinniście się panowie wytłumaczyć - zauważył chłodno Grigorij Iwanowicz. - Widzę, że chłopiec was zna i raczej nie cieszy się z waszego przybycia.

- To ojciec Aloszy, Wiktor Nikołajewicz Nienaszew - dokonał prezentacji kapłan.

- Ach tak... - powiedział powoli Rogożew, teraz już inaczej patrząc na stojącego przed nim mężczyznę. - Teraz rozumiem. Alosza trochę mi o panu opowiadał.

Nie trzeba być jasnowidzem, żeby zrozumieć, iż

opowieści Aloszy były niezbyt pochlebne. Gdy Rogożew podszedł, Wiktor Nienaszew chciał się cofnąć, ale nie zdążył, mocne dłonie chwyciły go za klapy marynarki. Ojciec Aloszy nawet się nie bronił, tylko zamknął oczy.

- Wiktor Nikołajewicz bez wątpienia zasłużył na karę - powiedział spokojnie kapłan - ale chciałbym zauważyć, że jeśli go pan teraz pobije, absolutnie nie pomoże to dziecku.

- Kim pan jest? - spytał go Rogożew nieprzyjaźnie.

- O, bardzo przepraszam: ojciec Fiodor, kapłan. Myślę, że w tej sytuacji mogę się przydać.

- Pop - skrzywił się pogardliwie Alosza.

- Hm, skąd w tak młodym wieku taki stosunek do duchownych? - zapytał ojciec Fiodor.

- A stąd - odburknął Alosza.

- A, to sporo wyjaśnia.

- A pewnie. - Alosza już się uspokoił i teraz patrzył na wszystkich wilkiem. - Wcale nie chcę z panem rozmawiać! W ogóle nie chcę z nikim rozmawiać!

- Aleś ty głupi - wtrącił się Ksefon. - Lepiej się zamknij i słuchaj. Jeśli chcesz się uwolnić od Ezergila, to, dobrze ci radzę, posłuchaj tych ludzi.

- Od ciebie też się chcę uwolnić! Od was wszystkich! Coście się do mnie przyczepili?!

Alosza zerwał się z miejsca i pobiegł do furtki, ale Ksefon w samą porę podstawił mu nogę. No i czyż on nie jest tylko drobnym biesem?!

- Chłopak i tak sobie pójdzie - westchnęła Alona.

- Zgadza się. Dlatego musimy odkryć pewne karty.

- Co masz na myśli? - Spojrzała na mnie czujnie.

Popatrzyłem na nią uczciwymi oczami.

- Żadnych świństw, słowo honoru! No, najwyżej wobec Ksefona! Tu chyba nie masz nic przeciwko?

- Tu nie mam.

- W takim razie wychodzimy za furtkę, zdejmujemy iluzję i wchodzimy znowu. Do dzieła, szybko, bo zaraz zaczną się bić.

Rzeczywiście, bójka wisiała na włosku. Alosza wstał, otrzepał się i sądząc z jego miny, było mu już wszystko jedno, na kogo się rzuci: na mafię, milicję czy diabła. Aż mi się zrobiło żal Ksefona.

Czym prędzej wyciągnąłem Alonę na ulicę, ale tam czekała nas niespodzianka. Zupełnie zapomniałem, że malarz mieszka w dzielnicy prywatnych domków, gdzie wszyscy wszystkich znają i pojawienie się trójki obcych nie mogło zostać niezauważone. Niektórzy sąsiedzi już zerkali na furtkę. Przypomniałem sobie, jak szybko przybiegli na pomoc Grigorijowi Iwanowiczowi, gdy udawałem „chrzestnego synka” i tylko pokręciłem głową. Sąsiedzi, sąsiedzi... Mogą być przekleństwem albo zbawieniem. Grigorij Iwanowicz miał szczęście, ale my nie. Musieliśmy odejść nieco dalej i schować się za drzewami, dopiero tam mogliśmy się ujawnić.

- Spieszmy się - powiedziałem. - Obawiam się, że zaraz wydarzy się tam coś nieodwracalnego.

- Po twoim Ksefonie można się wszystkiego spodziewać - przyznała Alona.

- Taki on mój, jak i twój - odgryzłem się.

- Nieważne... Ze świecą szukać drugiego takiego

bałwana.

Jednak w tej chwili Ksefon interesował mnie najmniej. Całą moją uwagę skupił mały puszysty kotek, który wyłonił się spod jakichś skrzynek. Zdaje się, kiedyś był domowym kociakiem, a potem albo go wyrzucono, albo sam uciekł. Podbiegłem do niego i złapałem, nim zdążył umknąć. Kociak zasyczał i próbował mnie podrapać, ale od razu wcisnąłem go w rękę Alony. Zwierzak z miejsca się uspokoił i nawet zamruczał. A to drań! Dlaczego zwierzęta tak nie lubią diabłów?

- Co to? - spytała Alona, odsuwając od siebie kotka i wykręcając twarz. No, faktycznie, puchaty kłębek pachniał dość intensywnie i to wcale nie perfumami.

- Kotek.

- To widzę - wycedziła Alona. - A po co mi go dałeś?

- Będzie nam potrzebny. Na razie go schowaj.

- A niby gdzie?

- Wsuń za pazuchę.

Spojrzała na mnie wzrokiem mordercy.

- Doszczętnie zgłupiałeś? A zapach? Odwróciłem się do niej gniewnie. Te dziewczyny!

To im nie pasuje, tamto im nie pasuje...

- To zatkaj nos! - warknąłem i od razu tego pożałowałem. Myślałem, że Alona zabije mnie na miejscu. Miałem szczęście, że jest aniołem, ograniczyła się tylko do kopniaka.

- No przepraszam! Przepraszam! - powiedziałem szybko, skacząc na jednej nodze i pocierając drugą. - Musimy się spieszyć! A kotka zatrzymaj.

Alona popatrzyła na mnie uważnie, potem w milczeniu skinęła głową i podeszła do furtki. Patrzyłem na nią przez kilka sekund. To ma być anioł? No, wujaszku! Widzieliście kiedyś anioła, który kopie jak diabeł? Powinna cierpliwie i łagodnie znosić moje docinki i złośliwostki, kopniaki to moja domena! A tu co? Ładna mi cierpliwość i łagodność! To ja muszę być cierpliwy i łagodny, jeśli nie chcę oberwać! Zresztą, właśnie dlatego ta dziewczyna tak mi się spodobała... Ale wujkowi i tak wypomnę! Rachunek, jaki mu wystawię - za tę praktykę, pomocnicę i wiele innych rzeczy - będzie astronomicznej wielkości...

Westchnąłem i zacząłem doganiać naszego aniołka. Alona tymczasem podeszła do furtki i teraz na mnie czekała. Kotek spokojnie drzemał na jej ręku. Zauważyłem, że zdążyła go już wyczyścić jakimś swoim sposobem. Jeśli chodzi o pomaganie innym, nikt nie przebije anioła. Jedno skinienie ręki i kotek jest czysty, umyty, niemal wyprasowany. Ulicznik i rozrabiaka zmienia się nie do poznania.

- Długo jeszcze będziesz mi się przyglądał? - zapytała złośliwie Alona. - Ktoś tu mówił, że mamy się spieszyć.

Chyba się zaczerwieniłem; na wszelki wypadek odwróciłem głowę, udając, że przyglądam się sąsiadom.

- Po prostu oceniam sytuację - powiedziałem tonem, którym zwykle dowódca zwraca się do swoich wojsk przed decydującą bitwą.

Alona zerknęła na mnie, ale moje ostatnie zdanie pozostawiła bez komentarza. Spytała tylko:

- Jesteś pewien, że powinniśmy zjawić się razem?

Dla Aloszy to może być sygnał, że został oszukany, a już prawie zaczął mi ufać.

- Wszystko w porządku, uwierz mi. Zagramy w starą ludzką grę: dobry i zły. Myślę, że nie będziemy ciągnąć losów, komu przypadnie jaka rola?

- I ja tak myślę - mruknęła Alona.

- Cieszę się, że się ze mną zgadzasz. Przekonasz się, jak świetnie potrafię udawać anioła... To żart! - zawołałem, nim Alona znalazła coś ciężkiego, czym mogłaby we mnie rzucić. Czasem naprawdę zaczynam się zastanawiać, które z nas jest diabłem, a które aniołem.

Zjawiliśmy się w samą porę. Na podwórku zdążyła już wybuchnąć niewielka wojna. Alosza startował z pięściami do Ksefona, który w dodatku specjalnie go drażnił. Grigorij Iwanowicz próbował powstrzymać chłopca, a ojciec Aloszy chciał pomóc synowi, ale chłopiec uciekał przed nim, jak diabeł przed kadzi... ee, tak właściwie to diabły wcale nie uciekają przed kadzidłem, po prostu zapach nam się nie podoba. No, jednym słowem uciekał. Kapłan próbował wszystkich pogodzić, ale Ksefon, który swoimi żartami i drażnieniem niwelował jego wysiłki, zaczynał go powoli wkurzać. Jeszcze chwila, a malarz będzie musiał powstrzymać ich obu.

Stanęliśmy z anielicą naprzeciw pola bitwy i popatrzyliśmy na siebie.

- Jesteś pewna, że ludzie są w stanie sami rozwiązywać swoje problemy? - zapytałem.

- Trzeba po prostu wierzyć... - Jednak w jej głosie nie

było zbyt wiele wiary. - Przypominam, że to ty nalegałeś, by im na to pozwolić.

- Zgadza się. Ale wiesz, gdy teraz na nich patrzę, to pomysł z hermetycznym pokojem i spełnianiem wszystkich pragnień nie wydaje mi się już taki głupi.

Alona prychnęła. Odwróciła się ode mnie i dość głośno chrząknęła, ściągając na siebie uwagę ludzi. Na podwórku zapanowała cisza, teraz oczy wszystkich były zwrócone w naszą stronę.

- Kogo tam znowu przyniosło? - usłyszałem mamrotanie Grigorija Iwanowicza.

- Bawicie się? - zapytałem z uprzejmym uśmiechem. Uśmiech diabła to coś więcej niż zwykły grymas. Może sprawić, że rozmówca albo zacznie trząść się ze strachu, albo odpręży się, roześmieje lub speszy, zawstydzi i tak dalej. Rzecz w tym, żeby wiedzieć jak to robić. A ja trenowałem, i to intensywnie. Może właśnie dlatego nadal nie mogłem osiągnąć spodziewanego rezultatu. Teraz, widząc mój uśmiech, wszyscy tylko się skrzywili. Ech, jeszcze długie godziny treningu przede mną... ale przecież czasem mi wychodzi... Czym prędzej spowaźniałem.

- Dzień dobry - powiedziałem po prostu.

- Ezergil! - wrzasnął Ksefon. - A co to za dziewczucha?

Ksefon zawsze słynął z nienaganych manier... Ale instynkt samozachowawczy poważnie mu szwankował. W odróżnieniu od Alony, niemal nie zwróciłem uwagi na to pytanie.

- Losza, rozumiem, że potrzebujesz mojej pomocy? Wystarczy, że powiesz... Każde twoje pragnienie



zostanie spełnione.

- Odejdź - poprosił chłopiec tonem skazańca. - Dajcie mi wszyscy spokój.

- Niestety, nie mogę. Przecież zawarłeś ze mną umowę. Póki jej nie wykonam, sam nie odzyskam wolności.

- Chwileczkę - wtrącił się kapłan. - Rozumiem, że to ty jesteś tym Ezergilem, o którym opowiadał nam ten młody człowiek. - Ojciec Fiodor skinął głową na Ksefona.

Skłoniłem się.

- Hej! - odezwał się ojciec Aloszy. - To przecież ciebie ciągle widziałem!

Znow się skłoniłem.

Zaraz potem wtrącił się malarz.

- Czy mi się zdaje, koleżko, czy cię już gdzieś widziałem? - Zmarszczył czoło w zadumie.

- Może to panu pomoże? - Pstryknąłem palcami, otuliła mnie lekka mgiełka, a gdy się rozwiała, wszyscy mogli mnie podziwiać w stroju bogatego panicza, w którym odwiedziłem malarza.

- Więc to ty?! Ale... ale kim ty jesteś?!

Znowu się uśmiechnąłem - tym razem skutecznie.

- Diabłem. Ezergil, do usług.

Malarz wytrzeszczył oczy, a potem powoli opadł na krzesło.

- Albo ja śnię - wymamrotał - albo ty kłamiesz.

Znowu się uśmiechnąłem i na chwilę ukazałem tę moją postać, w jakiej ludzie zwykle wyobrażają sobie diabły, z rogami i kopytami.

- Zgiń, przepadnij... - wymamrotał kapłan, podnosząc rękę, żeby zrobić znak krzyża.

- No, no, no - szybko odzyskałem zwykły wygląd. - Bardzo bym prosił bez tych waszych sztuczek.

- Boże Wszechmogący... - wymruczał pop, ale rękę opuścił.

- Oczywiście, że wszechmogący - przyznałem - ale proszę mi wierzyć, diabły są znacznie roztropniejsze.

- Jak śmiesz?!

- Jak śmiem? Święty ojcie, czy jak tam się do pana zwracać, przecież jest pan mądrym człowiekiem! Zostawmy te dysputy różnym fanatykom religijnym, którzy raję i tak oglądać nie będą. Rozumiem, że chce pan uratować duszę pewnego chłopca. Rzecz jasna, ja nie chciałbym jej stracić. Więc może się dogadamy? Złoto czy władza?

- Nie! - Ojciec Fiodor odsunął się ode mnie przerażony.

- Nie? To może chciałby pan zostać patriarchą? Jak by to brzmiało: patriarcha Wszechrosji Fiodor!

- Nigdy!

- Naprawdę? Jest pan naiwny, sądząc, że nigdy nie było patriarchów należących do nas duszą i ciałem. Z niektórymi mógłbym pana poznać, po pańskiej śmierci, oczywiście.

- Ja nie jestem żadnym z nich!

- Widzę. Z Ksefonem, rzecz jasna, również związał się pan w imię pańskiej nieśmiertelnej duszy. Za co pana kupił?

Kapłan odskoczył od mojego kolegi z klasy i

popatrzył na niego przerażony.

- Bydlaku! - ryknął Ksefon, rzucając się na mnie. - Gwizdzę na duszę tego świętoszka! Niech ją sobie zatrzyma! Ty mi jesteś potrzebny!

- No i czemuś się do mnie przyczepił? - spytałem ze smutkiem, skrywając się za iluzją.

Ksefon przez kilka sekund biegał po ogrodzie, próbując mnie odszukać, a potem odwrócił się do Alony, która już podeszła do Aleksieja i teraz stała przy nim.

Wściekły diabeł przypomniał sobie, że przyszła ze mną.

- A ty coś za jedna? Bardzo jestem ciekaw, skąd żeś się tu wzięła? - Ruszył w jej stronę z nieprzyjemnym uśmiechem.

Alona wyprostowała się.

- Młody człowieku, jak śmiesz odzywać się w ten sposób do dziewczynki? - wmieszał się kapłan.

- Zamknij się, świętoszku!

- Taak...

Stanąłem za ojcem Fiodorem i zdążyłem go złapać za ramię, nim rzucił się, żeby bronić Alony. Drugą ręką powstrzymałem Nienaszewa.

- Zostawcie go. Niektórzy muszą uczyć się na własnych błędach. Biedak nie rozumiał jeszcze, z kim ma do czynienia, ale to nic, zaraz zrozumie. Ona nie potrzebuje waszej pomocy.

Kapłan zerknął na mnie z powątpiewaniem i w tym momencie Ksefon podszedł do anielicy, chwycił ją za rękę.

- Coś ty za jedna?! Popatrzyła na niego lodowato.

- Naprawdę chcesz wiedzieć? Dobrze...

Jej postać zapłonęła nieznośnie jasnym światłem, które otulało ją, rozplywając się powoli. Tam, gdzie spływało na ziemię, rozkwitały zwiędłe już kwiaty. Usłyszałem jakby dźwięk dzwoneczków, widziałem, jak wygładzały się twarze ludzi, jak znikał z nich strach i ból. Widziałem, z jakim zachwytem patrzył na lśniącą postać Alosza, z jakim podziwem spoglądał na nią Rogożew. Widziałem, jak zewsząd zaczęły zlatywać się ptaki, by przysiąść na rękach Alony...

W pewnym momencie Ksefon zaczął krzyczeć. Lśnienie anioła parzyło nawet mnie, choć stałem dość daleko. A co musiał czuć Ksefon? W dodatku biedak najwyraźniej nie mógł się ruszyć z miejsca!

Alona odwróciła się do niego.

- Nadal jesteś ciekaw, kim jestem?

Ksefon nie mógł odpowiedzieć, jedynie charczał. Wtedy lśnienie dotknęło mnie... Nigdy więcej nie chciałbym przeżyć czegoś podobnego! Poczułem się jakbym został obłany kwasem.

- Alona! - krzyknąłem ochryple. - Proszę... Odwróciła się do mnie i lśnienie od razu znikło.

Podbiegła i wyjąkała:

- Ojej, Ezergil, przepraszam, nie chciałam! Ale ten idiota tak mnie zdenerwował...

Chyba zamierzała coś jeszcze powiedzieć, ale nie wiem co, bo w tym momencie do akcji wkroczył Alosza. Podleciał do mnie ze słoikiem z wodą; skąd on ją wziął? Ach, no tak, z tamtej cerkwi! Nabrał jej, gdy ja

i Alona rozmawialiśmy z kapłanem... A może wcześniej? Nieważne. Rezolutny i obrotny chłopak, nie tracił czasu...

- I tak się od ciebie uwolnię!

Taaaak... zdaje się, że wpadłem. Nie zdążyłbym ani zniknąć, ani się schować, ale wtedy niespodziewanie dziewczyna zasłoniła mnie sobą i zawartość słoika wylądowała na niej. Czym prędzej odskoczyłem.

Alona gniewnie otrzepywała wodę, mamrocząc coś ze złością na temat głupich małolatów, którzy nie wiedzą, co robią i równie głupich diabłów, które nie potrafią się o siebie zatroszczyć. Stałem z boku, patrzyłem na nią i chichotałem. Przysięgam, że nie mogłem się powstrzymać!

Ksefon wstał z jękiem i popatrzył na mnie z nienawiścią.

- Więc to tak?! Sprzedałeś się skrzydlatym?! Postanowiłeś zostać aniołeczkiem! O, jak opowiem o tym w szkole!!!

- Strasznie się boję. - Wykrzywiłem się. - Aż się cały trzęsę. Tylko nie zapomnij opowiedzieć, jak stanąłeś do walki z aniołem i że wszedłeś w układy z ludzkim kapłanem, by przeszkodzić diabłu w wykonaniu zadania.

Ksefon tylko zgrzytnął zębami.

- Dobrze - powiedziałem - rozerwaliśmy się i wystarczy. Teraz porozmawiajmy poważnie. Jak sądzę, każdy ma tu swoje interesy, więc może pogadajmy o nich jak normalni ludzie?

- Zgoda. - Kapłan podszedł do mnie i serdecznie, a

przynajmniej tak miało to wyglądać, położył mi rękę na ramieniu.

Odwróciłem się do niego z uśmiechem.

- Przypomniał pan sobie, co się wtedy stało Ksefonowi? A ze mną nie wyszło, co? Ajajaj! A dlaczego? Otóż z powodu pychy, synu mój. Poczul się pan Mesjaszem, który gołymi rękami rozprawia się z Szatanem?

- Ja... - Kapłan zaczerwienił się i odsunął szybko.

Poczulem jego wstyd całym sobą.

- Och, ludzie, ludzie... - Pokręciłem głową. - Nijak nie możecie zrozumieć, że z nami nie walczy się symbolami, obrzędami czy innymi sztuczkami. Aby się uwolnić od diabła, należy go pokonać wewnątrz siebie. Wtedy żaden z nas nie będzie miał władzy nad wami. Wiara, oto wasza broń!

- Ja wierzę!

- W co? - westchnąłem. - W abstrakcyjną dobrą siłę? A powinien pan wierzyć w siebie, w siebie! W to, że może się pan wznieść do Niego, a nie w to, że On zniży się do pana. Pewnie, że ciężko wchodzić pod górę. Zresztą, po co się tak męczyć? Czy nie lepiej poleżeć sobie na trawce i pomarzyć? A On zejdzie do pana i zaprowadzi prosto do raju! Nie, tak się nie da! Trzeba się napracować, przede wszystkim nad sobą. I szczerze wierzyć. Szczerze, ale nie fanatycznie! Znam ja was, ludzi, wystarczy wam podsunąć jakąś ideę, a takich rzeczy nawyrabiacie... Waszych fanatyków nie dopuszczą nawet w pobliże nieba. Nie zobaczą ani raju chrześcijan, ani muzułmańskich hurys. Wiara jest dobra,

jednak nie wtedy, gdy całkowicie zastępuje rozum. Zawsze trzeba mieć głowę na karku, zawsze trzeba samemu myśleć.

Kapłan chciał zaprotestować, ale zamilkł i przyglądał mi się przez kilka chwil. Zastanawiał się. Słusznie, kochany, słusznie. Myśl! Jak sądzisz, po co się tak rozgadałem? Żeby mi język nie skołowaciał? Nie! Chcesz ratować chłopca? To najpierw posłuchaj mnie! Słuchaj i myśl! Przecież mówię jasno i wyraźnie, cóż począć...

- Ee... - odezwał się w końcu Grigorij Iwanowicz, który pod spojrzeniem Alony czuł się chyba bardzo nieswojo. - Może wejdziemy do domu i tam porozmawiamy?

Alona na pewno wyczuliła skrępowanie malarza, bo pierwsza weszła do środka. Przechodząc obok Grigorija Iwanowicza przystanąła i lekko musnęła jego dłoń.

- Jest pan dobrym człowiekiem. I pięknie pan maluje.

- Ja? Ale przecież ja do cerkwi...

Alona podniosła rękę.

- A czy to ważne? Czy Bóg jest w jakimś tam budynku? On mieszka w każdym z nas! W każdym człowieku, w każdym zwierzęciu i każdej roślinie. Wszystko wokół nas jest Nim! Wcale nie trzeba chodzić do cerkwi, żeby do Niego dążyć. Wszystko i tak zależy tylko od pana.

- A czy to jest prawidłowe?

- Co to znaczy „prawidłowe”? Jedni potrzebują przewodnika, inni idą sami.

- Ho, ho, jakie przemowy! Jeszcze zacznij różne

wasze pisma cytować. - Ksefon skrzywił się, przechodząc obok. Alona nawet nie zaszczyciła go spojrzeniem.

Za to Ksefon odwrócił się do niej, a ja od razu skorzystałem z okazji, skoncentrowałem się i umieściłem na środku ganku niewielkie koryto do góry dnem, do tej pory stojące z boku. W ten sposób powstał jakby jeszcze jeden schodek. Ksefon, zajęty drażnieniem Alony, nie zauważył tego i gdy poczuł przeszkodę, pomyślał, że to po prostu kolejny stopień. Stał na nim, wyprostował się... No cóż, koryto sprawiło, że stał się wyższy, a futryna pozostała na poprzedniej wysokości...

- Ezergil! - ryknął Ksefon, odwracając się do mnie.

- Co, Ezergil? - oburzyłem się. - Czego znów chcesz ode mnie? Jak tylko coś się stanie, od razu Ezergil! W szkole Ezergil, w domu Ezergil... Czy to moja wina, że nie patrzysz pod nogi?

Ksefon spojrzał na mnie gniewnie. Chyba nie uwierzył w moje usprawiedliwienia. Ciekawe, dlaczego? No dobrze, przyznaję, że faktycznie to zrobiłem, ale czy to ma być powód, żeby mi nie wierzyć?!

Widząc oszołomiony wzrok kapłana, mrugnąłem do niego i zniknąłem we wnętrzu domu, zręcznie mijając Ksefona, który wyraźnie przygotowywał jakieś świństwo. Widząc, że w tej chwili nic z tego nie będzie, zaklął przez zęby i pobiegł za mną.

Tak, chyba zaczyna się najciekawsza część. Strony pomyślnie oszukały siebie nawzajem. Zobaczymy, kto



kogo oszuka bardziej. Ech, życie jest piękne!

## Rozdział 3

W domu malarza Ksefon próbował zrewanżować się za koryto... Cóż, jak był nieukiem, tak nim pozostał. W gościach, w obecności anioła chciał podłożyć świnie temu, którego gospodarz zaprosił do swego domu - czy to nie idiota?! Rzecz jasna, świństwo wróciło do niego samego. Teraz zły, jak... ee... no, po prostu zły, siedział w fotelu i patrzył na mnie jednym okiem; z powodu potężnego siniaka drugim patrzeć nie mógł. Zdaje się, że ze wszystkich zebranych współczuła mu tylko Alona, ale ona się nie liczy, zawsze powtarzam, że anioły są stuknięte.

Dziewczyna usiadła obok mnie w fotelu i teraz głąskała śpiącego na jej kolanach kotka.

- Słuchaj - szepnęła - po co kazałeś mi tu przynieść tego kociaka?

- Ja?

- Ezergil!

- No, co? Jak tylko coś, zaraz Ezergil! Co to jest, napis na dropsach?

- Ezergil!!!

- Dobra, dobra. Ja już wszystko zrozumiałem. A ty jeszcze nie?

- Co miałam zrozumieć?

- Spójrz na Aloszę. On sam jest jak ten kotek, zagubiony i bezbronny, ale w każdej chwili gotów wysunąć pazurki. Podaruj mu to zwierzątko, niech się

nim zaopiekuje. Teraz bardzo potrzebuje takiej lekcji: troski o kogoś, kto cierpi jeszcze bardziej niż on. Może wtedy lepiej zrozumie ojca. Może nie będzie go tak surowo osądzał.

Alona patrzyła na mnie ze trzy minuty. Pochłonięci cichą rozmową nie zauważyliśmy, że wszyscy zgromadzeni uważnie nas obserwują.

- Słuchaj, a nie myślałeś o tym, żeby zostać aniołem?

- spytała w końcu. - Na pewno by ci się udało.

- Ja? Aniołem?! Nie ma mowy! W tym waszym raju po miesiącu umarłbym z nudów! Nie, nie, jako diabłu dobrze mi się powodzi.

- Ezergil!

- Znowu? Dobrze, sza! Kończ te gadkie, lalka, bo już się frajerzy zebrali, zara będziem im kity żenić...

- Ezergil!!! - teraz już na głos.

Zupełnie nie można z nią pożartować!

- Skończyliście? - zapytał złośliwie Ksefon. - Zakochana para!...

Alona zaczerwieniła się, ja chyba też. Kiedy już opuścę ten dom, Ksefon przestanie widzieć również na drugie oko.

- Skończyliśmy - odparłem. - A co, chcesz usiąść na moim miejscu?

Alona zrozumiała aluzję: uśmiechnęła się złowieszczo i na chwilę jej postać otoczyło znajome lśnienie. Ksefon cofnął się przerażony, mamrocząc pod nosem coś o panu Wikientiju i stukniętym diable. Pewnie mówił o sobie.

Rozsiadłem się wygodnie w fotelu i przymknąłem

oczy.

- Młody człowieku... - odchrząknął kapłan. Siedział na kanapie obok Wiktora Nikołajewicza. Alosza usiłował odsunąć się jak najdalej od ojca i w efekcie znalazł się obok oszołomionego malarza, który przysiadł na starym kufrze, mrugając oczami. Zdaje się, że na razie nie będzie z niego żadnego pożytku; to wszystko jest dla niego zbyt niespodziewane. Biedny... Może by tak zastosować terapię szokową? Zerknąłem na Alonę i pomyślałem, że ona by tego nie pochwaliła, a ponieważ swoją dezaprobatę mogła wyrazić w bardzo różny sposób, uznałem ryzyko za zbyt duże.

Zerknąłem na kapłana.

- Rozumiem, że „młody człowieku” odnosiło się do mnie? Niech i tak będzie, stary człowieku.

Kapłan sposepniał.

- Nie podoba mi się twój sposób zwracania się do mnie...

- A mnie się nie podoba twój, zwłaszcza że mógłbyś być moim prawnukiem. Nazywam się Ezerkil i myślę, że nietrudno to zapamiętać.

Kapłan uśmiechnął się i popatrzył na mnie twardo. Odpowiedziałem mu równie nieugiętym spojrzeniem.

- Nie przypominam sobie, żebym spotkał się z twoim imieniem w świętych księgach.

Uśmiechnąłem się.

- Jak na człowieka jestem stary, jak na diabła - młody, i to bardzo. Proszę się nie martwić, jeszcze pan o mnie usłyszy. Nie mam zamiaru pozostać anonimowy.

Ksefon prychnął, ale ani ja, ani ojciec Fiodor nie

zareagowaliśmy.

- Pycha, Ezergilu, to straszny grzech.

- O, naprawdę, po co te komplementy? Aż się spieszyłem... Ja tylko staram się odpowiadać wysokiej randze diabła.

Kapłan prychnął, odchylił się na oparcie kanapy i zerknął na Ksefona.

- Jesteś zupełnie inny, niż myślałem.

- Owszem, mnie również zdumiał wspaniały wykład pańskiego przyjaciela Ksefona.

- Podśluchiwałeś?! - zdenerwował się Ksefon.

- Oczywiście.

- O, czekaj ty!

- Czekam, czekam.

- Dość. - Wiktor Nikołajewicz niespodziewanie zerwał się z miejsca i ruszył w moją stronę. - Nie interesują mnie wasze porachunki! Interesuje mnie tylko mój syn! Diable, jak cię tam...

- „Jak cię tam” brzmi całkiem nieźle. Ale ja pańskie imię zapamiętałem, Wiktorze Nikołajewiczu.

Nienaszew spurpurowiał, widać nie przywykł, żeby diabeł zwracał mu uwagę. Hm, no tak, pewnie nie miał zbyt wielu okazji, by do tego przywyknąć...

- Dobrze, niech będzie Ezergil! Chcę odzyskać mojego syna...

- Miał pan na to dwanaście lat.

- Tak, wiem, niech to diabli wezmą!

- Wezmą na pewno.

- Aa... - Wiktor Nikołajewicz popatrzył na mnie stropiony. Cały jego zapał zniknął. - Czego ty chcesz?

Tylko powiedz! Chcesz, to weź moją duszę zamiast Aloszy!

- Dziękuję, ale nie. Pańska dusza i tak należy do mnie. Niech pan sobie przypomni żonę, którą pan zamordował.

- Nie... - jęknął Nienaszew, zasłaniając twarz, ale ja byłem bezlitosny.

- Niech pan sobie przypomni, jak katował pan syna w pijanym widzie!

Wstałem. Właściwie byłem najniższy z całego towarzystwa, ale myślę, że teraz wydawałem się wszystkim bardzo wysoki. Moje oczy płonęły mrocznym ogniem... W ogrodzie wszyscy ujrzeli anioła w pełnym blasku, teraz mogli zobaczyć diabła. W pokoju powiało chłodem, mówiłem, a moje słowa ciągnęły się jak dziegieć w gęstym powietrzu.

- Niech pan sobie przypomni, co było po pogrzebie! Niech pan sobie przypomni, jak nie wpuścił syna do domu, dlatego że, rzekomo, za późno wrócił, a w rzeczywistości po prostu bał się pan spojrzeć mu w oczy! Wiedział pan, że on zdaje sobie sprawę, dlaczego zmarła pańska żona! Niech pan sobie przypomni, jak karał pan syna za kradzież pieniędzy. Za kradzież, której nie było! Przepijał pan pieniądze, a potem oskarżał dziecko!

- On ukradł... wtedy...

- Próbuje się pan usprawiedliwiać? Przede mną? Szkoda zachodu. Ludzie nie lubią diabłów i teraz już wiem, dlaczego. Ponieważ jesteśmy sędziami i katami, i na domiar złego nie można nas przekupić. Nie można

nas ugłaskać. Wymierzamy sprawiedliwą karę i żaden adwokat nie może wnieść apelacji. Sam wydał pan na siebie wyrok. W tym życiu pozbawił się pan wszystkiego: ukochanej żony, syna i pracy. Od teraz pańskie życie to bramy i śmietniki. Odwrócił się pan od ludzi i teraz ich pogarda będzie pańskim jedynym towarzyszem. I tak aż do śmierci... A po śmierci znów się spotkamy, obiecuję to panu. I wtedy usłyszysz pan ostateczny wyrok, w oparciu o całe pańskie życie.

- Diable - powiedział poważnie, a nawet nieco uroczyście ojciec Fiodor. - Nie masz prawa determinować życia ludzi na ziemi. Nie możesz zaprzeczyć istnienia wolnej woli. I nie ty będziesz jego sędzią, tutaj. Tam tak, ale nie tutaj.

Uśmiechnąłem się do kapłana samymi wargami.

- Zgadza się. Ale czy sądzi pan, że spotka go inny los niż ten, który mu przepowiedziałem? Tak pan w niego wierzy?

Kapłan wstał.

- Wierzę! - powiedział twardo.

Otoczająca mnie ciemność drgnęła. Skłoniłem głowę.

- Pan wierzy, ale on nie. Po co on panu? Niech go pan zostawi!

- Każdy człowiek sam wybiera sobie swój los.

- On już wybrał.

- Dopóki człowiek oddycha, dopóty wszystko może się jeszcze zmienić.

Udałem, że się zastanawiam.

- To prawda. Ja nie dybię na duszę tego człowieka. Jego los należy do niego.

- A jego syn?

- Jego syn podpisał ze mną umowę. Nie ma pan nad nim władzy.

- Nie wierzę, żeby nie było jakiegoś sposobu!

Schowałem rękę za plecy i dałem rozpaczliwy znak Alonie: no, włącz się! Dziewczyna od razu zorientowała się, w czym rzecz i stanęła obok mnie.

- Nawet ja nie mogę tu nic zrobić - powiedziała smutno. - Alosza sam dokonał wyboru. Ale może go jeszcze zmienić wyłącznie on sam.

- Pięknie! - Skrzywiłem się, włączając się do gry „dobry - zły”. - Chcesz zerwać naszą umowę i wszystko im opowiedzieć? Zapraszam! Chłopcu pomożesz, ale jego matce już nie!

Alona nie stropiła się, może w szkole uczy się nie najlepiej, ale nie jest głupia!

- Tak. - Popatrzyła twardo na Aloszę. - Mogę powiedzieć, jak pokonać diabła w sobie. Woda święcona, którą mnie oblałeś, w niczym ci nie pomoże, nawet gdybyś się z nią nie rozstawał. Lecz jeśli teraz powiem, jak to zrobić, złamię umowę i twoja mama trafi do piekła. Jeśli nie znajdziesz sposobu sam, traficie tam oboje.

- A jeśli zwyciężę... poradzę sobie z diabłem? - spytał nieśmiało.

- Wtedy twoja mama znajdzie się w raju, obiecuję. A dokąd trafisz ty... to już będzie zależeć tylko od ciebie, masz całe życie na dokonanie wyboru. Ten pierwszy krok również należy do ciebie.

Alosza zastanawiał się, gryząc wargi. Ojciec Fiodor



chciał się wtrącić, ale odkrył, że nie może się odezwać. Alona rzuciła mu gniewne spojrzenie.

- To wybór chłopca, i tylko jego!

- Nie chcę się niczego dowiadywać! - powiedział stanowczo Alosza i popatrzył na mnie zajadle. - A ciebie zwycięzę! Rozumiesz?! Pokonam cię! Tyle dostaniesz, a nie moją duszę! O! - Alosza złożył palce i pokazał mi figę.

Omam nie parsknąłem śmiechem, Alona uśmiechnęła się.

- Słuszny wybór. A ja pomogę ci pod pewnymi względami. Nie mogę powiedzieć nic wprost, lecz aluzyjnie...

- Też nie możesz! - przerwałem.

- Mogę - odcięła się Alona. Podeszła do Aloszy i podała mu kotka. - Zaopiekuj się nim. On też stracił mamę i teraz został sam. Bez twojej pomocy zginie.

Alosza niepewnie wziął kotka na ręce. Ten przeciągnął się, ziewnął, ufnie przywarł do chłopca i zamruczał. Alosza przytulił go do siebie.

- Zaopiekuję się.

Alona skinęła głową z uśmiechem.

- Wierzę w ciebie. Uwierz w siebie i ty.

Alosza poważnie skinął głową.

- Brawo! - wykrzywiłem się. - Działałaś na granicy!

- Lecz jej nie przekroczyłam - odparła anielica. Odwróciła się do Grigorija Iwanowicza, skłoniła się. - Dziękuję za gościnę, gospodarzu.

Grigorij Iwanowicz skinął głową, ciągle oszołomiony.

Alona odwróciła się i skierowała do wyjścia, ja za nią.

- Ej, stójcie! - Kapłan rzucił się za nami, ale gdy wyskoczył na dwór, oczywiście już nas nie zobaczył.

Dziewczyna przystanęła przy furtce i odwróciła się do mnie.

- Myślisz, że Ksefon może nam coś popsuć?

- Nie wiem.

- Szkoda, że nie możemy podsłuchać, co się tam teraz dzieje. Wprawdzie ten twój koleś jest idiotą, jednak tym razem na pewno dokładnie obejrzy wszystkie kąty.

- Mnie też masz za kretyna? Oczywiście, że gdybyśmy schowali się w domu, Ksefon odkryłby nas błyskawicznie. Ale sądzę, że nie pomyślał o innej możliwości...

- Wymyśliłeś coś?

- Wymyśliłem? Alona, widzę, że nie masz o mnie zbyt wysokiego mniemania. Ja nie tylko wymyśliłem, ale nawet już wszystko zrobiłem. Chodźmy.

- Dokąd?

- Chodź, chodź. - Wziąłem upartą dziewczynę za rękę i pociągnąłem do wyjścia z podwórka.

Żeby nie zdradzić swojej obecności, po prostu przeszedłem przez ogrodzenie, nie otwierając furtki; Alona zrobiła to samo. Uśmiechnąłem się. Jeszcze niedawno sprawiało jej to ogromną trudność, a teraz proszę, jak się przy mnie podciągnęła...

Zaprowadziłem ją do hydrantu stojącego na przecięciu ulic. Obejrzałem się, czy nie ma nikogo w pobliżu i puściłem wodę. Mocny strumień uderzył w

ziemię, rozbił się na tysiące kropeł, które od razu uniosły się w powietrze.

Alona ścisnęła moją rękę.

- Ezergil, ale to przecież ze szkoły wyższej! Nie mogliście tego omawiać!

- A nie wspomniałem, że niektórych przedmiotów uczę się na wyższym poziomie? Przepraszam...

- I z kim związałeś tę cząsteczkę?

- A jak myślisz? Z kotkiem oczywiście! Przecież teraz Alosza będzie go wszędzie ze sobą nosił; dzięki temu będziemy mieli na niego oko.

- Och, ty!... I po co było tyle gadać o trosce i opiece?!

- Bo o to chodziło mi przede wszystkim, obserwacja to efekt uboczny. Zakładam, że Ksefon nie zna tej sztuczki... A teraz mnie nie rozpraszaaj.

Alona oczywiście mogła się jeszcze długo oburzać moim oszustwem, ale rozsądnie milczała. Zupełnie nie rozumiem, dlaczego za każdym razem wychodzi z siebie, jak tylko odrobinę zakombinuję? To przecież nawet nie było oszustwo, tylko manewr taktyczny! Dobrze, muszę się skoncentrować, zaczyna się najtrudniejsza część.

Zmusiłem krople wody do utworzenia tęczy, odbijając w nich promienie słoneczne. Dobrze, że dziś ładna pogoda... Nakierowałem tęczę na siebie, przywołałem w myślach obraz kotka oraz słowo, które mu szepnąłem w języku międzyświatowym, miało teraz posłużyć jako klucz do jego umysłu. Muchy i pająki to drobiazg, może je sobie podporządkować każdy przedszkolak. Owady nie mają rozumu, całą operację

przeprowadza się szybko i bez większego wysiłku. Problematyczne jest jedynie utrzymanie kontaktu, nie wolno się dekoncentrować. Dopiero teraz uświadomiłem sobie, że z tym pajakiem, który siedział w gabinecie dyrektora przeprowadzono ten sam obrządek, który teraz chciałem przeprowadzić ja. Gdyby było inaczej, dyrektor musiałby stale kontrolować pajaka, a to dość uciążliwe. Chociaż, jeśli na krótko, to idealny sposób.

Krople tymczasem stworzyły połyskliwą kulę wielkości pięści. Skłoniłem ją, żeby spłynęła na moją dłoń i wpatrzyłem się w nią, nawiązując kontakt. Aha, jest ślad, który zostawiłem. Teraz połączenie... słowo... kontakt! Udało się! Upuściłem kulę i wytarłem spocone czoło.

- Gotowe!

Alona patrzyła na mnie spode łba. Nie wyglądała na zadowoloną.

- Podporządkowałeś sobie umysł bezbronnego kotka?!

Powiedziała to takim tonem, że aż się cofnąłem.

- Oczywiście, że nie! Po co mi to? Zresztą, i tak bym nie zdołał. Teraz będę jedynie widział i słyszał to, co widzi i słyszy kotek. Słowo honoru! Jego wolna wola na tym nie ucierpi!

- Nie wierzę ci!

Wzruszyłem ramionami.

- Twoja sprawa. To co, będziesz patrzeć, co się dzieje w pokoju, czy nie?

Alona zastanowiła się.

- Będę.

I po co tyle gadać o nieuczciwości i zniewoleniu? Dlaczego, dlaczego muszę z nią współpracować?! Zresztą, głupie pytanie, wiadomo, że przez wujka.

- Znajdźmy jakieś spokojniejsze miejsce - zasugerowałem. - Gdzie nam nikt nie przeszkodzi.

Popatrzyliśmy na siebie.

- Park! - zawołaliśmy chórem.

- Lecimy! - zawołała niecierpliwie Alona i pierwsza zaczęła biec, wznosząc tumany kurzu.

Zakląłem i pobiegłem za nią, próbując ją wyprzedzić, nie miałem ochoty wdychać kurzu.

Park był właściwie niewielkim laskiem otoczonym domami. Gdy stawiano budynki, lasku z jakiegoś powodu nie ruszono; może grunt był tam zbyt grząski, a może jeszcze coś innego, w każdym razie zostawiono go w spokoju i teraz był tutaj oazą przyrody. Chociaż tak właściwie to dzielnica domków jednorodzinnych, więc czego jak czego, ale zieleni nie brakowało.

Zagajnik schodził na brzeg niewielkiej rzeczki i w weekend wypełniał się ludźmi, którzy przyjeżdżali tu z nowej części miasta, jak sami mówili, na łono przyrody. Ludzie są dziwni... Zresztą, nieważne, najważniejsze, że w tej chwili lasek był dla nas idealnym miejscem. Krzaki skrywały nas przed wzrokiem przechodniów, drzewa dawały chłód. Bajka.

- No, szybciej! - poganiała mnie Alona, siadając na ziemi pod rozłożystym dębem.

- „Szybciej, szybciej” - przedrzeźniałem ją. - Łatwo ci mówić... Ja tę sztuczkę robię dopiero drugi raz w życiu!

A tak, żeby ją komuś pokazać, to w ogóle po raz pierwszy!

- O, Ezergil, jestem pewna, że ci się uda! Jesteś taki zdolny...

- Hej, pochlebstwo to moja domena, tobie i tak nie wychodzi. Chcesz, to cię potem nauczę?

- Ezergil, dość gadania! Weź się do roboty!

- Proszę bardzo, złośćczenie się to co innego, to robisz na medal.

- Ezergil!

- No już, już milczę.

I rzeczywiście zamilkłem, ale nie dlatego, że Alona się tego domagała, po prostu musiałem się skupić. Nawet szkoda, z przyjemnością bym się z nią jeszcze podroczył.

Usiadłem w kucki, złożyłem dłonie razem i zacząłem w nie patrzeć, szukając nastrojonego przeze mnie kanału. Gdybym nie musiał pokazywać obrazu Alonie, wszystko byłoby znacznie prostsze, mógłbym jednocześnie robić inne rzeczy. A tak muszę tu siedzieć...

- Patrz uważnie - poleciałem. - Teraz spróbuję dostroić odbiór do ciebie.

Na moich dłoniach pojawiła się i zaczęła rosnać kula utkana ze światła. Osiągnęła wielkość piłki futbolowej, potem jeszcze urosła... Rozłożyłem ręce i klasnąłem. Kula stała się lustrzana, a potem pojawił się w niej obraz tego, co widział kotek.

- Uff. - Otarłem pot z czoła. - Już myślałem, że się nie uda.

- Brawo, Ezergil! Jesteś świetny!

- Wiem.

- Ale niezbyt skromny - dodała od razu.

- Skromność? A co to takiego?

- Ezergil, przestań, daj posłuchać! Wzruszyłem ramionami. Dziewczynki! Przecież sama zaczęła! Jednak szybko przyznałem jej rację i również zacząłem słuchać tego, co mówili w pokoju. Właśnie przemawiał Ksefon. Też mi Cynceron...

- I wy mu wierzycie? - pytał patetycznie, stojąc pośrodku pokoju z ręką uniesioną nad głową. Kapłan słuchał go uważnie, ale Wiktor Nikołajewicz był zbyt zajęty próbą nawiązania kontaktu z synem. Malarz natomiast wyszedł już z osłupienia i teraz przyglądał się Ksefonowi z wyraźnym zainteresowaniem, pewnie nie tyle z powodu jego przemowy, co samego faktu oglądania żywego diabła. - On jeszcze nigdy w życiu nie powiedział słowa prawdy! Zawsze wszystkich oszukiwał!

O kim mówi? Czyżby o mnie?

- Naprawdę wszystkich? - spytał uprzejmie ojciec Fiodor.

- Naprawdę! Dlatego właśnie mówię, że to ja jestem waszą jedyną nadzieją w walce z nim. Tylko dzięki mnie zdołacie go pokonać.

- Już mi pomogłeś - burknął Alosza. - Do tej pory nie mogę się pozbyć tych twoich pieniędzy. - Skinął głową na walizkę z dolarami, którą miał przy sobie Nienaszew. Ksefon odwrócił się do niego.

- Czy ja ci kazałem nimi szastać? Gdybyś wydawał

powoli, nikt by o niczym nie wiedział!

- Ja w ogóle ich nie wydawałem!

- To jakim cudem pół miasta wie, że masz worek pieniędzy?

Ksefon i Alosza patrzyli na siebie gniewnie.

- To moja wina - odezwał się nagle ojciec Aloszy. Wstał ciężko i podszedł do syna. Alosza skulił się, Wiktor Nikołajewicz drgnął i stanął. Westchnął, usiadł przed chłopcem na podłodze, popatrzył na niego. - Loszka... synku... wysłuchaj mnie, proszę cię! Nie proszę, żebyś mi wybaczył... bo wiem, że tego nie zrobisz... nie zasłużyłem. Po prostu mnie wysłuchaj... Boże mój, musiałem wpakować się w to wszystko, żeby zrozumieć, jakim byłem głównem...

Zerknąłem na kapłana. Ten marszczył brwi i gryzł wargi, uważnie obserwując Wiktora Nikołajewicza. Wyraźnie chciał się wtrącić, jednak nie robił tego. A gdy Ksefon spróbował się odezwać, zmusił go do zamilknięcia - podniósł rękę, jakby chciał zrobić znak krzyża i diabeł od razu zamknął usta, cofnął się o krok, zerkając bojaźliwie na kapłana. Widocznie ciągle pamiętał tamten dotyk.

- A do tego jeszcze kpiny tego... - Przy tych słowach Nienaszewa kapłan spochmurniał jeszcze bardziej. - Nie wiem, jak to powiedzieć... No, generalnie jestem z tobą. Nie wiem, czy zdołam ci pomóc, ale zrobię wszystko... - Wiktor Nikołajewicz machnął ręką, wstał i skierował się do drzwi, ocierając łzy ukradkiem.

Po jego wyjściu w pokoju zapanowała cisza.

- Być może - odchrząknął nieśmiało Grigorij



Iwanowicz - chciałbym jednak wiedzieć, co się tu dzieje?

- A to już niech nasz młody czło... nasz młody diabeł wszystko wyjaśni. Ja również wielu rzeczy nie rozumiem. I proszę cię, Ksefonie... Czy dobrze wymawiam twoje imię? No więc, Ksefonie, powiedz nam szczerze, co mamy zrobić, żeby pokonać tego straszego Ezergila?

Po chwili zastanowienia Ksefon skinął głową.

- Dobrze. Bo jeszcze z głupoty nawyprawiacie takich rzeczy...

Ksefon jest jednak niesamowity. Dzień, w którym nikogo nie obraził, uważa za stracony.

- Krótko mówiąc, to nasze szkolne zadanie... - Ksefon dość jasno wyłożył tę wersję, którą mu starannie podsuwałem, że usiłuję zaciągnąć Aloszę do piekła, żeby zdobyć od razu dwie dusze: chłopca i jego matki.

- Czy coś takiego jest praktykowane w piekle? - zainteresował się nieśmiało malarz. - Naprawdę kradniecie dusze?

- A komu potrzebne te wasze dusze! - parsknął Ksefon. - Sami je nam przynosicie... Już byśmy nie mieli co robić, tylko je kraść. To po prostu kwestia zasady. Najprostszy sposób wykonania zadania. Normalka.

Jasne, skoro najprostszy, to na pewno z niego skorzystam. Tiu, tiu, tiu. Szkoda, że Ksefon zapomniał, iż nie jestem idiotą i wiem, że najprostszy sposób wcale nie znaczy najlepszy.

Na chwilę oderwałem się od paplaniny tego durnia i

odkryłem, że w pokoju nie ma Aloszy! Kotek spokojnie drzemał na fotelu, a chłopca nie było! Hej, to nieuczciwe! Ja się tak nie bawię! Dlaczego nie wziął kotka ze sobą?! Jednak okazało się, że nie tylko ja spostrzegłem jego nieobecność. Zauważył to również kapłan, z tym, że on nie wyglądał na zaskoczzonego, a jedynie z obawą zerkał na drzwi. Gdy Ksefon monotonicznie głądził, jakby ze mnie podstępny drań, drzwi się otworzyły i do pokoju wszedł chłopak wraz z Wiktorem Nikołajewiczem. Aleksiej nadal boczył się na ojca, ale już przed nim nie uciekał, a Nienaszew patrzył na chłopca tak, jak patrzy się na cenną i kruchą rzecz, którą w każdej chwili możesz utracić. Było widać, że chce porozmawiać z synem, ale boi się zerwać nawiązany kontakt.

- Jest! - zawołałem, podskakując.

Alona odsunęła się przestraszona, a potem mnie skłęła.

- Głupek - podsumowała.

- Być może - przyznałem. - Ale genialny głupek! No i jak, ładnie wyszło? Żeby tylko teraz tatuś czegoś nie sknocił! Żeby się tylko nie upił!

- Mogę to zorganizować. Sprawię, że na pewno nie zechce się napić.

Popatrzyłem na nią ponuro.

- Pamiętasz, co mówiłem o pokoju hermetycznym?

- Co mi ciągle wyjeżdżasz z tym pokojem?!

- Te problemy, które tylko ludzie mogą, powinni, rozwiązywać sami. A może tak nie lubisz Wiktora Nikołajewicza, że chcesz zrobić wszystko za niego?

- A co to ma do rzeczy? - oburzyła się Alona.

- A ma! Co według ciebie będzie więcej ważyło na Wadze Sprawiedliwości: jego dobrowolna rezygnacja z alkoholu dla syna czy abstynencja na skutek twojej ingerencji? Chociaż, być może aż tak w niego nie wierzysz, że faktycznie nie pozostaje nic innego, jak mu pomóc w ten sposób...

- Dobrze, dobrze, rozumiem! - zawołała Alona. - Jak ja nie znoszę, gdy masz rację! Po prostu ciężko mi, gdy wiem, że można człowiekowi podać rękę, a nie należy tego robić!

- Popłacz sobie, to ci ulży. Przecież wy, dziewczynki, bardzo to lubicie.

- Ezergil!

Uśmiechnąłem się w duchu. Wystarczyło ją rozzłościć i już oderwała się od smutnych myśli. Jedna uwaga i znów jest w formie, o, proszę, jak jej oczy błyszczą.

- A co, nie jest tak?

- Zaraz dam ci w łeb!

Po niej można się wszystkiego spodziewać, aniołeczek jeden.

- To co, mam przeprosić?

- Obejdę się - prychnęła Alona. - Pewnie jak byś przeproszał, to i tak trzymałbyś w kieszeni skrzyżowane palce.

- A właśnie, że nie! - odparłem szczerze. W końcu szczerłość jest bardzo ważna, zwłaszcza w kontaktach z aniołami. Przecież nie chciałem krzyżować palców jednej ręki, tylko dwóch. Ale czy ona to zrozumie? A

skąd! Przecież to anioł!

Krótkim parsknięciem skwitowała moje usprawiedliwienie i wróciła do oglądania tego, co działo się w pokoju. Ale tam tak właściwie nic się już nie działo. Kapłan usiłował wyprowadzić Ksefona z domu, ale ten się opierał. W końcu ojciec Fiodor stracił cierpliwość i po prostu pobłogosławił dom, a wtedy Ksefon wyskoczył z niego jak z procy, klnąc w żywy kamień „nienormalnego świętoszka”, a moja kula pękła. Zakląłem.

- No i co teraz? - spytała Alona.

Przyjrzałem jej się badawczo. Wzdrygnęła się i rzuciła mi podejrzliwe spojrzenie.

- Czemu tak na mnie patrzysz?

Wstałem i obszedłem ją dookoła, oglądając od stóp do głowy. Cofnęła się.

- Coś ty znowu wymyślił? Pamiętaj, że nie wezmę udziału w żadnych świństwach! W ogóle nie powinnam się z tobą kontaktować... i... i w ogóle...

- Chcesz pomóc Aloszy?

- Oczywiście!

- Czyli musimy wiedzieć, co się dzieje w domu.

- No... tak...

- A po tym, jak kapłan pobłogosławił dom, ja już nie zdołam do niego przeniknąć.

- Naprawdę?

- Nie udawaj głupiej! Przecież sama świetnie o tym wiesz!

- No dobrze, ale co ja mam do tego?

- Dużo! Zrobisz nową kulę i będziesz patrzeć w nią

sama! Dla ciebie błogosławieństwo nie jest przeszkodą, przeciwnie, jeśli przeprowadzono je z czystym sercem, na pewno doda ci sił. A musiało być potężne, skoro mnie w takim tempie wymiotło.

- Ale mnie się nie uda! Nie nauczyliśmy się tego! Ja nie potrafię!

- Nauczę cię!

- Ale ja...

- Cicho! Posłuchaj mnie! - O dziwo, po moim okrzyku Alona rzeczywiście zamilkła. - Tak naprawdę nie ma w tym nic trudnego. Pokażę ci nić przewodnią, tylko musisz sama przejść przez zasłonę, bo ja nie zdołam zbliżyć się do domu. Rozumiesz?

Skinęła głową.

- I tak mi się nie uda...

- Przestań! Sama mówiłaś, że najważniejsze to wierzyć w siebie! No to uwierz, do diabła, w siebie!

- Postaram się...

- Nie staraj się, tylko to zrób!

Alona zasapała, ale posłusznie wzięła się do pracy. Uważnie słuchała moich wskazówek... Ale po kilku minutach prób zrozpaczona oparła się o drzewo.

- Nic mi z tego nie wyjdzie - mruknęła osowiale.

Popatrzyłem na nią, gryząc wargę.

- Mam pewien pomysł... - zacząłem.

- Tak?

- Pamiętasz, jak wprowadziłaś mnie do cerkwi?

- O, nie... To znaczy... ee... - Alona popatrzyła na mnie z niechęcią. - Jesteś pewien, że nie ma innego wyjścia?

- Możemy spróbować jeszcze raz.

Alona pokręciła głową.

- Dobrze, daj rękę. Ale to już ostatni raz!  
Wpuszczanie diabła do własnego umysłu nie jest zbyt przyjemne.

- Dzięki. Ja też cię lubię.

Burknęła coś pod nosem i ujęła moją dłoń.

- Przygotuj się...

Wszystko odbyło się dokładnie tak, jak za pierwszym razem, tylko teraz nie zajrzałem do jej myśli nawet brzeżkiem świadomości. Zacząłem ostrożnie kierować jej ruchami, mówiąc, co ma robić.

- Alona, otwórz mi tę część umysłu, przy pomocy której próbujesz nawiązać kontakt.

Niemal fizycznie poczułem jej niechęć do otwierania przede mną choćby cząstki swojej świadomości. Jednak wbrew moim obawom, nie opierała się i wreszcie mogłem bezpośrednio, od środka, zobaczyć, co ona robi. Szybko znalazłem błąd i pokazałem go jej.

- Aha... - zdumiała się Alona. - Czyli tak?... Dobrze, spróbujemy...

Błyskawicznie chwyciła przeciągniętą przeze mnie nić i poszła nią. Jeszcze chwila i... dosłownie wpadliśmy do mieszkania malarza! Nie materialnie oczywiście, ale dla nas było to równie drastyczne i niespodziewane.

- A to dopiero! - zawołałem. - Słuchaj, zdaje się, że to dzięki kapłanowi! Jego błogosławieństwo wielokrotnie spotęgowało twoje umiejętności! No proszę, nie wiedziałem, że anioły mogą wzmacniać swoje

możliwości poprzez ludzi!

- Nie wszyscy ludzie się do tego nadają - odparła spokojnie Alona. - Tylko nieliczni. Ten kapłan jest jednym z nich. A teraz bądź cicho, w końcu nie przyszliśmy tu po to, żeby sobie pogadać! Posłuchajmy, co mówią!

- A wiesz, że anioły nie powinny podsłuchiwać?

Alona prychnęła pogardliwie.

- Przymknij się. Diabeł będzie mi mówił, co wolno aniołom, a czego nie!

Nie odpowiedziałem. Po pierwsze, nie kłóć się z damami. A po drugie, faktycznie nie przyszliśmy tu na pogaduszki.

Rozejrzałem się. Alosza spokojnie drzemał w fotelu z kotkiem w objęciach. Obok niego siedział Wiktor Nikołajewicz i patrzył na syna z przejmującym smutkiem w oczach. Co jakiś czas wyciągał rękę, żeby go dotknąć, ale w ostatniej chwili cofał ją, jakby się bał, że obudzi chłopca. Zdaje się, że nie interesowało go nic prócz syna. Kapłan w zadumie przechadzał się po pokoju.

- Nie rozumiem! - mówił. - Nic nie rozumiem!

Grigorij Iwanowicz patrzył na niego zaskoczony.

- Co pana niepokoi?

- Wszystko. Wszystko!

Malarz zawahał się.

- Nie wierzy ojciec, że to były diabły i anioł?

Ojciec Fiodor przystanął na chwilę.

- Chciałbym myśleć, że to wszystko tylko oszustwo...

Ale, niestety! Jak inaczej można wytłumaczyć to, co się

tu stało?

- Kosmici - odparł szybko malarz. - Pozaziemska cywilizacja, która wyprzedziła naszą o tysiące lat.

Kapłan zamyślił się.

- Założmy. Ale po co by to wszystko urządzali?

- A kto ich tam wie?

- Nie. - Ojciec Fiodor pokręcił głową. - Gdy położyłem rękę na ramieniu tego Ksefona... Nie, to niemożliwe. I niech pan sobie przypomni, co pan czuł, gdy ta dziewczyna nagle zajaśniała! Jednym słowem, to, że były tu diabły i anioł, to fakt.

- Już wolałbym kosmitów - burknął malarz.

Kapłan jakby go nie usłyszał.

- Ale nie rozumiem tego Ezergila, zupełnie nie rozumiem. Bez wątpienia jest mądrzejszy od Ksefona, chociaż udaje żartownisia i psotnika...

Hm, mądrzejszy od Ksefona, też mi komplement! Chciałbym zobaczyć kogoś głupszego od Ksefona. Poza tym nikogo nie udaję. Też coś...

- Usilnie starał się nas przekonać, że poluje na duszę Aloszy i jego matki.

- A co tu jest nie tak? - Wiktor Nikołajewicz ocknął się, słysząc imię syna.

- Wszystko! Dowodził, że chce dostać ludzkie dusze, a jednocześnie niemal otwarcie mówił o tym, jak jego, diabła, pokonać!

- Ee... a może czegoś nie zrozumieliśmy? - Rogożew i Nienaszew popatrzyli na siebie zaskoczeni.

- Przypomnijcie sobie! Ezergil jasno dał do zrozumienia, że nie ma sensu walczyć z nim przy



pomocy różnych symboli; w grę wchodzi wyłącznie wiara! Jednocześnie wyśmiał fanatyków, mówiąc, że nie chodzi o ślepą wiarę, lecz o coś innego... Tylko o co?...

No, myśl, myśl, myśl! Nie pozwól, żebym się co do ciebie rozczarował! Czyżbym na darmo tuż pod nosem Ksefona dawał różne aluzje?!

- Ja chyba zrozumiałem - powiedział cicho Nienaszew.

Oho, ho, czyżby? Ciekawe, coś ty tam zrozumiał. Na ciebie akurat wcale nie liczyłem...

- Ten Ezergil mówił o wierze w siebie. O tym, że Bóg jest wokół nas i w każdym z nas. I że każdy człowiek, jeśli tylko chce, może stać się lepszy... może zbliżyć się do Boga. Najważniejsze to uwierzyć. Uwierzyć w siebie i chcieć się poprawić. Zrobić pierwszy krok.

Ha! Jednak ten typ nie jest beznadziejny! Jakim człowiekiem mógłby być, gdyby tylko nie pił! Szkoda, że nie można zobaczyć, jaką rodziną byliby Nienaszewowie, gdyby Wiktor nie był alkoholikiem... Pewnie całkiem niezłą. Pokręciłem głową. Kurczę, czy on sam tego nie żałuje?

- To możliwe - przyznał w zadumie kapłan.

- Moim zdaniem tak jest na pewno.

Chciałem powiedzieć, że wątpliwości dowodzą inteligencji! Gdy człowiek jest zbyt pewny siebie, staje się zarozumiały.

- Możliwe - powtórzył kapłan. - Nie rozumiem tylko, po co Ezergil dawał nam te wskazówki? Przecież chce zwyciężyć! Coś tu jest nie tak. Może właśnie chce,

żebyśmy uwierzyli w to, co mówił, a prawda leży w zupełnie innym miejscu?

W innym, w innym, niech to szlag! A nadmierne wątpliwości do niczego dobrego nie prowadzą!

Teraz na kapłana patrzył i Nienaszew, i malarz - obaj czekali, że duchowny wygłosi jakąś mądrość. Uuu... A samemu ruszyć głową nie łaska?

Ale kapłan naprawdę był mądry. Spostrzegł utkwione w sobie spojrzenia i nic nie powiedział.

- Muszę to wszystko starannie przemyśleć - rzekł tylko w zadumie. - Przepraszam, ale już pójdę. Chciałbym poczytać... Wiktorze Nikołajewiczu, raczej nie powinien pan wracać do domu, pewnie tam na pana czekają... Zaprosiłbym was do siebie, ale obawiam się, że to również nie będzie bezpieczne. Widziało nas razem zbyt wiele osób...

- A po co mieliby gdzieś iść? - zdumiał się Grigorij Iwanowicz. - Niech przenocują u mnie.

Ojciec Fiodor popatrzył uważnie na malarza.

- Rozumie pan, w co się pan pakuje? Ci ludzie, którzy chcą zdobyć walizkę z pieniędzmi, nie będą się ceregielić.

- Pakuję się? Odniosłem wrażenie, że już dawno się wpakowałem.

- Nie. Jeszcze może się pan wycofać.

- I zostawić to dziecko na pastwę losu? Nie. Niech się pan o mnie nie martwi. Nikt nie wie, że oni tu są.

Kapłan w zadumie skinął głową i popatrzył na Wiktora Nikołajewicza. Ten pokręcił głową zakłopotany.

- Nie chciałbym sprawiać gospodarzowi kłopotu... I tak tyle już dla nas zrobił...

Grigorij Iwanowicz podszedł do Nienaszewa i wysyczał mu w twarz, starając się nie obudzić dziecka:

- Naprawdę myślisz, że puszczę chłopca z tobą po tym wszystkim, co tu usłyszałem? Jeśli chcesz, zabieraj tę diabelską walizkę i zjeżdżaj, ale Losza nigdzie stąd nie pójdzie!

Nienaszew cofnął się przestraszony, ale od razu wziął się w garść.

- Pan... pan... - zaczął, ale pod wściekłym spojrzeniem malarza od razu spasował. - Pewnie na pańskim miejscu też nie ufałbym takiemu ojcu...

- Niech mnie pan przekona, że nie mam racji. Niech pan sprawi, żebym w pana uwierzył.

- Czy nie nadużywamy ostatnio słowa „wiara?” - zastanowił się na głos ojciec Fiodor. - A jednak to ma sens... Tak, Wiktorze Nikołajewiczu, będzie się pan musiał bardzo napracować, żeby odzyskać zaufanie ludzi... Dobrze, pójdę już... Muszę sprawdzić pewne rzeczy... Nie wychodźcie z domu bez potrzeby, uważajcie, żeby sąsiedzi was nie widzieli. Przyjdę jutro rano.

Dalej mogliśmy już nie słuchać, było jasne, że nic ważnego się nie wydarzy. Dałem znak Alonie, żeby przerwała kontakt.

- Co teraz? - zapytała.

W zadumie zabębniłem palcami w pień drzewa.

- Ten kapłan jest zbyt mądry - wymruczałem.

- A od kiedy to jest przestępstwem? - spytała kąśliwie

Alona.

- Nie jest. Problem w tym, że on rozgryzł moje aluzje, a to znaczy, że będzie wątpił, czy te rady są prawdziwe. Wśród ludzi diabły cieszą się złą sławą...

- Dziwne...

- Nie musisz się wyzłośliwiać. - Machnąłem ręką. -  
Powiedz lepiej, co robić?

- A może by tak powiedzieć prawdę?

- Żartujesz sobie? Chociaż... - zastanowiłem się. -  
Taki wariant nie przyszedł mi do głowy...

- A pewnie, gdzieżby ci przyszło do głowy, żeby wszystko szczerze opowiedzieć. Szczerość w ogóle nie mieści się w twoim repertuarze.

- No wiesz... czasem nawet szczerością można oszukać.

- Dość tego! Powiedz lepiej, co wymyśliłeś?

- Sama przecież już powiedziałaś. Opowiemy wszystko szczerze.

- Jesteś pewien?

Westchnąłem i zamyśliłem się. Jak Stirlitzowi spodobało mi się, więc zamyśliłem się jeszcze raz. No dobrze, dowcipkuję sobie, a to tylko znaczy, że nie jestem pewien. Ale coś jednak trzeba zrobić! Kapłan mnie rozgryzł, nie może tylko zrozumieć, po co mu to wszystko opowiedziałem. To znaczy, że będzie wątpił. Będzie sprawdzał i sprawdzał w nieskończoność, a to strata czasu. Mało tego, on może zupełnie nie uwierzyć, a wtedy...

- Obawiam się, że nie mamy wyboru - westchnąłem.

- Teraz się obawiasz? - zdenerwowała się Alona. Jak

rany, czemu ona się czepia słów? Co jej się teraz nie podoba? - Nie obawiasz się tylko wtedy, gdy sterujesz ludźmi, co? Gdy tańczą, jak im zagrasz?!

- Ja bym tak tego nie ujął...

- A właśnie, że tak! Ezergil, naucz się ufać ludziom!

- Ludziom?...

- Ludziom!

- Już się rozpędziłem. Ale kapłanowi chyba zaufam.

- A on to co, nieładź niby? A może ufasz mu dlatego, że jest duchownym?

- O, co to, to nie! Popom miałbym ufać, jeszcze czego! Zawierzę mu dlatego, że jest mądry! A to jedyne kryterium, które sprawia, że kogoś szanuję.

Alona prychnęła i odwróciła się. Chyba się obraziła. Co ja niby takiego powiedziałem?

- Skoro mamy iść, to chodźmy - powiedziała bezbarwnym głosem.

Chyba naprawdę się obraziła... I wtedy do mnie dotarło. Kurde, kurde, kurde... przecież tyle razy się z nią drażniłem, mówiłem, że nic nie umie! I teraz wzięła sobie moje ostatnie słowa do serca! Skoro nic nie umie, to nie jest mądra, a jak nie jest mądra, to znaczy, że jej nie szanuję... O, matko boska... Tfu, tfu, tfu, zupełnie mi się w głowie pomieszało przez tę dziewczynę! Jeszcze trochę, a zacznę się modlić! No dobrze, ale przecież ja wcale nie to miałem na myśli! Przecież nie uważam jej za idiotkę! Leń - tak, niedbaluch - owszem, ale nie idiotka! Przeprosić ją, czy jak? Tylko pogorszę sprawę... Ale z drugiej strony, to by znaczyło, że liczy się z moim zdaniem, że jest dla niej ważne... O rany! Od

razu poczułem się raźniej.

- Alona, jesteś bardzo mądra! - zawołałem niemal na cały park. Podbiegłem do niej i opierając się na jej ramieniu, podskoczyłem tak wysoko, jak tylko zdołałem.

- Ty kretynie! Bałwanie! Wariacie! - Alona straciła równowagę, upadła i teraz wyzywała mnie, z wielką starannością dobierając słowa. A ja się tylko śmiałem. Gdy wreszcie wyczerpała zapas wyzwisk, spojrzała na mnie podejrzliwie i spytała: - Czy ty przypadkiem nie jesteś chory?

- Jestem! - wyznałem ze śmiechem. Przecież wszyscy ludzie uważają miłość za chorobę. Że też musiałem zakochać się w aniele! Koszmar! - I to jeszcze jak chory! W dodatku wcale nie chcę się leczyć.

Alona demonstracyjnie zrobiła palcem kółko przy skroni i poszła do wyjścia z parku. Szedłem za nią, próbując sobie wyobrazić, jak będzie wyglądała, gdy już dostanie skrzydła. Wychodziło mi, że odłotowo. Obejrzałem siebie i westchnąłem. Ech, nawet z ogonem nie będę przystojniakiem... Ale za to jestem mądry, tu już nikt nie zaprzeczy. A jaki skromny...

Uspokojony tymi myślami, zacząłem iść z dumnie uniesioną głową. Naprzód! Anioł i diabeł działają razem! Kto odważy się wystąpić przeciwko nam?! No, kto?! Może wy?!

## Rozdział 4

Adres kapłana poznaliśmy bardzo szybko - wystarczyło wysłać zapytanie do raju lub piekła i już wkrótce staliśmy przed drzwiami jego mieszkania. Ostrożnie dotknąłem drewna.

- Nie zdołam tam wejść. W żaden sposób.

Alona popatrzyła na drzwi, potem na mnie.

- O tym nie pomyśleliśmy... A przecież wiedzieliśmy, że jest bardzo silnym uzdrowiaczem dusz, mogliśmy przewidzieć, że jego mieszkanie jest chronione...

- Co zrobimy? - Chyba po raz pierwszy nie wiedziałem, jak postąpić i to mnie denerwowało.

Staliśmy na klatce schodowej i patrzyliśmy na siebie stropieni. Alona przeniosła wzrok na drzwi.

- Zaczekaj - poprosiła i nim zdążyłem coś powiedzieć, zniknęła wewnątrz mieszkania. Hm, dowodzenie to chyba moja prerogatywa. Dziewczyna rośnie w oczach... Poczułem, że pękam z dumy - przecież to w końcu moja zasługa!

Z drzwi wyłoniła się głowa Alony.

- Mam pomysł. Pamiętasz, jak wszedłeś do cerkwi?

- Pamiętam, zdjęłaś z niej błogosławieństwo... Chcesz zrobić to samo z mieszkaniem? Zwariowałaś? Za co tak ojca Fiodora?! Przecież to dobry człowiek!

Alona skrzywiła się i wyszła do mnie.

- Wiem i dlatego potrzebuję twojej zgody. Mogę zdjąć błogosławieństwo, ale potem bez oficjalnego

zezwoleń piekła nie mogę go przywrócić. Moje błogosławieństwo będzie znaczyło dużo więcej niż błogosławieństwo kapłana, czegoś takiego nie daje się ot tak. Ale dla sprawy... Jeśli jako przedstawiciel piekła udzielisz zezwolenia...

- Hm, a jeśli teraz obiecuję, że dam, a potem nie dam?

Alona spojrzała na mnie chmurnie.

- Ezergil, czasem twoje żarty są wyjątkowo kretyńskie.

- Przepraszam. Oczywiście, że się zgadzam, ojciec Fiodor to dobry człowiek i trzeba to uszanować.

Alona skinęła głową i znów zniknęła w mieszkaniu. No proszę, jak jej to ładnie idzie! Moja szkoła!

Nim zdążyłem dokończyć myśl, wyłoniła się ręka Alony, złapała mnie za kołnierz i wciągnęła do środka.

- Długo jeszcze chciałeś się tam objąć? - spytała rozdrażniona.

- Ja? Ja? - aż mnie zatkało z oburzenia. Wzięła mnie za fraki, niczym psotnego kociaka! Mnie! I jeszcze mi mówi, że się objam!

- Idziemy - zakomenderowała, nie słuchając moich urażonych okrzyków.

Postanowiłem nie zwracać uwagi na te kobiece głupstwa. Muszę być ponad to. Poza tym, należy się rozejrzeć.

Co my tu mamy? Przedpokój... Całkiem przyjemnie urządzone, gustownie, ze smakiem...

Popatrzyłem na szafę, wyraźnie zrobioną ręcznie. Ale jak zrobioną... Tak, ojciec Fiodor miał nie tylko głowę



na karku, ale również złote ręce... Ostrożnie dotknąłem niewielkiego dzwoneczka powieszzonego na jakimś haku, pociągnąłem za wiszący sznurek. W przedpokoju rozległ się melodyjny brzęk.

- Kto tam? - usłyszeliśmy głos kapłana. Jeszcze chwila i przed nami stanął pop, skupiony i spięty, niczym ściśnięta sprężyna, która w każdej chwili może uwolnić całą swoją energię.

- To wy? - spytał zdumiony.

- My - przyznałem. - W gości. Możemy?

- A jak tu weszliście?

Alona w milczeniu przeszła przez drzwi wyjściowe i wróciła w ten sam sposób.

- Aa...

- To możemy wejść? - zapytałem.

- Przecież już weszliście. - Kapłan wziął się w garść i teraz przyglądał się nam z zaciekawieniem. - Czyli jednak nie jesteście diabłem i aniołem... Grigorij Iwanowicz miał rację...

Wymieniliśmy z Aloną spojrzenia.

- Oczywiście - przyznałem. - Jesteśmy kosmitami. Zielone ludziki. Przylecieliśmy w latającym... no, jak to się mówi... o, w latającym garnku.

- Talerzu - poprawiła poważnie Alona.

- Właśnie, talerzu. Chociaż, szczerze mówiąc, nie rozumiem, dlaczego nie w garnku. Tam więcej wejdzie.

- Czego? - spytała Alona, tak samo poważnie.

- Jedzenia, a wcale nie tego, o czym pomyślałaś.

- A skąd wiesz, o czym pomyślałam?

- A o czym innym mogła pomyśleć taka zepsuta i źle

wychowana kosmitka, jak ty?

- Stop, stop! - Ojciec Fiodor potrząsnął głową. - Co wy robicie?

- Wyglupiamy się - oznajmiłem uprzejmie.

- Rozumiem. Bez względu na to, po co przyszliście, nie przypuszczam, żebyście po prostu przechodzili obok i wstąpili. Napijcie się herbaty?

Znowu wymieniliśmy spojrzenia.

- Z przyjemnością.

- W takim razie zapraszam. Jeszcze tylko jedno pytanie: jeśli naprawdę jesteś diabłem, jak zdołałeś wejść do mojego mieszkania? Przecież jestem kapłanem.

- Korale mecyje... No i co z tego, że kapłanem? To wcale nie zapewnia panu wyjątkowej ochrony. Przy okazji, my wolimy określenie „uzdrowiciel dusz”.

- A co za różnica?

- Duża. Kapłanów jest wielu, ale nie wszyscy ratują dusze. A wielu uzdrowicieli dusz nie jest duchownymi. Rozumie pan? Wy, ludzie, sami mianujecie się uzdrowicielami dusz, ale nie rozumiecie, że to nakłada na was szczególną odpowiedzialność. To, co można wybaczyć zwykłym ludziom, wam nie ujdzie na sucho. A wszedłem tu dzięki niej. - Skinąłem na Alonę. - To ona mnie wprowadziła, a jak... Naprawdę lepiej, żeby pan nie wiedział. Jednak w zamian otrzyma pan wielką nagrodę, chociaż, jak sam pan zapewne rozumie, niematerialną.

Ojciec Fiodor potrząsnął głową.

- Coraz mniej z tego wszystkiego pojmuję - wyznał.

- To może zaczniemy od początku? - zaproponowała Alona. - Właśnie po to przyszliśmy, żeby o wszystkim opowiedzieć.

- Ach tak? I skąd ten zaszczyt?

- Jest pan bardzo mądry - powiedziałem. - I wszystko pan już zrozumiał, tylko wyciągnął pan fałszywe wnioski. Ale nic dziwnego, miał pan za mało danych. A po wyciągnięciu niewłaściwych wniosków, zacznie pan niewłaściwie działać. W zasadzie już pan zaczął, idąc do waszej cerkiewnej biblioteki. Chciał pan poszukać wiedzy, gdy potrzebna jest wiara.

- Ślepa wiara? - zapytał kapłan z uśmiechem. - A kto mówił, że nie lubi fanatyków?

- Prawdziwa wiara nie może być ślepa. Wiara to otwarte w duszy człowieka drzwi dla Niego. Wy, ludzie, lubicie wszystko komplikować.

Kapłan zamyślił się na chwilę, ale szybko się ocknął.

- Wchodźcie, wchodźcie, czemu stoicie? Tam są kapcie... A ja nastawię wodę na herbatę.

Skinęliśmy głowami; Alona pierwsza zrzuciła adidas, włożyła kapcie i poszła do kuchni. Ja musiałem rozsznurować buty, więc zjawiłem się ostatni.

Ojciec Fiodor stał przy kuchence i sypał coś do imbryczka, chyba nie tylko zwykłą herbatę. Obok stał włączony czajnik. Kapłan wskazał mi wolne krzesło obok tego, na którym już siedziała Alona. Usiadłem, cierpliwie czekając, aż pop siądzie obok nas. Z braku innego zajęcia rozejrzałem się po pomieszczeniu. Od razu rzuciły mi się w oczy ikony w kącie. Na parapecie stały kwiaty, zupełnie mi nieznane, jakieś rzadkie

okazy. W życiu bym nie pomyślał, że nasz kapłan zajmuje się botaniką! Cóż, każdy ma jakieś wady... „Nobody's perfect”, jak to mówią.

Od razu zauważyłem, że ojciec Fiodor, sprawiając wrażenie zajętego, zerka na nas ukradkiem. Kopnąłem Alonę pod stołem, a ten aniołek odpowiedział jeszcze mocniejszym kopniakiem. Skrzywiłem się i pogroziłem dziewczynie pięścią, odwróciła się ode mnie, dumnie zadzierając nos. O, i już sobie pogadaliśmy.

Ojciec Fiodor postawił na stole imbryk i dwa talerzyki; jeden z ciastem, drugi z cukierkami czekoladowymi, potem wyjął z lodówki niewielki słoiczek konfitur.

- Moja mama robiła - powiedział, stawiając na stole. - Palce lizać.

- Dziękuję - powiedziała grzecznie Alona.

- Dziękuję - powiedziałem również. - Jakby co, wstawię się u nas za panem.

- Ezergil! - Alona popatrzyła na mnie zagniewana. - Zaczynam mieć dość twoich żartów! Jeszcze jedna odzywka w tym stylu, a zapomnę, że jestem aniołem!

- Zdumiewające! Więc do tej pory o tym pamiętałaś?

Alona zaklęła przez zęby i podniosła cukiernicę, jakby ważąc ją w dłoni.

- Stop! - zawołał szybko ojciec Fiodor. - W moim domu nikt nie będzie w nikogo niczym rzucał.

- Przepraszam - Alona zaczerwieniła się - ale ten typ każdego wyprowadziłby z równowagi! Nawet anielska cierpliwość ma swoje granice.

- Tak. - Kapłan usiadł przy stole i nalał esencji do

filizanek. - Posłuchajcie, porozmawiajmy otwarcie i szczerze...

- Po to przyszliśmy - burknąłem, patrząc na Alonę, która nadal zerkała znacząco w stronę masywnej cukierniczki. Te jej spojrzenia działały mi na nerwy.

- I bardzo dobrze. W takim razie zapomnijmy o tej całej historii z diabłami i aniołami. Opowiedzcie szczerze, kim jesteście.

- Nie wierzy nam - zauważyła Alona.

- Jakże trafna uwaga! - odparłem złośliwie. - Ojcie Fiodorze, będzie pan musiał nam uwierzyć; my naprawdę jesteśmy tymi, za których się podajemy. Ja jestem diabeł Ezergil i urodziłem się w piekle sto dwadzieścia lat temu, w bardzo porządnej rodzinie diabelskiej, jeśli oczywiście nie liczyć jednego irytującego indywiduum, które mój ojciec uważa za hańbę całego rodu.

- Powinniście być dumni! - zdenerwowała się Alona.

- Monterrey jest najlepszym aniołem na świecie!

- O tym właśnie mówię. Moja towarzyszka jest aniołem, co na pewno już pan zrozumiał, obserwując jej nienaganne maniery, uprzejmość, łagodność i zdumiewającą cierpliwość...

- Ezergil!!!

- Czyż nie mam racji? - Popatrzyłem na nią niewinnie i zatrzepotałem rzęsami.

- Czasami... czasami... - zaczęła gniewnie Alona.

- Niech będzie „czasami”. - Machnąłem ręką. - A więc, jak już powiedziałem, moja towarzyszka jest aniołem. Nazwa się Alona, ale jej imię i tak panu nic nie

powie, podobnie zresztą jak moje. Ale to się jeszcze zmieni... Jednak o tym przecież już wspominałem, przepraszam. O czym to ja?... Ach tak, poza tym jestem mądry i skromny, co zapewne też pan zauważył.

- Owszem. - Skinął głową kapłan. - Każdy z nas jest mądry, skromny i dobry, tylko niektórzy nie potrafią tego okazać.

Alona pokiwała głową, a ja oklapłem.

- Takie uwagi to tak właściwie mój obowiązek, ale jeśli nie chce pan słuchać, to nie.

I jednym łykiem wypilem pół filiżanki herbaty.

- Ezerkil, zapomniałeś, po co tu przyszliśmy? - zapytała Alona.

- Właśnie się nad tym zastanawiam - wyznał kapłan. - Założmy, że mówicie prawdę i faktycznie jesteście aniołem i diabłem. Nie uważacie, że to dość dziwne zestawienie? Anioł i diabeł wszędzie zjawiają się razem. Przecież powinniście się nawzajem nie lubić!

- Dlaczego powinniśmy? - zapytałem.

- Macie różne cele i tak dalej...

- Zostawmy to „i tak dalej” i porozmawiajmy o celach. Skąd myślisz, że mamy różne cele?

- No jak to, przecież diabły są wrogami rodzaju ludzkiego, upadłymi aniołami, które marzą o tym, by zniszczyć twory Pana.

Zerknąłem podejrzliwie na duchownego; niby miał poważną minę, ale coś mi się wydawało, że tak naprawdę myśli inaczej. W milczeniu dopilem herbatę i jeszcze sobie dolałem.

- Pyszna - powiedziałem, a Alona skinęła głową. Piła

niewielkimi łyżkami, zagryzając ciastem. Ja piłem już drugą filiżankę, ona dopiero zaczęła pierwszą.

- Nauczyłem się zaparzać ją jeszcze w wojsku. Mieliśmy takiego jednego sierżanta... Zresztą nieważne. Kontynuujcie, szanowny diable.

Proszę, jeszcze sobie kpi...

- Dobrze. - Zdecydowanym ruchem odstawiłem filiżankę, złączyłem dłonie i oparłem się łokciami o stół, patrząc twardo na ojca Fiodora. - Odłóżmy na bok złośliwostki, nie mam ochoty na grę „komu się to prędzej znudzi”. Uznajmy, że pan zwyciężył.

Kapłan skinął głową.

- Od razu zrozumiałem, że jesteś mądrzejszy od Ksefona.

- To akurat nie jest trudne. Być głupszym od Ksefona, o, to dopiero byłoby osiągnięcie! Ksefon jest specjalistą od jednej rzeczy, drobnych świństw, był nim, jest i będzie. Chciałem z panem porozmawiać nie z powodu Ksefona. Aha, to przyznam się od razu, że słyszałem waszą rozmowę z malarzem, jak również jego zabawną sugestię, że jesteśmy kosmitami.

- Domyśliłem się. Czy Ksefon również nas podsłuchiwał?

- Nie. - Potrząsnąłem głową. - Jest pan kapłanem, mówiąc językiem zrozumiałym dla pana, chociaż w piekle i w raju słowo „kapłan” jest tak skompromitowane, że, jak już wspomniałem, my wolimy termin „uzdrowiciel dusz”. Jest pan więc uzdrowicielem dusz, ale nadal nie zdaje pan sobie sprawy ze swojej siły. Niech pan sobie przypomni, co

się stało z Ksefonem, jak oparzył go pan dotykem.

- Ale z tobą mi się nie udało.

- Już panu wyjaśniłem przyczynę... Niech pan sobie przypomni, z jakim zamiarem podszedł pan do niego, a z jakim do mnie. Do niego zbliżył się pan, chcąc mu pomóc, szczerze życząc dobra. A do mnie? Życząc mi nieprzyjemności. Czy naprawdę chciał pan walczyć z diabłem mrocznymi uczuciami? Nie sądzi pan, że to śmieszne?

- Ach, to dlatego... Nadstawić drugi policzek!  
Skrzywiłem się.

- Wy, ludzie, wszystko bierzecie tak dosłownie.

- Ezergil, do rzeczy - nie wytrzymała Alona.

- Ach, no tak. Dobrze, zostawmy tę rozmowę.

- Jeszcze tylko jedno... Nie rozumiem, dlaczego Ksefon nie mógł nas podsłuchiwać?

- Dlatego, że życzył pan dobra tamtemu domowi! - warknąłem, wyprowadzony z równowagi niedomyślnością kapłana. - Pobłogosławił pan go! I nic złego nie mogło przeniknąć do jego wnętrza!

- A ty?

- Tfu! No dlaczego sądzi pan, że ja jestem złem?! Cholera! Zupełnie oduczył się pan myślenia?! Dlaczego ja mam być złem?!

- Ale po co się tak denerwować? - Ojciec Fiodor popatrzył na mnie osłupiały.

- Przepraszam... Ja również nie mogłem tam zajrzeć, ale nie dlatego, że jestem złem. Po prostu pańska energia i moja się wzajemnie nie przyjmują. A ona mogła. - Skinąłem głową na Alonę. - I ona



podśluchiwała. Słyszałem wszystko dzięki niej.

- Anioł podśluchiwał? Sądziłem, że anioły są takie... takie...

- Dobrze, uczciwe, czyste? Cha, cha. No niechże pan wreszcie zrozumie, że my nie jesteśmy dobrem czy złem, tylko waszym odbiciem! Odbiciem waszej wiary! Jesteśmy tacy sami jak wy! Nie lepsi i nie gorsi!

- Chwileczkę - spytał kapłan czujnie. - Co powiedziałaś o odbiciu?

- Jeszcze pan nie zrozumiał? Istniejemy tylko dopóty, dopóki ludzie w nas wierzą. Wy jesteście nieśmiertelni, my nie. Jesteśmy dla was jak kule dla kaleki; wskazujemy drogę, kierujemy, karzemy. W chwili, gdy ludzie przestaną potrzebować wspomagania, znikniemy.

- A Bóg?

- O, rany, proszę, niech pan przy mnie o Nim nie wspomina. Odpowiadam: On stworzył was, ludzi, a wy stworzyliście nas. Czy to jasne? Jesteśmy tacy, jakimi nas widzieliście. W czasach inkwizycji anioły i diabły również prowadziły wojny. Anioły ratowały ludzi, my karaliśmy. Toczyły się bitwy o wasze dusze. Ilu aniołów zginęło z rąk diabłów, ilu diabłów padło z rąk aniołów! Ale stopniowo dorośliście, więc dorośliśmy i my. Staliście się pragmatykami, zatem my również. W końcu stanęło na tym, że anioły i diabły nie mają o co walczyć, każdy wykonuje swoją pracę. Powtarzam, nie możemy być ani lepsi, ani gorsi od ludzi, jesteśmy tacy jak wy, ze wszystkimi waszymi wadami i zaletami.

Kapłan potrząsnął głową.

- Dla mnie to wszystko jest zbyt... niesamowite.

- Wierzę. Dlatego lepiej opowiem, od czego się to wszystko zaczęło, a zaczęło się od mojego wujka, którego ojciec uważa za hańbę rodziny, ponieważ został skrzydlatym; tak nazywamy aniołów. Przybył do piekła w swoich sprawach i zabrał mnie ze sobą do ministerstwa kar. Tam spotkałem pewną zbląkaną duszę...

Zacząłem opowiadać. Ojciec Fiodor słuchał z otwartymi ustami, zapominając o całym świecie. Najwyraźniej moja opowieść była dla niego szokiem. Zwłaszcza piekło, chyba wyobrażał je sobie inaczej. A tu takie same miasta i tacy sami mieszkańcy tych miast, ze swoimi troskami i radościami. Tyle, że ogoniaści.

- I to już właściwie wszystko - zakończyłem. - Nie opowiadałbym o tym, ale odgadł pan, co chciałem przekazać w swoich aluzjach; tylko zamiast w to uwierzyć, zaczął pan wietrzyć podstęp. Wkrótce zaczęłyby pan wątpić, a to do niczego dobrego by nie doprowadziło.

- Ezergil... - powiedziała Alona jakoś tak smutno.

- Tak?

- Dopiero teraz rozumiałam, twój wujek po prostu mnie wykorzystał. Potrzebował pomocy dla ukochanego bratanka i dlatego wybrał rozentuzjasmowaną idiotkę.

Roześmiałem się, Alona popatrzyła na mnie z urazą.

- Co w tym śmiesznego?

- Ależ wszystko! Oj, nie mogę! Alona, ty po prostu nie znasz mojego wujka! Zaczniemy od tego, że jest aniołem, a już samo to nakłada na niego określone ograniczenia. Po drugie, na pewno nie zrobiłby mi

takiego świństwa. Początkowo też myślałem, że przysłał mi pomoc, bo we mnie nie wierzył. Ale przecież zawsze powtarzał, że ma o mnie wysokie mniemanie. Wyobrażasz sobie, jak bym się czuł, gdybym odkrył, że nie można mu ufać? Nie, wujek by nie zaryzykował. Po prostu miał w tym jakiś swój plan...

Domyślałem się nawet, jaki, i bardzo mi się to nie podobało, jednak nie miałem zamiaru opowiadać Alonie o swoich domysłach. Po pierwsze, w końcu to tylko domysły, a po drugie, anielica wcale nie musiała o nich wiedzieć.

- Tak czy inaczej - dokończyłem - chodzi o pomoc temu nieszczęsnemu chłopcu i jego matce. Z czego jesteś taka niezadowolona?

Alona uśmiechnęła się słabo.

- Nic, nic, wszystko w porządku. Przepraszam, że zwątpiłam.

Kapłan słuchał nas z ogromną uwagą. Zerknąłem na niego, a on opuścił wzrok.

- Taak... To wszystko jest bardzo zaskakujące... jeśli to oczywiście prawda. Chłopcze, niszczysz cały istniejący system, obalasz uznane fakty!

- Naprawdę? - prychnąłem. - Zdradzę panu straszną tajemnicę: nie ma nic bardziej zwodniczego niż uznane fakty. A co się tyczy systemu... Czy ja go niszczę? Przecież nie będzie pan rozповідаł po całym mieście o tym, czego się pan właśnie dowiedział?

- Jeśli nie opowiem, będzie to kłamstwo.

- Znacznie gorzej będzie, jeśli pan opowie. Zresztą, sam pan doskonale rozumie, że to prawda z gatunku

tych, do których ludzie muszą dojść sami. Sami powinni zrozumieć, że nie ma dobra i zła, a tylko czyny, które zbliżają was do Niego lub od Niego oddalają. On nie potrzebuje ani czołobitności, ani służalczości, chciałby w was widzieć równych sobie pomocników, nie sługi.

- Nikt tu nie mówi o sługach.

- Ach, oczywiście, a „sługa boży” to tylko taki zwrot. Fiodorze Iwanowiczu! Słowa to broń! Straszniejsza od wszystkich waszych bomb! Już kto jak kto, ale pan powinien o tym wiedzieć! Ludzie stają się tym, co o sobie mówią. Dopiero, gdy przestaniecie być czyimikolwiek - nawet Jego! - sługami, będziecie mogli wznieść się do Niego. A dalej... dalej to już sami myślcie.

Kapłan spojrział na Alonę, dziewczyna skinęła głową.

- On ma rację. Bo niech pan pomyśli, po co Mu służy? Gdyby chciał mieć pokorne sługi, nie dałby ludziom wolnej woli. On chce, żebyście się doskonalili, byście kiedyś stanęli obok Niego, mogli być Jego pomocnikami w dziele tworzenia. Pomocnikami, nie wykonawcami poleceń, bo służa nie może tworzyć.

- W takim razie dziwne, że Bóg nie dał ludziom skrzydeł, aby mogli wzlecieć ku Niemu.

Ja i Alona westchnęliśmy jednocześnie.

- Przecież nie myśli pan tego naprawdę - zauważyła dziewczyna.

- Gdyby dał ludziom skrzydła - dodałem złośliwie - to one przeszkadzałyby im w czołganiu się. Nie można się do Niego wznieść na „podarunku”, rozumie pan? Do skrzydeł trzeba dorosnąć.

- Dobrze, nie będę się z wami spierał. Udajmy, że o niczym mi nie mówiliście.

- Słusznie. - Skinąłem głową. - To najprostsze wyjście.

Ojciec Fiodor popatrzył na mnie podejrzliwie.

- Mam wrażenie, że usłyszałem w twoich słowach wyrzut.

- Wyrzut? Skąd. Powiedziałem tylko, że to faktycznie najprostsze wyjście: nic nie widzieć i niczego nie słyszeć. Jeśli nie widzisz i nie słyszysz, to nie ponosisz odpowiedzialności. Do diabła! - warknąłem. - Powiedziałem panu o tym wszystkim nie dlatego, że chcę pomocy! Bez pana też sobie jakoś poradzimy, z trudem, ale jednak! Po prostu wydawało mi się, że jest pan mądrym człowiekiem, znacznie mądrzejszym od innych, że pan zrozumie! Chodź, Alona, zdaje się, że nie mamy tu nic do roboty.

Wstałem i skierowałem się do wyjścia. Alona wstała również, podreptała niepewnie w miejscu i poszła za mną.

- Zaczekajcie... - poprosił żałośnie kapłan. - Nie mogę przecież wystąpić przeciwko całemu światu!

Odwróciłem się.

- A czy my o to prosimy? Nie każemy panu zmieniać świata, prosimy tylko, żeby zmienił pan siebie.

- Tylko tyle! - prychnął ojciec Fiodor.

- Tak - skinęła głową Alona - to znacznie trudniej niż zmienić świat. Pomoże nam pan uratować chłopca, jego ojca i mamę?

- A czy jego ojcu jeszcze można pomóc?

- Nic nie zrozumiał - westchnąłem. - Przebaczenie chłopca ma ogromne znaczenie. Ojciec Aloszy nie uniknie kary, ale jego przyszłość... Mówiąc najprościej i po ludzku: powiedzmy, że Nienaszew ma zmienić pracę. Tu chodzi o to, jak będą wyglądały jego akta w następnej firmie: czy będzie miał zszarganą opinię, czy nie. Czy pozwolą mu zacząć od czystej karty, czy też niegodne czyny na zawsze splamią jego duszę? Jasne?

- A czemu diabłu tak na tym zależy?

- Właśnie dlatego mi zależy, że jestem diabłem, a nie człowiekiem!

Kapłan opuścił oczy.

- Zawstydziłeś mnie... Przecież wiecie, że i tak pomógłbym chłopcu.

- Nie tylko on potrzebuje pomocy.

- Zawsze starałem się pomagać wszystkim potrzebującym.

- Wiemy. - Alona kiwnęła głową.

- Mam jeszcze jedno pytanie. - Kapłan popatrzył na mnie. - Wspominałeś o pomaganiu innym, a jak się to ma do ciebie? Z tego, co mówiłeś wynika, że bawisz się ludźmi, zmuszając ich do robienia tego, co ci potrzebne.

Uśmiechnąłem się uprzejmie.

- Niech pan nie zapomina, kim jestem. Poza tym, to niesłuszny wniosek. Nie bawię się ludźmi. Ja tylko daję im to, czego chcą. Jeśli chcą, żeby nimi sterować, to właśnie to im daję. Wyczuwa pan różnicę?

- Chcesz powiedzieć, że ludzie chcą, żeby nimi sterować?

- Większość tak. Samodzielne myślenie jest bardzo

męczące, znacznie łatwiej kogoś słuchać.

- Załóżmy. Ci złodzieje, którzy zaczepiali Aloszę, ci milicjanci łapówkarze, tamten kapłan... Och, aż mnie ręce świerzbią, żeby z nim porozmawiać...

- Nie sądź, jeśli nie chcesz być sądzony - powiedziała Alona. - Nie pan będzie rozliczał tego człowieka.

- Chyba nie jestem tak dobrym uzdrowicielem dusz, jak mówiliście - prychnął ojciec Fiodor.

- Jest pan. Ale jest pan również człowiekiem. - Alona pokręciła głową. - Niech pan tego niepotrzebnie nie komplikuje.

- Dobrze, rozumem. Ale chciałem jeszcze zapytać o Ksefona. On też chce, żeby nim kierować?

- Nie, on chce kierować sam. - Znudziło mi się stanie przy drzwiach, wróciłem do stołu w kuchni i wziąłem kawałek ciasta. - Ja mu tylko odrobinę pomogłem. Czy to moja wina, że lalkarz przemienił się w lalkę? Ksefon opuścił mnóstwo zajęć, między innymi te, na których mówiono nam, że taki los czeka wszystkich lalkarzy. Taki człowiek budzi się pewnego dnia i odkrywa, że ktoś trzyma w rękach jego nitki, tak jak on trzymał nitki innych ludzi.

- To znaczy, że nie masz z tym nic wspólnego?

- Dlaczego? Mam! Nie rozumie pan roli diabłów. My jesteśmy jedynie losem, dajemy to, czego ludzie chcą. Ludzie sami dokonują wyboru. Nie możemy się wtrącać. Jesteście wolni w korzystaniu z własnej woli.

- W głowie mi się mąci od tego wszystkiego. Widocznie jestem złym kapłanem. Gdyby tu był mój nauczyciel, on wiedziałby, co powiedzieć...

- Wie pan, jakoś mało mnie interesuje, co mógłby powiedzieć pański nauczyciel. Bardziej interesowałoby mnie to, na ile jest szczery w tym, co mówi. Jak bardzo on sam w to wierzy. Ee... - Odwróciłem się do Alony, szukając wsparcia i odkryłem, że śpi; położyła ręce na stole, na rękach głowę i zasnęła! Otworzyłem usta, a ojciec Fiodor pokręcił głową.

- No proszę, zameczyłem was swoją paplaniną. No, moi drodzy, czy jesteście aniołami czy diabłami, zdaje się, że najwyższy czas, żebyście poszli spać. Pościelę wam, nie ma sensu latać w nocy po mieście.

- Ale...

- Cicho, sza! Bądź dżentelmenem! Dziewczynka zasnęła ze zmęczenia, a ty nie pozwolisz jej odpocząć?

- A co ja mam do rzeczy? Ona sama potrafi się o siebie zatroszczyć!

- Cicho! Idziemy. Ją położymy na łóżku, a tobie pościelę na podłodze.

- A to niby dlaczego? Ona już zasnęła, więc jej wszystko jedno, gdzie będzie spać, a ja na podłodze nie zasnę!

Kapłan obrzucił mnie długim spojrzeniem.

- Teraz już wierzę, że jesteś diabłem.

Zabrzmiało to dość obraźliwie. Phi, wielkie rzeczy, nawet nie zna się na żartach... Przecież żartowałem, wcale nie chciałem, żeby Alona spała na podłodze. Ściągnąłem brwi i poszedłem za kapłanem. Ten już pościelił kanapę w małym pokoju i teraz rozkładał na podłodze jakąś kołdrę, pewnie dla mnie, przykrył ją prześcieradłem i położył poduszkę, wyjął z szafki



jeszcze jedną kołdrę i położył na pościeli.

- Kładź się - skinął na mnie - ja zaraz przyjdę.

Zerknąłem na pościel, potem na siebie, klasnąłem w dłoń i moje ubranie zmieniło się w pizamę. No proszę, a w domu nic by mi z tego nie wyszło. Na ziemi zdolności diabłów i aniołów wielokrotnie wzrastają; nic dziwnego, przecież tu jest źródło wiary...

Do pokoju wszedł ojciec Fiodor, niosąc Alonę na rękach. Dziewczyna nawet się nie obudziła, ale ma sen! Aż jej pozazdrościłem. Kapłan z pewnym zaskoczeniem zerknął na moją pizamę; podszedłem do niego i przesunąłem ręką nad śpiącą dziewczyną. Jej ubranie również zmieniło się w pizamę.

- Bycie diabłem ma swoje dobre strony - zauważyłem niewinnie.

Kapłan zamrugnął oczami. Zrozumiałem, że ma straszną ochotę się przeżegnać, ale żeby to zrobić, musiałby puścić dziewczynę. Ucieszyłem się, gdyby się przeżegnał, musiałbym stąd wiać.

- Tylko proszę, niech pan nie robi znaku krzyża! Nie chce pan chyba, żebym nocą paradował po mieście w tym stroju? Przeziębilibym się, może bym nawet umarł, a wszystko przez pana. Byłaby to pańska wina i miałby pan wyrzuty sumienia...

Ojciec Fiodor prychnął, położył Alonę na łóżku i przykrył ją kołdrą. Zauważyłem przelotny smutek w jego oczach.

- Ma pan dzieci? - spytałem nagle, oglądając pokój, który przypominał pokój dziecinny.

Kapłan odwrócił się do mnie, przez jakiś czas patrzył

mi prosto w oczy. Wytrzymałem to spojrzenie.

- Mam. - Skinął głową. - Córkę. Trochę starszą od was.

- Naprawdę?! - zdumiałem się. - To ile ona ma? Sto dwadzieścia pięć lat?

Ojciec Fiodor spojrzał na mnie zaskoczony, a potem zaśmiał się bezgłośnie.

- Zupełnie zapomniałem, kim jesteście. Jak się na was patrzy to po prostu dwunastoletnie dzieciaki.

- Pozory mylą... - powiedziałem pouczająco, zadowolony, że mój wygłup usunął smutek z oczu kapłana.

- Jeszcze jak...

- I co się stało z pana córką? Jeśli to nie tajemnica...

- Jaka tam tajemnica... Żona odeszła ode mnie i zabrała dziecko ze sobą. Od tamtej pory ich nie widziałem.

- Aa... Przepraszam.

- Zupełnie nie przypominasz teraz diabła - powiedział i wyszedł, cicho zamykając za sobą drzwi.

Popatrzyłem za nim. Przypominam, nie przypominam... Myślałby kto, że oglądał w życiu wielu czartów... I to już była moja ostatnia myśl, zasnąłem.

## Rozdział 5

Ponieważ wyspałem się poprzedniej nocy w areszcie, obudziłem się dość wcześnie. Leżąc beczynn timer, przypomniałem sobie niedawne fiasko z uśmiechem i postanowiłem trochę potrenować. W myślach skontaktowałem się z drzewem, w którym ukryłem swoje rzeczy i poprosiłem je, żeby przesłało mi z torby książkę. Kilka sekund później leżał przede mną podręcznik w niepozornej okładce. Otworzyłem go i podszedłem do lustra. Popatrzyłem na zdjęcie w książce, spróbowałem skopiować uśmiech. Zerknąłem na odbicie. Niby nieźle... Jeszcze raz spojrzałem na fotografię i powtórzyłem całą operację. Tym razem wyszło gorzej. Westchnąłem, spróbowałem jeszcze raz. Zajęty treningiem nie zauważyłem upływu czasu...

- Czemu robisz do siebie takie miny?

Odwróciłem się. Alona, opierając się na łokciach, przyglądała mi się uważnie.

- Nic nie rozumiesz - burknąłem urażony. - Wcale nie robię min.

Dziewczynka wyszła spod kołdry i popatrzyła na swój strój.

- Oddaj mi moje ubranie, dobrze? - poprosiła. - W piżamie jakoś tak nie wypada...

Nie odwracając się, klasnąłem w dłonie.

- Super! To jak, powiesz mi, co robisz? - Stała obok i próbowała zajrzeć mi przez ramię.

- Pracuję nad uśmiechami, w oparciu o książkę.

- Że co? Nad uśmiechami? O książkę?... - Alona popatrzyła na mnie osłupiałym wzrokiem. - Jaką książkę?

- Tę. Seria ŻSD, czyli „Życie Sławnych Diabłów”. Mam tutaj część o Mefistofelesie.

Alona zerknęła na okładkę.

- A, twój ideał, mówiłeś... A po co trenujesz uśmiechy?

- Nie rozumiesz. Uśmiech to dla diabła wszystko, jest jak wizytówka! Poprzez uśmiech diabeł powinien umieć kierować swoim rozmówcą...

- O, rany... - Alona wyjęła mi książkę z rąk i zerknęła na zdjęcie. Obejrzała kilka rodzajów uśmiechów, poczytała podpisy, po czym odsunęła od siebie podręcznik. - Zawsze myślałam, że uśmiech powinien być przede wszystkim szczery. Żeby kierować kimś przy jego pomocy... Według mnie to podłe.

- Nic podobnego! To strasznie diabelskie!

- No przecież mówię, że podłe! Ezergil, po co ci to? Masz taki ładny własny uśmiech... a gdy zaczynasz się wykrzywiać w oparciu o to opracowanie, zaraz robi mi się gorzej. Teraz rozumiem: wszystkie twoje grymasy pochodziły właśnie z niej!

Zerknąłem z powątpiewaniem na książkę, potem na Alonę.

- Naprawdę podoba ci się mój uśmiech?

- Oczywiście! Jest bardzo ładny, taki zadziorny. A to, co robisz, kopiując te fotografie... blee...

Uśmiechnąłem się. Alona obeszła mnie dookoła, a

potem szybko wyjęła z kieszeni lusterko i podała mi.

- Prawda, że super?

- Możliwe... - Wzruszyłem ramionami, przyglądając się swemu odbiciu. Potem odwróciłem się do dużego lustra ściennego. Uśmiechnąłem się tak, jak było pokazane w „Życiu Sławnych Diabłów”. - A wiesz, że masz rację? Już rozumiem, najważniejsza jest szczerowość uczuć. Jeśli wierzy się w to, co chce się pokazać, to uśmiech wychodzi taki, jak trzeba. Należy po prostu zrozumieć, jakie uczucia chce się wmówić swojemu rozmówcy i wewnątrz siebie na nie nastawić.

- Ezergil! - Alona tupnęła gniewnie nogą. - Wcale nie o to mi chodziło! Chciałam powiedzieć, że szczerowość jest zawsze lepsza od oszustwa!

- Już zrozumiałem. - Skinąłem głową. - Dziękuję. Jeśli szczerze uwierzę w uczucia, które chcę pokazać, to i uśmiech wyjdzie odpowiedni. Teraz muszę już tylko potrenować.

- Nie da się z tobą rozmawiać! - Anielica odwróciła się gniewnie, uderzając mnie w twarz swoim końskim ogonem. - I wcale nie jesteś lepszy od tych wszystkich diabłów, o których nam mówiono w szkole! Nawet gorszy!

Wyskoczyła z pokoju, trzaskając drzwiami, a ja stałem stropiony. Przecież wcale nie chciałem jej obrazić, słowo honoru! Co ją znowu napadło?

- Widzę, że już wstaliście? - Fiodor Iwanowicz zajrzał do mnie.

Popatrzyłem na trzymaną w rękę książkę i pstryknięciem palców odesłałem ją do drzewa.

- Wstaliśmy - odburknąłem.

Kapłan popatrzył na mnie w zadumie, a ja, usiłując nie zwracać na niego uwagi, poszedłem do łazienki. Nacisnąłem klamkę, drzwi były zamknięte. Nadstawiłem uszu. Ze środka dobiegały podejrzane odgłosy szlochania. Zerknąłem na stojącego obok kapłana i zastukałem.

- Idź sobie! - dobiegło zza drzwi.

- Alona...

- Powiedziałaś, idź sobie! Nie chcę cię więcej znać! Nie chcę cię widzieć!

Zerknąłem zakłopotany na Fiodora Iwanowicza i wzruszyłem ramionami.

- Dziewczyny - powiedziałem tak, jakby to wszystko wyjaśniało.

- Aha. - Kapłan skinął głową. - Ale coś mi się zdaje, że powinieneś przeprosić.

- Za co?! - oburzyłem się.

- Nie wiem. Ale nie płacze się ot, tak sobie. Mam wrażenie, że ją obraziłeś.

Znowu zerknąłem na drzwi. Zastukałem. Tym razem nie było żadnej odpowiedzi. Teraz to Fiodor Iwanowicz wzruszył ramionami.

- Oczywiście nie znam się na stosunkach między diabłami i aniołami, ale wydaje mi się, że ta dziewczynka nie jest ci obojętna, podobnie jak ty nie jesteś obojętny jej. Ale teraz oboje jesteście bliscy tego, żeby się utracić.

Uzdrowiciel dusz, psiamać! Miałem ochotę spluć. Dużo on tam rozumie... Dobra, sam sobie poradzę...

Ściągnąłem brwi, poprawiłem ubranie i przeszedłem przez drzwi do łazienki. Usłyszałem okrzyk kapłana, ale nie zareagowałem.

Alona siedziała na brzegu wanny i płakała. Na mój widok szybko się odwróciła.

- Powiedziała ci, idź sobie! Zawsze wchodzisz tam, gdzie ci zabraniają?!

Wzruszyłem ramionami.

- Gdybyś rzeczywiście nie chciała mnie widzieć, to mogłabyś naprawdę uniemożliwić mi wejście.

- Ach, tak?! - Zerwała się z miejsca, jej oczy rozblęły gniewem. - Myślałam, że jesteś mądry, a ty jesteś głupi! Głupi! Wynocha! Won stąd!!! - Lśnienie, które zapłonęło wokół skrzydlatej, parzyło, wypychając mnie z łazienki.

- Alona! - próbowałem ją zmiłgować. - Porozmawiajmy! No, bez tego wszystkiego... Jeśli coś zrobiłem nie tak, to przepraszam!

- Won!!! - Zostałem wyrzucony niczym korek od szampana prosto pod nogi popa.

Ten patrzył na mnie z uśmiechem.

- Naprawdę jesteś głupi - zawyrokował.

Zerwałem się wściekły, rzuciłem do drzwi łazienki... i odbiłem od nich jak od betonowej ściany.

- Pozostawiła ci możliwość wejścia właśnie dlatego, że chciała, żebyś wszedł. Przecież sam się tego domyśliłeś. Miała nadzieję, że przyjdiesz. A ty zachowałeś się jak młot. - Fiodor Iwanowicz patrzył na mnie ze smutnym uśmiechem.

- Nieładnie podsłuchiwać - burknąłem, dopiero teraz

rozumiejąc, jakiego kretyna z siebie zrobiłem.

- I kto to mówi...

Spojrzałem na niego gniewnie, ale od razu oklapłem.

- Fiodorze Iwanowiczu... Ojczy Fiodorze... No co ja mam teraz zrobić? - zapytałem żałośnie. - Przecież bez niej nie dam sobie rady! Jeśli ona teraz odejdzie... Ja nie zdołam...

- Dobrze, że to rozumiesz. Co masz zrobić, jak myślisz? Przeprós. Przeprasza, aż ci wybaczy. To wszystko, co mogę doradzić. Pójdę zrobić herbatę...

Popatrzyłem na odchodzącego kapłana. Cholerny uzdrowiciel dusz! Łatwo mu mówić! A ja jestem diabłem! Diabłem!!! A diabły nie proszą o wybaczenie! Nigdy! Nikogo!

Odwróciłem się od drzwi i zrobiłem krok w stronę kuchni. Zaraz wezmę, pójdę i dam sobie z tym wszystkim spokój! Niech dziewczucha sama pomaga Aloszy! Tylko że wtedy nie zaliczę roku. Dobra, zostanę, ale tylko z powodu praktyki! A, no i jeszcze z powodu pięciuset monet. Tak jest! Jak mogłem o tym zapomnieć! Pięćset!

Jeśli teraz rozstanę się z Aloną, przegram! Dobra, biorąc pod uwagę taką forszę, mogę się nawet pokajać. Diabły właściwie nie robią takich rzeczy, ale dla pięciuset sztuk cennych monet warto złamać pewne zasady. No i z powodu wakacyjnej pracy. Dokładnie tak, z powodu pieniędzy i praktyki. A ta uparta, głupia anielica niewiele dla mnie znaczy. Wielkie rzeczy! Wcale nie jest aż taka ładna... a do tego wredna. Dobra, z powodu monet i praktyki, a wcale nie dla niej,



powtarzałem w myślach.

Ostrożnie podszedłem do drzwi i zastukałem.

- Alona... Jestem idiotą.

Cisza.

- Wiem, że mnie słyszysz. Zrozum, ja często mówię nie to, co myślę... No, ale przecież jestem diabłem, a ty aniołem. Najlepszym aniołem, jakiego kiedykolwiek znałem. Czy naprawdę mi nie wybaczysz? Czy w twoim sercu nie ma ani odrobiny litości dla takiego głupka jak ja? Wiem, że jestem kretynem, ale chyba mnie z tego powodu nie zabijesz?

- A powinnam - dobiegło zza drzwi.

Hura! Odezwała się! Skoro tak, na pewno zdołam ją przekonać! Zaraz zacznę gadać i odniosę sukces... Hej, stop, stop! Już raz dziś się nagadałem, a efekt jest jaki jest. Wystarczy tego mędrkowania. Jak ona mówiła? Że najważniejsza jest szczerłość?...

- Alona - jęknąłem. - Wybacz mi, proszę! Nie mogę wytrzymać, kiedy tak się na mnie złości. Jestem bałwanem...

- I to jeszcze jakim!

Poczułem, że bariery już nie ma i czym prędzej wsunąłem się do łazienki. Alona od razu złapała mnie za bluzę.

- Nigdy, przenigdy nie wykorzystasz tego, o czym rozmawiamy do tych swoich diabelskich sztuczek! Obiecuj mi to!

Aha! Więc to ją tak rozgniewało! Faktycznie jestem bałwanem. Powinienem był zrozumieć, że żarty odnośnie pouczeń anioł weźmie sobie za bardzo do

serca. Ona ujawniała przede mną swoje uczucia, a ja sobie zakpiłem...

- Obiecuję.

Puściła mnie.

- Ezergil, jesteś najbardziej nieznośnym typem, jakiego znam!

- Każdy ma jakieś wady - zauważyłem filozoficznie. - Ale i ty mi coś obiecaj.

- Co?

- Że nie będziesz mnie już niczego uczyła, żebym mógł dotrzymać danego słowa... - No i co za... czort... ciągnie mnie w takich chwilach za język?!

- Ezergil! - Alona przez chwilę patrzyła na mnie gniewnie. Zamarłem przestraszony, ale w końcu zachichotała. - Jesteś niepoprawny.

- Tak - odetchnąłem z ulgą - ale gdybym był poprawny, to nie byłbym sobą.

- Zgadza się. To co, zgoda?

Uścisnąłem wyciągniętą rękę.

- Zgoda. Może podejźmy do swoich wad z większą tolerancją?

- Tak zrobmy. Ale pamiętaj, że wyciągam do ciebie rękę tylko z powodu Aloszy! Jasne?

- Absolutnie. - Skinąłem poważnie głową. - Ja też robię to tylko dla zaliczenia praktyki.

- No to super, że się tak dobrze rozumiemy.

- Aha. - Kiwnąłem głową, postanawiając nie drażnić tego tematu. Naprawdę się rozumieliśmy. Nawet usprawiedliwienie dla naszego rozejmu wybraliśmy to samo... - Chodźmy, w kuchni chyba czeka na nas

herbata. Nie wiem, z czego ojciec Fiodor ją zaparza, ale smakuje fantastycznie. Warto byłoby poprosić o przepis...

\*

Kapłan prowadził nas w stronę peryferii miasta. Szliśmy za nim, choć nie do końca rozumiałem, dokąd zmierzamy i co mamy tam robić. Fiodor Iwanowicz powiedział, że po prostu musi się spotkać z pewnym człowiekiem i że poszedłby do niego jeszcze wczoraj, gdyby ten był u siebie.

- Co to za człowiek? - zainteresowała się Alona.

- Bardzo dobry. Mój były dowódca z Afganistanu.

Nic więcej nie powiedział, ale też niczego więcej nie potrzebowałem. Zostałem trochę w tyle, żeby wyjąć swój bezcenny notes. Trochę niewygodnie czyta się, idąc, ale można przeżyć. Alona szła obok i zaglądała mi przez ramię. Zerknąłem na nią z dezaprobatą, ale nie wspominałem, że przecież ma własny informator. Niedawno się pogodziliśmy, nic dziwnego, że nie miałem najmniejszej ochoty na nową kłótnię. Skoro jej tak wygodnie, niech sobie czyta.

W tym momencie kapłan zatrzymał przejeżdżający samochód, zapytał o coś kierowcę i pomachał do nas ręką.

- Szybko, wsiadajcie!

Popatrzyliśmy z Aloną na siebie. Wzruszyłem ramionami i usiadłem na tylnym siedzeniu, Alona obok mnie, a ojciec Fiodor z przodu. Samochód ruszył, skrzydlata popatrzyła uważnie na kierowcę i prychnęła.

- Wasze dzieci? - zapytał tamten, patrząc w lusterko przed sobą.

- Nasze, nasze - odparłem. - A co, niepodobne?

- Bystry chłopak - skomentował.

Alona starała się nie wybuchnąć śmiechem, popatrzyłem na nią z godnością.

- Proszę, nawet obcy ludzie to przyznają - zauważyłem i zwróciłem się do kierowcy. - Poza tym jestem jeszcze mądry, śmiały i skromny.

Teraz już ojciec Fiodor nie wytrzymał i parsknął śmiechem, a mężczyzna za kółkiem też miał chyba niezły ubaw.

- Wesoło sobie żyjecie...

- Nawet pan sobie nie wyobraża, jak - powiedział ojciec Fiodor. - Z tą dwójką nie sposób się nudzić.

W końcu samochód zatrzymał się na jakiejś ulicy, gdzie stały stare czteropiętrowe bloki, nazywane przez ludzi „chruszczówkami”; kapłan zapłacił, wysiedliśmy z samochodu i poszliśmy w stronę najbliższego podwórka.

- Wyjaśnijcie mi coś - poprosił, idąc przodem i nie odwracając się do nas. - Jak rozumiem, cały plan dotyczący zwrócenia Aloszy ku wierze wymyślił właśnie Ezergil. Rozumiem sztuczkę ze sprzedażą duszy i umową. Rozumiem też, dlaczego wciągnęliście w to matkę chłopca, mam pojęcie, w jakim celu wpakowaliśmy w to ojca. Nawet udział tych małych złodziejasków jest dla mnie zrozumiały. Jednego tylko nie mogę zrozumieć: po co było wciągać w to wszystko prawdziwych bandytów? Przecież oni nie

będą żartować!

- Słyszał pan o nieprzewidzianych problemach? - zapytałem.

- Chcecie powiedzieć, że to właśnie taki problem? A nie jest czasem zbyt poważny?

- Powiem tak: nie miałem pojęcia, że ojciec Aloszy poleci do najbliższej knajpy i będzie tam opowiadał o znalezionych milionach.

- Myślałem, że mówiłeś o restauracji?

- A co za różnica?

- No tak, rzeczywiście. Rozumiem, czyli nieprzewidziane problemy. A jaki macie teraz plan? Jak chcecie działać dalej?

- Nijak.

- To znaczy? - Zaskoczony kapłan stanął i odwrócił się do nas.

Westchnąłem ciężko.

- Nie możemy oddziaływać na wydarzenia wprost, jedynie pośrednio. Nie rozumie pan? Łamanie wolnej woli człowieka jest zabronione.

- Nawet jeśli wolna wola grozi śmiercią?

Teraz już westchnęliśmy oboje.

- Niech pan zrozumie - zaczęła Alona. - Dla was śmierć wydaje się końcem wszystkiego, jednak z naszego punktu widzenia to dla duszy jedynie etap przejściowy. Oczywiście nie mamy zamiaru przyspieszać niczyjej śmierci, każdy powinien zrobić na ziemi to, co ma do zrobienia. Zabójstwo to również wolna wola człowieka, tu ma pan rację, ale nie można dać wolnej ręki w czynieniu dobra i stawiać ograniczeń

w robieniu zła. Jeśli przeszkadzimy komuś w popełnieniu przestępstwa tu i teraz, gdzieś na pewno dojdzie do jeszcze większej zbrodni. Czy to dla pana jasne?

Zamyślony duchowny ominął kałużę.

- Niezupełnie - wyznał.

- To dlatego, że patrzy pan z punktu widzenia człowieka. Gdy ludzie widzą, że gdzieś panuje zło, jest rzeczą naturalną, że pragną to naprawić; i to jest słuszne. Stłamszone i zdławione zło zawsze zrodzi dobro. Ale jeśli ja albo Alona spróbujemy mu zapobiec, spowodujemy, iż gdzieś urodzi się zło jeszcze większe. Wmieszamy się w podstawę porządku funkcjonowania świata, Wolną Wolę Człowieka.

- Rozumiem, czyli nasze problemy będziemy musieli rozwiązać bez waszego udziału.

- Przecież to właśnie robicie. Gorzej lub lepiej, ale robicie.

- Hm. - Kapłan zaczął pogwizdywać jakąś piosenkę. Podszedł do drzwi klatki schodowej i nagle zamarł. - Dobrze, w takim razie zaczekajcie tu na mnie. Skoro już nie możecie mi pomóc, zostawcie ludziom ich sprawy. Też mi, anioł i diabeł...

Zostaliśmy więc na dworze, a ojciec Fiodor zniknął w bramie. Wzruszyłem ramionami i usiadłem na ławce przed klatką, obserwując dzieci bawiące się na podwórku. Anielica przysiadła obok.

- Chyba się obraził...

- Przecież to człowiek - zauważyłem. - Jeśli nawet lepszy od innych, zawsze tylko człowiek. Gdy

dowiedział się, kim jesteśmy, spodziewał się cudu, a tu się okazuje, że żadnych cudów nie będzie i że nikt nie ma zamiaru rozwiązywać za ludzi ich problemów.

- Niepotrzebnie tak mówisz. - Alona objęła mnie ramieniem.

- A co, nie mam racji?

- Nie o to chodzi. Chciał od nas pomocy...

- Nie pomocy, tylko rozwiązania problemów. Pomóc mu możemy, ale on sam będzie musiał stawić czoła trudnościom.

- Tak czy inaczej, nie masz racji.

- Jasne. Rozmowa na poziomie tekstów „sam jesteś głupi”.

- Sam jesteś głupi.

Parsknąłem śmiechem.

- Macie może papierosa? - usłyszeliśmy.

Obejrzałem od stóp do głowy chłopaka, który zadał to pytanie. Szesnastoletni pętek, a obok niego drugi, taki sam. Nieco z tyłu dreptał jeszcze jeden chłopaczek, młodszy, może czternastolatek. Cała trójka patrzyła na nas wyczekująco. Zdaje się, że papierosy były ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowali. Sięgnąłem do kieszeni, wyjąłem pełną paczkę, a potem zapalniczkę. Czegoś takiego po „inteligentnym fajtlapie”, za jakiego mnie pewnie wzięli, cała trójka wyraźnie się nie spodziewała. Zaskoczony przywódca wziął papierosa i zapalił od usłużnie podsuniętej zapalniczki. Pewnie, że to stary chwyt, ale nie miałem ochoty silić się na coś wielce oryginalnego. Jeszcze by tego brakowało, żebym dla różnych idiotów wymyślał arcydzieła. Obejdą się.

- Niezłe fajki... - skomentował.

- Uhu - burknąłem, odwracając się do siedzącej obok mnie Alony. - Zatkaj uszy.

Alona zdążyła mnie już poznać na tyle, że nie była zdziwiona moją prośbą, ale bez słowa zatkała uszy i zacisnęła powieki. Zrobiłem to samo.

- Co wy? - zdziwił się palacz. O nic więcej nie zdążył zapytać. Huk, jaki się rozległ, usłyszałem nawet przez mocno przyciśnięte do głowy dłonie. Małoletni palacz z kompletnie czarną twarzą stał przed nami i stropiony mrugał oczami. Pozostała dwójka, zaskoczona wybuchem, odskoczyła na boki.

- Chuligani! - krzyknął ktoś z okna. Z garażu wybiegł mężczyzna z kluczem monterskim. Dzieci na placu zabaw rozglądały się przestraszone, a dorosła część podwórka patrzyła na naszego palacza z wyraźną dezaprobatą. Ktoś już do niego szedł z konkretnymi zamiarami wypisanymi na twarzy.

Trójka nastoletnich próżniaków rzuciła się do ucieczki, a ja uśmiechnąłem się złośliwie i pomachałem im ręką.

- Nie mogłeś wymyślić nic innego? - zapytała gniewnie Alona. - Wystraszyłeś dzieci!

Wzruszyłem ramionami.

- Następnym razem ty wymyślaj.

- O, żebyś wiedział...

Tymczasem trzech chuliganów uciekało przed dorosłymi, którzy gonili ich, grożąc strasznymi konsekwencjami. Małolaty co chwila odwracały się, próbując coś tłumaczyć i pokazując na nas, ale



ponieważ prócz nich nikt nas nie widział, takie gadanie jeszcze bardziej złościło pogoń.

- Co to za cyrk? - zapytał wychodzący z klatki ojciec Fiodor.

- Jakieś głupki zrobiły wybuch i wszystkich wystraszyły. Teraz dobrzy ludzie próbują im wytłumaczyć, że źle zrobili.

Kapłan popatrzył na nas podejrzliwie.

- A czy czasem nie macie z tym nic wspólnego?

- Oni zaczęli.

- A co z wolną wolą?

- Jest jak najbardziej na swoim miejscu. Ja tylko spełniłem pewną prośbę, chcieli, więc dałem. Co prawda niedokładnie to, co mieli na myśli, ale i oni pragnęli otrzymać nie to wcale, czego zażądali...

- Dobrze. - Kapłan machnął ręką. - Nie mam teraz głowy do twoich rebusów. Chodźmy.

- Dokąd? - zapytała Alona.

- Jak to dokąd? Do naszego malarza. Skoro nie chcecie pomóc, musimy rozwiązać ten problem sami.

Nie miałem już nawet ochoty spierać się i udowadniać, że pod pojęciem pomocy rozumiemy dwie różne rzeczy. To bez sensu... Skoro nawet tak mądry człowiek nie pojmuje, jak skomplikowana jest nasza sytuacja w świecie ludzi...

Tymczasem pop znów złapał okazję. Tym razem kierowca był mało rozmowny, całą podróż milczeliśmy, choć jechaliśmy znacznie dłużej. Przez całą drogę obojętnie patrzyłem w okno, a pod koniec nagle skoczyłem i złapałem kierowcę za ramię.

- Niech pan zatrzyma!

Samochód wyhamował z piskiem opon.

- Zwariowałeś?! - odwrócił się do mnie rozgniewany mężczyzna.

A ja patrzyłem, jak ulicą idzie sobie milicjant Lonia z ręką w gipsie. Jednak nie to zwróciło moją uwagę - a raczej, nie tylko to. Obok niego szedł nie kto inny, tylko przywódca młodocianej szajki, od której, jak sądziłem, uwolniłem się na długo. Idiota ze mnie! Powinienem był się domyślić, że jako pełnoletni trafi na normalny komisariat! A najbliższym komisariatem był ten, w którym pracował Lonia. I to właśnie on usłyszał zeznania „ojca chrzestnego” o pewnym typku mieniącym się Graczem. Rzecz jasna Leonid nie znał mnie pod tym imieniem, jednak młody mafioso na pewno opisał mnie bardzo dokładnie, a milicjant na pewno świetnie mnie pamiętał. Poza tym, nasz pogromca kiosków wiedział, że Alosza jest moim „uczniem” i na pewno nie omieszkał wspomnieć także o tym. Lonia spokojnie dodał dwa do dwóch, dopasowując do tego wszystkiego tamto zajście na ulicy i malarza, który wstawił się za chłopcem. Znalezienie adresu artysty na pewno nie nastreczyło mu większych trudności.

Alona poznała Lonię i „chrzestnego synalka” w tej samej chwili, co ja, i sposepniała. Kapłan, który nie znał ani jednego, ani drugiego, popatrzył na mnie rozdrażniony.

Bez słowa wsunąłem kierowcy dziesięć dolców.

- Niech pan jedzie powoli prosto - poleciłem. - Tylko

powoli.

Kierowca przestał przeklinać, odczekał, spełnił moją prośbę. Kapłan odwrócił się do mnie, ale nie odważył się o nic zapytać.

- Niech się pan zatrzyma - poprosiłem. Samochód stanął dokładnie naprzeciwko domu malarza. Stąd był świetny widok na to, co dzieje się za furtką.

Lonia przystanął, sprawdził coś na kawałku papieru i zdecydowanie nacisnął dzwonek. Przez chwilę nic się nie działo, w końcu wyjrzał Grigorij Iwanowicz. Widząc człowieka w mundurze, otworzył furtkę i stanął w niej, zagradzając sobą przejście. Zapytał o coś, Lonia odpowiedział. Pokazał na chłopaka stojącego obok. Grigorij Iwanowicz wzruszył ramionami. Milicjant zaczął coś wyjaśniać, to pokazując na identyfikator, wiszący przy jego pasie, to na swojego towarzysza. Malarz odsunął się i wpuścił milicjanta do domu. Zakląłem przez zęby.

Kapłan chyba pojął, że dzieje się coś niezrozumiałego i niedobrego, ale o nic nie pytał. Alona też milczała, marszcząc brwi. Minęło dziesięć minut, gdy furka znów się otworzyła i wyszedł z niej Lonia razem z naszym przywódcą szajki. Milicjant coś powiedział, uścisnął rękę malarzowi i zaczął iść ulicą. Odwrócił się, upewnił, że malarz na niego nie patrzy, a potem przyspieszył kroku, znikając za zakretem.

Wcisnąłem kierowcy jeszcze dziesięć dolarów, wyskoczyłem z samochodu.

- Chciałbyś mi coś wyjaśnić? - zapytał kapłan.

- Nie. Wszystkiego się pan dowie od Aloszy, myślę,

że on widział milicjanta i jego towarzysza.

Kapłan o nic więcej nie pytał, popatrzył na mnie ze złością i poszedł pierwszy do domu. Alona przytrzymała mnie.

- No co, nie mogłeś mu wyjaśnić? - spytała.

- Mogłem. Ale widzisz, nie chcę, żeby ludzie po wszystkie odpowiedzi latali do mnie czy do ciebie. Powinni szukać ich sami! A tak to się przyzwyczajają, że wszystko dostają na tacy...

- Czasem cię nie rozumiem - wyznała z westchnieniem.

- Też mi nowina... Czasami to nawet ja nie rozumiem samego siebie. Na przykład, nie mam bladego pojęcia, co mnie skłoniło do przyjęcia propozycji wujka, żeby zająć się tym wszystkim.

Alona prychnęła i przyspieszyła kroku, doganiając kapłana, jakby uznała, że nie jestem godzien odpowiedzi. Pospieszyłem za nią.

A przy furtce powitał nas... No, kto? Oczywiście Ksefon! Tylko jego tutaj brakowało... Nocował tu, czy co? Rzuciłem mu niechętne spojrzenie, a on popatrzył na mnie jakby stropiony. W tym momencie z ganku dobiegły przekleństwa kapłana. Hm, chyba duchowny nie powinien się tak wyrażać... Z zainteresowaniem zajrzałem na podwórko. Kapłan stał przed drzwiami i otrzepywał się z wody. Obok, na ziemi, leżał pusty bidon. Zerknąłem na Ksefona, który wyglądał na niezadowolonego. Aha! Spodziewał się, że to ja wejść pierwszy i pewnie tak by się stało, gdyby Alona mnie nie zatrzymała.

Z domu wyłonił się Grigorij Iwanowicz. Popatrzył zaskoczony na mokrego kapłana, potem na leżący na ziemi bidon, a potem na rozchichotanego mnie i złego Ksefona. Malarz okazał się dobrym psychologiem - bez słowa zszedł ze schodów, złapał Ksefona za ucho. Bies wrzasnął, a ja się zgiąłem wpół ze śmiechu. Co za widok, człowiek ciągnie czarta za ucho!... Wprawdzie diabelska solidarność powinna mnie skłonić do współczucia, ale niedoczekanie! To ostatni z diabłów, dla którego miałbym chociaż odrobinę sympatii.

Ksefon próbował skryć się za iluzją - nieszczęsny... Nawet mu się udało, tylko że ucho nie zrobiło się od tego mniej materialne, więc malarz nadal trzymał je mocno. Początkowo nieco stropiony zniknięciem diabła, szybko się opanował; widać wczorajszy wieczór zahartował jego psychikę. W milczeniu przeciągnął opierającego się Ksefona przez pół podwórka i wrzucił go do beczki z deszczówką, stojącej na rogu domu pod rynną. Ksefon zbulgotał wzburzony. Woda strumieniami ściekała z jego niewidocznej postaci, a ja pękałem ze śmiechu. Przez okno wyglądał ucieszony Alosza. Podejrzewam, że gdyby to mnie poddano podobnemu zabiegowi, byłby przeschęśliwy. Oho, nic z tego. Ja nie jestem drobnym biesem, ja, jeśli już robię świństwa, to nie tak prymitywne. Robię je ze smakiem, na wesoło. Oczywiście, na wesoło według mojej miary.

- Mam nadzieję, że wszystko dobrze zrozumiałeś? - zapytał sucho Grigorij Iwanowicz. - Nie wiem, jakie tam macie w piekle zwyczaje, ale na razie jesteśmy na ziemi i proszę zachowywać się po ludzku! - Malarz

odwrócił się do mnie. - Ciebie to też dotyczy!

Uśmiechnąłem się niewinnie.

- Mnie niełatwo będzie złapać.

Obrzucił mnie surowym spojrzeniem i podszedł do kapłana.

- Niech pan wejdzie do domu, ojcie Fiodorze. Zaraz znajdę panu coś do przebrania...

Kapłan machnął ręką.

- Nie ma czasu. Kto tu u pana był przed chwilą?

- Milicjant. Szukał jakichś złodziei okradających mieszkania, w każdym razie tak zrozumiałem. A co?

Kapłan odwrócił się do otwartego okna, przez które wyglądał Alosza.

- Znasz tego milicjanta i chłopaka, który z nim był?

Alosza stropił się, a potem spuścił oczy.

- Znam. Dlatego się schowałem. Nie widzieli mnie.

- Ee... - Grigorij Iwanowicz popatrzył zaskoczony na chłopca, a potem na kapłana. - A o co chodzi? Kim jest ten milicjant?

Alosza nabzdyczył się i spojrzał na mnie. Wzruszyłem ramionami.

- Mówiłem prawdę - powiedziałem. - Przez tydzień cię bronię, tydzień upływa za dwa dni.

Chłopiec wskazał mnie głową.

- On powiedział, że ten milicjant jest zły. Że pracuje dla ludzi, którzy szukają tej walizki z pieniędzmi. A razem z nim był Ukleja, to taka ksywka, szef takiej jednej bandy.

No proszę, Ukleja! Szkoda, że wcześniej nie wiedziałem, dopiero bym się zabawił! Dobra, nie ma co

żałować...

- I co? - spytał malarz, nic nie rozumiejąc.

Westchnąłem. Ludzie są czasem tacy tępi...

- A to - wtrąciłem się - że ten milicjant nie przychodził tu w poszukiwaniu żadnych złodziei, tylko dlatego, że szukał chłopca! A przyprowadził go właśnie Ukleja! Myślę, że zdobycie adresu malarza, który bronił chłopca przed chuliganami, nie było dla nich problemem. Grigoriju Iwanowiczu, przecież widział pan już tego gnojka! To przywódca tamtej bandy, pamięta pan?! Wytrącił mu pan wtedy nóż!

Grigorij Iwanowicz klepnął się w czoło. No, śmiało, może coś wyklepie...

- Ale ze mnie osioł! A ja się zastanawiałem, gdzie go mogłem widzieć! Mam przecież świetną pamięć do twarzy... można powiedzieć, zawodową! Powinienem był sobie przypomnieć, ale po tym wszystkim...

- No i co teraz robić? - W oknie obok Aloszy zjawiała się stropiona twarz Wiktora Nikołajewicza.

Uciekać! - chciałem wrzasnąć. Co to za głupie pytania?! Nie, właśnie, że nic nie powiem. Jak oberwą, będą mieli przynajmniej nauczkę. Czyja to będzie wina, jeśli nie domyślą się, że trzeba uciekać?

Ale wtedy wtrącił się kapłan, który jako były wojskowy, o czym zdążyłem zapomnieć, od razu przejął dowodzenie.

- Musimy się stąd wynieść i to jak najszybciej. Grigoriju Iwanowiczu, lepiej będzie, jak pójdzie pan z nami. Dwa miliony dolarów to duża suma... Ci bandyci na pewno wkrótce tu przyjadą i wtedy nie będą już

słuchać pańskich wyjaśnień.

- Ale... ale moja pracownia! Moje obrazy!

- Niech pan wybiera: pracownia i obrazy czy życie - powiedział twardo kapłan. - Co tak stoicie? Szybko, zbierajmy się! Wymarsz za pięć minut!

Alosza zniknął w domu, skrył się również Nienaszew. Tylko malarz nadal stał stropiony na podwórku, Fiodor Iwanowicz niemal siłą zaciągnął go do domu. Nie widziałem, co się tam działo, ale pięć minut później Rogożew wyniósł z domu walizkę z rzeczami, w biegu wpychając dokumenty do kieszeni.

- Tylu ludzi ma płacić za twoje błędy? - usłyszałem szept Alony zwracającej się do Aloszy. Chłopiec stał przed nią ze spuszczoną głową, tuląc do siebie podarowanego kotka.

- Nie wiedziałem, że tak się stanie, nie chciałem...

- Nie wiedziałem, nie chciałem... Jesteś małym, nieodpowiedzialnym, samolubnym typkiem, skupionym na własnym bólu i pragnieniu zemsty!

Oho! Pierwszy raz widzę Alonę w takim stanie. Chyba naprawdę się wściekła...

- Ale ja nie chciałem!

- Jeszcze by tego brakowało, żebyś chciał. Gdybyś chciał, to mnie by tu nie było.

- Właśnie! Skoro jesteś aniołem, to mi pomóż! Masz obowiązek pomagać!

- Może jeszcze mam obowiązek podcierać ci tyłek?! - ryknęła Alona na cały ogród.

Wszyscy popatrzyli na nią osłupiali, a ja zaklaskałem.

- Brawo! Jeszcze go raz!



- No bo mnie zdenerwował tym jęczeniem... - Alona próbowała się usprawiedliwić. - Okazuje się, że każdy ma wobec niego jakieś powinności! I w ogóle, odnoszę wrażenie, że nie jestem tu potrzebna. Macie taką wspaniałą drużynę! Dwa nienawidzące się diabły, kapłan, który zabijał i teraz sam nie wie, w co wierzy, mimo że jest świętym, malarz, dla którego jego obrazy są ważniejsze niż życie wszystkich tu obecnych. Mam dość! Radźcie sobie sami!

Tym razem „wszyscy obecni” spuścili oczy, wszyscy prócz mnie i Ksefona.

- Ale obiecałaś! - zaprotestował Alosza.

Alona obdarzyła go chmurnym spojrzeniem.

- Pomóc: tak. Robić wszystko za ciebie: nie. Myśl i decyduj sam.

- Ale... ale ja jestem jeszcze mały... - powiedział Alosza i umilkł pod miazdzącym wzrokiem Alony.

- Mały?! Gdy zawierałeś umowę z diabłem, nie byłeś zbyt mały. Gdy groziłeś, że zabijesz ojca, też byłeś dorosły. Ale gdy przyszła pora odpowiadać za swoje czyny, to nagle jesteś mały? Wiesz co, mały? Albo nauczysz się ponosić odpowiedzialność za to, co robisz, albo pogódź się z tym, co się stało. Przestań walczyć z diabłem i przyjmij jego pomoc. Wtedy wszystko będzie łatwe i proste, będziesz miał pieniądze i władzę, a ci bandyci, którzy teraz na ciebie polują, zaczną ci służyć. Wybór należy do ciebie!

Za plecami ojca Aloszy pokazałem Alonie podniesiony w górę kciuk, ale dziewczynka tylko ściągnęła brwi.

- Ej, chyba nie posłuchasz tego tak zwanego anioła?!  
- wtrącił się Ksefon. - Przecież to jasne, że ona jest w zмовie z tym... z tym capem ogoniastym!

- Anioł i diabeł mieliby być w zмовie? - uśmiechnął się kapłan.

- A co? - Ksefon popatrzył na niego wyzywająco. - Zdarzały się już przypadki, że anioły przechodziły do diabłów, a diabły do aniołów. Nawet ślepy by zauważył, co się tu dzieje! Przecież to jasne jak słońce, że zakochała się w tym Ezergilu...

Trzask! Klap!

- Aaa!!! - wrzasnął Ksefon przewrócony potężnym ciosem miotły. Padł prosto na wciśnięte w ziemię cegły ogradzające grządki.

Alona uniosła miotłę do kolejnego ciosu, ale nie zdążyła - Ksefon zarobił kopniaka ode mnie. Podskoczył w powietrze z wyciem, ale nawet nie próbował protestować, po prostu wycofał się do furki pod naszym podwójnym naporem. Alona odrzuciła miotłę i wokół jej głowy pojawiło się lśnienie, za moimi plecami zgęstniała ciemność. Ksefon przestraszył się, przestał przeklinać i czknął, odsuwając się od nas.

- Jesteście stuknięci - wyszeptał. - Zupełnie was powaliło! Ezergil, o wszystkim powiem panu Wikientijowi! Zostaniesz ukarany! Wyrzucą cię ze szkoły!

W milczeniu pochyliłem się, wyjąłem cegłę z ziemi, Ksefon od razu czmychnął z podwórka. Odłożyłem cegłę na miejsce i uśmiechnąłem się.

- Jak on mi obrzydł! Co za kretyn...

Dopiero teraz Alona i ja odwróciliśmy się i spostrzeżliśmy, że wszyscy przyglądają się nam z niemym przerażeniem. Popatrzyliśmy na siebie. Ale numer! Przecież mieliśmy uciekać, i to szybko! Na szczęście kapłan nie stracił głowy, nie wiem, czy odczuwał strach czy nie, ale wziął się w garść, dzięki czemu wkrótce opuściliśmy dom.

- Zaczekaj - poprosiła nagle Alona. Pobiegnęła do pracowni, poczułem uderzenie siły, potem Alona wyszła.

- Jesteś pewna, że to dobry pomysł? - zapytałem.

Wzruszyła ramionami.

- On naprawdę jest dobrym malarzem. Pracował nad tymi obrazami niemal całe życie. Wyobrażam sobie, jak się tu zabawi to bydło, które zjawi się po nas... brr...

No dobra, w końcu dlaczego właśnie ja mam ją pouczać? Przecież ma swoich opiekunów! Niech jej wujek wyjaśni kwestię nieingerencji...

Wyszliśmy z domu niemal w ostatniej chwili - zbyt eleganckie jak na tę dzielnicę samochody wyłoniły się zza zakrętu właśnie wtedy, gdy wbiegliśmy w wąskie przejście między domami. Zatrzymałem się na chwilę i zobaczyłem, że cztery wozy stanęły przed domem malarza. Wysiedli z nich ludzie, jedni ubrani w eleganckie garnitury, inni w spodnie różnorakiego pochodzenia i podkoszulki; u wszystkich wyczuwałem broń. Obejrzeni się i zdecydowanie podeszli do furtki.

Nie patrzyłem już, pobiegłem, by dogonić resztę.

Malarz wyprowadził nas na niewielką pustą przestrzeń za domami i teraz szliśmy brzegiem lasu, w

końcu wdrapaliśmy się na niewielkie wzgórze, porośnięte krzewami. Początkowo zaskoczony, szybko zrozumiałem, dlaczego Grigorij Iwanowicz wybrał akurat to miejsce - stąd roztaczał się idealny widok na jego podwórko, za to stamtąd nikt nie mógł nas dostrzec w gęstych zaroślach. Kapłan również to zrozumiał - otworzył usta, żeby coś powiedzieć, popatrzył na malarza, i nie odezwał się. Widać spostrzegł, że Grigorijowi jest teraz bardzo ciężko. Nie chodziło nawet o dom, do którego wchodzili obcy ludzie z wrogimi zamiarami, lecz o obrazy, w które Rogożew włożył całą duszę i których teraz nie mógł uratować. Patrzyłem na jego niemą udrekę i zastanawiałem się - powiedzieć mu? Zerknąłem na Alonę, dziewczyna też obserwowała Rogożewa. Drgnęła, wyczuwając moje spojrzenie, odwróciła się do mnie i pokręciła głową. Wzruszyłem ramionami. Ona to wszystko urządziła, więc niech teraz robi, co chce.

- Moglibyście uratować obrazy - szepnął do mnie kapłan. - Przecież widzicie, ile one dla niego znaczą.

Bez słowa usadowiłem się wygodnie w zaroślach i dopiero wtedy odpowiedziałem:

- Jeśli chodzi o ratowanie, to ja nic nie wiem. W końcu jestem diabłem, nie armią zbawienia... O tych sprawach niech pan rozmawia z Aloną.

Kapłan prychnął i odsunął się ode mnie. Siedziałem i obserwowałem dom, ale nic ciekawego się nie działo. Bandyci łazili po ogrodzie, zaglądali do pracowni, przeszukiwali wszystkie pomieszczenia. Jednym słowem, rządzą się.

- Nie do końca dobrze pan to rozumie - usłyszałem z tyłu głos Alony.

Obejrzałem się. Okazało się, że korzystając z chwili „przerwy” Wiktor Nikołajewicz próbował wypytać Alonę o Niego, o raj i piekło. Jednym słowem, dysputa filozoficzna. Rozmowie zaczęli przysłuchiwać się pozostali, nawet Grigorij Iwanowicz oderwał się od kontemplacji własnego domu. Ja też nadstawiłem ucha.

Alona uczciwie próbowała wyjaśnić, co i jak. To nie jej wina, że jej nie rozumieli. Ludzie! Tak przywykli wierzyć w dogmaty, w to, co powszechnie uznane, że oduczyli się samodzielnego myślenia.

- Więc Bóg stworzył Ziemię? - spytał Alosza.

O matko... No dobrze, ale to przecież tylko chłopiec, jemu można wybaczyć...

- Nie - odparła cierpliwie Alona. - On stworzył prawa, dzięki którym mogło powstać wszystko, co istnieje. Przecież wiecie! Na początku było Słowo... A czym jest prawo? Właśnie słowem! On określił, jak to wszystko ma się odbywać. A potem dał Słowo, dzięki któremu mógł się pojawić Rozum.

Zaczęli zadawać kolejne pytania. Przez jakiś czas słuchałem, jak Alona próbuje odpowiadać i jak ludzie nadal jej nie rozumieją. W końcu nie wytrzymałem. Przeturlałem się po ziemi, odwróciłem się do nich i oparłem na łokciach.

- Słuchajcie - wtrąciłem - mogę za jednym zamachem odpowiedzieć na wszystkie wasze pytania. Że tak powiem, odnieść się do tych kwestii całościowo i uniwersalnie. Próbujecie za wszelką cenę znaleźć

wyjaśnienia, szukacie ich nie wiadomo gdzie. A zarazem nie wierzycie w to, co znajdujecie, nie dajecie wiary temu, co wam mówią. Nie szukajcie odpowiedzi na zewnątrz, poszukajcie ich w sobie! To, co znajdziecie, będzie jak najbardziej słuszne.

Odwróciłem się i kontynuowałem obserwację domu, nie zwracając uwagi na stropione miny ludzi. Tylko kapłan wyglądał na zamyślonego.

- A co z rajem i wypędzeniem z niego? - spytał złośliwie Nienaszew.

Rany, facet ma jakiś kompleks, czy co? Co się przyczepił? Wiedział już, że diabły i anioły istnieją naprawdę, a jednak cały czas próbował podważyć prawdziwość naszych opowieści.

- Ach, z rajem i wypędzeniem? - powiedziałem równie złośliwie, znów odwracając się do zebranych. - No proszę, zastanówmy się nad tym. Z logiką nie macie żadnych problemów?

- Co masz na myśli? - spytał Nienaszew.

- Mówię o logice, o niczym więcej. Skoro to przedstawiciele mojego plemienia przyłożyli się, że tak powiem, do wygnania ludzi z raj, to pozwolicie, że właśnie ja odpowiem na to pytanie. Pomyślmy trochę, wiem, że to dla niektórych trudne, ale spróbujmy. - Wiktor Nikołajewicz sposepniał, ale nie komentował, słuchał. - Niech pan sobie wyobrazi, że wrócił pan z apteki do domu. Przyniósł pan jakieś lekarstwo. Co pan robi? Rzecz jasna, stawia pan lekarstwo w najbardziej widocznym i dostępnym miejscu, a potem bierze Aloszę za rękę, pokazuje mu buteleczkę i mówi: „Patrz, synu

mój! To jest lekarstwo, bardzo smaczne, ale szalenie szkodliwe. Nie wolno ci go nawet dotknąć. Obiecuj mi, że nigdy tego nie zrobisz!" „Obiecuję!" - mówi posłuszny syn i oczywiście go nie dotyka. Zgadza się?

- Kpisz sobie? - zapytał niezbyt grzecznie Nienaszew.

- O, naprawdę odebrał pan moją opowieść jak kpinę? No to dlaczego wy tak samo kpicie z Niego? Dlaczego odmawiacie Mu logiki? Pan, człowiek, domyśla się, że przed dzieckiem należy schować to, co może być dla niego niebezpieczne i chowa pan to jak najgłębiej. I mimo to sądzi pan, że On umieściłby Drzewo Wiadomości na najbardziej widocznym miejscu i ograniczył się jedynie do zakazu! Gdzie logika? A może uważa pan Go za głupszego od siebie?

- A gdzie logika? - zapytał Grigorij Iwanowicz, nie wytrzymując ciszy, jaka zapadła. Hm, nawet nie zauważyłem, że wszyscy słuchali, wstrzymując oddech.

- Gdzie logika, gdzie logika... - mruknąłem. - Czy nie przyszło wam do głowy, że On chciał, aby ludzie spróbowali tego owocu?

- To po co w takim razie zabraniać? - zapytał kapłan.

- A po to - burknąłem. - Dzieci w pewnym okresie życia ślepo wierzą swoim rodzicom i każde ich słowo traktują jak objawienie. Zwątpienie we wszechwiedzę rodziców to pierwsza oznaka dorastania. Problem w tym, że wasz ukochany Adam nie chciał dorosnąć. Jak długo żył, według waszych kronik? Osiemset lat? I co robił przez cały ten czas, oprócz jedzenia i... - Zerknąłem na Alonę. - No, oprócz jedzenia? Stworzył jakieś arcydzieło? Namalował obraz? - zapytałem

malarza. - Pomógł cierpiącemu? - zwróciłem się do kapłana. - Wynałazł coś? - Spojrzałem na Nienaszewa. - Nie, jemu się tylko nudziło. Ojciec jest oczywiście bardzo cierpliwy. Nudzisz się? Proszę, masz tu Ewę, we dwójkę nie będzie wam tak nudno. Może to ona cię czegoś wreszcie nauczy, może wyjaśni, że czas dorosnąć. Ale nie, Ewa nie okazała się wcale lepsza. Jak bardzo wy, ludzie, lubicie nic nie robić!

- Taki jesteś pewien, że znasz Jego myśli? - zapytał duchowny.

- Jestem - uciąłem. - To właśnie powiedział do nas, gdy prosił, żeby wpłynąć na Jego syna. Po co On, według was, stworzył Rozum? Żeby go zamknąć w Edenie? On pragnął wychować sobie pomocników! Pomocników, którzy mieli mu pomóc unieść Jego brzemię! Dlaczego nie chcecie tego zrozumieć!? Cierpliwie czekał osiemset lat, aż jego synek dorośnie, aż przyjdzie do niego i powie: „Wybacz, Ojczynek nasz, ale nie mogę tu dłużej tkwić. Nie rozumiem, po co żyję, dlaczego dałeś mi rozum, skoro z niego nie korzystam? Po co dałeś mi wolną wolę, skoro jestem ubezwłasnowolniony? Po co żyję, skoro nie znam sensu życia?” A wtedy uradowany Ojciec zawołałby: „Od dawna czekałem na te słowa, synu mój! Od chwili, gdy się pojawiłeś! Idź do Drzewa Poznania Dobrego i Złego, by skosztować jego owocu. Skoro zadajesz takie pytania, to znaczy, że jesteś gotów go skosztować, a więc idź i zrób to!” Jakże inaczej wyglądałoby wasze życie, gdyby wszystko potoczyło się właśnie tak! A co zamiast tego? Tfu.



Popatrzyłem na osłupiałe twarze ludzi. Kapłan bezradnie spoglądał na Alonę, jakby czekał, że wszystkiemu zaprzeczy. Ale dziewczyna skinęła tylko głową.

- EzerGil ma rację, wy, ludzie, niczego nie zrozumieliście. Adam został ukarany nie za to, że wreszcie spróbował owocu, lecz za to, że się tłumaczył.

- Właśnie! - wtrąciłem się. - Ile wysiłku musieliśmy włożyć, żeby zmusić Adama i Ewę do spróbowania tego owocu! To cała historia! A, i jeszcze jedno: uważacie Go za wszechwiedzącego i jednocześnie sądzicie, że w Jego ogrodzie mogłoby się przed nim coś ukryć. Wąż namawiał Ewę, a On tego nie widział? Jasne...

- Więc co... To Bóg prosił węża, żeby ją skusił? - zapytał oszołomiony Nienaszew.

- Nareszcie dotarło! Brawo! - Zaklaskałem w dłonie.  
- No pewnie, że On! Obrzydło Mu czekanie, aż Jego synek znudzi się pozbawioną sensu vegetacją i znalazł sposób, żeby zmusić swojego syna do zrobienia tego, co ten powinien zrobić! A jak zachowali się potem Adam i Ewa? Uderzyli w pokorę? Nie! Zaczęli się usprawiedliwiać! To Ewa mnie namówiła... To wąż mnie skusił... Dżentelmen, psiakrew. Wy, ludzie, doskonale umiecie usprawiedliwiać swoje najgorsze czyny. Ile krwi przez to przelano! I właśnie to tłumaczenie się tak Go rozzłościło. Skoro dzieci nic nie zrozumiały, to niech teraz dochodzą do prawdy w pocie czoła. Idźcie i dorastajcie, poznawajcie dobro i zło na własnej skórze.

Kapłan potrząsnął głową.

- Ale przecież mówiłeś, że was, diabły, stworzyli ludzie? No to jak któryś z was mógł namawiać Adama, skoro wtedy nie istnieliście nawet w planach?

Skrzywiłem się.

- Bystra uwaga, punkt dla pana. Chciałem to wyjaśnić tak, żeby było prościej, żeby nie pojawiały się zbędne pytania. Diabłów faktycznie jeszcze wtedy nie było... Ale zna pan historię o upadłym aniele? Dlatego On poprosił swojego pomocnika, najbardziej zaufanego pomocnika. I tenże upadły anioł jest nieoficjalnie uznawany za praojca wszystkich diabłów. Gdy my, to znaczy diabły, w końcu się pojawiliśmy, właśnie on przez jakiś czas stał na czele piekła i dał mu prawa. Tak jaśniej?

- Trochę. - Skinął głową pop.

- Świetnie. A teraz, jeśli chodzi o raj... Czym, według was, jest raj? - zapytałem.

- No... - bąknął duchowny.

- Otóż to właśnie - przerwałem. - Według waszych wyobrażeń to wieczne próżniactwo, coś w rodzaju nierównej umowy z Nim, w waszej interpretacji oczywiście. Ja ci zrobię przysługę i będę przez jakieś siedemdziesiąt, osiemdziesiąt lat żył jak człowiek sprawiedliwy, a w zamian za to ty zapewniasz mi wieczną rozkosz. Nie sądzicie, że coś tu nie gra?

- Jesteś diabłem...

- A ty człowiekiem. A teraz powiedz, że ludzie kłamią mniej niż diabły.

- Ezergil nie kłamał - wtrąciła się Alona - ale też nie mówił prawdy. Nie ma jednej absolutnej prawdy, czy

nie możecie tego zrozumieć? Każdy ma swoją drogę i każdy idzie po niej sam. Każdy musi myśleć samodzielnie. Przecież On nie wzywał was do wierzenia, On wzywał was do myślenia!

- A ty kazałaś mi wierzyć - wtrącił się nagle Alosza.

Popatrzyłem na chłopca. Ciekawe, ile zrozumiał z tego, o czym mówiliśmy...

- Bo wiara jest jak promień słońca w nocy, ona daje nadzieję, gdy wydaje się, że dla nadziei nie ma już miejsca. Ale jeśli nie będziesz myśleć, twoja wiara będzie ślepa. - Anielica przykucnęła przed chłopcem. - Nie wierz temu, kto mówi, że wiedza to grzech i że wystarczy sama wiara. Zdobywaj wiedzę przez wiarę, ale nie wierz poprzez ślepotę.

Alosza zamrugał oczami i chyba chciał coś powiedzieć, ale wtedy Grigorij Iwanowicz zawołał:

- Patrzcie!

Jego krzyk wyrwał wszystkich z zadumy, odwróciliśmy się w stronę domu.

- Tak - powiedziałem stropiony. - Tego się nie spodziewałem.

## Rozdział 6

Czegoś takiego naprawdę się nie spodziewałem, choć tak właściwie mogłem to przewidzieć - niespodziewanie z kilku domów wybiegli sąsiedzi i pospieszyli na podwórko. Niektórzy już kłócili się przez płot z bandytami. Wyteżyłem słuch.

- Czego tu chcecie? - zapytał jakiś mężczyzna.

- A co cię to obchodzi? Zjeżdżaj stąd - powiedział leniwie jeden z mięśniaków, niedbale pokazując pistolet.

Mężczyzna odsunął się.

- Tu są jacyś bandyci! - zawołał, zwracając się do sąsiadów. - Wezwijcie milicję, chłopaki!

Po tym okrzyku sąsiedzi błyskawicznie odsunęli się od domu malarza. Kobiety czym prędzej zagoniły dzieci do mieszkań, ale mężczyźni nadal obserwowali podwórko, choć z pewnej odległości. Bandytom wyraźnie się to nie podobało. Ich działania stały się nieco nerwowe: jeden z typów, chyba najważniejszy, nawrzeszczał na tego, który pokazał broń, ten tłumaczył się gęsto. Przywykł, że na widok jego postury i gnata ludzie wciskają głowy w ramiona, czym prędzej schodzą mu z drogi. A tutaj... Nie dość, że nie uciekli, to jeszcze pyskują!

- Ciekawe - powiedziałem w zadumie. - Dlaczego ci ludzie tak pana bronią? Przecież ryzykują...

- W jakim sensie? - zdumiał się malarz.

- Mam na myśli, że chociaż to poważne ryzyko, jednak zadzierają z mafią. A przecież bandyci mogą ich zdeptać i nawet tego nie zauważą... - Kątem oka obserwowałem Aloszę. Moje pytanie skierowane było właściwie nie do Grigorija Iwanowicza, lecz do chłopca. Niech się nad tym zastanowi. - Co pan im obiecał?

Mój manewr się udał. Teraz już patrzyły na mnie trzy pary oczu: malarz był zaskoczony, Alona oburzona, Alosza zainteresowany.

- Ależ nic! - odparł artysta. - Pomagałem im, oni pomagali mnie... Teraz na przykład pomagam chłopcu. - Ruchem brody wskazał Aloszę.

- No, jeśli chodzi o małego, to akurat wszystko jasne - odparłem. - Jemu pomaga pan z powodu walizki pieniędzy, liczy pan, że coś panu skapnie...

Malarz odskoczył ode mnie, popatrzył jak na wesz, z pogardą i obrzydzeniem. Potem splunął.

- Nieprzyjemny z ciebie typ - zauważył.

Wzruszyłem ramionami.

- Przecież jestem diabłem. Nikt panu nie obiecywał, że diabeł będzie przyjemny.

- I po co tak? - zapytała po cichu Alona. - Przecież tak naprawdę wcale nie myślisz, że on pomaga Aloszy dla pieniędzy...

Przez jakiś czas patrzyłem, jak bandyci próbują coś wyjaśnić zebranym sąsiadom, a potem spojrzałem na dziewczynę.

- Mówiłem, mówię i jeszcze będę mówił wiele rzeczy. Największy problem ludzi polega na tym, że oni

zupełnie nie chcą myśleć. Przecież malarz mógł skojarzyć, że skoro jestem diabłem, to widzę wszystkie najciemniejsze uczucia ludzi, a więc i chciwość, i dokładnie wiem, kto pożąda pieniędzy, a kto pomaga bezinteresownie.

- Po co więc był cały ten występ? - padło znienacka pytanie.

O mało nie podskoczyłem w miejscu, a Alona nawet podskoczyła.

- Tfu! - splunąłem. - Ojczy Fiodorze! Zawsze się pan tak podkrada? Prawie zawału dostałem!

- Diabeł? Zawału?

- A cha, cha, bardzo śmieszne! Normalnie kącik humoru! Chciał pan przez to powiedzieć, że diabły nie mają serca? Tak, zwalcie wszystko na biednego diabła... na pozbawionego uczuć, podstępного drania, który myśli tylko o tym, jak ściągnąć ze słusznej drogi niewinnych ludzi! Chociaż już sam zwrot „niewinni ludzie” brzmi dość zabawnie...

- Ezergilu! - powiedziała groźnie skrzydlata. - Skończ tę komedię.

- Już skończyłem. A jeśli chodzi o „występ” to złośliwie niczego nie wyjaśnię. Niech się pan sam zastanowi. W końcu taki diabeł jak ja powinien być wredny. No i w ogóle, długo tu jeszcze będziemy sterczeć?

- A czemu to mielibyśmy gdzieś iść? To bardzo dobre miejsce.

Zerknąłem na niego podejrzliwie, a on popatrzył na mnie niewinnymi oczami. I właśnie dlatego mu nie

uwierzyłem! Sam często tak patrzę, zwłaszcza gdy bezczelnie kłamię.

- Czegoś nam pan nie mówi...

- Owszem. I nie powiem. Ja też jestem złośliwy.

Aha, złośliwy... Ode mnie się nauczył. No proszę, jaki ja zły wpływ wywieram na otoczenie!

W tym momencie usłyszeliśmy syrenę milicyjną. Nie można powiedzieć, żeby bandyci się wystraszyli, ale w każdym razie trochę przystopowali i wyszli z domu malarza. Nie znaleźli tych, których szukali, a konflikt z milicją nie był im potrzebny. Jednak zanim przed dom zajechała milicja, zatrzymał się tu inny samochód. Gazela wyjechała z za zakrętu i wyhamowała nieopodal wypasionych dżipów „panów życia”. Powoli odsunęły się boczne drzwi i na ulicę wyszło trzech wysportowanych mężczyzn, mogli mieć trzydzieści pięć, czterdzieści lat. Z siedzenia obok kierowcy wyłonił się nieco starszy od nich człowiek. Od całej czwórki na kilometr czuć wojskiem. Poruszali się spokojnie i pewnie, jakby nie widzieli stojących tu zagranicznych bryk ani ludzi dookoła. W milczeniu minęli ich i zajrzeli przez furtkę, przez którą niedawno wyszli bandyci. Stojący obok mnie kapłan zaklął cicho.

- No i gdzie się pchasz, Misza, przecież powiedziałem, żebyście tylko postali z boku... Po co tam leziesz?

- Kto to? - zapytał ponuro malarz.

- Mój dowódca - odparł Fiodor Iwanowicz. - Z Afganistanu. A tych trzech to koledzy z wojska, byliśmy w jednym plutonie.

- A...

- Byłem dziś u niego - wyjaśnił kapłan, nie czekając na pytania. - Opowiedziałem, co i jak, obiecał pomóc. Prosiłem go, żeby się w nic nie pakował, tylko postać z boku, ubezpieczał nas.

Ja i Alona popatrzyliśmy na siebie z niezadowoleniem. Nie wyglądało to dobrze. Zgodnie z planem Alosza miał szybko uwierzyć w siebie, a potem, w oparciu o tę wiarę oraz przykład otaczających go ludzi, powinien mnie pokonać - wtedy wszystko byłoby tip-top. Tym bardziej, że jego ojciec chyba zaczynał zdawać sobie sprawę z tego, co nawyprawiał. Wprawdzie trochę późno, ale lepiej późno niż wcale. A co uzyskaliśmy w efekcie? Tatulek upija się w pobliskim barze i gromkim głosem zawiadamia całą okolicę o walizce z pieniędzmi. Całą sprawą zaczyna interesować się mafia, która wraz ze sprzedajnymi milicjantami lata teraz po mieście w poszukiwaniu pewnego chłopca, który nie wiadomo skąd wytrzasnął dwa miliony dolarów. Pewnie chcieliby odwiedzić tamto miejsce, a nuż im samym coś skapnie... I teraz zamiast dawać chłopcu dobry przykład, całe towarzystwo kryje się i ucieka. Do tego wszystkiego włączył się jeszcze oddział byłych wywiadowców, bo tylko ich brakowało nam do pełni szczęścia. A przecież już w piątej klasie mówili nam, że im więcej w zadaniu zmiennych, tym trudniejsze jego rozwiązanie. I co mamy teraz zrobić? Najchętniej bym to wszystko rzucił i zwał...

Bandyci stali się czujni. Ruszyli w stronę przybyłych,



ale wtedy zza zakrętu wyjechał żółto-niebieski łązik i wysiadł z niego... Lonia we własnej osobie! Teraz jasne, czemu nasi bandyci się nie denerwowali! Z ręką na temblaku milicjant skierował się do bandytów, mówiąc coś ważnym tonem. Ale artysta! Obok niego stał jakiś młodziutki funkcjonariusz, najwidoczniej zastępujący tamtego ze złamaną nogą. Pewnie, że w gipsie ciężko by mu było zadawać szyku. Szkoda, że nie przyjechał, dopiero by wyglądali! Para jak z samowara!

Przywódca bandytów zaczął coś grzecznie wyjaśniać, Lonia z ważną miną kiwał głową. Mógłbym podsłuchać, ale nie miałem ochoty. Po pierwsze, i tak mogłem sobie wyobrazić, o czym mówią, a po drugie, znacznie ciekawsze było obserwowanie żołnierzy i kapłana. Nasz łagodny i wybaczący ojciec Fiodor spał się, pięści miał zaciśnięte, usta tworzyły cienką linię. Wydawało się, że jeszcze chwila i rzuci się do walki, jak za młodych lat.

- Nie możemy tu siedzieć - zauważył ponuro. - Musimy pomóc.

Aha, już lecę! Bandytom tylko o to chodzi. Teraz nie będą urządzać skandalu, bo i po co, ale jak tylko zobaczą chłopca... Duchowny chyba też to zrozumiał.

- Nie, nie tak - zdecydował. - Ja pójdę sam. Powiem, że wyznaczyłem spotkanie przyjaciołom i się spóźniłem.

- A jak wyjaśnisz, że przyszlście do obcego domu? - spytał rozsądnie malarz, westchnął i wstał. - Pójdę z tobą... Przy takim tłumie świadków te typy chyba nie odważą się nic zrobić... A tak mogą pod byle pretekstem

zgarnąć i twoich przyjaciół, i bandytów. Swaim kumplom ten sprzedajny glina nic nie zrobi, ale...

Grigorij Iwanowicz nie dokończył zdania, ale i tak było jasne, co miał na myśli.

Wkrótce Rogożew i pop skryli się za drzewami. Zerknąłem na Aloszę. Ten stał ze spuszczoną głową i zerkał na mnie spode łba. Jego ojciec z ponurą miną obserwował ścieżkę, czekając, aż na scenie pojawią się nowi bohaterowie. Zrozumiałem, że ani jeden, ani drugi nic nie zrobią i westchnąłem.

- A wy na co czekacie? - zapytałem.

- W jakim sensie? - Nienaszew odwrócił się do mnie.

- Dosłownym. Czego tu jeszcze chcecie? Bierzcie walizkę i w drogę.

- Dokąd? - zdumiał się Alosza.

- Dokąd, dokąd... A co, macie zamiar długo jeszcze tu sterczeć? Łapcie walizkę i bierzcie nogi za pas! Mam tutaj dwa bilety na Cypr, myślę, że z waszą forszą będziecie mogli tam miło spędzić czas. Żadni bandyci was nie znajdą.

Alosza spochmurniał, a jego ojciec popatrzył na mnie dziwnie. Potem zerknął na walizkę stojącą obok niego. A potem znowu na mnie.

- No i co? Będzie pan tak stał i się gapił? Przecież już dawno chciał się pan wyrwać z tego życia, więc do dzieła! Cypr to raj na ziemi! Morze, słońce... Pięknie! - Wcisnąłem Nienaszewowi bilet do ręki. - Samolot startuje za pięć godzin. Myślę, że zdążycie... Tu są fałszywe dokumenty, z nimi na pewno nikt was nie znajdzie.

Alosza wyciągnął rękę.

- Weź, weź. - poradził zgryźliwie Ksefon, zjawiając się za plecami chłopca. - Weź, a na zawsze zostaniesz niewolnikiem tego typu. Czy nie rozumiesz, do czego on cię namawia?

Prychnąłem. Obecność Ksefona wcale mnie nie zdziwiła, nawet bez skanowania okolicy byłem pewien, że gdzieś się tu pęta. Właśnie dlatego nie tłumaczyłem na głos mojego niedawnego wystąpienia.

Alosza rzucił mu złe spojrzenie.

- Wcale nie jesteś lepszy od niego! Jesteś taki sam! - Chłopiec wziął dokumenty, obejrzał je, podszedł do ojca i podał mu jeden z paszportów. - To twój.

Wiktor Nikołajewicz wziął odruchowo, a chłopiec, stękając z wysiłku, przyciągnął walizkę ojcu pod nogi, a potem odwrócił się i poszedł w stronę ścieżki, po drodze drąc swój bilet na kawałki.

Ksefon spojrzał na mnie triumfalnie i pokazał język. No, czy nie idiota?

Alona podeszła do mnie, stanęła z boku. Odsunęła gałązkę muskającą jej policzek i spytała:

- A gdyby wziął bilet? Co byś wtedy zrobił?

- Wtedy? - Patrzyłem, jak chłopiec znika wśród drzew. - Wtedy uznałbym, że przegrałem.

Anielica popatrzyła na mnie zdumiona, ale ja mówiłem poważnie. Człowiek, zdolny zdradzić ludzi, którzy gotowi są oddać za niego życie, właściwie przestaje już być człowiekiem.

- Ale wierzyłem w niego - dodałem.

- Aaa!

Odwróciłem się na ten krzyk. Nienaszew z całej siły kopał walizkę, niemal po niej skakał. Walizka jednak była wyjątkowo mocna, nawet się nie otworzyła.

- Bądźcie przekłęci! - zawołał.

- Jak rozumiem, przeklina pan tych, którzy są winni pańskiego nieszczęścia? - zapytałem złośliwie. - Mógłby pan podać nazwiska tych łajdaków? Obiecuję, że zostaną ukarani. Zrobię panu tę uprzejmość.

Wiktor Nikołajewicz obrzucił mnie dzikim wzrokiem, a potem chwycił walizkę i poleciał za synem.

- Jednak nie przepił wszystkich ludzkich uczuć - zauważyła Alona.

- Dziwne...

- Coś nie wyglądasz na zmartwionego porażką... - Ksefon przyglądał mi się podejrzliwie.

- Nie martw się o mnie - poradziłem dobrodusznie. - Za wcześnie, jeszcze słońce nie zaszło... A teraz spadaj, daj posłuchać, co się tam dzieje. Muszę przecież zaplanować nowe łajdactwo przeciwko niewinnemu chłopcu i jego porządnemu tatusiowi.

Ksefon prychnął i dał mi spokój; nie tyle dlatego, że go prosiłem, ale sam był ciekaw, co się dzieje przed domem. Zwłaszcza, że w tej chwili pojawili się tam nasi znajomi...

Malarza i kapłana zobaczyłem od razu, jak tylko wyszli na ulicę ze ścieżki między domami. Szli, rozmawiając jakby nigdy nic.

- To on, to ten palant! - usłyszałem okrzyk któregoś z bandytów. Przyjrzałem się i zrozumiałem, że to jeden z tych, którzy oberwali od ojca Fiodora.

Pop spokojnie spojrział na krzykacza.

- Zawsze obrażasz duchownych, synu mój?

- Nie jestem twoim synem, durniu!

Kapłan rozłożył ręce i zapytał, zwracając się w stronę wszystkich obecnych:

- Kochani, co tu się dzieje?! To już nie można wyjść na ulicę, żeby ktoś człowieka nie obraził, i to zupełnie bezpodstawnie?

Parsknąłem śmiechem. Lonia był wprawdzie sprzedajnym gliną, ale nawet jemu byłoby trudno oskarżyć nowo przybyłych o prowokowanie zajścia. I zdaje się, że właśnie o to chodziło Fiodorowi Iwanowiczowi. Pochylił głowę, przeżegnał krzyżującego, a potem podszedł do tych, którzy przyjechali gazelą i rozłożył szeroko ramiona.

- Miszka, stary druhu! Kopeć lat!

Uściskał go i od razu przeszedł do następnego.

- Wołodźka, brachu! Ciągłe taki sam!

Pocmokałem językiem. Ale zalewa... I jak wszystko urządził! Z jednej strony spotkanie starych kumpli z wojska, a z drugiej jakieś typy w zachodnich wózkach, których nikt tu nie zapraszał i którzy w dodatku obrażają ludzi.

Bandyci patrzyli na to wszystko z ponurymi minami, było widać, że nie mają pojęcia, co w tej sytuacji robić.

- Kim jesteście? - odezwał się w końcu Lonia.

Kapłan obejrzał milicjanta od stóp do głowy.

- Gośćmi. Przyjechaliśmy do szanownego Grigorija Iwanowicza. Chcieliśmy złożyć u niego zamówienie, że tak powiem. Starzy kumple z wojska.

- Z wojska? - zapytał Lonia.

- Z wojska. - Kapłan uśmiechnął się sympatycznie, tylko czemu od tego uśmiechu milicjant aż się wzdrygnął? - Druga kompania samodzielnego batalionu szturmowego. Wywiad. Afganistan. Czeczenia.

Milicjant stropiony skinął głową i zerknął na przywódcę bandytów, którzy jakoś tak przygaśli. Ci, którzy rozpoznali kapłana, nawet się cofnęli. Wtedy na scenie, to znaczy na podwórku, zjawił się Alosza. Był blady, ale zdecydowany. Bez słowa ominął osłupiałego malarza i podszedł do najważniejszego bandyty.

- Szukaliście mnie? - spytał. Głos mu zadrżał. Potrząsnął głową, jakby odpędzając strach. - Jestem. Zostawcie wszystkich innych w spokoju, oni i tak wam nie pomogą. To moje pieniądze i to ja je dostałem.

- Synku! - Z zaułka wyskoczył Wiktor Nikołajewicz z walizką. Podbiegł do Aloszy i schował go za swoimi plecami, a potem cisnął walizkę pod nogi przywódcy bandytów. - Macie tu swoje pieniądze i wynoście się. Zostawcie nas w spokoju!

Co za wzruszająca scena! Cała rodzina w komplecie. Gdybym był sentymentalny, na pewno bym się rozplakał. Wyteżyłem wzrok i prychnąłem: naprawdę była tu cała rodzina, nad głową Aloszy wisiała zjawa jego matki. Najwyraźniej sprawka anielicy, bo bez jej pomocy zjawa by się tu nie dostała. Groźnie wystawiając pięści, Zoja Nienaszewa próbowała zasłonić sobą syna, bezskutecznie.

- Ale widok! - zawołałem zachwycony.

- Ezergilu! - ryknęła na mnie Alona. - Czy nie ma dla

ciebie nic świętego?!

- Świętego? - zastanowiłem się. - Smażone ziemniaki z kotлетem i keczupem... Co jeszcze? Grzyby w majonezie...

- Ezergil!

- No co? Sama pytałaś...

Groźnie ściągnęła brwi i rozejrzała się w poszukiwaniu czegoś ciężkiego. Z tyłu Ksefon zaklaskał w dłonie.

- Wzruszający widoczek! - zawołał.

Ten to już nigdy nie zmądrzeje. Alona od razu przeniosła całą swoją uwagę na niego. A gdy Alona jest aż tak, powiedzmy, rozzłoszczona, staje się co najmniej groźna. W chwilę później Ksefon pchnięty mocno poleciał w krzaki, zrobił w nich przecinkę i wpadł do parowu.

- Ja ci zaraz!... - huknął, próbując się wydostać.

Głupek, zapomniał, z kim ma do czynienia. Zresztą, ja byłem nie lepszy, zamiast pozwolić, żeby dziewczyna radziła sobie sama (przecież zrobiłaby to w try miga!), wyszedłem i stanąłem przed rozgniewanym Ksefonem.

- Spróbuj najpierw ze mną - poradziłem.

Ksefon cofnął się.

- Zakochana para... - burknął tylko.

- Dobra, bohaterze. Załatwmy tę sprawę jak na porządne diabły przystało.

Ksefon spojrzał na mnie podejrzliwie, wietrząc podstęp.

- To znaczy jak?

- Zakład. Założmy się. Jeśli nie zaliczę praktyki, to

przez miesiąc będę spełniać wszystkie twoje pragnienia; oczywiście te, które dadzą się spełnić. A jeśli jednak zaliczę, ty będziesz spełniał moje życzenia.

- Ezergili! - Alona stanęła przede mną. - Jak ci nie wstyd!

Odsunąłem ją delikatnie.

- Bardzo cię proszę. To nasze prywatne diabelskie sprawy, nie możesz się wtrącać.

Alona popatrzyła na mnie gniewnie.

- W tym waszym piekle są sami idioci! - zawyrokowała.

- I to jeszcze jacy! - przyznałem. - Spróbuj kiedyś obcować z różnymi grzesznikami, zobaczymy, czego się od nich nauczysz. A niegdyś diabły były takie porządne...

Skrzydłata odwróciła się demonstracyjnie. Naprawdę nie mogła wtrącać się do tego zakładu i świetnie o tym wiedziała, jednak nadal usiłowała do niego nie dopuścić.

- Radzę ci się zastanowić - rzuciła Ksefonowi przez ramię.

Niepotrzebnie. Ksefon nigdy nie posłuchałby rady anioła, z czystej przekory. Jego błąd, aniołowie nigdy nikomu źle nie radzą.

- Taki jesteś pewien, że zdołasz zatrzymać chłopca? - uśmiechnął się Ksefon. - Ostatnie wydarzenia dowodzą, że jest gotów pomagać innym, nawet z uszczerbkiem dla siebie.

Wzruszyłem ramionami.

- Zobaczymy.



- No, to uważaj. - Ksefon wyciągnął do mnie rękę, a ja ją uścisnąłem.

- Umowa została zawarta - oznajmiłem, szybko wyjąłem z powietrza dokument z warunkami zakładu, podpisałem i podałem Ksefonowi. Zasapał, on nie umiałby zrobić tej sztuczki, wziął umowę i wnikliwie przeczytał każdy punkt, było ich zaledwie dwa. W końcu podpisał. Kłaśnięciem dłoni odesłałem dokument dyrektorowi szkoły, a potem w milczeniu ukryłem się w iluzji. Alona sapnęła gniewnie. Zdaje się, że właśnie chciała się dumnie odwrócić, pokazać, że niby nie jestem jej do niczego potrzebny, ale ja byłem szybszy. Wysunąłem rękę, złapałem ją za ramię i wciągnąłem za zasłonę. Zdażyła tylko pisnąć.

- Długo jeszcze chciałaś tu gnić? - zapytałem i nie czekając na odpowiedź, przez płoty i domy, po prostej, poszedłem w stronę epicentrum wydarzeń. „Bomba zawsze trafia w epicentrum” - przypomniałem sobie idiotyczną maksymę. A więc Alosza jest właśnie tą bombą, bo gdzie jest on, tam jest epicentrum wydarzeń.

Alona krzyknęła coś gniewnie, ale zrozumiała, że została sama i pobięła za mną.

- Jesteś prawdziwym diabłem! - rzuciła mi ze złością.  
- Oszukałeś Ksefona! A przecież to grzech oszukiwać takiego przygłupa.

- Grzech to wasza domena - burknąłem. - On jest takim samym diabłem, jak ja. Powiedz uczciwie, czy ty jako anioł masz coś przeciwko oszukiwaniu diabła?

Popatrzyła na mnie zakłopotana, widocznie nie rozważała jeszcze problemu takiego punktu widzenia.

- Tak czy inaczej, nie apróbuję oszustwa.

- To nie apróbuj, czy ktoś cię zmusza? Grunt, żebyś się nie wtrącała.

- Diabeł - wycodziła Alona przez zęby i odwróciła się.

A ja podszedłem do całego towarzystwa i stanąłem za Aloszą. Chłopiec trzymał się ojca i patrzył na niego z nieukrywanym zdumieniem. Czy mi się wydawało, czy on faktycznie zaczynał być dumny z Wiktora Nikołajewicza? Coś podobnego! A co do tego doprowadziło? Ingerencja mądrego i utalentowanego diabła! No i jeszcze pomoc anioła... Obok Nienaszewa stanął kapłan, jego były dowódca, koledzy z wojska i Grigorij Iwanowicz. Naprzeciwko stali bandyci. Nieco z boku dreptał stropiony Lonia, a wokół byli jeszcze sąsiedzi malarza. Było jasne, że bandyci przegrali tę milczącą walkę. Oni sami to rozumieli, ale nie mieli pojęcia, jak odejść, żeby zachować twarz.

- Czego jeszcze chcecie? - spytał uprzejmie dowódca ojca Fiodora. - Dostaliście pieniądze? To do widzenia.

Boss w końcu zrozumiał, że musi coś zrobić, przecież nie będą tu tkwić do końca świata. W milczeniu wziął walizkę, otworzył ją i aż gwizdnął. Potem machnął ręką swoim ludziom. Całe towarzystwo szybko wsiadło do samochodów i odjechało, zostawiając na placu boju skonsternowanego Lonię. Teraz wszyscy patrzyli na niego. Alosza wysunął się zza pleców ojca i też obserwował milicjanta. Pod tymi wszystkimi spojrzeniami Leonid czuł się bardzo nieswojo. Wtedy do przodu wyszła Alona - oczywiście nikt jej nie

widział, ale obecność anioła to niczym płomyk w środku nocy, nie można tego nie poczuć. Jakby fala ciepła przepłynęła po okolicy... Ludzie spoważnieli, Lonia się spała. W każdym spojrzeniu widział pogardę. Wydawało mu się, że wszyscy wokół wiedzą o jego przestępstwach, wielkich grzechach, a nawet drobnych grzeszkach. I wszyscy ci ludzie wydawali mu się bohaterami, którzy zeszli z płócien. Wcisnął głowę w ramiona, jakby chciał się schować i zgarbiony poszedł do samochodu, przyspieszając kroku. Pod koniec już biegł. Młodziutki milicjant odprowadził szefa zaskoczonym spojrzeniem i pobiegł za nim. Lonia chyba przypomniał sobie, że jedną ręką nie zdoła prowadzić samochodu, więc zamachał zdrową dłonią na podopiecznego; ten w milczeniu zajął miejsce kierowcy. Samochód ruszył z miejsca. Wkrótce zniknął za zakrętem.

- Wygram, diable - usłyszałem nagle.

Zerknąłem na wiszące obok mnie widmo. Westchnąłem ciężko.

- Co ci się w raju nie podobało? Kręcisz się między światami... sprawiasz diabłom kłopoty...

- Bronię syna!

- Ach, syna. A jak ci też idzie? Obroniłaś?

- Ezergil!

Oho, znajomy głos i znajomy ton... Już niedługo ten anioł doprowadzi do tego, że zacznę dostawać wysypki na dźwięk własnego imienia.

- Alona! - krzyknąłem, przedrzeźniając ją.

Popatrzyliśmy na siebie groźnie.

- Dobrze wiesz, że to również jej zasługa, że Alosza nie uległ pokusie! To właśnie ona wypracowała w swoim dziecku te dobre cechy, które w nim można znaleźć!

- Złe również - odparowałem. - Gdyby nie ona, nigdy nie wpakowałyby się w taką kabałę.

- Jesteś niesprawiedliwy! To tylko dziecko!

- Za to jego ojciec jest dorosły! I w jego losie ona również ma swój udział!

- A właśnie, że nie!

- A właśnie, że tak! Ja wiem lepiej!

- Dzieci, dzieci! - Zjawa Zoi Nienaszewej wcisnęła się między nas. - Co wy wyprawiacie? Jak wam nie wstyd! Jeszcze chwila i się pobijecie.

Popatrzyliśmy na widmo, potem na siebie. Pierwszy nie wytrzymałem i zacząłem chichotać, chwilę później przyłączyła się do mnie Alona i śmialiśmy się już razem.

- Śmieście się, śmieście - powiedział stojący obok mnie Ksefon. - A ja chciałem powiedzieć, że już prawie wygrałem! Do twojej przegranej zostało ciut-ciut... A tak w ogóle, to co to za zjawa się tu szlaja?

Jak zwykle wyszukana grzeczność...

- Wstydzilibyś się - powiedziałem dobrodusznie. - Przecież to mama Aloszy!

- Aa, ta, co się pcha, gdzie nie trzeba. Z rajcu zrezygnowała dla syna... głupia...

- A ktoś ty taki mądry? - spytała gniewnie Zoja.

Machnąłem ręką, bardziej zainteresowany tym, co się dzieje poza granicami mojej iluzji. Grigorij Iwanowicz

skończył już opowiadać sąsiadom o ostatnich wydarzeniach. O diabłach i aniołach chyba nie wspomniał, w każdym razie nikt nie wzywał pogotowia. Teraz zapraszał do domu wszystkich uczestników zajścia. Z przyjaciółmi ojca Fiodora już był na ty, widziałem, jak klepał po ramieniu byłego dowódcę, zwracając się do niego per „Michaił”. A Alosza nie odstępował ojca na krok. Tak, wszystko szło całkiem nieźle... całkiem nieźle...

Wtedy zauważyłem, że Ksefon wskoczył na podwórko za gośćmi. Do domu nie mógł wejść bez zaproszenia po tym, jak ojciec Fiodor nałożył błogosławieństwo i teraz latał dookoła, zaglądając do okien. Chyba chciał przypilnować, żeby niedobry Ezergil nie wykręcił jakiegoś numeru. Niech sobie pilnuje. O, i zjawa tak samo! Zresztą, Zoję akurat rozumiałem, ona wie, że nieprędko będzie mogła znowu zobaczyć syna. Ja i Alona zostaliśmy sami. Odprowadziłem wzrokiem całe towarzystwo, odwróciłem się do dziewczyny.

- Alona... - powiedziałem i zamilkłem. Dziwne... Od kiedy to czuję się niezręcznie w czasie rozmowy? Muszę chyba wybrać się do lekarza. I to szybko.

- Słucham? - Ona też się stropiła.

Normalnie jakaś epidemia!

- Zdaje się, że będą teraz świętować...

- Chyba tak...

- Nie jesteśmy im potrzebni. Po co przeszkadzać i przypominać, że w życiu mają czasem pod górkę...

- No...

- To co, może my też urządzimy sobie święto? Chyba zasłużyliśmy? Wszystko poszło dobrze, teraz już naprawdę zostało niewiele. Alosza i jego ojciec mają prawdziwych przyjaciół, być może Wiktorowi Nikołajewiczowi uda się zacząć wszystko od początku...

- Tak, może mu się uda. A co to ma być za święto?

- No, po prostu trochę się rozerwiemy! Mamy prawo? Mamy! Zasłużyliśmy! Każda dobrze wykonana praca zasługuje na nagrodę. Może na przykład pójdziemy do kawiarni?

Alona pokręciła głową.

- Nie, nie chcę. Żadnych kawiarni czy innych głośnych miejsc. Pójdziemy nad rzekę. Znajdziemy jakieś spokojne miejsce i posiedzimy. Patrz, jaki dziś piękny dzień...

- Super - przyznałem. Byłem w tak podniosłym nastroju, że zgodziłbym się na wszystko.

Podąła mi rękę.

- To chodźmy.

Ostrożnie ująłem jej dłoń.

- Lepiej pobiegnijmy. A, do licha z tą iluzją! Dzisiaj będziemy najzwyklejszymi ludźmi!

Wzięliśmy się za ręce i zaczęliśmy biec ulicą, ze śmiechem strasząc wrony i gołębie. Alona wyrwała mi się nagle.

- Goń mnie! - zawołała.

Pobiegnę za nią. W tej chwili życie było takie piękne...

\*

Rzeczka leniwie toczyła swoje wody na południe. W górze szemrało listowie kołysane lekkim wietrzykiem. Gałązka wierzby dotknęła lustrzanej powierzchni, sprawiając, że rozeszły się po niej delikatne kręgi. Z gałązki osunął się jakiś żuk, brzęcząc z niezadowoleniem. Rzadkie promienie słońca przenikały przez wiszące nad brzegiem liście i muskały mój policzek. Zmarszczyłem brwi i spróbowałem ręką ustawić nad sobą więcej gałązek. Siedząca obok mnie Alona wyciągnęła witkę i dotknęła mojego nosa. Kichnąłem ogłuszająco, ostatecznie strasząc wszystkie owady w okolicy i usiadłem.

- No nie, taki sen mi przerwałaś - mruknąłem niezadowolony.

Alona roześmiała się.

- Ty udawaczu! - zawołała. - Myślałby kto, że spałeś.

- Nie spałem. - Uniosłem w górę palec wskazujący. - Myślałem.

- I o czym myślałeś?

- O raporcie, jaki złożę komisji do spraw praktyki. Trzeba wcześniej wszystko przemyśleć i ubrać w odpowiednie słowa.

- Ezergil, jesteś niepoprawny!

- Oczywiście. Bo tak właściwie to nawet nie chcę się poprawiać. I tak się sobie podobam.

- Pomyśl o tym, żeby podobać się również innym.

- A po co? Wystarczy, że podobam się sobie.

- Ach, ty! - Zerwała się oburzona i chlasnęła mnie witką, którą trzymała w ręku. Zrobiłem unik i schowałem się za drzewo. Alona próbowała dosięgnąć

mnie od drugiej strony.

- Litości! - poprosiłem ze śmiechem.

- Guzik! - zawołała żartobliwie-złowieszczo Alona. - Nie będziesz mnie więcej drażnił!

- Konsekwencje twojego okrucieństwa spadną na ciebie!

- Jakie konsekwencje?

- A takie! - zawołałem i niespodziewanie wyskoczyłem zza drzewa, zanurkowałem pod ręką Alony i dałem susa do wody.

Dziewczyna krzyknęła i podbiegła do rzeki.

- Wariat! Nienormalny! Wyłaż, wyłaż szybko! Jesteś cały mokry! W co się teraz przebierzesz?

- A w nic! - Nabrałem garścią wody i chlapnąłem Alonę.

Dziewczyna z piskiem odskoczyła.

- No, uważaj! Jak tylko wyjdiesz...!

- Nie wyjdę - oznajmiłem beczelnie, wchodząc głębiej. - Nie wyjdę, dopóki mi nie wybaczysz.

- Ezergil!

- Tak? Słucham was, milady?

- Dość tych wygłupów! Wyłaż!

- A co z waszym przebaczeniem?

- Dobrze, już dobrze, przebaczam, tylko wyłaż, na Boga!

- Wzywasz diabła, żeby wyszedł dla Niego? Bardzo zabawne. Ja wychodzę tylko dla ciebie.

- Wariat!

- Zgadza się.

Powoli wylazłem na brzeg i pochyliłem się,



pozwalając, żeby woda spłynęła z ubrania na ziemię. Brr, mało przyjemnie. Szybko ściągnąłem koszulę i próbowałem ją wycisnąć. Alona w milczeniu zabrała mi jeden koniec i teraz wyzimaliśmy ją wspólnie.

- Idiota! Bałwan! Kretyn! - powtarzała Alona przy każdym szarpnięciu. - Co cię pchało do tej rzeki?

Szybko zabrałem koszulę z rąk anielicy. Tak się zaangażowała, że ubranie mogło lada chwilę trzasnąć.

- Kryłem się przed tobą - odparłem, - Jak się zaczynasz złościć, od razu trzeba brać nogi za pas.

- Dzięki za dobre słowo.

- Ależ proszę - w moim głosie było tyle samo sarkazmu, co w głosie Alony.

Nagle dziewczyna znieruchomiała.

- Co jest? - Popatrzyłem na nią zdumiony.

Alona uniosła ostrzegawczo rękę.

- Coś się stało... Czuję, że przydarzyło się jakieś nieszczęście komuś, kogo znamy.

Popatrzyliśmy na siebie strwożeni.

- Alosza! - zawołaliśmy chórem i rzuciliśmy się biegiem do miasta.

## Rozdział 7

Woda chlupała mi w butach i przeszkadzała biec, strumieniami spływając z nogawek. Koszulę wycisnęliśmy, ale spodni rzecz jasna nie zdejmowałem. Myślałem przecież, że i tak wyschnę w letnim słońcu, bez pośpiechu. A tu proszę! Próbowałem wysuszyć się w biegu, ale nie przychodził mi do głowy żaden sposób. Jak tam w rajku wysuszyli mi ubranie, gdy wszedłem do archiwum? Ech, szkoda, że nie spytałem, teraz miałbym jak znalazł... Zatrzymałem się, zdjąłem z nogi jeden but, potem drugi i nakierowałem na nie potężny strumień ciepła. Alona zdążyła przebiec spory kawałek drogi, nim zrozumiała, że zostałem z tyłu. Zatrzymała się i odwróciła, w mig oceniając sytuację.

- Kretynie! Kto cię prosił, żebyś się kąpał w ubraniu?!

- Nie trzeba było wpędzać mnie do wody - odciąłem się. - Nie dam rady tak biec. Alona podbiegła do mnie i wyrwała mi buty z rąk. Popatrzyła na moje nogi w skarpetkach i jej oczy cisnęły coś w rodzaju błyskawic. Podskoczyłem.

- Zwariowałaś?! - zawyłem, przeskakując z nogi na nogę. - Naprawdę myślisz, że bez nóg będę szybszy?

- Twoim nogom nic się nie stanie, a skarpetki już wyschły.

Popatrzyłem na swoje stopy, poruszyłem palcami. Naprawdę wyschły! No, no, te anioły... powinny w

pralni pracować...

Tymczasem skrzydlata zajmowała się moimi butami. Kolejne dwie błyskawice... Z butów buchnęła para, a gdy wziąłem je do ręki, okazały się zupełnie suche.

- Super! A mówiłaś, że nic nie umiesz.

- To umiem. Teraz zajmę się twoimi spodniami.

Odskokczyłem przerażony.

- Nie, nie trzeba! Same wyschną! W przeciwieństwie do mokrych butów one tak nie przeszkadzają w biegu.

Alona wzruszyła ramionami. Chyba poczuła się urażona. No, nic na to nie poradzę... Faktycznie suszy na medal, ale jeśli chce doprowadzić do porządku ubranie na mnie... Nie, wielkie dzięki, nie mam ochoty przeżywać tego jeszcze raz. Dobrze, musimy się spieszyć! Szybko włożyłem buty, a i tak przez cały czas towarzyszyło mi wrażenie, że już się spóźniliśmy, i to katastrofalnie.

Do domu Grigorija Iwanowicza dobiegliśmy pięć minut później. Nikogo tu nie było, ale za zakrętem ulicy wyraźnie czuło się ból i trwogę. Nie umawiając się, poszliśmy tam od razu, nawet nie wchodząc na podwórko.

Za rogiem zobaczyłem wszystkich naszych znajomych - oprócz Aloszy... i kapłana. Ale tego ostatniego spostrzegłem bardzo szybko, leżał w kurzu na poboczu drogi. Obok niego siedział kotek Aloszy, i ze stoickim spokojem się mył. Z jego punktu widzenia nie działo się tu nic niezwykłego. Wokół rannego stała spora grupa ludzi, chyba zebrali się tu ze wszystkich okolicznych ulic. Był również Ksefon.

- Co się tu stało?! - Złapałem go za koszulę na piersi.  
- To ja się ciebie pytam, co się stało! - zawołał wściekły. - Przyznaj się, to twoja sprawka?!  
- O czym ty mówisz?  
- O czym?! O tym! Twoja robota?!  
- Powaliło cię? - Aż go puściłem.  
- Jasne! A gdzieś był przez cały ten czas? Pewnie szukałeś tych bandytów i o czymś im powiedziałaś!  
- Możesz mówić jaśniej? Jacy bandyci? Skąd? Przecież odjechali!  
- Odjechali, a jakże. Może by odjechali, gdyby nie ty! Na pewno ich namówiłeś, żeby tu czekali. No to czekali! A chłopiec chciał przygotować ojcu jakąś niespodziankę, jakby na pogodzenie, i namówił ojca Fiodora, żeby ten poszedł z nim do sklepu. Potem usłyszeliśmy strzały, przybiegliśmy, a tu duchowny leży w kałuży krwi, a chłopiec zniknął! Ezergil, ale z ciebie bydlak! Złamałeś nasze prawa...  
- Zamknij się! - wrzasnąłem.  
- Nie ujdzie ci to na sucho! Bałeś się, że przegrasz, co?!  
- Zamknij się, powiedziałem!  
Pochyliłem się nad kapłanem, który już prawie nie oddychał. Uuu, co za draństwo, draństwo, draństwo! Obok pochylili się jego przyjaciele żołnierze, mnie oczywiście nie widzieli. Dowódca przykucnął obok popa, z oczu płynęły mu łzy.  
- Fiedia! - powtarzał. - Fiodor, niech cię diabli wezmą! Trzymaj się! Nie waż się umrzeć! Słyszysz? Nie waż się! Zaraz przyjedzie pogotowie... No gdzie to

cholerne pogotowie?!

Jego koledzy milczeli posepnie. Grigorij Iwanowicz wyglądał na wstrząśniętego. A Nienaszew... ten to w ogóle był szary. Aż się przestraszyłem, że coś mu się stanie.

W oddali zawyła syrena pogotowia. Lekarze wyskoczyli z samochodu i podbiegli do rannego, lekarka szybko wyjęła stetoskop i przyłożyła do piersi.

- Stymulator, szybko! - zadysponowała. Od razu podano jej walizeczkę, zaczęła w niej grzebać, wyjęła strzykawkę i jakąś ampułkę. Drugi lekarz próbował powstrzymać krwotok, przykładając do piersi tampon. I w tym momencie Nienaszew upadł na ziemię. Lekarka popatrzyła na niego przelotnie, ale jego wygląd wyraźnie jej się nie spodobał, zakłęła przez zęby i skoczyła do niego.

- Pani doktor! - zawołał Misza, wskazując na ojca Fiodora. - Przecież ten człowiek umrze, jeśli mu pani nie pomoże!

Kobieta wyszarpnęła rękaw.

- Ten również! Któremu z nich mam pomóc? Niech pan zdecyduje!

Misza zamarł. Bezradnie popatrzył na byłego kompana i podwładnego. Potem na Nienaszewa. I wtedy niespodziewanie kapłan otworzył oczy i dotknął ręki Michaiła.

- Dowódco... - zakasłał. - Dowódco, odzyskaj chłopca. Proszę cię... pomóż im i... ratujcie Wiktora. Dla niego to ważniejsze...

- O czym ty mówisz? - Misza pochylił się nad nim.

- O czym... - Kapłan znów zakasłał, a potem uśmiechnął się. - Przyjaciele zapewniali mnie, że trafię do raju. Mówili, że jestem prawie święty... - Na ustach ojca Fiodora pojawił się nikły uśmiech. - A Wiktor... on jeszcze musi odkupić swoje grzechy... dla niego życie jest ważniejsze niż dla mnie... Zaufaj mi, Misza... Proszę...

Odchrząknąłem i odwróciłem się. Kątem oka zauważyłem, że Alona też się odwróciła, szybko zasłaniając oczy.

Co za draństwo!!!

Michaił wyprostował się. Popatrzył jakoś tak dziwnie na kapłana. Otworzył usta... Zamknął je. Wszystkie oczy były teraz zwrócone na niego.

- Niech się pan szybciej decyduje - powiedziała lekarka zmęczonym głosem. - Ten człowiek ma zawał. Jeśli mu nie pomożemy...

Michaił spojrział na nieprzytomnego Nienaszewa z nieukrywaną złością.

- Mam nadzieję, że jesteś tego wart - wyszeptał. - To tylko dla twojego syna... - Zwrócił się do lekarki. - Proszę pomóc jemu. Nazywa się Wiktor Nikołajewicz Nienaszew.

Lekarka skinęła głową i rzuciła się do zawałowca. Oczywiście, Fiodorem Iwanowiczem też się w tym czasie zajmowali sanitariusze, ale wykwalifikowanym lekarzem była tylko ona, a przecież nie mogła się rozerwać, chociaż wyraźnie próbowała.

Kuksnąłem Alonę w bok. Dziewczynka poruszyła ramieniem, ale nie odwróciła się. Szturchnąłem znowu.

- Czego chcesz? - chlipnęła.

- Patrz...

Odwróciła się. Nieopodal stał anioł i diabeł, obserwujący całą tę krzątanicę. Anioł był cały w bieli, diabeł, rzecz jasna, w czerni. Stali z boku i cierpliwie czekali.

Wymieniliśmy z dziewczyną spojrzenia. Zdaje się, że między nami zaczęła tworzyć się telepatyczna więź. Wystarczyło, żebyśmy na siebie popatrzyli, a już wiedzieliśmy, o czym myślimy. Nie umawiając się, podeszliśmy do dorosłych, Alona do anioła, ja do diabła. Ci spojrzeli na nas z zaciekawieniem.

- Szanowny... - odchrząknąłem speszony. - Mam prośbę... ten człowiek... on jest naszym przyjacielem... dobrym przyjacielem... chcielibyśmy... bardzo proszę... chcielibyśmy go sami odprowadzić.

- To niezgodne z zasadami - nachmurzył się diabeł.

- Co znaczą zasady dla diabła? - uśmiechnąłem się. - Poza tym... - Przywołałem go palcem i gdy ten się pochylił, zaszepotałem mu na ucho, wskazując głową Alonę. Diabeł też na nią popatrzył i uśmiechnął się.

- Naprawdę tak ci na tym zależy?

Skinąłem głową.

Zastanowił się, a potem machnął ręką.

- Dobrze, umowa stoi. Ale pamiętaj, żebyś dotrzymał obietnicy!

Przyłożyłem do serca zaciśniętą pięść.

- Mur-beton.

Odwróciliśmy się do anioła i Alony. Dziewczynie chyba nie szło zbyt dobrze. Prawie płakała, a anioł tylko

kręcił głową.

- Zdaje się, że są problemy - prychnął diabeł. - Co robimy?

Uśmiechnąłem się.

- A czy nie można by... - zacząłem.

- Rozumiem. - Trzasnął ogonem i znaleźliśmy się na pustkowiu; wokół nas, jak okiem sięgnąć, rosła tylko trawa.

- Ej, Zauren, co to za żarty? - Skrzydlaty odwrócił się do diabła.

- To nie żarty - odparł ogoniasty. - Po prostu spełniłem prośbę mojego pobratymca. Zrozumiałeś, o co proszą ci młodzi ludzie?

- Zrozumiałem, ale to niezgodne z zasadami!

- Lej na to!

- Co to znaczy „lej”? Chwileczkę, chcesz powiedzieć, że dałeś się namówić temu...

Zamiast odpowiedzi diabeł podskoczył, jego ogon wyprężył się jak szpada i odpadł, w jednej chwili przemieniając się w coś niematerialnego, przypominającego dym. Ostrożnie wziął to do ręki, wręczył mi, ja przyjąłem czarci atrybut i skłoniłem się. Wiedziałem, co trzeba zrobić dalej, jedna chwila i już miałem ogon. Odwróciłem się do anioła, ten stał z otwartymi ustami i patrzył na mnie wstrząśnięty.

- Zauren, ty kompletnie zwariowałeś! Zawsze wiedziałem, że diabły są stuknięte, ale żeby do tego stopnia?... Dać ogon dziecku?... Czy ty w ogóle wiesz, co robisz? Będę zmuszony o tym zameldować!

- Melduj sobie, na zdrowie. - Diabeł machnął ręką. -



Dlaczego miałbym nie pomóc dzieciom, skoro proszą?  
Ich przyjaciel umiera. Przecież jesteś aniołem!  
Powinieneś pomagać!

- To nie pomoc, ale brak odpowiedzialności!

- Zgadzam się - przytaknałem. - Tej dziewczynce nie wolno powierzać skrzydeł, ona jest kompletnie nieodpowiedzialna. Kiepsko się uczy, a żeby pan słyszał, jak przeklina... Co z niej za anioł?

Alona popatrzyła na mnie jak na zdrajcę i odwróciła się. Usta jej zadrżały, chyba nie spodziewała się po mnie czegoś takiego.

- No więc - kontynuowałem - ma pan absolutną rację. Pójdę razem z panem.

- Ja z tobą? Zauren!!!

Zauren tylko wzruszył ramionami i uśmiechnął się.

- Nie mogę nic zrobić, Lokurd. Już obiecałem i nie mogę złamać danego słowa.

Anioł zamyślił się, a potem machnął ręką.

- Niech będzie... A czy ty chociaż wiesz, jak posługiwać się ogonem?

- Teoretycznie - uśmiechnąłem się. - O, niech pan popatrzy. Jeśli trzasnę tak, to powinienem wzlecieć na dwa metry w górę.

Trzasnąłem i wzleciałem, ale spod ogona wyleciały kamienie. Kilka sztuk pomknęło w stronę anioła, ten ledwie zdążył się uchylić.

- Ojej. - Usiadłem na ziemi i spuściłem oczy. - Bardzo przepraszam, trochę źle wyliczyłem. Jak to było... Aa, nie uwzględniłem amplitudy. To był bojowy chwyt obronny...

- Bojowy?! - zawołał anioł. - Stój!

Za późno. Znów trzasnąłem ogonem. Dwie błyskawice zjeżyły włosy na głowie Lokurda. Rajski posłaniec czym prędzej się odsunął.

- Znów coś źle wyliczyłem - mruknąłem przeprasząco. - Co jest nie tak? Może powinienem inaczej trzaskać? Może trzeba z przyklaskiem?

- Stój! - Anioł aż się uniósł. - Przestań!

- Dobrze - powiedziałem - z trzaskaniem rzeczywiście średnio mi wychodzi. To co, lecimy na spotkanie? A czy ja mógłbym poprowadzić? Proszę!!! Wiem, jak się robi przemieszczenie... trzeba zakreślić ogon w prawo... a może w lewo... nieważne, po drodze się zorientuję... O, i jeszcze wiem, jak się robi tunel...

- Dość! Zauren, natychmiast odbierz mu ogon! Przecież on zabije i siebie, i mnie!

Zauren znów się uśmiechnął i rozłożył ręce.

- Przepraszam cię, ale umowa to umowa.

Anioł wyglądał na nieco skonsternowanego. Z wyraźną obawą obserwował ruchy mojego ogona, gotów do zrobienia uniku.

- Mogłabym polecieć zamiast pana - odezwała się Alona, która chyba już zrozumiała mój plan. - Przypilnuję tego nieuka. Mam na niego dobry wpływ...

- Żebym ja puścił dziecko z tym... z tym...

- Z tym dzieckiem - odpowiedział uprzejmie Zauren.

- Lokurd, wydaje mi się, że chłopiec raczej nie wyrządzi krzywdy dziewczynce, a tobie mógłby.

- To groźba?

Diabeł wzruszył ramionami.

- Sam zdecyduj... Albo lecisz razem z nim, albo pozwalasz na to dziewczynce. Zadanie musi zostać wykonane.

- Proszę, niech pan leci ze mną! - poprosiłem. - Pokażę panu salto z ogonem! Wie pan, czytałem, że jak się robi salto, to przeciwnika może wyrzucić na nice!

- I ja mam puścić z nim dziecko?

- Ja się nie boję - wtrąciła się znów Alona. - Tak w ogóle to on się mnie słucha. Ezergil, przecież nie będziesz robił salta?

Wzruszyłem ramionami.

- Jak ci tak zależy, to nie będę, tylko nie rozumiem, co w tym takiego strasznego?

- Zdaje się, że dzieci świetnie się rozumieją, Lokurd. Pozwól im, na moją odpowiedzialność...

- Co mi po twojej odpowiedzialności, jeśli ten diabeł zabije dziewczynkę?

Zauren zdecydowanie podniósł głowę.

- Lokurd, decyduj! Czas minął!

Anioł popatrzył stropiony najpierw na mnie, potem na Alonę. Demonstracyjnie pomachałem końcówką ogona. Oderwała się od niego niewielka błyskawica, Lokurd cofnął się szybko.

- Skoro na twoją odpowiedzialność... - Pospiesznie zrzucił skrzydła.

Alona pisnęła i podbiegła do nich. Chwilę później skrzydła już rozkładały się za jej plecami. Zamarłem z wrażenia... Nie przypuszczałem, że Alona może tak pięknie wyglądać! Często wyobrażałem ją sobie ze skrzydłami, ale moje fantazje były wobec

rzeczywistości. Tak się zmieniała... aż trudno to wyrazić. Niby wyglądała tak samo, te same włosy związane w koński ogon, ta sama twarz, ale... teraz jakby jaśniała od środka cudownym światłem. A skrzydła... skrzydła mieniły się wszystkimi kolorami. Były jednocześnie materialne i niematerialne... Alona machnęła nimi, lekki wietrzyk rozwał mi włosy. Ostrożnie podszedłem do... do anioła i wyciągnąłem rękę z lekkim ukłonem. Alona uśmiechnęła się - jedna chwila i jej strój przemienił się w piękną białą suknię, falami spadającą aż do pięt. Wsunęła swoją dłoń w moją i wtedy zmieniło się również moje ubranie: miałem na sobie elegancki ciemny garnitur.

Odsunąłem się, puszczając dziewczynę przodem, jednak cały czas trzymając ją za rękę. Przeszła z gracją obok osłupiałego Lokurda.

- Mam wrażenie, że te dzieci naprawdę nieźle się rozumieją - zauważył z uśmiechem Zauren.

- To nieprawidłowe! - krzyczał Lokurd. - On jest diabłem, a ona aniołem! Nie powinno tak być! Nie wierzę! Przemiana! Niemożliwe! Nie wierzę!

- Czasy będą się zmieniać, mój przyjacielu i wrogu - powiedział w zadumie Zauren. - Zmian dokonają właśnie takie dzieci. Teraz już rozumiem...

Machnąłem ogonem, otwierając Drogę i oboje weszliśmy w powstały prześwit.

- Ten chłopak całkiem nieźle posługuje się tym diabelstwem! - zawołał anioł. - Zdaje się, że zostałem wystrychnięty na dudka!

Ostatnia rzecz, jaką usłyszałem, nim zamknął się za

nami tunel, to głośny śmiech Zaurena.

\*

Na pierwszy rzut oka na ulicy nic się nie zmieniło. Tak samo tłoczyli się tu ludzie, tak samo krzątała się załoga karetki. Ale teraz, mając ogon, czułem, że dusza jednego z obecnych gotowa jest do tego, by oderwać się od ciała. Z kolei inna dusza trzymała się ciała z trudem, ale nie miała zamiaru go opuszczać.

- Wiktorze Nikołajewiczu Nienaszewie - powiedziałem uroczyście. - Teraz mnie pan nie słyszy, ale zapamięta pan moje słowa. Pewien bardzo dobry człowiek poświęcił siebie, żeby dać panu możliwość naprawienia błędów. Ma pan szansę, trzeba się okazać jej godnym.

- Wiktorze Nikołajewiczu Nienaszewie - odezwała się Alona. - Liczę na pana i wierzę w pana. Niechaj i pan uwierzy w siebie. Został panu syn. To wspaniały chłopiec. Ale jeśli nie otrzyma pańskiej pomocy, jeśli właśnie pan nie wskaże mu słusznej drogi, nikt inny tego nie zrobi. Jeśli drogowskazem nie będzie ojciec, to kto? Zawinił pan wobec niego, bardzo pan zawinił, ale nie można odkupić grzechów, żyjąc tylko przeszłością. Niech pan pamięta o przeszłości, ale nie pozwoli, żeby wpłynęła ona na teraźniejszość. Niech pan bardziej liczy się z tym, co ma nadejść.

- Ej, a skąd ty masz ogon? - usłyszałem okrzyk. - Wiesz, co ci zrobią za taką kradzież?

Odwróciłem się powoli do Ksefona. W moim spojrzeniu musiało być coś strasznego, bo Ksefon nagle

zjeżył się i cofnął. W tym momencie wydawał się tak żalony, że nawet nie mogłem nim pogardzać. Mogłem mu tylko współczuć.

- Ksefonie - powiedziałem, sam zdumiony siłą, jak dźwięczała w moim głosie. - Proszę, zejź mi z oczu. Nie chcę cię teraz widzieć. Spotkamy się potem, gdy to wszystko się skończy.

I Ksefon zniknął, a ja wiedziałem, że on naprawdę się stąd wyniósł, że nie pokaże się aż do końca, nie zdoła złamać mojego zakazu.

Alona podeszła do mnie i położyła mi rękę na ramieniu.

- Słusznie. Nie należy pogardzać kimś, kto nie ma nawet żadnego celu w życiu. Zrobić komuś świństwo i uciec, oto cały Ksefon. On sam nie zdaje sobie sprawy, jaki jest żalony. Zostaw go. Mamy inne zadanie.

W milczeniu skinąłem głową. Idąc poprzez sylwetki ludzi, zbliżyłem się do leżącego na ziemi ojca Fiodora. Obok mnie stanęła Alona, rozkładając skrzydła. Rozbłysło lśnienie, ale teraz, o dziwo, zupełnie mnie nie parzyło - otuliłem się mrokiem jak płaszczem. Ja i anielica jednocześnie wyciągnęliśmy ręce. Ciało Fiodora Iwanowicza zaczęło się świecić od środka. Pochwyciliśmy ten blask i pomogliśmy mu się uwolnić.

- Jeszcze raz dzień dobry, Fiodorze Iwanowiczu - uśmiechnęła się ze smutkiem Alona.

Kapłan znieruchomiał na chwilę, popatrzył na siebie, a potem na swoje ciało.

- O, żeż ty - wymamrotał, a potem spojrział na nas. - Kim jesteście?

Odsunąłem zasłonę mroku z twarzy, Alona przygasiała lśnienie.

- To wy? - Fiodor Iwanowicz popatrzył na nas osłupiały, a potem ostrożnie wyciągnął rękę i musnął skrzydło Alony. Nie sprzeciwiała się, nawet przysunęła się bliżej i rozwinęła je, żeby mu było wygodniej. Kapłan przesunął dłonią po powierzchni skrzydła, które wydawało się utkane z powietrza, a potem odwrócił się do mnie.

- No, no, no - aż się cofnąłem. - Niech panu nie przyjdzie do głowy dotykać mojego ogona. On nie po to jest.

Kapłan uśmiechnął się.

- Nawet gdybym nie widział twojej twarzy, to od razu bym cię poznał po słowach. Ale co się dzieje? Co się stało?

Alona machnęła skrzydłem i wszystko wokół pokryło się lekką zasłoną. Podniosłem ogon i szybko nim zakręciłem. Kapłan przymknął oczy.

- Więc to tak... To znaczy... to znaczy, że umarłem.

Skinąłem głową i spuściłem oczy.

- Bardzo mi przykro, że tak się stało. Naprawdę... To draństwo! - nie wytrzymałem. - Powinienem był przewidzieć, że ci bandyci tak łatwo nie ustąpią. Powinienem był! A ja się odprężyłem! Myślałem, że już po wszystkim!

Kapłan podszedł do mnie i spróbował położyć mi rękę na ramieniu, ale odsunąłem się, tak na wszelki wypadek. Z takimi ludźmi lepiej mieć się na baczności. Pop najpierw popatrzył na mnie zaskoczony, a potem

zrozumiał i uśmiechnął się przepaszająco. Cofnął rękę, mówiąc:

- Nie bierz na siebie zbyt wiele. Nawet jeśli jesteś diabłem, nie możesz wiedzieć wszystkiego.

Spojrzałem na niego zdumiony.

- Współczuje mi pan, mimo że jestem winien pana śmierci?

- Nie. Jaka jest w tym twoja wina? Nie bierz na siebie zbyt wiele, mały.

- Mały? - prychnąłem i popatrzyłem bezradnie na Alonę. - Wiesz - powiedziałem do niej - po raz pierwszy w życiu mi wstyd. Skończmy to.

Machnąłem ogonem. Alona rozłożyła oba skrzydła, poruszyła nimi szybko, jakby chciała wywołać burzę. Wokół niej zaczął tworzyć się wir. No, no, całkiem nieźle jej to wychodzi, nie jest takim znowu nieukiem...

Zaczekałem na odpowiedni moment, by wbić ogon niczym szpadę w skłębiony eter. Wtedy wir wyciągnął się w przeciwnym kierunku, po czym nagle czubek tak powstałego stożka przylgnął do ogona, zaś szeroka podstawa uniosła się w górę, aż do chmur. Delikatnie ruszyłem diabelskim atrybutem, przesuwając stożek, a potem ostro pociągnąłem, wierzchołek otworzył się, ukazując długi tunel.

Spojrzeliliśmy na Fiodora Iwanowicza.

- Czas na nas - powiedziała Alona.

Kapłan obejrzał się, podszedł do swojego ciała, nad którym pochylał się jego dowódca i przyjaciel. Przykucnął obok.

- Przepraszam, Misza - powiedział cicho. - Ale



wierzę, że jeszcze się spotkamy. Jeszcze się spotkamy...

- Próbował dotknąć swojego towarzysza, ale ręka zapadła się, nie napotykając oporu. Duchowny cofnął rękę i wstał. Zauważyłem, że zacisnął szczęki. Odwrócił się gwałtownie i zrobił krok w stronę tunelu. Chciałem go uspokoić, ale Alona pokręciła głową.

- Zostaw. Pozwól człowiekowi przywyknąć.

W milczeniu skinąłem głową. Stanęliśmy po obu stronach kapłana, wzięliśmy go pod ręce i przenieśliśmy przez tunel. W tym momencie nie mógł nas widzieć.

Przelecieliśmy nad Pałacem Sprawiedliwości i wylądowaliśmy na jego progu. Kapłan drgnął, jakby się ocknął, rozejrzał się.

- Gdzie my jesteśmy?

- To Pałac Sprawiedliwości - wyjaśniłem. - Albo Sumienia, może go pan nazywać, jak panu wygodnie. Tutaj znajdzie się pan sam na sam ze swoim sumieniem... Nie boi się pan?

- Proszę go nie słuchać! - wtrąciła się Alona. - Nie ma w tym nic strasznego, choć oczywiście bycie sam na sam ze sobą jest raczej trudne. Ale nie będzie się pan bał, obiecuję. Tam boją się zupełnie inni ludzie.

- A skąd ty wiesz, że on nie jest naszym klientem? - zapytałem.

- EzerGil! - Odwróciła się do mnie gwałtownie. - Świetnie wiesz, że mam rację! Po co mówić takie rzeczy?

- W końcu jestem diabłem, no nie? - Wzruszyłem ramionami. - Muszę zachowywać się stosownie do swojego image'u.

Fiodor Iwanowicz uśmiechnął się, zrobił krok w stronę Pałacu, a potem podszedł do nas i nagle objął nas oboje.

- Ech, dzieciaki, jacy wy jesteście fajni. Alona, nie zwracaj uwagi na tego gadułę, specjalnie się z tobą drażni, a tak naprawdę bardzo mu się podobasz. Jak on przeżywał, że mu nie wybaczysz wtedy przy wannie.

- Ja? - Podrzuciłem dumnie głowę. - Nigdy! Jeszcze by tego brakowało, żebym coś przeżywał z powodu jakiejś tam dziewczynki! Znam takich na pęczki!

- A nie mówiłem, że mu się podobasz. - Fiodor Iwanowicz uśmiechnął się, a potem puścił nas i zdecydowanym krokiem wszedł do Pałacu.

Alona odwróciła się do mnie.

- Aha, czyli na pęczki? - zapytała łagodnie.

- Hej, nie wygłupiaj się! Ja tu jestem na stanowisku! Pamiętasz zasady?! W tym miejscu nikt nie może wyrządzić nikomu krzywdy! Jeśli mnie zabijesz, wieczna hańba spadnie na raj i aniołów, a na ciebie w szczególności.

Alona prychnęła.

- Phi, już nie mam co robić, tylko cię zabijać... - powiedziała i nagle jej usta wygięły się w podkówkę. Usiadła na ziemi i rozplakała się.

Nie miałem pojęcia, co zrobić!... Siadłem więc obok i dotknąłem jej ramienia.

- Obraziłaś się? No, coś ty. Jak chcesz, to mnie walnij, tylko nie płacz...

- Nie chodzi o ciebie! To... to niesprawiedliwe, żeby taki dobry człowiek i żeby tak... tak podle...

- Tak, to niesprawiedliwe i niedobre - powiedziałem po chwili milczenia. - Właśnie dla takich, którzy czynią podobne rzeczy, istniejemy my. Obiecuję, że dla tego typu, który strzelał do ojca Fiodora zatrzymam najlepsze polano, jakie tylko znajdę. Najlepsze!

- Ale ten etap jest już dla kapłana skończony. Nic już nie można zrobić... - powiedziała Alona. - Czy ukaranie przestępcy zwróci komuś życie?

- Nie. Ale być może dzięki temu przestępca w następnym wcieleniu trochę się zastanowi. I... przecież mnie też jest ciężko... Alona, przecież to ja jestem winien. Nie masz pojęcia, jak bardzo mi z tym źle.

- Już mówiłeś. Ale nie mogłeś przecież przewidzieć, co zrobią ci...

- Nie o to chodzi! Ja z nimi grałem, rozumiesz! Grałem! Bawiłem się żywymi ludźmi jak lalkami! Dla mnie nie istniało nic prócz praktyki i zakładu Wikientija z dyrektorem! A ludzie... ludzie byli po prostu zmiennymi, które należy ustawić w odpowiednim porządku, żeby rozwiązać równanie. Zupełnie nie myślałem o tym, co muszą znosić w imię mojego sukcesu. Nie szkoda mi Aloszy czy jego ojca, bo dla nich, jeśli przeżyją, będzie to pożyteczne doświadczenie, ale dlaczego ucierpiał ojciec Fiodor? Dlaczego ryzykowali życiem ci ludzie, którzy bronili domu malarza? Dlaczego ma ucierpieć sam Rogożew, gdy rzuci się chłopcu na ratunek?! A przecież robi to!

- Czy w takim razie ja jestem lepsza od ciebie? - zapytała cicho Alona. - Przecież popierałam cię zawsze i we wszystkim.

- Ty? Ty nie. Nie miałaś wyjścia, byłaś związana słowem.

- Nie masz racji... - usłyszałem z tyłu.

Odwróciłem się gwałtownie i zerwałem z ziemi.

- Wujek?! - spytałem z niedowierzaniem.

- No przecież nie duch z Canterville - uśmiechnął się anioł. - Witaj, Alono. Jak ci się podoba mój bratanek? Nicpoń, co? Ale utalentowany nicpoń.

- Wujku, przestań! Skąd się tu wziąłeś?!

- Jak to skąd... W końcu jestem opiekunem praktyki tej młodej osóbki, która teraz chowa się za twoimi plecami.

Odwróciłem się. Rzeczywiście, na widok wujka Monterreya Alona schowała się za mną. Po chwili, ze spuszczonej oczami, porzuciła to marne schronienie i stanęła przed wujkiem.

- Przepraszam... - wymamrotała. - Nie spełniłam pokładanych we mnie nadziei. Przepraszam... - zaszlochała.

Anioł podszedł i objął ją.

- Boże, maleńka, za co przepraszasz?! Wspaniale sobie poradziłaś! Brawo!

- Ja?...

- I ty, i ten obwieś, który stoi z tyłu. Mój bratanek zrozumiał, że ludzie nie są tylko pionkami w jego grze, a to bardzo ważne. A ty... ty nauczyłaś się od niego zdecydowania. Naprawdę pomogłaś chłopcu i jego ojcu. Właśnie ty, a nie mój bratanek, bez względu na to, co sobie myśli.

Prychnąłem i odwróciłem się.

- Nie pryčaj! Ciekaw jestem, jak byś sobie poradził bez Alony, bez jej umiejętności współczucia. Ile razy kładła ci łopatą do głowy mądre rzeczy, co, kochanieńki?

Nie odpowiedziałem.

- A ojciec Fiodor?

Wujek odsunął Alonę i przykucnął. Za nim od razu pojawił się fotel, w którym mógł zasiąść. Westchnąłem z zawiścią, ja tak nie umiałem.

- Tak, tu popełniliście błąd, dzieciaki. Jednak wasza wina nie jest aż tak wielka, jak sądzicie.

Alona pokręciła głową.

- To przez nas zginął! Gdybyśmy nie zmusili go do pomocy...

- No, no? - Wujek spojrzał zaciekawiony na Alonę. - Do czego go zmusiliście? Do tego, żeby pomógł Aloszy? Dziewczynko, jeszcze nikt nie odebrał ludziom wolnej woli! Gdyby pop nie chciał pomóc chłopcu, nikt by go do tego nie zmusił! Przypomnij sobie kapłana, którego pozbawiłaś błogosławieństwa.

Alona poczerwieniała, wujek uśmiechnął się.

- Tak, tak... On nie chciał pomagać, więc nie pomagał. I teraz żyje sobie spokojnie, o nic się nie martwiąc. Zazdrościsz mu? Nie! Wasz przyjaciel sam dokonał wyboru, sam poszedł wyznaczoną przez siebie ścieżką.

- Twój wujek ma rację, Ezergilu - powiedział Fiodor Iwanowicz, który właśnie stanął na progu Pałacu. Ale wyglądał! Jakby wchłonał całą mądrość świata...

Wstałem.

- Twój wujek ma rację - powtórzył. - Dokonując takiego czy innego czynu, bądź gotów przyjąć jego konsekwencje. Przecież wiedziałem, że pomagając Aloszy bardzo ryzykuję. Mogłem się wycofać. Ale ja już dawno dokonałem wyboru... Na wojnie zabijałem i to mi się nie spodobało, postanowiłem więc pomagać.

- I zostanie pan za to nagrodzony - rzekł wujek.

Kapłan pokiwał głową.

- A przecież byłem ateistą... dopiero potem uwierzyłem... na wojnie. Po jednym wypadku.

- Wiem. - Wujek skinął głową. - Wiem przecież o panu wszystko. Jestem pańskim następnym przewodnikiem.

- A...

- A oni muszą jeszcze zaliczyć praktykę. Zostawili na ziemi niedokończone sprawy, prawda? Przecież nie porzucicie swojej pracy tylko dlatego, coś wam się nie udało?

- Ale... - próbowała zaprotestować Alona.

Wujek zmarszczył brwi.

- Słucham? Chcesz powiedzieć, że to wszystko ciśniesz? I zostawisz chłopca w rękach bandytów, a jego duszę w rękach mojego bratanka? Przecież umowa jeszcze działa!

Alona zamrugała oczami.

- Ja... po prostu myślałam, że pan będzie chciał sam...

- Ja miałbym naprawiać wasze błędy? O, co to, to nie! Sami narobiliście bałaganu, sami musicie go posprzątać! I żebyś mi się nie zjawiała, dopóki nie wykonasz pracy, której się podjęłaś. Chyba nie

pozwolisz, żeby Ezergil zrobił wszystko sam? Przecież on tylko naknoci!

- Wujku! - zawołałem oburzony, ale napotkałem surowe spojrzenie kapłana, a potem spojrzałem na przygnębiającą Alonę i wszystko zrozumiałem. - No... właściwie... oczywiście... - wymruczałem. - Faktycznie, sporo namieszałem. A teraz...

Nagle podszedłem do anielicy i wziąłem ją za rękę.

- Nie zostawiaj mnie, proszę... - powiedziałem. - Potrzebuję cię.

- Ale...

- Wprawdzie mojej winy jest tu więcej niż twojej, jednak wujek ma rację: to nasze błędy i to my musimy je naprawić. A ile ich bym popełnił, gdy cię przy mnie nie było? Przed iloma mnie ustrzegłaś?

- Ja przecież...

- Proszę cię!

Alona westchnęła.

- No, nie wiem... Ale skoro tak...

- Idźcie, dzieci - ponaglił nas wujek. - I nie zapomnijcie oddać ogona oraz skrzydeł ich właścicielom.

Prychnąłem, a potem wziąłem dziewczynę za rękę. Żeby znów przebić przestrzeń, musieliśmy oddalić się od Pałacu. Spojrzałem za siebie - wujek stał obok ojca Fiodora i uśmiechał się do niego. Widząc, że na nich patrzę, podniósł kciuk w górę. Od razu lepiej. Będzie mnie tu wyzywał od nicponiów...

- Chodź, Alona. Stwórz przejście. Wracamy na ziemię.

Alona skinęła głową. Wargi miała mocno zaciśnięte, spojrzenie zdecydowane.

Ha! Drżycie, wrogowie! Zdaje się, że ta dziewczyna właśnie wkroczyła na wojenną ścieżkę! Dziewczyna rozpostarła skrzydła...



**Część czwarta**

**Być człowiekiem**

## Rozdział 1

Maszerując ulicą, Alona rzuciła mi gniewne spojrzenie.

- Ezergil, musiałeś koniecznie żartować z tego anioła?

- To czemu mówił, że go okłamałem?

- A nie miał racji?

- Miał. Ale kto dał mu prawo mieć rację w sporze ze mną?

Dziewczyna przewróciła oczami.

- Jesteś nieznośny! I w ogóle, nie gadaj tyle! Chyba nie zapomniałeś, po co jesteśmy na ziemi?

Ja gadam?! Ładne rzeczy! Sama nie robi nic innego przez całą drogę, tylko ciosa mi kołki na głowie z powodu niewinnego żarciku, a teraz się okazuje, że to ja gadam! Zerknąłem za siebie. Niestety, ogona już nie było. Ech, miałem go tylko kilka godzin, a już się przyzwyczailem... Dlaczego nie dają diabłom ogonów zaraz po urodzeniu? Dlaczego trzeba czekać do osiągnięcia pełnoletności! A jeśli ja już teraz posługuję się ogonem lepiej niż niejeden pełnoletni? Mój braciszek, na przykład? Nie ma sprawiedliwości na tym świecie. Zauważyłem, że Alona również od czasu do czasu ogląda się za siebie i, próbując rozłożyć nieobecne skrzydła, porusza ramionami, a potem się krzywi. Kurde, kiedy my wreszcie dotrzemy do domu malarza? A wszystko przez tego anioła. Nie mógł nas

bliżej dostarczyć? Widocznie chciał się odegrać za tamten żart... Przecież tylko na chwilę zamieniłem jego skrzydła w ogon. Pewnie, że to była jedynie iluzja, bo nie mam władzy nad anielskimi skrzydłami. Ale się zdziwił, gdy Alona podała mu „ogon”... Sama też była nieźle zdziwiona. Ledwie zdążyłem przed nimi uciec. Nawet teraz Alona jeszcze burczy pod nosem coś na temat moich idiotycznych żartów. Niech sobie burczy. Za to oderwała się od samooskarżeń... Żeby tak jeszcze mnie ktoś od nich oderwał... Zresztą, ja nigdy nie zamartwiam się w nieskończoność tym, czego nie można już naprawić. Moje zamartwianie się i tak niczego nie zmieni, a to znaczy, że trzeba myśleć o przyszłości, a nie o przeszłości. Widocznie Alona nie ma tak bogatego doświadczenia w „stawaniu na grabie” jak ja. To nic, z czasem się przyzwyczai.

- Nareszcie... - westchnęła i przez płot weszła do ogrodu. Ja za nią.

W domu było pusto. Popatrzyliśmy na siebie.

- Należało się tego spodziewać - westchnąłem. - Przecież pogotowie zabrało Nienaszewa i ciało ojca Fiodora... Przyjaciele popa pewnie pojechali z nimi, a malarz do nich dołączył...

- To co teraz zrobimy? - zapytała Alona.

Wtedy skrzypnęły drzwi i w szczelinie pojawiła się ciekawska mordka kotka. Obwąchał powietrze i prychnął. Nie widział nas, lecz wyczuł. Te koty! Nigdy ich nie lubiłem za tę ich nadwrażliwość. Alona od razu rzuciła iluzję, wzięła zwierzątko na ręce i przytuliła do siebie. Kociak zamruczał, z błogością przymykając oczy

i nadstawiając brzuszek.

- Głupie stworzenie - burknąłem. - Jego pan w opałach, a ono ma to gdzieś.

- Przecież on jest jeszcze mały i głupiutki. Powiedz lepiej, co mamy robić?

- A co możemy zrobić? Czekamy! Aloszę znaleźlibyśmy bez problemu, tylko co dalej? Sami i tak nie możemy działać.

- Nie możemy - westchnęła Alona. - Wyłącznie poprzez ludzi.

- Zaczekamy zatem na tych ludzi i przy okazji odpoczniemy. - Usiadłem na kanapie, odwróciłem się do ściany. - Tobie też radziłbym odpocząć. Obawiam się, że już wkrótce nie będzie na to czasu.

- Ale ja nie mogę! Kiedy pomyślę o Aloszy... jak on się tam musi czuć u tych bandytów?

- Rozumiem, ale nic mu to nie da, jeśli doprowadzisz się do stanu skrajnego wyczerpania. Dlatego odpocznij, w ten sposób też pomożesz chłopakowi, bo z trzeźwym umysłem będziesz mogła efektywniej działać.

Alona przyznała mi w końcu rację. Skinęła głową, podeszła do drugiej kanapy, zdjęła buty i położyła się, umieszczając kotka obok siebie. Ten zaczął się kręcić niezadowolony, wtulił nos w twarz dziewczynki i zamruczał. Skrzydlata pogłaskała go odruchowo, lekko odsuwając od siebie i zamknęła oczy. I bardzo dobrze. Naprawdę powinniśmy odpocząć...

Nie wiem, jak długo spaliśmy, ale obudziło nas ostre światło, które rozbłysło w pokoju. Światło? Przybyliśmy tu w dzień, więc co, już wieczór?

Zamrugalem powiekami, przyzwyczajajac sie do blasku i rozejrzałem niezadowolony. Na progu stał Misza - przyjaciel i były dowódca Fiodora Iwanowicza. Zamarł, z pewnym osłupieniem patrząc na mnie i Alonę.

- O, masz! Nie wiedziałem, że malarz ma dzieci!

- Jakie dzieci? - usłyszałem głos Grigorija Iwanowicza. Chwilę później on też wszedł do pokoju i zobaczył nas. - A to wy... - burknął z kwaśną miną. - Miałem nadzieję, że już was więcej nie zobaczę. I co, jesteście zadowoleni z tego, co się stało?

- Dlaczego pan tak mówi? - spytała cicho Alona, mrugając oczami.

Grigorij Iwanowicz przesunął dłonią po twarzy.

- Przepraszam - powiedział ze zmęczeniem. - Nie chciałem cię urazić. Ale ten twój koleżka...

- On też nie ma z tym nic wspólnego! - wypaliła Alona, patrząc gniewnie na malarza. - Przez cały czas był ze mną! A pan... pan go wcale nie zna!

Zaatakowany Grigorij Iwanowicz aż się cofnął.

- Nic dziwnego, że ona go broni! - zauważył gniewnie Ksefon. Michaił popatrzył na niego jak na zjawę. Ksefon w milczeniu przeszedł przez niego, a potem nie wytrzymał, odwrócił się i pokazał mu język. Chyba eksdowódca zwiadu nie był przyzwyczajony do takiego traktowania - bez słowa wyciągnął rękę i złapał biesa za ucho. A dureń szarpnął się mocno, omal nie urywając sobie małżowiny.

- Ty... - zaczął.

- Zamilknij! - poleciłem.

Chyba chciał coś jeszcze powiedzieć, ale widząc mój

wzrok, odsunął się wystraszony.

- Normalnie zbzikowałeś z tą swoją anielicą - palnął.

Nie dopytywałem się, co miał na myśli, obrzuciłem go tylko ponurym spojrzeniem, a potem zwróciłem się do malarza.

- No i świetnie. Jakie macie plany?

- Ezergili. - Alona pokręciła głową. - Nie trzeba.

- Dobrze, w takim razie, proszę, ty z nimi rozmawiaj - rzuciłem nieco rozdrażniony. - Bo ja tu jeszcze takich rzeczy nagadam...

Misza tylko mrugał oczami, patrząc to na Alonę, to na Ksefona.

- Kim wy jesteście? - spytał w końcu.

Wyjąłem notes.

- Michaił Leonidowicz Małow. Major rezerwy. Walczył w Afganistanie, potem w Czeczenii. Zwolniony z wojska z powodu... napisano, że z powodu okrutnych działań w stosunku do cywilów. Jak rozumiem, tłumaczenie, że owi cywile strzelali do pańskich żołnierzy, nie zostało wzięte pod uwagę, przecież były to tylko pańskie słowa. Przy okazji, mogę panu powiedzieć, że z tamtych ludzi tylko dwóch strzelało, pozostali znaleźli się tam przypadkiem.

- Ale kim ty jesteś?

- Czy to ważne? - włączyła się Alona. - Pamięta pan ostatnią prośbę Fiodora?

- Co? - Zza pleców byłego dowódcy wyłonił się jeszcze jeden mężczyzna; duchowny zwracał się do niego „Władimir”. - Skąd o tym wiecie?

- Oni wszystko wiedzą - burknął malarz.

Alona w milczeniu podeszła do niego i podała mu kotka.

- Pamięta pan? Chce pan pomóc chłopcu?

- Chłopcu, tak. Ale wy...

- My też popełniamy błędy, bez względu na to, co wy, ludzie, sobie myślicie.

- Ludzie? - Michaił Leonidowicz był zupełnie zszokowany. - Kim jesteście?!

- My? - wtrąciłem się. - Jak powiem, to i tak pan nie uwierzy. Lepiej niech on wam powie.

- Kto? - spytał Wołodia.

- On sam. - Skierowałem wzrok na anielicę i uniosłem brwi.

- Jesteś pewien? - spytała z powątpiewaniem.

- Jestem. W przeciwnym razie aż do Dnia Sądu będziemy wyjaśniać, kim jesteśmy. - Wstałem z łóżka i poprawiłem ubranie. A potem skinąłem głową Alonie. - Zaczynaj ty, przecież znalazł się w waszej diecezji.

Alona westchnęła. Zamknęła oczy, powoli podniosła prawą rękę. Z otwartej dłoni zaczęło płynąć światło. Wszyscy odsunęli się odruchowo, ale światło nie było ostre. Teraz na ścianie zapłonęła jasna plama, a na niej powoli pojawiła się postać człowieka. Początkowo tylko zarysy, ale stopniowo zaczęła nabierać głębi.

- Fiodor... - wykrztusił Michaił Leonidowicz.

Wołodia cofnął się, Grigorij Iwanowicz trwał w miejscu, jedynie bardzo zbladł. Postać zmaterializowała się ostatecznie i chociaż na tle światła płynącego ze ściany ciężko ją było dojrzeć, było jasne, że to Fiodor Iwanowicz.

- Witaj, dowódco. - Postać uśmiechnęła się samymi wargami. - Zdziwiony?

- Boże... - Michaił Leonidowicz odruchowo podniósł dłoń, żeby się przeżegnać, ale w ostatniej chwili złapałem go za rękę.

- No, no! Obejdziemy się bez tego, dobrze? Jak wyjdę, będzie się pan mógł żegnać do woli.

Major popatrzył na mnie zupełnie oszołomiony, chyba w ogóle nie rozumiał, co do niego mówię. Zerknąłem kontrolnie na Ksefona; po tym typku można się wszystkiego spodziewać... Ale był zajęty jakimiś swoimi sprawami... Dopiero po chwili zrozumiałem, że usiłuje przeszkodzić mi w zerwaniu kontaktu między Aloną i ojcem Fiodorem. Co za kretyn! Naprawdę myśli, że stanę na drodze aniołowi? Cymbał... Ale co tam, niech pracuje, najważniejsze, żeby nie kręcił się pod nogami. Westchnąłem i ostrożnie zacząłem próbować zerwać połączenie Alony i kapłana. Ech, zgubi mnie kiedyś moja dobroć... nie mogę patrzeć, jak ktoś się niepotrzebnie męczy... Tak się biedak stara, niech ma tę satysfakcję, niech myśli, że zniweczył mój podstępny plan...

Tymczasem Michaił Leonidowicz ostrożnie podszedł do Fiodora z wyciągniętą ręką, która rzecz jasna przeszła przez zjawę na wylot.

Ojciec Fiodor uśmiechnął się.

- Ja też się początkowo denerwowałem. Ale szybko przywykłem.

- Ty... ty...

- Tak, jestem zjawą. Misza, co z tobą? Myślałem, że



będziesz mocniejszy.

Michaił potrząsnął głową.

- Nie wierzę! To jakiś trick! Tu musi być jakiś projektor holograficzny...

- Aha. - Ojciec Fiodor skinął głową. - I myślisz, że projektor holograficzny wie to, o czym ci zaraz powiem? Pamiętasz, w górach Afganu? Otoczyli nas wtedy i przemykaliśmy się ścieżką... Omal nie spadłem w przepaść, ale mnie złapałeś. Chciałem się zastrzelić. Pamiętasz? Odciągnąłeś mnie wtedy na bok... Mam powtórzyć, co mi wówczas powiedziałeś? Przecież byliśmy sami, nikt prócz nas nie wie, o czym rozmawialiśmy. Opowiedziałeś mi wydarzenie ze swojego dzieciństwa. Pamiętasz?

- Fiodor?! - zawołał Michaił. - To naprawdę ty?

- Naprawdę ja, mimo że ciężko mnie dotknąć. Dowódcu, mam do ciebie prośbę. Ostatnią.

- Ja... ja... wszystko, co chcesz...

- Mówiłem wam już, tylko nie wiem, czy usłyszeliście. Pomóżcie chłopcu. Nie macie pojęcia, jakie to ważne. Ale nawet gdyby nie było ważne... Po prostu pomóżcie mu, przez wzgląd na mnie i na niego.

Pomyślałem sobie, że wystarczy tego biernego przyglądania się, czas odegrać rolę „złego diabła”.

- Hej, hej, stop! Oszukałaś mnie! Powiedziałaś, że tylko się pożegnają, a on powie, kim jesteśmy. Żadnych zadań! Chłopak jest mój i jego matka także!

- A guzik! - zawołała Alona.

- Guzik czy nie guzik, nie będzie żadnych zadań. Fiodorze Iwanowiczu, niech się pan pożegna, czas na

pana. Bo zaraz przerwę to spotkanie.

Ojciec Fiodor uśmiechnął się do mnie, a potem spojrzał na Ksefona, który zaciekle stawiał opór mojej mizernej próbie przerwania kontaktu. Kapłan pokręcił głową i zerknął na mnie z dezaprobatą. No, co?! Ksefon sam wybrał swoją drogę, gdy postanowił mi przeszkodzić. Mógł nie przyjąć tego zadania. A teraz ja mam być winien, tak? Nic z tego! Figę! Jak mówią mądrzy ludzie: kto pod kim dołki kopie...

Fiodor zrozumiał moje spojrzenie i odwrócił się.

- Żegnaj, dowódco. Mam nadzieję, że się potem spotkamy... z naszymi wszystkimi chłopakami też, z tymi, którzy zostali w tych przeklętych górach... Obiecano mi...

Michaił nagle szybko przesunął dłonią po twarzy, strząsając nieproszone łzy. Ojciec Fiodor zaczął powoli cofać się do ściany. Nagle znieruchomiał.

- Grigorij, nie naskakuj na dzieci. One nie ponoszą odpowiedzialności za naszą głupotę. Nie są winne temu, co się ze mną stało, nikt nie jest winien... Po prostu tak się złożyło... - Duch cofnął się do ściany, zgasło światło i sylwetka człowieka zniknęła.

Mniej więcej z minutę panowała martwa cisza. Taktownie milczałem, siadając w najodleglejszym kącie pokoju. Alona również się wycofała. Tylko Ksefon stał prawie na środku, dobrze chociaż, że nic nie mówił.

- Więc kim jesteście? - zapytał Michaił.

- Diabłem jestem. Diabłem - powiedziałem z takim samym zmęczeniem. Przecież wiedziałem, że i tak nie uwierzy. - A ona jest aniołem, jeśli jeszcze pan tego nie

zrozumiał.

- Jasne, a ja jestem papieżem!

- Proszę bardzo. - Wzruszyłem ramionami i machnąłem ręką. Z góry spadły papieskie szaty, przywaliły byłego dowódcę zwiadowców. Michaił Leonidowicz, klnąc jak szewc, odrzucił je na bok.

- Co to za kawały?!

- Sam pan powiedział, że skoro ja jestem diabłem, to pan jest papieżem. O co więc chodzi? Zaraz przyjadą po pana z Watykanu.

- Nie chcę być papieżem!!! - Michaił odskoczył przerażony od sterty ubrań.

- To chcę, to nie chcę... - burknąłem i sprawiłem, że odzienie zniknęło. - Z wami, ludźmi, nie dojdiesz do ładu... Dobra, niech pan szybko mówi, czego pan chce, to od razu wszystko załatwimy. - Wyjąłem notes, długopis i przygotowałem się do pisania.

- Czego chcę? - spytał zaskoczony Michaił, patrząc to na Grigorija Iwanowicza, to na swojego kolegę.

- No co, znowu pan czegoś nie rozumie? Pańskie życzenie, moja praca. Oczywiście w zamian za duszę. Szybciutko, niech pan wypowie życzenie.

- Kpisz sobie? - spytał stropiony Grigorij Iwanowicz.

- A pan to nie?! - ryknąłem, ostatecznie wytrącony z równowagi. - Długo jeszcze będziecie się tu zajmować głupotami?!

- A co ty się tak troszczysz o chłopca? - zapytał z niedowierzaniem Ksefon.

- Co, co! A to! Zawarłem z nim umowę, nie?! I mam obowiązek jeszcze przez dwie doby go chronić. Dlatego

muszę zorganizować ratunek!

- No, staraj się, staraj, ale jego duszy i tak nie dostaniesz!

- Jeszcze zobaczymy!

- A zobaczymy!

- Cisza! - ryknął Michaił, również wyprowadzony z równowagi. Oho, od razu widać byłego wojskowego, ten to umie rozkazywać. Zamilkłem grzecznie i popatrzyłem na niego, Michaił Leonidowicz przeniósł wzrok na Alonę. - Dziewczynko, wydajesz się najrozsądniejsza...

- Tylko się wydaje - wtrąciłem się, ale od razu ugryzłem się w język, zmrożony ponurym i znaczącym wzrokiem Michaiła Leonidowicza. Poczekał na ciszę i znów spojrzał na Alonę.

- Mogłabyś wyjaśnić, o co tu chodzi?

Anielica pokręciła głową.

- Nie mogę, bo i tak pan nie uwierzy. I po prostu nie zrozumie pan siły wiary, jest pan zbyt wielkim materialistą.

- Jeśli wiara pomoże mi spełnić ostatnie życzenie Fiodora...

Alona pokręciła głową.

- Nie tak. Najpierw niech pan sobie odpowie na pytanie: czy chce pan uratować chłopca tylko po to, żeby spełnić ostatnie życzenie ojca Fiodora, czy po prostu chce go pan uratować? Jeśli to pierwsze, niech pan sobie lepiej da spokój. Teraz chodzi nie tyle o życie chłopca, co o jego duszę i trzeba ratować właśnie ją.

- To wszystko bzdury, o duszę niech się martwią inni.

Mnie chodzi o chłopca. I nie myśl, że chcę mu pomóc tylko dlatego, że prosił mnie o to przyjaciel. I tak bym go nie zostawił.

Dziewczyna opuściła ramiona.

- Tak przypuszczałam, że pan nie zrozumie. To oczywiście dobrze, że chce go pan uratować, ale... - Alona machnęła ręką. - Szkoda, że jest pan takim materialistą...

- Cóż począć, tego nie zmienię. A ty, niematerialistka, możesz pomóc?

Alona pokręciła głową.

- Nie mogę, nie mam prawa. Wtedy również druga strona otrzymałaby prawo do ingerencji. My nie możemy w tym świecie działać bezpośrednio, jedynie poprzez ludzi.

- To jaki z ciebie pożytek, aniele?

Spojrzała twardo na Michaiła Leonidowicza.

- Pomagamy ludziom wierzyć. Wierzyć wtedy, gdy nie ma już nadziei. Czy to mało?

Po raz pierwszy ujrzałem, jak spieszył się ten, zdawałoby się, żelazny człowiek. Jak wstydliwie odwrócił oczy.

- Dobrze... W takim razie poradzimy sobie sami.

- Mogę dać wam radę, jedną.

- Hola, wtedy ja również będę mógł dać radę! - zawołałem szybko.

Alona odwróciła się do mnie gwałtownie i przez kilka sekund patrzyła, jakby widziała mnie po raz pierwszy.

- Umowa stoi - powiedziała w końcu, a potem odwróciła się do Michaiła. - Pamiętaj pan tego

milicjanta, który tu był... no, tego z ręką w gipsie... On pracuje dla ludzi, którzy porwali Aloszę.

- Więc to tak... - powiedział cicho Michaił Leonidowicz i odwrócił się do swojego byłego podwładnego. - Wołodia?

Ten skinął głową.

- Jestem z tobą, dowódco.

- Nie zapomnijcie o mnie! A o co chodzi? - Do pokoju wszedł jeszcze jeden mężczyzna, którego widziałem już z Michaiłem i Władimirem, ale przez cały ten czas był trochę z boku.

Major wprowadził go w sprawę, a ten gwizdnął.

- Ale numer... Tu trzeba wszystko przemyśleć, dowódco, nie ma co lecieć na złamanie karku. A z drugiej strony, nie można zostawić chłopca tym bydlakom...

- Pomyślimy - uciał dowódca. - Zorientujemy się na miejscu i pomyślimy. Co tam u ciebie?

- Ojca chłopaka zawieziono do szpitala. Na razie bez zmian. A Fiodor... Fiodora też zawieźli...

Michaił Leonidowicz w milczeniu poklepał przyjaciela po plecach i szybko wyszedł z domu. Za nim poszli jego koledzy. Ku mojemu zaskoczeniu, malarz dołączył do nich.

Michaił odwrócił się do niego zdumiony.

- Idę z wami - oświadczył Rogożew.

- Ee... to może być trochę...

- Niebezpieczne? Wiem. Jestem dorosły i sam odpowiadam za swoje czyny. Nie oddam chłopca tym bydlakom. A ojciec Fiodor... znałem go krócej niż wy,

ale... był dobrym człowiekiem, a ci... - Malarz zamilkł i tylko machnął ręką.

Major przez kilka sekund przyglądał się Grigorijowi Iwanowiczowi, a potem skinął głową i wyciągnął do niego rękę.

- Michaił.

- Grigorij.

Hm, przypuszczam, że już wcześniej przeszli na „ty”, przecież przez cały dzień siedzieli w domu malarza. Tu chodziło raczej o jakiś rytuał, ludzie lubią wszystko komplikować.

- Władimir - zrobił krok do przodu drugi zwiadowca.

- Grigorij.

- Siemion - przedstawił się trzeci.

- Grigorij.

Rany! Normalnie wzruszyłem się do łez! Zamiast ratować dziecko, będą tu teraz ceremonie urządzać! Może jeszcze rozpoczną uroczyste picie herbaty? A co? Pasowałyby w sam raz! Za znajomość i przyjaźń... Chociaż nie, nie jesteśmy w Chinach. Czyli raczej uroczyste picie wódki, nawet lepiej. A potem święto kaca. A następnie bez pośpiechu zabiorą się do pracy... Tak, chyba jestem dzisiaj nie w sosie. Za bardzo się denerwuję o tego chłoptysia, który lekką ręką oddał mi swoją duszę. Co by nie mówić, martwiłem się... Dobra, nieważne...

Malarz i przyjaciele Fiodora wyszli z domu. Zdaje się, że postanowili nas zignorować... Proszę, proszę, robią się beczelni!

Wtedy pochwyciłem podejrzliwe spojrzenie Ksefona.

- Chyba ich popilnuję - rzucił. - Żebyś im nie przeszkodził - dodał i zniknął.

- Popilnuj, popilnuj - burknąłem. Tak właściwie to nie ich powinien pilnować, tylko mnie. Ale Ksefon, mimo że jest głupi, to coś niecoś jednak rozumie i wie, że mnie nie upilnuje, choćby pękł. Doskonale zna swoje i moje możliwości. A dla mnie to nawet lepiej, mniej kłopotów.

Wtedy Alona złapała mnie za ramię.

- Coś ty sobie za radę wytargowałeś?

- Ja???

- Tak, ty! Powiedziałeś, że skoro ja dam im radę, to i ty możesz dać. Jaką i komu?

- Alona, no przecież ja tylko tak powiedziałem! Żeby nie wyjść z roli tego złego. No i w ramach poparcia twojej tezy o równowadze...

- Ezergil, ty mi tu nie pleć! Mogło ci się udawać wcześniej, jak cię jeszcze nie znałam, ale teraz już mnie nie nabierzesz na to swoje uczciwe spojrzenie.

- Czyli co? Powinienem przejść na spojrzenia nieuczciwie, wtedy zaczniesz mi wierzyć?

- Ezergil!

- Dobrze, dobrze. Tylko nie rozumiem, co tu jest zagadkowego? Alosza jest nadal mój, umowa pozostaje w mocy, a on mnie jeszcze nie pokonał...

- Co planujesz?

- Zobaczysz. Ale najpierw musimy znaleźć chłopca. Naprzód! - Wziąłem dziewczynę za rękę i skierowałem się do wyjścia, ciągnąc ją za sobą i nie zwracając uwagi na okrzyki i pytania. Z kobietami tak właśnie trzeba.



Surowo!

Trzask!

- Za co?! - Podskoczyłem, łapiąc się za szyję.

Alona stała z boku i kiwała dość pokaźną gałązką. Nawet nie zauważyłem, kiedy ją złapała, pewnie wtedy, gdy ją ciągnąłem przez podwórko.

- Potrafię sama chodzić, nie musisz mnie wlec! - Alona odrzuciła gałązkę. - I nie próbuj mnie tak traktować!

- Jak?

- Tak! Dość gadania! Zdaje się, że gdzieś się wybierałeś?

Te kobiety!!! Odwróciłem się i zacząłem iść ulicą szybkim krokiem. Obok mnie szła Alona. Zerkałem na nią spod oka, a nuż znowu mi czymś przyłoży? I to ma być anioł! Nie, za żadne skarby świata nie poszedłbym do raju! Jeśli wszystkie anioły są takie, to... Ratunku!

Pędziłem ulicą ze sporą prędkością, prawie nie zwracając uwagi na przechodniów. Alona podążała za mną, po drodze przepaszając tych, których potrąciłem. W końcu mnie wyprzedziła, znacząco spojrzała mi w oczy. Zrozumiałem aluzję, trochę przyhamowałem i teraz już szedłem ostrożniej.

Mój plan był bardzo prosty: skoro dorośli zajmują się „wujkiem milicjantem”, to my możemy zająć się Ukleją. Oczywiście, nie rybą, tylko tym typkiem, który komenderuje małoletnimi kryminalistami. To znaczy, przynajmniej połowie szajki już organizują czas w areszcie albo izbie dziecka, ale przywódca, dzięki znajomościom z wujkiem milicjantem, znalazł się na

wolności i nie zanosilo się, żeby miało to ulec zmianie. Pewnie Lonia był teraz bardzo zajęty... Ciekawe, swoją drogą, jak mu się udało uchronić od więzienia tego suszonego łuskowatego?

Gdy z głównej ulicy skręciłem w zaułki, Alona chyba zrozumiała, dokąd się wybieram, bo nawet przestała się obrażać.

- Dzieciaki... - usłyszałem nagle pijacki głos.

Odwróciłem się powoli, nie cierpię, jak ktoś tak do mnie mówi, i zobaczyłem, że nieopodal stało trzech mężczyzn w nieokreślonym wieku, najwyraźniej cierpiących na potężnego kaca. Zupełnie jak w dowcipie... Cała ta trójka gapiła się teraz na nas.

- No, chodźcie do nas. Nie bójcie się.

Ja miałbym się bać?! Ale nie mamy czasu na takie rozrywki...

- Czego? - burknąłem.

Trzech typów, trochę się chwiejąc, stanęło tak, żeby zastawić nam wszystkie możliwe drogi ucieczki. Biorąc pod uwagę, że przejście było tu wąskie, nie mieli z tym większych trudności.

- Jaki niegrzeczny chłopiec - uśmiechnął się jeden. - Przecież nie odmówisz nam pomocy?

- Ja? Pomocy? - spytałem tonem oburzonego pioniera i już spokojniej dokończyłem: - Oczywiście, że odmówię.

To było kompletnym zaskoczeniem dla całej trójki. Ściągnęli brwi, chyba myśleli. No tak, w końcu to ciężka praca...

Alona stanęła przestraszona za moimi plecami, łapiąc

mnie za rękę. Od razu poczułem się raźniej, nawet zrobiłem się dumny. Co to dla mnie jakaś tam trójka pijaczków? Dajcie mi tuzin!

Mężczyźni zastanowili się. Jeden, widocznie najmądrzejszy, wyszedł do przodu.

- Ty tego... no jak to... no, poczęstuj wujków.

- Nie piję.

- Głupi! Pieniądze dawaj!

- A, pieniądze! - zawołałem radośnie. - Czemu od razu nie powiedzieliście? A ja się tu zastanawiam, coście się przyczepili...

Mężczyźni popatrzyli na siebie zaskoczeni, a ja machnąłem ręką w stronę pobliskiego śmietnika.

- Bierzcie, ile chcecie! Mnie nie szkoda. - Oczywiście, mogłem wymyślić coś bardziej wysublimowanego, ale tracić czas i fantazję na tych, na tych... aż mi zabrakło określenia... nie miałem najmniejszego zamiaru.

Trójka odwróciła się zdumiona i znieruchomiła. Tam, gdzie przedtem stało kilka kubłów i leżała góra śmieci, teraz widniały banknoty o różnych nominałach. Gdzieniegdzie błyszczało złoto, a na wierzchu spoczywały jeszcze drogie kamienie. Cała trójka jednocześnie przetarła oczy.

- Ee...

- Aa...

Trzeci okazał się bardziej rozgarnięty - zamiast wygłaszać kolejne samogłoski, bez słowa rzucił się do tego całego dobra i teraz zanurkował w górę forsy, pospiesznie wciskając ją sobie za pazuchę. Pozostała

dwójka z dzikim rykiem rzuciła się do sterty pieniędzy i już po chwili w tym bogactwie kąpali się w komplecie. Alona ostrożnie wysunęła się zza mojego ramienia.

- To okrutne, Ezergilu.

- Tylko mi nie mów, że ci ich szkoda.

- To nieszczęśliwi ludzie i zasługują na współczucie.

- Sami unieszczęśliwili siebie i pewnie jeszcze kilka osób.

Alona nie odpowiedziała.

Wtedy zza zakrętu wyłonił się jakiś człowiek. Zauważył naszych nieszczęśników, przystanął stropiony i patrzył, jak trzech dorosłych mężczyzn niemal nurkowało w górze śmieci. Jeden z zachwytem przebierał zatechły groch, podnosząc go do twarzy i wpatrując się weń z błogim uśmiechem... Ale ostatecznie dobił przechodnia pijaczek, który chwycił ze sterty śmieci coś oślizgłego i śmierdzącego i zaczął to sobie wciskać do kieszeni. Przechodzień zbladł, odwrócił się szybko i uciekł.

- Coś mi się wydaje - powiedziałem - że już niedługo naszymi przyjaciółmi zajmą się specjaliści. A na nas już czas.

- Ezergil, nie możesz ich tak zostawić!

- Nie mogę? Jeszcze jak mogę. Chcieli pieniędzy, to dostali.

- Myślę, że chcieli prawdziwych pieniędzy, nie iluzji.

- Otrzymali tyle, na ile zapracowali. I nie kłóć się ze mną, to w końcu z mojej diecezji. Dostali, na co zasłużyli.

Westchnęła i popatrzyła ze smutkiem na tę trójkę, ale

doskonale wiedziała, że nie może nic zrobić.

- Nie masz prawa ingerować bezpośrednio - spróbowała jeszcze.

- Nie ingeruję, jedynie spełniam ich prośby. Tyle mogę. A swoje dusze już dawno mi oddali.

Alona westchnęła jeszcze smutniej. Popatrzyłem na nią, potem na pijaczków. Kurczę, kim oni są, żebym z ich powodu psuł sobie stosunki z Aloną? Niech się stąd wynoszą... i tak będą musieli za wszystko zapłacić, jak nie teraz, to później. Machnąłem ręką, odwróciłem się i poszedłem dalej, nie słuchając rozczarowanego wycia pijaczków. Chyba nie byli zadowoleni, że pozbawiono ich iluzji.

Alona dogoniła mnie i teraz szła obok.

- Dziękuję - powiedziała po chwili.

- Nie ma za co - burknąłem.

- I tak dziękuję. Jesteś dobry, Ezergilu, chociaż starasz się udawać wrednego.

- Jestem diabłem, prawda? A wszyscy wiedzą, że diabły są podstępne, złe i pozbawione sumienia i myślą tylko o tym, jak by tu odebrać ludziom ich niewinne dusze, jak by tu zepchnąć ich ze słusznej drogi różnymi pokusami.

Sposepniała.

- Czemu tak mówisz?

- A co, może nie mam racji? Zobacz, żadnemu z tych ludzi, z którymi się kontaktowałem, nawet nie przyszło do głowy, że może być inaczej! Nikt nie dziwił się temu idiotyzmowi z umową! Powiedz, dlaczego oni zawsze zwalają na nas swoje słabości? Dlaczego mają o nie

pretensje do nas, a nie do siebie? Dlaczego zamiast się poprawić, próbują zniszczyć nas?!

Alona stanęła przede mną, położyła mi ręce na ramionach, zajrzała prosto w oczy.

- Ezergili... wybac mi, jeśli zdołasz... Zanim ciebie poznałam, nie miałam pojęcia, jaki ciężar spoczywa na diabłach... Trudno być aniołem, ale wam jest znacznie ciężej.

Zaskoczony zamrugałem oczami.

- Naprawdę tak myślisz?

- Sądzisz, że mogłabym kłamać?

Staliśmy tak naprzeciwko siebie chyba z pięć minut. W końcu ostrożnie ująłem jej ręce i zdjąłem ze swoich ramion.

- Chodźmy. Musimy przecież pomóc Aloszy.

Skinęła głową. Tego, co teraz powiedzieliśmy sobie wzrokiem, nie dałoby się ubrać w żadne słowa. Po prostu nie starczyłoby na to czasu. Nie starczyłoby nawet naszego życia, a co dopiero ludzkiego. Zresztą, żadne słowa nie były nam teraz potrzebne.

Wkrótce dotarliśmy do znajomej sutereny. Nie zawracając sobie głowy otwieraniem drzwi, po prostu przez nie przeszedłem. Pomieszczenie było puste. Aha, to właśnie przy tym stole ograłem żalosnych, młodocianych złodziei...

- Chyba nikogo nie ma - powiedziała Alona, stając obok mnie.

- Mhm... Ale wiesz, mam wrażenie, że Ukleja zaraz tu przyjdzie. Musi przyjść.

- Jesteś pewien?

- Może to dziwne, ale jestem - odparłem, gdy wsłuchałem się w siebie. - Chyba budzą się we mnie diabelskie instynkty, zaczynam wyczuwać klientów, bez względu na to, gdzie oni są. I teraz właśnie czuję, że nasz drogi przyjaciel już do nas zmierza. Zaczekajmy.

Alona zerknęła na mnie z niedowierzaniem, ale nie spierała się, podeszła do kanapy i usiadła. Ja ulokowałem się w fotelu Uklei. W zamyśleniu złączyłem koniuszki palców. Ciekawe... Wybierając się na ziemię, myślałem tylko o tym, żeby wygrać zakład, dostać pięćset monet, utrzyć nosa Ksefonowi i zaliczyć praktykę. A teraz? Już ze trzy dni nie myślałem ani o zakładzie, ani o praktyce. To wszystko stało się nagle nieważne... Oto siedzę w towarzystwie anioła i martwię się o jakiegoś ludzkiego chłopaczka. W dodatku strasznie bym chciał, żeby wytrzymał moją ostatnią próbę, i to nie dlatego, że wtedy wygram zakład, ale po prostu... no, dlatego, że chcę w niego wierzyć...

Drzwi skrzypnęły cichutko, rozpaczliwie pomachałem Alonie ręką i ukryłem się za iluzją. Dziewczyna popatrzyła na mnie zaskoczona, ale zrobiła to samo, co ja.

Ukleja ostrożnie wszedł do sutereny, rozglądając się zaszczutym wzrokiem. Był jakiś rozkojarzony, wzburzony... Odsunął krzesło, podszedł do komody, kucnął i wsunął rękę w szczelinę pod nią. Pomacał... chwilę później już trzymał w ręku foliowy woreczek z czymś podłużnym w środku. Podszedł do stołu, szybko rozwinął folię i położył na stole plik pieniędzy.

- Aha, czyli tamte dwadzieścia tysięcy to wcale nie

były wszystkie wasze pieniądze? - zauważyłem drwiąco. - Są jeszcze zaskórniaki.

Ukleja podskoczył z wrażenia, odwrócił się gwałtownie, patrząc na mnie z przestraczem. Rozejrzał się nerwowo, widocznie szukał kogoś jeszcze.

- Ty?!

- Ja. - Skinąłem uprzejmie głową.

- Ty... skąd się tu wziąłeś?

- Siedzę tu od dłuższego czasu. Byłem ciekaw, co teraz zrobisz.

- Ty! To wszystko przez ciebie!

Uniosłem brew.

- Przeze mnie? Co przeze mnie? Przeze mnie zacząłeś rabować kioski? Przeze mnie graliście w karty na pieniądze? Przeze mnie próbowaliście wcisnąć kasjerce w sklepie kserowaną forszę?

- Tak, przez ciebie! To ty podsunąłeś nam te pieniądze!

- A co, może miałem oddać prawdziwe?

- Wszystko przez ciebie!

- Dobrze, niech będzie, że przeze mnie. I co dalej?

- A to! - Groźnie zmarszczył brwi. - Nie wiem, kim jesteś, ale teraz cię zabiję!

- Naprawdę? - Popatrzyłem na niego zaciekawiony. - A co, już kogoś kiedyś zabiłeś? A może postanowiłeś uzupełnić braki w przestępczym wykształceniu?

Ukleja spojrział na mnie zaskoczony. Widocznie sądził, że taki szczeniak jak ja powinien trząść się ze strachu przed takim twardzielem jak on. A tu jawna drwina i zero lęku.



- Kim jesteś, niech mnie diabli wezmą?

- Wiesz co, na twoim miejscu ostrożniej dobierałbym słowa. Przecież może się zdarzyć, że faktycznie wezmą... Zasłużyłeś na to. A jeśli chodzi o mnie, możesz zwracać się do mnie tak, jak poprzednio: „Graczu”.

Ukleja jeszcze raz rozejrzał się uważnie. Fakt, że byłam sam, chyba go uspokoił. Wziął się w garść i zapytał:

- I czego chcesz, Mister Gracz? Zabrać mi również te pieniądze?

- Pieniądze? Czym są pieniądze? To tylko kolorowy papier, który wy, ludzie, cenicie nieadekwatnie wysoko. Zresztą, nie zrozumiesz tego, dlatego będę bardziej przyziemny. Pieniądze nie są mi potrzebne. Gdyby były, wziąłbym je, zanim się zjawiłeś i dawno sobie poszedł. Potrzebuję ciebie. A mówiąc ściślej, informacji.

- I myślisz, że ci coś powiem? Po tym, co zrobiłeś?

- Powiesz.

- Jesteś pewien? A ile jesteś gotów zapłacić za informacje?

- A co powiesz na czyste sumienie? - rozległo się od strony kanapy.

Ukleja odwrócił się gwałtownie i ujrzał Alonę.

- Skąd ona się tu wzięła, niech to diabli wezmą?

- Prosiłem, żebyś uważał na to, co mówisz - pouczyłem go. - Przecież naprawdę mogę wziąć...

Jednak bandziorek puścił moje słowa mimo uszu. Zdetonowany patrzył na dziewczynkę, która zjawiała się nie wiadomo skąd. Jego szok mnie nie dziwił: mógł

dojść do wniosku, że mnie po prostu nie zauważył z pośpiechu, ale przecież potem uważnie się rozejrzał i był pewien, że prócz nas nikogo więcej w melinie nie było! A już na pewno na kanapie! A tu proszę! Siedzi sobie dziewczynka, która wzięła się nie wiadomo skąd, i jeszcze dyskutuje! W jednej chwili utracił część świeżo odzyskanej pewności siebie. Ech, o tym, że on jest tchórzem, wiedziałem już wcześniej. Żaden pełnoletni facet nie wiązałby się z małolatami i nie tworzył z nich bandy, gdyby czuł się pewnie wśród swoich rówieśników. Zdaje się, że się z nimi nie dogadywał, że się ich bał... Ufał tylko tym, których zdławił siłą i autorytetem. A zdławić umiał jedynie słabszych i młodszych. Ale teraz, gdy znalazł się w matni, bez wahania porzucał tych, którzy mu ufali, żeby ratować własną skórę. - A kim ty jesteś?!

- Założmy, że twoim sumieniem.

Ukleja nawet nie miał pojęcia, jak prawdziwe jest to, co właśnie powiedziała Alona.

- Aha. Wiesz co, sumienie? Zabieraj swojego kawalera i wynoście się stąd, pókim dobry.

- Możesz uciec już teraz - oznajmiłem spokojnie. - Możesz uciekać także w przyszłości. Przed nią, przede mną... Ale wcześniej czy później spotkamy się i coś mi się zdaje, że raczej jednak na moich warunkach. Ucieczka nie ma sensu, Nikołaju. Można albo walczyć, albo się poddać. Ty się już chyba poddałeś, uznając swoją klęskę za zwycięstwo.

Patrzył na mnie oszalałym wzrokiem.

- Skąd znasz moje imię? Nikt go tu nie zna!

- Naprawdę chcesz uzyskać odpowiedź na to pytanie?
- Popatrzyłem mu prosto w oczy.

Przez jakiś czas wytrzymał moje spojrzenie, ale w końcu się poddał.

- Czego chcesz?

- No przecież wiesz. Gdzie jest chłopak? Kto go zabrał?

- Aha! - Skoczył. - Więc tego chcecie?! Tacy wszyscy jesteście dobrzy! Jeśli powiem, to mogą mnie zabić! Nie będę ryzykował z powodu szczeniaka!

- Nikt cię nie prosi, żebyś ryzykował - oznajmiła chłodno Alona. - Prosimy tylko, żebyś powiedział, co wiesz. A potem możesz spadać.

- Aha. Tylko, że potem oni mnie wszędzie znajdą.

- Może znajdą - skinąłem głową - a może nie. Masz szansę zrobić prawdziwie dobry uczynek. Nie zmarnuj jej.

- Idźcie w cholere! - Ukleja złapał pieniądze, wsunął je sobie za pazuchę i pobiegł do wyjścia. - Wariaci! - krzyknął.

Słyszałem, jak trzasnął drzwiami, jak potem je czymś podparł. Zostaliśmy sami.

- Powinien był dostać szansę - powiedziała Alona, jakby się tłumacząc. - Każdy człowiek ma prawo...

- Ma - westchnąłem. - I daliśmy mu szansę. Sam z niej zrezygnował.

- Tak - westchnęła ze smutkiem.

- Tylko mi nie mów, że ci go żal!

- Zawsze mi żal, gdy ludzie nie spełniają pokładanych w nich nadziei...

- Twoich nadziei.

- I twoich też. A może nie? Och, Ezergilu, znowu usiłujesz udawać gorszego, niż jesteś.

- Nie, po prostu usiłuję być realistą. Wy, anioły, jesteście zbyt idealistyczne. Ja tam wolę mile się rozczarowywać. Niestety, tym razem zupełnie się nie rozczarowałem.

Alona poruszyła się na kanapie.

- Czyli nie możemy się otwarcie wtrącić?

- Nie możemy. Gdyby ten Ukleja...

- Nikołaj.

- Ukleja. Jakby był Nikołajem, to nas by tu nie było. Więc gdyby ten gnojek choć odrobinę się ukorzył... powiedział, co wie...

- Nie sędzę, żeby wiedział zbyt wiele.

Machnąłem ręką.

- Znowu próbujesz go tłumaczyć. Czy my potrzebowaliśmy informacji? Nie! Informacje zdobędziemy bez niego, wystarczy sięgnąć po notes. Potrzebowaliśmy jego skruchy, żeby zyskać możliwość wpłynięcia na wydarzenia. Niestety, w tej sytuacji pozostaje nam tylko rola widzów. Jednak przedtem muszę jeszcze wykonać jedną nieprzyjemną pracę.

- Coś ty wymyślił?

- Mam prawo udzielić jednej rady, zapomniałaś? Sama mi je dałaś. Ukleja już dokonał wyboru, teraz dajmy taką możliwość innemu człowiekowi. Chodź.

Wstałem z fotela, podszedłem do drzwi. Alona w milczeniu poszła za mną. Co się z nią dzieje? Żadnych pytań, żadnego domagania się, żebym wyjaśnił, co chcę

zrobić... Widocznie zrozumiała, że dopytywanie się nie ma sensu. Albo... albo nasza rozmowa nie przeszła bez echa...

Już na podwórku odwróciłem się do wejścia, które, jak się okazało, Ukleja zablokował trzonkiem łopaty. Przez jakiś czas patrzyłem na drzwi, jakbym widział je po raz pierwszy. Dziewczyna cierpliwie czekała, od czasu do czasu zerkając w tym samym kierunku, jakby chciała zrozumieć, co mnie tak zaintrygowało.

- Co jest? - nie wytrzymała w końcu.

- Boję się - wyznałem niespodziewanie dla samego siebie. - Boję się kolejnego rozczarowania.

- Spróbuj uwierzyć.

- Wierzę. Ale czy wierzy Alosza? Dobrze, chodźmy. Nawet jeśli się boję, to żaden strach nie skłoni mnie do rezygnacji.

Alona skinęła głową.

## Rozdział 2

Bez problemu dowiedzieliśmy się, gdzie trzymają Aloszę, wystarczyło użyć naszych cudownych notesów i zadać odpowiednie pytanie. Tylko, że wtedy pozbawialiśmy się możliwości wtrącenia się w bieg wydarzeń. Ten zakaz był nie tyle nawet prawem, co podwaliną świata i jego porządku. Żaden diabeł ani żaden anioł nie mógł ograniczyć wolnej woli człowieka - nieważne, że chcielibyśmy ograniczyć jego wolną wolę dla jego własnego dobra. Więc nie mieliśmy większego wyboru.

- Ciekaw jestem, co robią nasi dzielni przyjaciele, których poszczułaś na tego nieszczęsnego milicjanta.

- Ja poszczułam?! - Alona oderwała się od oglądania domku w lesie i popatrzyła na mnie z oburzeniem.

Uśmiechnąłem się.

- A co, może nie? Kto im powiedział o zdrajcy? I co, nie żal ci go? - podpuściłem ją.

- Aloszy żałuję znacznie bardziej. On jest niewinny.

- Aha, niewinny jak baranek... I kiosków nie napadał, i pieniędzy nie kradł... Ty zarazo! - zakląłem, tłukąc komara. No przecież nie wytłumaczę głupiemu stworzeniu, że nie jestem człowiekiem i że mojej krwi się nie napije...

Alona popatrzyła na mnie z dezaprobatą i wróciła do obserwacji domu.

Trzeba przyznać, że dom robił wrażenie. Uważnie

obejrzałem masywne ogrodzenie zwieńczone drutem kolczastym. Ładnie się urządził... Trzeba będzie tam u nas podrzucić pomysł, żeby właściciela tego domku wsadzili do kotła umieszczonego w takiej samej willi. Byłoby mu miło... Chyba. Trzeba by zapytać... Ech, znowu myślę o głupstwach, a tu należy wracać do pracy. Przymknąłem oczy i starannie zbadałem las dookoła. Nikogo i niczego. A, zaraz, nie - ktoś tam był, jednak dość daleko i na razie nas nie interesował.

- No to co, złożymy wizytę grzecznościową? - zapytałem.

- Diabeł? Grzecznościową? - prychnęła Alona. - Wiesz chociaż, co to znaczy „grzeczność”?

Podrapałem się po karku.

- Chyba widziałem raz w słowniku... Coś tam było takiego... Zdaje się, że to nazwa nowego rodzaju tortur.

Alona parsknęła, a ja się uśmiechnąłem.

- Ponure masz żarciki - stwierdziła.

- Staram się odpowiadać wysokiej randze diabła - zameldowałem.

Alona żartobliwie pogroziła mi palcem. Zaś ja z miną winowajcy spuściłem głowę, uśmiechając się kącikami ust. Jednak dziewczyna była poważna.

- Ezergil, jesteś pewien, że chcesz to zrobić?

- Zupełnie nie - uspokoiłem ją - ale inaczej się nie da. Alosza musi się ode mnie uwolnić albo zostać ze mną do końca życia. Ale to musi zrobić zupełnie sam. Gdyby nasz dzielny wojskowy uwierzył w ciebie, byłoby znacznie łatwiej, ale Michaił to straszny materialista. Nie zdołaliśmy go przekonać, że chodzi o coś znacznie

więcej niż tylko życie, więc w pewnych momentach musimy decydować sami. - Ściągnąłem brwi. - Jeśli Alosza nie wytrzyma próby, wtedy nie zdołam już nic zrobić ani dla nich, ani dla chłopaka. A ty nie będziesz w stanie przeszkodzić.

Alona ścisnęła moją rękę.

- Wierzę w ciebie.

Pokręciłem głową.

- To nie we mnie masz wierzyć, nie jestem Nim. Wierz lepiej w Aloszę. Wierz w to, że chłopiec znajdzie w sobie siły, żeby odrzucić moją propozycję. W to, że jest Człowiekiem.

Odwróciłem się i poszedłem prosto do ogrodzenia. Nie omijając krzaków, przeniknąłem przez nie tak, jak zwykłem to robić w przypadku drzwi czy ścian. Alona szła za mną. Zatrzymałem się i obejrzałem.

- Pięknie tu... Ptaki, jezioro... Dlaczego wszystkie bydlaki osiedlają się w takich właśnie miejscach, paskudząc swoją obecnością całe piękno?

Alona otworzyła usta, żeby coś odpowiedzieć, ale powstrzymałem ją gestem.

- To było pytanie retoryczne. No więc tak: lepiej nie pokazuj się nikomu na oczy. Przebywanie tu może być dla ciebie niebezpieczne. To moje terytorium. Ale jak tu pięknie... Starannie przystrzyżony trawnik, niewielka szopa na różne ogrodowe utensylia schowana w krzakach... Szopa? Widziałem domy wyglądające znacznie gorzej niż ta szopa...

Niespodziewanie zza domu wybiegły dwa psy i, węsząc, ruszyły w moją stronę. Cholera... Ugryźć mnie



nie mogą, ale przecież czują... Alona wyminęła mnie i podeszła do czworonożnych stróżów. Przykucnęła przed nimi i na chwilę zrzuciła z siebie iluzję. Psy powąchały ją, po czym z miejsca przekreśliły się na grzbiet i podstawily brzuszki, merdając ogonami. Ale numer... Ech, żeby się dało z ludźmi... Niestety, ludzie to nie psy, nie są tak wrażliwi na dobro. Wobec nich trzeba stosować inne „środki”, najlepiej ciężkie i najlepiej od razu w łeb, żeby mózg zaczął właściwie pracować.

- Droga wolna - oznajmiła Alona.

Kiwnąłem głową. Skoro wolna, to idziemy dalej.

Podążałem ścieżką, rozglądając się dookoła i zapamiętując usytuowanie wszystkich budowli. Obok nas przeszedł ochroniarz z pistoletem pod pachą; odprowadziłem go wzrokiem. Ciekawe, dlaczego ochroniarzami są zawsze takie mięśniaki? Owszem, zgoda, robią wrażenie, ale co z nich za ochrona? Zresztą, nie moja sprawa. Ten towarzysz, który wcale nie jest naszym towarzyszem, może najmować na ochroniarzy kogo tylko zechce. Może trzymać całą armię prawników i rozdawać milionowe łapówki. Prędzej czy później trafi pod Sąd. Nasz Sąd. Zobaczymy, jak mu wtedy pomogą jego miliony i prawnicy.

Alona chyba zrozumiała powód naszej przechadzki wokół domu i nie protestowała, jedynie rozglądała się uważnie. Teraz stanęła obok kamiennych sfinksów, umieszczonych przed głównym wejściem do willi. Od razu wdrapałem się na jednego z nich, przyjąłem bohaterską pozę i spytałem:

- Jak wyglądam?

Alona spojrzała na mnie chmurnie.

- Jak chłopiec, który udaje nie wiadomo kogo.

Bez słowa zszedłem na ziemię.

- Cały dowcip mi zepsułaś - zauważyłem ponuro.

- Dowcip?! Ezergil, czy chociaż raz mógłbyś pomyśleć o czymś innym niż twoje żarty?! Spróbuj sobie wyobrazić, że jesteś na miejscu Aloszy...

- Nie mam zamiaru. I tak nigdy nie znajdę się na jego miejscu. Trzeba być frajerem, żeby się tam znaleźć. A na żarty każda pora jest dobra. Dobry kawał wydłuża życie!

- Znowu zachowujesz się jak...

- Już, już milczę. Zajmijmy się pracą. Chodź, idziemy dalej...

Minęliśmy sfinksy i znaleźliśmy się w dość przestronnym holu... domu? Willi? No dobrze, niech będzie willi. Wszystko mi jedno. Mam wrażenie, że po tym, jak wpadnie tu dzielna drużyna Michaiła, z willi zostanie tylko nazwa i kupa gruzu. Hm, coś dzisiaj jestem wyjątkowo zły, atakuję niewinne domy... A ten naprawdę jest ładny. W holu brakuje jedynie fontanny, bo dywany i kryształowe żyrandole już są... I schody prowadzące na piętro...

- Zaczniemy od góry? - spytała Alona, oglądając obraz na ścianie.

- Nie sędzę, żeby trzymali Aloszę na górze... Raczej na dole... na pewno na dole. - Wsłuchałem się w siebie.

- Ale i tak zaczniemy od góry. Musimy przeprowadzić rekonesans i znaleźć drogi odwrotu.

- Dla kogo?

- Wszystko jedno. Jeśli nasi przegrają, te drogi przydadzą się nam. A jeśli wygrają, to wtedy należy je odciąć, żeby ci źli nie uciekli.

Alona popatrzyła na mnie z niezadowoloną miną.

- Jeśli Alosza jest na dole, chyba lepiej od razu tam zejść.

- Musimy zrobić zwiad. - Z tymi słowami wszedłem na schody.

Dom miał dwa piętra, więc, nie zatrzymując się na pierwszym, poszedłem na samą górę. Drugie piętro stanowiło jedno duże pomieszczenie, w którym stały dwa stoły bilardowe. W kącie mieścił się bar, w przeszklonej szafce widać było butelki i kieliszki. Najwyraźniej podejmowano tu najbardziej zaufanych gości... Rozejrzałem się, przesunąłem dłonią po boku stołu bilardowego, rzuciłem kulę... Obszedłem dookoła cały pokój, zajrzałem za niepozorne drzwi w kącie - we wnęce stały kije zapasowe, w skrzynce leżały bile.

- Długo masz zamiar tu siedzieć? - zniecierpliwiła się Alona.

- Nie rozumiem, dokąd ci tak pilno. Przecież my i tak nie możemy nic zrobić, a nasi dzielni wybawcy pewnie nie pojawią się przed wieczorem. Nie są głupi, żeby pchać się tu w środku dnia. Chociaż, może masz rację, po nich można się wszystkiego spodziewać... a tutaj i tak już wszystko obejrzelismy.

Zszedłem na pierwsze piętro. Aha, tu już było ciekawiej. Sypialnie i gabinet. Do sypialni zajrzałem przelotnie, ale gabinet chętnie obejrzałbym dokładniej,

gdyby tylko gospodarz mi nie przeszkadzał. Wsunąłem głowę przez drzwi i ujrzałem naszego głównego mafioso: siedział przy biurku. Pisał coś. Przeszedłem przez drzwi, podszedłem do gospodarza i uważnie obejrzałem go ze wszystkich stron. Alona stała w drzwiach, kuląc się i obejmując ramionami.

- Nie podoba mi się tu - powiedziała cicho.

- Nic dziwnego - odparłem, nie odrywając oczu od pracującego człowieka. - Pierwszy raz widzę kogoś tak zimnego. Jasne, że czytałem o nim w archiwach i wiem, iż został prawie bez duszy, ale co innego czytać, a co innego zobaczyć na własne oczy. Jego duchowe wnętrze nie jest warte złamanego szeląga... Ten człowiek jest całkowicie i zupełnie nasz. Nawet nie zaglądając do notesu, mogę powiedzieć, że trafi do nas nie po raz pierwszy, za to, być może, po raz ostatni. Jego dusza jest tak wyżarta, że nie wiadomo, jakim cudem jeszcze istnieje! Tak, to dla niego ostatnia inkarnacja... No, może ewentualnie dostanie jeszcze jedno. I koniec, jego kaleka dusza więcej nie wytrzyma, rozwieje się.

- Mnie to mówisz? - Alona odsunęła się w najdalszy kąt. - Płynie od niego taki chłód, że z chęcią włożyłabym futro, ale to i tak by nie pomogło. Chodźmy stąd.

- Miałbym odejść i zostawić tak ciekawego osobnika? Nie... Należy poznać wszystkie strony ludzkiego bytu. Dziwne, zanim ujrzałem tego faceta, myślałem, że absolutnie nie istnieje. A tu proszę... Wprawdzie jeszcze nie osiągnął doskonałości, ale jest już bliski.

- Chcesz powiedzieć, że ten człowiek jest absolutnym

złem?

- Zło, dobro... To tylko słowa. Oczywiście, że nie; w tym sensie, że nie dąży do zniszczenia świata czy podboju innych krajów. Jego cele są znacznie skromniejsze, on tylko chce wygodnie żyć... a jednocześnie nie obchodzi go nic, oprócz jego samego.

Jeszcze raz obszedłem go dookoła. Ten jakby coś poczuł, oderwał się od papierów i zaskoczony popatrzył przed siebie. Obejrzał się, błysnęły okulary. Był nieco tęgi, ale nie przesadnie, poza tym doskonale skrojony garnitur idealnie tuszował wszelkie niedoskonałości figury. Okrągła, dobra twarz... I tylko oczy miał niespokojne, rozbiegane. Najwyraźniej ten człowiek nie przywykł patrzeć w źrenice rozmówcy. Nie ufałbym temu, kto podczas rozmowy unika spojrzenia. Chociaż... Mężczyzna nie na darmo nosił ciemne okulary... To tylko ja widzę, jaki ma rozbiegany wzrok, a zwykli ludzie nawet tego nie zauważą, zwłaszcza, gdy posadzi się ich pod światło. Ten gość najwyraźniej doskonale zdawał sobie z tego sprawę, a to świadczyło o nieprzeciętnym umyśle... Ech, gdyby tak jeszcze wykorzystywał inteligencję na pożytek ludzkości... Ale on wybrał drogę zniszczenia, przede wszystkim samego siebie, własnej duszy. Cóż, wolna wola... Mógłbym mu pomóc, ale ironia sytuacji polegała na tym, że wtedy musiałbym go pozbawić tejże wolnej woli leżącej u podstaw całego świata. Czasem się zastanawiam, czy ludzie powinni mieć wolną wolę, skoro prowadzi ich ona do autodestrukcji? Czy On się nad tym zastanawiał? Mogę mieć tylko nadzieję, że Stwórca wie, co robi.

Bardzo możliwe, że gdy dorosnę, będę już stary i mądry, lepiej zrozumieję Jego plany. A na razie pozostaje mi tylko wiara...

Rozczarowany odwróciłem się od mężczyzny i wyszedłem z gabinetu. Alona wyskoczyła za mną z westchnieniem ulgi.

- Ale koszmar...

- Koszmar - przyznałem. - Jednak w istocie rzeczy ten człowiek jest bardzo nieszczęśliwy, chociaż nie zdaje sobie z tego sprawy. Wiesz, nawet nie mam ochoty go ukarać. Przecież jego śmierć może naprawdę stać się Śmiercią, ostateczną i nieodwracalną. W dodatku sam do tego doprowadził...

- A gdyby tak poddać go próbie? - zapytała nieśmiało Alona. - Tak, jak Aloszę?

Pokręciłem głową.

- To nic nie da. Jest już za późno. Tylko się rozeźli, a i tak niczego nie zrozumie. Niech się cieszy tym kawałkiem egzystencji, który mu jeszcze pozostał. W jego ostatnim życiu wiele rzeczy będzie się udawało i umrze po osiągnięciu wszystkiego, do czego dążył. Ale nigdy nie zazna szczęścia, sam się go pozbawił.

- A co będzie potem?

Zatrzymałem się i spojrzałem na drzwi gabinetu.

- Dla tego człowieka nie będzie już żadnego potem.

Alona zastygła i popatrzyła na mnie z przerażeniem.

- Musimy mu pomóc!

Nie zwracając uwagi na jej krzyki, zacząłem schodzić na parter.

- Ezergil, słyszysz mnie?!

- Słyszę. Ale co możemy zrobić, jeśli on sam nie chce sobie pomóc?

- To niemożliwe!

Zatrzymałem się i obejrzałem.

- Alona, zobaczymy, jak skończy się ten dzień. Tak czy inaczej, jeszcze dziś otrzymamy odpowiedzi na wiele pytań. Dobrze, zrobię to dla ciebie i dam mu szansę. Jedną. Dając mu tę szansę, będę ryzykował, działał na granicy... Ale zrobię to.

- Powiemy, że działaliśmy razem.

Uśmiechnąłem się.

- Dziękuję, ale i tak nikt ci nie uwierzy. Anioły zupełnie nie umieją kłamać. Chociaż... tobie i tak wychodzi to lepiej, niż innym - wsadziłem jej szpilę.

- Chcesz powiedzieć, że dobrze kłamię?! - wybuchnęła od razu.

Jakie to proste z tymi aniołami, jak łatwo zmienić temat...

- Aha. - Skinąłem głową, szybko zbiegając na dół. Żeby mi przyłożyć, Alona musiałaby mnie dogonić - a praktycznie nie da się dogonić diabła, jeśli on tego nie chce. Ukryłem się za ochroniarzem czytającym gazetę. Anielica pognała za mną, wyciągnęła ręce, ale oczywiście umknąłem. Znow spróbowała i znowu bez efektu.

- O, ja ci to jeszcze przypomnę! - obiecała, ciężko dysząc.

- A ja sądziłem, że anioły powinny być łagodne i wybaczące! - odparłem drwiąco zza pleców strażnika, wokół którego biegaliśmy przez ostatnie parę minut.

Goryl od czasu do czasu odrywał się od lektury i nasłuchiwał, ale za każdym razem wzruszał ramionami i wracał do lektury. Miałem ochotę wytrącić mu gazetę z rąk, żeby sprawdzić, jak zareaguje. Pewnie nawet wtedy wzruszyłby ramionami, podniósł gazetę i wrócił do czytania, zwalając winę na przeciąg. Co za niewrażliwy typ.

- Najpierw cię ze dwa razy trzasnę, a potem od razu przebaczę - obiecała Alona. - I znowu będę łagodna i pokojowo nastawiona.

Znowu? Ciekawe, kiedy ona była taką łagodną pacyfistką, bo jakoś nie pamiętam? Ale rozsądnie nie wygłaszałem podobnych uwag. Wtedy bieg przez płotki zacząłby się na nowo, a co by nie mówić, przyszliśmy tu w konkretnej sprawie, trzeba jeszcze odwiedzić Aloszę.

Piwnicę obejrzałem znacznie dokładniej niż pozostałe pomieszczenia. Kocioł gazowy, spiżarnia pełna zapasów: pod ścianami stały potężne lodówki, następnie pomieszczenia z szafami, w których mieściły się inne niezbędne w gospodarstwie towary... Aloszę trzymano w niewielkim pokoju na samym końcu piwnicy. Być może był to pokój, w którym odpoczywali jacyś pracownicy fizyczni, stał tu skromny stół i łóżko. Na łóżku, z kolanami pod brodą siedział Alosza i z rzadka ocierał łzy, starannie rozmazując brud po całej twarzy. Niewiele to dawało. Alona już chciała do niego podbiec, ale w ostatniej chwili złapałem ją za rękę.

- Dokąd?! Zapomniałaś o obietnicy? Teraz ja wychodzę na scenę. Ty się nie wtrącaj i nawet się nie



pokazuj, chcę z nim pogadać w cztery oczy.

- To co, mam zaczekać na korytarzu?

Zastanowiłem się.

- Nie musisz. Lepiej posłuchaj, o czym będziemy rozmawiać. Ale proszę cię, niczego nie mów, dopóki nie pozwolę! Błagam!

Skinęła głową.

- Obiecuję. Ezergil, wierzę w ciebie.

Znów to samo? Lepiej niech wierzy w Aloszę...

Po chwili wahania stanąłem naprzeciwko chłopca. Poczekąłem, aż znów zacznie wycierać łzy i przestanie widzieć cokolwiek, dopiero wtedy zrzuciłem iluzję. Alosza oderwał dłoń od twarzy, zobaczył mnie i drgnął, szeroko otwierając oczy.

- Ty?!

Przeszedłem się po pokoju, rozejrzałem.

- Niczego sobie mieszkanko... Sympatycznie urządzone... Skromnie, ale ze smakiem.

- Chętnie odstąpię - odciął się chłopak. Otrząsnął się już z pierwszego szoku i teraz był najeżony.

- Przyjacielu, jesteś niesprawiedliwy - zauważyłem. - Ja tu z narażeniem wszystkiego przenikam do siedziby bandyty, żeby pomóc kumplowi i co mnie za to spotyka?

- Szukaj sobie kumpli gdzie indziej!

- Ech, Loszka, Loszka, aleś ty jeszcze głupi. Czy można tak z punktu odrzucać pomoc?

- A czego chcesz za tę swoją pomoc?

- Ja? Jak mogłeś w ogóle tak pomyśleć! Czy ja jestem człowiekiem, żebym od razu żądał zapłaty? Przecież

zawarliśmy umowę, prawda? Zgodnie z nią miałem ci przez tydzień pomagać. Tydzień jeszcze nie minął. Jednym słowem, nie jesteś mi nic winien. Pomagam ci zupełnie szczerze i kompletnie bezinteresownie.

- Dzięki, już mi raz pomogłeś - mruknął Alosza, ale nie był już tak wrogo nastawiony, więcej, wgłębi jego duszy zatliła się iskierka nadziei. - To przez tę twoją forsę tu siedzę!

- Moją forsę? - uśmiechnąłem się. - Czy ja się nie przesłyszałem? Powiedziałeś: „moją forsę”? Trafiłeś tu nie przez forsę, tylko dlatego, że nie słuchałeś mądrych rad!

- Twoich, co?

- Moich. Przecież mówiłem, że zdobyć pieniądze to jedno, ale wyjaśnić, skąd je masz, to już zupełnie co innego. Uprzedzałem czy nie?

Alosza spochmurniał.

- Uprzedzałeś.

- A co ty zrobiłeś? Oczywiście posłuchałeś moich rad i odmówiłeś jednemu beczelnemu typowi, który ot tak podarował ci walizkę dolarów.

- Noo...

- Otóż to, nie odmówiłeś - pokiwałem głową. - Dlaczego więc teraz mnie oskarżasz? I o co? Że nie zdołałeś wymyślić sensownego wyjaśnienia? Przy okazji, czego ten Paweł Konstantinowicz od ciebie chce?

- Jaki Paweł Konstantinowicz?

- Ten gość w okularach, do którego należy willa. Czego chce?

- Jakbyś nie wiedział - burknął Alosza.  
- Wiem, ale mam ochotę usłyszeć od ciebie.  
- Czego chce, czego chce... Żebym opowiedział, gdzie znalazłem tę walizkę. Powiedział, że daje mi czas do jutra. A potem będzie ze mną źle.

Skinąłem głową z wyrazem współczucia na twarzy.

- No tak... A on naprawdę może zrobić ci coś złego. Poczytałem sobie o nim... Jednego swojego wroga kazał wsadzić do beczki, przywiązał do niej ciężar i wrzucił do jeziora. Czytałeś bajkę o carze Saltanie? No widzisz, on też czytał.

Alosza zbladł i popatrzył na mnie z przerażeniem. Z drugiej strony pochwyciłem wściekły wzrok skrzydlatej, która znacząco pocierała pięść. No, no... Ale mi się aniołeczek trafił. Ciesz się, diable, jeśli z życiem ujdiesz. Alosza chciał chyba coś odpowiedzieć, ale głos odmówił mu posłuszeństwa, otwierał tylko i zamykał usta. Udałem, że nie dostrzegam jego przerażenia.

- Albo inny przeciwnik naszego gospodarza, były przyjaciel. Kiedyś uratował Pawłowi Konstantinowiczowi życie, ale jak widać, w niczym mu ta zasługa nie pomogła. Otóż, tego swojego przyjaciela kazał...

Chłopiec rozplakał się nagle i zatkał sobie uszy.

- Zamknij się! - prawie wrzeszczał.

Na szczęście zawczasu zadbałem o zagłuszenie ewentualnych krzyków, więc nikt oprócz mnie i Alony ich nie słyszał. Dlatego też nie przeszkadzałem Aloszy biadolić.

- Uspokoileś się? - spytałem, gdy na chwilę umilkł. - Nie chcesz słuchać, to nie, trzeba było od razu mówić. Po co się drzeć? Po prostu myślałem, że jesteś ciekaw, warto poznać swojego wroga.

- Chyba mówiłeś, że chcesz mi pomóc? - Spojrzał na mnie z nadzieją.

- Co? A, tak, oczywiście. Widzisz, nie mogę ci pomóc w ucieczce, nie mam do tego prawa. Jak już mówiłem, mogę działać w tym świecie jedynie za pośrednictwem ludzi. Ale dam ci jedną radę, jeśli jej posłuchasz, to ratunek masz zagwarantowany. Nie na sto procent oczywiście, ale na dziewięćdziesiąt dziewięć przecinek dziewięć.

- Jaką radę?

- Co? A, tak! Bardzo prostą. Wstań, zastukaj do drzwi i powiedz, że chcesz o wszystkim powiedzieć, że wyjawisz, gdzie znalazłeś pieniądze. A gdy cię zaprowadzą do Pawła Konstantinowicza powiesz, że tak naprawdę pieniądze należą do pewnego malarza, Grigorija Iwanowicza Rogożewa. Podobno on w tajemnicy sprzedaje swoje obrazy obcokrajowcom i w sumie zarobił około trzech milionów, a dwa z nich właśnie mu ukradłeś.

- Co?!

- Nic. Oczywiście przeszukają dom malarza jeszcze raz, tym razem to znacznie dokładniej, w efekcie znajdą tam jeszcze jeden milion; możesz mi wierzyć, że pieniądze tam będą, już ja się o to postaram. A dalej to tylko kwestia techniki. Przy okazji spełnią się inne twoje pragnienia. Chciałeś, żeby wszyscy się ciebie bali,

prawda? Myślę, że Paweł Konstantinowicz doceni to, iż zdołałeś gwizdnąć forszę tak, że nikt cię nie podejrzewał. Bardzo możliwe, że dzięki mojej pomocy zdołasz zająć miejsce... jakby to powiedzieć? To nie pułk, więc nie będziesz synem pułku, ale jest akurat wakat syna mafii. Mogę zagwarantować, że nim zostaniesz.

Alosza popatrzył na mnie z dziwną miną.

- Co się wtedy stanie z Grigorijem Iwanowiczem?

- A co ma się stać? Nic takiego. Pobiją go trochę, poleży sobie w szpitalu. Małe piwko. Myślisz, że go zabiją? Skąd! Komu on potrzebny? Pieniądze zdobył nielegalnie, więc wszyscy dojdą do wniosku, że nie będzie się skarżył, a sam z siebie nie jest niebezpieczny.

Alosza zastanowił się. Zastygłem. Alona też znieruchomiała i przygryzła wargi. Mnie było gorzej, bo nie mogłem sobie niczego przygryźć. Musiałem być absolutnie spokojny. Ale jaką cenę płaciłem za ten zewnętrzny spokój... Miałem ochotę wrzasnąć, żeby się prędzej zdecydował.

- Co się stało z ojcem Fiodorem? - zapytał nagle chłopak.

- A co miało się stać? - udałem zdumienie.

- Słyszałem strzał, jak mnie już zaciągnęli do samochodu. Widziałem, że pop rzucił się na pomoc... Potem wciągnęli mnie do samochodu, a jeszcze później usłyszałem strzał.

Machnąłem ręką.

- Już nie masz o czym myśleć... Głupiec rzucił się pod kule. Takemu pisana głupia śmierć.

Alosza zamarł.

- Śmierć?...

- No tak. Po co się pchał? Przecież widział, że bandyci mają broń i że jest ich za dużo, a jednak nie odpuścił. Kim więc jest innym, jak nie głupcem?

Alosza siedział na łóżku, wyprostowany i zeszywniały, wpatrując się w jeden punkt. Po jego policzku spłynęła łza, ale nawet jej nie zauważył. Potem powoli odwrócił do mnie głowę.

- Tak - powiedział martwym głosem. - Był głupi, bo rzucił się, żeby mi pomóc, a ja... ja nie jestem tego wart. Oddałem ci duszę... No to zabieraj ją wreszcie! Zabieraj! Ale innych zostaw w spokoju! A teraz wynoś się! Nie potrzebuję twojej pomocy! Idź stąd! Wynocha!  
- Nagle zerwał się i cisnął we mnie poduszką. - Won!

Uchyliłem się, zaczekałem aż młody Nienaszew trochę się uspokoi.

- Słuchaj, chociaż ty nie bądź głupi - próbowałem przemówić mu do rozumu. - Idiotycznym bohaterstwem nie zwrócisz mu życia... Pomyśl o sobie! Ten twój ukochany malarz nie umrze, to ci gwarantuję! A ty dostaniesz wszystko, co chcesz. Czego chcesz? Mów.

- Chcę, żebyś się ode mnie odczepił!

Wzruszyłem ramionami.

- Jak sobie życzysz. Ale umowę nadal mam u siebie. Jak cię zabiją, twoja dusza trafi prościutko do piekła. A jak przeżyjesz, możesz jeszcze to i owo naprawić.

- Nie chcę niczego naprawiać! Rozumiesz? Nie chcę! Żądasz mojej duszy?! Proszę bardzo! Bierz! Jak chcesz, to jeszcze jedną umowę podpiszę, zaprzędam się jeszcze raz, w prezencie! Tylko zostaw nas wszystkich w

spokoju! Zostaw moich przyjaciół!

- Jak sobie życzysz. - Podeszedłem do stołu i położyłem na nim zwitek, który wyjąłem z kieszeni. - Jednak dam ci szansę. Przed tobą długa noc, jeśli zmienisz zdanie, gwizdnij w ten zwitek. Wtedy przyjdę.

Alosza bez słowa wziął papier, popatrzył na niego, a potem rzucił na podłogę i z mściwym zadowoleniem wdeptał w pył.

- A masz!

Cofnąłem się o krok... Nagle zdałem sobie sprawę, że nie czuję już w sobie obecności chłopca. To mogło znaczyć tylko jedno - jego poryw nie był pozą. Wyjąłem z powietrza umowę i obejrzałem ją. Alosza zobaczył znajomy dokument i zbladł. W tej chwili spoczywający w moich dłoniach cyrograf buchnął płomieniem - pomyślałem, że nie zaszkodzi odrobina efektów specjalnych. Jedna chwila i garstka popiołu spadła na podłogę. Spojrzałem na chłopca z uśmiechem.

- No cóż, możesz się cieszyć. Udało ci się wyrwać z moich rąk... Gratuluję. Nie mam już nad tobą żadnej władzy. Teraz zobaczymy, czy zdołasz uciec Pawłowi Konstantinowiczowi. Od niego tak łatwo się nie uwolnisz... Żegnaj.

Powoli rozplątałem się w powietrzu. W tej samej chwili coś przeraźliwie piszczącego zawisło mi na szyi. Z trudem uświadomiłem sobie, że to Alona. Płacząc i śmiejąc się, uczepiła się mnie z całej siły, machała nogami. Nie zdołałem utrzymać równowagi i upadłem na podłogę, co wcale nie ostudziło zapału dziewczyny, która z radości zaczęła bębnić we mnie pięściami.

- Zwycięstwo, zwycięstwo!!! - wrzeszczała.

Odsunąłem się od niej czym prędzej.

- Wariatka - burknąłem, chociaż sam cieszyłem się wcale nie mniej. - Słuchaj, nie mogłabyś wyrażać radości w nieco bardziej stonowany sposób? Po co zwyciężać, jeśli potem masz umrzeć ze szczęścia? Ja chcę żyć i cieszyć się sukcesem!

W tym momencie w pokoju zjawił się Ksefon.

- Tu jesteś - burknął na widok Aloszy, ciągle jeszcze oszołomionego moim zniknięciem.

Od razu skoczyłem do Alony, przycisnąłem ją do podłogi i zatkąłem dłonią usta. Najpierw szarpnęła się, a potem, widząc Ksefona, znieruchomiała. Bies, nie zwracając sobie głowy sprawdzaniem, czy mnie tu nie ma, od razu podszedł do chłopca i potrząsnął nim.

- Co z tobą? Mam dla ciebie wiadomość.

Alosza popatrzył zaskoczony na Ksefona. Chyba wizyta kolejnego diabła wcale go nie ucieszyła.

- Też przyszedłeś mnie ratować? - spytał ze złością. - Dziękuję, nie chcę. Nic od was nie chcę! Powiedziałem już o tym twojemu kumpłowi!

- Jak to nie... - Ksefon urwał i spojrzał uważniej na chłopaka. - Jakiemu kumpłowi?

- Ezergilowi, bo chyba tak się nazywa. Też proponował mi pomoc, ale odmówiłem. Ty też daj mi spokój!

- A co on zaproponował? - Ksefon, spięty, nachylił się do chłopca. Alosza cofnął się.

- Co, co! A co wy możecie doradzić! Nic dobrego. Namawiał, żebym zwał całą winę na Grigorija



Iwanowicza! I to po tym, jak tamten mi pomógł! Po tym, jak zginął ojciec Fiodor, próbując mnie bronić!

Ksefon zamachał ręką w powietrzu, że niby wszystko nieważne. Alosza zrozumiał gest i skrzywił się.

- A ja nie chcę żyć według waszej logiki! Rozumiesz?!

Ksefon aż się zaświecił ze szczęścia i słowo po słowie wyciągnął z chłopca całą naszą rozmowę. Pod koniec nie ukrywał radości.

- Koleś, jesteś idiotą, to wszystko, co ci mogę powiedzieć. Ezergil zawsze miał łeb... No proszę, jak sprytnie to wykombinował... A najważniejsze, że faktycznie mogło się udać... No cóż, odmówiłeś, i dobrze. Wobec tego już nic od ciebie nie chcę. Żegnaj, głupcze. Mogłeś się uratować, ale sam wybrałeś inną drogę.

- To wszystko, co masz mi do powiedzenia? - Alosza spojrzał na niego z niedowierzaniem. - Nie proponujesz żadnej możliwości ratunku?

Ksefon roześmiał się.

- Ale z ciebie kretyn... Na cholere jesteś mi potrzebny? Przecież przez cały ten czas nie pomagałem tobie, tylko walczyłem z Ezergilem. A ty... zwisa mi, co się z tobą stanie. Sam wybrałeś swoją drogę... Dzięki, nie spodziewałem się, że poradzisz sobie z tym spryciarzem Ezergilem... A teraz jest już po sprawie!

Ksefon odchylił głowę i zaśmiał się. A potem znów popatrzył na chłopca.

- Kiedy już trafisz tam - Ksefon wskazał palcem sufit - przekaż pozdrowienia swojej matce. Bohater-głupol! -

Bies znowu się zaśmiał i powoli rozpląnął w powietrzu.

A chłopiec siadł na łóżku, zasłonił twarz rękami i rozplakał się.

- Zabiję tego Ksefona - obiecała złowieszczo Alona.

Uśmiechnąłem się.

- Nie trzeba. Zabije go wynik praktyki. A na razie niech się cieszy... biedaczyna.

- A czy to nie jest zbyt okrutne?

- Przecież nie chcesz, żeby ten debil zaczął teraz robić jakieś głupstwa? A wiesz, że mógłby... Nie, dla nas najbezpieczniejszy Ksefon to taki, który jest pewien zwycięstwa. Wiesz co, chodźmy za nim. Do jutra rana Aloszy i tak nic nie grozi.

Dziewczyna popatrzyła niepewnie na płaczącego chłopca, a potem na mnie.

- Wolalabym nie zostawiać go w takim stanie.

- Jeśli jego decyzja jest ostateczna, niech to będzie dla niego ostatnia próba. Przypomnij sobie: „Wtedy idzie z nimi Jezus do ogrodu, zwanego Getsemane...” Wiedział, co go czeka w tym ogrodzie, mógł przecież odejść. Ale wybrał inną drogę.

- No i co? - naburmuszyła się Alona.

- Nic. Każdy ma swój ogród Getsemane. Alosza wybrał już swoją drogę, nie jesteśmy mu teraz potrzebni. Albo utwierdzi się w swoim postanowieniu, albo zacznie żałować. Zobaczymy.

Anielica też zerknęła na Aloszę.

- Nie będzie żałował.

Skinąłem głową.

- I ja tak myślę. A teraz chodźmy. Mam wrażenie, że

powinniśmy popatrzeć, co robi Ksefon.

Nietrudno było go znaleźć. Nawet nie próbował maskować swojej obecności, a raczej maskował ją, ale tylko przed ludźmi. Ja i Alona słyszeliśmy jego krzyki odbijające się echem w lesie.

- Zwyciężyłem! - wrzeszczał. - No i co teraz powiesz, Ezergilu?!

Popatrzyliśmy z anielicą na siebie i pobiegliśmy w stronę hałasu. Ksefon stał na polance w lesie, ryczał radośnie i rozglądał się dookoła.

- Hej, Ezergil! Jesteś tu?! Słyszysz mnie?! Pokonałem cię!

- Pokonałeś, pokonałeś - odparłem niedbale. - Pewnie, że pokonałeś. Alosza nie ma tu nic do rzeczy.

Na wszelki wypadek postarałem się, żeby Ksefon mnie nie słyszał. Nie chciałem pokazywać mu się na oczy, nie potrafiłbym udawać przygnębienia, jak przystało na przegranego.

Ksefon w końcu zmęczył się wrzaskami.

- Zawsze to samo... - mruknął. - Jak chce mi zrobić jakieś świństwo, to jest na miejscu, ale jak przegrywa, od razu chowa się w krzaki, boi się pokazać...

Popatrzyłem na jego plecy.

- Później z tobą pogadam - obiecałem złowieszczco. - I pokażę ci się, ale na komisji do spraw letniej praktyki. Tam ci wyjaśnię, kto komu bał się pokazać na oczy.

Alona pokręciła głową.

- Tak nie można, Ezergil. Przecież Ksefon i tak już dostał za swoje.

- Każdemu według zasług. Czy ja go zmuszałem,

żeby pragnął mojego poniżenia? On sam tego chce, więc otrzyma odpowiednie wynagrodzenie. Alona, przepraszam cię, ale to już są nasze wewnętrzne sprawy.

Wymruczała coś niepochlebnego pod adresem diabłów, piekła oraz mnie i Ksefona w szczególności. Udałem, że tego nie słyszę.

Tymczasem mój kolega z klasy wyszedł na drogę prowadzącą, jak wiedzieliśmy, do najbliższej wioski, a dokładniej wsi typu miejskiego - właśnie stąd wyruszyliśmy z dziewczyną do Pawła Konstantinowicza. Hm... wyruszyliśmy... zabrzmiało, jak meldunek wojskowy... A zresztą, dlaczego nie? Przecież to właściwie wojna... Dobra, nieważne.

Ksefon, nie kryjąc się zupełnie, biegł ulicą niewielkiego miasteczka... to znaczy wsi typu miejskiego. Zupełnie nie rozumiem tych ludzi! Mnie tam wszystko jedno, czy to miasteczko czy wieś, ale chciałbym jakoś nazywać to miejsce - a tu co? Jakaś tam „wieś typu miejskiego”? I co to za miejski typ, którego imieniem nazwano wieś? I dlaczego tak nieuprzejmie? A może ten typ zapewnia wsi ochronę? Nic nie pojmuję...

Ksefon tymczasem wpadł do jakiejś knajpki, na której dachu widniał dumny szyld: PIWO. No pewnie, a gdzie indziej mogliby siedzieć nasi bohaterowie? Tak jak się spodziewałem, był tam także Michaił Leonidowicz, i jego współni... to znaczy, byli podkomendni. Jednak, z tego co zauważyłem, prawie nie pili. Do nich właśnie podbiegł rozpromieniony Ksefon.

- Zwyciężyłem! - zawołał skromnie. - Słyszycie?!  
Zwyciężyłem!

Wszyscy goście baru spojrzeli na niego z niejakim zdumieniem. Michaił Leonidowicz zorientował się pierwszy, zaklął cicho, złapał Ksefona za rękę i wyciągnął głupka z sali. Za nim od razu poszli Władimir i Siemion, zaś Grigorij Iwanowicz został w tyle, chyba z zaskoczenia - jeszcze nie przywykł do zgranego działania drużyny Michaiła.

Major zawłókł Ksefona za jakieś szopy i potrząsnął nim jak workiem.

- Czego się drzesz? Nie możesz opowiedzieć sensownie?

Ksefon uśmiechnął się.

- A o czym tu mówić? Ten przygłup Ezergil...

Przygłup?! Uśmiechnąłem się złowrogo. Poczekaj, jeszcze zobaczymy, kto jest przygłupem.

- ...przyleciał do Aloszy i proponował mu pomoc. Że niby uwolni chłopaka, jeśli ten wystawi swoich przyjaciół... - I Ksefon z krzywym uśmiechem opowiedział o tym, co usłyszał od Aloszy.

- Mówisz, że chłopiec odrzucił propozycję? - zapytał malarz jakimś dziwnym głosem.

- Przecież mówię, że to głupek. Wy, ludzie, wszyscy jesteście zdrowo szurnięci. Po co się tam pchacie? Co was to obchodzi? Nawet lepiej, jak szczeniak wcześniej zginie, bo szybciej trafi do raju! A tak, jeśli będzie dłużej żył, może jeszcze zejść z dobrej drogi...

- To mówisz, że lepiej? - zapytał groźnie Michaił.

Gdybym był na miejscu Ksefona i usłyszał zdanie

wypowiedziane takim tonem, od razu bym się zamknął i postarał jak najszybciej zniknąć. Ale Ksefon, upojony poczuciem triumfu, nie usłyszał ostrzeżenia.

- No pewnie! I dla was prościej...

Wtedy do rozmowy włączył się Władimir.

- Słuchaj no, ty... - Z ogromnym wysiłkiem powstrzymał się od soczystego epitetu. - Pozwolisz, że sami będziemy decydować, co jest dla nas dobre, a co nie.

Ksefon prychnął.

- A co mnie to... Decydujcie sobie! To On tak zarządził, że niby wolna wola i tak dalej. Gdyby to zależało ode mnie, to od razu pokazałbym wam, jak żyć. No bo co jest najważniejsze? Racjonalizm!

Filozof! Geniusz! Tak, on by dopiero pokazał....

Alona sposepniała.

- Słuchaj, zrób mi przyjacielską przysługę... - zwróciła się do mnie. - Gdy ten dureń będzie zaliczał praktykę przed tą waszą komisją... Wyjaśnij mu, jakim jest kretynem.

- A jaki to problem? Z przyjemnością...

Ksefon przemawiał dalej, ale teraz słuchano go już z jawnym rozdrażnieniem.

- Posłuchaj - nie wytrzymał w końcu Michaił - sam chciałeś nam pomóc. Obiecałeś, że przeprowadzisz zwiad. Dawaj konkrety!

- Konkrety? - Ksefon urwał. - Chcecie konkretów? Proszę bardzo! Tak konkretnie, to jesteście mi teraz na wuj potrzebni! Oto są konkrety! Nie mam zamiaru pomagać temu idiocie. Taki jest szlachetny, że odrzucił

pomoc. Wolna wola, panowie! Kim ja jestem, żeby występować przeciwko niej? - Uśmiechnął się nieprzyjemnie. - Przecież ja wcale wam nie pomagałem, tylko walczyłem z Ezergilem! A teraz, jak już go pokonałem, żegnam się z wami, wszystkiego dobrego!

Cofnął się o krok, podniósł głowę do nieba i zawołał:

- Panie Wikientiju! Wykonałem zadanie! Niech mnie pan stąd zabierze!

Z jasnego błękitu spadł nagle ciemny obłok, zawirował niczym tornado, jeszcze chwila i Ksefon zniknął.

- A to bydlę - burknąłem. - No co mu szkodziło na koniec trochę pomóc ludziom? Był, jest i będzie bydlakiem. Tyle dobrego, że wreszcie przestanie nam się plątać pod nogami.

Michaił Leonidowicz zaklął. To była efektowna, koszarowa wiązanka, długa i pełna treści.

- Prawdziwy diabeł - podsumował. - A ja nie wierzyłem w ich istnienie.

E, przesada... Ksefon nigdy nie będzie prawdziwym diabłem. Maksimum, co może osiągnąć, to drobny bies. Gdzie mu tam do diabła z jego głupotą i podłą naturą...

- I co teraz zrobimy? - spytał niepewnie Grigorij Iwanowicz.

- A co mamy robić... Będziemy działać sami, nie prosząc o pomoc ani diabłów, ani aniołów.

- Wiesz - zwróciłem się do Alony - to najmądrzejsze, co można usłyszeć od człowieka.

- Szkoda, że nie możemy im pomóc...

- Pomóc możemy - zauważyłem. - Na przykład

opowiedzieć o tym, co miał przekazać Ksefon. Ale nie zrobimy tego. Ludzie muszą nauczyć się liczyć tylko na siebie.

Dziewczyna uśmiechnęła się ze smutkiem.

- Wiem, że to słuszne, ale tak bym chciała, żeby im się wszystko udało... - W zadumie obejrzała czwórkę mężczyzn. - Będę się modlić za ich powodzenie. - Nagle zajaśniała znajomym blaskiem. - Błogosławię was wszystkich! - dokończyła.

Mężczyźni drgnęli, popatrzyli na siebie, Michaił wyprostował się.

- Zdaje się - rzekł - że możemy zaczynać. I wiecie, jakoś tak wierzę, że nam się uda.

Władimir i Siemion popatrzyli na siebie.

- My też tak myślimy, dowódco. Zastanówmy się nad wariantami...

Major pokręcił głową.

- Nie tutaj. Na razie musimy zorientować się, co i jak. Popytać miejscowych... Tylko ostrożnie. No, chłopaki, naprzód.

- Naprzód, dowódco.

Cała czwórka skierowała się do wyjścia zza szopy i tylko Grigorij Iwanowicz nagle zatrzymał się i spuścił głowę.

- Zaczynamy wierzyć wtedy, gdy już nie ma nadziei... - powiedział w zadumie, a potem rozejrzał się i uśmiechnął. - Dziękuję, aniele. Dziękuję.

- Grigorij! Co ty tam robisz? - dobiegło wołanie.

- Idę już, idę! - odkrzyknął malarz.

Popatrzyłem na uśmiechniętą Alonę i objąłem ją



ramieniem.

- Zuch z ciebie - powiedziałem. - Nawet ludzie to docenili.

Popatrzyła na mnie błyszczącymi oczami.

- Ty też jesteś zuch.

Speszyłem się.

- Jaki tam ze mnie zuch... Jestem diabłem. A każdy wie, że my potrafimy tylko robić świństwa.

Alona pokręciła głową.

- Nie zaczynaj.

- Nie będę - uśmiechnąłem się. - Oboje jesteśmy zuchy.

## Rozdział 3

Alona chodziła tam i z powrotem po niewielkim parowie, w którym ulokowaliśmy się w oczekiwaniu na początek operacji uwolnienia chłopca.

- Wprawdzie nie wolno nam pomagać bezpośrednio, ale możemy zadbać o to, żeby naszych „ratowników” nie spotkały jakieś niemiłe niespodzianki - oznajmiła znienacka.

- Co masz na myśli?

- A nic. Chodź, sprawdzimy trasę.

Popatrzyłem na nią niepewnie. Co tu jest do sprawdzania? Las to las, jakie tu mogą czekać niespodzianki? Jednak z doświadczenia wiedziałem, że spieranie się z Aloną nie ma żadnego sensu. Jak ona wbije sobie coś do głowy...

- Od czego proponujesz zacząć?

- Od cmentarza.

Zakrztusiłem się z wrażenia.

- Od czego?!

- Od cmentarza. Proponuję zacząć od tego, że odwiedzimy Zoję Nienaszewą i opowiemy jej o wszystkim, co się tu działo.

- Po co?

- Ezergil, ty zimny draniu! Przecież to matka! Martwi się!

- Tym bardziej nie rozumiem, po co jej o wszystkim opowiadać? Powiemy, kiedy już Alosza zostanie

pomyślnie uwolniony. A jak go uwolnią niepomyślnie, to sama się wszystkiego dowie.

- Nie mówiłam, że jesteś bez serca?! Tak ci ciężko polecieć do cmentarza?

- Nie, tylko nie widzę sensu. Poza tym i tak będziesz musiała powiedzieć jej o wszystkim sama. Po co ja jestem potrzebny?

- Ezergil, proszę cię...

No i pozamiatane. Nie mogę, jak ona tak na mnie patrzy! Ten anioł doprowadzi mnie kiedyś... Co byście zrobili, gdyby najładniejsza dziewczyna na świecie patrzyła na was z taką nadzieją? Właśnie...

- Chodźmy - westchnąłem.

- Dziękuję, Ezergil! - Alona podskoczyła i cmoknęła mnie w policzek. A potem zaczerwieniła się i odskoczyła. Ja też spiekłem raka.

- Jakieś czułości... - mruknąłem speszony. - Chodźmy lepiej...

\*

Właściwy cmentarz był bardzo daleko, ale dotarliśmy do niego w rekordowym czasie trzech godzin. Nie do pobicia! Przebywając na ziemi, nauczyliśmy się robić różne rzeczy na tip-top. Alona działała teraz pewniej, nie myliła się i nie wahała - i tu bez fałszywej skromności muszę powiedzieć, że wielu rzeczy nauczyła się dzięki mnie...

Dotarliśmy do nekropolii, wylądowaliśmy obok ogrodzenia. Od razu położyłem się w cieniu.

- Idź - machnąłem ręką. - Ja tu sobie poleżę,

zdrzemnę się. Możecie sobie gadać, ile chcecie i o czym chcecie, o różnych tam szmatkach i pomadkach...

Alona popatrzyła na mnie ponuro, ale nie skomentowała. Z jednej strony miała świadomość, że wtedy przesadziła, ale z drugiej dawała mi do zrozumienia, iż nie uważa mnie za dżentelmena - dżentelmen nie powinien wytykać damie jej błędów. No i dobrze, ja nie jestem wzorcem uprzejmości tylko diabłem. Dlatego będę jej wytykał błędy, żeby nie popełniała ciągle tych samych. Bycie diabłem ma swoje dobre strony...

Nie dane mi było jednak długo odpoczywać, pół godziny później ujrzałem wiszącą nad ogrodzeniem zjawę, a obok niej anielicę, która wyglądała jednocześnie na zadowoloną i zakłopotaną; nie mam pojęcia, jak ona to robi.

- Opowiedziałam Zoi o wszystkim - oznajmiła.

Jasne. I co teraz? Popatrzyłem pytająco na obie.

- Tak, Alona opowiedziała mi... - zaszemrała zjawa. - Zapewne powinnam ci podziękować... - zamilkła. - Jednak nie potrafię czuć dla ciebie wdzięczności. Aby osiągnąć własny cel, bawiłeś się ludźmi niby lalkami.

- A czy cel był zły?

- Chcesz powiedzieć, że cel uświęca środki? To stare hasło. Głosząc je, przelano morze krwi...

Uśmiechnąłem się.

- No cóż, ludzie są głupi. Pani zaś zapomina, że ja nie jestem człowiekiem. Jestem Sędzią. Ostatnią instancją, która ogłasza wyrok.

- Tak. Ale nie masz władzy nad żyjącymi.

- Nie mam i nigdy jej sobie nie uzurpowałem. Ja tylko dawałem ludziom to, czego chcieli. A potem oni robili to, co im odpowiadało. Wybór należał do nich.

Zoja popatrzyła na mnie w zadumie.

- Nie chcę się z tobą kłócić. Pomogłeś mojemu synowi, chociaż na swój, nieco okrutny sposób.

- Szczepionka również jest okrucieństwem, przecież w organizmie umieszcza się drobnoustroje... A ja nie tylko pomagałem pani synowi. Wiele osób dostało nauczkę za swoje czyny i wiele jeszcze dostanie.

- Tak. Takie są twoje reguły gry. Imię Gracz, które przybrałeś, bardzo do ciebie pasuje... - Zoja zamyśliła się. - Ale czy naprawdę nie wyciągnąłeś żadnych wniosków?

Teraz z kolei ja się zamyśliłem.

- Wyciągnąłem - przyznałem. - Ma pani rację. Jestem Graczem i do pewnego momentu wszystko było dla mnie grą. Teraz dowiedziałem się, czym jest życie. Jako Gracz byłem gotów sam ponosić odpowiedzialność za swoje czyny. Ale w życiu... w życiu czasem inni ponoszą odpowiedzialność za moje działania. Dobrze zapamiętałem tę lekcję. Proszę mi wybaczyć, jeśli pani zdoła.

Zjawa lekko zadrzała.

- Nie przypominasz diabłów, które wyobrażałam sobie w dzieciństwie.

- Bo patrzy pani z innej strony. Ci, którzy do nas trafiają, widzą wiele podobieństw do swoich wyobrażeń.

Zoja uśmiechnęła się nagle.

- Mimo wszystko jesteś zabawny, choć jesteś diabłem. Wcześniej byłam zbyt pochłonięta swoją rozpaczą... Cieszę się, że jesteś... i że zaprzyjaźniłeś się z takim wspaniałym aniołem. - Odwróciła się do Alony i mrugnęła do niej. Bardzo ciekawe, o czym one tam plotkowały?! Kurczę, kobiety zawsze się dogadają! - Mam nadzieję, że będzie miała na ciebie dobry wpływ.

- Aha. - Skinąłem głową. - Albo ja na nią zły.

Zoja znów się uśmiechnęła.

- Nie sądzę. A teraz czas na mnie, zbyt długo już tu jestem... Do widzenia, dzieciaki. Alono, dziękuję ci.

Rozpłynęła się w powietrzu.

- No i proszę bardzo - zwróciłem się obrażony do anielicy. - Plan był mój, wykonanie również, i co? Tobie „dziękuję”, a mnie? „Jednak nie mogę czuć wdzięczności”. Gdzie tu sprawiedliwość?

Alona położyła mi rękę na ramieniu.

- Ty jesteś sprawiedliwością. Czyż nie?

Zerknąłem na nią gniewnie. Patrzyła na mnie z zadumą, uśmiechając się lekko. Westchnąłem.

- Słusznie - powiedziałem i też się uśmiechnąłem. - Jestem sprawiedliwością. A skoro tak, to trzeba ją jeszcze gdzieś przywrócić. Chodźmy.

Alona radośnie skinęła głową.

- Chodźmy.

\*

W okolicy willi Pawła Konstantinowicza niewiele się zmieniło od czasu, gdy byliśmy tu kilka godzin temu. Siedzieliśmy teraz naprzeciwko bramy i

obserwowaliśmy ludzi przebywających wewnątrz. W tym celu musieliśmy sprawić, żeby ściany i ogrodzenie stały się przezroczyste - taki drobiazg. Alona świetnie sobie poradziła, choć nie omieszkała gderać na temat podglądania. Z aniołami czasem jest tak ciężko... A teraz, wygodnie ulokowani pod drzewem, prowadziliśmy obserwację.

- Razem z Pawłem Konstantinowiczem jest ich tam siedmiu - zauważyłem. - A naszych tylko trzech.

- Czterech.

- Czterech, jeśli będziemy liczyć malarza, którego największą bronią jest pędzel.

- Nie masz racji. Przypomnij sobie, jak rozgonił tych, którzy napadli Aloszę. Nie zawahał się nawet przed nożem.

Wzruszyłem ramionami i zerknąłem na słońce, które właśnie dotknęło czubków drzew. Zaczynał zapadać zmierzch. Wstałem z ziemi i przeciągnąłem się.

- Dobra, starczy tego leżakowania. Zobaczyliśmy już wszystko, co mogliśmy, nic nowego nie będzie. Chodźmy na spacer.

Alona popatrzyła na mnie niezadowolona.

- A jeśli zaczną uwalniać chłopca pod naszą nieobecność?

- Radzę czytać więcej książek, towarzyszu aniele. Wynika z nich jasno, że do szturmów rusza się zwykle nad ranem, gdy sen jest najmocniejszy.

Alona chyba poczuła się urażona.

- Myślę, że ci w willi też czytają książki.

- Może czytają, a może nie. Co z tego? Czy oni

spodziewają się ataku?

- Jak uważasz. - Alona nie podjęła dyskusji, chyba naprawdę się obraziła.

Jeszcze raz obejrzeliliśmy sobie całą trasę. Ku mojemu zaskoczeniu, dziewczyna całą drogę czytała coś w swoim notesie. Od czasu do czasu zostawałem w tyle i próbowałem zajrzeć jej przez ramię, ale była czujna i wszystkie moje próby od razu udaremniała.

- Co ty tam piszesz? - w końcu nie wytrzymałem.

- To, co trzeba. Zobaczysz. Pomyślałam sobie tak: uwolnię chłopca i co dalej? Przecież ci bandyci się nie odczepią! A my, obserwując dom, dowiedzieliśmy się tylu rzeczy...

- No i co? - nie zrozumiałem.

- No i to - ucieła, znowu zagłębiając się w notes.

Weszliśmy do wsi: ja rozglądając się na boki, Alona z nosem w notesie.

- Znalazłam! - krzyknęła nagle. - To jest to, czego potrzebujemy!

- My? - zapytałem uprzejmie.

- No, ja. - Machnęła ręką. - Czekał tu na mnie, zaraz wrócę.

Nie zdążyłem otworzyć ust, gdy ona pomknęła w niebo i po chwili zniknęła w promieniach zachodzącego słońca. Zakląłem. Ciekawe, kto ją nauczył takiego niekulturalnego zachowania?! Nie, szkoda moich nerwów, żeby wkurzać się na nią...

Przeszedłem się po wsi. W pierwszym kiosku kupiłem sok i usiadłem na ławce przy autobusowym przystanku. Pijąc sok przez słomkę, z rzadka zerkałem



na niebo. Ściemniało się, można już było dostrzec pierwsze gwiazdy. Staralem się oszczędzać sok, żeby starczyło go na dłużej, ale i tak skończył się przed powrotem Alony. Wyrzuciłem pusty kartonik do śmietnika i poszedłem obejrzeć wieś. No dobrze, „obejrzeć” to jednak za duże słowo, po prostu chodziłem tam i z powrotem po ulicy, na której Alona kazała mi czekać. Ładne rzeczy, ona sobie gdzieś lata, a ja? Co niby mam robić? Przecież nawet nie mogę nigdzie pójść! Może znowu z kimś gada o szmatkach? Jeśli tak... jeśli naprawdę tak, to... To ja... ja... Co „ja”? Wybaczę jej, oczywiście. Z czasem. No dobrze, wcale nie z czasem. Uśmiechnie się przepraszająco I wybaczę od razu. Ale się wpakowałem! Nawet nie potrafię się na nią gniewać...

Zrobiło się zupełnie ciemno. A ponieważ to mimo wszystko była wieś, a nie miasteczko, oświetlenie uliczne było... w ogóle go nie było. Musiałem przejść na noktowizję. Kurde, gdzie ona jest?! Przecież powinniśmy już zająć pozycje!

Z nudów wyciągnąłem z krzaków puszkę po jakiejś konserwie i zacząłem ją kopać. Nagle obok mnie zahamował samochód tak brudny, że trudno było rozpoznać markę.

- Hej, chłopcze! - zawołał kierowca.

Odwróciłem się do niego zaskoczony, na wszelki wypadek rozglądając się, czy nie ma gdzieś w okolicy jakiegoś innego nastolatka.

- Mówi pan do mnie?

- Tak. Możesz podejść?

Ciekawe, czego on chce... Może mnie porwie? Ale byłoby śmiesznie! Przynajmniej trochę bym się rozerwał. Podszedłem.

- Słucham?

- Możesz mi powiedzieć, jak dojechać do willi Pawła Konstantinowicza Wokutowa?

Stropiony zamrugałem oczami. Czyżby wsparcie? Ale w takim samochodzie? Przecież nie dopuszczą go do posiadłości nawet na odległość strzału! Kim jest ten mężczyzna? Nie miałem czasu na rozmyślania, musiałem szybko podjąć decyzję... Może by go posłać w przeciwną stronę? Nie wiem, kto to jest, ale lepiej, żeby dzisiaj nikt nie przeszkadzał naszym. Już byłem gotów wprowadzić swój plan w życie, gdy obok mnie pojawiła się dziewczęca główka.

- Szuka pan willi Pawła Konstantinowicza? - spytała.

- Już mówię...

Popatrzyłem osłupiały na głowę, potem na tułów i gestykulujące żywo ręce. Kierowca uprzejmie podziękował za wskazanie drogi i ruszył.

- I co to wszystko znaczy? - spytałem.

- A to, że teraz wszystko idzie zgodnie z moim planem. Rozumiesz? - Alona poparzyła na mnie wyzywająco. - I bardzo mi zależy, żeby ten samochód dojechał do willi bez problemów. Już ja cię znam, posłałbyś go gdzieś... do sąsiedniego miasta na przykład.

Przyznałem, że taki właśnie miałem zamiar.

- No widzisz! Tylko ci w głowie chuligańskie wybryki...

To była tak rażąca niesprawiedliwość, że mnie zatkało. Owszem, chciałem posłać ten samochód w inną stronę, ale przecież nie dla żartu!

Alona zrozumiała i po przyjacielsku klepnęła mnie w ramię.

- No, Ezergil, nie obrażaj się. Przecież widzisz, że żartuję. Ja się nie obrażam za twoje dowcipy.

Aha, nie obraża się! Nie obraża, tylko od razu bije.

W tym momencie obok nas przejechały dwa autobusy, tak samo brudne jak samochód. Odprowadziłem je wzrokiem i odwróciłem się do Alony.

- Wykładaj kawę na ławę, coś ty wymyśliła?

- Już - uśmiechnęła się... i postawiła na ławce filiżankę z kawą. Cofnąłem się zaskoczony.

- Myślałem - wykrztusiłem - że głupie żarty to moja specjalność.

- Kto z kim przestaje... - roześmiała się Alona, rozwiewając iluzję. - Ezergil, wytrzymaj jeszcze trochę. A na razie możesz trzymać kciuki za powodzenie.

Popatrzyłem na swoje palce, potem na dziewczynkę i splunąłem.

- Chodźmy lepiej. Gadaj tu z tobą...

- Aha, to teraz wiesz, jak się czułam, gdy nie znałam twoich planów, a ty ciągałeś mnie w różne miejsca i prosiłeś, żebym jeszcze trochę wytrzymała! Teraz ty wytrzymaj. Zobaczymy, jak ci się to spodoba.

- Co to, zemsta? Ze strony anioła?

- Owszem - przyznała ze słodkim uśmiechem.

Zrozumiałem, że jej nie przekonam i dałem spokój.

Spacer nocą po lesie to żadna frajda, nawet jeśli potrafi się widzieć w ciemnościach. Dobrze jeszcze, że była pełnia. Spojrzałem na księżyc.

- Pełnia - oznajmiłem odkrywco.

Alona również zerknęła na niebo.

- Aha. Czas ciemnych sił, diabłów i innych istot w tym rodzaju.

Zmarszczyłem brwi.

- Skoro to nasz czas, to co ty tu robisz?

- Jestem z tobą - odparła, zupełnie niespeszona. -  
Mogę?

- A jeśli powiem „nie”? - zainteresowałem się przekornie.

- To złamię zakaz.

No nie! A ja myślałem, że wtedy ona będzie mnie prosić, żebym pozwolił jej zostać... Ja oczywiście trochę bym się poopierał, ale w końcu przecież...

- Uu! - zawyłem, odskakując od drzewa i trzymając się za czoło. - Kto tu nastawiał tyle tych badyli?!

- Fakt - przytaknęła Alona. - Ale granda. Żeby w lesie rosły drzewa? Koszmar! Pokaż, popatrzę, jak to wygląda.

Odsunęła moją rękę od czoła i przyjrzała się.

- Zadrapanie - zawyrokowała. - A my go tak... -  
Przesunęła dłonią nad skaleczeniem. Ból od razu zniknął.

Z niedowierzaniem pomacałem głowę. Nie było ani krwi, ani guza.

- Ale super... A mówiłaś, że nic nie umiesz.

- Przy tobie można się niejednego nauczyć... -

mruknęła. - O czym tak intensywnie myślałeś, że nie zauważyłeś pnia?

- O tobie - odparłem szczerze.

- Głupi. - Odwróciła się i szybkim krokiem poszła w stronę willi.

- Pewnie, że głupi.

Rzuciła mi przez ramię gniewne spojrzenie, a zaraz potem znieruchomiała, patrząc gdzieś w bok. Zacząłem nasłuchiwać. Z prawej strony dobiegały dziwne hałasy... Chyba ktoś tam był. I to nie sam.

- Co to może być? - spytałem, zerkając na Alonę.

- Czemu na mnie patrzysz? Skąd mam wiedzieć? Pójdziemy, to zobaczymy. Lepiej, żeby dzisiaj w tym lesie nikogo nie było... A skoro już jest, to trzeba mu uprzejmie poradzić, żeby zniknął.

W zasadzie miała rację, ale... Czy mi się wydaje, czy Alona zaczęła mną dyrygować? Nie, trzeba od razu położyć temu kres, bo jeszcze trochę i się przyzwyczai! Właśnie chciałem zająć stanowisko w tej sprawie, gdy zobaczyłem, że stoję na ścieżce sam - dziewczyna już szła w stronę podejrzanych hałasów. A taki był z niej cichy aniołek, zanim mnie poznała...

We dwójkę ostrożnie wyjrzelśmy zza drzew. Na polanie naliczyłem siedem osób: sześciu małych w wieku od trzynastu do szesnastu lat i jeden całkiem dorosły facet. Co oni kombinują przy kamieniu? Wszyscy ubrani w jakieś płaszcze z prześcieradeł...

- Chyba się w coś bawią... - powiedziała niepewnie Alona.

Wtedy ciemność rozdarł koci wrzask.

- Aha, bawią! - przyznałem. - W składanie ofiar. Widzisz, rozciągnęli kota na głazie... Biedne zwierzę.

- Zwyrrodnialcy! - Oczy anielicy groźnie błysnęły w ciemności. - Ezergil, i ty nic nie zrobisz?

- A co ja mam do tego?

- A to, że to chyba twoi klienci.

- Nie wydaje mi się... - Nadstawiłem uszu, Alona również.

Dorosły podszedł do kamienia, na którym przeraźliwie miauczał kot. Twarz mężczyzny była zasłonięta kapturem, białe prześcieradło sięgało aż do ziemi. Uniósł nóż nad głowę.

- Szatanie, przyjmij naszą ofiarę. Weź krew i daj nam siły.

- Wszystko jasne. - Oparłem się o drzewo. - To nie moi klienci, to klienci zupełnie innego zakładu. Konkretnie: zakładu zamkniętego.

- Czy twoi, czy zakładu, wszystko jedno, ale kota zabiją naprawdę! Poza tym, wydaje mi się, że to wszystko nie jest takie proste. Dzieciaki chyba są czymś otumanione, ale ten człowiek dobrze wie, co robi i wcale nie wierzy w to, co mówi.

- Ach, nie wierzy? - Teraz z moich oczu dobył się blask. - Ha, zaraz zobaczymy... Na długo zapamiętają tę noc...

Wstałem i wyszedłem na środek kręgu. Przyjrzałem się twarzom dzieci - rzeczywiście, nawęchały się jakiegoś świństwa... Pociągnąłem nosem. Od niewielkiego ogniska płynął otumaniający zapach, nawet mnie zakręciło się w głowie. Te małolaty w ogóle

nie wiedzą, co tu się dzieje... Ba, są tu nawet dziewczynki!... Przyjrzałem się uważniej mężczyźnie. Hm, facet wyraźnie miał jakieś konkretne plany i chyba faktycznie wiedział, co robi. Nie znoszę takich drani, którzy wykorzystują ludzi do własnych brudnych celów. Swołocz za pomocą tajemnych obrzędów przywiąże do siebie te dzieciaki, a potem... potem zaczną się prawdziwe przestępstwa. Najpierw kot, następnie człowiek - to przecież już tylko jeden krok. No dobra, zabawimy się...

Utkwiłem wzrok w ognisku i nieznacznie zmieniłem skład świństwa płonącego w ogniu. Za minutę dzieci powinny dojść do siebie... Wszedłem na kamień i stanąłem nad kotem. Dranie wbili wokół kamienia patyki: do czterech przywiązali łapy nieszczęsnego zwierzęcia, do piątego ogon. Nieszczęśnik nie mógł się ruszyć, tylko miauczał rozpaczliwie.

A mężczyzna coś jeszcze mówił o przyjściu szatana, który nagrodzi wierne sługi. Nie słuchałem zbyt uważnie, wychwytyjąc jedynie sens. Czyli przyście Szatana, tak? Dobra, wobec tego powitajcie tego, którego wzywacie. Zmieniłem wygląd - teraz byłem wielki, rogaty, ogoniasty, i ohydny. Obejrzałem się dokładnie, usłyszałem opodal śmieszek Alony. Pogroziłem jej pięścią. Ona nie musiałaby się tak przebierać, z jakiegoś powodu ludzie nie wyobrażają sobie aniołów z kopytami, rogami i fizjonomią capa. Tylko diabły muszą cierpieć i dopasowywać się do wyobrażeń tych... tych... powiedziałbym kogo, ale dobre wychowanie nie pozwala.

No dobrze, czy o czymś nie zapomniałem? Ach tak, jeszcze siarka, Szatan powinien zjawić się w kłębach siarki. Brrr! Czy ten, kto na to wpadł, wahał kiedykolwiek płonąca siarkę? I za co tak nienawidził diabłów?! Może wiedział, gdzie znajdzie się po śmierci i w ten sposób się mścił? Będę musiał poszukać u nas tego „wymyślacza”... Już ja mu dołożę dREW pod kocioł, niech zażyje łaźni...

Przygotować się... Mężczyzna podniósł rękę z nożem... Machnąłem dłonią. Wybuch: huk, dym i smród płonącej siarki. Przy okazji jednym ruchem przeciąłem więzy kota. Uszczęśliwione zwierzę pomknęło w stronę Alony, a ja z trudem powstrzymując kaszel, tarłem łzawiące oczy. Przekłęty zapach!

Żeby nie wyglądać żałośnie, szybko wziąłem się w garść, wstrzymałem oddech i nałożyłem maskę na oczy. I tak nic nie widziałem, bo leciały mi łzy, a tak przynajmniej nikt nie będzie oglądał mojej męki. Pomachałem ogonem. Niech to, zupełnie jak pies... Znieruchomiałem, unosząc kity w górę.

- Wołaliście mnie? - spytałem głębokim basem, próbując dostrzec cokolwiek przez łzy. W końcu udało mi się przetrzeć oczy i rozejrzeć się.

Na polanie leżeli plackiem oszołomieni sataniści nowicjusze i patrzyli na mnie z przerażeniem. Zdaje się, że środek odurzający już przestał działać; jeden chłopak nawet próbował na czworakach uciec w krzaki. Oburzyło mnie to: jedno machnięcie ogona i wokół polany powstała świecąca się klatka. Oczywiście, istniała wyłącznie dzięki przerażeniu obecnych, ale o



tym nie musieli przecież wiedzieć.

- To jak, będziemy gadać, czy nie? - spytałem.

- Kim jesteś? - spytał mężczyzna drżącym głosem, nadal ściskając w ręku nóż.

- Kim, kim... - odburknąłem. - Sam mnie wołałeś, a teraz się pytasz.

- Szatan? - spytał z niedowierzaniem i czknął ze strachu.

- A już, sam najwyższy Władca Ciemności będzie leciał do różnych wypierdków! - Rany, co ja plotę, jaki władca ciemności, dlaczego ciemność miałaby mieć władcę? - Ma do tego wysłannika. Możesz nazywać mnie Graczem. No więc... - Rozejrzałem się, zeskoczyłem z kamienia i usiadłem na nim, zakładając nogę na nogę. Długi ogon zarzuciłem sobie na ramię, oganiając się przed komarami. - No więc - powtórzyłem - siedzi sobie władca, a tu przychodzi wezwanie. Rzecz jasna, od razu woła mnie. Leć, mówi, na ziemię i zobacz, co to za przygłupy mnie wzywają. Powiedział, że tak mu już dopiekły te wezwania, iż nawet może zacząć sam zareagować. Ech, jak ja mam was dosyć... Nie mogę mu przecież na to pozwolić, bo rozpętałoby się coś takiego... i dlatego sam ganiam. Mówcie szybko, czego chcecie, to spiszemy standardową umowę na wasze dusze. Wszystko jak należy, możecie być spokojni. Władza, bogactwo, a po śmierci, rzecz jasna, kocioł piekielny i męki. Ej, coście tak zbledli? Gorzej wam?

W odpowiedzi usłyszałem żalosne jęki. Jakaś dziewczynka próbowała uciec, spojrzałem urażony, w

myślach chwyciłem ją za nogę i przyciągnąłem do siebie. Zacisnęła powieki ze strachu.

- Co, taki jestem straszny? - zapytałem. - A pewnie, że jestem. A coś ty myślała? Kogo spodziewałaś się zobaczyć, wzywając Szatana? Bogatego wujka z Ameryki?

- Ja... ja... to...

- Ty „to”? - zdumiałem się. - A co „to”? Zresztą, nieważne. Powiedz, co byś chciała dostać za swoją duszę? A, już wiem, chcesz być najładniejszą dziewczynką na świecie, żeby wszyscy chłopcy się w tobie kochali. Załatwione. Zaraz spiszemy umowę na twoją...

- Ja nie chcę! - Dziewczynka rozpaczliwie pokręciła głową i rozplakała się. - Ja chcę do domu! Do mamy!

- Nie rozumiem? W takim razie po coście to wszystko urządzili? Po co niepokoiacie mojego władcę?!

- Myśmy... myśmy się tylko bawili! - Teraz już dziewczynka płakała na całego. - Ja nie myślałam...

- Aha, nie myślałam?! - Wstałem z gniewną miną, wokół mnie pojawiły się błyskawice i znów zapachniało siarką. Jak ja nie znoszę siarki! - Bawiliście się? Bawiliście?! No, to teraz ja się z wami pobawię!

- Nie! Władco!!!

Ech, jak mi się to podoba... Balsam na duszę. Władca... To brzmi niczym najpiękniejsza muzyka... Spojrzałem gniewnie na klęczącego mężczyznę, wyraźnie spanikowanego.

- Słucham cię.

- Władco, chciałem ci złożyć ofiarę!

- Ty, co, gnojku, żarty sobie urządzasz? I po co to pleść po próznicy? Nazywasz ofiarą to bezmózgie bydlę? Zaraz gały wykluję, bałwanie jeden! To będzie prawdziwa ofiara.

Mężczyzna poszarzał na twarzy.

- Nie, nie, panie... - Oho, jeszcze i „panie”! Wysłałem w jego kierunku dodatkową falę strachu. - To była tylko lekcja dla tych początkujących... - powiedział szybko. - Jeśli chcesz, panie, to jestem gotów złożyć w ofierze... w ofierze... w ofierze...

Matko, zaciął się, czy co? Przyglądałem mu się z ciekawioną, a mężczyzna tymczasem rozglądał się w panice, a potem nagle skoczył do dziewczynki, z którą niedawno rozmawiałem. Chwycił ją za rękę i rzucił mi pod nogi, przystawiając jej nóż do gardła.

- Chcesz, panie, tę dziewicę? Jest zupełnie niewinna!

Dziewczynka patrzyła z przerażeniem to na mnie, to na swojego niedawnego opiekuna. Co za bydlak...

- Zdużniałeś kompletnie?! - warknąłem. - Głupich książek żeś się naczytał, cymbale?

- Panie?! - Popatrzył na mnie zaskoczony.

- Jeśli jest niewinna - wyjaśniłem idiotcie - to jej dusza pójdzie prosto do raju! - Beknąłem prosto w twarz łajdaka, niech sobie pooddycha. Mężczyzna skrzywił się, ale nie miał odwagi odwrócić głowy. - Ty kmiecie... Słuchaj no, frajerze, przyszedłem tu, bo myślałem, że to jacyś poważni ludzie, a tu... Małolaty, a z nimi dorosły kretyn. Zastanów się, koleś, czy jest jakiś powód, dla którego nie miałbym pożreć twojego serca. Przecież nie jesteś niewinną dziewicą... - zarechotałem,

naśladować śmiech mojego brata. - Twoja dusza trafi prościutko do mojego pana.

Mężczyzna zbladł jeszcze bardziej.

- Panie...

- Co „panie”? Co „panie”? Czy to ja cię wzywałem? Sam prosiłeś! Przybywaj, szatanie, przybywaj! No to władca mnie wysłał. I co?

- Panie... - Ten głupiec prawie płakał. - Jeśli chcesz, mogę ich wszystkich złożyć w ofierze. Wystarczy jedno twoje słowo...

Ale się uwziął! Różnych łajdaków w życiu widziałem, ale żeby coś takiego... Zerknąłem na resztę. Dzieciaki już kompletnie „wytrzeźwiały” i teraz cała szóstka patrzyła na opiekuna z przerażeniem. Czasem zerkali w moją stronę, z nadzieją.

- A wy co powiecie? - zwróciłem się do nich. - W zasadzie to was nie potrzebuję, jesteście jeszcze za mali i zbyt niewinni. Od razu byście poszli pod skrzydła aniołów... nie zdążyliście jeszcze naświnić na tym świecie. Ale wasz przewodnik zdążył... Sprawa wygląda więc tak: złożycie mi teraz w ofierze tego typka i jesteście wolni. Jego dusza będzie moja, zresztą wasze po zabójstwie też. Za to zostaniecie przy życiu. Jednym słowem, wszyscy powinni być zadowoleni. A jeśli ktoś odmówi, no to sorki, rozkażę swoim nowym sługom, a oni już was... tego. Wprawdzie wasze dusze pójdą wtedy do nieba na zmarnowanie, ale sami rozumiecie, świadkowie mi niepotrzebni.

- Panie! - wrzasnął mężczyzna, padając mi do nóg. - Zmiłuj się!

Chlasnąłem go ogonem. Oczywiście, ogon był tylko na niby, ale gdy strach zaćmiewa umysł... Na efekty nie trzeba długo czekać.

- I czego wyjesz, frajerze niedobity? Co to sobie myślałeś? Twoja dusza i tak już jest moja, teraz potrzebne mi te dzieciaki. Jak cię zabiją, zaczną mi służyć. Krótko mówiąc, kończmy ten cyrk i spadam lulu do łóżeczka. - Ziewnąłem demonstracyjnie. - A żeby gość nie stawiał oporu, zrobimy tak...

Popatrzyłem na sznurki, którymi uprzednio przywiązano nieszczęsnego kota, pod moim spojrzeniem zaczęły się wydłużać, zrobiły się grubsze... A potem, wijąc się niczym węże, skoczyły na mężczyznę, pętając go od stóp do głowy. Ten zawył ze strachu i szarpnął się, chcąc się uwolnić. Spojrzałem wyczekująco na szóstkę maślaków.

- To jak będzie? Aa, no tak, przecież nóż jest tylko jeden, zupełnie nie pomyślałem. Macie tu jeszcze pięć. - Machnąłem ręką i z nieba spadło pięć ostrzy, dokładne kopie tego, którym kilka minut temu wymachiwał mężczyzna. - Bierzcie i do roboty. Ciosy należy zadać jednocześnie... Niech nikt nie próbuje udawać - będę pilnował!

\*

- Ja nie chcę... - Dziewczynka rozplakała się, pozostali mieli niezbyt tęgie miny.

- Nie rozumiem? - Uniosłem brew. - Skoro nie chciałaś, to co tu robisz w nocy w tym stroju?

- To była zabawa!!!

- Zabawa?! Dziecko, z tym nie ma żartów. Wzywając Siły Ciemności, bądź przygotowana, że odpowiedzą! Twój młody wiek nie będzie miał żadnego znaczenia! Poza tym, ostre przedmioty nie służą do zabawy, nikt wam o tym nie mówił? Krótko mówiąc, dzieciaki, kończmy to, chce mi się spać.

Cała szóstka niepewnie wzięła noże do ręki i na sztywnych nogach zaczęła iść w stronę mężczyzny. Obserwowałem ich z zainteresowaniem. Czy chociaż jedno odmówi? Czy któreś wybierze honor, a nie życie?

Wszyscy się potwornie bali. Płakali, ale szli.

Trzasnąłem ogonem.

- Ruchy, ruchy! Mielicie wystarczająco dużo czasu, żeby dokonać wyboru między duszą i ciałem! Naprzód!

Sześć noży uniosło się i sześć ostrzy błysnęło w świetle księżyca. Czekałem. Czy naprawdę nikt nie odmówi?! Mężczyzna zawył i szarpnął się w więzach. Szybko go uspokoiłem, teraz nie mógł już nawet jęczeć, jedynie wściekle przewracał oczami.

Obejrzeni się, sześć par oczu popatrzyło na mnie z niemym błaganiem. Nad moją głową zatańczyła złowieszcza błyskawica. Noże zaśniły, ponownie uniesione. Czekałem... Ostrza spadły w dół - wszyscy zadali cios jednocześnie.

- Bydłęta! - warknąłem, wstając. Iluzja groźnego sługi piekieł rozwiązała się i teraz byłem w swojej zwykłej postaci. Ominąłem zszokowane, płaczące małolaty i podszedłem do leżącego na ziemi mężczyzny, z którego opadły sznury. Trąciłem go nogą.

- Wstawaj, ty... Widzisz, nic ci się nie stało.

Odwróciłem się do młodych satanistów. Przyjrzałem im się.

- Bydłęta - powtórzyłem. - Wszyscy jesteście bydlakami. Żadne z was nie odmówiło, żadne nie wybrało honoru! Czy wy w ogóle wiecie, co to jest honor?! Tfu, aż się nie chce na was patrzeć. Wybraliście życie? To żyjcie i na zawsze zapamiętajcie to, co się tu stało!

Odwróciłem wzrok.

- Nie mogę na was patrzeć. Wynocha! Wydałbym inny werdykt, gdyby nie to, że pewien człowiek, młodszy od was chłopiec podjął słuszną decyzję i gotów był oddać życie za swoich przyjaciół. Won!!!

- Panie... - wymamrotał mężczyzna.

Pozostali patrzyli na mnie z niedowierzaniem. W ich oczach była radość i... smutek.

- Won! - powtórzyłem. - Wszyscy poszli won! - Za moimi plecami rozhulał się wiatr, w ziemię uderzył grom. Wymiotło ich z polany w jednej chwili.

- Surowy jesteś - powiedziała w zadumie Alona, podchodząc do mnie. - Czemu właśnie tak? Przecież oni nie rozumieją...

- Oni wszystko rozumieją - burknąłem. - Nie masz pojęcia, jak podle się czuję... Żeby chociaż jeden się sprzeciwił! Ale nie, wszyscy jak jeden mąż...

- EzerGil, nie można tak źle myśleć o wszystkich. Przypomnij sobie Aloszę... Poza tym, myślę, że wielu z nich, jeśli nie wszyscy, wyciągną wnioski z dzisiejszej lekcji.

- Nic im to nie pomoże! - burknąłem bez

przekonania.

- Dlaczego nie chcesz w nich uwierzyć?

- Uwierzę. Jeśli choć jeden z tej szóstki do nas nie trafi, przyznam ci rację. Sprawdzimy za sześćdziesiąt lat.

- Dobrze, a teraz chodźmy. Nie zapomniałeś, po co tu jesteśmy?

- Nie - burknąłem. - Ale pewnie nie spotkamy już w lesie żadnych idiotów... Chyba nikogo więcej tu nie ma. Ruszamy do willi i obserwujemy?

- A co nam pozostaje? Chodź, słuگو Władcy Ciemności... - prychnęła Alona.

- Ech - uśmiechnąłem się. - Czego ci ludzie nie wymyślą... Władca Ciemności! Jak oni to sobie wyobrażają? Jak można władać Siłą, która istniała na długo przed Nim?

- Daj spokój, jeszcze nam tylko dysput filozoficznych brakowało. I bez tego mamy masę problemów.

Faktycznie, co racja, to racja, tego towaru mieliśmy pod dostatkiem. Musimy pilnie obserwować przebieg operacji, żeby nie doszło do wpadki. Nie wybaczyłbym sobie jeszcze jednego takiego błędu, jak wtedy z ojcem Fiodorem. Słowem, musimy o wszystko zadbać zawczasu. Ech, szkoda, że mamy tak ograniczone możliwości ingerencji...



## Rozdział 4

Siedzieliśmy na czubku drzewa, mieliśmy stąd wspaniałą widok na willę Pawła Konstantinowicza oraz podejścia do niej. Idealne miejsce do obserwacji. Zresztą, takich miejsc była tu cała masa, w końcu dookoła był las. Tyle, że ciemno... Musiałem do granic możliwości wyteżać noktowizję.

- Słuchaj - Alona trąciła mnie łokciem - już przedtem chciałam cię o to zagadnąć...

Popatrzyłem na nią pytająco.

- Zauren powiedział wtedy, żebyś dotrzymał obietnicy. Jaką obietnicę miał na myśli?

- Zauren? - zdziwiłem się.

- Ten diabeł, który dał ci ogon. Jak odprowadzaliśmy ojca Fiodora.

- Aa...

- Co mu obiecałeś?

Speszyłem się.

- A, takie tam... Głupstwo...

- Powiedz!

- Obiecałem, że zaproszę go na wesele.

- Że co? - Dziewczyna popatrzyła na mnie wstrząśnięta, a potem wybuchnęła. - Ach ty... ty... ja cię...

Dosłownie zatchnęła się przepelniającymi ją emocjami. Na wszelki wypadek odsunąłem się od niej na tyle, na ile pozwalała gałąź.

- Nie przejmuj się tak - uspokoiłem ją. - Nie z tobą to wesele.

- Idiota! - ryknęła. Zamachnęła się i z całej siły uderzyła mnie pięścią.

Omam nie spadłem z drzewa.

- Uwaażaj! - wycharczałem.

Zamiast odpowiedzi usłyszałem szlochanie. Wyteżyłem słuch, najwyraźniej płakała... Westchnąłem. Weź tu zrozum kobiety... Najpierw się denerwują z powodu głupiego żartu, a potem, jak je próbujesz uspokoić, to płaczą. Przysunąłem się bliżej.

- Czemu się tak denerwujesz? Przecież żartowałem. Daję ci słowo honoru, że żadnego wesela nie będzie.

- Głupi!

Westchnąłem znowu.

- No dobrze, jestem głupi, czy to moja wina?... Faktycznie łatwiej przerzucić most przez ocean, niż zrozumieć kobiety!

Usłyszałem stłumiony chichot. Alona spojrzała na mnie i znów zachichotała. A potem nie wytrzymała i roześmiała się, ocierając rękawem łzy. Popatrzyłem na nią ponuro. No i co zobaczyła we mnie takiego śmiesznego?...

- Tak zabawnie wyglądasz, gdy usiłujesz przybrać minę winowajcy... - powiedziała przez śmiech.

Teraz to ja się obraziłem. Więc jestem śmieszny, gdy próbuję wyglądać przepraszaąco? Próbuję?! Już chciałem powiedzieć, co o niej myślę, ale w tym momencie ona ostrzegawczo podniosła rękę.

- Cicho... Chyba się zaczyna.

W jednej chwili zapomniałem o wszelkich urazach i stałem się czujny. Rzeczywiście, ktoś skradał się przez las. I wyraźnie nie był to jeden człowiek. Zmarszczyłem brwi.

- Słuchaj, zdaje się, że jest ich tam więcej niż czterech.

- Pewnie, że więcej. - Alona machnęła ręką. - Powinno być więcej.

Popatrzyłem na nią podejrzliwie.

- Może już czas, żebyś wtajemniczyła mnie w swój chytry plan? Bo jeszcze coś zrobię źle, ze zwykłej niewiedzy...

- Nie zdołasz - ucięła. - Tym razem będziemy grzeczni i w nic się nie wpakujemy.

Nie chciałem jej obciążać moimi wątpliwościami, chociaż miałem ich sporo. I to całkiem dużych. Jak to się mówi, dobrymi chęciami wybrukowane jest... Zresztą, zobaczymy. Bardzo możliwe, że faktycznie wszystko obejdzie się bez naszego udziału.

W tym momencie na niewielką polankę między drzewami wyszło trzech mężczyzn, wszyscy uzbrojeni, w drelichach i kamizelkach kuloodpornych. Jeden z nich przysunął coś do ust.

- Pierwszy, jesteśmy na miejscu, odbiór - usłyszałem.

Taak. Powoli odwróciłem się do Alony. Wyglądała na bardzo zadowoloną. Widząc moje spojrzenie, zaczerwieniła się, ale usiłowała przybrać bojową minę.

- A co myślałeś? Przecież mówiłam: to, że nasi przyjaciele uwolnią Alosę, jest rozwiązaniem krótkowzrocznym. W tych bydlaków trzeba uderzyć

porządnie! Myślę, że oddział szybkiego reagowania przy komendzie okręgowej szybko nauczy ich rozumu...

No, no, skąd u anioła takie wojownicze zapędy? Ode mnie się nauczyła, czy co? Ale przecież ja jestem diabłem nastawionym pokojowo i nie znoszę przemocy!

- I ty...

- Właśnie. Odszukałam człowieka, który kiedyś próbował walczyć z tą bandą. Uczciwy i z zasadami, sprawdziłam. No i... odrobinę go przekonałam...

Westchnąłem ciężko.

- Opowiadaj, jak było naprawdę. Może jeszcze mamy szansę się z tego wyplątać.

Alona popatrzyła na mnie przepraszająco.

- Właśnie dlatego nie chciałam ci nic mówić. Jeśli kogoś oskarżą o ingerencję, to tylko mnie. Ty naprawdę nic nie wiedziałeś o moim pomysśle.

- Opowiadaj! - niemal ryknąłem.

- A o czym tu opowiadać? Znalazłam w notesie pewnego śledczego... znaczy, ustawiłam parametry wyszukiwania i on okazał się najbardziej odpowiedni... Poszłam do niego do pracy... bo jeszcze tam siedział... i trochę mu to zasugerowałam. Tylko trochę, słowo honoru! Nie rozkazywałam, po prostu dałam do zrozumienia, że jeśli dzisiaj zdecyduje się nakryć całą tę bandę w willi, może liczyć na szczęście.

- On będzie miał szczęście, a my pogrom - skonstatowałem. - Też mi się trafiła wróżka od siedmiu... sugestii! Szkoda, że mu się jeszcze nie pokazałaś w kolorowej chuście i zapasce. „Daj rękę, kochaniutki, Cyganka prawdę ci powie. Szczęście

wielkie czeka cię dzisiaj...” Nie mogłaś wymyślić nic mądrzejszego?

Alona spochmurniała.

- Przecież zadziałało!

Trudno się było z tym nie zgodzić. Faktycznie, zadziałało. Mało tego, nasz śledczy bynajmniej nie przyszedł sam, zabrał ze sobą niezłe wsparcie. Całą tę akcję zorganizował w ciągu czterech godzin; i to wszystko jedynie w oparciu o niejasne wrażenie, że będzie miał dzisiaj szczęście? Spojrzałem na anielicę tak groźnie, jak tylko potrafiłem.

- Spójrz mi w oczy. Ale już! Powiedz, że zrobiłaś tylko tyle, żeby twój śledczy poczuł, że czeka go powodzenie.

Wydeła wargi.

- A niby z jakiej racji mam się przed tobą tłumaczyć?

- Mów! - zażądałem ponuro.

- No dobrze, nie tylko! Zadowolony?! Przyszłam do niego do gabinetu... ale nie mówiłam, kim tak naprawdę jestem.

- A pewnie, i tak by nie uwierzył. Jaką historyjkę mu sprzedałaś?

- Żadnej! Powiedziałam, że dzisiaj w willi znajdzie dowody przeciwko Pawłowi Konstantinowiczowi. Przecież od dawna na niego poluje, tylko nie może nic udowodnić.

- I on uwierzył?!

- Noo... nie od razu. Przedstawiłam mu dowody, opowiedziałem o tym, o czym nie może wiedzieć nikt, prócz śledczego i szefa gangu. I tyle.

W milczeniu odchyliłem się, chcąc się oprzeć o pień i o mało nie gruchnąłem na ziemię, w ostatniej chwili złapałem się gałęzi. Zakląłem. Dobrze, przede wszystkim muszę zachować spokój. Grunt to opanowanie! Przecież nic strasznego się nie stało. W sumie ja sam w czasie tej praktyki wyczyniałem groźniejsze rzeczy. A w każdym razie byłem bliższy o wiele poważniejszym wykroczeniom. Ale ja przynajmniej wiem, co robię! W odróżnieniu od tej... od tej... od tego nieuka! Ale poza tym to już wszystko było super...

- Co masz z „podwalin świata”? - spytałem ze znużeniem, wiedziałem, że i tak jej nie przekonam. Przecież jestem taki sam.

Spojrzała na mnie urażona.

- A bo co?

- A bo nic. Drobiazg. Jedynie dwa czy trzy razy naruszyłaś Prawo. Szczegół.

Alona zbladła.

- Ale ja... ja nic...

Machnąłem ręką.

- Zapomnij. Co się stało, to się nie odstanie. Nie ma sensu teraz się o to martwić. Musimy się zastanowić, jak wybrnąć z sytuacji. Czyli mówisz, że tylko mu opowiedziałaś?

- Tak - teraz Alona odpowiadała znacznie chętniej. - Przedstawiłam się jako przyjaciół tego człowieka, któremu nabruździł Paweł Konstantinowicz. Powiedziałam, że obserwowałam dom i widziałam, że coś się tam szykuje.

- Uff! - odetchnąłem z ulgą. - Trzeba było tak od razu! A już się przeraziłem, żeśmy naprawdę wdepnęli.

- A co to za różnica? - zapytała Alona, nie rozumiejąc przyczyn mojej niespodziewanej radości.

- Jest różnica! Wystąpiłaś nie jako anioł, tylko jako człowiek. Przekazałaś innemu człowiekowi informacje, a dalej on już zadziałał sam! To była jego decyzja i wolna wola nie została niczym ograniczona.

Dziewczyna popatrzyła na mnie ze zdumieniem.

- Nadal nic nie rozumiem. Przecież zdobyłam te informacje jako anioł, czyli przekazałam mu je też jako wysłannik nieba.

- A guzik! - powiedziałem radośnie. - Dałaś mu tyle samo informacji, ile mają nasi bohaterowie, którzy skradają się przez las... Mówię o Michaile Leonidowiczu i jego oddziale.

- Domyśliłam się. - Anielica, rozdrażniona, poruszyła ramieniem.

- To świetnie. Krótko mówiąc, zapomnij o tym. Resztę zostaw mnie.

- Nie podoba mi się to! - oznajmiła twardo. - Jeśli naprawdę jestem winna, chcę ponieść karę. Nie zamierzam ukryć się za twoją paplaniną! Dobrze wiem, że wy, diabły, jesteście w stanie czarne przemienić w białe i na odwrót, wystarczy was chwilę posłuchać...

- Coś takiego jest za trudne nawet dla nas - odparłem zadowolony. - Ale o tej sprawie naprawdę możesz zapomnieć. Stop, idą nasi. Za chwilę spotkają się z komandosami... Ale się będzie działo...

Zapominając o niedawnym sporze, zgodnie

wpatrzyliśmy się w ciemność, wsłuchując się w cichy szmer, jaki wydawał oddział „ratowników” idący przez las. Najpierw zobaczyłem czyjąś sylwetkę, potem rozpoznałem w niej majora. Podniósł rękę, żeby wszyscy ucichli i zaczęli nasłuchiwać. Być może nawet wyczułby zasadzkę przed sobą - z jego doświadczeniem! - ale akurat w tym momencie malarz musiał potknąć się o coś w ciemności i upaść. W nocnym lesie zabrzmiało to jak strzał. Widziałem, z jakim rozdrażnieniem Michaił Leonidowicz odwrócił się i spojrzał na winowajcę. Pozostali skoczyli do malarza i pomogli mu wstać. Sądząc z ich min, oni również mieli mu wiele do powiedzenia, ale taktownie milczeli.

- Wiesz co, Grisza? - usłyszałem szept Michaiła Leonidowicza. - Zostaniesz tutaj na czatach. Gdyby coś nam się stało... zadzwonisz pod ten numer, pomogą ci. Szkoda, że nie mamy czasu, bo ściągnąłbym naszych chłopaków... Wtedy byśmy tę willę roznieśli w pył.

Rogożew świetnie rozumiał, że zwiadowcy po prostu się go pozbywają, ale także zdawał sobie doskonale sprawę, że od tej pory będzie dla nich tylko ciężarem. Dlatego skinął głową i wziął kartkę z telefonem. I wtedy właśnie nastąpił atak - zza drzew wyskoczyło kilka cieni. Michaił Leonidowicz zareagował błyskawicznie, wziął na siebie pierwszego napastnika w masce, pochylił się i człowiek przeleciał przez niego. Drugiego powitał kopnięciem, gdyby komandos nie miał kamizelki, po czymś takim podnosiłby się przez tydzień, a tak to tylko odrzuciło go na dwa metry. Ale w



tym momencie trzeci podciął Michaiłowi nogi i weteran upadł. Przeturlał się, spróbował wstać, ale wtedy natknął się na lufę automatu przystawioną do piersi. W tej sytuacji rozsądnie postanowił nie robić zbyt gwałtownych ruchów, zaklął tylko przez zęby i położył się na plecach. Nie pozwolono mu jednak zbyt długo pozostać w tej pozycji: dwóch żołnierzy postawiło go szarpnięciem na nogi, załamując mu ręce za plecy. Towarzysze Michaiła Leonidowicza do tego czasu zostali już zneutralizowani przez resztę oddziału.

- Towarzyszu majorze, zatrzymaliśmy tu takich... mieli przy sobie to... - zameldował jeden z komandosów wysokiemu mężczyźnie, pokazując trzy pistolety Makarowa.

Kątem oka zerknąłem na Alonę.

- I co teraz? Nielegalne posiadanie broni. Próba wtargnięcia na teren prywatny. Naszym przyjaciołom nieźle się oberwie...

Dziewczyna obserwowała całe zajście wyraźnie zdenerwowana. Gryząc wargi, machnęła na mnie ręką.

- Patrz lepiej! Jeśli dobrze poznałam charakter tego majora... Sam zobaczysz.

Patrzyłem więc. A co innego miałem niby robić? I tak nie mogliśmy się wtrącać...

- Taak. - Major powoli przeszedł się przed zatrzymanymi. - Co my tu mamy?

Odpowiedzią było ponure milczenie.

- Czyli nie będziemy gadać?

- Mogę wiedzieć, z kim rozmawiam? - zapytał Michaił Leonidowicz. Zauważyłem, że uważnie

obserwuje wszystko wokół, jakby wypatrywał możliwości ucieczki. - Pytający powinien się najpierw przedstawić.

Myślałem, że major wpadnie w gniew, ale on tylko się uśmiechnął.

- Logiczne - przyznał. - Niech będzie. Jestem major Swiridow, Walerij Fiodorowicz. Śledczy od spraw specjalnych prokuratury okręgowej. Wystarczy?

- Major? Śledczy? - zdumiał się Michaił Leonidowicz. - A co pan tu robi?

- Ciekawe - uśmiechnął się znowu major. - Właśnie chciałem spytać was o to samo.

Przez jakiś czas mężczyźni w milczeniu mierzyli się wzrokiem, w końcu major machnął ręką.

- Dobrze, nie mam czasu się tu z wami bawić. Zabierzcie ich do samochodu, potem się nimi zajmiemy.

- Niech pan zaczeka! - Michaił Leonidowicz szarpnął się w mocnym uścisku komandosów. - Porozmawiajmy! Zdaje się, że jesteśmy tu z tego samego powodu...

- No, ciekawe, ciekawe... - Major popatrzył na jeńca i dał znak swoim ludziom, żeby się wstrzymali. - Z jakiegoż to?

- Chłopiec.

- Chłopiec? - Major był wyraźnie zdumiony. - Jaki chłopiec? Wie pan co, najlepiej niech pan opowie wszystko po kolei.

Weteran skinął głową.

- Nazywam się Michaił Leonidowicz Małow. Major w stanie spoczynku, były dowódca kompanii zwiadowczej. Ci dwaj to moi dawni podkomendni.

Władimir Tarasowicz Prihodko i Siemion Wasiljewicz Dantałow. Służyliśmy w Afganistanie.

- Bardzo interesujące. - Swiridow spojrzął na zegarek. - Ale to jeszcze nie wyjaśnia, co tu robicie.

- Chcemy uratować chłopca. Właściciel tej posiadłości porwał dziecko. Jego ludzie zabili mojego byłego podwładnego i zarazem bliskiego przyjaciela.

- Tak! - Major przestał mieć znudzoną minę i wpił się wzrokiem w Małowa. - Poproszę ze szczegółami. Co to za chłopiec, gdzie doszło do zabójstwa?

Michaił Leonidowicz szybko wprowadził go w sprawę. Opowiedział, jak ojciec Fiodor zjawił się u niego rano z prośbą o pomoc, ponieważ bandyci grozili chłopcu i jego ojcu, o tym, jak przyjechali do mieszkania malarza i co się tam wydarzyło.

Śledczy w zadumie bębnił palcami w pień drzewa, o które się oparł. Potem skinął głową człowiekowi stojącemu obok niego. Ten natychmiast zniknął. Szkoda tylko, że ja nic nie zrozumiałem... To nie fair! Szybciutko, proszę zwerbalizować ten rozkaz, który pobiegł wykonać podwładny! Nie umiem czytać w myślach! Aha, już lecą do mnie z wyjaśnieniami! Jedyne, co mogłem zrobić, to czekać.

Żołnierz szybko wrócił.

- Dokładnie tak, towarzyszu majorze. Jest w raporcie. Strzelanina na ulicy Sadowej. Jeden zabity, jeden z atakiem serca na oddziale reanimacji.

- To ojciec chłopca - wyjaśnił Michaił Leonidowicz.

Major pokiwał głową, w potem gwałtownie odwrócił się do Małowa.

- A skąd w ogóle wzięły się w sprawie te pieniądze? Co to za walizka z dolarami, przez którą wszyscy dostali amoku?

- Pojęcia nie mam - odparł szczerze Michaił Leonidowicz. - Fiodor coś mówił o jakiejś próbie, ale nic z tego nie zrozumiałem.

- Czyli pański przyjaciel wiedział, jakie jest pochodzenie dolarów?

- Wiedział, ale nie zdążyłem go o to spytać. Najpierw nie było na to czasu, potem było za dużo ludzi wokół, a potem... - Michaił Leonidowicz zamilkł i dokończył po dłuższej chwili: - A potem było już za późno.

Swiridow odszedł nieco na bok i zamyślił się. Wtedy poczułem, jak Alona boleśnie ścisnęła moje ramię. Ledwie powstrzymałem się od krzyku. Odwróciłem się, żeby jej nagadać, ale widząc jej minę, zrezygnowałem. Alona z rozpaczliwą nadzieją patrzyła na majora, szepcząc coś pod nosem.

- Tylko mu niczego nie sugeruj! - ostrzegłem. - Żadnej sugestii! Pełna swoboda decyzji! To musi wyjść od niego.

Anielica poruszyła się rozdrażniona.

- Wiem! Wszystko wiem. Nie mam zamiaru się wtrącać...

Skinąłem głową, ale na wszelki wypadek obserwowałem ją po kryjomu. Kto wie, co jej znów wpadnie do głowy? Pewnie pomogłaby im wszystkim nawet za cenę rezygnacji ze skrzydeł! Bo anioł, który złamał Prawo, nigdy nie otrzyma skrzydeł. A nuż Alona uzna, że sprawa jest warta takiej ceny?

- Nie chodzi tylko o skrzydła - powiedziałem w przestrzeń. - Łamiąc wolną wolę ludzi, krzywdzisz ich.

- Wcale o tym nie myślałam - burknęła i odwróciła się ode mnie.

- Bardzo dobrze, nie myśl - poradziłem, patrząc, co się dzieje na dole.

A tam dowódca akcji chyba podjął jakąś decyzję. Odwrócił się i podszedł do Michaiła.

- Dobrze. Jeśli twoje informacje są pewne, to tym razem tego gangstera nie uratują żadni prawnicy. Porwanie dziecka...

- Majorze! - powiedział ostro Małow. - Szczerze mówiąc, leję na tego waszego bossa. - Ton głosu Michaiła Leonidowicza wyraźnie mówił, że gdyby to od niego zależało, to szef mafii już nigdy nie potrzebowałby żadnego prawnika. - Chodzi mi wyłącznie o życie dziecka.

- Mnie również! - Śledczy spojrzał wyzywająco na rozmówcę. - Ale moje zadanie polega także na tym, żeby już nikt nigdy nie znalazł się w takiej sytuacji, w jakiej znalazł się wasz Alosza.

- Nikt się nie znajdzie, jeśli...

- Jeśli zabijemy tego gada, Pawła Konstantinowicza? A co to da? Struktura organizacji zostanie! Trzeba ją zniszczyć! Dobrze, co ja tu z wami gadam... Będziecie siedzieć spokojnie, czy zakuć was w kajdanki?

- Majorze, chcemy iść z wami!

- Majorze, nie mogę na to pozwolić!

Przypomniała mi się wyliczanka: wcześniej rano dwóch baranów... ee, majorów...

Michaił Leonidowicz nagle jakoś tak przysiadł - i dwaj jego konwojenci od razu odlecieli na bok, przy czym jeden został pozbawiony broni. Trzeci, który skoczył kolegom na pomoc padł od ciosu kolanem. Małow uczynił zdobytym automatem taki ruch, jakby chciał otworzyć ogień i rzucił broń na ziemię.

Komandosi, którzy już mieli na niego skoczyć, zostali powstrzymani ruchem ręki Walerego Fiodorowicza.

- Jeszcze nie zapomniałem, czego mnie uczyli - zauważył spokojnie Michaił Leonidowicz. - Przyda się wam moje doświadczenie! Poza tym, siedzieliśmy tu cały dzień i zbadaliśmy okolicę. A wy, z tego, co zrozumiałem, przyjechaliście niedawno.

Śledczy spojrział w stronę willi i zaklął przez zęby. Ciekawe, co on tam zobaczył? Z miejsca, w którym stali budynek był zupełnie niewidoczny. Poza tym, za duża odległość... Między innymi właśnie dzięki temu całe towarzystwo mogło odbyć tu naradę. Wtedy do majora podszedł jeden z jego ludzi i podał mu jakąś kartkę. Swiridow wyrwał ją z rąk podwładnego, przebiegł wzrokiem, a potem zaczął czytać uważniej. Zerknął na Małowa.

- My też nie siedzieliśmy z założonymi rękami - burknął, a po chwili zastanowienia powiedział: - Dobrze, niech cię licho. Ale żebyś nie odstępował mnie nawet na krok! Żadnego wysuwania się do przodu. Może się przydasz, jeśli choć połowa tego, co o tobie napisali - potrząsnął papierem - jest prawdą.

- Nie sądzę, żeby znali o mnie choć ćwierć prawdy -

uśmiechnął się Michaił Leonidowicz.

Major rzucił mu rozdrażnione spojrzenie.

- Tylko spróbuj się ode mnie oddalić - ostrzegł jeszcze raz. - Wsadzę całe to wasze towarzystwo za nielegalnie posiadanie broni! Reszta zaczeka w autobusie. Safonow, zaprowadź ich. Pozostali zajmują swoje pozycje. I tak straciliśmy kupę czasu, wasza mać. Uwaga, pełna gotowość! Safonow, znajdź pasującą kamizelkę i daj naszemu pomocnikowi. A jednego żołnierza odeślij do autobusu, niech przypilnuje tych cholernych mścicieli.

Tym mocnym akcentem Walery Fiodorowicz zakończył naradę i pewnym krokiem ruszył w stronę willi.

- Że też się na to zgodziłem... - burczał jeszcze. - Jak coś się panu stanie, to mnie żywcem zjedzą, że dopuściłem cywila do operacji!

Michaił Leonidowicz taktownie milczał.

- No cóż, Alona, zaraz się zacznie - powiedziałem. - Na wszelki wypadek trzymaj kciuki.

- Wielkie dzięki - odparła chłodno. - Ale z tymi waszymi zabobonami to nie do mnie.

- Przynajmniej się pomódl - poradziłem.

Nie odpowiedziała.

Nie wiem, czym kierowali się komandosi, wybierając chwilę rozpoczęcia szturm, ale mnie zaskoczyli. Jeszcze przed chwilą panował spokój, a teraz nagle od drzew odkleiło się kilkanaście cieni. Krótkimi skokami dotarli do ogrodzenia, jeszcze chwila i już kilku siedziało na nim. Nawet nie zauważyłem, kiedy się tam

dostali! Proszę, jacy szybcy, jak tak dalej pójdzie, to przegapimy najciekawsze momenty!

Pociągnąłem skrzydlatą za rękę.

- Chodź! - zawołałem i, nie czekając na odpowiedź, zsunąłem się po pniu, poszedłem w stronę domu.

Alona, klnąc pod nosem, schodziła szybko z drzewa. Wkrótce mnie dogoniła.

- Nie za wcześnie idziemy? - spytała, otrzepując ubranie.

- Nie sądzę. Zobacz, jak oni grzeją.

W tym momencie dotarliśmy do głównej bramy. Furtka była otwarta, przechodzili właśnie przez nią Michaił Leonidowicz i major. Ponieważ w tej chwili brama mogła być zbyt uważnie obserwowana, przeniknęliśmy po prostu przez ogrodzenie. Rozejrzałem się; wszędzie panował spokój, jakby minutę temu wcale nie wchodził tu pluton specjalny. No, gdzie się wszyscy podziali? Aha, zdaje się, że skrzypnęły drzwi.

- Tam. - Machnąłem ręką w stronę domu. - To, co najciekawsze, wydarzy się właśnie tam.

Alona chwyciła mnie za rękę, nim zdążyłem się ruszyć.

- Chodźmy do Aloszy. Może potrzebować pomocy.

- Jakiej pomocy?! - oburzyłem się. - Zobacz, jak oni działają! Żaden bandyta nawet nie zdąży się obudzić, od razu wszystkich zwiążą... Jak myślisz, kiedy jeszcze będę miał okazję zobaczyć akcję takiej jednostki? Przecież od nich można się sporo nauczyć!

- Podobno nie lubisz przemocy?!



- Nie lubię. Ale na wypadek, gdyby kiedyś ktoś chciał użyć jej wobec mnie, powinienem poznać możliwości obrony.

- Idziemy do Aloszy! - oznajmiła kategorycznie Alona. - Gwiżdżę na to, czego się tu możesz nauczyć! A jeśli jednak ktoś się obudzi? Może chcesz powtórki tego, co się stało z ojcem Fiodorem?

Otworzyłem usta, żeby coś powiedzieć... i zamknąłem je. Drugi raz popełnić ten sam błąd? O nie! Wtedy mógłbym od razu zapomnieć o wszystkich swoich planach. Ale trzeba przyznać, że Alona dojrzeła w oczach...

Westchnąłem.

- Dobrze, chodźmy do tego twojego Aloszy.

Chłopiec nie spał, nadal siedział na łóżku z kolanami pod brodą i wpatrywał się w coś niewidzącym wzrokiem. Po jego policzkach płynęły łzy. Patrząc na niego, poczułem litość. W końcu jestem diabłem, a nie człowiekiem i mogę współczuć wszystkiemu, co żyje. To tylko ludzie potrafią być tacy bezduszni.

Zrobiłem krok w stronę chłopca, ale Alona złapała mnie za rękę.

- Nie, teraz moja kolej.

Skoro tak chce... Przecież nie będę się kłócił. Posłusznie stanąłem z boku. Dziewczyna wyszła do przodu, zrzucając iluzję. Płynące od niej lśnienie oświetliło cały pokój. Alosza drgnął, popatrzył na jasną postać i uśmiechnął się przez łzy.

- Czekałem na ciebie - szepnął. - Myślałem, że już nie przyjdiesz.

Podeszła do niego i usiadła obok. Objęła go, a chłopak przytulił się do niej z ufnością.

- Czy ja umrę? - zapytał.

- Nie. Jeszcze nie czas na ciebie. Musisz żyć i zaopiekować się ojcem.

Alosza drgnął i odsunął się.

- Co z moim ojcem?

- Bardzo się o ciebie martwił i serce nie wytrzymało. Jest teraz w szpitalu, w ciężkim stanie.

Chłopiec zbladł.

- On...

- Chcesz wiedzieć, czy umrze? Nie. Dla niego również nie nadszedł jeszcze czas. Nie odejdzie z tego świata, jeśli ty go nie zostawisz.

- Ja?...

Alona wstała, ujęła rękę chłopca i skłoniła go, żeby stanął naprzeciwko niej.

- Właśnie ty. Możesz odepchnąć tatę, nie pozwalając mu tym samym na naprawienie błędów i wymazanie winy. Po czymś takim po prostu nie będzie miał po co żyć. Ale jeśli dasz mu choć jedną szansę... choćby jedną...

Młody Nienaszew spuścił głowę.

- Znow będzie pił i bił mnie. Jak mamę.

- Czekasz na jakąś odpowiedź? - Alona popatrzyła badawczo w jego oczy. - Nie znam jej. Musisz zdecydować. Teraz możesz albo zemścić się na ojcu, albo wybaczyć mu. A na razie przygotuj się, twoi przyjaciele o tobie nie zapomnieli.

- Moi przyjaciele? - Alosza popatrzył wstrząśnięty na

anielicę. - Przecież ja nie mam przyjaciół!

- Czyżby? Jeden z nich oddał za ciebie życie. A jego przyjaciele są teraz twoimi. Właśnie idą ci z pomocą. Więc trzymaj się, mały. Wszystko, co najgorsze masz już za sobą. Jesteś zuch, zdołałeś zrobić to, co najważniejsze.

- Ale co ja takiego zrobiłem? - Popatrzył zdumiony na Alonę. - Ja tylko wpakowałem się w kłopoty. Przeze mnie zginął człowiek, teraz ratują mnie obcy ludzie... Nic dobrego nie zrobiłem.

- Tak sądzisz? - Dziewczyna uśmiechnęła się. No proszę, niektórzy naprawdę potrafią się uśmiechać! Muszę koniecznie potrenować i też się tak nauczyć... - Mały, zdołałeś zrobić rzecz najważniejszą: pozostałeś człowiekiem, a to bardzo trudne. W życiu można osiągnąć różne rzeczy, dojść do sławy, bogactwa, mieć wszelkie powodzenie, ale najtrudniej być po prostu człowiekiem.

- Człowiekiem?

- Tak, człowiekiem. Nie zdradziłeś przyjaciół. Nie odrzuciłeś ich. Wytrzymałeś najcięższą próbę. Teraz będzie ci już tylko łatwiej. Wierz mi. I niech zostanie przy tobie moje błogosławieństwo.

- Ty... ty wiesz...

- Wiem bardzo wiele. Jestem tu dlatego, że zdołałeś przewyciężyć pokusę. - Alona zaczęła nasłuchiwać. - A teraz przygotuj się, idą twoi wybawcy. Ja już się z tobą żegnam. Bądź szczęśliwy, mały. Pamiętaj o ojcu.

Alona uniosła rękę w pożegnalnym salucie i rozplynęła się w powietrzu.

Alosza nadal stał obok łóżka, patrząc na miejsce, w którym jeszcze przed chwilą stała anielica. Uśmiechał się, wycierając wierzchem dłoni nieproszone łzy. I ciągle tak stał, gdy rozległo się pierwsze uderzenie, potem kolejne, wreszcie, nie wytrzymując naporu, drzwi spadły z zawiasów. Pierwszy wbiegł do pokoju Michaił Leonidowicz, rozejrzał się i przyskoczył do chłopca, który odwrócił się do niego.

- Dzień dobry, wujku Misza. Czekałem na pana. Ona powiedziała, że pan przyjdzie i mnie uratuje.

Małow szybko pochylił się i objął chłopca.

- Oczywiście, że przyszedliśmy. Myślałeś, że cię zostawimy? My nigdy nie porzucamy przyjaciół, zapamiętaj to, mały.

- Czyli tu też miała rację - szepnął Alosza. - Bo przecież jest pan moim przyjacielem?

- Oczywiście! Chyba w to nie wątpieś? Ale jaka ona? - Michaił Leonidowicz przykleknął przed chłopcem i oglądał go uważnie, jakby się bał, że jest ranny.

- Anioł - powiedział chłopiec, przytulając się do mężczyzny.

Michaił Leonidowicz ściągnął brwi, pokręcił głową i szybko wstał, biorąc więźnia na ręce.

- Chodźmy stąd, mały.

- Chodźmy, wujku Misza.

Major wyszedł z pokoju, mijając śledczego, który z pewnym zainteresowaniem obserwował ich od drzwi. Swiridow uśmiechnął się, obejrzał na wszelki wypadek pokój i poszedł za nim. Ja i Alona podążyliśmy za nimi.

W holu już działali komandosi w maskach. Na podłodze twarzą do ziemi, z rękami na karku leżeli ochroniarze. Michaił Leonidowicz nie zwrócił na nich uwagi, ale idący za nim major obrzucił wszystkich uważnym spojrzeniem.

- Gdzie gospodarz? - zapytał. - Jeszcze nie znaleźliście?

Jeden z komandosów wskazał na górę.

- Powinien tam być, zaraz go zrzucą.

Jednak nie udało się „zrzucić”, a raczej udało się, ale gospodarzowi. Rozległ się łoskot, jeden z żołnierzy zeskoczył i od razu zanurkował do kryjówki, machnął wszystkim ręką, żeby się schowali.

W jednej chwili znalazłem się na górze. Rozejrzałem się i od razu wszystko zrozumiałem. Paweł Konstantinowicz nie był taki głupi, jakimś szóstym zmysłem wyczuł niebezpieczeństwo i zdażył się przygotować. Gdy dwóch funkcjonariuszy wpadło do pokoju, licząc, że zastaną go śpiącego, czekał na nich w pełnym uzbrojeniu. Naboje z jego pistoletu nie mogły przebić kamizelki, więc szef strzelił napastnikowi w rękę. Kula trafiła chyba w kość i żołnierz stracił przytomność z bólu, ale żył. Drugiego komandosa Paweł Konstantinowicz kopnięciem wyrzucił za drzwi i chyba chciał mu strzelić w głowę, jednak tamten zareagował błyskawicznie - uchylił się przed strzałem, ale przy tym musiał sturlać się po schodach. Nie czekając na dalsze strzały i rozumiejąc, że nie pomoże swojemu rannemu towarzyszowi, zeskoczył na dół. Komandosi zareagowali od razu, ale nie zobaczyli

przeciwnika. Paweł Konstantinowicz był już bowiem na parterze - zbiegł po schodach ukrytych w gabinecie. Przezorny typ, pomyślałem z podziwem, wszystko przewidział. Teraz obserwował sytuację przez umieszczone w ścianie lustro weneckie. Nikt z przebywających w pokoju nie miał o tym pojęcia. Niemal wszyscy rzucili się na górę, a ci, którzy zostali, wyciągnęli pomocników i ochroniarzy mafiosa na zewnątrz. Został tylko major, Michaił Leonidowicz i Alosza, który stał teraz obok zwiadowcy i mocno trzymał go za rękę.

Zszedłem na dół i wskazałem Alonie lustro. Dziewczyna zmrużyła oczy, przyglądając mu się uważnie.

- Ale spryciarz - mruknęła.

- Geniusz - powiedziałem z zachwytem. - Przygotowałem się na każdą ewentualność. Nie zdziwiłbym się, gdyby w domu było jeszcze podziemne przejście.

Popatrzyła na mnie podejrzliwie.

- Zdaje się, że on ci imponuje?

- Byłoby grzechem nie podziwiać inteligentnego przeciwnika.

- Żeby diabeł mówił o grzechu... - burknęła.

Tylko my wiedzieliśmy, gdzie jest przywódca lokalnej mafii i tylko my widzieliśmy, jak wycelował... przyjrzałem się... do Aloszy?! Ciekawe. Kiedy ten chłopiec zdążył mu tak zależeć za skórę? Że niby co, przez niego wpadłem, to teraz się na nim zemszczę? Cholera wie, czym kierował się ten typ, mierząc nie do uzbrojonych mężczyzn, lecz do bezbronnego dziecka.

Stojąca za mną Alona krzyknęła i skoczyła do przodu, zasłaniając sobą chłopca.

- Wariatko! - wrzasnąłem. - Przecież on jest bezduszny!!!

Anielica była bardzo blada, ale nie miała zamiaru schodzić z linii strzału. Podbiegłem do niej i odepchnąłem ją na bok. Musiałem, niestety, zrzucić iluzję - w przeciwnym razie kule przeszłyby przeze mnie na wylot.

- A skąd się tu wziął ten dzieciak? - zawołał zdumiony major.

Mrugnąłem do niego.

- Przechodził obok...

Na zawsze pozostało zagadką, co chciał mi odpowiedzieć śledczy, w tym momencie huknęły strzały. Usłyszałem brzęk tłuczonego szkła i poczułem mocne uderzenie w ramię, a potem w okolicy serca. O kurde, ale ból... Nigdy bym nie pomyślał, że to aż tak boli... Zachwiałem się; przez rozbite lustro już wyskakiwał Paweł Konstantinowicz. Wyskoczył i zastygł, wpatrując się we mnie. A ja, nie mając zamiaru umierać, spokojnie stałem przed Aloszą i oglądałem dziurki po kulach w swojej koszuli. Ogólnie musiał to być niezły widok, skoro wszyscy patrzyli teraz właśnie na mnie. Włożyłem rękę za pazuchę i wysunąłem palce przez te otworki na wysokości serca. Popatrzyłem na osłupiałego gangstera.

- Ty draniu! - Pokręciłem głową. - Czy ty wiesz, ile zapłaciłem za ten ciuch?! I czegoś się na mnie uparł? Stoję sobie spokojnie, nikomu nie przeszkadzam, a ten

nagle strzela!

Przyglądająca mi się z boku Alona nagle parsknęła śmiechem. Rzuciłem jej urażone spojrzenie.

- Ciebie to śmieszy? A ja pieniądze na tę koszulę zarobiłem własnymi rękami! I teraz jakiś kretyn mi ją podziurawił!

- Zaszyję ci - obiecała. - Dziękuję, Ezergil.

- Nie ma za co - burknąłem.

Wtedy niespodziewanie ocknął się Paweł Konstantinowicz i znowu strzelił - znów do mnie! Tylko tym razem w głowę! Cholera!!! Niech go szlag!!! Stary capie, jeśli twoja dusza się tym razem sama nie rozwieje, to tyle drew podrzucę ci pod kocioł, że zapomnisz, z której strony łapie się za broń! Będiesz mnie na kolanach prosił o wybaczenie! Będiesz...

Nie zdążyłem pomyśleć, co on jeszcze będzie, bo włączył się major, który ocknął się z osłupienia niemal w tej samej chwili, co mafioso. Przewrócił go, a wtedy przybiegło dwóch ludzi. Nastąpiła krótka walka, a po chwili rozległ się bezsilny ryk przyduszonego do podłogi szefa.

- O, teraz to już się nie wywiniesz! - obiecał mu ze złością śledczy. - Żaden adwokat ci nie pomoże! Ale chciałbym wiedzieć, skąd tu się wzięły te dzieci... - Obejrzał się... i miałem okazję na własne oczy zobaczyć, jak komuś oczy wychodzą z orbit. Jemu niemal wyszły - bo ani mnie, ani Alony już nie zobaczył.

- Trzeba by mu wyjaśnić - zauważyła anielica, dotykając mojej ręki. - Bo jeszcze sobie pomyśli nie



wiadomo co.

- Myślisz, że gdy usłyszysz prawdę, poczuje się lepiej?

- Prawda jest zawsze najlepsza.

- To już jak zechcesz. Powiedz Aloszy, żeby poprosił majora i Michaiła Leonidowicza o pozostanie. No i żeby sprowadzili malarza. A także przyjaciół naszego dzielnego zwiadowcy.

Alona skinęła głową, podeszła do chłopca, pochyliła się do niego i coś mu zaszeptała na ucho. Alosza drgnął, przestraszony, i zaczął się rozglądać. Dziewczyna widocznie go uspokoiła, ponieważ znieruchomiał i zaczął słuchać. Potem skinął głową i coś powiedział.

- Co? - spytał Michaił, nachylając się do niego.

Było widać, że jeszcze nie otrząsnął się po tym, co zobaczył. Alosza zaczął mu coś szeptać, weteran słuchał z niedowierzaniem, w końcu pokręcił głową. Alosza tupnął gniewnie nogą.

- No przecież nie proszę o wiele! Niech mi pan uwierzy! Przecież wszystko pan widział!

Michaił znów pokręcił głową, ale teraz w tym geście więcej było niedowierzania, niż przeczenia. Podeszedł do majora i zaczął mu coś wyjaśniać. Ku mojemu zdumieniu, major zgodził się prawie od razu. Spojrzał tylko badawczo na młodego Nienaszewa i skinął głową.

- Obaj coś widzieliśmy - rzekł. - Tylko co? Albo wszyscy mieliśmy halucynacje, albo chłopiec wie coś, czego nie wiemy my. Myślę, że warto go posłuchać. Krzątanię powstałą po zakończeniu operacji oglądaliśmy z absolutną obojętnością.

- A nie skrzyczą nas? Przecież naruszyliśmy wolną

wolę ludzi - zapytała Alona.

- Trzeba było wcześniej o tym myśleć - burknąłem. -  
Zanim rzuciłaś się pod kule.

Wzruszyła ramionami.

- Wtedy było mi wszystko jedno.

Odwróciłem się do niej gwałtownie.

- To znaczy, że wiedziałaś?!

Uciekła spojrzeniem.

- Już w pierwszej klasie nam mówią, jakie niebezpieczeństwa grożą aniołowi na ziemi. Tylko bezdusznym mogą zabić skrzydlatego.

Pokręciłem głową.

- I ty... Wariatko! Przecież nie jesteś człowiekiem!  
Nie masz duszy! Ty... ty...

Alona stała odwrócona do mnie tyłem, ale wiedziałem, że płacze. Już nie miałem ochoty na nią krzyczeć. Po prostu podszedłem i objąłem ją. Staliśmy tak, a ludzie w willi nadal biegali. Dopiero nad ranem wszystko zaczęło się uspokajać, odjechał oddział komandosów i w willi zostali tylko eksperci oraz zwykli milicjanci w charakterze ochrony. Michaił Leonidowicz z chłopcem zostali odesłani na miejscowy posterunek milicji na nocleg - we wsi nie było przecież hotelu. Grigorij Iwanowicz, Władimir i Siemion już tam byli. Major Swiridow zjawił się dopiero o dziewiątej rano.

## Rozdział 5

W czasie, gdy nasza dzielna drużyna czekała na majora, ja i Alona nie zamieniliśmy ze sobą ani słowa. Po prostu siedzieliśmy obok siebie i milczeliśmy. Dziewczyna drżała. Przytulałem ją do siebie, czując, że ją to uspokaja. Zwariowana anieliczka... Żeby tak po prostu rzucić się pod kule?! Dobrze, że nie pozwoliłem jej zostać w tym domu i zabrałem razem z Aloszą i Michałem Leonidowiczem.

A jednak jest bardzo dzielna... Wprawdzie siedzi blada jak ściana i cała się trzęsie, ale jak ja bym się czuł, gdyby strzelał do mnie ktoś, kto może mnie zabić? Pewnie wlaźłbym w najciemniejsze krzaki i tam dygotał, pragnąc za wszelką cenę wrócić do piekła.

Nad ranem, już spokojniejsza, Alona zaczęła się ode mnie odsuwać.

- I co teraz będzie? - zapytała. - Przecież złamałam Prawo. Wygonią mnie, nie pozwolą być aniołem?

Roześmiałem się.

- Ciebie? Nie rozśmieszaj mnie. Jeśli ciebie wygonią, to nie wiem, kto tam u was w ogóle jest w stanie sprostać tak surowym wymogom. Absolutni święci?

- Mówię poważnie - powiedziała, uśmiechając się słabo.

- Ja również. Kto cię niby ma wygonić? Czy to twoja wina, że ten kretyn strzelał akurat tam, gdzie stałaś? Tak pechowo stanęłaś, co poradzić? Z kolei moim

obowiązkiem było ratowanie gapowatego anioła, i wtedy ten kretyń zaczął strzelać do mnie. - Potarłem bolące jeszcze czoło. - To jego wina, że ze wszystkich osób, przebywających w pokoju wybrał właśnie mnie w charakterze celu. Gdzie tu złamanie Prawa?

- Ezergilu, jesteś drobnym, nudnym cwaniakiem.

- Cwaniakiem owszem, ale dlaczego drobnym i nudnym?

Nie otrzymałem odpowiedzi, ponieważ w tym momencie drzwi gabinetu otworzyły się i na progu stanął długo oczekiwany Walerij Fiodorowicz Swiridow. Chciał coś powiedzieć, ale widząc śpiącego Aloszę gestem poprosił wszystkich, żeby wyszli na zewnątrz. Mężczyźni bez słowa opuścili pokój. Ponieważ jednak korytarz nie był dobrym miejscem na rozmowę, major po prostu zaprowadził całą grupę na podwórko komisariatu. Odszedł na bok i popatrzył pytająco.

- Chciałbym się dowiedzieć, co się tu dzieje?

- Ja też bym chciał - burknął Michaił Leonidowicz. - Alosza wspomniał, że chce mnie poznać z aniołem.

- Ciekawe, a z diabłem nie chciał was poznać? - zapytał z pewnym rozdrażnieniem major. Rozumiałem go, człowiek całą noc na nogach, nie spał nawet minuty, a tu takie szopki. Ale nie miałem zamiaru tolerować takiego stosunku do diabłów.

- Co się panu w diabłach nie podoba? - spytałem wojowniczo, wychodząc z za jego pleców.

Major odwrócił się na pięcie i otworzył szeroko oczy.

- Ty... byłeś w willi! - stwierdził.

- Byłem. - Skinąłem głową. - I co z tego?

- Przecież on cię trafił! Strzelał i trafił! Dostałeś w głowę! Sam widziałem!

Odruchowo potarłem czoło.

- Tak, prosto w głowę - potwierdziła Alona, również pojawiając się na scenie... ee, placyku. - Ezergil chyba nawet doznał wstrząsu mózgu. Jeśli oczywiście ma mózg.

Popatrzyłem na nią spode łba i uśmiechnąłem się. Skoro żartuje, to znaczy, że już doszła do siebie. Tylko obiekt kpin wybrała niezbyt udatnie...

- A kim ty jesteś? - spytał ponuro major.

- To anioł - powiedział Grigorij Iwanowicz, wpatrując się w Alonę jak zahipnotyzowany.

Proszę, zawsze to samo. Niby za co anioły spotyka taka cześć? Dlaczego nie okazuje się podobnego respektu diabłom?! Jeśli nawet ktoś się do nas zwraca, to tylko prosi o jakieś świństwo. Myślałby kto, że potrafimy popełniać łotrostwa lepiej niż ludzie.

Wszyscy spojrzeli na malarza - głównie ze współczuciem. Niektórzy nawet sugerowali, żeby wezwać lekarza. Westchnąłem ciężko. Wiedziałem, że nikt tutaj niczego nie zrozumie. Ludzie, choćby zobaczyli cud na własne oczy, i tak przejdą obojętnie, znajdując jakieś logiczne, z ich punktu widzenia, wytłumaczenie. A niektórzy nie będą nawet próbowali szukać wytłumaczenia. Alona chyba doszła do tego samego wniosku, bo popatrzyła na zgromadzonych ze smutkiem.

- Tak - przyznała. - Ludziom brakuje wiary... Nawet

nie w Boga, lecz po prostu wiary. Wiary w coś dobrego. Każdy żyje swoim małym życiem, nie chcąc się zagłębiać w nic poza tym... Chyba, że jest to spowodowane bezwzględną służbową koniecznością... - Spojrzała na Swiridowa. - Albo spełniając prośbę zmarłego przyjaciela. - Spojrzenie w stronę Michaiła Leonidowicza. Ten zaczął się tłumaczyć, lecz dziewczyna podniosła rękę, prosząc o ciszę. - Wiem, że nawet bez tej prośby poszedłby pan ratować chłopca. Ale czy wtedy robiłby pan to z takim żarem? Niech pan odpowie, nie mnie, lecz sobie...

Major spuścił oczy.

- Teraz tak - burknął ponuro.

- Teraz tak. - Alona skinęła głową. - A pańscy przyjaciele? Czy szli ratować dziecko, czy może podążali za panem, jak za dawnym dowódcą, przyjacielem? - Spojrzała na Władimira i Siemiona. Mężczyźni milczeli, ale to milczenie było bardzo wymowne.

- Ja wierzyłem - wtrącił się Grigorij Iwanowicz.

Alona podeszła do niego, położyła mu rękę na ramieniu i spojrzała w oczy.

- Wiem. Jest pan jedynym, który zrozumiał, że tutaj nie chodzi tylko o życie. Pan i ojciec Fiodor. On był prawdziwym człowiekiem i zdołał nauczyć tego także Aloszę. Żył na ziemi krócej, niż mógłby, ale zdążył zrobić bardzo wiele. Wielu ludziom podarował nadzieję, wielu uzmysłowił, jak powinna wyglądać prawdziwa wiara.

Stałem nieco z boku, obserwując scenę. Wszyscy o

mnie zapomnieli i nawet mi to odpowiadało. Diabeł zrobił swoje, diabeł może odejść... W świetle reflektorów stają anioły. No cóż, *c'est la vie*, jak mówią ludzie.

Jednak wtedy poczułem na sobie spojrzenie Grigorija Iwanowicza, a chwilę później patrzyli już na mnie wszyscy. Proszę, proszę, ledwie zdążyłem pomyśleć, że dobrze byłoby zostać w cieniu, a tu...

- A jaka jest jego rola? - spytał Rogożew. - Przecież jeśli on...

- Tak, jest diabłem - przyznała spokojnie Alona. - A jego rola... jest taka sama jak moja. Stanowimy pewną całość. Światło i ciemność, jin i jang. Robimy te same rzeczy, tylko jego zadanie jest znacznie trudniejsze niż moje.

- Ale... skoro on...

- Czy pan naprawdę wierzy w to, co mówią te dzieci?! - wybuchnął śledczy.

Michaił Leonidowicz popatrzył na niego w zadumie. Jego przyjaciele, Władimir i Siemion, patrzyli z kolei na swego dowódcę.

- Użył pan słowa „wiara”, zauważył pan? - spytała Alona. - Wszystko znowu sprowadza się do niej. Majorze, to pana sprawa, w co pan wierzy, my się nie narzucamy.

- Udowodnijcie! Jeśli jesteś aniołem, udowodnij to!

- A co uznałby pan za wystarczający dowód? - Skrzydlata przechyliła głowę na bok i spoglądała badawczo na Swiridowa. - Niech pan powie. Co?

Już chciał coś powiedzieć, otworzył usta, ale zamknął

je zaraz. Zastanowił się.

- Nie ma w panu wiary - ciągnęła Alona. - A jeśli nie może jej pan w sobie odnaleźć, to jakich chciałby pan dowodów? Nie, Walera, będzie pan musiał sam uwierzyć lub nie.

- Walera?

- Jestem od pana dużo starsza, mam prawo zwracać się w ten sposób.

- I znowu wszystko sprowadza się do wiary?

- To pańska sprawa. My po prostu uznaliśmy, że macie prawo wiedzieć. Chcieliśmy wam podziękować.

- Co za bzdury - burknął major.

- Przypomnimy panu te słowa - zrobiłem krok do przodu - za jakieś czterdzieści lat... Czy starczy panu śmiałości, żeby powtórzyć je... Tam? - Zrobiłem nieokreślony ruch ręką. - A teraz żegnajcie. My wykonaliśmy już swoją pracę, mam nadzieję, że i pan dokończy swoją i Paweł Konstantinowicz nie będzie już psuł ludziom krwi.

- Nie będzie - obiecał major. - Nigdy i nikomu. Ale chciałbym zadać wam kilka pytań, dzieci. Wydaje mi się, że cokolwiek za dużo wiecie o tej sprawie...

- Nie radzę, majorze. My, diabły, bardzo nie lubimy, gdy zadaje nam się niepotrzebne pytania. Może pan zasięgnąć w tej sprawie opinii Lońki... To ten gliniarz ze złamaną ręką. - Zerknąłem na Michaiła Leonidowicza. - Chyba że po spotkaniu z panem ma w gipsie coś jeszcze?

- Ja bym go całego zagipsował - burknął Michaił. - Ale ten drań okazał się strasznym tchórzem. Tylko na



początku trochę się stawiał, potem wszystko wyśpiewał.

Śledczy spojrzał na Michaiła Leonidowicza z lekkim rozdrażnieniem. Chyba już znał tę historię i wcale mu się ona nie podobała. Oczywiście Lońka był bydlakiem i zdrajcą, ale mimo wszystko był również milicjantem i napadając na niego, afgańscy weterani popełnili przestępstwo. Jednak z powodów czysto ludzkich major po prostu nie mógł postawić im zarzutu. Nawet mnie ciekawiło, czy uda mu się zatuszować udział dzielnych „cywilów” w akcji... Zresztą, jeśli błogosławieństwo anioła ma jakiegokolwiek znaczenie, wszyscy wyjdą z tej sytuacji „z tarczą”.

Alona cofnęła się o krok.

- Czas na nas. Do widzenia... Mam nadzieję, że do widzenia.

Nie wiem, czy zrozumieli znaczenie ostatnich słów... Ten, kto trafi do nas, nie może już przecież spotkać anioła. Niby drobiazg, ale jeśli obok nie ma niebiańskich skrzydeł, to nie ma też i wiary, nie ma nadziei. Spróbujcie kiedyś żyć bez wiary i nadziei... Spróbujcie.

Wycofałem się razem z Aloną. Tym razem nie robiliśmy sztuczki ze znikaniem, po prostu odwróciliśmy się i poszliśmy do wyjścia. Dziewczyna milczała ponuro, ja też się nie odzywałem. Rozumiałem, że rozmowa przebiegła nie tak, jak by tego chciała, nie tak, jak się spodziewała. Liczyła, że ludzie wyciągnęli wnioski z tego, co się stało. Pragnęła im pomóc i jeśli będzie trzeba, umocnić ich w wierze. A tu co? Kompletnie niezrozumienie. Oczywiście ludzie się

zmienili, ale nie aż tak, jak by się czasem mogło wydawać... Zerknąłem na anielicę. Spróbować ją pocieszyć? Wyjaśnić, że nigdy nie dzieje się tak, jak byśmy chcieli? Przecież w odróżnieniu od niej ja widziałem odwrotną stronę ludzi, tę złą. Widziałem, jak bardzo zmienili się ci, z którymi się zetknęliśmy. Patrząc od ciemnej strony ich osobowości, spodziewałem się znacznie skromniejszego rezultatu. Ale jak to wyjaśnić? Przecież dla niej bolesny jest już sam fakt, że nie wszyscy dookoła zmienili się na lepsze.

Uświadomiłem sobie, że tego nie dam rady wytłumaczyć. Zrozumienie przyjdzie później, wraz z wiekiem i zdobywanym doświadczeniem. Hm, myślałby kto, że jestem od niej starszy... No dobrze, ale w takim razie dlaczego ja rozumiem tę prawdę, a ona nie? W piekle dorasta się szybciej, przypomniałem sobie słowa wujka. Dokładnie tak...

- Dzieciaki! Poczekajcie! Poczekajcie!

Odwróciłem się zdumiony. Kto nas woła? Uszliśmy już spory kawałek drogi... O, rany! Były zwiadowca!

Michaił Leonidowicz podbiegł do nas i stanął, łapiąc oddech.

- Możemy porozmawiać?

Wymieniliśmy spojrzenia.

- Proszę - powiedziała ostrożnie Alona. - Tylko chodźmy stąd, niezręcznie tak tkwić na środku drogi, tamując przejście.

Michaił Leonidowicz skinął głową, stanął między nami, wziął nas pod ręce, a potem nagle się cofnął.

- Ee... mogę tak? - Był wyraźnie zbity z pantałyku i

nie bardzo wiedział, jak ma się zachować.

- Oczywiście - odparłem. - Nie gryziemy, słowo. To znaczy za nią nie mogę ręczyć, ale ja na pewno.

- Ezergil! - ryknęła Alona, rzucając mi gniewne spojrzenie zza szerokich pleców zwiadowcy.

Ten uśmiechnął się i rozluźnił, poczuł się nieco pewniej, i o to właśnie chodziło. A ja popatrzyłem niewinnie na dziewczynę i wyjaśniłem:

- Chciałem tylko powiedzieć, że przy mnie jeszcze nikogo nie ugryzłaś, jednak sama przyznasz, że nie mogę z całym przekonaniem twierdzić, iż nigdy tego nie robisz.

- Ach, ty! - Za plecami Michaiła Leonidowicza walnęła mnie pięścią pod łopatkę. - Cham!

- Oczywiście! - uśmiechnąłem się znowu. - A czego się spodziewałaś po kimś pozbawionym mózgu?

Zasapała gniewnie.

- Żartowałam!

- Ja też żartowałem.

- Umiesz się bronić - uśmiechnął się do mnie Michaił Leonidowicz.

- Pewnie, w końcu jestem diabłem, no nie?

Wtedy były zwiadowca sposepniał, jakby przypomniał sobie, że chciał pomówić o czymś ważnym.

- Tak... właśnie o tym chciałem z wami porozmawiać - zamilkł, a potem potrząsnął głową. - Byłem w zwiadzie, a tam uczą zwracać uwagę na drobiazgi. Zauważać i wyciągać wnioski. Na tyłach przeciwnika najdrobniejszy, pozornie nieistotny szczegół może

uratować życie. Myślałem, że znam się na ludziach, a jednak nie udało mi się zrozumieć, kim jesteście.

- Noo... - powiedziałem w zadumie. - Ktoś powiedział, że jesteśmy zielonymi ludzikami i przylecieliśmy z kosmosu. Może ten wariant będzie panu odpowiadał?

- W willi zjawileś się zniecka. Wszystkie kule trafiły w ciebie zamiast w Aloszkę. Gdyby nie ty, chłopak już by nie żył.

Machnąłem niedbale ręką.

- Czysty przypadek. Po prostu stałem sobie spokojnie, a ten idiota zaczął do mnie strzelać. Przy okazji, dlaczego chciał zabić małego?

- Postanowił się na koniec zemścić. Z jakiegoś powodu myślał, że to chłopiec go zrobił... przynajmniej tak rozumiałem Walerę.

Hm, może i tak. Pewnie nigdy nie poznamy prawdy. Jeśli to ostatnie wcielenie Pawła Konstantinowicza, to... No i dobrze. Chociaż... trochę też szkoda.

- Niech i tak będzie - powiedziałem. - Co się panu nie podoba?

- Dostałeś trzy razy - dwie kule w serce i jedną w głowę. A jednak żyjesz. Musisz przyznać, że to dość niezwykle.

- Ii tam... My, zielone ludziki, mamy wiele różnych niespodzianek. Różne tam pola siłowe, kombinezony ochronne...

- Załóżmy - przyznał Michaił Leonidowicz. - Ale obserwowałem cię. Kule sprawiły ci ból, widziałem to na twojej twarzy! Przecież weszły w twoje ciało.

Weszły, rozumiesz? A ty nie masz nawet draśnięcia!

- Za to mam podziurawioną koszulę. Przez miesiąc na nią oszczędzałem. Z kieszonkowego odkładałem! Ten wasz Paweł Konstantinowicz to jakiś psychopata! Co mu zrobiła moja koszula?

Michaił Leonidowicz przez kilka sekund przyglądał mi się bardzo uważnie, nawet przystanął. Dobrze, że nie na środku chodnika, tylko nieco z boku. Stałem naprzeciwko niego i spokojnie patrzyłem mu w oczy.

- Kolego, potrafisz bardzo zręcznie zmieniać temat. Tylko, że ja nie jestem taki głupi.

- Czyli nie tak znowu zręcznie - westchnąłem. - Nie rozumiem, czego pan chce. W to, że jestem diabłem pan nie wierzy, w to, że jestem zielonym ludzikiem również. No to czego by pan chciał? Proszę wobec tego wymyślić swoją wersję, a ja ją potwierdzę, specjalnie, żeby pana uspokoić.

- Chcę znać prawdę!

- A czym jest prawda, młody człowieku?

Odwrociłem się gwałtownie.

- Wujek! - zawołałem i rzuciłem mu się na szyję. - Jak się cieszę, że cię widzę!

- I ja się cieszę, Ezergilu. Obserwowałem twoje sukcesy na ziemi.

- Nie wiem czemu, ale tak mi się właśnie wydawało - burknąłem. - I w ogóle, mam ci bardzo wiele do powiedzenia. Ale to potem, jak już wrócimy do domu. Nazbierało mi się mnóstwo pytań.

Anioł roześmiał się i podrzucił mnie do góry.

- Zupełnie się nie zmieniłeś. A pani, lady, co powie? -

Nadal trzymając mnie na rękach, spojrzał na Alonę.

Anielica spuściła oczy.

- Ja też mam pytanie... Czy specjalnie wysłał mnie pan na ziemię, żebym pomogła pańskiemu bratankowi?

- Ach, więc o to chodzi. - Wujek postawił mnie na ziemi. - Powiedz, poznałaś go dobrze?

Alona zamrugała oczami i popatrzyła zdetonowana na wujka.

- W jakim sensie?

- No, czy wystarczająco poznałaś jego charakter?

- Chyba... Chyba tak. Przecież cały czas byliśmy razem.

- Jak sądzisz, czy gdybym faktycznie zrobił coś takiego wyłącznie po to, żeby mu pomóc, pozostałby potem moim przyjacielem?

Alona popatrzyła stropiona najpierw na mnie, potem na niego.

- W takim razie po co mnie pan wysłał?

- Zapytaj o to Ezergila. Mam wrażenie, że on się czegoś domyślił.

Zadarłem dumnie nos.

- Oczywiście, że się domyśliłem, jak tylko zobaczyłem twój podpis w jej dzienniczku letniej praktyki. Znów jakieś wasze rajskie intrygi?

- Chłopcze, jak ci nie wstyd!

- O, przepraszam, wujku. - Spuściłem głowę. - Zapomniałem, że u was w raju to nie są intrygi, tylko prace mające na celu zmianę linii rozwoju.

Spojrzał na mnie surowo, ale potem niespodziewanie odchylił głowę do tyłu i roześmiał się.

- Zawsze cię lubiłem za twoją bezpośredniość... Chociaż czasem jest ona zupełnie nie na miejscu. Dobrze, wydaje mi się, że oboje zasłużyliście na prawdę. Wasz towarzysz też pewnie chętnie posłucha. W ramach, że tak powiem, uświadomienia i resocjalizacji poglądów. Specjalnie dla niego zacznę swoją opowieść niemalże od Adama i Ewy...

Michaił Leonidowicz na widok wujka stropił się wyraźnie, a potem uważnie przysłuchiwał się naszej rozmowie. Z każdą chwilą jego twarz coraz bardziej wyciągała się ze zdziwienia. Aż mu zacząłem współczuć, tyle się na niego zważyło... A anioł zwrócił się do niego, jak gdyby nigdy nic:

- Proponuję jednak, żebyśmy porozmawiali w jakimś bardziej odpowiednim miejscu, gdzie nikt nie będzie przeszkadzał. Nie ma pan nic przeciwko?

Michaił Leonidowicz pokręcił głową, ale przypuszczam, że nie do końca zrozumiał, co właściwie znaczyło to pytanie.

- To świetnie. - Na krótką chwilę za plecami wujka pojawiły się skrzydła i wokół nas powstał niewielki huragan, który pochwycił całą naszą czwórkę. Lot nie trwał długo, już wkrótce znaleźliśmy się w jakimś pokoju z czterema fotelami. Na ścianie wisiał gobelin, za oknem widać było morze. Wszystko to oczywiście iluzja, ale wykonana diabło realistycznie. Muszę jakoś podejść wujka, żeby nauczył mnie materializować iluzje. Może mi się to kiedyś bardzo przydać...

Tymczasem wujek gestem zaprosił nas, żebyśmy usiedli w fotelach. Sam siadł na najbliższym. Michaił

Leonidowicz zapadł się w fotel całkowicie nieprzytomny - niespodziewana podróż była kroplą, która przepełniła czarę. Anioł lekko ściągnął brwi, patrząc na niego, a potem znów rozłożył skrzydła za plecami. Poczułem, jak przez pokój przeszła fala spokoju. Michaił Leonidowicz od razu ożył, wziął się w garść i znowu patrzył na nas znajomym wzrokiem: inteligentnym, uważnym i nieco twardym. Usatysfakcjonowany wujek skinął głową.

- A więc, jak już powiedziałem, specjalnie dla naszego gościa zacznę z innej beczki. Wam, moi drodzy, również dobrze zrobi, jeśli wysłuchacie tej historii. Wydarzyło się to już za waszego życia... Zacznę od reform Gorujana. Sto dziesięć lat temu naczelny władca piekła, Gorujan, rozpoczął słynne reformy, których celem było zakończenie odwiecznego stanu wojny między piekłem i rajem. Teraz już nikogo nie dziwi stwierdzenie, że anioły i diabły robią właściwie to samo, tylko z różnych stron. Jednak w tamtych czasach taki pogląd nie był, delikatnie mówiąc, zbyt popularny, chociaż wszyscy wiedzieli, że jest prawdziwy. Ale cóż począć, jesteśmy jedynie odbiciem ludzi i ich wyobrażenia o świecie, dlatego reformy stały się możliwe dopiero w chwili, gdy zmieniły się wyobrażenia ludzi, kiedy przestali palić na stosach heretyków. Nie ma pan na razie pytań, młody człowieku? - Wujek popatrzył uważnie na Michaiła Leonidowicza.

- Nie. Wolę najpierw wszystkiego wysłuchać, a dopiero potem zadawać pytania.



- Słusznie. Bardzo dobra zasada. W takim razie będę kontynuował. Reformy zostały zwieńczone sukcesem, jednak nawet po nich piekło i raj traktowały się z nieufnością. Ale i tu i tam byli tacy, którzy rozumieli, że w nowych warunkach zwykła tolerancja i zawieszenie broni to trochę za mało. Należało przejść na nowy poziom - współpracę. Jednak po obu stronach było zbyt dużo starej gwardii, która pamiętała jeszcze czasy inkwizycji oraz wojny diabłów i aniołów o dusze ludzi. Właśnie ta stara gwardia nie chciała nawet słyszeć o współpracy.

- A co my mamy z tym wspólnego? - zapytałem. - To znaczy, ja i Alona?

- Ty wpakowałeś się w tę sprawę jak zawsze z własnej inicjatywy i zupełnie przypadkiem - wyjaśnił wujek.

- Z własnej inicjatywy? - oburzyłem się. - A co, może zostawiłeś mi wybór?!

- Owszem, miałeś wybór. Mogłeś sam sobie znaleźć zadanie, nikt nie kazał ci zwlekać do ostatniej chwili... a już tym bardziej nikt ci nie kazał włóczyć się po korytarzach ministerstwa kar. Gdy opowiedziałeś o tej zbłąkanej duszy, z początku po prostu zrobiło mi się jej żal. Miałem jej sam pomóc, ale przypomniałem sobie o twojej praktyce i... Jednym słowem, doszedłem do wniosku, że nic nie stoi na przeszkodzie, żebyś pomógł tej duszy. W końcu to świetne zadanie, prawda?

- Wielkie dzięki - powiedziałem zjadliwie. - Nigdy tego nie zapomnę.

- Mogłeś odmówić - uśmiechnął się wujek.

- Jasne - burknąłem.

- Sam jesteś sobie winien, Ezergilu. Gdybyś nie odkładał załatwienia praktyki do ostatniej chwili, nie dostałbyś tego zadania.

- Wezmę to pod uwagę w przyszłości - obiecałem.

- Mogę kontynuować opowieść, skończyłeś już dyskusję?

Skinąłem ponuro głową.

- No i tak to było. A gdy opowiedziałeś mi o zakładzie twojego wychowawcy z dyrektorem szkoły, zrozumiałem, że rozwiązali mi ręce pod innym względem. Pomyślałem sobie, że skoro i tak wykonujesz tę pracę, to czemu by nie rozwiązać przy okazji innego zadania? Współpraca diabłów i aniołów w imię wspólnego celu! Wy, młodzi uczniowie, pasowaliście tu idealnie. Nie było was na świecie, gdy szalały ludzkie wojny religijne, więc nie mogliście wchłonąć tamtej nienawiści. Byliście maluchami, gdy w piekle wybuchł kryzys zrodzony reformami Gorujana i nie zostaliście skażeni podziałem, jaki panował w społeczeństwach obu światów. I wreszcie, dorastaliście ze świadomością, że diabły i anioły stanowią jedność w swoich różnicach i wykonują to samo zadanie. Kto, jeśli nie wy, mógłby udowodnić, że piekło i raj stać na coś więcej niż tylko tolerowanie się nawzajem? I wtedy postanowiłem posłać na ziemię również anioła, żeby on pomógł tobie i żebyś ty pomógł jemu. Byście w imię wspólnego celu połączyli swoje wysiłki.

- A gdybyśmy nie połączyli? - zapytała cicho Alona. - Gdybyśmy działali oddzielnie?

- Wówczas nie zdołalibyście osiągnąć celu. Oboje zawalilibyście zadanie i zostali na drugi rok. Tym samym udowodnilibyście, że diabły i anioły nie dorosły do prawdziwej współpracy.

- A co wtedy groziłoby tobie? - zapytałem.

Wujek chciał odwrócić wzrok, jednak szybko wziął się w garść i spojrzał na mnie.

- Pozbawiono by mnie skrzydeł.

- Co?! - zawołaliśmy chórem.

- Właśnie to. Postawiłem na ten projekt wszystko... Byłem bardzo aktywny na zebraniach rządu, robiłem ustalenia z rajem i z piekłem... Ten pomysł traktowano z dużą nieufnością, wiele osób zwyczajnie wien nie wierzyło, lecz ostatecznie postanowiono spróbować. Gdyby cała rzecz spaliła na panewce, oskarżono by mnie o nieumiejętność prognozowania, zaś sam projekt współpracy zostałby pogrzebany na bardzo długo. Myślę, że najwcześniej wypłynąłby za jakieś pięćset lat. Tylko że wtedy mogłoby się okazać, iż jest za późno... Ziemia znajduje się teraz w stanie krytycznym, w chwiejnej równowadze między chaosem i dobrobytem, i to, na którą stronę przechyli się szala, zależy od wszystkich: od diabłów, aniołów i samych ludzi. Przede wszystkim od ludzi. Tylko wspólnym wysiłkiem możemy przekonać rodzaj ludzki, by uwierzył w siebie, w całe to dobro, które znajduje się w każdym człowieku.

- To znaczy... chcesz powiedzieć - zacząłem dziwnie schrypniętym głosem - że ode mnie i Alony zależały losy całego świata?

- Och, nie bierz na siebie zbyt wiele, Ezergilu. Jesteście jedynie pierwszymi jaskółkami, latarnią morską, na którą orientować się będą inni. Ale ogólnie można powiedzieć, że masz rację.

- Ale dlaczego wybrał pan mnie?! - zawołała Alona, która słuchała wujka z otwartymi ustami. - Jak mógł pan powierzyć tak ważną sprawę komuś takiemu?! Przecież nie jestem prymuską! Jestem zaledwie średniakiem... a szczerze mówiąc, jadę na trójkach. - Uśmiechnęła się ze smutkiem.

Wujek patrzył na nią promiennym wzrokiem. Znałem go wystarczająco dobrze, żeby wiedzieć - jest zachwycony tą dziewczyną. I trochę byłem o to zazdrosny. Ale tylko trochę.

- Alono, po co się tak zadręczać - powiedział. - Przecież jesteś znacznie lepsza od tych wszystkich znakomitych uczennic, które patrzyły na ciebie z góry! Bardzo starannie wybrałem kandydata, który miał się stać latarnią dla wszystkich tkwiących w przeszłości starców. Zrobiłaś wszystko bardzo dobrze! Potencjalnie jesteś najlepszym aniołem ze wszystkich, które znam! Znacznie lepszym od twoich piątkowych przyjaciółek.

- Ja?! - Patrzyła na niego niemal z przerażeniem. - Ale zawsze mówili mi, że jestem zbyt wybuchowa... zbyt niecierpliwa...

- Możliwe... - Wujek nadal uśmiechał się swoim najbardziej czarującym uśmiechem. - Ale jesteś szczerą w swoich uczuciach. Jesteś otwarta. Myślisz, że twoje przyjaciółki nie czują rozdrażnienia czy gniewu? Jednak one poszły niesłuszną drogą, wstydzą się tych uczuć,

które uważają za ciemne, niegodne prawdziwego anioła. Boją się je okazać, bo anioł powinien być łagodny i cierpliwy, bez względu na wszystko. Otóż, jako posiadacz skrzydeł zapewniam cię: to bzdura! Kompletna bzdura! Dla anioła znacznie ważniejsza... więcej nawet, najważniejsza! jest umiejętność bycia szczerym, a nie łagodnym obłudnikiem. Jeśli ci smutno, płacz. Jeśli jesteś zagniewana, złość się. Jeśli ci wesoło, śmieć się. Bądź sobą! Zawsze i w każdych okolicznościach. Nie chowaj się za fałszywymi uczuciami. To właśnie swoją szczerością wtedy mnie podbiłaś. Gdy się nudzisz, nie udajesz przykładowego aniołeczka, siedząc na lekcji dlatego, że tak wypada, lecz uciekasz z niej. Żadnego udawania! Rzadko spotyka się taką szczerość... Dlatego właśnie mówię, że jesteś potencjalnie najlepszym aniołem, jakiego znam. Najważniejsze: pozostań taka, jaka jesteś. Zdziorna, bojowa, wesoła i oczywiście, szczerą.

Alona siedziała czerwona jak rak, bojąc się podnieść wzrok. Chyba rzadko słyszała tyle pochwał naraz. A ja uśmiechałem się pod nosem. To, co mówił teraz wujek, ja zrozumiałem już dawno. Dziwne, jak bardzo ona sama siebie nie znała... Jednak nie mogłem powstrzymać się od drobnej złośliwości.

- Słusznie, słusznie. - Skinąłem wujkowi głową. - Jeśli nudzisz się na lekcji, jedyną słuszną rzeczą, jaką możesz zrobić, to uciec z niej. Tylko wtedy będziesz prawdziwym aniołem.

Wujek drgnął i przez jakiś czas przyglądał mi się w milczeniu, a potem zachichotał.

- Nie to miałem na myśli - rzekł, gdy już się uspokoił.  
- Nie należy brać tego tak dosłownie. Coś mi się zdaje, że teraz Alona będzie się bardziej przykładać do lekcji, skoro już wie, że wiedza bywa bardzo przydatna. - Spojrzał badawczo na podopieczną, a ona skinęła głową.

- Ale - powiedziała niepewnie - ja i tak myślę, że nie pasuję do takiego wielkiego przedsięwzięcia. Nie należało aż tak ryzykować, uzależniając ode mnie powodzenie tej sprawy.

- Czyżby? A co, okazało się, że nie mam racji?

- Nie, ale... Przecież kilka razy byłam o włos od poddania się! I na początku... gdyby nie Ezergil...

- To się nie liczy - stwierdził wujek. - Poza tym, przecież nie na darmo chciałem połączyć wasze wysiłki. Razem osiągnęliście cel znacznie szybciej, niż gdybyście działali oddzielnie, jeśli w ogóle zdołalibyście wtedy czegoś dokonać. Zdaje się, że rządzący w piekle i raju będą mieli się nad czym zastanawiać, studiując wasze raporty.

- Ojej! - Alona przycisnęła dłoń do ust i popatrzyła na mnie bezradnie. - Ja nie wiedziałam, jakie to wszystko ważne! Nie myślałam, że zajmują się tym tak wysoko postawione osoby! Co oni sobie o mnie pomyślą, wszystko popsułam! Boże, po takiej hańbie...

Ja i wujek popatrzyliśmy na siebie i parsknęliśmy śmiechem. Aniołowi aż łzy pociekły. Wyśmiał się, wstał i podszedł do dziewczyny. Przykucnął przed nią, wziął jej ręce w swoje.

- Moje dziecko, co ty opowiadasz! Powinnaś być

dumna! Wszystko zrobiłaś tak, jak należało! Wierz mi!  
Uwierz staremu, mądrymu aniołowi. Niewielu  
poradziłoby sobie lepiej od ciebie.

- Naprawdę? - Popatrzyła na niego niepewnie.

- Myślisz, że mógłbym skłamać?

Alona spieszyła się. Zarzucić aniołowi kłamstwo...  
karkołomna sprawa.

- Przepraszam - wymamrotała, jednak po chwili znów  
potrząsnęła głową. - Ale dlaczego ja?! I dlaczego  
Ezergil?! Nie można było wysłać kogoś bardziej  
doświadczonego?

- Ech, dziewczynko... Jeszcze nie rozumiałaś?  
Historię tworzą młodzi. Na scenę wchodzi nowe  
pokolenie. Właśnie wy będziecie tworzyć historię w  
tym tysiącleciu. Kto inny miał wskazać drogę nam,  
starej gwardii? Wytyczyć nowy kierunek, wejść na  
ścieżkę współpracy.

- Ale... ale co by się stało, gdybym nie zaczęła  
współdziałać z Ezergilem?

- Zaczęłabyś. Należysz do osób, dla których los  
bliźniego jest ważniejszy od wszelkich ambicji czy  
reguł. To również cecha prawdziwego anioła. W imię  
pomocy innym jesteś gotowa gwizdnąć na wszystkie  
zasady, pisane i niepisane prawa czy opinie. Znowu  
wrócę do twoich przyjaciółek, które proponujesz mi  
zamiast siebie. Powiedz, ile z nich zgodziłoby się  
współpracować z diabłem, nawet w imię pomocy?  
Przecież to prymuski! - Wujkowi udało się nadać temu  
słowu negatywny wydźwięk. Aż poczułem się urażony,  
w końcu też jestem prymusem! - I one świetnie

pamiętają lekcję o podstępności i podłości mieszkańców piekła.

Alona zmarszczyła brwi.

- Ja takiej lekcji na pewno nie pamiętam.

Wujek uśmiechnął się.

- Bo ją opuściłaś. Specjalnie sprawdziłem.

Dziewczyna znowu poczerwieniała, poruszyła się niespokojnie. Wujek wstał i pogładził ją po głowie.

- Zuch z ciebie.

Teraz zupełnie się speszyła, nawet wcisnęła się głębiej w fotel. A wujek wrócił na swoje miejsce i popatrzył na Michaiła Leonidowicza.

- No i co, młody człowieku, ma pan jakieś pytania?

- Nie jestem taki znowu młody - burknął Michaił. - Czterdziestka na karku.

- Proszę! - zachwycił się wujek. - Cóż, młody człowieku, gdy dożyje pan do mojej sześćsetki, wtedy porozmawiamy o pańskiej młodości lub starości. Nie miałem zamiaru pana obrazić, po prostu... Niech pan przyjmie jako fakt, że jest tutaj najmłodszy. Nawet mój bratanek, choć to jeszcze chłopiec, ma więcej doświadczenia życiowego niż pan. Chociaż... tu wszystko jest względne...

Weteran potrząsnął głową.

- Ciężko mi do tego przywyknąć. Całe życie uważałem, że piekło i niebo to bajki. Anioły, diabły... A nawet jeśli dopuścić ich istnienie, wyobrażałem je sobie inaczej... Jako coś... coś... innego. Trudno to wyjaśnić.

- Ależ dlaczego, wszystko zrozumiałem. - Wujek skinął głową. - Spodziewał się pan czegoś niezwykłego,



pięknego, a tu niemalże ziemia. Te same intrygi, wojny, walki...

Michaił Leonidowicz pokiwał głową.

- Tak, chyba mniej więcej o to chodzi.

- Nie będę panu tłumaczył, czym jest raj, a czym piekło, sam pan to kiedyś zrozumie. A co się tyczy wyobrażeń... Widzi pan, gdyby stworzył nas sam Bóg, pańskie wyobrażenia byłyby bliskie prawdy. Rzecz jednak w tym, że naszymi stwórcami jesteście wy, ludzie... to wasza wiara powołała nas do życia. Istniejemy dopóty, dopóki w nas wierzycie. A ponieważ właśnie wy jesteście naszymi stwórcami, nie możemy być lepsi od was. Za to możemy dorastać, podobnie jak wy dorastacie. To, że niebo i piekło zaczną współpracować, to również wasza zasługa. My pomagamy wam przejść waszą drogę, a wy pomagacie nam. Może pan potraktować to jako symbiozę.

- No dobrze... Założmy. Ale jaki jest wasz ostateczny cel? Przecież wszystko musi mieć swój cel...

- Cel? - Wujek zgarbił się. - Owszem, jest... Naszym celem jest pomóc wam zostać bogami...

- Co??? - Michaił Leonidowicz był w szoku.

- Tak. Czemu się pan dziwi? Przecież powiedziane jest, że On stworzył ludzi na swój obraz i podobieństwo. Nie tworzył zabawek, lecz pomocników. A taką władzę, jaką posiada w waszym rozumieniu Bóg, mogą otrzymać tylko ludzie tego godni. Ludzie o czystej duszy. Jesteście przyszłymi stwórcami. A Ziemia... Ziemia to jakby ciąg prób dla waszych dusz. Niektórzy, jak Paweł Konstantinowicz, gardzą własną duszą, mają

ją za nic. Zabijają w sobie Boga, z uporem i zdecydowaniem. To ich droga, wolny wybór. W końcu uda im się osiągnąć tyle, że ich dusza umrze. Rozwieje się w nieskończoności... Oczywiście, nie od razu, ludzki duch jest bardzo żywotny. Człowiek zawsze otrzymuje kilka szans. A my... my pomagamy. W raju pokazujemy, co można osiągnąć, wzmacniając w sobie Boga, zaś w piekle... myślę, że teraz już rozumie pan funkcję piekła. Ktoś musi wykonywać również taką pracę. Może pan uznać diabły za swego rodzaju sędziów waszego świata. Sędziów, którzy wydają wyrok i są jego wykonawcami.

Michaił Leonidowicz potrząsnął głową.

- Ale przecież Ezergil pomagał duszy, nie karał jej? A pan mówił, że istnieje podział... obowiązków.

- Zgadza się. Jednakowoż skoro przedstawiciele piekła i raju mają nauczyć się współpracować, powinni mieć również wspólny cel. Takim celem może być pomoc człowiekowi, którego spotkało nieszczęście, albo ukaranie jawnego łajdaka. Jednak problem polega na tym, że anioły... jakby to powiedzieć... są nieco konserwatywne. Bardzo trudno było im zrozumieć działania Alony i Ezergila, kiedy chcieli wyrządzić komuś krzywdę. Bo przecież kara, nawet dla prawdziwego złoczyńcy, to mimo wszystko krzywda.

- A jak w piekle zostanie odebrane to, że Ezergil pomagał? - zainteresował się Michaił Leonidowicz.

- Z całkowitym spokojem. Piekło jest w tym względzie znacznie bardziej demokratyczne. Wy, ludzie, słusznie mówicie: „w piekle demokracja, na

niebie królestwo". Diabłom jest tak właściwie obojętne, co Ezer Gil robił na ziemi. Najważniejsze, żeby nie łamał Prawa i osiągnął założony cel. Jeśli mu się udało, zostanie wysoko oceniony.

Michaił Leonidowicz zamyślił się.

- W życiu bym nie przypuszczał... - Pokręcił głową. I wtedy jakby doznał olśnienia, i zawołał: - Chwileczkę! Czyli wychodzi na to, że będę żył na ziemi niejeden raz?

- Mówiąc dokładnie, to pańskie piąte życie - wyznał wujek, którego zupełnie nie zdziwiła zmiana tematu.

- A dokąd... dokąd trafiała poprzednio moja dusza?

Wujek spochmurniał.

- Po co panu ta wiedza? Myśli pan, że będzie panu lżej?

- Myślę, że nie - odparł Michaił Leonidowicz po zastanowieniu. - Proszę mi tylko powiedzieć... co się stanie z wami. Chodzi mi o to, co się z wami stanie, gdy ludzie zostaną stwórcami, a ci niegodni rozwieją się w kosmosie?

- Odejdziemy. Nasza praca zostanie zakończona. Istniejemy dopóty, dopóki jesteście wam potrzebni. Prawdziwi stwórcy nie będą nas potrzebować.

- Po prostu znikniecie i już?

- I już. - Skinął głową wujek. - Rozumiem, do czego pan zmierza, ale my nie mamy duszy, jak wy. Nas nie stworzył Bóg, a wy jeszcze nie możecie dawać istotom dusz. Dla nas śmierć nie będzie przejściem w inny stan, ale prawdziwym końcem. Bezpowrotnie i ostatecznie.

- To znaczy, że jesteście śmiertelni?

- Tak. Żyjemy bardzo długo, znacznie dłużej od was, ale jesteśmy śmiertelni. Mało tego, można nas zabić.

- Widziałem przecież jak pański... bratanek został trzy razy trafiony z pistoletu i tylko potrząsnął głową.

No, żeby tak do ciebie strzelili trzy razy! Zobaczylibyśmy, jakbyś głową trząś! Znalazł się mądrała...

- Na ziemi rzeczywiście jesteśmy prawie nietykalni... ale jednak można nas zabić. Przy okazji, gdyby Paweł Konstantinowicz strzelił do Alony, to ona by zginęła. Widzi pan, dla aniołów w waszym świecie nie istnieją przeszkody i zakazy, ale wysłannika nieba jest w stanie zabić osobnik pozbawiony duszy. Taki, którego nazywacie bezdusznym, który wytrwale zabija w sobie Boga. A przecież takich jest niemało. Pamięta pan liczbę Bestii? To nie żarty.

- To znaczy, że gangster mógł ją zgładzić? - zapytał Michaił Leonidowicz i jakoś tak dziwnie spojrzął na dziewczynę.

- Mógłby i zrobiłby to - burknąłem. - To ona zasłoniła sobą Aloszę, a potem ja ją odepchnąłem. Mnie ten mafioso nie mógł nic zrobić, przecież i tak należy do nas.

Michaił Leonidowicz skinął głową, jakbym powiedział coś, co potwierdzało jego myśli.

Przestraszony wujek spojrzął na Alonę i pokręcił głową.

- I ona jeszcze wątpi, czy dokonałem słusznego wyboru...

Anielica nie odezwała się, ja również.

- A kto mógłby zabić ciebie? - zapytał mnie Michaił Leonidowicz.

- Mnie? Pański przyjaciel Fiodor.

- Diabłom jest łatwiej - uśmiechnął się krzywo były zwiadowca. - Takich ludzi jak Fiodor jest niewielu. I oni nie zabijają, jeśli nie zachodzi absolutna konieczność. Zwłaszcza kogoś, kto wygląda jak dziecko.

- Nie tylko wygląda - wtrącił szybko wujek. - Ezergil naprawdę jest jeszcze dzieckiem, w naszym rozumieniu...

- Właśnie - burknąłem. - A jeśli chodzi o to *łatwiej*... Spróbowałby pan mieć stale do czynienia z takimi ludźmi, jak ten Paweł Konstantinowicz. A na ziemi... To prawda, że na ziemi niełatwo nas zabić, ale za to u was jest wiele miejsc dla nas niedostępnych. Jesteśmy tu bardziej ograniczeni. Czyli wszystko jest sprawiedliwie.

Wujek wstał.

- Dobrze. Michaile, opowiedzieliśmy panu wiele rzeczy, o których w zasadzie nie powinien pan wiedzieć. Nie będę żądał, żeby dał mi pan słowo, że nie będzie pan o tym rozpowiadał. I tak pan nie będzie. Poza tym, nikt by panu nie uwierzył. Pan sam nie do końca został przekonany. Przecież cały czas uważa pan, że to, co się dzieje, to tylko czyjś kawał.

Nie czekając na odpowiedź majora, wujek machnął skrzydłami i po chwili znaleźliśmy się na tej ulicy, z której przedtem zostaliśmy zabrani. Ludzie mijali nas, nie zauważając. Wujek odwrócił się do byłego zwiadowcy.

- Do widzenia, Michaile Leonidowiczu. Myślę, że jeszcze się spotkamy.

Wyciągnął dłoń, Michaił Leonidowicz uścisnął ją mocno. Ja też zrobiłem krok do przodu i pożegnałem się. Alona również; jej rękę Michaił przytrzymał dłużej.

- Zdaje się, że jednak wam wierzę - powiedział. - A ty naprawdę jesteś dzielną dziewczyną. Broniałaś innych, ryzykując własnym życiem, choć wiedziałaś, że potem... potem nie będzie już nic.

- Pan również ryzykował - zauważyła Alona. - Nie wierząc w piekło, raj i następne życie.

- Tak... Ale wiesz, mnie jednak było lżej. Nawet najbardziej niewierzący z nas w głębi duszy wierzy, że tam, poza granicą, mimo wszystko coś jest...

Alona zmarszczyła brwi, zastanawiając się nad jego słowami. A Michaił Leonidowicz puścił w końcu jej rękę, pomachał nam, a potem odwrócił się i poszedł. Dziewczyna ocknęła się z zamyślenia, pobiegła za nim.

- Misza!... Niech pan zaczeka. Ja tylko... chciałam panu powiedzieć, że my też wierzymy. Wie pan, każdy z nas... i diabeł, i anioł wierzy, że jeśli dobrze wykonuje swoją pracę, to Bóg... po śmierci... potem... no, generalnie wierzymy, że gdy umrzemy, to narodziemy się jako ludzie... że każdy z nas po śmierci stanie się człowiekiem.

Michaił Leonidowicz zamarł i patrzył na nią oszołomiony. Alona nie czekając na jego odpowiedź, odwróciła się i pobiegła do nas.

Wujek położył jej rękę na ramieniu.

- No i co, orły, wracamy do domu? Praca skończona?

Popatrzyliśmy z Aloną na siebie i uśmiechnęliśmy się.

- Tak. - Skinęliśmy głowami.

- A więc w drogę... - powiedział wujek i rozpostarł skrzydła...

**Część piąta**

**„Rozdanie słoników”**



## Rozdział 1

Staliśmy we trójkę na dworcu w pobliżu Pałacu Sprawiedliwości. Zerkąłem niespokojnie na wznoszącą się nieopodal budowlę. Dlaczego, wracając z ziemi, wszyscy - i diabły, i anioły - muszą znaleźć się właśnie tutaj? Niestety, była to jedna z podstawowych i niezmiennych zasad. Na ziemię można było wyruszyć zarówno z piekła, jak i z raju, ale wracało się wyłącznie tutaj. Wyobrażam sobie, jak musiały się czuć anioły i diabły sześćset lat temu, gdy szalały wojny religijne. Oto trwa walka między skrzydlatym a ogoniastym, ktoś wygrał, ktoś przegrał, ale obaj są źli - i nagle, wracając z ziemi, lądują w tym samym miejscu - obok Pałacu! A przecież nawet nie można tu powiedzieć, co się myśli o przeciwniku, bo od razu wraca jeszcze gorsze zmaterializowane przekleństwo. Nawet nie można sobie ulżyć złorzeczeniem... Jednym słowem, kicha.

Wujek wziął rzeczy Alony i poszedł na dworzec, w stronę pociągu. Jasne, a ja muszę sam dźwigać swoje bagaże... Zawsze to samo... Nie, nie ma sprawiedliwości na tym świecie...

Wujek podszedł do ławki i postawił na niej walizkę. Usiadłem obok.

- Jesteśmy na miejscu. Wybacz, Ezergilu, ale nie będę cię odprowadzał. Myślę, że sam trafisz.

A nie mówiłem, że nie ma sprawiedliwości?...

- Mam do załatwienia pewne niecierpiące zwłoki

sprawy. Ty i Alona możecie się teraz pożegnać - zakończył.

Alona niepewnie podeszła do mnie ze smutnym uśmiechem.

- Zdaje się, że nasza wspólna przygoda dobiegła końca... - zauważyła, spuszczaając głowę.

- Zdaje się, że tak - przyznałem. Dziwne... Zupełnie nie wiedziałem, co powiedzieć. Zwykle nie mam takich problemów, a teraz nie mogłem sklecić jednego zdania.

- Ale przecież możemy się jeszcze spotkać? - zapytała.

- Aha - przyznałem bez entuzjazmu.

Oboje rozumieliśmy, że ja jestem diabłem, a ona aniołem i między nami ziele przepaść. Gdy spotkamy się następnym razem, możemy mieć zupełnie różne zadania, kto wie? Wtedy zauważyłem, że wujek przygląda się nam z uśmiechem. Co on w tym widzi śmiesznego? Pewnie znowu coś knuje... Ciekawe, o czym teraz myśli... Dziewczyna, podążając za moim wzrokiem, drgnęła nagle.

- Panie Monterrey... - zaczęła niepewnie. - Mówił pan, że mogę zostać bardzo dobrym aniołem?

- Zgadza się - skinął głową wujek.

- A Ezergil? Czy on mógłby zostać aniołem?

Aż się zakrztusiłem. Ale propozycja! Wujek uśmiechnął się.

- Rozumiem, do czego zmierzasz. Czy mój bratanek mógłby być aniołem? Myślę, że tak i to całkiem niezłym, pod warunkiem, że zrezygnuje z części siebie. Ale czy zadowolili cię część Ezergila? Czy ci wystarczy?

- Ale... to co my mamy zrobić?!

My?! Też coś! A czy ktoś mnie spytał o zdanie, zainteresował się, czego ja chcę? Muszę im koniecznie przypomnieć, że też mam prawo głosu...

- Wujek ma bez wątpienia rację - zauważyłem. - Nie wiem zupełnie, co miałbym robić w raju. Po miesiącu zwariowałbym z nudów. Nie, to nie dla mnie... Jestem zadowolony z mojej obecnej sytuacji. Ale ty... Posłuchaj, z ciebie wyszedłby święty diabeł! Co ty na to? Pod moim kierownictwem...

Na twarzy Alony odmalowało się takie przerażenie, że zamilkłem. Wujek znów się uśmiechnął. Co go niby tak bawi?

- Tak, to jest problem - rzekł. - Zdaje się, że nie chcecie się rozstawać. Muszę przyznać, że tego się nie spodziewałem. Ale... W końcu jestem aniołem czy nie? Chciałbym zaproponować wam inną drogę. Ale uprzedzam, że jest bardzo trudna. Być może nie starczy wam sił, żeby nią pójść.

- Trudna, mówisz? - uśmiechnąłem się zjadliwie. Słowa wujka diabło przypominały wyzwanie. - No, no, więc co to za droga?

Alona zerknęła niepewnie na mój uśmiech i demonstracyjnie westchnęła, jakby chciała powiedzieć: niczego innego się po tobie nie spodziewałam. A przy tym patrzyła na wujka z nie mniejszą niecierpliwością niż ja. A on śmiał się już otwarcie.

- Droga jest trudna, jak każda droga, którą idzie się pierwszy raz. Wspominałem już, że wasze działania obserwowano równie uważnie i w piekle, i w raju.

Swoimi sukcesami udowodniliście, że diabły i anioły mogą współpracować w imię osiągnięcia wspólnego celu. Teraz pozostaje już tylko przekonać rządzących, że połączone drużyny diabłów i aniołów mogą istnieć, że będzie to z korzyścią dla rozwiązania wielu specyficznych zadań, z którymi jedna tylko strona nie może sobie poradzić. Jednak w piekle i raju bardzo żywe są stare przesady i uprzedzenia; nie zapominajcie, że rządzący dorastali w epoce wojen. I chociaż wasz przykład zachwiał ich przekonaniem, to jednak nie rozwiązał wszystkich wątpliwości. Jestem gotów wystąpić z inicjatywą utworzenia pierwszego połączonego oddziału, ale... czy jesteście przygotowani na taką odpowiedzialność? Będziecie musieli bardzo się starać, by przekonać wszystkich, że współpraca aniołów i diabłów może przynieść ogromne korzyści.

Ja już wszystko zrozumiałem.

- O, myślę, że zdołamy przekonać wszystkich o naszej pożyteczności.

Alona popatrzyła na mój uśmiech i westchnęła z udawanym współczuciem:

- Biedni rządzący, jeszcze nie wiedzą, z kim się związali...

Roześmieliśmy się wszyscy troje, jednak wujek szybko spoważniał.

- Żarty żartami, ale czy rozumiecie, co to znaczy przecierać szlaki, być pionierami? Co znaczy zmieniać świat? Czy zdajecie sobie sprawę, ilu będziecie mieć wrogów po obu stronach. Wielu nie spodoba się takie zbliżenie diabłów i aniołów? I jeśli anioły będą was

obserwować, rejestrując każdą waszą wpadkę, to diabły będą wam bardzo aktywnie przeszkadzać. Wasze sukcesy będą pomniejszane, a potknięcia wyolbrzymiane do granic absurdu. Jesteście gotowi na podobne wyzwanie?

Popatrzyliśmy na siebie z Aloną. Nawet nie zauważyłem, kiedy jej dłoń znalazła się w mojej. Nie odrywając oczu od dziewczyny, skinąłem głową.

- Tak - powiedziałem.

- Tak - powtórzyła jak echo.

Wujek pokręcił głową.

- Ech, młodość, młodość... Ja też w waszym wieku myślałem, że mogę zmienić świat... Jednak, o dziwo, wam może się to udać. Powodzenia, dzieciaki. Oczywiście, zawsze będę z wami i pomogę w miarę możliwości. Niech was błogosławi...

- No, no, no! - Odskoczyłem szybko. - Tylko bez tych waszych sztuczek!

- Ezergiliu, nie bądź taki przesądny. Po prostu chciałem wam życzyć powodzenia.

- Założmy, że już to zrobiłeś. O, jest mój pociąg! - Złapałem swoje torby. - Do widzenia, wujku! Do zobaczenia, Alka! Napiszę do ciebie, jak tylko skończy się to zamieszanie z zaliczeniem praktyki.

- Ja też do ciebie napiszę! - Alona machała mi ręką. - Tylko nie waz się mówić do mnie Alka!

Uśmiechnąłem się szelmowsko i zniknąłem w wagonie. Pociąg stał tu niedługo i już pięć minut później, nabierając prędkości, ruszył do piekła. A ja jeszcze przez jakiś czas stałem przy oknie, patrząc tam,

gdzie został wujek i anielica. Za oknem przesuwały się lasy i jeziora, ale ja ciągle miałem przed oczami peron i machającą mi na pożegnanie Alonę...

\*

Nareszcie w domu! Nawet nie zdawałem sobie sprawy, jak się za wszystkim tutaj stęskniłem! Zdawało mi się, że nawet powietrze jest czystsze niż gdzie indziej... Zresztą, możliwe, że wcale mi się nie zdawało. W końcu u nas nie ma tylu samochodów, co na ziemi. Może to i lepiej...

Szedłem do domu, dźwigając wszystkie swoje rzeczy, które wujek jakimś cudem zdołał dostarczyć do przedziału. Mógłby przecież odesłać je od razu do domu. Ale nie, muszę teraz targać ten cały nabój... Wchodząc na podwórko, zobaczyłem kilku kolegów z klasy, którzy powitali mnie współczującymi spojrzeniami.

- Ezergil, no i jak to tak? - zapytał Turon, podchodząc bliżej. Pozostali otoczyli mnie kołem.

- Co „jak to tak”? - zdumiałem się, stawiając bagaże na ziemi.

- Ta sprawa z Ksefonem - dodał Melissa. - Był tu niedawno, trąbił o swoim zwycięstwie i o tym, jak udało mu się ciebie oszukać.

- Aa, to... - Odetchnąłem z ulgą. Już myślałem, że pod moją nieobecność coś się stało w domu. - Bywa... - Zrobiłem smutną minę. - Pomyliłem się... ale co tam się tym przejmować, nieważne.

Wszyscy westchnęli ze współczuciem, w naszej

klasie mało kto lubił Ksefona.

- A to prawda, że chcesz się przenieść do raju? - wyrwał się znowu Melissa. - Ksefon mówił, że sprzedałeś się jakiejś anielicy.

- Wcale nie jakiejś! - wkurzyłem się od razu. - I wcale się nie sprzedałem! Ksefon jak zwykle nic nie rozumie!

- Aha... - zaśmiał się Werilij - więc anioł jednak był. Gadaj, Ezergil, ładna?

Zamknąłem oczy i przywołałem z pamięci twarz Alony.

- Ona jest... niezwykła - westchnąłem.

Wszyscy się roześmiali.

- Chyba się domyślam, dlaczego Ksefon wygrał - zauważył Turon. - Ten anioł na pewno ci przeszkadzał. A ty jako prawdziwy rycerz, nie mogłeś wygrać z damą.

Tym razem śmiech był jeszcze głośniejszy, ale serdeczny, dobroduszny.

- Ech... - westchnąłem tylko z rozmarzeniem.

- Zdaje się, że dla tego twojego anioła faktycznie warto było zostać na drugi rok - zauważył Werilij, klepiąc mnie po ramieniu.

Podniosłem z ziemi swoje bagaże i zarzuciłem na plecy.

- Jeszcze zobaczymy, kto zostanie na drugi rok... Dobrze, słuchajcie, czas na mnie. Pewnie rodzice nie mogą się mnie doczekać.

Nie zadawali więcej pytań, znali mnie i wiedzieli, że i tak nie odpowiem. Przeszedłem przez ogród i wszedłem na ganek. Drzwi były otwarte, więc nie musiałem

wyciągać kluczy.

- Cieszę się, że panicz wrócił, paniczu - usłyszałem głos naszego domowego.

- Ja też się cieszę, że cię wi... ee... słyszę, Nafania.

Otworzyłem drzwi, wszedłem do przedpokoju, jednak tu czekała niemiła niespodzianka w postaci brata.

- Aha! - zawołał zadowolony. - Jesteś! Zawaliłeś praktykę i teraz spokojnie wracasz do domu, co?! Nie wstyd ci?! Taki obciach! Ja nigdy nie zostawałem na drugi rok. W kogoś ty się wrodził, nieuku?!

- Spadaj - burknąłem. Przypomniałem sobie, że brat nie wiedział, jakie mam zadanie praktyczne, słyszał tylko, że chodziło o jakąś duszę i to wszystko. W takim razie sam jest sobie winien. Skoro nie interesuje się sprawami rodzzonego brata, niech sobie teraz gada, zobaczymy, jak będzie śpiewał, gdy przyniosę wyniki ze szkoły. - Na pewno nie w ciebie, geniuszu - dokończyłem.

- Jeszcze pyskujesz?!

- Zoreg, zostaw dziecko w spokoju. - Do przedpokoju wyszedł ojciec. Miał na sobie stary podkoszulek i podarte dresy, nawet się nie przebrał na przyjazd rodzzonego syna, a przecież nie było mnie aż dziesięć dni! - Nie widzisz, że chłopak zmęczony po podróży?

- Ale, tato, przecież ten nicpoń zawalił praktykę! Wstyd dla całej rodziny!

- Zawalił, i co z tego? - spytał niewinnie mój ojciec. Odwrócił się do mnie, i gdy Zoreg nie mógł już widzieć jego twarzy, mrugnął. Oczywiście! Ojciec na pewno



znał moje zadanie, znał też wynik. Wujek mu przekazał, co trzeba.

- Nic mu więcej nie powiesz? - oburzył się mój brat.

No cóż, rozumiem go. Rodzice zawsze stawiali mnie za przykład, to się teraz odgrywał, napawając się moją klęską. Skąd się biorą tacy bracia? Powinien wesprzeć młodszego, a tu nie, jeszcze by nogę podstawił. Czekaj, bratku... Ciekaw jestem, czy zostało mi jeszcze trochę sadzy...

Chyba Zoreg domyślił się, że coś knuję, bo zawołał:

- O, tato, spójrz tylko na niego! Znów jakieś draństwo wymyślił! Wcale nie czuje się winny!

- To nie dawaj mu powodów do robienia draństw - uciał ojciec. Podszedł do mnie i wziął mnie za łokieć. - Chodźmy do mojego gabinetu, tam mi o wszystkim opowiesz.

- Słusznie! Nakładź mu po uszach! - wyrwał się mój braciszek, opacznie odczytując słowa ojca.

Nie zareagowaliśmy na jego krzyki.

Jednak zanim ojciec wpuścił mnie do gabinetu, wpadła mama.

- Syneczku! - zawołała i rozplakała się, biegnąc do mnie. - Nareszcie wróciłeś z tej zepsutej i okrutnej ziemi! Jesteś cały? Nic cię nie boli? Ci źli, podstępni ludzie nic ci nie zrobili? - wykrzykiwała, jednocześnie oglądając mnie i szukając złamań albo siniaków.

- Cicho, kobieto! - huknął ojciec. - Syn wrócił z pierwszego samodzielnego zadania, można powiedzieć, że stał się mężczyzną, a ty... ty zachowujesz się jak kwoka!

- Sam bądź cicho! - odcięła się mama. - Znalazł się mężczyzna! Ile razy prosiłam cię, wielki mężczyzno, żebyś zrobił cieplarnię dla moich kwiatów? To niby nie jest męskie zadanie?! Póki sama się za to nie wzięłam, nie doczekałam się od ciebie pomocy! A wszystko...

Ojciec spieszył się.

- Dobrze, już dobrze. - Jego głos nie brzmiał już wojowniczo, raczej pojednawczo. - Widzisz przecież, że nic mu się nie stało, jest cały i zdrowy, więc czego jeszcze chcesz?

Stałem z boku i dłubałem noskiem kaptura w podłodze. Z doświadczenia wiedziałem, że takie spory mogą się ciągnąć w nieskończoność i najlepsze, co mogłem zrobić, to nie odzywać się; zwłaszcza, że obiektem kłótni byłem właśnie ja. Kiedyś zrobiłem ten błąd i się wtrąciłem, oberwałem wówczas od obu stron. Już lepiej postoję sobie z boku... A niech mnie! I to się nazywa wrócić w zacisze domowego ogniska! Na ziemi latałem całymi dniami jak z pieprzem, prawie bez chwili wytchnienia, wracam do domu, a tu też nie dadzą spokojnie odpocząć. Mama jest przekonana, że tylko ona wie, jak troszczyć się o dumę i chlubę rodziny, ojciec jest pewien, że on. Dosłownie rozkoszują się tymi kłótniami... A czy ktoś pomyślał, jak ja się czuję? Czy chociaż raz spytali tę dumę i chlubę, czego ona by chciała? Zresztą, nie ma sensu przejmować się takimi drobiazgami, łatwiej jest siedzieć cicho, a potem zrobić wszystko po swojemu. Szkoda nerwów...

Ojcu jednak udało się wyrwać mnie z rąk mamy i zaciągnąć do gabinetu. Posadził mnie w fotelu dla

czcigodnych gości, sam usiadł obok.

- Opowiadaj. Twój marnotrawny wuj oczywiście mówił mi coś o twoich przygodach, ale sam rozumiesz, że nie do końca mu wierzę. Czego można się spodziewać po diable, który przekwalifikował się na anioła?

Uprzejmie skinąłem głową, a potem zacząłem mówić.

- I ty... ty związałeś się z tym... tym aniołem?! - oburzył się ojciec. - Nie mogłeś obejść się bez niego?

- Bez niej, tato - poprawiłem.

- Tym gorzej! Nie dość, że anioł, to jeszcze kobieta! Gdybym ja był na miejscu władcy raju, nie pozwoliłbym kobiecie nawet zbliżyć się do skrzydeł!

- Może właśnie dlatego nie zostałeś do tej pory władcą raju - nie wytrzymałem.

Ojciec puścił moją uwagę mimo uszu i nadal tłumaczył, jaki błąd popełniłem, wiążąc się z aniołem. Grzecznie kiwałem głową - przecież nie będę się z nim kłócił.

Ojciec trochę ochłonął i poprosił, żebym opowiadał dalej. Za każdym razem, gdy wspominałem o Alonie, krzywił się. Jeśli mówiłem o jakichś jej potknięciach zadowolony klepał się po kolanie, wołając: „A nie mówiłem?! Ale czego się spodziewać po aniele!“. Jeśli zaś przeciwnie, chwaliłem Alonę, podkreślając jej pomoc, czasem niezastąpioną, ojciec tylko wyginał wargi w niechętnym grymasie.

- To już nie mogłeś sam pomyśleć! - burczał. - Już nie masz jej za co chwalić... I w ogóle, co ty ją tak wychwalasz? Zapamiętaj, nigdy nie wiąż się z aniołami!

Zrobiją ci wodę z mózgu... - Przerwał nagle, patrząc na mnie podejrzliwie. - Mam nadzieję, że nie namówiła cię, żebyś przeniósł się do aniołów?

- Nie, nie. - Pokręciłem głową. - Zresztą za nic bym nie poszedł.

- I dobrze.

- Ale proponowała.

- O! Proszę! A nie mówiłem?! Wszystkie anioły są podstępne i przebiegłe! Zależy im tylko na jednym: aby niewinne, niedoświadczone diabły wpadły w ich sieci!

- A ja zaproponowałem, żeby przeszła do diabłów.

- Ha! Założę się, że odmówiła!

- Tak. I dlatego zaprosiłem ją w gości.

- A nie mówiłem... Co?! Co zrobiłeś?! Zaprosiłeś anioła w gości?!

- Aha. - Skinąłem spokojnie głową, nie zwracając uwagi na reakcję taty.

- Matka! Czy ty to słyszysz?! - Zerwał się z fotela, otworzył na oścież drzwi gabinetu, wychylając się niemal do połowy. Mama, przestraszona krzykiem, wybiegła do przedpokoju. - Czy ty słyszałaś, co wymyślił nasz syn?! Zaprosił w gości anioła! Tośmy się doczekali! Jeszcze nie zdążyłem przywyknąć, że mój własny brat został skrzydlatym, a tu zdradza mnie mój własny syn!

- Ej... - obraziłem się. - Wcale nie chcę zostać aniołem! Przeciwnie, może dzięki temu uda mi się ją przekonać, żeby została diabłem.

Mama obrzuciła mnie długim spojrzeniem, chyba nie wierzyła, że z mojej strony to tylko fortel.

- Wiesz co, Ezergilu? Idź do przedszkola po siostrę.

- Ale mam, ja dopiero co wróciłem! Muszę odpocząć!

- Nic ci się nie stanie, jak się przelecisz. Poza tym myślę, że taki spacer jest przyjemniejszy niż słuchanie wrzasków twojego ojca.

- Ja nie wrzeszczę! Ja tylko daję wyraz swojemu oburzeniu! I niech tylko ta twoja anielica się tu zjawi! Już ją ugoszczę! Tak ją ugoszczę! - I wtedy ojciec przestał krzyczeć, za to dość spokojnie zapytał: - A właśnie, kiedy ona ma tu przyjechać?

- Umówiliśmy się, że najpierw zdamy praktykę. Musimy przecież przygotować sprawozdanie... Więc myślę, że za jakieś dwa tygodnie.

- Nawet dokładnie nie wie! Ha! - zawołał mój ojciec.

- Ale to nic, już ja was przyjmę! O, na długo zapamiętacie te odwiedziny! Anioł w moim domu?! Nigdy!!!

Czym prędzej wybiegłem z mieszkania. Faktycznie, lepiej się przejść, niż tego słuchać. Ojciec będzie jeszcze długo szalał. Hm, jeśli w drodze do przedszkola wstąpię do przyjaciela, zejdzie jeszcze trochę czasu... A potem pójdę z siostrą do parku na karuzelę... Tak, do chwili naszego powrotu wapniak powinien się już uspokoić. Może nie powinienem był walić go tą wiadomością jak obuchem? Może należało go przygotować?... Ale z drugiej strony, teraz ma więcej czasu, żeby pogodzić się z faktami...

\*

Przez kilka następnych dni nie działo się nic specjalnego, właściwie jeden dzień był podobny do drugiego... Z atrakcji: poszedłem do szkoły i zameldowałem dyrektorowi o zakończeniu praktyki. Ten powitał mnie zadowolonym uśmiechem i oznajmił, że Wikientij jeszcze niczego nie podejrzewa. Nie chciał nawet słuchać mojego ustnego raportu.

- Wszystko sobie przeczytam w sprawozdaniu. - Machnął ręką. - Ciekaw jestem, co ty tam nawymyślasz...

Zrozumiałem, że moje przygody na ziemi nie są dla niego tajemnicą. Bardzo dobrze... Mogłem mieć błogą pewność, że dyrektor będzie milczał, równie dobrze jak ja rozumiał, że pewnych... ee... szczegółów lepiej nie wywlekać na światło dzienne.

Wychodząc ze szkoły, wpadłem na Ksefona i od razu zrobiłem kwaśną minę, na co on odpowiedział szczęśliwym uśmiechem. A pewnie... „Dobry uczynek zrobiłem, sąsiadowi świnie podłożyłem”... Tak, to cały on...

Co zrobić, drobny bies zawsze będzie drobnym biesem... Przez minutę ze smętną miną słuchałem kpin Ksefona, a potem uciekłem, w przeciwnym razie wybuchnąłbym śmiechem przy nim. Nadęty bałwan!

Potem nie zjawiałem się już w szkole; jak donieśli mi przyjaciele, Ksefon niemalże tam nocował, czyhając na mnie. Proszę, proszę, do jakich poświęceń zdolni są niektórzy, żeby tylko napawać się cierpieniem innych... Cóż, będę musiał podziękować mu za te czuwania... przy okazji. A na razie muszę przygotować

sprawozdanie.

Przez trzy dni praktycznie nie wychodziłem z domu. Zamknięty w pokoju skrupulatnie opisywałem swoje przygody, przemyślenia i możliwe warianty rozwiązania postawionego problemu. Pisałem również, dlaczego wybrałem właśnie tę, a nie inną drogę. Jednocześnie nie mogłem dać się porwać natchnieniu, żeby nie naskrobać zbyt wiele. Zresztą, zawsze można wprowadzić poprawki, żeby do sprawozdania nie trafiło to, co nie powinno.

Od czasu do czasu do drzwi dobijał się Zoreg. Pewnie chciał się porozkoszować hańbą młodszego brata. Zabawny z niego diabeł...

Czwartego dnia niewoli przyjechał do nas wujek. O jego wizycie dowiedziałem się, słysząc ryk ojca:

- Znów tego aniołka tutaj przyniosło?! Znowu będzie próbował sprowadzić niewinne diabły na złą drogę?! Co, chciałeś mojego syna przerobić na skrzydlatego?! Nic z tego nie będzie!

Czym prędzej otworzyłem drzwi i dzięki temu usłyszałem drwiącą odpowiedź wujka:

- Ezergila na anioła? Żeby mi cały raj wyrócił do góry nogami? Nigdy! Poza tym nie sądzę, żeby chciał pracować u nas.

- Wcale nie chcę - zapewniłem, wychodząc z pokoju.  
- Jak tam Alona?

Ojciec wydał z siebie gniewny ryk i popatrzył na mnie oburzony. Wujek uśmiechnął się.

- W porządku. Co prawda nie widziałem jej od dwóch dni, pisze sprawozdanie. Podejrzewam, że ty również?

Westchnąłem.

- Ech... Niedługo dostanę odcisków. Muszę sobie sprawić komputer, taki, jak mają ludzie.

Ojciec spojrzał na mnie z jeszcze większą wściekłością.

- Nie wspominaj nawet o tych nowomodnych zabawkach! Przez tysiące lat żyliśmy bez ludzkich rzeczy i jeszcze nie tyle przeżyjemy! Co ci się nie podoba w piórze-samopisie? Dyktujesz mu, a ono pisze! Lepsze niż te twoje... putery.

- Co mi się nie podoba? - oburzyłem się. - Wszystko by mi się podobało, gdyby to twoje pióro umiało pisać! W trzyliterowym słowie robi cztery byki! Trzeba mieć nie lada zdolności, żeby w słowie „rozwiązanie” napisać wszędzie „j”!

Wujek zachichotał.

- Goszter, na twoim miejscu posłuchałbym syna. To my, starzy, lubimy żyć po staremu, a młodych ciągnie postęp.

Ojciec pomruczał coś niepochlebnego o aniołach lubiących dawać niepotrzebne rady, ale Monterrey tylko się uśmiechnął.

- Czy ci się to podoba czy nie, będziesz musiał ustąpić synowi albo wiecznie będziesz go miał pod swoją opieką. Młodzi muszą popełniać własne błędy. Kiedyś my też byliśmy przekonani, że postęp zmieni ludzi na lepsze...

Ech, chciałbym posłuchać, co oni tam we dwójkę niegdyś planowali, ale nawet nie ma co prosić i tak nie powiedzą. Nie, to nie, bez łaski.



- Wujku - odezwałem się, chcąc zwrócić na siebie uwagę. - Przyszedłeś do mnie?

- W zasadzie tak. Przyniosłem ci oficjalne zaproszenie od starszyny rajy, chodzi o to, o czym już rozmawialiśmy. Wysunąłem konkretną propozycję.

Poczułem, że zaschło mi w gardle. Stanać przed starszyną? Przed tymi, którzy decydują o polityce? Koszmar! Tak, ale jeśli chcę, żeby moje marzenia nie pozostały tylko marzeniami, nie mogę teraz stchórzyć. Czym prędzej wziąłem się w garść, żeby nie okazać zdenerwowania.

- Dobrze. Przyjmuję ich zaproszenie. Niech im to wujek przekaze.

Chrząknął, popatrzył na mnie zakłopotany, a potem roześmiał się.

- No nie, on przyjmuje zaproszenie! Ezergilu, daleko zajdziesz!

- Wiem - odparłem bez cienia wątpliwości.

Ojciec popatrzył na mnie z dumą i oburzeniem jednocześnie.

- Mój syn! - powiedział i zaraz huknął: - Ale co wy tam macie za sekrety?! Monterreyu, w jakiej sprawie dogadywałeś się ze swoją starszyną?

- Nic takiego. Chodziło o praktykę Ezergila. Przecież nie co dzień zdarza się, żeby diabeł pomagał ludziom. Dlatego mają pewne wątpliwości i pytania.

- Taak? - powiedział ojciec nieufnie. Widać było, że nie uwierzył bratu, ale nie miał się do czego przyczepić: wujek był aniołem, więc nie kłamał. Tato zerknął na mnie, ale zrobiłem niewinną minę. Ojciec prychnął, a

wujek podał mi zaproszenie.

- Proszę. To mówisz, że kiedy zdajesz praktykę?

Zerknąłem na wiszący na ścianie kalendarz.

- Za dwa dni.

- Doskonale. Czyli za tydzień po ciebie przyjadę. Goszter, mam nadzieję, że nie będziesz dziecku przeszkadzał?

Ojciec burknął coś pod nosem, a na głos powiedział:

- Ufam mojemu synowi i wiem, że nie zrobi żadnego głupstwa.

Wujek parsknął śmiechem. Zdaje się, że jego zdaniem już zrobiłem głupstwo. No cóż, zgadzałem się z nim w zupełności, że też musiałem zakochać się właśnie w aniele...

- Alona również została zaproszona? - zapytałem niewinnie.

Moja mina nie zmyliła wujka.

- Oczywiście! - odparł wesoło. - We dwójkę nawarzyliście piwa, teraz we dwójkę będziecie je pić.

Z tymi słowami, ku zadowoleniu mojego starego, poszedł do wyjścia. Ojciec demonstracyjnie wziął miotłę i zaczął starannie zamiatać za nim podłogę, jakby wujek zostawiał brudne ślady.

- Pomóc ci? - spytał anioł.

- Poradzę sobie - burknął ojciec. - Idź, idź...

Gdy za wujkiem zamknęły się drzwi, tato ze wstrętem rzucił miotłę w kąt i odwrócił się do mnie.

- Synu, i co ty na to?!

- Muszę dokończyć sprawozdanie - powiedziałem szybko. - Sam słyszałeś, że za dwa dni zdaję praktykę.

- Żebyś tak jeszcze miał co zdawać - wtrącił się mój brat, wychodząc z pokoju, gdzie ukrył się przed wujkiem. - Co za różnica, czy napiszesz sprawozdanie czy nie? Praktykę i tak oblałeś.

- Cicho bądź! - krzyknął ojciec, zadowolony, że wreszcie ma na kim odreagować niezbyt udaną rozmowę z bratem. - Zdrowy jak byk, a żadnej porządnej pracy nie umie znaleźć! Czym ty się niby zajmujesz?! Możesz nam opowiedzieć o swoich wielkich sukcesach?! To czemu atakujesz brata?!

Zoreg czym prędzej wycofał się do swojego pokoju, a ja, korzystając z nieuwagi ojca, również się zmyłem. W pokoju rozwinąłem zaproszenie i uważnie przeczytałem. Za tydzień... rada starszyny... Oczywiście jako diabeł mogłem spokojnie zignorować zarówno radę, jak i zaproszenie, jednak doskonale rozumiałem, że nie mogę tego zrobić. Chociaż trochę się bałem...

- Trudności są po to, żeby je pokonywać - powiedziałem do swojego odbicia w lustrze. - I żaden strach nie skłoni mnie do wycofania się. W przeciwnym razie... w przeciwnym razie nie nazywam się Ezergil! O!

Włożyłem zaproszenie do biurka i wróciłem do sprawozdania. Zostało mi już niewiele, ale musiałem się sprężyć. Wprawdzie praktykę zdawałem pojutrze, ale jutro rano musiałem zanieść raport do szkoły, żeby komisja mogła się z nim zapoznać.

Skończyłem dopiero pod wieczór. Przeczytałem swoją pracę po raz ostatni, starannie złożyłem kartki, podpisałem i położyłem na biurku. Teraz mogłem

wreszcie pójść spać. No cóż, Ksefonie, sprawozdanie gotowe, a pojutrze... pojutrze nastanie chwila prawdy.

## Rozdział 2

Następnego dnia wstałem bardzo wcześnie i poszedłem do dużego pokoju. Wszyscy jeszcze spali. Brat szedł dzisiaj na drugą zmianę, a rodzice mieli dzień wolny. Po cichu zjadłem śniadanie i, w biegu kończąc kanapkę, poszedłem do siebie, żeby wziąć teczkę.

Wyszedłem na ulicę i spojrzałem na wschodzące słońce, dopiero zaczynało wyłaniać się zza horyzontu. Szkoła była jeszcze zamknięta, ale na razie wcale się tam nie wybierałem. Wstałem tak wcześnie specjalnie po to, żeby popatrzeć na wschód słońca. Gdy musiałem podjąć ważną decyzję, która miała zaważyć na moim życiu, szedłem o wschodzie słońca nad rzekę. Właściwie nigdy przedtem nie musiałem podejmować aż tak ważnych decyzji. Owszem, miały swoje znaczenie, ale nie aż takie...

Szedłem pustymi o tej porze ulicami, dotarłem na parking moździerzy i wziąłem pierwszy z brzegu. Jeszcze jeden anachronizm... Czy na ziemi można zobaczyć teraz zwykły moździerz? A figę! Dlatego musimy korzystać z używanych. Na ziemi nie działają, a u nas mogą działać pod warunkiem, że zostały wykonane przez ludzi. Te miasta piekła, które działają na Bliskim Wschodzie mają łatwiej... Pełno tam dywanów, a z każdego można zrobić prosty latający kobierzec. A co my mamy zrobić? Kto to w ogóle wymyślił, żeby latać w moździerzach?!

Wszedłem do środka i przybrałem najwygodniejszą pozycję, jaką mogłem. Moździerz zaskrzypiał. Znieruchomiałem. Jeśli się teraz zepsuje... Zresztą, lepiej, żeby zepsuł się teraz, niż miałby się rozpaść w powietrzu. Poruszyłem miotłą, zmusiłem moździerz do uniesienia się. O matko kochana, jeszcze mi tylko kościanej nogi brakuje...

Narzekanie narzekaniem, ale musiałem przyznać, że mimo wszystko moździerz był wygodnym i stosunkowo szybkim środkiem transportu.

Doleciałem do rzeki, zostawiłem swój wehikuł w krzakach, a sam wyszedłem na brzeg i ulokowałem się na stromym zboczu. Póллеżąc, obserwowałem wschód słońca. Miałem sporo spraw do przemyślenia, jednak dźwięki natury działały tak uspokajająco, że nawet nie zauważyłem, kiedy pogrążyłem się w dziwnym półśnie: niby rejestrowałem, co się działo dookoła, ale umysł miałem wyłączony. Wokół mnie śpiewały ptaki zajęte swoimi sprawami. Niektóre zdobywały pożywienie dla piskląt, inne dopiero budowały gniazda... Obok mnie usiadła kawka. Przechyliła głowę na bok i przyglądała mi się przez chwilę. Patrzyłem na nią spod półprzymkniętych powiek. W końcu kawka doszła do wniosku, że nie jestem groźny, podleciała do mojej ręki i zaczęła coś szybko dziobać. Z tej pozycji nie mogłem zobaczyć, co zwierzątko robi, a nie chciałem podnieść głowy, żeby go nie spłoszyć. Kawka skończyła swoje sprawy i odleciała, a ja usiadłem, opierając się rękami o ziemię i popatrzyłem na rzekę.

Ktoś mógłby pomyśleć, że tracę czas. To nieprawda...

Jeśli jednak ktoś nie rozumie piękna otaczającego go świata, jeśli ciągle gdzieś goni, boi się przystanąć choćby na chwilę, żeby się rozejrzeć - on mnie nie zrozumie, bez względu na to, jakie będę przytaczał argumenty. A ja po prostu podziwiałem przyrodę. Oddychałem pełną piersią i patrzyłem. Obserwowałem pracowite mrówki, ptaki, ryby... Patrzyłem i uczyłem się, uczyłem się od świata, wchłaniając go w siebie. Słońce już dawno wzbilo się wysoko nad horyzont, a ja ciągle siedziałem na brzegu...

Mógłbym tak trwać jeszcze długo, ale spojrzałem na zegarek, westchnąłem z żalem i wstałem. Od trosk można uciec tylko na chwilę, potem rzeczywistość bezlitośnie o sobie przypomina. Wypoczęty i pełen sił ruszyłem do szkoły. Teraz już czułem pewność i byłem gotów podjąć każdą decyzję i każdą walkę. Niech ktoś spróbuje wystąpić przeciwko mnie teraz, gdy cały świat jest moim sprzymierzeńcem!

Do szkoły poszedłem pieszo, odstawiając mózdzierz na parking. Tak jak się spodziewałem, przed budynkiem czekał już Ksefon. Pewnie też wstał o świcie; nie po to, żeby się nim zachwycać, lecz żeby mnie nie przegapić. Cóż, każdy otrzymuje to, czego żąda... Jedni dostają świat i jego piękno na dokładkę, a inni - wieczną zawiść i niesmak z powodu cudzych sukcesów. A jeśli komuś zamiast sukcesów zdarzą się porażki, cieszą się, jakby wygrali los na loterii... Takie już są te małe radości małodusznych istot...

- Idziesz? - spytał Ksefon.

- Idę - odparłem. - A ty wciąż czekasz? Ksefon, to

niesamowite, nawet wygrywając, udaje ci się przegrać. Podłą radością z niepowodzeń innych niszczysz życie samemu sobie. Na pewno nie umiesz wygrywać. Pozostaje jeszcze tylko sprawdzić, czy przegrywać potrafisz.

- Przegrywanie zostawiam takim frajerom jak ty, mądralo - powiedział gniewnie. - Bo ty umiesz tylko to jedno.

Nie odpowiedziałem, wyminąłem go i wszedłem do szkoły, mój wróg pospieszył za mną.

- Ksefon, coś ty się do niego przyczepił?

Odwróciłem się. Na korytarzu przed tablicą ogłoszeń stało kilku kolegów z klasy. Pewnie przyszli dowiedzieć się czegoś w sprawie swoich praktyk.

- Musisz koniecznie go dręczyć, chociaż wygrałeś z nim tylko dlatego, że ci na to pozwolił?

Ksefon popatrzył na mnie z nienawiścią. Aha, teraz wiele rzeczy staje się jasne. Okazuje się, że moi koledzy dobrze zapamiętali tamtą rozmowę na podwórku, przekazali ją dalej i teraz wszyscy są przekonani, że przegrałem tylko dlatego, iż nie chciałem wygrać z aniołem. Takie plotki nie mogły ucieszyć Ksefona, który marzył o wygranej czystej i absolutnej. A tu się okazuje, że nikt nie uważa jego triumfu za triumf, wszyscy są przekonani, że nigdy by nie zwyciężył, gdybym mu na to nie pozwolił. Dlatego teraz się wścieka i przy każdej okazji stara się udowodnić, jaki jest bystry i jak sobie ze mną sprytnie poradził. Przywitałem się z przyjaciółmi, a potem odwróciłem się do biegnącego za mną Ksefona.



- Teraz, gdy już wszystko jest jasne, może powiesz mi wreszcie, po jakie licha latałeś za mną na ziemi, za wszelką cenę starając się mi przeszkodzić?

Wyraźnie się stropił. Kumple patrzyli na niego z zainteresowaniem. Zdaje się, że ta sprawa ich zaintrygowała i teraz też chcieli usłyszeć odpowiedź. Ksefon również zrozumiał, że nie wykręci się sianem, bo faktycznie, czemu jeden uczeń lata wszędzie za drugim uczniem i robi wszystko, żeby przeszkodzić mu w zaliczeniu praktyki? Co, nie ma nic innego do roboty?

- A co za różnica? - odciął się bardzo inteligentnie po chwili ciężkiego namysłu.

- O nie! - Do przodu wystąpił Rohguł, klasowy siłacz. Położył rękę na ramieniu Ksefona, a tego aż przygięło do ziemi. - Ezergil zadał dobre pytanie. Czemu latałeś za nim i przeszkadzałeś? Ja też chciałbym to wiedzieć! - Rohguł uśmiechnął się. - Bo może zaczniesz latać również za mną?

Zapytany wzdrygnął się. Wprawdzie Rohguł nie był mistrzem intelektu, jednak gdyby zaczął podejrzewać, że ktoś próbuje przeszkodzić mu w zaliczeniu praktyki... O, nie chciałbym być w skórze takiego idioty. Nic dziwnego, że Ksefon się spietrał.

- Ja... ja nie... ja bym nigdy! Przecież jesteś moim przyjacielem!

- Ja? Twoim przyjacielem? - zdumiał się Rohguł. - Prędzej wziąłbym na przyjaciela jadowitą żmiję!

No, no, jednak ma trochę oleju w głowie...

Pomachałem kolegom ręką i poszedłem korytarzem. Skoro ktoś w tej chwili zajmuje się Ksefonem, ja mogę

spokojnie oddać sprawozdanie.

Komisja, powiadomiona przez dyrektora, że dwóch uczniów ukończyło letnią praktykę, zebrała się w gabinecie, do którego właśnie zaprosił mnie dyrektor. Był tu również Wikientij; popatrzył na mnie dość przychylnie. Co mu się stało? Aa, pewnie myśli, że jego protegowany zwyciężył! Sądząc po współczujących spojrzeniach rzuconych w moją stronę przez niektórych członków komisji, Wikientij zdążył już o tym rozpowiedzieć. Gdy wszedłem do sali, w odległym końcu korytarza pojawił się zasapany Ksefon. Po chwili wpadł do gabinetu i przywitał się pospiesznie.

- Spóźniasz się, Ksefonie - zwrócił mu uwagę dyrektor.

Wikientij pokręcił głową, jakby chciał powiedzieć: skoro już przegrałeś zakład, nie ma co wyładowywać złości na biednym dziecku... Zdaje się, że mój wychowawca nie tylko to pomyślał, ale nawet szeptem powiedział dyrektorowi, bo ten obrzucił podwładnego ponurym spojrzeniem, lecz nie odpowiedział. Nadęty bufon chyba nieźle działał mu na nerwy... Wiem, wiem, że nieładnie tak mówić o nauczycielu, ale co zrobić, kiedy to prawda?

Zajęliśmy miejsca przed katedrą, za którą zebrali się członkowie komisji - sześciu diabłów. Wikientij, jako opiekun praktyki stanął obok swojego podopiecznego, dyrektor szkoły obok mnie.

- Panie przewodniczący... - odezwał się Wikientij i zrobił krok do przodu, uprzedzając dyrektora.

To zrozumiałe, że on nie mógł się doczekać, kiedy

pochwali się zwycięstwem, ale żeby pchać się przed własnego szefa? Zasady elementarnej uprzejmości obowiązują wszystkich! Dyrektor obrzucił nauczyciela morderczym spojrzeniem, ale nic nie powiedział.

- Ja, Wikientij, opiekun letniej praktyki, przedstawiam mojego ucznia Ksefona - mówił tymczasem wychowawca.

Ksefon wysunął się do przodu, zaprezentował piękny ukłon.

- Jestem dumny z zaszczytu, jakiego dostąpiłem i gotów dalej służyć dla dobra piekła tak, jak służyłem do tej pory - oznajmił uroczyście.

Nieszczęsne piekło...

- Panie przewodniczący - zabrał głos dyrektor. - Przedstawiam panu jednego z najlepszych uczniów naszej szkoły, Ezergila. Nie przesadzę, jeśli powiem, że czeka go wspaniała przyszłość. I zdziwiłbym się, gdyby jego imię nie było kiedyś sławne i w piekle, i w rajcu...

O, stanie się to szybciej, niż myślisz... Wystarczy, że mój wujek ogłosi decyzję obu rządów... Ale i tak pochwała dyrektora sprawiła mi przyjemność. Aż się zaczerwieniłem, co mi się zdarzało niezwykle rzadko.

- Myślę, że po przeczytaniu jego sprawozdania docenicie talent tego młodego diabła i nie będziecie sądzić go zbyt surowo. Jako dyrektor szkoły mogę powiedzieć tylko jedno: jestem bardzo rad, że ten młodzieniec uczy się właśnie tutaj.

Skończył i cofnął się, oddając mi głos. Zawahałem się, ale szybko wziąłem się w garść.

- Panie przewodniczący - wykonałem płytki ukłon. -

Pan Morsefey, dyrektor naszej szkoły, wyraża się o mnie zbyt pochlebnie... Mogę tylko powiedzieć, że obiecuję spełnić pokładane we mnie nadzieje.

Cofnąłem się. O dziwo, moje słowa chyba spodobały się komisji. Tylko dwóch członków patrzyło na mnie bez cienia sympatii, jeden z nich wstał i odezwał się:

- Wszystko to bardzo pięknie, ale prawdziwy diabeł powinien zwyciężać! Późniejsze usprawiedliwienia nie zmienią jego sytuacji. Praktyka tych dwóch uczniów była dość niezwykła, zakładała, że wygrać może tylko jeden z nich. W związku z tym, zdecydowaliśmy, żeby dwa przesłuchania połączyć w jedno. - Mówca popatrzył na siwego starca, siedzącego pośrodku, ten skinął głową. - Odbędzie się ono - mówił dalej orator - jutro, o godzinie dwunastej. Do tego czasu komisja zapozna się ze sprawozdaniami. Na jutrzejszym posiedzeniu zostanie ogłoszony wynik. A teraz opiekunowie są proszeni o przekazanie komisji raportów uczniów.

Wikientij czym prędzej wyrwał teczkę z rąk Ksefona, podbiegł do siwego starca i skłonił się lekko, podając mu teczkę.

- Proszę, panie przewodniczący.

Przewodniczący popatrzył uważnie na Wikientija. Skuliłem się. Aż do tej chwili nie traktowałem poważnie tego staruszka, ale to spojrzenie... gorejące i przeszywające na wylot... Nie chciałbym, żeby był moim wrogiem.

- Dziękuję, panie Wikientiju - rzekł przewodniczący głosem wypranym z emocji. - Zapoznam się ze

sprawozdaniem pańskiego protegowanego. - Ale nie wyciągnął ręki, żeby wziąć teczkę, i Wikientij musiał położyć ją na stole przed starcem. Nawet wtedy przewodniczący nie zaszczycił teczki spojrzeniem.

Dyrektor Morsefey nie spieszył się. Spokojnie wziął ode mnie sprawozdanie i, trzymając przed sobą, coś szepnął, a potem lekko je podrzucił. Plask! - na jego dłoni wylądowały dwie jednakowe teczki. Jeszcze chwila i było ich już cztery. Dyrektor odłożył dwie teczki na bok i podrzucił pozostałe. Następnie spokojnie złożył wszystkie razem i podszedł do stołu.

- Panie przewodniczący, proszę mi wybaczyć to nieznaczne naruszenie zasad, ale pomyślałem, że dobrze by było, by każdy członek komisji miał własny egzemplarz. Będzie wtedy mógł spokojnie się z nim zapoznać, proszę mi wierzyć, jest tego warte. Tylko dlatego pozwoliłem sobie skorzystać z usług kopistów.

Dyrektor otworzył dłoń i ukazał całą kolonię istot, nieco podobnych do mrówek. Bez trudu rozpoznałem kopistów - pożyteczne istoty, zdolne powielić każdą rzecz tak dokładnie, że żadna ekspertyza nie wykáže najmniejszych różnic między kopią i oryginałem.

Przewodniczący popatrzył na dyrektora z zainteresowaniem.

- To sprawozdanie również przeczytam z uwagą. - Skinął głową.

Morsefey obszedł wszystkich członków komisji, rozdając egzemplarze mojego sprawozdania. Jeden z członków, niedawny orator, z rozdrażnieniem zakołysał teczką i rzucił ją na stół.

- Panie dyrektorze, powiedziałem już, że nie mam zamiaru czytać usprawiedliwień pańskiego drogiego ucznia i rzekomej chluby szkoły. Jeśli ta chluba nie jest w stanie wykonać prostego zadania, mogę tylko współczuć pańskiej placówce. Pan Wikientij zapoznał mnie już ze sprawą i zapewniam, że to mi wystarczy.

- Ach tak? - rzekł dyrektor, myśląc o czymś intensywnie. Zerknął kątem oka na przewodniczącego, ale ten zachował niewzruszony spokój. - Mimo to uważam, że warto zapoznać się z tym raportem.

- Nie mam zamiaru! - rzekł twardo orator.

Zdaje się, że dla niego była to już kwestia pryncypiów. Nie ma nic gorszego niż tacy osobnicy słuchający jedynie siebie.

Morsefey podniósł odrzuconą teczkę.

- Jak pan sobie życzy - powiedział spokojnie. - Proszę o zanotowanie, że szanowny Korduł odmówił przeczytania sprawozdania mojego podopiecznego. Proszę, żeby zostało to zaprotokołowane.

Korduł machnął ręką.

- Niech pan sobie robi, co chce - rzekł, po czym wstał i poszedł do wyjścia.

Przewodniczący odprowadził go wzrokiem, zaczekał, aż za oratorem zamkną się drzwi, po czym rzekł:

- Korduł zbyt pochopnie wyciąga wnioski, zbyt gorączkuje się, wydając osądy. Lepiej dokonywać oceny, zapoznawszy się z całym dostępnym materiałem.

Te słowa były jak sygnał, pozostali członkowie komisji czym prędzej podjęli położone przed nimi kopie sprawozdania. Przewodniczący odwrócił się do mnie i

przez kilka sekund przyglądał mi się badawczo. Poczułem się, jakby prześwietlał mnie niewidzialnymi promieniami.

- A co ty powiesz?

- Jeśli pan pozwoli, zachowam teraz milczenie - powiedziałem po chwili zastanowienia. - Wszystko powiem jutro, na komisji.

Przewodniczący skinął głową.

- Zdaje się, że masz sporo do przekazania... No cóż, jeszcze raz obiecuję, że bardzo uważnie przeczytam twoje sprawozdanie.

Ksefon skoczył do przodu, chyba chciał coś powiedzieć, ale ugryzł się w język, bo przewodniczący przeszył go spojrzeniem.

- Twoje sprawozdanie również przeczytam bardzo uważnie. Dziękuję panom. - Szef komisji wstał. - Posiedzenie zostało zakończone. Ksefonie i Ezergilu, macie stawić się tu jutro o godzinie dwunastej. Wówczas zostanie wydany ostateczny werdykt w sprawie waszej praktyki. Do widzenia.

Ukloniłem się, cała komisja w pełnym składzie opuściła salę.

- Jutro ci wszystko przypomnę - wysyczał mi Ksefon do ucha.

Nie odpowiedziałem.

Dyrektor zaczekał, aż ten durny bies wraz z protektorem opuszczą gabinet i odwrócił się do mnie.

- Co powiesz?

- Powiem, że nie zazdroszczę Ksefonowi. Jutro mu odpłacę... Dopiekł mi, należy się mały rewanż.

- Zemsta. - Dyrektor skinął głową. - Nie najgorsze diabelskie uczucie. Właściwie można powiedzieć, że cały czas zajmujemy się zemstą, odgrywamy się na tych, których nie mogli ukarać sami ludzie.

- Ja nie nazwałbym tego zemstą... raczej sądem.

Dyrektor spojrzał na mnie uważnie.

- Cóż, teraz wierzę, że jesteś godzien misji, którą proponuje Monterrey. Tak, tak, nie rób takich wielkich oczu. Anioł był u mnie, rozmawialiśmy o tobie prawie całą noc. Nie powiem, żeby cieszyły mnie jego projekty, ale... Ezergilu, wykładam w tej szkole od czterystu lat, widziałem tyle dzieci... Wiem, że świat musi się zmieniać i że zmienić go możecie tylko wy. Najpierw się bałem, że ulegniesz wpływowi anioła, zapomnisz, iż każda moneta ma dwie strony i właśnie piekło jest tą drugą stroną. Widzę jednak, że na szczęście wszystko sam doskonale rozumiesz.

- I... nie będzie pan protestował?

- Ja? No, załóżmy, że będę. I co wtedy? Zmienisz zdanie?

- Nie. - Pokręciłem głową. - Zaciekawilo mnie to. To prawdziwe wyzwanie... Współpraca diabła i anioła... Wywrócimy wszystko do góry nogami! Miałbym stracić taką okazję?!

- Oczywiście - zauważył z uśmiechem Morsefey. - A czy urok pewnego anioła nie miał nic wspólnego z twoją decyzją?

- Absolutnie - odparłem.

- Ach, absolutnie?! - rozległ się z tyłu znajomy głos. - Więc to tak!



Odwróciłem się gwałtownie.

- Alona?! Co ty tu robisz?!

- Zaprosiłem ją - odparł dyrektor. - Chciałem porozmawiać z tym kimś, kto zdołał wywrzeć na ciebie taki wpływ. Rozmowa była bardzo... poznawcza. No dobrze, dzieci, idźcie już, nie będę was zatrzymywał. Ezergiliu, na twoim miejscu pokazałbym gościowi nasze miasto.

- Oczywiście panie, dyrektorze. Dziękuję... - Chwyciłem Alonę za rękę i pociągnąłem za sobą.

Dziewczyna tylko pisnęła, ale na korytarzu od razu wyrwała mi rękę, kuksnęła mnie w bok. Oto i nasz łagodny, cierpliwy przedstawiciel nieba...

- Nie musisz mnie wlec! - zasyczała. - Potrafię sama chodzić!

- Przepraszam - powiedziałem bez cienia skruchy. - Po prostu są tu pewne osoby, z którymi nie chcę się dzisiaj spotkać...

- Kogo my tu mamy? - zapytał czyjś złośliwy głos. - Czyżby to ten sam aniołek?

Przymknąłem oczy i odwróciłem się powoli.

- Ksefon, co ty tu jeszcze robisz? Myślałem, że poszedłeś do domu szykować się do jutrzejszego święta?

- Jeszcze zdążę - odparł, obchodząc Alonę dookoła i oglądając jak jakieś dziwo. Prawdziwy kretyn. Po co on igra z ogniem?... - Kogo my tu mamy? Anioł! Ciekawe, ciekawe... I co też szanowna pani robi w piekle? Przecież tu wasze sztuczki nie będą działały... Jesteśmy sobie równi...

Zdaje się, że nie wybaczył jej tamtego zajścia na ziemi.

- Na twoim miejscu... - zacząłem.

- Zamknij się, durniu! W ogóle, od teraz możesz do mnie mówić „proszę pana”! Jutro się wszystko okaże. Będziesz powtarzał czterdziestą dziewiątą klasę!

Zamknąłem się posłusznie. Chciałem go lojalnie ostrzec, ale jak nie, to nie. Alona spokojnie znosiła kpinki Ksefona, ale gdy ten wyciągnął rękę, żeby szarpnąć ją za włosy, błyskawicznie złapała jego nadgarstek i wykręciła. Diabeł wrzasnął, zaś Alona z kamienną twarzą wykręcała mu rękę coraz mocniej, a wreszcie, odwróciwszy przeciwnika plecami do siebie, puściła nagle, sprzedając mu kopniaka w tyłek, tak że poleciał prosto pod nogi kumpli z klasy. Rohguł patrzył z zachwytem na Alonę, reszta śmiała się z rozżłoszczonego Ksefona.

- Chciałem cię tylko ostrzec, że ona skończyła kurs samoobrony - powiedziałem.

- Anioł? - zdumiał się ktoś.

Dziewczyna popatrzyła na wszystkich wyzywająco.

- Tak, anioł! Ktoś ma coś przeciwko?

Wszyscy rozsądnie milczeli, Rohguł pokręcił głową.

- Anioł czy nie - powiedział z podziwem, podchodząc do niej - oto moja ręka. Jakby ktoś kiedyś cię tu obraził, wystarczy, że mi powiesz.

Alona speszona uścisnęła podaną dłoń.

- Tak właściwie to sama potrafię się obronić...

- O, na pewno. A ty, koleś - Rohguł odwrócił się do Ksefona - lepiej nie podskakuj. Zostaw tego anioła w

spokoju. Jasne?

Ksefon, klnąc na cały głos, zabrał się i poszedł do wyjścia, obiecując, że jutro to dopiero mnie urządzi.

- Jeszcze mu nie powiedziałaś? - zdumiała się anielica.

Wzruszyłem ramionami.

- Po co? Niech się na razie cieszy.

Spojrzała na przeklinającego Ksefona i skinęła głową.

- Aha. Niech się cieszy.

Rohguł klepnął mnie w ramię, aż przysiadłem.

- Teraz rozumiem, dlaczego postanowiłeś przegrać z Ksefonem. Dla niej to i ja bym przegrał...

Potarłem ramię, krzywiąc się i nie komentując jego oświadczenia.

Alona poczekała, aż wszyscy się rozejdą i popatrzyła na mnie zdumiona.

- Co on miał na myśli?

- A skąd ja mogę wiedzieć? Przecież to Rohguł - powiedziałem tak, jakby to wszystko wyjaśniało, jednak od razu uświadomiłem sobie, że ona nic nie rozumie i dodałem: - Jest najsilniejszy z całej klasy, czuje respekt jedynie przed siłą. Po tym, jak załatwiłaś Ksefona, nabrał do ciebie szacunku. Wystarczy mu pokazać, że umiesz się bronić i na wieki jesteś jego przyjacielem.

- Tak? A jak ty przeszedłeś tę próbę? Zdawało mi się, że nie lubisz się bić.

- I tak jest. Ale czasem muszę... Jednak zupełnie nie rozumiem, co niektórzy widzą w bijatykach? Zero estetyki! A jeśli chodzi o Rohguła... Po prostu przez

pewien czas udowadniałem mu, że można się bronić nie tylko pięściami, że czasem warto ruszyć głową. Gdy to zrozumiał, zaczął i mnie szanować. Docenił po prostu moje skromne talenty.

- Skromne?

- Oczywiście - powiedziałem, chociaż mój ton mógł świadczyć o wszystkim, tylko nie o skromności.

Alona rzuciła mi kose spojrzenie i prychnęła.

- Ezergil... Dam ci radę: nie próbuj udawać skromnego. Kiepsko ci to wychodzi.

- Do licha ze skromnością. Przecież jeśli sam się nie pochwalę, to...

- To ja cię pochwalę. Chodźmy stąd. Znudziło mi się stanie w tym ponurym gmachu, przez pomyłkę nazywanym szkołą.

Ponurym gmachu? Obejrzałem się. Budynek wyglądał normalnie... Po prostu Alona nie widziała prawdziwie ponurych budynków, gdzie faktycznie przed wejściem należałoby powiesić sakramentalne: „Porzućcie wszelką nadzieję ci, którzy tu wchodzicie”. Powinienem jej kilka takich pokazać, żeby wiedziała, co to znaczy prawdziwie ponury budynek.

Wyszliśmy ze szkoły. Dopiero na ulicy zwróciłem uwagę, że Alona ubrana jest tak, jak swego czasu radziła jej Zoja Nienaszewa. Niebieska spódnica do kolan, biała bluzka bez rękawów... Poprzednim razem ten strój wyglądał na stworzony w pośpiechu - nie chodziło nawet o to, że był iluzją, po prostu wtedy dziewczyna nie do końca wiedziała, czego chce i niezupełnie rozumiała objaśnienia. A teraz... teraz to

ubranie leżało na niej jak ulał. Przy tym włosy spadały na ramiona, ale nie tak po prostu: były starannie ułożone, przez co nabrały niezwyklej lekkości. Chyba każdy włoszek w tej fryzurze miał swoje ściśle określone miejsce.

Zastygłem zdumiony. Alona najpierw nie zrozumiała powodu mojego szoku, a potem zaczerwieniła się. Obróciła się lekko, pozwalając mi obejrzeć się ze wszystkich stron.

- Ale numer! - powiedziałem zachwycony.

- To dzięki Zojeccze... - wyjaśniła Alona. - Często się z nią spotykam; opowiada mi o swoim synu... Zaprzyjaźniłyśmy się i pomogła mi wszystko skompletować. Ezergil, ona jest urodzonym twórcą piękna! Wiesz... - Zamyśliła się. - Jeśli jej dusza stanie się kiedyś stwórcą, to chciałabym mieszkać w jej świecie. Na pewno będzie piękny...

Pokręciłem głową.

- Nawet nie wiesz, jak ładnie wyglądasz!

- Dopiero teraz to zauważyłeś? - spytała przekornie.

Ech, te kobiety! Czego ona jeszcze chce? Żebym bez przerwy mówił, jaka jest śliczna?

- Dopiero teraz - potwierdziłem. - I dlatego jeśli tu jeszcze chwilę postoiemy, to mogę nie wytrzymać i wtedy cała twoja fryzura się rozsypie.

- Grubianin! - powiedziała, ale bez gniewu, chyba już przywykła do moich żartów. - Dobrze, chodźmy... Tylko dokąd?

- O to się nie martw. Obiecuję, że pokażę ci wszystkie kręgi piekła.

- Brzmi ciekawie - roześmiała się.

Oglądaliśmy miasto do czwartej. Odwiedziliśmy nawet ministerstwo kar, gdzie odbywałem praktykę. Alona długo oglądała budynek, a potem odwróciła się do mnie.

- Biedaku - powiedziała ze współczuciem. - Ja nigdy nie weszłabym do środka. Stchórzyłabym... Przypomina ponury stary zamek pokryty pleśnią.

- Aha - przytaknąłem. A potem przypomniałem sobie Zoję Nienaszewą i dodałem: - I, jak w starym zamku, nawet zjawy tam można spotkać.

Potem urządziliśmy sobie wyścigi w moździerzach. Pod koniec mój moździerz, nie przeznaczony do ostrych manewrów, przechylił się i wpadłem do jeziora. Alona ze śmiechem zjechała do mnie i podała mi miotłę. I tak, na holu, dotarłem do brzegu. Wyszedłem, przeklinając głupi moździerz, który teraz bez sensu wisiał nad środkiem jeziora, zdjąłem koszulę i zacząłem ją wyżymać. Alona, nie przestając się śmiać, poleciała po mój pojazd.

- Dziwny macie transport - zauważyła, lądując obok mnie. - U nas nikt nie używa takich anachronizmów.

- A pewnie - burknąłem. - Gdybym miał skrzydła, też nie wsiadłbym do czegoś takiego. Problem w tym, że u nas jest kiepsko z komunikacją. Piekło zajmuje spory obszar, a sama widzisz, jak się poruszamy. Diabły ze szczególnym dostępem nie mają tego problemu, trzasną ogonem i już są w wybranym punkcie piekła. Ale co mają robić zwykli mieszkańcy, którzy nie umieją się przenosić? A przecież jest ich całkiem sporo... Musimy

więc używać tego, co dostaliśmy w spadku po poprzednich epokach.

- Tak, macie problemy... - prychnęła Alona.

- Nawet nie mów. - Otrzeptałem koszulę i włożyłem przez głowę. - Brr...

- Wiesz co, Ezergil, chyba powinieneś się przebrać, jeszcze się przeziębisz...

- Jakbyś powiedziała ludziom, że w piekle można się przeziębic, to by pękli ze śmiechu - burknąłem.

- Ale ty nie jesteś człowiekiem. Rób, co chcesz, ale nigdzie z tobą nie pójde, dopóki nie zmienisz ubrania.

Westchnąłem. Faktycznie spacer w mokrych ciuchach to średnia przyjemność.

- Dobrze. W takim razie chodźmy do mnie, poznam cię z rodzicami.

Alona znieruchomiała.

- Ee... a może zaczekam na ciebie tutaj? Skoczysz na jednej nodze, przebierzesz się i wrócisz?

- Piekło dla niepełnoletniego anioła nie jest najlepszym miejscem na samotne spacery - powiedziałem pouczająco. - Co ty, boisz się?

Zawahała się przez mgnienie oka, a potem niepewnie skinęła głową.

- A jak twoi rodzice zareagują na anioła?

- Normalnie. Zdażyli przywyknąć. Zapomniałaś, kim jest mój wujek?

Alona opierała się jeszcze chwilę, ale w końcu zdołałem ją przekonać i już wkrótce staliśmy przed moim domem. Odwróciłem się do drzwi plecami i załomotałem w nie nogą.

- I po co to tak walić, paniczu? Jeszcze nie ogłuchłem.

- Ja też cieszę się, że cię słyszę, Nafania. Poznajcie się, to moja przyjaciółka Alona, anioł. Razem odbywaliśmy praktykę.

I wtedy tuż przede mną zjawilo się coś niewielkiego, okrągłego i puszystego, i w tej puchatej piłce widać było dwoje wielkich oczu.

- Oo, to dla mnie wielki zaszczyt poznać młodą panią... - wymamrotał domowy.

Patrzyłem na niego zaskoczony. Nigdy przedtem Nafania nie pokazywał się gościom! Ja sam przez całe życie widziałem go może dwa razy... Nafania należał do starych skrzatów, żyjących w przekonaniu, że domowy nigdy nie powinien pokazywać się obcym, a i nawet gospodarze powinni widywać go jak najrzadziej. Dobry sługa to taki, który rzetelnie wykonuje swoją pracę, nie rzucając się w oczy - twierdził. A tu proszę, wyszedł do gościa! Najwyraźniej zbliża się koniec świata... Nawet wyjrzałem na dwór, ale nie, słońce świeciło jak przedtem, nawet śladu apokalipsy.

Nafania podał Alonie kaptcie, dziewczynka podziękowała mu uprzejmie.

- Ależ... - oburzył się. - To tylko moja praca.

- Jaki grzeczny domowy - zwróciła się do mnie anielica.

- Też jestem zdziwiony - odparłem zaskoczony.

- Nafania! - rozległ się znajomy ryk mojego brata. A ten co tu robi? Przecież powinien być w pracy! - Kto tam?!



- Pański brat Ezergil i jego gość - padła odpowiedź.

- A, już przylazł... Zaczekaj, powiedziałaś „gość”?

- Zoreg! - usłyszałem głos mamy. - Co się z tobą dzieje?! Przestań atakować brata, mówię ci ostatni raz! Ezergilu, dlaczego trzymasz gościa w przedpokoju?

Wycierając ręce o fartuszek wyszła do przedpokoju i znieruchomiła.

- Anioł! - powiedziała. - Ooo...

- Mamo - odezwałem się szybko - poznaj Alonę, razem odbywaliśmy praktykę. Pomogła mi i nawet raz mnie uratowała.

- Uratowała? - Mama popatrzyła na mnie zaskoczona.

Przez chwilę walczyły we mnie dwa pragnienia: z jednej strony zależało mi, żeby mama zaakceptowała Alonę, a z drugiej nie chciałem jej straszyć. Wybrałem wariant pośredni.

- No, tam, na ziemi, był taki jeden typek... Chlusnął na mnie święconą wodą, a Alona mnie zasłoniła... Jednym słowem, nic takiego.

- Och! Zawsze mówiłam, że ci ludzie są okrutni, podli, bez czci i sumienia! Żeby krzywdzić dziecko! Ale dziewczynko, czemu ty stoisz? Wchodź! Właśnie ugotowałam zupę, naleję wam. Gwarantuję, że czegoś takiego u siebie w raju jeszcze nie jadłaś.

Alona próbowała się wykręcić, ale gdzie tam! Skoro mama postanowiła kogoś nakarmić, ten ktoś musi zostać nakarmiony. Poza tym, świetnie wiedziałem, że Alona od rana nic nie jadła, podobnie zresztą jak ja.

Mama zaprowadziła nas do stołowego i wtedy w drzwiach stanął ojciec w swoich podartych dresach i

zaświnionym podkoszulku. Na widok gościa krzyknął cicho i szybko zatrzasnął drzwi. Alona odwróciła się, słysząc hałas, ale nie zdążyła go dostrzec. Spojrzała na mnie.

- Wszystko w porządku - uspokoiłem ją. - To mój tata. Chyba się... potknął - zmyśliłem na poczekaniu.

Mama szybko nakryła do stołu, postawiła talerz przed Aloną, a potem wniosła dużą wazę i postawiła ją na środku stołu.

- Ezergilu! - spojrzała na mnie z wyrzutem. - Gdzie twoje maniery?! Czemu nie zajmujesz się gościem?

Speszyłem się. Czym prędzej wstałem, wziąłem talerz dziewczyny i nalałem jej zupy.

- A oto i my... - Do pokoju wszedł ojciec, niosąc pokrojony chleb.

Mama zastygła z otwartymi ustami. Ojciec wyglądał bardzo szykownie: wprawdzie nie włożył garnituru, ale w porównaniu z jego zwykłym „strojem”, to, co miał teraz na sobie, można było przyrównać do fraka.

Zerknąłem na mamę - patrzyła to na ojca, to na Alonę. Uśmiechnąłem się w myślach. No, teraz już anielica ma w naszym domu jednego gwarantowanego stronnika - mamę.

Ileż to razy walczyła z mężem, żeby nie siadał do stołu w dresach i podkoszulku! Ile razy domagała się, żeby nie smarkał przy jedzeniu i nie wycierał rąk o ubranie! Ten, kto skłoniłby go do rezygnacji z nawyków byłby dla mamy co najmniej herosem! A tu proszę, jedna chwila i załatwione!

Ojciec podszedł do Alony i przemówił piękną

francuszczyzną.

- Mademoiselle, pani pozwoli, że się przedstawię... Goszter, diabeł Goszter, do pani usług. Jestem ojcem tego tu nicponia, który teraz pani usługuje. To dla mnie zaszczyt, że mogę podjąć panią w swoim domu... Pozwoli pani, że wyrażę swój zachwyt. Jest pani wspaniała...

Zamarłem. Więc o to ojcu chodziło, gdy mówił, że na długo zapamiętamy dzień, w którym odwiedzi nas anioł... Rzeczywiście, czegoś takiego długo nie zapomnimy. Ciekawe tylko, jakie ludzkie języki zna Alona?...

- Dziękuję panu, monsieur - odpowiedziała Alona w równie pięknym francuskim. - Ale to raczej dla mnie wielkim zaszczytem jest gościć u państwa. Pański syn umie robić wrażenie.

- I nic więcej - mruknął dobrodusznie ojciec. - Ale cieszę się, że udało mu się zrobić wrażenie na takiej piękności... Jednak znam Ezergila i myślę, że olśniła go nie tylko pani uroda.

Alona speszyła się, a ojciec z zadowoloną miną siadł przy stole.

- Ech, młodość... - powiedział już w normalnym, międzyświatowym języku. - Jak ja niegdyś błyszczałem na dworze Ludwika XIV! To były czasy! Jakie damy...

- Gosza, tu są dzieci! - upomniała go mama.

- Czy ja coś mówię? Ja nic nie mówię! To już w rozmowie z dziećmi nie można wspomnieć o damach? No dobrze... Zoreg, gdzie jesteś?! Lucy, długo jeszcze będziemy na was czekać?

Minutę później do pokoju weszli razem mój brat i ukochana siostrzyczka. Lucy zupełnie niespieszona podeszła do Alony i obejrzała ją od stóp do głowy.

- Jesteś ładna - zawyrokowała. - Ja, jak dorosnę, też będę ładna.

- Na pewno - uśmiechnęła się Alona.

- Nazywam się Lucy - przedstawiła się moja siostra, podając rękę. - Miło mi cię poznać. Co prawda, nasz tata mówi, że wszystkie anioły są podstępne i złe, i że chodzi im tylko o to, żeby sprowadzić uczciwe diabły na złą drogę, ale ty chyba taka nie jesteś?

Ojciec zakasłał, tłumiąc śmiech; Alona znów się uśmiechnęła.

- Nie jestem. Twój tata mówił zapewne o innych aniołach.

- Na pewno. Ty zupełnie nie wyglądasz na podstępną i złą.

- Dziękuję.

Wsadziłem nos w zupę, walcząc z buzującą we mnie wesołością. Siostrzyczka rzuciła mi kose spojrzenie i powiedziała:

- I w odróżnieniu od mojego brata jesteś dobrze wychowana. Nie śmiejesz się ze mnie, gdy mówię rzeczy, które dorośli uważają za głupstwa.

Alona pogładziła ją po głowie i zerknęła na mnie.

- Niech się śmieje... Przecież obie wiemy, że wszyscy mężczyźni są odrobinę głuptasami i nie rozumieją prostych spraw.

- Złote słowa! - zawołała mama, zwracając się do ojca. - Słyszałeś, Goszter?!

- Oczywiście, moja droga - rzekł ojciec poważnie, ale oczy mu się śmiały.

Alona spojrzała na Zorega, który jako jedyny nie brał udziału w powszechnej wesołości.

- Zoreg - przedstawił się krótko z ponurą miną.

Dziewczyna zerknęła na mnie speszona, a ja machnąłem ręką.

- Nie zwracaj uwagi. On już taki jest.

- Przymknij się, mały - burknął mój brat.

- Tak w ogóle to jest grzeczny, dobry i mądry - wyjaśniłem Alonie. - Tylko jakoś nigdy nie potrafi tego okazać.

Nie wytrzymała i parsknęła śmiechem. Ojciec rzucił mi chmurne spojrzenie, a Zoreg chętnie wystartowałby do mnie z pięściami, ale spojrzenie mamy zmusiło go do pozostania na miejscu. Wymamrotał jakąś obietnicę pod moim adresem i burknął już spokojniej:

- Za to w odróżnieniu od ciebie, ja nigdy nie zawaliłbym praktyk. Zwłaszcza z powodu jakiegoś tam anioła.

- Ale przecież pański brat nie zawalił praktyki - odezwała się Alona, ze zdumienia aż odkładając łyżkę. Popatrzyła na mnie. Chyba nie przyszło jej do głowy, że mógłbym ukrywać coś przed własną rodziną. - Anioł nie ma tu nic do rzeczy. Ja i pański brat po prostu działaliśmy razem. Mieliśmy wspólny cel.

- Anioł i diabeł? Wspólny cel? Nie opowiadajcie mi bajek!

- Faktycznie, Ala, nie opowiadaj mu bajek, on już dawno wyrósł z wieku, w którym się ich słucha.

- A ja bardzo lubię słuchać bajek - wtrąciła się Lucy, rozładowując napięcie.

W ciągu całego obiadu brat nie odezwał się więcej ani słowem, a po posiłku zaciągnąłem Alonę do swojego pokoju.

Ostrożnie przeszła przez leżącą na podłodze walizkę i omal nie nadepnęła na mój eksperymentalny model wiatraka. Czym prędzej wsunąłem go pod łóżko, ale wtedy z drugiej strony wylazły inne śmieci. Z rozdrażnieniem obszedłem mebel i wcisnąłem śmieci z powrotem. Wysunął się wiatrak...

Alona zachichotała.

- Nie zwracaj uwagi, ja zaraz... - mruknąłem. - Po prostu pracowałem nad nową pułapką.

- I co, już zadziałała? - spytała złośliwie Alona, oglądając porozrzucane po całym pokoju bambetle.

Machnąłem ręką.

- Dobra, mam tego dość. Jedną chwileczkę... - zamknąłem oczy, skupiłem się i pstryknąłem palcami. - Wszystko na swoje miejsca! Już!

Rzeczy od razu uniosły się w powietrze i zawirowały. Łóżko natychmiast się zaścieliło, wszystkie porozrzucane klamoty pomknęły na swoje miejsca. Aż mnie zatkało... Nigdy przedtem mi się to nie udawało! No, powiedzmy, że jeden czy dwa przedmioty, ale cały pokój?! I to tak idealnie?!

Alona też była wstrząśnięta.

- Ezergil, twoje talenty zdumiewają mnie coraz bardziej. Skoro umiesz robić takie sztuczki, czemu wcześniej nie posprzątałeś?

- Ach - machnąłem ręką - ciągle zapominam... Wiesz, jacy my, geniusze, bywamy roztargnieni... Wiecznie wylatuje nam coś z głowy...

Zaczęła się śmiać i padła na łożko.

- Ezergil, jesteś niesamowity!

- Tak właściwie to nawet się tego domyślałem... Alona śmiała się, a ja ostrożnie wychyliłem się za próg pokoju i szepnąłem:

- Dzięki za pomoc, Nafania. Nie zapomnę ci tego.

- Nie ma za co, paniczku - odparł z uśmiechem domowy. - Nigdy nie opuszczam gospodarzy w biedzie. Cieszę się, że mogłem być przydatny.

\*

Alona siedziała u mnie jeszcze z godzinę. Pokazałem jej wszystkie wymyślone przeze mnie pułapki, swoje książki, opowiadałem zabawne historie z życia naszej klasy. I właśnie zacząłem mówić o ostatniej bójce z Ksefonem, gdy nagle wstała.

- Ezergil, bardzo tu u ciebie miło, ale muszę już iść... I tak zasiedziałam się dużo dłużej, niż planowałam. Moi rodzice pewnie odchodzą od zmysłów.

- No, to zadzwońmy...

- Daj spokój. Nie zapominaj, że jutro masz wystąpić przed komisją.

- To co, do jutra?

Z roztargnieniem skinęła głową, ale od razu drgnęła.

- Hej, jak to „do jutra”? Przecież nie mówiłam, że jutro przyjadę!

- Alu, przecież nie zostawisz mnie w trudnej chwili

zdawania praktyki?

Popatrzyła na mnie badawczo.

- Coś ściemniasz, Ezergil? Mów, o co chodzi.

Westchnąłem. Tak, nic się przed nią nie ukryje, już mnie poznała...

- Po prostu myślałem, że dobrze by było, żebyśmy byli razem, jeśli nie rozmyśliłaś się w sprawie propozycji wujka. Niech się przyzwyczajają... I byłoby dobrze zacząć od razu na komisji.

- Zwariowałeś! - przeraziła się. - Ja... ja myślałam, że pan Monterrey jakoś później sam zaproponuje stworzenie połączonego oddziału...

- Na pewno to zrobi, ale przecież mamy własny rozum. A może chcesz wiecznie chodzić za kimś na smyczy? Najlepiej, żebyśmy wzięli sprawę w swoje ręce, nie czekając na czyjeś zmiłowanie.

- Ee... Ezergil, jesteś pewien, że to dobry pomysł?

- Nie jestem. Ale przecież nie dowiemy się, jeśli nie spróbujemy. Tak czy inaczej, nie chcę, żeby ktoś mną kierował, nawet gdyby tym kimś miał być mój wujek. Mam zamiar osiągnąć wszystko własnymi rękami.

- Zarozumiały jak zawsze.

- Nie odrzucam pomocy Monterreya, ale nie mam zamiaru całkowicie zdać się na niego. To jak, jesteś ze mną czy nie? Alona, przecież w przyszłości, jeśli wszystko się uda, będziemy musieli sami podejmować różne decyzje i to szybko! Wtedy nie będzie nikogo, kto mógłby nas wesprzeć. Jeśli nie jesteś na to gotowa, lepiej, żebyśmy z tego wszystkiego zrezygnowali. Zadzwońię do wujka...



- Stop! Nie zapędzaj się. Nie powiedziałam, że chcę zrezygnować, mówiłam tylko, że wystąpienie razem na komisji niezupełnie mi się podoba. Ale w jednym punkcie masz rację: jeśli nie spróbujesz, to nie dowiesz się, jak bardzo szalony jest twój pomysł.

- Zgadza się.

- W takim razie przyjadę. Na pewno. Tylko muszę przekonać rodziców. Oni nawet dziś nie chcieli mnie puścić samej, na szczęście twój wujek ich przekonał. Ale sądzę, że sobie poradzę...

Wyszliśmy z pokoju.

- Już idziesz? - spytała mama, zjawiając się w przedpokoju.

- Tak... Bardzo dziękuję za wszystko... Muszę wracać do domu.

- Ezergil, mam nadzieję, że odprowadzisz gościa? - spytał surowo ojciec.

- Oczywiście, tato. Przecież widzisz, że się ubieram.

- Ależ po co, mogę sama...

- Ani słowa, młoda damo. Dla Ezergila to żaden kłopot. Ech, gdzie jesteś, moja młodości?... Gdybym teraz miał moją szpadę, kapelusz z piórem... Gdybyście widzieli, jak błyszczałem na balach... O, Ezergilu, wtedy na pewno spróbowałbym odbić ci twoją damę.

- Nic by ci z tego nie wyszło - odparłem, nie podnosząc głowy, pochłonięty zawiązywaniem sznurowadeł. - Wyzwałbym cię na pojedynek i przebił bez litości.

- O! Słyszała pani, moda damo? To mówi rodzony syn! Żadnego szacunku dla starszych...

Alona uśmiechnęła się, ojciec też. Wstałem i otworzyłem przed nią drzwi. Pożegnała się ze wszystkimi i wyszliśmy.

## Rozdział 3

Następnego ranka obudziłem się późno, aż byłem zdziwiony. Zwykle wstaję wcześnie, a tu... Dobra, nie ma co płakać, najważniejsze, że nie spóźniłem się na komisję.

Rodziców już w domu nie było, rodzeństwa też. Siostrę zawieźli do przedszkola, brat poszedł do pracy. Mogę spokojnie zjeść, bez żadnych przykrych niespodzianek.

W kuchni nakryta ściereczką stała miseczka ze śniadaniem i szklanka soku. Z jakiegoś powodu mama uważa, że brakuje mi witamin i intensywnie mnie nimi dokarmia. Brr... Żeby jeszcze sok był jakiś porządny, a tu co, żurawinowy! Ależ kwas... Rozejrzałem się dyskretnie i gdy zyskałem pewność, że mama nie zostawiła nigdzie nic podsłuchującego ani podglądającego, wylałem sok do zlewu. Za to wtrząchnąłem całą kaszę jęczmienną. Zerknąłem na zegarek. Za kwadrans jedenasta. Dobrze, można zacząć się szykować.

Poszedłem do pokoju i otworzyłem szafę. Co mu tu mamy? Sweter... Sweter latem? Co on tu robi? Sio, na bok, na bok... O, idealnie - garnitur trójka. Tak, to jest to. Przecież najważniejsze jest pierwsze wrażenie...

Przebrałem się szybko i obejrzałem w lustrze. Super! Granatowy krawat, jasnoszara koszula i ciemny garnitur. Wyglądałem zabójczo. Teraz fryzura...

Zaczesałem włosy, robiąc na czole coś w rodzaju grzywki i spryskałem lakierem, żeby się trzymała... Chyba wystarczy. Prezentuję się solidnie, ale grzywka nadaje mi wygląd dziecka. W dziesiątkę. Nie miałem zamiaru wyglądać na zbyt dorosłego, od takich paniczyków zwykle więcej się wymaga. A tak, po prostu miły dzieciak.

W przedpokoju starannie wyczyściłem garnitur szczotką, w czym bardzo pomógł mi domowy.

- Panie Ezergili, wygląda pan wspaniale - powiedział.

Ostatni raz obejrzałem się w lustrze.

- A wiesz, że masz rację? Że też wcześniej nie zauważyłem, jaki jestem wspaniały...

- Nie zaszkodziłaby jednak odrobina skromności - odparł burkliwie.

- Obowiązkowo - uśmiechnąłem się. - Jak tylko zrozumie, po co mi skromność, od razu trochę nabęde.

Nie czekałem na odpowiedź i wybiegłem z domu. Przed gankiem czekała Alona.

- O, cześć! - powiedziałem zdumiony. - Już myślałem, że nie przyjdiesz. Czemu nie weszłaś? Trzeba było zadzwonić, Nafania by cię wpuścił.

Pokręciła głową.

- A po co... Pochodziłam sobie trochę, obejrzałam okolicę.

- A... - Skinąłem głową ze zrozumieniem. - Boisz się. Ja też.

- Kto tu się boi?! - zjeżyła się od razu.

- Ja. A ty nie?

Nie odpowiedziała, tylko obejrzała mnie od stóp do głowy.

- Ezergil, świetnie wyglądasz!

- Szczerze mówiąc, ty też wyglądasz bardzo ładnie, chociaż w porównaniu ze mną...

- Ezergil!!!

- Czy ja coś mówię? Przecież nic nie mówię. Chciałem tylko powiedzieć, że nawet w porównaniu ze mną.

- Ezergil!

- Milczę już, milczę. Jakie wy, kobiety, jesteście wrażliwe...

- Zaraz dostaniesz w łeb! Zobaczymy, jak będziesz wtedy wyglądał przed komisją. I przekonamy się, kto tu jest wrażliwy.

- O, zawsze to samo. Jak tylko coś, od razu groźby. A potem szantaż.

Popatrzyliśmy na siebie i zachichotaliśmy.

- Przestań mnie rozśmieszać! - wyjęczała.

- Jeszcze nie zacząłem...

Przekomarzając się w ten sposób, doszliśmy do szkoły.

- Widzę, że bardzo ci wesoło... Ciekawe, z jakiego powodu? - wycedził Ksefon, gdy spotkaliśmy się przed wejściem. - O, przyprowadziłeś tego oswojonego aniołeczka?

Alona spięła się, a ja szybko chwyciłem ją za rękę.

- Nie widzisz powodu? - zapytałem. - Zaraz zobaczysz. Już niedługo...

Z tymi słowami wyminąłem go i trzymając Alonę za

rękę, wszedłem do budynku. Kilku uczniów, którzy przyszli tu w jakichś swoich sprawach, odprowadziło nas zdumionymi spojrzeniami. Ciężko byłoby nie zauważyć, że Alona jest aniołem, ale jeszcze trudniej było uwierzyć, że anioł idzie ręką w rękę z diabłem szkolnym korytarzem w piekle! Sam bym się zdziwił, gdybym coś takiego wcześniej zobaczył. Alona była spięta, chociaż nie dawała tego po sobie poznać, tylko mogłem się domyślać, ręka, za którą ją trzymałem, była zupełnie sztywna. Trąciłem anielicę lekko w bok i uśmiechnąłem się. Odpowiedziała mi wymuszonym uśmiechem.

- Gdybym wiedziała, że będą tak na nas patrzeć - wyszeptała - za nic bym tu nie przyszła.

- Niech sobie patrzą. Też mi dziwowisko. Anioł i diabeł idą razem. Ale heca...

Alona nie odpowiedziała, tylko jeszcze mocniej ścisnęła moją dłoń.

Przed wejściem do gabinetu, w którym zasiadała komisja, powitał mnie dyrektor. Z zainteresowaniem spojrzął na dziewczynę, ale zwrócił się tylko do mnie.

- Jesteś gotów?

- Jesteśmy gotowi - podkreśliłem.

- Och, dzieci, dzieci... Gdybyście zdawali sobie sprawę z tego, co robicie, czym prędzej byście uciekli.

- Myślę, że sobie poradzimy - odezwała się Alona, a ja zdecydowanie skinąłem głową.

- Chciałbym w to wierzyć - westchnął dyrektor. - Naprawdę chciałbym wierzyć, że zdołacie zmienić ten świat. No cóż, próbujcie, próbujcie...

- I tak pan to zostawi?! - usłyszałem groźny głos Wikientija. - Anioł w szkole, a pan nic z tym nie zrobi?!

- Panie Wikientiju... - Morsefey odwrócił się do naszego wychowawcy. - Co pańskim zdaniem powinienem przedsięwziąć? Jak rozumiem, ten anioł został tu zaproszony przez Ezergila. Uczeń ma pełne prawo zaprosić na komisję kogo chce, w ramach wsparcia. Takie są zasady naszej szkoły.

- Zmienię je, jak tylko zostanę dyrektorem! - palnął wychowawca.

- Ach, tak? - Dyrektor obrzucił go uważnym spojrzeniem. - Więc tu pan mierzy? Cóż, gdy już będzie pan dyrektorem, wówczas pan będzie ustalał prawa, a na razie proszę łaskawie przestrzegać moich.

Wikientij odburknął coś, ale szybko się wycofał, poszedł szukać Ksefona. Zresztą, nie musiał długo szukać, bo ten właśnie siedł z promiennym uśmiechem na ustach.

Opiekun odszedł z nim na bok i zaczął mu coś klarować, z rzadka rzucając mnie i Alonie chmurne spojrzenia. Czasem zerkał również na dyrektora. Morsefey chyba to spostrzegł.

- Nieładnie mówić źle o pedagogach przy uczniach, ale ten napszony kogut tak mi już obrzydł...

- Nic nie szkodzi. - Machnąłem ręką. - My w klasie nazywamy go jeszcze gorzej.

Dyrektor spojrział na mnie srogo.

- Młody człowieku, starszych należy szanować - już chociażby za ich wiek.

- Wiek - odparowałem - to, w odróżnieniu od

rozumu, rzecz nabyta.

Dyrektor chciał się chyba rozgniewać, ale niespodziewanie się uśmiechnął.

- Mały, daleko zajdziesz, jeśli wcześniej nie zgubi cię zarozumiałość. Spróbuj ją czasem pohamować.

- Jeśli jemu się nie uda, ja to zrobię - obiecała Alona, pokazując mi pięść.

Dyrektor roześmiał się. Zauważyłem, że Wikientij i Ksefon patrzą na nas ze zdumieniem i czujnością. Chyba powoli zaczęło do nich docierać, że coś tu jest nie tak. Bo skąd niby taka wesołość u przegranych?! Jednak nie mieli czasu głębiej się nad tym zastanowić.

- Panowie praktykanci, opiekunowie... - Drzwi gabinetu otworzyły się na oścież. - Zapraszam.

Ksefon i Wikientij weszli pierwsi. Potem dyrektor, a za nim ja, holując Alonę, która w ostatniej chwili doszła do wniosku, że poczeka na mnie na korytarzu...

Tym razem było mniej uroczyście - hurmą podeszliśmy do ławek i usiedliśmy, jak kto chciał. Dyrektor siadł w ławce równoległej do mojej, dzieliło nas tylko przejście, Alonę siłą posadziłem obok siebie. Ksefon i Wikientij zajęli miejsca w pobliżu komisji. Zerknąłem na nich przelotnie i skoncentrowałem się na sędziach.

Przewodniczący, ten sam starzec, który już wczoraj zrobił na mnie duże wrażenie, nie odrywał ode mnie wzroku. Poczujęm się bardzo nieswojo. Nawet się obejrzałem, w nadziei, że może jednak patrzy na kogoś innego... Widząc moje zdenerwowanie, odwrócił wzrok. Odetchnąłem z ulgą i zacząłem się przyglądać



pozostałym. Znałem imię tylko jednego z nich, to, które wczoraj wymienił przewodniczący - Korduł. Zdaje się, że był dobrym znajomym Wikientija, choć było to niezgodne z zasadami. Być może znalazł się w tej komisji przypadkiem... a może i nie.

Przewodniczący wstał bardzo powoli. Można by to tłumaczyć podeszłym wiekiem, ale zdaje się, że on specjalnie tak wstawał. Nikomu do głowy by nie przyszło, żeby rzucić mu się z pomocą.

Patrzył teraz na mnie.

- Dlaczego znajduje się tutaj anioł? - zapytał.

Dyrektor zerwał się. Spojrzałem na niego i zrozumiałem, że on też czuje się nieswojo w obecności tego sędziwego diabła.

- Panie przewodniczący, zgodnie z zasadami naszej szkoły, każdy praktykant ma prawo zaprosić jednego przyjaciela. Ezergil zdecydował się na anioła... Gdy przyjmowaliśmy tę zasadę, nie przyszło mi do głowy, że może powstać taka sytuacja... Jednak teraz nie mogę tak po prostu odwołać tego prawa.

- To oburzające! - zawołał Korduł, zrywając się z miejsca. - Żądam, żeby skrzydlata opuściła nasze zebranie!

Przewodniczący odwrócił się do niego.

- Panie Korduł, niech się pan tak nie gorączkuje. Nawet ja nie mogę nikogo zmusić do złamania prawa. W końcu nie jesteśmy ludźmi. Prosiłbym pana o okazanie szacunku gospodarzowi tej szkoły. - Korduł poczerwieniał i usiadł, a przewodniczący odwrócił się do Alony. - Młoda damo, witam panią w naszym

skromnym towarzystwie.

Dziewczyna w milczeniu wstała i skłoniła się, przewodniczący odpowiedział równie uprzejmym ukłonem, a potem powoli usiadł.

- Jaki to niesamowity starzec - szepnęła mi Alona. - Aż ma się ochotę stać przed nim na baczność!...

Skinąłem głową.

- A więc - odezwał się znów szef komisji - w planie dnia mamy wygłoszenie werdyktu odnośnie przyszłości dwóch praktykantów. Tak się złożyło, że ich losy są ze sobą powiązane i sukces jednego oznacza klęskę drugiego. Wszyscy obecni zostali wprowadzeni w sprawę, ale jednak przypomnę, o co chodzi. Szanowny dyrektor szkoły Morsefey i nauczyciel tejże szkoły Wikientij założyli się, który uczeń okaże się lepszy. Morsefey twierdził, że Ezergil, zaś Wikientij uważał, że ten do niczego się nie nadaje. Nazwał go nawet aniołeczkiem... - Przewodniczący spojrzął na wychowawcę, który poruszył się niespokojnie na krześle. - Panie Wikientiju - ciągnął dalej - uważamy za niesłuszne, gdy dzieci publicznie obrażają nauczycieli, twierdząc, że to podważa autorytet nauczycieli. Ale jeszcze bardziej niesłuszne jest publiczne obrażanie ucznia przez nauczyciela. Dziecko nie może mu odpowiedzieć i jest bezradne wobec autorytetu starszego wiekiem i pozycją.

- Ja... przepraszam, panie przewodniczący - wykrztusił Wikientij, rzucając mi złe spojrzenie.

- Tak właściwie powinien pan przeprosić nie mnie, lecz swojego ucznia. Tak samo publicznie, jak

publicznie go pan obraził.

- Co jest obraźliwego w słowie „anioł”?! - Alona wstała gwałtownie i spojrzała gniewnie na przewodniczącego. Pociągnąłem ją za rękę, żeby usiadła, ale opędziła się ode mnie. - Proszę mi powiedzieć, co jest w tym obraźliwego?!

Przewodniczący odwrócił się do Alony, jednak ku mojemu zdumieniu ona wytrzymała jego przenikliwe spojrzenie. I wtedy stało się coś niewiarygodnego, stary diabeł uśmiechnął się do niej! Samymi kącikami ust, ale jednak!

- Nic - odparł. - I dlatego nie zmuszam pana Wikientija do przeprosin. Tak właściwie on skomplementował swojego ucznia, albowiem to bardzo dobrze, gdy w diable jest coś z anioła. To pozwoli mu uniknąć cynizmu w naszej pracy. I bardzo dobrze, jeśli w aniele jest coś z diabła, bo to ułatwia podejmowanie stanowczych kroków w trudnych chwilach, nawet jeśli decyzje stoją w pewnej sprzeczności z tym, czego go uczono...

Aluzja była bardzo czytelna. Alona zaczerwieniła się i usiadła. Członkowie komisji nadal dawali głośno wyraz swojemu oburzeniu, ale błyskawicznie umilkli pod spojrzeniem przewodniczącego. Gdy w pokoju zapanowała cisza, starzec wrócił do przerwane go wątku.

- Jeśli w tej kwestii już wszystko jest jasne, to proszę, aby pan Wikientij wyciągnął właściwie wnioski z tego, co zostało tu powiedziane. - Nauczyciel pokiwał szybko głową, jednak nikt nie zwrócił na niego uwagi. - A teraz oddaję głos praktykantowi Ksefonowi.

Ksefon wstał, ustawiając się tak, żeby widział jego dumny profil i uśmiech. Z dużą pewnością siebie podszedł do miejsca, z którego miał wygłosić raport.

- Opowiedz o swoim zadaniu - poprosił przewodniczący.

Ksefon dość konkretnie i zwięźle opowiedział, jak pan Wikientij zatrzymał go po lekcjach i wyznaczył mu zadanie specjalne: przeszkodzić uczniowi Ezergilowi w zaliczeniu praktyki.

- W ten sposób miałem udowodnić, że Ezergil to zwykły kujon i lizus, uważany za prymusa tylko dlatego, że osłania go dyrektor szkoły.

O, to już na pewno nie były słowa Ksefona i raczej nie należało ich wygłaszać. Wikientij zakręcił się na krześle pod spojrzeniami wszystkich obecnych, jednocześnie bojąc się spotkać wzrokiem z dyrektorem.

- Zdaje się - odezwał się przewodniczący - że tutaj zakład szedł nie między uczniami, lecz pedagogami. Każdy uważał swoje metody wychowawcze za najlepsze. Cóż, sądzę, że wyniki tych praktyk powiedzą nam, kto miał rację. Zgadza się pan, panie Wikientiju?

- Tak! - zawołał ten, rozwścieczony. - Ezergil dał się poznać jako zupełnie niezdolny diabeł! Jego własne uczucia przesłoniły mu cel, przesłoniły wszystko! Czy taki diabeł może wyrosnąć na kogoś sensownego?! Bardzo mi przykro, że dyrektor nie był w stanie dostrzec tej jego słabości! Zmyliły go rzekome dobre wyniki Ezergila, za którymi kryje się jedynie tępe wkuwanie!

Przymknąłem oczy, hamując złość. Tępe wkuwanie?!

Czułem na sobie spojrzenia obecnych. Zaciśnąłem zęby. Nie powiem nic, ani słowa. Jeśli ktoś chce ode mnie cokolwiek usłyszeć, niech spyta wprost.

- Ezergili - usłyszałem głos przewodniczącego. - Nie chcesz skomentować słów swojego pedagoga?

- Nie - wycedziłem przez zęby. - Niech mu inni powiedzą. Potem...

- Nie chcesz pociągnąć go do odpowiedzialności za obrażę? Masz takie prawo.

- Nie. - Pokręciłem głową. - Nie zdołam obrazić go bardziej, niż on obraził sam siebie.

Zdaje się, że tylko przewodniczący zrozumiał moje słowa, zostałem zaszczycony nikłym uśmiechem.

- Tak - skinął głową starzec. - A panu, panie Wikientiju, radziłbym powstrzymać się od obraźliwych określeń. Jeśli okaże się, że Ezergil jednak nie jest takim oferwą, jak go nam pan przedstawił, będzie to oznaczało, że to właśnie pan nie poznał się na uczniach. I kto wtedy okaże się beztalenciem? Kontynuujcie, mistrzu Ksefon.

Ksefon kontynuował. Ha, i to mnie Alona zarzucała chwalipięctwo i zarozumiałość?! O, to tylko dlatego, że za mało obcowwała z Ksefonem... Ten to się dopiero chwalił! Jak zręcznie zdołał przeniknąć do ministerstwa, jak deptał mi po piętach, usiłując zrozumieć, jakie mam zadanie. Jak dzięki swojemu talentowi i błyskotliwemu intelektowi w końcu rozgryzł tę zagadkę...

- Od razu zrozumiałem, że Ezergil postanowił zgubić chłopca i zaciągnąć jego duszę do piekła. Wtedy matka Aloszy, zgodnie ze swoją obietnicą, musiałyby pójść za

synem. Gdyby do tego doszło, Ezergil zdobyłby zaliczenie praktyki.

- Więc, według ciebie, na czym miało polegać zadanie Ezergila? - sprecyzował przewodniczący.

- Miał zdobyć duszę znajdującą się na granicy piekła i raju - odparł dumnie Ksefon. - I wtedy ja postanowiłem mu przeszkodzić, a mogłem to uczynić, jedynie pomagając Aleksiejowi Nienaszewowi. Uratowanie go gwarantowało, że nic już nie będzie trzymać jego matki na ziemi i będzie mogła udać się do raju.

Zerknąłem na członków komisji. Niektórzy patrzyli na Ksefona z lekkim zdumieniem, jeden omal się nie roześmiał i tylko Korduł wyglądał na osłupiałego. Wikientij chyba zrozumiał, że coś tu jest nie tak.

- Aha. - Przewodniczący skinął głową. - Piekło nie mogło się wprost doczekać duszy tej kobiety, za mało jej się dostało za życia... Ten Ezergil to jednak okrutnik, żeby człowieka, który tak się nacierpiał na ziemi po śmierci ciągnąć jeszcze do piekła...

Przewodniczący otwarcie kpił z Ksefona, ale ten oczywiście tego nie rozumiał.

- To samo mówię! - podchwycił radośnie. - Bo co pan Wikientij mówił nam na lekcji? - Wyraźnie chciał się podlizać szefowi komisji. - Diabły to sędziowie, którzy zawsze muszą być sprawiedliwi. A jaka tu może być sprawiedliwość, jeśli kobieta, która nie miała lekkiego życia, po śmierci znajdzie się w piekle?

- A ty chciałeś, żeby sprawiedliwość zatriumfowała - powiedział przewodniczący. - Cóż, bardzo chwalebne.

Mów dalej.

- No i ja mu w tym przeszkodziłem. Pomogłem chłopcu uniknąć różnych pułapek Ezerčila i uratowałem jego duszę.

- A, od tego miejsca prosiłbym już z detalami.

Ksefon zaczął snuć szczegółową opowieść - ze swojego punktu widzenia. Co robił i jak... Wspomniał również o swoim genialnym posunięciu z walizką i dwoma milionami dolarów, z którą Alosza miał pójść do cerkwi, żeby zmazać swoje grzechy.

Blady jak ściana Wikientij odwrócił się w moją stronę. Spojrzałem na niego twardo. Nauczyciel chyba wszystko zrozumiał. Krew odpłynęła mu z twarzy, otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale od razu je zamknął.

- Chciał pan o coś zapytać tępego kujona? - spytałem głośno, nie odwracając oczu. To było jak nokaut. Nawet jeśli Wikientij miał jeszcze jakieś wątpliwości, to w tym momencie je utracił.

- Ty?... - wykrztusił.

- Tak. - Skinąłem głową. - Genialne posunięcie Ksefona: dać walizkę z pieniędzmi chłopcu, żeby poszedł do cerkwi prosić o odpuszczenie grzechów.

Niektórzy członkowie komisji z wyraźnym trudem powstrzymywali śmiech. Tylko Korduł siedział ponury, on jeden nie wiedział, o co chodzi. Przewodniczący komisji zachował niewzruszony spokój.

- Czy ktoś ma jakieś pytania do praktykanta? - zapytał.

Pytań nie było.

- Ezergilu, twoja kolej.

Wyszedłem do przodu. Spojrzałem na Wikientija. Ten patrzył na mnie jak królik na węża i chyba tak samo jak królik nie mógł oderwać ode mnie wzroku.

- Gdy byłem z wujkiem w ministerstwie kar - zacząłem - natknąłem się tam na pewną zbłąkaną duszę. Mój krewny, wiedząc, że jeszcze nie znalazłem dla siebie zadania praktycznego, zaproponował, żebym pomógł tej duszy uzyskać spokój. Jako diabłu ten pomysł nie bardzo mi się spodobał. Pomaganie jest niezgodne z profilem naszej działalności. Wprawdzie, karząc za zło, w pewnym sensie pomagamy ludziom, jednak to było coś zupełnie innego. Mimo to postanowiłem spróbować i w szkole otrzymałem to zadanie już oficjalnie.

Dalej opowiedziałem o swoich przygodach - o tym, jak podsłuchiłem rozmowę Wikientija i dyrektora, jak musiałem długo wmawiać Ksefonowi, że moje zadanie polega właśnie na zaciągnięciu duszy Zoi Nienaszewej do piekła.

- To znaczy - wtrącił się przewodniczący - że wykorzystasteś wysiłki wroga dla swoich celów?

- Tak. Uznałem, że to dobre rozwiązanie.

- Z całą pewnością świadczy o dużym mistrzostwie.

Kontynuowałem opowieść, rzecz jasna przemilczając pewne momenty. Przecież komisja wcale nie musi wiedzieć o tym, że kilka razy balansowałem na granicy złamania Prawa... I przez cały ten czas nie odrywałem wzroku od Wikientija, a on wpatrywał się we mnie jak zahipnotyzowany.



- A dlaczego zdecydowałeś się na współpracę z aniołem? - spytał mnie któryś z członków komisji. - Przecież do tej pory nie było ani jednego przypadku takiego współdziałania.

- Owszem, ale to jeszcze nie powód, żeby nie spróbować - zareplikowałem. - Kiedyś zawsze następuje ten pierwszy raz. Poza tym, pomyślałem tak: ja i anioł mamy to samo zadanie. Jeśli zaczniemy ze sobą rywalizować, będziemy tylko sobie przeszkadzać. W efekcie i ona zawali praktykę, i ja. A tu jeszcze kręci się Ksefon i bruździ nam obojgu. Można właściwie powiedzieć, że nie miałem wyboru. Jak się później okazało, podjąłem słuszną decyzję. I dlatego... - nabrałem powietrza w płuca, jak przed skokiem w otchłań i powiedziałem - biorąc pod uwagę sukces, jakim zakończyła się nasza współpraca, proponuję utworzyć zespoły składające się z aniołów i diabłów, przeznaczone do rozwiązywania tych zadań, które mogą być zbyt trudne dla działających pojedynczo przedstawicieli nieba i piekła. Ziemia wchodzi w okres przełomowy i myślę, że powołanie takich zespołów pozwoliłoby na rozwiązanie wielu drażliwych kwestii. Będzie to z korzyścią zarówno dla ziemi, jak i dla nas.

Korduł spojrział na mnie gniewnie. W komisji zawrzało. Ktoś rzucał głośnie oskarżenia, ktoś inny wołał, że taka współpraca jest niemożliwa z założenia.

- Rozumiem jednokrotne wykorzystanie anioła do swoich celów! - wołał wzburzony Korduł. - Coś takiego nie udało się jeszcze nikomu. Jestem nawet gotów ogłosić Ezergila bohaterem. To oczywiste, że praktykę

zdał celująco, jednak jego ostatnie oświadczenie sprawia, że zaczynam wątpić w jego zdrowy rozsądek!...

To była jawna próba przekupstwa, na dobrą sprawę właśnie otrzymałem propozycję zaliczenia praktyki z wynikiem „celującym” pod warunkiem, że zrezygnuję ze swojego „chorego” pomysłu. Więcej nawet! Proponowano mi niemalże zostanie bohaterem narodowym, który zdołał przechytrzyć anioła! Kusząca oferta... Wtedy właściwie byłbym już skazany na sukces. Otworzyłyby się przede mną drogi do najwyższych urzędów... Jeśli zaś zrezygnuję z tego układu... Być może coś osiągnę, ale z dużo większym prawdopodobieństwem skręcą mi kark. A wszystko to w zamian za wątpliwą przyjemność działania ramię w ramię z tym wrednym aniołkiem. Zerknąłem na Alonę - siedziała ze spuszczoną głową, zdaje się, że i ona świetnie to wszystko rozumiała... Tak, jeśli przyjmę tę propozycję i otwarcie oznajmię, że po prostu wykorzystałem anioła do osiągnięcia własnego celu, nigdy więcej jej nie zobaczę... Co wybrać?... Spojrzałem na przewodniczącego. Ten ściągnął brwi, ale nie odezwał się ani słowem. Podniosłem rękę, prosząc o uwagę. No cóż, być może skręcą mi kark, ale za to jakie ciekawe będzie moje życie!

- Widzi pan, to było w naszym wypadku obustronne - wyjaśniłem. - Wykorzystałem anielicę w tej samej mierze, w jakiej ona wykorzystała mnie. Działaliśmy razem, żeby osiągnąć ten sam cel. To się nazywa współpraca i właśnie takiego określenia wolałbym

używać.

Podniosłem głowę i napotkałem spojrzenie Alony. Jej oczy wyrażały zachwyt i niedowierzenie zarazem. Chyba była pewna, że jednak przyjmę propozycję Korduła. I bardzo słusznie! W końcu jestem diabłem, a czego można spodziewać się po diabłach? Wyłącznie mataczenia...

Chyba wszystkie te myśli odbiły się na mojej twarzy, bo dziewczyna poczerwieniała i spuściła wzrok, a potem wyszła z ławki, podeszła do mnie i stanęła obok - po prostu stanęła, nie mówiąc ani słowa.

W pomieszczeniu zapanowała cisza. Przewodniczący odchrząknął.

- Sądzę - przemówił - że to zbyt poważna sprawa, by dyskutować o niej w takim bałaganie. Co się zaś tyczy praktyki, uważam, że Ezergil zasłużył na ocenę celującą. Skłonić przeciwnika, żeby pracował dla ciebie, oto wyższa klasa sztuki diabelskiej. A jeśli chodzi o mistrza Ksefona, niestety, będzie musiał w przyszłym roku spróbować jeszcze raz. Panie Wikientiju, Zarząd Zakładu Piekielnych Gier Hazardowych oficjalnie informuje pana, że przegrał pan z Morsefeyem. Mistrzu Ezergil, lady Alono, sądzą, że szkoła nie jest odpowiednim miejscem dla takich demonstracji. Wasza propozycja zostanie rozpatrzona, ale nie tu i nie teraz. Wszystkiego dobrego, proszę państwa. Do widzenia.

Wstał i poszedł do wyjścia. Nikt się z nim nie spierał, nikt nie protestował, cała komisja ruszyła za nim w milczeniu. Gdy już opuścili salę, usiadłem na ławce, ocierając spocone czoło. Wtedy podbiegł do mnie

Ksefon.

- Myślisz, że jesteś najmądrzejszy, co? - zasyczał z nienawiścią. - Jeszcze zobaczymy! Ja tego tak nie zostawię! Ja cię dorwę! Dorwę i pogrążę!

Machnąłem tylko ręką, ale wtedy wtrącił się dyrektor.

- Ksefonie - powiedział zimno - prócz tego, że nie umie pan myśleć i wyciągać wniosków, nie umie pan również przegrywać, a proszę mi wierzyć, to bardzo ważna umiejętność. Czasem ładna przegrana jest warta każdej wygranej... Co zarzuca pan swojemu koledze z klasy? To, że okazał się sprytniejszy? Mielicie jednakowe szanse.

Ksefon nie odważył się dyskutować z dyrektorem i wybiegł, nawet na niego nie patrząc. Nie pożegnał się też z Wikientijem. Wychowawca przez cały ten czas siedział w ławce ze zwieszoną głową, lecz gdy za Ksefonem trzasnęły drzwi, drgnął i wstał. Chciał wyjść niezauważony, jednak natknął się na Alonę. Dziewczyna odsunęła się, ale na Wikientija już zwrócono uwagę. Zastygł i podniósł głowę, nasze spojrzenia spotkały się. Na ustach nauczyciela zagościł krzywy uśmiech. Odwrócił się do dyrektora. Chyba chciał coś powiedzieć, ale tylko bezgłośnie poruszył wargami. Wreszcie zrezygnował, skierował się do wyjścia.

- Panie Wikientiju! - zawołał Morsefey. Wychowawca zatrzymał się przy drzwiach, ale nie odwrócił głowy. - Czekam na pana dzisiaj w sprawie dopełnienia zakładu. Poza tym, myślę, że będzie chciał pan wyrazić jeszcze jedno życzenie. Prywatne.

Wychowawca wyszedł, dyrektor pokręcił głową.

- Nie miałem zamiaru go zwalniać - powiedział do nas, jakby się tłumacząc. - To dobry pedagog, jedynie zbyt zarozumiały i to zarozumiałstwo chciałem utemperować. Jednak dzisiaj sam wybrał swoją drogę, mówiąc, że chce zająć moje miejsce...

Tak w sumie to nieszczęśliwie mnie to obeszło. Co więcej, cieszyłem się, że Wikientij nie będzie już naszym Wychowawcą. I tak nasze stosunki były bardzo napięte, a już tej wygranej nie wybaczyłby mi na pewno. A belfer to nie Ksefon, może naprawdę zaszkodzić... Czym prędzej zmieniłem temat, żeby dyrektor nie zaczął żałować swojej szczerości.

- Panie dyrektorze, a co z naszą umową? Zdaje się, że należy mi się pięćset monet...

Dyrektor zaśmiał się.

- Pamiętam, nie martw się. Zaraz dostanę od Wikientija moją wygraną i oddam ci twoją część. Muszę przyznać, że zasłużyłeś. Oczywiście wiedziałem, że zwyciężysz, ale żeby zmusić wroga, aby ci służył... Tu mnie zaskoczyłeś. Dobrze, muszę jeszcze porozmawiać z Wikientijem. Przyjdź za godzinę, nagroda będzie na ciebie czekać.

Skinąłem głową.

- Dobrze... A na razie pójdziemy na spacer. Alona, chodźmy do parku, zdaje się, że mieli otworzyć nową atrakcję...

Bez słowa wyszła na korytarz, ale tam spojrzała na mnie surowo.

- Ezergilu! Powinieneś zrezygnować z tej wygranej!

To nieuczciwe! Wychodzi na to, że pomagałeś Aloszy nie dlatego, że on potrzebował pomocy, lecz dlatego, że chciałeś wygrać pieniądze!

- No pewnie - przyznałem. - Poza tym, dostałem zaliczenie praktyki. Jak myślisz, czy zaliczenie i pięćset monet to w sumie jednak nie jest trochę za mało za ciężką pracę, jaką wykonałem, pomagając ludziom?

- Ezergil! Jesteś nieznośny! Co za chamstwo!

- Wiem, nieraz o tym mówiłaś. Mam propozycję. Na przyszłość w ramach zaoszczędzenia czasu, zamiast wymyślać mi od różnych palantów, chamów i tym podobnych typów powiedz po prostu „diabeł”. Zrozumiem.

Alona westchnęła ciężko.

- Czasami nie rozumiem, kiedy żartujesz, a kiedy mówisz poważnie.

- O, to bardzo proste. Gdy jestem poważny, to żartuję, a gdy żartuję, to jestem śmiertelnie poważny.

- Specjalnie próbujesz mi namieszać?

- Czy ja wiem? Moim skromnym zdaniem namieszać można tylko temu, kto tego chce. To co, idziemy do parku?

- Nie. - Odwróciła się i ruszyła korytarzem do wyjścia ze szkoły.

Dogoniłem ją.

- Coś ty, obraziłaś się?

Pokręciła głową.

- Nie. Ale obiecałam, że przyjadę tylko na komisję. Zdałeś już swoją praktykę, a ja jeszcze nie.

- A czemu się denerwujesz? Myślisz, że coś pójdzie

nie tak?

- Nie wiem. Popełniłam dużo błędów. Przecież przeze mnie zginął ojciec Fiodor. Do tej pory nie mogę sobie tego darować.

Przez chwilę szedłem obok niej w milczeniu, potem w zadumie skinąłem głową.

- Tak naprawdę było w tym więcej mojej winy. To ja opracowałem plan.

- Nie jestem głupia! Potrafię myśleć, a skoro potrafię, mogłam znaleźć jakieś wyjście! Wiedziałam tyle, co i ty, powinnam ruszyć głową...

- Wiesz co, teraz to już głupio się oskarżać. Owszem, jest w tym nasza wina. Popełniliśmy błąd, ale nie zdołamy go naprawić. Możemy przyjąć go do wiadomości i więcej nie popełniać. Gdybym był na twoim miejscu, po prostu wykluczyłbym błędy ze sprawozdania.

Alona spojrzała na mnie z potępieniem.

- Nie wątpię - rzuciła zgryźliwie.

- Nie. - Pokręciłem głową. - Nie rozumiesz. Jeśli coś robisz, a nie wylegujesz się na piecu, wtedy potknięcia są nieuniknione i nic się na to nie poradzi. Chodzi o co innego: o nasz stosunek do pomyłek. Można do końca życia bić się w piersi i bać się kichnąć, bo a nuż kogoś przypadkiem zarazisz, a można uczyć się na błędach. Tak czy inaczej, najlepiej jest, gdy wiesz o nich tylko ty, inni wcale nie muszą być tacy uświadomieni.

- Pomyślę nad tym - odparła chłodno.

- Pomyśl. Błędy należy naprawiać, jeśli się da i starać się ich nie powtarzać w miarę możliwości. Nie chodzi o

to, żeby się kajać i wystawiać na widok publiczny, bo to już pachnie masochizmem. Może jeszcze pójdziesz za przykładem ludzi, weźmiesz jakiś kańczug, zdejmiesz buty i pójdziesz w świat, chłostając się batem po plecach. Wtedy wszyscy będą widzieli twój szczerzy żal.

Alona nie zaszczyciła mnie odpowiedzią.

- Słuchaj, jeśli mi nie wierzysz, to spytaj mojego wujka - wzruszyłem ramionami.

Zatrzymała się, na jej twarzy odmalowało się powątpiewanie.

- Myślisz, że on cię poprze?

Zawahałem się.

- Na pewno nie w każdym punkcie - przyznałem szczerze. - Myślę, że wiele kwestii pozostawi twojemu sumieniu. Jednak znam go na tyle dobrze, żeby wiedzieć, co myśli. Jest szczerześć i Szczerześć. Jedną wystawia się na pokaz, a druga po prostu jest. Zastanów się, której z nich więcej zawarłaś w sprawozdaniu.

Przygryzła wargę i popatrzyła na mnie w milczeniu. Stałem naprzeciwko niej i też milczałem.

- Wy, diabły, jesteście dziwni. Teraz zaczęłam wątpić w siebie, zaczęłam się zastanawiać, na ile moje czyny były szczerze, a ile było w nich pozerstwa.

- Tfu, tfu! I ty też spluń. Wcale nie o to mi chodziło! W końcu w każdym z nas żyje aktor i wszyscy w jakimś stopniu gramy swoje role. Nie koncentruj się na tym... A najlepiej porozmawiaj z wujkiem. Myślę, że on może podrzucić sporo materiału do przemyśleń.

- Dobrze.

- Tylko zrób to przed oddaniem raportu.



- Już powiedziałam, że porozmawiam.

- Świetnie. Więc jak, jesteś pewna, że nie chcesz iść do parku?

- Eżergil, to i tak cud, że mama pozwoliła mi jeszcze dziś przyjechać do piekła. Przecież muszę się przygotować... Jutro zdaję praktykę.

- To cię chociaż odprowadzę. Przyleciałaś czy przyjechałaś pociągiem?

- Pociągiem.

- Super, odstawię cię na dworzec i wrócę do szkoły.

Alona skinęła głową.

Na stację szliśmy bez pośpiechu. Milczeliśmy, z rzadka tylko wymieniając kilka nic nieznaczących słów. Oboje rozumieliśmy, że zrobiliśmy dziś pierwszy krok, który zupełnie zmieni nasze życie. Alonę pewnie dręczyły wątpliwości, tak samo jak mnie, tylko jej gorzej wychodziło ukrywanie tego. Nie umiała udawać. O, teraz też się zamyśliła i na pytania odpowiadała lekko bez sensu. Gdy już byliśmy obok dworca, zatrzymałem się nagle. Dziewczyna szła dalej, ale w pewnej chwili zorientowała się, że nie ma mnie obok, zawróciła i spojrzała na mnie zaskoczona.

- Coś ty?

- Posłuchaj, jeśli masz wątpliwości, jeśli nie jesteś pewna albo nie chcesz, to jeszcze wszystko można odkręcić.

- Co?

- Alu, nie udawaj! Świetnie wiesz, o czym mówię. Możemy się po prostu rozstać i już! Powiem, że żartowałem z tym połączeniem sił piekła i raj.

Widziałaś, jak zareagowali na moją propozycję. A przecież to i tak była bardzo opanowana reakcja, w komisji nie siedzieli zajadli ortodoksi. Wyobrażam sobie, jaki krzyk podniosą wyznawcy starego porządku...

- A co ty wtedy powiesz?

- Poprę cię.

- Nie kręć.

- Nawet nie próbuję. Ale ja jestem diabłem. Walka to mój żywioł. Mówiłem ci, pamiętasz? Pojedynek umysłów. To przecież Gra, z wielkiej litery! A ja jestem Graczem z natury... Im silniejsi są moi przeciwnicy, tym lepiej. Rozkoszowałem się nawet tą grą z Ksefonem, choć to nie mój format tylko drobnica, zwykły bies. A ja chcę być w pierwszej lidze! Więcej, chcę przecierać ścieżki, wytyczać szlaki! Zamierzam iść drogą, którą nikt przede mną nie szedł! To już nawet nie jest pierwsza liga, to sam szczyt! Nawet, jeśli skrećę kark, to nie stracę życia na wydeptanej ścieżce, lecz wspinając się na sam szczyt, tam, gdzie jeszcze nikt przede mną nie był. Będę pionierem!

Alona przechyliła głowę, patrząc na mnie badawczo.

- Wiesz, może jestem nienormalna... albo zaraziłam się od ciebie... ale mnie też się to podoba.

- Po prostu również jesteś z natury bojownikiem. Zrozumiałem to już na ziemi. Dlatego mi się spodobałaś. Nigdy się nie poddawałaś.

- Tak? A kto na początku chciał wszystko rzucić?

Machnąłem ręką.

- Po prostu brak ci było pewności siebie. Ale

wystarczyło trochę cię wesprzeć, podkreślić i już stawałaś do walki! Tworzymy idealną parę. Poza tym...

- Tak? - spytała, widząc, że się spieszyłem.

A ja zawahałem się, nie wiedząc jak dokończyć, a potem odwróciłem się.

- Poza tym cię lubię - dokończyłem. - I nie chciałbym, żeby nasza współpraca pozostała tylko wspomnieniem.

Nie patrzyłem na nią, więc nie widziałem, jak do mnie podeszła, po prostu nagle poczułem ręce na swoich ramionach. Odwróciłem się. Alona stała bardzo blisko, czułem płynące od niej ciepło. Pochyliła się do przodu i pocałowała mnie w policzek. Zamarłem.

- Ja też cię lubię - wyznała. - Mimo niektórych cech twojego wrednego charakteru. Jeśli chcesz, przyjedź jutro do mnie. Twoją rodzinę już widziałam, teraz ty poznałbyś moją.

Zdołałem tylko skinąć głową. Alona pobiegła w stronę dworca.

- Nie odprowadzaj mnie dalej! - poprosiła.

Odruchowo pomachałem jej ręką, a potem dotknąłem policzka. Patrzyłem w ślad za nią, ale zniknęła już w tłumie. Chyba z dziesięć minut stałem tak na środku placu, trzymając się za policzek. Więc naprawdę mnie lubi? Czy to możliwe? Przecież jestem diabłem! A ona...

W końcu zdałem sobie sprawę, że wyglądam dość głupio, więc czym prędzej zszedłem z placu. Ale przecież sama powiedziała, że mnie lubi! Sama! A anioły nie kłamią! Czyli?... Roześmiałem się. Mój

nastrój sięgnął niebywałych wyżyn i to wcale nie z powodu zdanej praktyki. O, a jak jeszcze dostanę swoją wygraną... I pogwizdując wesoło, pobiegłem z powrotem do szkoły.

## Rozdział 4

Chyba teraz każdy ranek będzie przynosił mi coś nowego... Wczoraj po powrocie ze szkoły w milczeniu położyłem na stole swoje świadectwo z oceną z praktyki i pięćset monet. Mój brat długo oglądał dokument, z niedowierzaniem skrobiąc paznokciem podpisy członków komisji.

- Ale przecież przegrałeś?... - dziwił się.

- Aha - odparłem, zgarnąłem pieniądze i z dumnie podniesioną głową poszedłem do siebie. - Chciałem tylko powiedzieć - zawołałem zza drzwi - że jutro jadę do raju! I proszę, żeby nie pakować mi żadnych rzeczy, jadę tylko na jeden dzień. Wracam wieczorem. Żadne walizy nie będą potrzebne.

Wbrew temu, czego się spodziewałem, rodzice nie protestowali, nawet brat się nie odezwał.

- Nasz synek stał się dorosły - w głosie mamy zabrzmiało jednocześnie zadowolenie i smutek. - Samodzielny...

- Tak... - to już głos ojca. - Prawdziwy diabeł...

W taki oto sposób zaczęło się dla mnie zupełnie nowe życie. Niby minął tylko jeden wieczór i ranek, ale nastąpiły niesamowite zmiany: mama już nie biegała za mną i nie domagała się, żebym zmienił skarpetki, czy ubrał się ciepło, bo na dworze ziąb. Dziś spostrzegłem, że chciałyby, jak zwykle, dać mi na drogę kupę rzeczy i jeszcze większą kupę dobrych rad. Powstrzymała się

jednak. Zauważyłem, że ojciec zaczął mnie traktować jak... jak równego sobie. Nawet brat nie wyrywał się, żeby mną komenderować.

Zjadłem śniadanie razem ze wszystkimi.

- No to jadę - powiedziałem, kierując się do wyjścia.

- Na razie. - Ojciec skinął głową, nie dając mi żadnych pouczeń.

- Przygotuję coś smacznego na kolację - obiecała mama.

Popatrzyłem na nią od drzwi. Ile musiało ją kosztować puszczenie mnie w podróż bez zwykłych komentarzy, bez spakowania mnie na drogę? Podszedłem i objąłem ją.

- Dziękuję. Postaram się szybko wrócić.

Mama chlipnęła i machnęła ręką.

- Idź już, nieszczęście ty moje.

Wybiegłem za drzwi. Na chwilę zatrzymałem się na ganku, wciągnąłem w płuca poranny chłód. Stałem tak chwilę, a potem zbiegłem na dół. Postanowiłem udać się na lotnisko. Bez względu na to, co wujek mówił o ludzkich wynalazkach, samoloty są znacznie wygodniejsze od latających dywanów. Ponadto piloci raczej nie wyskakują z nich z powodu głupich żartów... I wygodniej się siedzi. Byłem już teraz samodzielny, więc mogłem sam wybrać środek transportu do podróży między światami. Nic dziwnego, że mój wybór padł właśnie na samolot, przecież od dawna chciałem się nim przelecieć. Płonąc z niecierpliwości, wybiegłem na ulicę i złapałem taksówkę.

- Na lotnisko.

Samoloty nie cieszyły się taką popularnością jak stare środki transportu, więc udało mi się kupić bilet bez większego trudu. Już pół godziny później zająłem miejsce, rozglądając się z zainteresowaniem.

Jednak sam lot trochę mnie rozczarował. Przez małe okienka niewiele widać i prawie w ogóle nie ma się wrażenia podróżowania w powietrzu. Po co lecieć, skoro tego nie czujesz? O, gdyby tak podłoga była przezroczysta... Już szykowałem się do przeprowadzenia eksperymentu, ale powstrzymałem się w ostatniej chwili - przypomniałem sobie, czym skończył się mój żart na latającym dywanie. Tam chociaż był wujek, a kto by tutaj ściągnął z powrotem pilotów i pasażerów, spanikowanych, że samolot nagle stracił podłogę? Ale warto podrzucić komuś ten pomysł... niech nasi trochę podrasują ludzką technikę.

Rozmyślając nad sposobami udoskonalenia technicznych nowinek, dotarłem do domu wujka. Zadzwoiłem. Drzwi otworzyły się, ale nikogo za nimi nie było. Ostrożnie wsunąłem głowę, rozglądając się czujnie. Pusto.

- Profania, a gdzie jest wujek?

- Pan Monterrey poszedł do szkoły, przyjmuje dzisiaj praktykę - rozległ się z pustki znajomy głos.

Otworzyłem drzwi na oścież i wszedłem do domu.

- Jak to wyszedł, przecież praktykę będzie przyjmował dopiero za trzy godziny?

- Z tego, co zrozumiałem, chciał się do czegoś przygotować. Poza tym, dzwonił do kogoś.

- Dzwonił? To ciekawe... - Szybko zdjąłem buty i

podszedłem do półki z telefonem, nad którą siedział znany mi już doskonale ptaszek.

Na mój widok spłoszył się i zamachał skrzydłami, ale szybko się opanował i zastygł na swojej żerdzi.

- Papuziu - powiedziałem czule - czy byłbyś tak uprzejmy i powiedział mi, dokąd dzwonił mój wujek przed wyjściem?

Ptak zaniepokoił się nie na żarty.

- Mistrzu Ezergil! - krzyknął. - Niechże się pan zlituje! Nie mogę tego powiedzieć, to poufna informacja! Ja nie chcę do zupy!!!

- Zamknij się - burknąłem. No i gdzie się podziała moja wyszukana grzeczność?

Zamyśliłem się. Było jasne, że papuga nic mi nie powie i groźba wsadzenia jej do garnka tym razem nie zadziała. Wtedy bezczelny kłębek piór wiedział, że jest winien, ale miał za sobą prawo.

- Dobrze... W takim razie wiesz co? Znajdź mi wujka. Ile pamiętasz telefonów? Dzwonź wszędzie, do szkoły, gdzie tam jeszcze... Jak go znajdziesz, zawołaj mnie natychmiast. Możesz to dla mnie zrobić?

- Dla pana - zawołała radośnie papuga - dla pana wszystko, czego pan tylko zechce, mistrzu Ezergil! W tej chwili! Proszę się nie martwić, nawet nie zdąży pan usiąść.

O, proszę. Od razu widać, że to wzorowy egzemplarz. No bo co jest najważniejsze w kontaktach z drugą istotą? Tak jest, najważniejsza rzecz to dobrać do rozmówcy odpowiedni klucz.

Skłoniłem głowę i poszedłem do kuchni.



- Profania, nie napiłbyś się ze mną herbaty? Nudno tak siedzieć samemu.

- Jeśli jest pan pewien, mistrzu Ezergil... - powiedział nieśmiało domowy.

- Oczywiście, że jestem pewien. Nigdy nie mówię tego, czego nie jestem pewien. I przestań nazywać mnie mistrzem. Mów mi po prostu Ezergil.

Już byłem w kuchni i ustawiałem na stole filiżanki - ale cukier i esencja zjawily się bez mojego udziału. Jednocześnie na kuchni zagotowała się woda w czajniku.

- Dziękuję, Profania - powiedziałem do domowego, gdy ten nalał mi wrzątku do filiżanki.

Do obu filiżanek dolałem esencji, a tymczasem na krześle pojawiło się coś kosmatego i z apetytem zaczęło pić herbatę. Podsunałem mu talerzyk z ciastem, skrzat skinął głową. Jednak nie dane mi było nacieszyć się herbatą, zdążyłem wypić zaledwie pół filiżanki, gdy do kuchni wleciała papuga.

- Mistrzu Ezergil, pański wujek na linii!

Zakląłem cicho, wstałem i wziąłem słuchawkę.

- Halo? Tak, to ja. Jestem u wujka w domu. Tak, przyjechałem w odwiedziny, ale okazało się, że wyszedłeś. No, a jak myślisz, po co przyjechałem? A to już nie było potrzebne... i prosiłbym bez aluzji! Wujku, zamiast się śmiać, lepiej byś mi powiedział, jak znaleźć szkołę, do której ona chodzi... Bo wezmę, obrażę się i odłożę słuchawkę... Aha, no to właśnie nie odłożę, dopóki mi wujek nie poda adresu...

W końcu dostałem ten adres, pożegnaliśmy się i

odłożyłem słuchawkę na widełki.

- I jeszcze się śmieje! - burknąłem.

Poszedłem do kuchni, ale herbatę dopiłem już bez większej przyjemności.

- Idź, Ezergil. - Domowy machnął ręką. - Ja posprzątam.

- O, wielkie dzięki! - powiedziałem i pobiegłem do przedpokoju. Włożyłem szybko buty i wyskoczyłem z mieszkania.

Szkoła, do której chodziła Alona, znajdowała się dość daleko, musiałem skorzystać z usług pegaza. Długo zastanawiałem się, czy to ten sam pegaz, który podwoził mnie poprzednim razem, czy nie. Niby nie wyglądało na to, że mnie poznał, ale z drugiej strony, bardzo możliwe, że dla pegazów każdy diabeł wygląda tak samo - podobnie jak dla nas wszystkie pegazy. Głównowałem nad tym całą drogę. Pewnie, że to głupi problem, ale lepiej już myśleć o nim, niż o czekającym mnie spotkaniu. Ciekawe, jak anioły zareagują na przybycie czarta?

Pegaz wylądował przed szkołą.

- Należy się moneta - oznajmił.

Moneta? Za pięć minut lotu? Granda! Za monetę...

Widocznie te myśli odbiły się na mojej twarzy, bo pegaz spokojnie powiedział:

- Trzeba było iść piechotą, skoro tak ci szkoda pieniędzy.

- A co z tym gadaniem, że wszyscy powinni sobie pomagać? - spytałem kąśliwie.

- No to mi pomóż - odparł pegaz tak samo spokojnie.

- Zapłać za przejazd.

Co by nie mówić, te skrzydlate konie są jednak strasznie bezczelne. Pewnie myślą, że skrzydła czynią je podobnymi do aniołów! Ale przecież nie będę się z nim wyklócał... Wyjąłem monetę i wsunąłem koniowi do torby wiszącej na jego szyi.

- I po co się było wyklócać? - zapytał.

Nie zaszczyciłem go odpowiedzią, odwróciłem się i poszedłem do szkoły. Zdaje się, że to zupełnie nie uraziło skrzydlatego wierzchowca... Nie, to chyba jednak nie był tamten pegaz...

Wszedłem przez ażurowe szklane drzwi i rozejrzałem się. Holl był dość przestronny, podłogi wydawały się marmurowe, ale leciutko sprężynowały. Aż je pomacałem - rzeczywiście zrobiono je z jakiegoś miękkiego materiału. Na takich nie strach się przewrócić... Pewnie użyto tego materiału właśnie ze względów bezpieczeństwa, widocznie anielskie dzieci zachowywały się nie lepiej niż diabelskie.

Zapatrzony, nie od razu zauważyłem wujka, który siedział w jednym z miękkich foteli stojących pod ścianami i przyglądał mi się z uśmiechem.

- Podoba ci się? - zapytał, gdy w końcu go zauważyłem.

- Podoba.

- Nie masz ochoty zamienić swojej szkoły na tę?

Nie odpowiedziałem, takie pytanie nie zasługiwało na odpowiedź. Zresztą, wujek wcale się jej nie spodziewał. Wstał i gestem ręki poprosił, żebym szedł za nim.

- Twoja dziewczyna jeszcze nie przyszła - oznajmił,

gdy wchodziliśmy po schodach.

- Taka ona moja, jak i wujka - zjeżyłem się od razu.

- Możliwe - nie spierał się. - Ale ja nie jechałbym z piekła do raju tylko po to, żeby być obecnym na zaliczeniu jej praktyki. Zresztą, podejrzewam, że ona też nie pojechałaby dla mnie do piekła.

Gdy mój skrzydlaty krewny jest w takim szampańskim nastroju, lepiej nie wchodzić mu w oczy, a jak się już weszło, to siedzieć cicho i taką właśnie taktykę przyjąłem. Ale okazało się, że niepotrzebnie, wujek nie wygłaszał już żadnych złośliwych komentarzy, spojrział na zegarek i nagle zaczął się spieszyć.

- Dobrze, Ezergili, muszę cię teraz przeprosić. Myślę, że nie będziesz się tu sam nudził, poza tym, wkrótce powinna przyjść twoja dziewczyna. Czeka pod gabinetem numer czterdzieści dwa, ja jeszcze muszę wykonać jeden telefon.

Skinąłem głową. Pewnie, że nie jest miło pętać się samemu w obcym miejscu, ale to lepsze niż słuchać złośliwostek wujka.

Anioł tymczasem już zniknął. Poszedłem szukać gabinetu numer czterdzieści dwa, jednocześnie zwiedzając szkołę, w której uczą się anioły. Wkrótce doszedłem do wniosku, że to nie szkoła tylko normalnie jakiś pałac... Przezroczysty dach, dzięki temu korytarze są oświetlone naturalnym światłem; lekcje odbywały się rano i w dzień, wieczorem nikt się tu nie uczył. Ciekawe, czy w pochmurny dzień uczą się w półmroku? A może mają wolne?

*Raz pewna wiedźma młoda  
Mieszkała w leśnej głuszy.  
I kiedyś chorzy chłopi,  
Po pomoc do niej przyszli.*

Wyteńczyłem słuch. Jakiś głos starannie powtarzał słowa ballady. Znałem ją, kiedyś uczyliśmy się tego w szkole, w najmłodszych klasach. Ostrożnie wyjrzałem zza rogu i zobaczyłem aniołka wygodnie usadowionego na krześle. W jednej ręce trzymał książkę, drugą sobie dyrygował, pewnie pomagało mu to w zapamiętywaniu wiersza. Zadeklamował cztery wersy, porównał z książką, po czym zadowolony skinął głową. Znow zamknął książkę i wygłosił następną zwrotkę.

*Prosili, by im pomóc,  
Tak bali się umierać,  
Że dusze za tę radę,  
Pragnęli wiedźmie sprzedać.*

Aniołek zobaczył mnie i uśmiechnął się radośnie.

- Cześć! - pomachał ręką.

Obejrzałem się, może prócz mnie jest tu ktoś jeszcze? Ale nie, w tej części budynku byliśmy tylko my dwaj. Zrobiłem krok do przodu, siadłem na krześle obok.

- Cześć - odparłem nieco zaskoczony, nie rozumiejąc, z czego tak się ucieszył ten szkrab.

- Nie pomógłbyś mi? - zapytał.

Mógł chodzić najwyżej do dwunastej klasy.

- Ja? - zdumiałem się jeszcze bardziej. - Hm... A o co

chodzi?

- No bo tak... Mamy się nauczyć wiersza na pamięć, a mnie się nie udaje. Każdej zwrotki z osobna się nauczyłem, ale jak chcę powiedzieć wszystkie razem, to mi nie wychodzi, zapominam...

Wziąłem książkę z rąk chłopca i zerknąłem.

- „Ballada o ludzkiej wdzięczności”. Znam... ale nie przypuszczałem, że i u was się ją omawia.

Chłopiec popatrzył na mnie zdumiony.

- Jak to „u nas”? A ty skąd jesteś?

- Ee... - Machnąłem ręką. - Stamtąd. Przyjechałem w odwiedziny... No dobra, spróbujemy. Weź książkę i przeczytaj cały wiersz. - Zmieniłem temat, zerkając w stronę gabinetu numer czterdzieści dwa, który znajdował się w pobliżu. Dlaczego nie miałbym pomóc dziecku, zwłaszcza że i tak nie miałem nic lepszego do roboty?

Chłopiec wziął książkę, wyprostował się na krześle i odetchnął. Zastygł na chwilę, a potem z uczuciem zadeklamował:

*Raz pewna wiedźma młoda,  
W leśnej żyła komyszy.  
I kiedyś chorzy chłopi,  
Po pomoc do niej przyszli.*

*Prosili, by im pomóc,  
Gdyż bali się umierać.  
I dusze za poradę  
Pragnęli wiedźmie sprzedać.*

*„Nie trzeba mi dusz waszych,  
Zła nie ma w moich czynach.  
Bo cały sekret w wiedzy,  
W leczniczych tkwi roślinach.*

*To dla mnie trud jest żaden,  
I wnet was wykuruję  
A napar wam leczniczy  
Od razu przygotuję".*

*I minął tydzień cały,  
Niedziela już nastaje.  
Podstępna, zła choroba  
Cierpiącym spokój daje.*

*Z wdzięczności nasi chłopci,  
Na wiedźmę wraz donieśli.  
Oddziały inkwizycji,  
W zielony las powlekli.*

*Rozwarły się drzwi chaty,  
Żołnierze się cofnęli,  
Zaś ojczulkowie święci,  
Wraz krzyże swe podjęli.*

*Spojrzała na nich wiedźma...  
„Czekałam na was dawno!  
Skończone moje dzieła,  
Płomienie mnie ogarną.*

*A wy, już dzisiaj zdrowi,  
Wspomnicie czas ten później  
I tę, która przed śmiercią,  
Uratowała ludzi.*

*Gdybym nie dala leków,  
Gdyby się tak zdarzyło,  
Żebyście szczęśli w męce  
Zbrojnych by tu nie było.*

*Szkoda, że nie potrafię,  
Patrzeć na ludzką nędzę.  
I za ten grzech śmiertelny  
Dziś życia się pozbędę".*

*Wśród nocy stos zapłonął,  
A iskry mkną już w dal...  
Rozprawa trwała krótko:  
Tłum woła: „Spal ją, spal!”.*

*Czas płynie i stuleci,  
Minęło mało-wiele...  
Wszak ludzie się zmienili,  
Nieprawdaż, przyjaciele?*

*Lecz nagle słysząc znowu  
„Jest złem! ” - to ślepców krzyk.  
I znowu obłąkane:  
„Na krzyż go! Hej! Na krzyż!”*



- Bardzo dobrze - pochwalilem. - A teraz to samo tylko bez książki.

Tu już było gorzej.

Pierwsze dwie zwrotki jeszcze jako tako, ale dalej wychodził groch z kapustą.

- Słabo mi idzie - westchnął chłopiec, gdy już sam zrozumiał, że się zaplątał.

Znów wziąłem do ręki książkę, popatrzyłem...

- Może dlatego, że nieprawidłowo czytasz. Chłopiec popatrzył na mnie zdumiony.

- Nieprawidłowo? A jak trzeba?

- Hm, a może tak... - Wziąłem książkę. Zmarszczyłem czoło i wstałem, trzymając książkę w wyciągniętej ręce. - A więc, ballada...

*Pewna dziewczyna młoda,  
mieszkała w leśnej głuszy.  
Dostatnio sobie żyła  
I nikt jej tam nie ruszył.*

*A okoliczni chłopci  
myśleli: „Co tam kryje?  
Co dziewczka tam wyrabia?  
I z czego ona żyje?*

*I co to znów za draby,  
Noc w noc przyłazą do niej?  
I czemu od wieczora,  
Ogień pod kuchnią płonie?"*

*I tak za radą rada  
Do wniosku doszli smerdzi,  
Że dziewczka tam rozrabia  
I bimber w chacie pędzi.*

*Przyjezdny wcióż nalewa  
I zgarnia gruby szmalec!  
Ale by dać sąsiadom?!  
To nie, nawet na palec!*

*To chciwe dziewczuszko!  
Wtedy stwierdzili chłopi,  
Że trzeba inkwizycji  
Szybko powiedzieć o tym.*

*Że dziewczka nielegalnie,  
Wypędza bimber w chacie -  
Chociaż patentu nie ma!  
Życiem niech za to płaci!*

*Do lasu przyszli mnisi,  
Już do drzwi chaty walą.  
Nieszczęsna, śmierć nadchodzi,  
Wnet ją na stosie spalą.*

*„No, dawaj, koleżanko,  
- i w ławę walą kubkiem -  
Co pędzisz? Mów nam zaraz  
Wszak wziąć musimy próbkę!”*

*„Zapraszam was, ojcowie,  
Niech każdy z was spróbuje.  
Napije się i powie,  
Czy kunszt mój wam smakuje”.*

*Poweseleli mnisi,  
I krzyże odłożyli.  
Na stole już zakąska,  
Ojcowie się popili.*

*Zaczęła się hulanka!  
Wnet się upili w dym  
Radości nie sprawili  
Donosicielom cnym*

*Nazajutrz wcześniej rano,  
Chłopi ze słońcem wstali,  
I mnichów pijaniutkich  
Pod chatą pozbierali.*

- Czego ty uczysz dziecko?! - usłyszałem oburzony okrzyk za plecami.

Odwrociłem się szybko.

- A, cześć, Ala. Czekałem na ciebie... My tu z chłopcem tego... pracujemy. Uczy się wiersza.

- Widzę. - Ani w głosie, ani w spojrzeniu Alony nie było nawet cienia podziwu dla mojego poświęcenia. - Co to za wiersze?

- A takie jakieś... teraz mi się przyplątały.

- Aha. - Alona wyrwała mi książkę z ręki i spojrzała

na wiersz. - Cudownie. Chłopiec ma się nauczyć ballady na pamięć, a ty czego go uczysz?!

- Tego, co trzeba - odpowiedziałem z ważną miną i odwróciłem się do malca. - Podobało ci się?

Maluch skinął radośnie głową.

- Tak! A co to znaczy „rozrabiać”?

- Nie słuchaj byle czego - odezwała się Alona, zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć. - Ten duży nicpoń sam nie wie, co mówi. Najlepiej od razu zapomnij, co ci nagadał.

Chłopiec wzruszył ramionami, a potem spojrział na zegarek i powiedział:

- Muszę już iść. - Zebrał książki i rzekł: - Do widzenia.

- Do widzenia - odparłem.

Mały wziął torbę i poszedł do wyjścia.

- Pewna dziewczyna młoda mieszkała w leśnej głuszy... - usłyszeliśmy jego radosny głos.

Alona popatrzyła na mnie posepnie.

- Zadowolony?!

- Za to się nauczył, prawda? - Wzruszyłem ramionami. - Zobacz, dzieciak się męczy, uczy się tej ballady, nic mu nie wychodzi, a tu proszę, od razu wszystko zapamiętał!

- Jeszcze mu poradź, żeby tak odpowiedział na lekcji.

- A co, źle wyszło? Moim zdaniem niczego sobie.

Alona obrzuciła mnie ciężkim spojrzeniem, więc szybko zmieniłem temat, najwyraźniej ja i Alona lubimy różne rodzaje poezji... No cóż, w końcu nawet ona nie jest doskonała, każdy ma jakieś wady... Ale te

przemyślenia zostawiłem już dla siebie.

- Ala, co się czepiasz wierszy... Myślałem, że się ucieszysz na mój widok.

Alona popatrzyła na mnie uważnie, a ja odpowiedziałem uczciwym spojrzeniem.

- Cieszę się. I dziękuję. Ale jeszcze bardziej bym się cieszyła, gdybyś przynajmniej raz od wielkiego dzwonu dał spokój swoim sztuczkom.

- Wtedy byłbym aniołem, a nie diabłem - odparłem rezolutnie.

- A pewnie! - prychnęła. - Najwyraźniej potrzebny ci nadzorca.

- Tak? A jeden dzin wspominał o kagańcu.

- Kaganiec też by nie zaszkodził - zaśmiała się. - Wyobraź sobie, jak ładnie byś wyglądał...

- Wyobraziłem - odburknąłem.

W tym momencie drzwi gabinetu numer czterdzieści dwa otworzyły się, na progu stanął wujek. Alona natychmiast spoważniała i skuliła się. Nasze żarty pozwoliły jej zapomnieć o zdawaniu praktyki, odprężyć się, a teraz znów przypomniała sobie, po co tu przyszła. Aż zbladła... Żeby dodać jej otuchy, trąciłem ją w bok i pokazałem uniesiony do góry kciuk: wszystko super, trzymaj się! Uśmiechnęła się słabo i na sztywnych nogach weszła do gabinetu. Po co się tak denerwuje? Przecież to jasne, że zda.

Poszedłem za nią, ale w tym momencie na moim ramieniu spoczęła ręka wujka.

- A ty dokąd? Wybacz, ale to nie wasza szkoła. Teraz odbędzie się narada i obecność osób postronnych jest

absolutnie niewskazana.

- A to dlaczego?! - oburzyłem się.

- A dlatego! Chciałbyś wywnętrzać się przed całym tłumem słuchaczy? A przecież ona, w odróżnieniu od ciebie, nie będzie kłamać...

Oczywiście wujek miał rację. Czego jak czego, ale kłamać Alona nie umiała kompletnie. To znaczy, nigdy nie słyszałem, żeby zełgała, więc nie mogłem z całą pewnością powiedzieć, czy potrafi czy nie, jednak wydawało mi się, że nie.

- Dobrze, poczekam - burknąłem.

- I słusznie. - Wujek wrócił do gabinetu, starannie zamykając za sobą drzwi.

Niepotrzebnie, i tak nie miałem zamiaru podsłuchiwać. Wydawało mi się, że byłoby to nieuczciwe wobec Alony. Przecież tak naprawdę nie wiedziałem, co ona będzie opowiadać... A może nie chciałaby, żebym słyszał? Taak. Doczekałem się... Chyba zaczynam już rozumieć tę słynną moralność aniołów, która powstrzymuje je od różnych czynów. Jaki ja byłem głupi, że się z niej śmiałem!

Usiadłem na krześle i zacząłem czekać. Kurczę... Przecież to nie ja zdaję, a denerwuję się bardziej niż Alona. Najśmieszniejsze było, że świetnie wiedziałem, iż ona zaliczy praktykę, ale czułem, że tak naprawdę nie chodzi o zaliczenie... Za tymi wszystkimi zadaniami praktycznymi kryło się coś więcej niż zwykła chęć pedagogów poznać się nad dziećmi i obrzydzenia im wakacji.

Anielica wyszła z gabinetu po godzinie, zamyślona I

lekką smutną. Aż się przestraszyłem: czyżby nie zdała? Ale gdy spojrzałem na wychodzącego za nią wujka, odetchnąłem z ulgą. Dlaczego w takim razie jest smutna?

Wujek popatrzył na mnie, potem na Alonę i powiedział:

- Dzieciaki, mogę się z wami trochę przejść? Chciałbym wam coś wyjaśnić.

Skinąłem głową. No, no, robiło się coraz ciekawiej. Alona wykonała jakiś ruch ręką, który nie wiadomo co miał oznaczać, jednak wujek uznał to za znak zgody. Stał między nami i poszliśmy razem do wyjścia. Przez cały czas milczał, ja też. Gdy znaleźliśmy się na dworze, anioł przystanął i rozejrzał się.

- Chodźmy do Parku Wodnego, tam sobie porozmawiamy. Woda działa na mnie uspokajająco.

Słyszałem o tym Parku, był tylko jeden taki na cały raj. Jedyne miejsce w trzech światach, gdzie woda płynęła do góry. Tam działały zupełnie inne prawa.

Aż do samego Parku wszyscy milczeliśmy. Ja dlatego, że wiedziałem, iż nie ma sensu o nic pytać, zaś Alona rozmyślała o jakichś swoich sprawach. Widać było, że rozmowa z komisją wywarła na niej duże wrażenie...

Wujek ożywił się dopiero wtedy, gdy dotarliśmy na miejsce. Zatrzymał się przed fontanną... Woda wzbijała się na pięć metrów i wypełniała na górze potężną misę. Gdy misa przepełniała się, woda spływała w dół do większej misy, z tej z kolei woda spływała do trzeciej, jeszcze większej, i tak aż do samej ziemi. Niby nic

takiego, a jak ładnie wygląda... Wujek stał przed tą fontanną ze trzy minuty, a potem ruszył Aleją Wodną. Tu już było znacznie ciekawiej. Po obu stronach wznosiły się cienkie ściany wody, łącząc się w górze i tworząc sklepienie. Przy tym ani jedna kropla nie spadła na drogę, a odwiedzający park szli alejką pod prawdziwym dachem wody. Promienie słońca, natrafiając na tę przeszkodę, załamywały się, tworząc w środku tęczy tunel. To było... przepiękne. Odwróciłem się w środku tej tęczy, patrząc, jak moje ubranie mieni się wszystkimi kolorami.

- Co o tym myślisz, Ezergilu? - wyrwał mnie z zamyślenia głos wujka.

- To wspaniałe - odparłem szczerze.

Odwrócił się do mnie gwałtownie, ściągnął brwi, a potem uśmiechnął się, chyba zrozumiał, o czym mówię.

- Nie chodziło mi o Aleję.

- A o co?

- Uch! Ezergil, gdybym nie wiedział, jaki jesteś inteligentny, pomyślałbym, żeś się wczoraj urodził! Przestań się wygłupiać, ja mówię poważnie.

- Ale ja naprawdę nie rozumiem!

- Chodzi mi o waszą decyzję. Nie rozmyśliliście się jeszcze?

Alona w milczeniu pokręciła głową i, jakby wystraszona, spojrzała na mnie pytająco.

- Dużo o tym rozmawialiśmy - przyznałem. - Podobają mi się ten pomysł. Jest niezwykły i szokujący.

- Tak, w twoim stylu - uśmiechnął się wujek. - A czy zdajecie sobie sprawę z konsekwencji?



- Nawet już widzieliśmy pewne konsekwencje - przyznała się cicho Alona. - Jak byłam z Ezergilem na jego praktyce.

- Tak, wiem, o czym mówisz. Nie będę pytał, po co żeście to zrobili, mogę się tylko domyślać, czyj to był pomysł. Nawet w drobiazgach nie chcesz nic nikomu zawdzięczać, prawda, bratanku?

Wzruszyłem ramionami.

- Dzięki temu mam większe pole manewru. Wdzięczność zawęży możliwość działania.

- Tak sądzisz? - Wujek przygryzł wargę. - Kiedyś i ja tak myślałem...

Zerknąłem na niego zaskoczony - nigdy go takim nie widziałem. A wujek, jakby nie widząc mojego spojrzenia, stał zapatrzony w dal.

- Nie opowiadałem ci, dlaczego postanowiłem zostać aniołem? - odezwał się. - Ależ oczywiście, że nie. Nikomu o tym nie opowiadałem. - Oho, robi się ciekawie... Ja i Alona popatrzyliśmy na siebie. - Nie opowiadałem, ponieważ wiedziałem, że nikt mnie nie rozumie. Ale teraz... teraz myślę, że wy dwoje zdołacie to pojąć. Kiedyś, dawno temu pokochałem anioła...

Wujek zakochany?! Ten, dla którego praca była wszystkim?! A to ci nowina! Zacząłem słuchać bardzo uważnie.

- A ona... ona powiedziała, że robię to wszystko tylko po to, żeby podstępnie przeciągnąć ją na stronę piekła. Nie wierzyła mi. - Znowu wymieniliśmy z Aloną spojrzenia. - Już wtedy proponowałem jej, żebyśmy działali razem, mówiłem, że to szansa dla nas

wszystkich... ale ona dopatrywała się w moich słowach podstęp i nie chciała mi wierzyć. Być może działało się to zbyt wcześnie... Musiało dojść do reform Gorujana, żebyśmy zaczęli inaczej na siebie patrzeć. Żebyście wy, nowe pokolenie, zyskali szansę...

Wujek zamilkł. Staliśmy w ciszy dłuższą chwilę; dopiero, gdy zrozumiałem, że nic więcej nie powie, zapytałem nieśmiało:

- Jak się to skończyło?

- Jak? - Popatrzył na mnie. - Kiedyś ona znalazła się w opresji, działało się to na ziemi. Miała ogromne problemy i nigdy nie zdołałaby się stamtąd sama wydostać. Ale ja ją wyciągnąłem, uratowałem... Anioły! Wtedy ich nie rozumiałem. Powiedziała, że chce ją do siebie przywiązać wdzięcznością, żeby zwabić w piekielne sieci. Żeby do tego nie dopuścić, skończyła ze sobą.

- Ale głupia! - nie wytrzymała Alona. - Musiała zupełnie nie mieć serca, skoro nie potrafiła odróżnić miłości od udawania!

Myślałem, że wujek się rozzłości, ale on tylko skinął głową.

- Masz rację, dziecko. Dopiero gdy zostałem aniołem, zrozumiałem, że mój wymarzony ideał tak naprawdę był tylko pustą błyskotką. Jednak żeby to zrozumieć, musiałem zabić w sobie miłość. I tak to właśnie było... Ale to stare dzieje, nie sądzę, żeby was interesowały. Lepiej pomówmy o dniu dzisiejszym. Z radością muszę powiedzieć, że oboje wywiązaliście się ze swoich zadań i to dobrze.

- Zaraz tam dobrze - burknęła Alona. - Tyle błędów popełniliśmy... Przez nas zginął ojciec Fiodor...

- Ach tak... - Wujek pokręcił głową. - Wiedziałem, że ta sprawa wkrótce wypłynie. Cóż, zapytajmy o to samego zainteresowanego... - Anioł machnął ręką i wtedy z naprzeciwka podszedł do nas jakiś człowiek - zastrzelony kapłan! Obok niego szła Zoja Nienaszewa.

- Dzień dobry - uśmiechnął się duchowny.

- Dzień dobry - odparłem, przechylając głowę na bok i przyglądając się obojgu. - A wy nie tego... No, nie wyruszyliście do swoich światów?

- Nie - odrzekł z uśmiechem. - Pan Monterrey prosił, żebyśmy zostali jeszcze trochę, żeby się z wami spotkać. Był pewien, że będziecie obwiniać się o moją śmierć.

- A nie mamy racji? - zapytała nieśmiało Alona. - Nie jesteśmy winni?

- Jak by wam powiedzieć... Załóżmy, że wtedy zamiast się odprężyć, przewidzielibyście, co się stanie. Co byście zrobili? Jak moglibyście wpłynąć na sytuację?

- Coś byśmy wymyślili - zapewniłem.

- W tamtej konkretnej sytuacji być może. A potem? Może sądzicie, że ci ludzie odpuściliby sobie? Nie, to był wyłącznie nasz problem, ludzi. I jeśli miałbym kogoś obwiniać o swoją śmierć, to tylko siebie. Przecież wiedziałem tyle samo, co wy, sam mogłem wszystko przewidzieć.

- Mówi pan to, żeby nas uspokoić? - zapytała Alona.

- Tak. Czy to za mało? A może sądzisz, że was

oszukuję?

- Alono, wierz mi, nie warto się obwiniać - wtrąciła Zoja. - Fiodor wiele mi opowiedział, również o tym, o czym wy nie mówiliście.

Zjeżyłem się pod baczny spojrzeniem Nienaszewej. Zgadza się, nie mówiłem jej wszystkiego. No i co? Po co miałyby wszystko wiedzieć? Czy mogłaby pomóc?

- Potrafię zrozumieć, dlaczego kazaliście mi się denerwować i rozumiem, że mój syn musiał sam przejść przez wasze próby. - Zoja westchnęła ciężko.

- Możecie być z siebie dumni - rzekł wujek. - Popatrzcie... - Ostrożnie przesunął ręką przed sobą i ziemia rozstała się...

Patrzyliśmy w dół, ale tam nie było ciemno. Nasze spojrzenia pobiegły w głąb i nagle wyrwały się na otwartą przestrzeń. Wokół płynęły chmury, przez prześwity widać było ziemię, która nagle pomknęła w naszą stronę. Przechodziliśmy przez ściany domów i drzewa, wszystko złało się w ciąg, a potem zatrzymało gwałtownie. Rozejrzałem się. Zdaje się, że byliśmy w szpitalu, w jakiejś sali...

Na łóżku leżał mężczyzna podłączony do kroplówki, pikający przyrząd na szafce rejestrował jego stan. A obok łóżka, na krześle siedział chłopiec, patrzył na mężczyznę i mocno ścisnął jego rękę. Mężczyzna spoglądał na chłopaka. Wyglądało to tak, jakby badali się wzrokiem.

- Synku... - westchnęła stojąca obok mnie Zoja.

Dopiero wtedy poznałem Aloszę i jego ojca... Chyba nas nie widzieli i nie słyszeli, w każdym razie nie

zareagowali na nasze pojawienie się. Zoja podeszła do syna, chciała pogłaskać go po głowie, ale jej ręka przeszła przez chłopca. Zoja zaszlochała, zaś Alosza chyba coś poczuł, drgnął, rozejrzał się i uśmiechnął.

- Alosza... - powtórzyła Zoja, klęcząc przy nim. Łzy płynęły jej po policzkach.

- Mama? - szepnął chłopiec.

Zdumiony odwróciłem się do wujka, ale on był tak samo wstrząśnięty. Alona uśmiechała się, ale ona również nie miała z tym nic wspólnego - chłopiec sam coś poczuł.

Mężczyzna mocniej ścisnął rękę chłopca.

- Synku - odezwał się. Po jego policzku też spłynęła łza. - Czy zdołasz mi kiedykolwiek przebaczyć?

- Tato... - Alosza odwrócił się do ojca. - Przecież teraz wszystko będzie dobrze, prawda?

- Prawda. Obiecuję ci. I twoja mama będzie mogła być z ciebie dumna. Wyrośniesz na prawdziwego człowieka... Innego niż ja.

Wujek ostrożnie dotknął ręki Zoi.

- Czas na nas.

Nienaszewa od razu wstała i szybko wytarła łzy.

- Tak, czas na nas... - szepnęła, a potem odwróciła się gwałtownie do wujka. - Dlaczego nie mogę zobaczyć, jak będzie dorastał mój syn?! Dlaczego nie mogę go wychować?! Dlaczego?!

Anioł rozłożył ręce.

- Przepraszam... - powiedział nie wiadomo dlaczego.

Sala szpitalna nagle zgasła i znów znaleźliśmy się w Alei Wodnej.

- Naprawdę wszystko będzie z Aloszką dobrze? - spytała Zoja.

- To już zależy od niego... Ale wiele zrozumiał i wiele się dowiedział. I teraz ma ojca.

Zoja zamilkła, a potem odwróciła się do mnie.

- Tak, diable, mimo wszystko wygrałeś. Przyznaję, że wszystkie moje cierpienia były tego warte. Byłam gotowa pójść do piekła, żeby tylko pomóc synowi...

Pokręciłem głową.

- To nie moja zasługa. Chłopak po prostu sobie poradził. Ja piętrzyłem przed nim przeszkody, ale to on je pokonywał, sam lub z pomocą przyjaciół. Te próby zahartowały go, a przecież kogoś innego mogłyby złamać. Pani syn mógł zostać bogatym i wpływowym człowiekiem, a to wielka pokusa. Gdyby chciał, takim bym go uczynił. Jednak on zdołał przewyciężyć chciwość i małoduszność, i zrobił to dla swoich przyjaciół. Nie będzie miał władzy i milionów, ale będzie szczęśliwy.

- A to jest droższe od władzy i pieniędzy - wtrącił się ojciec Fiodor. - Myślę, że dokonał słusznego wyboru.

- Sama go pani o to zapyta - odezwała się Alona. - Za jakieś sześćdziesiąt, siedemdziesiąt lat.

- Myślę, że on potwierdzi moje słowa - uśmiechnął się kapłan.

Nawet nie zauważyłem, kiedy wyszliśmy z Alei Wodnej i znaleźliśmy się przed Bramą Raju. Wujek stanął przed dwoma świetlistymi słupami, ojciec Fiodor i Zoja zamarli. Ja i Alona stanęliśmy nieco z tyłu.

- Czas na was. - Anioł odsunął się na bok.

Wyprostowałem się, chciałem wydawać się wyższy.

Zerknąłem na Alonę, dziewczynka ukradkiem ocierała łzy. No tak, może jest najlepszą dziewczyną na świecie, ale mimo wszystko dziewczyną. Po co teraz płakać? Przecież wszystko się dobrze skończyło...

Niespodziewanie anielica podbiegła do Zoi i zawisła jej na szyi.

- Nigdy pani nie zapomnę! - wyszeptała przez łzy.

Nienaszewa pogładziła dziewczynkę po głowie.

- I ja nie zapomnę ciebie. Chciałabym mieć taką córkę jak ty.

- A pewnie - burknąłem pod nosem tak, żeby mnie nikt nie słyszał. - Każdy by chciał mieć córkę anioła. Ale syna diabła to już nie... Ech, nie jestem nikomu potrzebny...

Nie wiem czemu, ale zrobiło mi się smutno, nawet odsunąłem się na bok. Właściwie nie było powodów do smutku, w końcu nie działo się nic niezwykłego. Diabły odwalają najbrudniejszą robotę i nawet nikt nam za to nie podziękuje. Nie, to nie. Dla nas to nic nowego, przez ubiegłe tysiąclecia zdążyliśmy przywyknąć... Po prostu trzeba się wziąć za kolejną robotę...

Ale wtedy Zoja podeszła do mnie i pocałowała mnie w policzek.

- I tobie również dziękuję.

A potem odwróciła się i poszła prosto w świecący słup. Jeszcze przez chwilę było w nim widać jej postać - a potem zniknęła. A ja stałem obok Bramy i trzymałem się ręką za policzek. Ojciec Fiodor popatrzył na mnie, uśmiechnął się i pomachał ręką na pożegnanie.

- Żegnaj, Ezergilu. Spróbuj wyjaśnić swojej przyjaciółce, że nie jest winna mojej śmierci. Dziękuję wam.

Zostaliśmy we trójkę.



## Rozdział 5

Wujek popatrzył w zadumie na mnie i na Alonę.

- No cóż, myślę, że oboje wiele zyskaliście dzięki tej praktyce. Bardzo możliwe, że sami o tym nie wiedząc, wywarliście na siebie duży wpływ...

- Właśnie. - Skinąłem głową. - Weźmy na ten przykład Alonę. Pod moim wpływem zaczęła poważniej traktować naukę i zaczęła doceniać piękno żartów. Ja zaś pod jej wpływem stałem się bardziej wyrozumiały i łagodniejszy. I teraz z całym zrozumieniem i łagodnością od razu walę wrogów czymś ciężkim.

Za moimi plecami zasyczała Alona. Nie odwracając się, schyliłem głowę i dzięki temu uniknąłem ciosu w kark. Szybko skoczyłem do przodu, wychodząc ze strefy ataku, założyłem ręce na piersi i wzniosłem oczy ku niebu.

- Opuść naszym winowajcom, jako i my odpuszczamy... Albowiem oni nie wiedzą, co czynią... - Zerknąłem na wujka. - Widzisz, jaki jestem łagodny? A wszystko dzięki niej!

Dziewczyna rzuciła się na mnie jak rozzłoszczona kotka. Znowu się uchyliłem. Wujek się śmiał, Alona biegała za mną, żeby mi nakłaść po karku, a ja, nie chcąc do tego dopuścić, robiłem uniki. W końcu wujek nie wytrzymał i złapał nas za ręce.

- Starczy tego dobrego - powiedział. - Nie urządźcie mi tu przedstawień. Alona, mojego bratanka znam od

dawna, ale ty... Dziewczynka, anioł i zachowujesz się jak...

- Przecież mówię - wtrąciłem się znowu. - Każde z nas nauczyło się czegoś od drugiego.

- Ezergili, chciałbym z wami poważnie porozmawiać. Od waszych odpowiedzi zależy bardzo wiele. Alono, co tobie dała ta praktyka?

Zastanowiła się.

- Chyba nauczyłam się lepiej rozumieć ludzi. I zrozumiałam, że dla innych warto czasem odłożyć na bok swoje zasady.

Wujek pokiwał głową.

- Wiele bym dał, żeby niektóre diabły i anioły w imię wspólnej sprawy choć na chwilę zapomniały o żelaznych zasadach. A ty, Ezergili, co powiesz?

- Co powiem? Również wyciągnąłem z tego naukę.

- Jakąż to? - zapytał wujek bardzo podejrzliwie.

- A taką - wzruszyłem ramionami - że niepełnoletnie diabły nie powinny zwracać uwagi na nieznanym dusze włóczące się po ministerstwie kar.

- Ezergili... - Wujek pokręcił głową. - Kiedy ty wreszcie spoważniejesz?

- Jestem absolutnie poważny. Niech mi wujek powie, kogo może obchodzić, co ja zyskałem w czasie tej praktyki? To moja sprawa, i być może jeszcze Alony, jeśli zaczniemy razem pracować. Na pewno nie dotyczy to waszych siwowłosych mędrców. Bo przecież na ich prośbę zadawał nam wujek te pytania?

Uśmiechnął się.

- No cóż, uznajmy, że od ciebie też otrzymałem

odpowieź. W końcu odmowa to również jakaś informacja. W każdym razie mogę śmiało powiedzieć, że oboje czegoś się nauczyliście. Bez względu na to, jak silne wydaje się być zło, dobro zawsze zwycięży...

- Tak jest - przerwałem mu. - Dobro zwyciężyło. Czyli ten, kto zwyciężył, jest dobry. Wujku, nie rób nam tu wykładu o wszechświatowym dobru, tylko powiedz wprost, o co chodzi, przecież widzę, że nie na darmo zacząłeś tę rozmowę.

Zobaczyłem oszołomione spojrzenie Alony i uśmiechnąłem się pod nosem. No jasne, dla niej mój wujek był tym słynnym Monterreyem, który sprawił, że nawet piekło o nim mówiło, a tu... Żarciki, wchodzenie w słowo... Zresztą, nic w tym dziwnego. Przecież znam go od najwcześniejszego dzieciństwa, niemalże mnie niańczył! Ja go nie czciłem, nie stawiałem na piedestale. Poza tym wujek już dawno przywykł do moich żartów. O, nawet teraz tylko pokręcił głową.

- Ezergili, powinieneś dostać w skórę, żebyś oduczył się przerywania starszym, ale obawiam się, że trochę już na to za późno. Z czystej uprzejmości mógłbyś udawać, że mnie uważnie słuchasz. Ale skoro tak... Jednym słowem, zgadłeś, nie bez kozery zacząłem tę rozmowę. Chciałem, żebyście powoli zaczęli uświadamiać sobie całą spoczywającą na was odpowiedzialność, ale zdaje się, że to niepotrzebne. Krótko mówiąc, jesteście dziś zaproszeni na naradę. Będzie tam starszyzna obu światów.

- Jak to?! - zawołałem zdumiony. - Wujku, przecież mówiłeś, że to spotkanie odbędzie się dopiero za cztery

dni?!

- Mówiłem, i tak by było. - Wujek zmiażdżył mnie wzrokiem. - Gdyby pewna osoba nie wyrwała się na zaliczeniu praktyki ze swoją inicjatywą... I to przed kim! Przed Ostragorem!

- Aha. - Skinąłem głową i nagle wzdrygnąłem się. - Hej, jak to?... Ostragorem? Ale to... no... to chyba nie... nie Najwyższy?!

- Właśnie on.

- O matko moja... - z wrażenia aż usiadłem na ziemi.

- Przecież ja przed nim występowałem!

- Trzeba znać swoje zwierzchnictwo - prychnął wujek.

Jęcząc, objąłem głowę rękami.

- O, rany, a ja tam takich rzeczy nagadałem! Pewnie pomyślał, że jestem idiotą!

Wujek uśmiechnął się.

- Nawet nie. Mało tego, najwyraźniej mu się spodobałeś. Wyrażał się o tobie bardzo pozytywnie.

- Aha. - Zgnębiony skinąłem głową i wtedy do mnie dotarło. - Mówił ci?! Rozmawiałeś z nim?!

- Oczywiście. A myślałeś, że z kim będę rozmawiać o waszych pomysłach?

- Chwileczkę - wtrąciła się Alona. - Bo czegoś nie rozumiem... Kto to jest Ostragor?

- Ludzie nazwaliby go Wielkim Wezyrem - odparł wujek. - To prawdziwy władca piekła.

- Prawdziwy? A Skrót?

- Figurant. Jego stanowisko nie na darmo nosi nazwę „Przedstawiciel”. - Widząc, że Alona dalej nie rozumie,

wyjaśnił: - Skrót występuje w imieniu i na polecenie. Wygłasza mowy, pokazuje się... Jednym słowem, jest człowiekiem publicznym, lecz nie ma władzy, prawdziwą władzę ma Ostragor, choć oficjalnie jest tylko sekretarzem. Zresztą, ci, którzy wiedzą w czym rzecz i tak nazywają go Najwyższym.

- A po co takie stanowisko? - spytała Alona, nic nie rozumiejąc. - Niech by sobie rządził.

- Taki zwyczaj - odparłem, ciągle przeżywając swoją klęskę. Żeby nie poznać Ostragora... do tego trzeba mieć wybitne zdolności... - Ten, kto publicznie reprezentuje piekło, musi mieć odpowiedni wygląd, robić wrażenie na otoczeniu. A rzeczywisty władca musi być przede wszystkim dobrym organizatorem, inteligentnym i utalentowanym. W powszechnym głosowaniu nie zawsze zwycięża mądry, lecz ten, kto zrobi największe wrażenie na tłumie, i taki właśnie jest przedstawiciel piekła. Zaś realną władzę ma ten, kto zdoła pokonać swoich rywali w grze wyborczej. Tam są dość skomplikowane zasady... to trochę jakby model kierowania minipaństwami. Kto zwycięży w tej rozgrywce, a każdy może wziąć w niej udział, ten zostaje sekretarzem. Bardzo proste.

- Brr. - Alona potrząsnęła głową. - Ale koszmar! Nawymyślali nie wiadomo czego, groch z kapustą... A Gorujan? Przecież on też był Przedstawicielem!

- On po prostu łączył oba stanowiska - odparłem. - To nie jest zabronione, ale żeby odnieść taki sukces, trzeba być nie lada osobowością. W całej historii piekła były zaledwie trzy takie przypadki. Alona, na twoim miejscu

nie zwracałbym sobie tym głowy, po prostu przyjmij do wiadomości, że realnie panuje Ostragor. A ponieważ rzadko pokazuje się publicznie, nic dziwnego, że jest mało znany.

- To czemu jęczysz?

- Dlatego, że JA powinienem wiedzieć, kto rządzi.

- Mój bratanek chce przez to powiedzieć - wyjaśnił wujek - że on sam dąży do władzy i dlatego studiuje wszystkich, którzy zwyciężają w grze wyborczej.

- O, bez wątpienia - prychnęła Alona. - Też masz do czego dążyć... do władzy!

- To cel równie dobry jak każdy inny - odparowałem.

- Rzecz w tym, do czego używasz władzy. Jeśli najlepsi odwrócą się ze wzdardą od polityki, wtedy na szczycie wylądują najgorsi.

- Siebie oczywiście zaliczasz do tych najlepszych.

- Oczywiście - odparłem z ważną miną.

Alona roześmiała się, ja się obraziłem i w tym momencie wtrącił się wujek.

- Podyskutujecie sobie o tym przy okazji, a tymczasem musimy się już udać na spotkanie. Czeka na was starszyzna.

- Ostragor też? - spytałem wystraszony.

- Nie, on przybędzie później. Najpierw chce z tobą porozmawiać przedstawicielstwo raju.

- Ale wujku! Ja jestem nieprzygotowany!

- Za późno. Koniec dyskusji. Czas na nas. Zresztą, możesz jeszcze zrezygnować.

Nic nie powiedziałem... za to pomyślałem. O, pomyślałem sobie takie rzeczy... Dobrze, że anioł nie

może czytać w myślach. I coś mi się zdawało, że on specjalnie nas tym wszystkim ogłuszył. Nie wierzę, że dopiero dziś się o tym dowiedział i teraz zgarniał nas na chybcika. A gdybym nie przyjechał do raję? Nie, wujek na pewno wiedział o wszystkim wcześniej, tylko z jakiegoś powodu powiedział nam dopiero teraz. Przecież muszę pójść! Drugi raz nikt nie będzie na nas czekać, po prostu nie dadzą nam następnej szansy... Skoro nie przyszedliśmy, to znaczy, że nie jesteśmy zainteresowani. Po raz kolejny pomyślałem, że chyba wybrałem zbyt trudną drogę... Ale, z drugiej strony, ta droga była po pierwsze - krótsza, a po drugie - można ją było przejść razem z Aloną. Tylko po co ja ją w to wszystko wplątuje...

Wtedy dziewczyna złapała mnie za rękę i pociągnęła za sobą.

- Długo jeszcze będziesz tu siedział i drapał się po głowie? - zasyczała. - Wszystkie myśli sobie wydrapiesz! A może sądzisz, że specjalnie dla nas zbiorą się po raz drugi? Czy ty rozumiesz, że właśnie dziś zapadnie decyzja?! A może się rozmyśliłeś? Jeśli tak, powiedz...

Delikatnie uwolniłem rękę.

- Nie musisz mnie podpuszczać, już to przerabialiśmy. Nie zmieniłem zdania, po prostu się zastanawiam. To poważna sprawa...

- Jedźmy - zadysponował wujek. - Bo czuję, że możecie tak tu siedzieć do wieczora i dyskutować o tym, kto się boi iść, a kto nie. Naprzód.

Rozpostarł skrzydła i zanim zdążyłem coś

powiedzieć, otoczyło nas potężniejące świetliste tornado. Mocno pracując skrzydłami, wujek znalazł się w samym jego środku. Poczulem jak silny wichur porywa mnie i niesie gdzieś, i nagle wszystko się skończyło - cała nasza trójka znalazła się w zupełnie innym punkcie raj. Zdaje się, że to było nawet inne miasto.

Zacząłem się rozglądać, a wujek klepnął mnie w ramię, żeby zwrócić na siebie moją uwagę.

- Co, nigdy miasta nie widziałeś? - zapytał. - Idziemy tam...

Odwróciłem się w stronę, którą pokazywał. Oho, ho... Rozglądając się na boki, nie zauważyłem gmachu, który miałem przed samym nosem - i to dość specyficznego gmachu. Kopuły wyraźnie zapożyczono od prawosławnych cerkwi, wysoka wieża kojarzyła się z minaretem. Z czterech stron każdej kopuły wznosiły się gotyckie iglice. Aż przetarłem oczy ze zdumienia.

- Co to? - wykrzyknąłem zdumiony.

- To? - Wujek skrzywił się. - Dom Zgody i Pojednania. W każdym razie, taki był zamysł. Zaczekaj, nie widziałeś jeszcze drugiej strony. Tam są elementy buddyjskich świątyń, synagogi, a nawet pewne rysy pogańskich kaplic. Jednym słowem, koszmar. Zamysł był dobry, ale wykonanie...

- A ja myślałem, że tylko u nas są obrzydliwe budynki - oznajmiłem, oglądając tę perłę architektury.

- Ezergilu, nie udawaj prostaka. Dobrze wiesz, że nikt nie ma monopolu na mądrość, i raj, niestety, nie jest tu wyjątkiem. Gdy budynek już powstał, wiele osób



zwróciło uwagę na jego, że tak powiem, oryginalność. Ale przecież go nie zburzą! W raju nie ma zwyczaju burzenia tego, co już stworzono. Dlatego dyskretnie odwrócono od niego uwagę, może go zobaczyć tylko ten, kto się do niego udaje. Pewnie zdziwiłeś się, że nie zauważyłeś go od razu.

- Ja też nie wiedziałam o istnieniu tego... tego... - Alona usiłowała znaleźć odpowiednie określenie.

- Niesamowitego budynku - podpowiedział wujek.

Tak, budowla robiła niesamowite wrażenie, wujek miał rację.

- Tak czy inaczej - odezwał się znowu - udajemy się właśnie tutaj. Ten gmach od trzystu lat jest miejscem oficjalnych spotkań reprezentantów piekła i raju. Ponieważ raj zrezygnował z zatrzymania go dla siebie...

- Jak ja ich rozumiem - westchnąłem.

- ...a piekło również nie wyraziło pragnienia przejęcia go...

- Dziwne. Biorąc pod uwagę niektóre nasze wytwory architektury, pasowałyby idealnie.

- Ezergili, mógłbyś powstrzymać się od komentarzy? I tak mamy mało czasu. Piekło odmówiło, ale nie z przyczyn estetycznych.

- O, z pewnością.

- Ezergil! - ryknął wujek.

- Czy ja coś mówię? Czy to moja wina, że najlepsi ludzie architekci trafiają do raju? Ci, którzy lądują u nas wybudowali takie potworki, że czym prędzej ukryto je w chaosie. I tak niespecjalnie się od niego różniły. A toto chociaż przypomina dom. Więc dlaczego piekło

odmówiło przyjęcia tego budynku?

- Jeśli już skończyłeś, pozwól, że odpowiem - rzekł zgryźliwie wujek. - Odmówiono dlatego, że znajduje się na terenie raju, a w tamtych czasach coś takiego było nie do przyjęcia. Dlatego gmach ogłoszono terenem neutralnym. Obie strony zadbały, żeby w środku z zasady nie było żadnego przedstawicielstwa. I tam się właśnie udajemy.

- Domyśliłem się - odparłem złośliwie.

Alona roześmiała się, a ja i wujek popatrzyliśmy na nią zaskoczeni.

- Żebyście widzieli, jacy jesteście teraz do siebie podobni - zauważyła. - Od razu widać, że rodzina!

Zaczerwieniliśmy się obaj, a Alona roześmiała się jeszcze dźwięczniej.

- Nawet peszycie się podobnie!

- Dobrze, już czas, chodźmy. - Wujek odwrócił się szybko i skierował do otwierających się usłużnie drzwi. Poszliśmy za nim.

W środku budynek wyglądał bardzo przyzwoicie - chyba starano się zrekompensować jego wygląd zewnętrzny. W przestronnym holu powitał nas anioł i diabeł, obaj w uroczystych strojach. Robiło to wrażenie... Szli z obu stron, nieco z przodu, niczym eskorta.

- Podskok w miejscu będzie traktowany jako próba odlotu? - zapytałem anioła.

Diabłu, który szedł obok nas, lekko drgnęły kąciki ust, jakby chciał się uśmiechnąć, ale się powstrzymywał. Anioł nie zareagował. Za to

zareagowała Alona - chyba nie czuła się zbyt dobrze w tym pompatycznym wnętrzu.

- Ezergil! - wysyczała. - Będiesz żartował nawet wtedy, gdy zaprowadzą cię do kotła ze święconą wodą!

- Co za okrutny pomysł! - zachwyciłem się.

Nie odpowiedziała, widać uznała, że w ten sposób tylko podkreśliłaby dyskusję. W sumie miała rację... Ale dzięki takim przekomarzaniom mogliśmy zapomnieć na chwilę, po co tu przyszliśmy. Tak... Najważniejsze, to wziąć się w garść. Wielkie mi co, spotkanie z najpotężniejszymi aniołami, a potem z władcą piekła... Ha, ha... Niech raczej oni się trzęsą na myśl o spotkaniu ze mną!

Wyprostowałem się i rozejrzałem dumnie. Głowa uniesiona, twardy krok... O, teraz pod względem majestatycznego chodu nie ustępowałem naszym konwojentom. Biorąc pod uwagę moc, jaką emanowało to wnętrze i respekt, jaki budziło, anioł i diabeł pilnowali po prostu, aby odwiedzający nie dali nogi. Cóż, my nie uciekniemy, nawet niech na to nie liczą... Ale gdy spojrzałem na Alonę, nie byłem już tego taki pewien. Zdaje się, że ona właśnie pragnęłaby dać nogę, jak najszybciej i jak najdalej... Chciałem dodać jej otuchy, ale nie zdążyłem. Nasi konwojenci zatrzymali się przed jakimiś drzwiami, stanęli po obu stronach i jednocześnie otworzyli skrzydła drzwi. No, nawet nie zdążyłem przyjrzeć się tym drzwiom - a przecież na pewno były tego warte! Istne dzieło sztuki! Że też do piekła nigdy nie trafiają mistrzowie, którzy potrafią stworzyć coś takiego? Dlaczego musimy zadowalać się

zwykłymi wyrobnikami? Gdzie tu sprawiedliwość?!

Wujek lekko popchnął mnie w plecy. Zrobiłem krok, potem jeszcze jeden... No cóż, teraz nie ma co się wahać... Zdecydowanie podniosłem głowę, wszedłem do sali i popatrzyłem na siedzącą za stołem starszyznę.

- Dzień dobry - powiedziałem głośno. - Doszły mnie słuchy, że chcieliście mnie widzieć. Oto jestem.

Nie musiałem się odwracać i tak wiedziałem, jak na moje oświadczenie zareagowali Alona i wujek. Zresztą, nie miałem zamiaru na nich patrzeć, całą uwagę skupiłem na starszyźnie. Aniołowie popatrzyli na siebie.

- Chcieliśmy widzieć nie tylko ciebie - odezwał się jeden z nich.

- Zgadza się. Ale wydaje mi się, że jednak mnie przede wszystkim.

- Masz rację: wydaje ci się.

- No cóż, być może... - nie spierałem się. - Ale tak czy inaczej jestem. Ezergil, do waszych usług. - Skłoniłem lekko głowę.

- Znamy twoje imię - powiedział ten sam anioł.

- Bardzo możliwe - przyznałem - jednak sądziłem, że uprzejmość nakazuje przedstawić się temu, kogo widzi się po raz pierwszy.

Za moimi plecami Alona wydała cichy okrzyk. Chyba była bliska utraty przytomności.

Skrzydlaty, który ze mną rozmawiał, wstał.

- Gdybyś nam pozwolił, przedstawilibyśmy się. Jednak my uważamy, że jeszcze bardziej nieuprzejme jest przerywanie temu, kto przemawia.

Ha, masz za swoje, Ezergilu. Myślałeś, że jesteś tu

najmądrzejszy? Dostałeś więc po nosie. Tak, jeszcze jesteś za cienki, żeby stawać w szranki z tymi aniołami... Ale to nic, zobaczymy w przyszłości, kto kogo. Ale przyznaję, że pierwszą rundę wygrali. Potrafię uznać swoje porażki, tylko tak można się czegoś nauczyć. Gdy ignorujesz własne przegrane, masz duże szanse ponownie nadepnąć na te same grabie.

Znowu skłoniłem głowę.

- Przepraszam.

Nikogo z obecnych nie zdziwiło, że diabeł przeprosza - no tak, przecież to nie jest nieokrzesany tłum, te anioły świetnie wiedzą, że diabły nie są idiotami. Tylko kompletne nieuki wierzą w diabelskie chamstwo i brak obycia. Bo czy ktoś kiedyś widział bezczelnego i chamskiego oszusta? W sensie - oszusta odnoszącego sukcesy? A mimo to uważa się, że mieszkańcy piekła są bezczelni i niewychowani...

Anioł skinął głową, przyjmując moje przeprosiny i mówił dalej:

- Nazywam się Wojstrer, starszy anioł Wojstrer. A to moi pomocnicy: Tregor i Legengor.

- Bardzo mi miło - skinąłem głową. - A to moi towarzysze: wujek Monterrey i anioł Alona.

Wojstrer uśmiechnął się. Zdaje się, że ta runda należała do mnie. Tylko trochę zaczęły mnie boleć plecy. Muszę przy najbliższej okazji wyjaśnić tej dziewczynie, że nieładnie tak kogoś szturchać. To niekulturalne i nie przystoi aniołom! A już zwłaszcza nie należy szturchać tak mocno! Aha, już widzę, jak jej wyjaśniłem. Ona sama każdemu wszystko wyjaśni - i to

bardzo dobitnie. Tak, jak mnie teraz.

- Mnie również bardzo miło. Monterreyu, Alono... - Wojstrer lekko skłonił się każdemu. - Cóż, możemy uznać prezentację za zakończoną. - Teraz odwrócił się do wujka. - Szanowny Monterreyu, pozwoli pan, że teraz porozmawiamy z dziećmi.

Wujek skłonił się i poszedł do wyjścia. Ej, dokąd to? Nie taka była umowa! Ja wcale nie chcę, żeby on wychodził!

Wojstrer chyba zaważył, co się ze mną dzieje.

- Nie denerwuj się tak, Ezergili. Twój krewny zaczeka na was na korytarzu. Chcieliśmy porozmawiać właśnie z wami, tak żeby nikt nam nie przeszkadzał.

- Mnie wujek nie przeszkadzał - burknąłem.

- Ale nam tak. Otóż chciałbym zapytać, czy wasz pomysł o wspólnym... wspólnym działaniu aniołów i diabłów... czy sami na to wpadliście?

- Nie, duch święty nam podszeptał - burknąłem. Straciłem cały humor i teraz było mi już wszystko jedno, co mówię i do kogo. Jednak anioł był bardzo cierpliwy.

- Nie żartuj w ten sposób. Chcemy po prostu wiedzieć...

- Dobrze - przerwałem. - Chcecie wiedzieć? Proszę bardzo. Dostałem zadanie, jakiego nie dostał nigdy żaden diabeł i gdyby nie Alona, pewnie bym sobie z nim nie poradził. I uważam, że jej również przydała się moja pomoc. Razem mogliśmy działać dużo bardziej efektywnie. A na ziemi nastają teraz takie czasy, że jeśli nie chcemy zniknąć razem z ludźmi, musimy zacząć

pracować z większym nastawieniem na efekt.

- To wszystko? - spytał Wojstrer.

- Tak... nie... Nie wszystko. Po prostu... Lubię ją. I nie chciałbym się z nią rozstawać. Zaprzyjaźniliśmy się. Czy to wystarczy?

- Diabeł! - prychnął Tregor. - Diabeł będzie mówił o przyjaźni! Panie Wojstrer, przecież on po prostu chce wykorzystać sytuację i zdobyć zaufanie dziewczynki, żeby potem wykręcić coś paskudnego!

- Ach, tak? - Alona wysunęła się do przodu. Zobaczyłem znajomy błysk w jej oczach i zacząłem współczuć Tregorowi. Alonie też już było wszystko jedno, co i do kogo mówi. - A więc jestem głuptasem, którego każdy może oszukać, zaskarbić sobie moje bezkrytyczne zaufanie?

- Nie - spieszył się Tregor. - Ale jesteś jeszcze bardzo młoda i nie możesz...

- Ja jestem młoda? - Skoro Alona przerwała rozmówcy, to znaczy, że Tregorowi udało się ją rozgniewać... - Cóż, to możliwe. Za to ten podstępny i podły diabeł, który zaskarbił sobie moje łaski, jest oczywiście wytrawnym kusicielem. On wcale nie jest młody i, rzecz jasna, ma znacznie większe doświadczenie niż ja.

Tregor skrzywił się i zerknął na mnie.

- Podłość diabłów jest powszechnie znana. Wszyscy wiedzą, jakie są, więc nie ma tu nic do rzeczy.

- Jeśli wszyscy, to nie ja! - sparowała Alona. - Tak, zdaje się, mówił Syn Boży? Dlaczego powtarza pan to, co mówi tłum? Wydaje mi się, że sama potrafię

rozporządzać moim życiem i ufać temu, komu chcę, a nie temu, kogo mi ktoś wskaże.

- I tak właśnie jest - powiedział łagodnie Tregor. - Ale najpierw trochę podrośnij. Jak będziesz pełnoletnia, wtedy proszę bardzo, a na razie... Wasza decyzja jest zbyt pochopna i nieprzemyślana. Zrozumcie, chodzi nam tylko o wasze dobro!

Przynajmniej gramy w otwarte karty - Tregor jest naszym wrogiem. „Chodzi nam tylko o wasze dobro” - tak zwykle mówią ci, którzy mają nasze dobro w głębokim poważaniu i troszczą się tylko o siebie.

- Przepraszam, że się wtrącam - powiedziałem grzecznie - ale pozwól pan, panie Tregorze, że zauważę, iż nie dałem panu prawa troszczyć się o moje dobro. Takie prawo mają tylko moi rodzice, przyjaciele oraz wujek, a ja ze swej strony troszczę się o nich. Pan, o ile mi wiadomo, nie jest moim rodzicem, przyjacielem ani wujkiem. Dlatego bardzo proszę, niech pan przestanie się o mnie troszczyć. Niech pan pozwoli mi popełniać własne głupstwa, jeśli uważa pan, że to, co zamyślamy z Aloną, jest głupstwem.

- Co za brak szacunku!

- Tregorze - poprosił cicho Wojstrer - proszę nie krzyczeć. Mnie również nie spodobałoby się, gdyby ktoś wbrew mojej woli mówił mi, co jest dla mnie dobre, a co nie. Chłopiec ma rację.

- Panie Wojstrer, czy naprawdę poprze pan to... tę głupotę?!

- Niech pan najpierw udowodni, że to głupota.

- Ale... - Tregor stropił się. - Przecież to jasne, że



anioły i diabły nie mogą współdziałać!

- Naprawdę? - spytał Wojstrer tak samo cicho. - Zdawało mi się, że pan również czytał sprawozdania tych dzieci. Całkiem nieźle wyszło im to, co uważa pan za niemożliwe.

- Anioł działał dobrze, póki pomagał chłopcu. Ale przecież anioł nie zdoła wyrządzić krzywdy jakimukolwiek stworzeniu!

Chrząknąłem głośno.

- Naprawdę? W takim razie, niech mi pan wyjaśni, jak można komuś pomóc, nie wyrządzając krzywdy komuś innemu?

- Co masz na myśli? - zapytał trzeci anioł, przyglądając mi się z zaciekawieniem.

- A to, że te sprawy niezwykle często są ze sobą nierozzerwalnie związane. Pomagając Aloszy, zaszкодziliśmy wielu ludziom, na przykład chuliganom, którzy wyłudzałi od chłopca pieniądze. A ów szef, który teraz czeka na rozprawę, raczej nie podziękowałby skrzydlatemu za to, że ten pomógł jego wrogom.

- Oni należą do was, diabie. Raj nie jest nimi zainteresowany.

- Ach, tak? - Przechyliłem głowę na bok i popatrzyłem uważnie na Tregora. - Wobec tego nie rozumiem, czemu martwi pana to, że ja i Alona będziemy w przyszłości działać przeciwko ludziom, którymi raj się nie interesuje. Przecież zwalczając ich, Alona będzie pomagać tym dobrym, którzy przez nich cierpią! Nie widzi pan, że to dwie strony tego samego medalu?

Wojstrer i Legengor z zaciekawieniem spojrzeli na Tregora, a ten, nie mogąc głosić prawd „objawionych”, zmuszony do posługiwania się logiką w argumentowaniu swoich poglądów, wyraźnie zmieszał się. Chyba pierwszy raz znalazł się w takiej sytuacji.

- Przecież mówiłem ci to samo - odezwał się Legengor. - Ale ty nie słuchałeś. Nie możemy pomóc jednej osobie, nie wpływając tym samym na innych ludzi. Chłopiec ma rację.

- A my nie możemy kogoś ukarać i nie wpłynąć na innych - poparłem go. Zdaje się, że mamy też przyjaciela. Nie wiedziałem tylko, jakie stanowisko zajmie najwyższy ze starszyzny.

Tregor chyba zrozumiał, że przegrał i westchnął ze smutkiem. Tak wzdychał, jakby przygniatało go brzemień odpowiedzialności za cały świat... Teraz rozumiem, dlaczego wujek uważał szczerłość za najważniejszą cechę aniołów. Cóż, Tregor na pewno był niegdyś szczerzy, lecz nie wytrzymał próby władzy. Zdarza się... Należałoby go poobserwować. Nie chciałbym stać się taki jak on, gdy dotrę na szczyt.

- Ale kto będzie decydował, komu pomagać, a kogo karać? - spytał jeszcze. - Diabeł?!

- Ja będę decydował, kogo karać - odezwałem się, a ona - skinąłem na Alonę - komu pomagać. A może chce pan powiedzieć, że w całej historii piekła choć jeden diabeł podjął niewłaściwą decyzję? Albo choć jeden anioł pomógł nie temu człowiekowi, co potrzeba?

- Gdy diabeł wda się w sprawę, nic nie jest pewne - odciął się Tregor. Chyba mu dopiekliśmy, zabrakło mu

argumentów i teraz zaczął się złościć. - Kto wie, jaki wpływ wywrzesz na anioła?

- Ach tak? Więc do tego stopnia nie wierzy pan w anioły?

- A co to ma niby znaczyć? - obruszył się Tregor.

Legengor również spojrział na mnie ze zdumieniem, tylko Wojstrer lekko się uśmiechnął.

- Nic takiego. Wpłynąć można na tego, kto nie jest pewien słuszności swojej drogi. Na tego, kto jest słaby. A może to nie ja wywrę na nią wpływ, lecz ona na mnie? Tego wariantu nie bierze pan pod uwagę?

- Ktoś miałby wywrzeć dobry wpływ na diabła? - prychnął Tregor.

- O tym właśnie mówię. Zatem uważa pan, że wszystkich aniołów należy odizolować, żeby nigdy nie mieli styczności z podłymi i złymi diabłami. Bo jeszcze podstępne diabły wywrą negatywny wpływ na anioły, wpoją im złe nawyki! A że anioł mógłby wpłynąć na diabła i nauczyć go czegoś dobrego... Ech, kto by wierzył w takie bajki! Skrzydlaci nie są w stanie na nikogo wpłynąć, są zupełnie bezbronni, należy ich chronić i ukrywać.

Wojstrer roześmiał się nagle.

- Tregorze, niech pan przyzna, że chłopiec ma rację. Pańska troska o młode pokolenie przekracza wszelkie granice. Należałoby jeszcze zamknąć wszystkie dzieci w jakimś Edenie do czasu osiągnięcia przez nie pełnoletności.

- Ja również zgadzam się z Ezergilem - odezwała się Alona. - Jestem wystarczająco dorosła, żeby odróżnić

dobro od zła. Być może popełnię jakiś błąd, ale wiem, że mam do kogo zwrócić się o radę i, przepraszam bardzo, ale to nie będzie pan, panie Tregorze. Bo w końcu, czy nikt z was nigdy się nie omylił, nigdy nie popełnił błędu?

Obrzuciła wszystkich trzech aniołów baczny wzrokiem. Wojstrer uśmiechał się, Legengor skinął głową, Tregor siedział naburmuszony.

- Otóż to - oznajmił nasz przeciwnik. - Już znalazłaś się pod wpływem tego diabła.

- Możliwe. Ale to jest mój własny błąd!

- Ciekawe - wtrąciłem się - że święcie strzegąc wolnej woli ludzi, pozwalamy im popełniać błędy, uważamy bowiem, że w ten sposób się uczą. Dlaczego więc tak usilnie próbujecie chronić nas przed popełnianiem błędów? Nie wierzy pan, że tylko one mogą nas czegoś naprawdę nauczyć? Panie Tregorze, rozumiem, że jest pan przeciwnikiem współpracy diabłów i aniołów i uważa pan to za niewłaściwie. Dlaczego więc nie pozwoli nam pan działać? Przecież jeśli nam się nie uda, wtedy nasza klęska dowiedzie wszystkim, że miał pan słuszność, sprzeciwiając się temu pomysłowi. Czego się pan boi? Że mimo wszystko możemy odnieść sukces?

- Nigdy! To głupota!

- W takim razie proszę pozwolić nam pracować! Nasza porażka będzie pańskim sukcesem. Jeśli zaś teraz nam zabronicie... Ciekawe, ile czasu upłynie, zanim ktoś inny spróbuje wcielić tę ideę w życie? Przecież zakaz jej nie zniszczy, a plotka o współpracy anioła i

diabła już obiegnęła piekło i raj.

- Zdaje się, że ten młody diabeł ma rację - usłyszałem i zobaczyłem, jak z bocznych drzwi wychodzi... Ostragor. Aha! Czyli na pewno słyszał wszystko od samego początku! To zostało ukartowane! Już sam fakt, że aniołów nie zdziwił jego widok... Wiedzieli, że on tu jest! - Gdy usłyszałem o tym pomysle - ciągnął - ja również nie byłem zachwycony. A potem postanowiłem przyjrzeć się tej parce.

Ostragor popatrzył uważnie najpierw na mnie, potem na Alonę.

- Zdaje się, że są bardzo zdecydowani i nasze pozwolenie to dla nich tylko formalność. Dlatego jedyne, co możemy zrobić, to pozwolić im działać. Wtedy zobaczymy, czy skręcą sobie karki czy nie.

Surowo, ale szczerze. Za to właśnie szanuję naszych - nie uciekają się do ukrywania prawdy pod pięknymi słówkami.

- Ostragorze, przecież to tylko dzieci... - Zmarszczył brwi Legengor.

- Skoro zdążyli postawić na rzesach piekło i raj, chyba zasłużyli na to, żeby nie traktować ich jak dzieci. Zwłaszcza, że od sukcesu czy klęski tej dwójki będzie zależeć dalsza polityka piekła i raju.

- Rozumiem, Ostragorze, że pan ich popiera?

Ostragor prychnął i podszedł do mnie. Przez kilka chwil patrzył mi prosto w oczy. Wytrzymałem przenikliwe spojrzenie, choć wiele mnie to kosztowało. Ostragor znowu prychnął i podszedł do Alony. Dziewczyna twardo patrzyła mu w oczy. Ostragor

przyglądał jej się nieco dłużej niż mnie. Chyba mu się nie spodobało, że anioł nie odwrócił wzroku. Mógł zachwycić się mną - rośnie nowa zmiana! Ale zwycięstwo anioła nie mogło mu się podobać.

Wreszcie dał spokój anielicy i powoli podszedł do niebiańskiej starszyny.

- Powtarzam. Nasze pozwolenie to dla nich tylko formalność. Oni i tak będą działać razem. Chociaż w tym wypadku mogą narobić wiele złego... Dlatego lepiej, żeby działali pod nadzorem. Jestem za.

- Ja również. - Legengor wstał. - I zgadzam się z panem Monterreyem. Musimy zacząć zmiany w prowadzeniu polityki.

- Ja również jestem za - rzekł Tregor, wstając. - Ale tylko dlatego, żeby wszyscy zobaczyli totalną klęskę i żeby nikomu więcej nie przyszła do głowy idiotyczna myśl współpracy anioła i diabła.

Teraz wszyscy patrzyli na Wojstrera. Ten siedział z głową zwieszoną na pierś i nad czymś myślał. Wstrzymałem oddech. Obok mnie znieruchomiła Alona. W końcu wstał.

- Cóż... Ja również to popieram. Zgadzam się zarówno z Legengorem, jak i z Tregorem. Ziemia zmienia się bardzo szybko, nie nadążamy za ludźmi... Naprawdę potrzebujemy nowych pomysłów. Ale i Tregor ma rację, czegoś takiego jeszcze nie było i dlatego warto popatrzeć, co z tego wyjdzie. Klęska lub sukces tych stanowczych dzieci zdeterminuje wszystko. Powiedziałem.

Uff... Chyba można powiedzieć, że już po

wszystkim... Ale nie wiedzieć czemu, nie czułem radości, tylko znużenie. Alona również stała przygarbiona. Jednak moje zmęczenie nie przeszkodziło mi zauważyć, że po ogłoszeniu werdyktu wszyscy obecni bacznie nam się przyglądali. To, że nie okazaliśmy burzliwej radości, spodobało się wszystkim, oprócz Tregora - ten westchnął rozczarowany.

- Zdaje się, że rozumiecie powagę swojej decyzji - rzekł Wojstrer. - Powagę i odpowiedzialność.

Ja i Alona skinęliśmy głowami i skierowaliśmy się do wyjścia.

- Skoro już tak - usłyszałem burczenie Tregora - to można było znaleźć do tego eksperymentu kogoś starszego! Powierzenie tak ważnego zadania dzieciom...

- Problem w tym - odparł ze śmieszkiem Wojstrer - że nie ma dorosłych ochotników. Nie wierząc w powodzenie tego zamysłu, od początku byliby skazani na klęskę. W ten sposób niczego byśmy się nie dowiedzieli i nic nie zrozumieli. Nie, Tregorze, muszą działać ci, którzy głęboko pragną osiągnąć ten cel, którym zależy na sukcesie. Jeśli im się nie uda, wówczas będziemy mogli powiedzieć: tak, to nie był dobry pomysł. Ale wiesz, co jest najśmieszniejsze? Ja naprawdę chciałbym, żeby tym dzieciom się udało. Podoba mi się pomysł współpracy. Ileż moglibyśmy osiągnąć, gdybyśmy tylko przestali współzawodniczyć z piekłem!...

- Herezja - odburknął Tregor.

Dalszej rozmowy już nie słyszałem, bo wyszliśmy na korytarz. Tu czekał wujek, chyba znał już decyzję rady.

W milczeniu podszedł i przyjrzał się nam uważnie.

- Cóż - rzekł. - Nawet nie wiem, czy powinienem gratulować, czy składać kondolencje. Ale, tak czy inaczej, od dzisiaj wszystko jest w waszych rękach.

Właśnie, pomyślałem. A także w rękach tych, którzy będą nam rzucać kłody pod nogi, a tacy znajdą się na pewno.

- Będą wam przeszkadzać - rzekł wujek, jakby czytał w moich myślach. - A jednak, jeśli jesteście naprawdę zdecydowani, macie szansę.

- Mhm - mruknęła Alona.

- Już żałujesz, że się w to wszystko wpakowałaś?

- Nie. - Alona pokręciła głową. - Po prostu przyzwyczajam się do nowej sytuacji.

- Aha, mam dla was jeszcze jedną nowinę. Zgłosiłem prośbę, żeby nie czekając aż uzyskacie pełnoletność, wydano wam skrzydła i ogon.

- Coo? - Wytrzeszczyłem oczy.

- Oao? - wykrztusiła anielica.

- A co myśleliście? - Wujek skwitował śmiechem naszą reakcję. - Skoro macie rozwiązywać kwestie takiej wagi, to należy umożliwić wam normalną pracę, w przeciwnym razie nie będzie to miarodajne. Jak można osiągnąć sukces, nie posiadając niezbędnych narzędzi?

- No i co? - zapytałem ostrożnie.

- Na razie myślą. Dobrze, dzieci, idźcie sobie pospacerować, a ja tu jeszcze zostanę. Sami rozumiecie... Wprawdzie decyzja została podjęta, ale pozostaje jeszcze cała masa punktów do uzgodnienia.



To was nie zainteresuje, rozerwijcie się trochę, macie przecież wakacje.

A pewnie. Już czuję, jaka będzie ta letnia przerwa. Alona chyba miała podobne przeczucia, bo westchnęła. Ale, tak czy inaczej, nie mieliśmy tu już nic do roboty.

Szliśmy w milczeniu szeroką ścieżką obok starannie przyciętych krzaków. Alona była milcząca i zamyślona. Ja również.

- Aleśmy wdepnęli - odezwała się w końcu, gdy już oddaliliśmy się od Domu Pojednania. - To się właśnie nazywa: dać się zrobić.

Zgadzałem się z nią w zupełności. Muszę przyznać, że wyobrażałem to sobie nieco inaczej... Zwrócić na siebie uwagę, sprawić, żeby wszyscy o tobie mówili... na dodatek, być razem z Aloną... A co nam wyszło? Okazuje się, że od naszych działań ma zależeć dalsza polityka piekła i raju! Taak, to się nazywa zyskać popularność... Najgorszemu wrogowi nie życzę...

- Myślę, że damy radę - powiedziałem, jednak w moim głosie nie było pewności.

Alona wyczuła to, czym prędzej zmieniła temat.

- Jak sądzisz - zapytała - czy naprawdę dadzą nam skrzydła i ogon?

Zastanowiłem się.

- Kto ich tam wie - wzruszyłem ramionami. - Mogę powiedzieć tylko tyle, że po tym wszystkim będziemy mieli zarówno przyjaciół, jak i wrogów, i zarówno jednych jak i drugich możemy nigdy nie zobaczyć na oczy. Przyjaciele będą nam pomagać, ale wrogowie... Kto nie chce żadnych zmian, ten na pewno będzie

próbował nam przeszkodzić. I nie będą to wrogowie klasy Ksefona... Jednak na razie są nieco stropieni, więc propozycja wujka może przejść. Tak czy inaczej, chcę, skoro już w to weszliśmy, porządnie wstrząsnąć piekłem, rajem i ziemią. Nie zaszkodzi im strząśnięcie starych dogmatów... Z twoją pomocą oczywiście - dodałem szybko, widząc minę Alony.

Dziewczynka westchnęła.

- Tak, twoje zarozumiałstwo faktycznie należy czasem hamować.

- No widzisz, jaki z nas zgrany zespół! - zawołałem i chciałem dodać coś jeszcze, ale spojrzenie Alony sprawiło, że przełknąłem następne słowa i powiedziałem tylko: - Krótko mówiąc, myślę, że wszystko będzie dobrze.

- Miejmy nadzieję... Powiedz, co teraz będziemy robić?

- Na początek jedźmy do twojego miasta. Jak można się tam dostać? Pewnie dobrze byłoby wziąć latający dywan... bo chyba nie masz tu znajomego anioła, który by nas podrzucił?

- Możemy po prostu kogoś poprosić...

- Nie lubię być nic nikomu dłużny. Jedźmy do dżinportu.

- Jedźmy, skoro tak chcesz. A jak już będziemy w moim mieście, zapraszam cię do domu. Twoją rodzinę już poznałam, teraz pojedziemy w gości do mnie.

Od razu straciłem pewność siebie.

- Ee... właściwie chyba powinienem wracać. Czekają na mnie... no i w ogóle...

- Chyba się nie boisz? - zapytała złośliwie Alona. - Co ja widzę? Nieustraszony, pewny siebie Ezergil, który nie zadrzał przed władcami rajów i piekła, nagle przestraszył się spotkania z moimi rodzicami!

- Ja się wcale nie boję - burknąłem. - Tylko lękam - dodałem nieco ciszej.

- Chodźmy i już się nie kłóć. - Wzięła mnie za rękę i pociągnęła za sobą.

Nie opierałem się dłużej. Cóż, prędzej czy później i tak będę musiał poznać jej rodziców. A więc naprzód! W końcu nie będzie to najgorsza rzecz, jaka mnie czeka w życiu, skoro już wpakowaliśmy się w tę historię...

- Naprzód! - powiedziałem, doganiając Alonę.

## Rozdział 6

Do miasta dotarliśmy w ciągu pół godziny. Ech, szkoda, że wujek był zajęty i nie mógł nas zawieźć... Ciach-mach i już! A tak musieliśmy lecieć na dywanie bez ciepłego odzienia.

Brr! Pod koniec lotu tak zmarzłem, że po wylądowaniu nie mogłem uczynić kroku. Za to Alona czuła się wyśmienicie, nawet jej się humor poprawił.

- Naprawdę nie było ci zimno? - zapytałem z niedowierzaniem.

- Było - odparła dziewczyna, zerkając na mnie z uśmiechem. - Ale w odróżnieniu od niektórych ja nie jestem zmarzluchem. Poza tym, od dawna zajmuję się specjalnymi ćwiczeniami, które pozwalają wytrzymać duże skoki temperatury.

Patrzcie państwo... Zerknąłem z szacunkiem na jej szczupłą figurę.

- Poza tym - dodała - gdy robi się zimno, moja sukienka się nagrzewa.

- A niech cię! - nie wytrzymałem i roześmiałem się. Nabrała mnie, naprawdę mnie nabrała! I to kto, ta dziewczyna-nieuk! Alona też się uśmiechnęła i zerknęła na mnie ze słuszną dumą. Wyciągnąłem do niej rękę. - Będzie nam się świetnie pracowało, partnerze.

- I ja tak myślę - uroczyście uścisnęła moją dłoń. A potem oboje parsknęliśmy śmiechem. - Przejdźmy się - zaproponowała nagle. - Nie mam już ochoty niczym

jechać ani lecieć.

- Jak chcesz - zgodziłem się. Nie miałem nic przeciwko spacerowi.

Niespiesznie szliśmy ulicami miasta, rozmawiając o wszystkim i o niczym.

W pewnej chwili uśmiechnąłem się szelmowsko.

- O co chodzi? - zdziwiła się Alona.

- A nic, coś mi się przypomniało. Ksefon jest mi coś winien.

- Co? - spytała podejrzliwie.

- Pamiętasz, że się założyliśmy? Ten, kto przegra zakład, przez miesiąc spełnia życzenia zwycięzcy.

- Też masz sobie o czym przypominać... - prychnęła Alona. - Dałbyś mu spokój. I tak mu ciężko... Praktykę zawałił, został na drugi rok, a nauczyciel, który go wspierał, już nie uczy w szkole.

- Ciekawa rzecz, ale w ogóle mu nie współczuję... - mruknąłem. - On na pewno by mi nie odpuścił, możesz być pewna.

- Zgadza się. Ale nie bądź taki jak on. Sam mówisz, że to drobny podlec. Bądź ponad to.

- Będę. Na pewno będę. I dlatego nie będę mu dawał żadnych poniżających poleceń, a mogę się założyć, że on na pewno by tak zrobił. Ale tak łatwo się nie wymiga.

- Ezergil!

- Co? Znów jestem czemuś winien? Nie, nie ma mowy. Nawet mnie nie proś... Nie, nie, nie, nie dam się przekonać. Alka, no przestań tak na mnie patrzeć! Wiesz, że diabły mają serce z kamienia i nie można nas

wzruszyć. Och, no dobra, niech ci będzie!!! Nie ruszę tego twojego Ksefona! Dam mu spokój. Słowo.

- Dziękuję, Ezergil! Wiedziałam, że w głębi duszy jesteś dobry i nie będziesz się pastwił nad pokonanym.

Wymruczałem pod nosem coś niezbyt pochlebnego o aniołach, które pchają nos w nie swoje sprawy.

- Tylko nie mów nikomu o tej mojej dobroci - poprosiłem.

- No coś ty? - zdumiała się Alona. - Wydawało mi się, że nie cierpisz na nadmierną skromność.

- Przyjmijmy, że się zaraziłem od ciebie, ale nie martw się, samo przejdzie. To przelotne.

Alona prychnęła i zaczęła skakać na jednej nodze. Popatrzyłem na to z politowaniem. No nie, istne przedszkole! My tu tworzymy historię, a ona się bawi jak pierwszoklasistka... Ale po chwili ja też podniosłem nogę i zacząłem skakać za nią.

- Nie zatrzymuj się! - krzyknąłem. - Zobaczymy, kto dłużej wytrzyma!

Obejrzała się i skinęła głową.

- Stoi! Przegrany dostaje pstryczka.

O, i to ma być dobre towarzystwo! Coś mi się wydaje, że jeśli przegram, anielica nie będzie miała dla mnie tyle współczucia, co dla Ksefona. A czy ja jestem gorszy od niego? Na to nie ma odpowiedzi... Podobnie jak nie ma sprawiedliwości na świecie. Dawno to mówiłem...

Wygrałem i Alona się nabzdyczyła, powiedziała, że kantowałem. Ciekawe, jak ona to sobie wyobrażała? Ale zgodziłem się z nią - przecież jestem dobry...

Zwłaszcza, że faktycznie trochę kantowałem. A potem szlachetnie wybaczyłem jej pstryczek. Spróbowałbym nie wybaczyć!

Do jej domu dotarliśmy godzinę później. W tym czasie zdążyliśmy się dwa razy pokłócić i tyleż razy pogodzić. Oczywiście, za każdym razem okazywało się, że to moja wina - szkoda tylko, że nie zdołałem zrozumieć, na czym konkretnie polegała. Ale to drobiazg... Jeśli nie zwracać uwagi na drobnostki, to Alona jest naprawdę superdziewczyną.

Gdy znaleźliśmy się na miejscu, wprowadziła mnie do przedpokoju i rozejrzała się ostrożnie.

- Zaraz wracam - szepnęła, znikając w pokoju.

Zostałem sam, nie bardzo wiedząc, co mam zrobić. Uciekać? Wejść? Ale chwilę później Alona faktycznie wróciła.

- Poprosiłam naszego domowego, żeby uprzedził rodziców. A ty co tak stoisz, czemu nie zdejmiesz butów?

Powstrzymałem się od komentarzy, schyliłem się i zacząłem rozwiązywać sznurowadła. Skrzydłata tymczasem trajkotała mi nad uchem.

- Już opowiadałam o tobie rodzicom. Zainteresowałeś ich. Powiedzieli, że musisz być niemal świętym, skoro tyle ze mną wytrzymałeś.

Święte słowa... Zdjąłem buty, wyprostowałem się i spotkałem wzrokiem z kobietą, która stała w przejściu.

- A więc tak wyglądasz, Ezergilu - powiedziała.

Przejrzałem się w lustrze.

- Tak - przygładziłem lekko włosy. - Tak wyglądam.

Kobieta uśmiechnęła się.

- Właśnie tak sobie ciebie wyobrażałam.

- To okropne! - zawołałem. - Przecież powinienem być niewyobrażalny, straszliwy, potężny, zły... Dzień dobry... Nazywam się Ezergil, jak już się pani domyśliła.

Kobieta uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

- I jesteś takim żartownisiem, jak mówiła moja córka. Dzień dobry. Jak już się domyśliłeś, jestem mamą Alony. Nazywam się Eleja.

- Bardzo mi miło. - Skłoniłem się wytwornie.

- Wejdz, proszę. - Mama Alony odsunęła się, puszczając mnie przodem.

Kiedy tylko odwróciłem się do Elei plecami, uśmiech znikł z jej twarzy, a na czole pojawiła się zmarszczka. Była pogrążona we własnych myślach i nie zauważyła, że obserwuję ją w wiszącym naprzeciwko lustrze. Odwróciłem wzrok. Cóż, chyba niezbyt się tu cieszą z mojego przybycia... Ale czego powinienem się tak właściwie spodziewać? Kwiatów i braw?

Wszedłem do pokoju i zobaczyłem mężczyznę siedzącego w fotelu. Wstał, podszedł do mnie.

- Klot - przedstawił się, wyciągając rękę. - Ojciec Alony.

- Ezergil. - Uścisnąłem jego dłoń i zerknąłem na Alonę, która zastygła nieco z boku, trwożnie zerkając na ojca. Tak, zdaje się, że coś się tu szykuje i to coś wcale Alony nie cieszy...

Klot przyglądał mi się uważnie, a ja lekko rozłożyłem ręce i okręciłem się powoli, prezentując się ze



wszystkich stron. Anioł uśmiechnął się i machnął ręką, wskazując fotel obok siebie.

- Siadaj, szkoda nóg. Kobiety zajmą się przygotowaniem obiadu, a my porozmawiamy sobie jak mężczyzna z mężczyzną.

- Tato! - pisnęła oburzona Alona.

Ojciec obrzucił ją surowym spojrzeniem i dziewczyna szybko wybiegła z pokoju. Za nią wyszła Eleja. Gdy zamknęły się drzwi, podniosłem ręce do góry.

- Nie wzięłem pojedynkowych szpad - wyznałem.

- Jakich szpad?

- Pojedynkowych. Przecież chciał pan ze mną pomówić jak mężczyzna z mężczyzną, a więc szpady byłyby bardzo wskazane.

Klot uśmiechnął się.

- Moja córka miała rację, jesteś bardzo wymowny. I od razu starasz się przejąć inicjatywę. Jednak mylisz się, pojedynku nie będzie. Znam dobrze Alonę i wiem, że nie mogłeś wciągnąć jej w żadną kabałę wbrew woli. Nie rozumiem tylko, czym ją tak oczarowałeś, że gotowa jest pójść za tobą.

Przechyliłem głowę w lewo.

- Pomysł współpracy aniołów i diabłów uważa pan za awanturę?

- A nie powinienem? - odpowiedział pytaniem. - Nie wiem, co mówiłeś na komisji, ale mnie możesz wyznać, że urządziłeś to wszystko dla mojej córki. Chciałeś zrobić na niej wrażenie, tak?

Przechyliłem głowę w drugą stronę i przez kilka

sekund patrzyłem na niego.

- Dlaczego tak pan nie ufa swojej córce? Dlaczego myśli pan, że jest niegodna tego, by ktoś spróbował zrobić na niej wrażenie?

Klot speszył się.

- Nie jesteś diabłem - powiedział w końcu.

- Dlaczego?

- No, bo diabły...

- Niech pan kontynuuje, bez krępacji. Są złe, podstępne, kłamliwe. O niczym nie zapomniałem? Ale widzi pan, rzecz w tym, że Alona świetnie o tym wie. Myślę, że ona nie ma złudzeń co do mojej moralności, z punktu widzenia aniołów. Ale ośmielę się pana zapewnić, że mam również zalety. Pana córka zdołała je dostrzec i w jej oczach przeważały moje wady. Więc dlaczego nie miałby pan najpierw przyjrzeć się moim dobrym i złym stronom, a potem wyciągać wnioski?

Klot ściągnął brwi, ale ja nie odwróciłem wzroku.

- Niezwykle skromne oświadczenie - stwierdził.

- Być może z punktu widzenia aniołów nie jest skromne - skinąłem głową. - Ale jak rozumiem, już próbował pan porozmawiać z córką i domyślam się, że nic to nie dało. Ale skoro tu jestem, to znaczy, że jednak zgodził się pan najpierw mnie obejrzeć, a dopiero potem wydać werdykt.

- Tak - przyznał. - Moja córka jest bardzo uparta i potrafi postawić na swoim.

- Uparta na pewno. Ale każdy ma jakieś wady. Na przykład moją jest to, że jestem diabłem.

Klot zmarszczył brwi, patrząc na mnie spode łba.

- Chcesz powiedzieć, że moje wnioski są subiektywne?

- Pan to powiedział.

Ojciec Alony sposepniał jeszcze bardziej, a potem nagle roześmiał się.

- Jesteś bezczelny - powiedział w końcu. - Teraz rozumiem, czemu zrobiłeś takie wrażenie na dziewczynie... Ale powiedz mi, po co było wymyślać tę awanturę?

- Rzecz w tym, że to wcale nie jest awantura, bez względu na to, co kto sobie myśli.

- Ale anioły i diabły nie mogą współpracować! Chyba że wtedy, gdy odprowadzają dusze ludzi.

- Alona jest aniołem, ja diabłem. Współpracowaliśmy. Wydaje mi się, że to wystarczy do obalenia powszechnie panującej opinii? Chociaż może należałoby raczej powiedzieć - błędnego przekonania.

- Chcesz powiedzieć, że ty jeden się nie mylisz?

- Nie. Ale mam powody, by obalić tę opinię i teraz chcę spróbować przemienić pojedynczy sukces w regułę.

Klot obrzucił mnie badawczym spojrzeniem. Nie wiedziałem, czego było więcej w tym wzroku - aprobaty czy oskarżenia.

- Nie rozmieniasz się na drobne. Od razu porywasz się na podstawowe zasady.

- Tak jest znacznie ciekawej. Poza tym... Jeśli nasz pomysł jest tylko awanturą, to nie rozumiem, czemu wszyscy atakują go z taką zjadłością. Pozwólcie dzieciom trochę się pobawić. Pobawią się, zrozumieją,

że nie miały racji i wszystko rozjedzie się po kościach.  
O co tyle krzyku...

Ojciec Alony zamyślił się, a potem skinął głową.

- Cóż, muszę przyznać, że nie patrzyłem na sprawę z tego punktu widzenia. Tu mnie masz... Możesz uznać, że mnie zaintrygowałaś.

- Umieję intrygować - przyznałem.

- Ale skromności nie zawadziłoby się poduczyć.

- Tak, pana córka często to powtarza.

- Wesół z ciebie chłopak - zawyrokował Klot. - A grasz może w szachy?

- O, uwielbiam szachy! - odparłem bez cienia ironii. - To jedna z niewielu moich ulubionych gier. Prawdziwy trening dla umysłu.

Anioł wstał z fotela, podszedł do szafki i wyjął pudełko.

- W takim razie, co powiesz na partyjkę?

- Dobrze. Tylko... - Zerknąłem stronę kuchni.

- Tym się nie przejmuj. Jak nasze damy dorwą się do kuchni... Wierz mi, zajęcia starczy im jeszcze na długo.

To zapewnienie rozwiało moje ostatnie wątpliwości i z entuzjazmem zacząłem rozstawiać białe figury.

- A nie kantujesz? - zapytał nagle Klot.

- Nigdy! - zawołałem. - Szachy to szlachetna gra, to starcie dwóch intelektów! Wygrana zdobyta kanciarstwem byłaby poniżej mojej godności... Po czymś takim przestałbym się szanować.

- Nie gorączkuj się tak. Po prostu znam kilku diabłów, którzy lubią szachować przy grze w karty.

- W karty to i ja lubię oszukiwać. - Machnąłem

wzgardliwie ręką. - No bo po co innego gra się w karty? Albo dla rozrywki, albo dla pieniędzy. Jeśli dla rozrywki, to czemu by trochę nie poszachrować? I trening, i zabawa... A jeśli gra się na pieniądze, o, tu już chodzi o to, kto szybciej i lepiej oszuka.

Klot zastygł z wieżą w rękę, którą właśnie stawiał na szachownicy.

- Więc uważasz, że w jednej grze można grać uczciwie, a w drugiej nie?

- Oczywiście. - Postawiłem na desce ostatnią figurę. - Karty to tylko zabawa... A szachy to co innego. Tu nawet przegrana może przynieść zaszczyt. Gdy przegrywam z silnym przeciwnikiem, jest to dla mnie nauka i bodziec do dalszego doskonalenia się... A poproś, mój ruch. I pojedziemy... pojedziemy... e2 na e4.

Ojciec Alony zapewne miałby mi wiele do powiedzenia na temat oszustwa - że albo jest się uczciwym albo nie, że nie można być szlachetnym wybiórczo. Byłem w stanie przewidzieć wszystkie jego pytania i miałem na podorędziu odpowiednie repliki. Jednak Klot wyraźnie należał do osób, które z pasją oddają się ulubionemu zajęciu, a zdaje się, że szachy lubił naprawdę. Nie potrafił jednocześnie grać i prowadzić dysputy na tematy abstrakcyjne, dlatego dał spokój i zagłębił się w grze. Zresztą, pod tym względem niewiele się od niego różniłem...

Pograżeni w szachowym pojedynku nie mieliśmy pojęcia, co dzieje się wokół nas.

- Mamo, popatrz tylko! - wyrwał mnie z zadumy

okrzyk Alony. - Zdaje się, że ojciec znalazł sobie współnika!

Do pokoju weszła szybko Eleja. Pewnie pomyślała, że się tu prawie bijemy.

- Klot! - zawołała urażona. - Przecież obiecałeś, że porozmawiasz...

Ojciec Alony spojrział na żonę stropionym i mało przytomnym wzrokiem.

- No... rozmawialiśmy. W zasadzie wszystko omówiliśmy... Moja droga, nie masz pojęcia, jaki to interesujący przeciwnik! Niektóre jego kombinacje są wręcz wstrząsające w swej prostocie i nieprzewidywalności! Bardzo interesujący przeciwnik. Bardzo... - Klot znowu przeniósł wzrok na szachownicę.

Matka i córka popatrzyły na siebie. Zdaje się, że były do tego przyzwyczajone. Eleja odwróciła się do mnie.

- Ezergiliu, jak już skończycie partię, przyjdźcie do jadalni. Mojemu mężowi nie ma sensu tego mówić, on i tak zapomni. Mam nadzieję, że teraz już nie potrwa to długo?

Popatrzyłem na szachownicę.

- Nie - odparłem. - Za jakieś dziesięć ruchów wszystko stanie się jasne.

Klot obrzucił mnie roztargnionym spojrzeniem.

- Jest pan zbyt zarozumiały, młody człowieku. A ja przesunę gońca tutaj...

W milczeniu przesunąłem pionka i oceniłem spojrzeniem nową pozycję. Ciężkiego westchnienia Elei już nie usłyszałem...

Moje założenie, że sytuacja wyjaśni się po dziesięciu

ruchach było trochę zbyt optymistyczne, ale w sumie niewiele się pomyliłem. W dwunastym ruchu wszystko naprawdę stało się jasne. Wprawdzie straciłem hetmana i wieżę, ale wyciągnąłem wrogię króla prawie na środek szachownicy, gdzie znalazł się bez obstawy swoich figur. Kilka szachów z mojej strony i król znalazł się w sytuacji bez wyjścia. Klot przez pięć minut oceniał sytuację, a potem westchnął smutno i odchylił się na oparcie krzesła.

- Poddaję się. A z ciebie to jednak prawdziwy mistrz... Tak mnie złapać na tego hetmana! A ja patrzyłem tak i siak, i nie zauważyłem pułapki! Już myślałem, że się przechwalałeś, mówiąc, że umiesz grać.

- Nie, ale z hetmanem naprawdę ryzykowałem. Gdyby nie dał się pan złapać na tę przynętę, gdyby wysunął pan do przodu wieżę, moja flanką zostałaby niemal kompletnie zniszczona. Wtedy już poświęcanie ważnej figury nie miałoby sensu i musiałbym ją ratować, a to oznaczałoby utratę tempa. Mogłem uciec hetmanem tylko w jedną stronę, a tam już zostałbym zagoniony w kozi róg.

- Dostałem nauczkę - przyznał spokojnie ojciec Alony - nigdy nie lekceważyć żadnego przeciwnika. To co, rewanz?

Pokreśliłem głową.

- Przepraszam, ale pana żona zapraszała nas do jadalni. Prosiła, żebyśmy przyszli jak tylko skończymy grę.

- Naprawdę? - zdumiał się Klot. - A co, była tu?

- Tak.

- Hm, dziwne, coś szybko się uwinęły...

Zerknąłem na zegar.

- Nie tak znowu szybko, dwie i pół godziny.

Ojciec Alony odwrócił się i popatrzył na zegar jak na ducha.

- Matko kochana... - wymamrotał. - Zupełnie straciłem poczucie czasu... - Zaczął szybko wkładać figury na miejsce.

Schował szachownicę i czym prędzej poszedł do jadalni, ja za nim. Alona i Eleja powitały nas równie nieprzyjawnymi spojrzeniami, tyle że Alona patrzyła na mnie, a Eleja na Klota.

- Kochanie - powiedział zakłopotany anioł do żony, jak na mój gust trochę nazbyt radośnie i nazbyt pospiesznie - jaka to była wspaniała partia! Nie masz pojęcia, jakie emocje, jaka walka! Ezergil poświęcił hetmana i wieżę, żeby wyciągnąć z ukrycia mojego króla... A jaką kombinację miał...

- Bardzo się cieszę, że ci się podobało - odparła chłodno Eleja - jednak można było chyba kontrolować czas...

- No wiesz - usprawiedliwiałem się cicho przed Aloną - twój ojciec faktycznie świetnie gra. A ja... Nie na darmo nazywają mnie Graczem...

- To ty się tak nazwałś - burknęła. - I w ogóle, przyszedłeś tu do mnie, czy grać z moim ojcem w szachy?

- Oczywiście, że do ciebie, co za pytanie? Ale rozumiesz, jedną partię można rozegrać...



- Jasne - westchnęła Alona. - Czyli na przyszłość lepiej cię nie zapraszać. Ojciec znalazł sobie „partnera”. Chociaż...

- No właśnie - pokiwałem głową. - Grając z twoim tatą, umacniam swoją pozycję w oczach twoich rodziców.

Nie odpowiedziała. W milczeniu obróciła się na krześle i utkwiała wzrok w swoim talerzu, uprzednio podsuwając mi mój.

- A my trzy razy podgrzewaliśmy...

- Przepraszam, naprawdę... Mam uklęknąć?

- Lepiej nie - prychnęła. - Rodzice mogliby tego nie zrozumieć.

I jakoś tak samo wyszło, że ja i Klot znaleźliśmy się obok siebie, razem odpierając atak. Eleja popatrzyła na nas ponuro.

- Trafił swój na swego - skonstatowała. - Ot, i cała rozmowa.

Teraz bliżej nas przesunęła się Alona. Nie ukryło się to przed Eleją, która obrzuciła mnie długim spojrzeniem.

- Naprawdę jesteś diabłem - powiedziała ze złością. - Udało ci się oczarować moją córkę i przekabacić męża.

- Przepraszam - powiedziałem grzecznie, lecz twardo - ale przyjaciół nie oczarowuję i nie przekabacam. Przy nich jestem po prostu sobą. Zbyt wielu mam wrogów, żeby ryzykować utratę sprzymierzeńców. A już na pewno nie starałem się oczarować pani córki. Po prostu pod wieloma względami jesteśmy do siebie podobni, choć mamy różne charaktery...

To popołudnie było dość męczące dla wszystkich, głównie z powodu mamy Alony, która traktowała mnie z dystansem. Udawałem, że tego nie dostrzegam i uprzejmie odpowiadałem na pytania. Klot głównie milczał, od czasu do czasu wypowiadał tylko moją myśl - pozwólmy się dzieciom pobawić, a wkrótce im się to znudzi. Na takie słowa Alona od razu się jeżyła. W końcu postanowiłem przerwać tę uciążliwą dla wszystkich sytuację.

- No cóż, chyba za bardzo się zasiedziałem. Powinienem wracać do domu...

- Odprowadzę cię. - Zerwała się szybko Alona.

Chciałem powiedzieć, że sam trafię, poza tym, nie ma zwyczaju, żeby damy odprowadzały kawalerów, ale ona już wybiegła z pokoju.

Od razu zrozumiałem, że po prostu nie chciała zostawać na rozmowę, do której pewnie doszłoby tuż po moim wyjściu.

Zjawiała się pół godziny później, uczesana i odpowiednio ubrana. Niby nic takiego, normalny strój wyjściowy, ale wyglądała wspaniale. Matka popatrzyła na nią z aprobatą.

- Przynajmniej jeden pozytywny efekt tej praktyki - zauważyła. - Alona zaczęła się normalnie ubierać. Zoja wywarła na nią dobry wpływ... Bo tak to wiecznie chodziła nie wiadomo w czym, nie dziewczyna tylko istny oberwaniec.

Ja i Klot popatrzyliśmy na siebie i westchnęliśmy. „Och, te kobiety!” - mówiło nasze westchnienie. I wtedy zrozumieliśmy, że tworzymy wspólny męski

front. Roześmiałem się, on zaśmiał się również.

- Śmiejecie się, tak? Śmiejecie?! - spytała groźnie Alona i w chwilę później uchylałem się od ciśniętej we mnie poduszki. Ale najśmieszniejsze było to, że taka sama poduszka już leciała w stronę Klota - rzucona przez jego żonę. Zachwyciło mnie to. Anioł ciągle się śmiał.

- Stary - zwrócił się do mnie. - Ja już rozumiem... Tak naprawdę to nie nasza córka wpakowała się w kłopoty! To ty wdepnąłeś! Na twoim miejscu uciekałbym, póki czas!

- To nic - odparłem z godnością, zdejmując z głowy poduszkę. - Przywykłem do pokonywania różnych trudności. Pani... - Uprzejmie podałem Alonie rękę i razem wyszliśmy do przedpokoju, zostawiając niezadowoloną Eleję i roześmianego Klota.

- Moja droga, sądzę, że nie masz racji - usłyszałem.

- W jakim punkcie?

- Jeśli chodzi o rzekomy wpływ Zoi. Na pewno dzięki niej nasza córka wyrobiła sobie dobry gust, ale wcale nie dla niej się tak stroi. Myślę, że to nagle obudzone zainteresowanie strojami jest ukierunkowane na pewnego znanego nam diabła...

Nie słuchałem dalej. Faktycznie, nieładnie podsłuchiwać. Zresztą, nie było już czego - rodzice Alony wyszli do przedpokoju, żeby nas odprowadzić. Zauważyłem, że teraz Eleja uważniej przyglądała się mnie i córce. Westchnęła. A gdy wychodziłem, nawet się do mnie uśmiechnęła.

- Dobrze - powiedziała na pożegnanie. - Przychodź,

kiedy zechcesz, skoro już tak się złożyło. Jednak ja nadal mam nadzieję, że ta zabawa szybko wam się znudzi.

- Być może. - Skinąłem głową. - Ale przecież ja jestem graczem i potrafię bardzo długo grać w coś, co mi się spodobało. A to jeszcze mi się nie znudziło... Ale z pani zaproszenia na pewno skorzystam. Dziękuję.

I wyszło na to, że pożegnanie wypadło o wiele lepiej niż cały wieczór, jeśli oczywiście nie liczyć partii szachów z ojcem Alony. Naprawdę będę musiał kiedyś ich odwiedzić. To bardzo ciekawy przeciwnik. Bardzo.

Już na dworze Alona odwróciła się i spojrzała na dom.

- Niech sobie porozmawiają sami, tylko bym im przeszkadzała. Ale zdaje się, że spodobałeś się i mamie, i ojcu.

- Twojemu ojcu tak, ale jeśli chodzi o mamę, nie powiedziałbym.

- Spodobałeś się. Gdyby cię nie polubiła, byłaby wobec ciebie taka uprzejma, jakbyś był nie wiem jaką szychą. To co, odprowadzę cię do dżinportu.

- Może po prostu się przejdziemy? - zaproponowałem niepewnie. - Dżinport jest daleko, a ty potem będziesz musiała jeszcze wrócić. Robi się późno.

- Coś ty, odprowadzę cię! Przecież to raj, co mi się może stać? Dziwny jesteś, już nie masz się o co martwić...

A jednak po długiej dyskusji postawiłem na swoim. Raj czy nie, miałem staromodne zasady i nie mogłem dopuścić, żeby dziewczyna mnie odprowadzała. Alona

chyba to zrozumiała i przestała się upierać. Chyba nawet jej się to spodobało. I w ten właśnie sposób dziewczyny wchodzą nam na głowę... Ale najciekawsze było to, że właściwie nie miałem nic przeciwko, żeby weszła mi na głowę. Widocznie byłem jednak chory...

Spojrzałem na zegarek, było wpół do szóstej. Z jednej strony jeszcze wcześniej, ale z drugiej... przecież muszę dostać się do piekła, a to co najmniej półtorej godziny. Poza tym chciałem jak najszybciej pochwalić się rodzicom, że nasz plan został przyjęty na połączonym posiedzeniu władców piekła i raju. Hm, pochwalić... „Hura, kat zgodził się ściąć mi głowę!” O, to właśnie coś w tym stylu...

- Nad czym tak rozmyślasz? - zapytała Alona, przyglądając mi się.

Pokręciłem głową.

- A tak, o niczym. Obmyślam nasze przyszłe zadanie. Człowieka uratowaliśmy, to teraz został już drobiazg. Następny w kolejce czeka cały świat.

- Nie rozmieniasz się na drobne - prychnęła Alona. - Ale wydaje mi się, że najpierw musimy dostać skrzydła i ogon, a dopiero potem zacząć szukać bohaterskich zadań.

Naiwna. Kto pozwoli nam spokojnie pożyć po tym, co rozpętaliśmy w dwóch światach?! Będą chcieli jak najszybciej pogrzebać nas razem z naszymi pomysłami. Oczywiście nie w sensie dosłownym - nie nas, tylko nasze idee... A najlepszy sposób to sprawić, że z hukiem zawalimy kolejne zadanie. Czyli nową pracę dostaniemy już wkrótce. Ale nie podzieliłem się z

Aloną tymi przemyśleniami. Po co psuć dziewczynie dobry humor? Sama z czasem zrozumie.

Wtedy uświadomiłem sobie, że zupełnie nie boję się ewentualnych nieprzyjemności - przeciwnie, czekam na nie z niecierpliwością! To dopiero będzie gra, to dopiero będzie pojedynek umysłów i woli! Będę miał okazję sprawdzić, ile jestem wart! Bo przecież Ksefon nie był poważnym przeciwnikiem.

- Coś ty? - Alona odsunęła się ode mnie. - Czemu się uśmiechasz?

- Tak tylko... Zastanawiam się, kiedy dadzą nam następne zadanie. - I krótko opowiedziałem jej o swojej niecierpliwości.

Popatrzyła na mnie zszokowana.

- Jednak jesteś wariat, od razu wiedziałam. Co ci się nie podoba w spokojnym życiu?

- Właśnie to, że jest spokojne. Dobrze, dajmy temu spokój. Obiecuję tylko, że ze mną nie będziesz się nudzić. I jeszcze docenisz piękno Gry.

Alona prychnęła.

- Jesteś stuknięty razem z tą swoją Grą.

- Jasne. To dokąd pójdziemy?

- Donikąd. Idźmy po prostu przed siebie i zobaczymy...

Hm, nigdy nie lubiłem zdawać się na łaskę losu. Nie znoszę, gdy coś nie zależy ode mnie. Ale z drugiej strony... Co właściwie może się wydarzyć? Przecież to nie jest kwestia życia i śmierci. Dlaczego nie miałbym zdać się raz na łaskę losu?

- Chodźmy.

Ulice wisały ponad miastem, otwarte na słońce i wiatr. Jednak my znaleźliśmy się na ścieżce, która wiała się po ziemi, klucząc między drzewami. Ale nie miałem nic przeciwko temu, wręcz przeciwnie. Przechodniów było niewiele, a cienie drzew i promienie słońca, przenikające przez korony, tworzyły romantyczny nastrój. O czym rozmawialiśmy? O wszystkim i o niczym... Alona opowiadała mi o swojej szkole, ja jej o swojej. Całkiem sympatyczna przechadzka...

- Ty, patrz, świerzbowy!!! - usłyszałem krzyk za plecami.

Oboje odwróciliśmy się; przyłożyłem rękę do czoła, osłaniając oczy od słońca.

Za nami stało trzech typków - diablów - i gapiło się na nas. Świerzbowy? I wtedy ich poznałem. Moja pierwsza samodzielna wycieczka do raj. Pociąg, przedział i trzech chamów, którzy nie dali mi zasnąć. Mój żart. Uśmiechnąłem się.

- Co za spotkanie! - szepnąłem radośnie.

- Znasz ich? - zdumiała się Alona.

- Niezbyt dobrze. Przelotnie.

- A dlaczego mówią na ciebie „świerzbowy”? Byłeś chory?

- Nie - uśmiechnąłem się. - To tylko traumatyczne wspomnienia nie dają im spokoju.

- Myślałam, że ich znasz.

Typki tymczasem przyglądały mi się badawczo.

- No pewnie, że to on! - krzyknął drugi. - Hej, stój! - To już było do mnie.

Zrobiłem przerażoną minę.

- Nie, proszę! Nie chciałem nic złego! Chciałem się tylko przespać! Proszę, nie bijcie mnie!

Alona spojrzała na mnie ze zdziwieniem.

- Alka, zdaje się, że to już koniec spaceru - szepnąłem. - To na razie, będę już leciał. Spotkamy się jutro.

- Ezergil, przecież to jest raj, jeśli się boisz...

Łypnąłem oczami.

- Nie będę się wiązał z waszymi służbami... - Nie mogłem powiedzieć nic więcej: trzech chłopaków, widząc, że wcale nie mam zamiaru oddać się dobrowolnie w ich ręce, zaczęło biec w moją stronę. Rzuciłem się do ucieczki.

- Do zobaczenia jutro! - krzyknąłem do Alony.

Patrzyła zdumiona. Wyglądałem na przerażonego, co było do mnie zupełnie niepodobne. Nagle zachichotała. Spojrzałem na nią zaskoczony, ale nie było czasu na zadawanie pytań, jeszcze chwila i zrobią ze mnie siekańca. Ale zaraz domyśliłem się, o co jej chodziło. Alona z pewnością przypomniała sobie wyraz moich oczu na widok tych kretynów, musiała dostrzec na dnie źrenic znajomy drwiący płomyk. Zapewne przypominałem kota, który zobaczył mysz i przeciąga się, oblizując. Ażeby zdobyć nie uciekła, udaje, że jest przerażony spotkaniem. - Przyjedź do mnie! - krzyknąłem jeszcze, znikając za drzewami.

Trzech chłopaków przebiegło pędem obok niej. Pewnie nawet trochę im współczuła. Ale tylko trochę - w końcu było ich trzech, więc szanse mieli doprawdy niewielkie... Pokręciła głową.



- Ten Ezergil... - zamruczała. - On jest zupełnie nieznośny. Bezczelny grubianin, chwalipięta, kawalarz... i... i cała reszta... Jutro na pewno z tobą pogadam, Ezergil! Obiecuję! - zawołała, a potem odwróciła się i poszła do domu.

Muszę przyznać, że nieźle się bawiłem, słuchając jej monologu. Tymczasem trzech żądnych zemsty młodzieńców uganiało się za moim fantomem.

- On się tam zabawia, a ja się o niego martwię - mamrotała Alona pod nosem. - Ale jeśli jutro zjawi się cały poobijany, to niech nie liczy na współczucie. O, niedoczekanie...

Wyszła z lasku i odwróciła się, nasłuchując.

- Nie myśl, że będę się o ciebie martwić! - krzyknęła.

- Ja też cię lubię. - Uśmiechnąłem się, porzucając iluzję i wychodząc z krzaków.

- Ezergil! - pisnęła radośnie, podbiegając do mnie, ale od razu znieruchomiała. - Ty bezczelny, pozbawiony sumienia...

- Słuchaj - wpadłem jej w słowo - najlepiej nagraj to wszystko na taśmę, a potem włączaj w odpowiednich momentach.

- Cham!

- Aha. Tak w ogóle to wpadłem tylko na chwilę. - Obejrzałem się. - Póki tamci nie wygrzebią się z parowu. Nie zdążyłem jeszcze wszystkiego powiedzieć... Krótko mówiąc, do jutra, cześć! - Pomachałem ręką i udałem się w stronę miasta.

- A co chciałeś powiedzieć? - zawołała za mną.

Przystanąłem, spojrzałem na nią i zaczerwieniłem się.

- No... to tak tylko... żebyś się nie denerwowała.

- Wcale nie miałam zamiaru!

- To dobrze - odparłem i poszedłem dalej.

Po chwili odwróciłem się znowu; Alona stała oświetlona promieniami słońca przebijającymi się przez korony drzew i patrzyła na mnie z powagą.

- Dziękuję... - powiedziała cichutko.

Spojrzałem na nią zaskoczony, a potem zrozumiałem.

- Nie ma za co - burknąłem. Staliśmy tak z minutę, patrząc na siebie, aż w końcu się ocknąłem. - Dobrze, będę już leciał. Muszę jeszcze dojechać do domu, a ci...  
- machnąłem ręką w stronę okrzyków - mogą zjawić się w każdej chwili.

Alona skinęła głową i odwróciła się. Jeszcze przez chwilę patrzyłem za nią, a potem poszedłem w stronę dżinportu. Następny dzień zapowiadał się równie interesująco...

*Koniec*